

A person in a dark winter jacket is walking away from the viewer on a snow-covered mountain ridge. The sky is a deep, swirling red, suggesting a sunset or a dramatic, possibly supernatural, atmosphere. The overall scene is monochromatic in red tones.

KRZYSZTOF
DOMARADZKI

PRZEŁĘCZ



Brawura, polityka czy tajemnice uralskich szamanów?
W którą wersję uwierzysz?

Powieść inspirowana wydarzeniami na Przełęczy Diatłowa

KRZYSZTOF
DOMARADZKI

PRZEŁĘCZ

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Część I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Część II

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Część III

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Epilog

Od autora

Opieka redakcyjna: EWELINA KOROSTYŃSKA
Redakcja: MIROSŁAW GRABOWSKI
Korekta: ANNA RUDNICKA, AGNIESZKA STĘPLEWSKA, PAULINA STOPAREK
Projekt okładki i stron tytułowych: TOMASZ MAJEWSKI
Zdjęcie na okładce: © Thanayu Jongwattanasilkul/500px/Getty Images
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Krzysztof Domaradzki
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07732-0

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

PROLOG

Jedno nie ulegało wątpliwości.

Umierał.

W sposób, jakiego nawet w najczarniejszych snach się nie spodziewał. W przeogromnym bólu, którego nigdy przedtem nie doświadczył. A na dodatek w chwili, gdy pozwolił naiwnemu umysłowi uwierzyć, że jakoś z tego wyjdzie.

Resztkami sił obrócił się na plecy. Położył dłonie na klatce piersiowej, jak gdyby chciał otulić nimi płuca – zmęczone, chore, niedające zaczerpnąć tchu. Poruszał głowę, próbując strząsnąć z policzków lepki śnieg. Ale gdy tylko to zrobił, do twarzy przywarła mu nowa warstwa białego puchu. Jeszcze zimniejszego. Jeszcze łapczywiej wgrzyzającego się w tkanki, nerwy i mięśnie. Jeszcze bardziej morderczego.

Bolały go głowa, gardło i szyja. Chciało mu się rzygać. Chciało się płakać. Wszystko powyżej jego ramion – centralny układ sterowania i magazyn resztek człowieczeństwa – wydawało się zepsute. Zgniłe. Spróchniałe. Bezużyteczne.

Z coraz większym trudem powstrzymywał opadające powieki. Ostatkiem świadomości powtarzał sobie, że pod żadnym pozorem nie może zasnąć. Ale jego wola słabła. Umysł był zadżumiony i ogłupiały. Wyobrażenia zaskakująco łatwo przeskakiwała ze stanu beznadziei w stan spokoju. Wywoływała porażająco racjonalną rzeczywistość, która mu wmawiała, że taki finał był nieunikniony. Że nic lepszego nie mogło go spotkać. Nie po takim życiu. Nie z tak zbrukanym sumieniem. Po prostu nie.

A skoro nie dało się tego uniknąć, powinien się z tym pogodzić.

Wreszcie zamknął oczy. Zadowolony, że to koniec. Że nie musi dłużej walczyć. Uśmiechnął się. Wprawdzie jego spierzchnięte, obmarzające usta nawet nie drgnęły, ale dusza konwulsyjnie zadrzała, kiedy pod powiekami rozpoczął się nieskoordynowany taniec cieni.

Nagle zrobiło się ciepło, a po chwili gorąco i lekko, niczym w parną sierpniową noc. Zapadła cudowna cisza.

Część I

1.

1 STYCZNIA 2020

Mężczyzna w szarym płaszczu sięgnął po filiżankę, jednak tylko po to, żeby okręcić ją na stoliku. Uniósł nieznacznie głowę i spod krzaczastych, złączonych ze sobą brwi posłał Żeni Kowalczukowi przelotne spojrzenie. Zbyt krótkie, zauważył Żenia, by mogło być przypadkowe.

– Powtórka z wczoraj? – Irina, właścicielka przyspawanej do jednej z głównych ulic Niestierowa kawiarni Smelly Cat, stanęła między mężczyznami.

– Nie tym razem – odparł Żenia. – W najbardziej depresyjny dzień w roku lepiej nie przesadzać z atrakcjami.

– No tak. – Irina pokiwała głową. – Międzynarodowe święto kaca.

– Które każdemu przedstawicielowi najbardziej defetystycznego narodu na świecie przypomina, że przed nim kolejne dwanaście miesięcy nierównej walki z rzeczywistością i oczekiwania na zmiany, które nie nadejdą. A poza tym jest za wcześnie.

– Od kiedy pora przeszkadza ci w picciu?

– Po południu idę biegać.

– Po co?

– Żeby być w dobrej formie.

– Po co?

– Żeby robić wrażenie na takich dziewczynach jak ty.

Irina przewróciła oczami. Choć kąciki jej ust mimowolnie powędrowały w górę.

– Przestań, bo się zakrztuszę.

– Ale to prawda. Nic tak nie odmładza mężczyzny jak zaloty do młodszych kobiet.

– Czasem odmładza, a czasem upokarza. Gdybyś naprawdę dbał o siebie, rzuciłbyś to cholerstwo. – Irina wycelowała palcem w leżącą przed Żenią paczkę papierosów. – Wspomnisz moje słowa, kiedy przestaniesz ci stawać.

Zadziwiająco, że choć widywali się prawie codziennie, a ich konwersacje nigdy nie wykraczały poza uszczypliwe pogaduchy, oboje potrafili poprawić sobie humor. Żenia sprawiał, że trzydziestoczteroletnia Irina na moment zapomniała o chorej matce, kiepsko

przędącym lokalu i kolejnych facetach obiecujących złote góry, a potem znikających zaraz po śniadaniu. Z kolei ona odrywała go od słodko-gorzkiego żywota pięćdziesięciodwuletniego rozwodnika, któremu samotność rekompensowały tani podryw i pozorna dbałość o ciało.

– Przynieś mi, kochana, kawę. Czarną. Bez cukru. – Żenia posłał Irinie swój najserdeczniejszy uśmiech. – I może coś do kawy. Jakieś nie za słodkie ciastko albo rogalik.

– Coś jeszcze?

– W zasadzie tak. – Pochylił się i ściszył głos: – Znasz tego faceta w narożniku?

– Szary płaszcz, zakola na pół głowy, brwi jak u goryla?

– Jesteś zadziwiająco spostrzegawcza. Widziałaś go wcześniej?

– Nigdy. Ale on nie przyszedł na kawę i ciasteczka. Widziałam zza baru, jak się na ciebie gapi. Cichy wielbiciel?

Żenia wzruszył ramionami, próbując się przy tym uśmiechnąć.

– Jeżeli tak, to z jakiegoś innego życia.

Dwa espresso i maślany rogal później Żenia wyszedł na zewnątrz. Podciągnął suwak kurtki, żeby osłonić szyję przed zacinającym wiatrem, i zapalił papierosa. Było zdecydowanie zbyt zimno, żeby ze szlugiem sterczeć pod lokalem, ale chciał dać facetowi w prochowcu czas na dopicie wystygłej kawy i zapłacenie rachunku. Kiedy skończył, zgasił peta w przysypanej śniegiem popielnicy i obrał kurs na osiedle.

Po niespełna piętnastu minutach niezbyt przyjemnego spaceru dotarł pod blok. Wpisał kod na domofonie, wdrapał się na drugie piętro, przekręcił klucz w zamku i wszedł do mieszkania. Zostawił minimalnie uchylone drzwi – tak żeby nikt z zewnątrz nie mógł tego dostrzec. Powiesił kurtkę na wieszaku i ściągnął buty. Przeszedł na koniec obitego boazerią przedpokoju, by rozsiaść się w rzadko używanym fotelu. Wyjął z komody pistolet i położył go na kolanach.

Sprawdził godzinę: trzynasta pięć. Uznał, że jeżeli facet w płaszczu pojawi się w ciągu pięciu minut, to powinien go zastrzelić, zanim tamten spróbuje zrobić to samo. Jeżeli zmieści się w kwadransie, pozwoli mu wejść i wysłucha jego propozycji. A jeżeli w tym czasie nic się nie wydarzy, zamknie drzwi i zapomni o całej sytuacji. I o człowieku w prochowcu. I o wszystkich dziwnych rzeczach, które przyszyły mu do głowy, kiedy go zobaczył.

Prochowiec zjawił się po dwunastu minutach.

Przez pewien czas kręcił się pod drzwiami, bezskutecznie nasłuchując odgłosów z wnętrza. W końcu ostrożnie chwycił za klamkę. Przekonał się, że drzwi są niedomknięte. Wszedł.

Kiedy Żenia ponownie go zobaczył, facet wyglądał na dezorientowanego. Jakby jego wzrok musiał się zaadaptować do widoku wycelowanego weń pistoletu.

– Spokojnie, tylko spokojnie. – Prochowiec przemówił zachrypniętym, jakby dawno nieużywanym głosem. – Wiem, że to nie wygląda dobrze, ale nie mam złych zamiarów.

– Ja też nie – odparł Żenia. – Ale nie lubię, kiedy ktoś mnie śledzi, a potem nachodzi w moim mieszkaniu.

– To nie jest napaść.

– Przyjacielska wizyta też nie. Więc co?

– Sprawa państwowa.

Kiedy nieznamy ostrożnie rozchylił płaszcz, pokazując Żeni, że nie jest uzbrojony, ten wreszcie opuścił broń. Jeszcze przez kilka sekund przyglądał się intruzowi, po czym podniósł się z fotela i bez słowa przeszedł do kuchni. Dopiero wtedy Prochowiec odetchnął z ulgą. Wyjął z kieszeni wymiętą chusteczkę, otarł nią wysokie czoło – trochę mokre od śniegu, a trochę od potu – i podążył za gospodarzem.

– Jewgienij Kowalczuk? – zapytał, patrząc, jak Żenia wlewa wodę do czajnika. – Weteran wojen na Bliskim Wschodzie i Kaukazie, emerytowany milicjant i prywatny detektyw?

– Po co pytasz, skoro to wszystko wiesz? – Żenia wstawił wodę, a następnie wyjął szklankę i wsypał do niej zawartość saszetki z elektrolitami.

– Z kurtuazji. Oraz żeby ci przypomnieć, kim jesteś. Czy raczej byłeś. Krążą słuchy, że odkąd odszedłeś ze służby, zacząłeś się imać dziwnych zajęć.

– Słuchy?

– Twoja jednoosobowa agencja detektywistyczna specjalizuje się w udupianiu urzędników państwowych. Zwłaszcza tych, którzy nie potrafią utrzymać chuja w spodniach.

Żenia podstawił szklankę pod kran. Po zmieszaniu się z elektrolitami woda zmieniła kolor na pomarańczowy.

– Teraz muszę myśleć jak biznesmen, a urzędnicy to szansa na łatwy zarobek – wyjaśnił. – Nic tak nie demoralizuje jak odrobina władzy i złudne poczucie nietykalności.

– Co nie zmienia faktu, że niektórym wysoko postawionym osobom twoja działalność się nie podoba.

– No i?

– Chętnie by ją ukrócili. Chyba że zdołasz ich przekonać, aby postąpili inaczej. – Mężczyzna próbował pochwycić spojrzenie Żeni, ale ten był całkowicie pochłonięty bełtaniem w swojej miksturze. – Nie ciekawi cię, kim jestem?

– Ani trochę.

Żenia wychylił napój duszkiem. Następnie odstawił szklankę do zlewu, w którym piętrzył się stos brudnych naczyń.

– Słyszałeś o Przełęczu Gonczara? – spytał Prochowiec.

- Jak każdy.
- To znaczy?
- Słyszałem, że kilkadziesiąt lat temu dziewięcioro młodych ludzi zginęło w górach.
- Co jeszcze słyszałeś?
- Że do dziś nie udało się ustalić, co tam zaszło.
- A twoim zdaniem co się stało?

Żenia wzruszył ramionami. Chwilę później wyjął z szafki ostatnią czystą szklanę. Włożył do niej torebkę herbaty i zalał wrzątkiem.

– Nie wiem. I głównie mnie to obchodzi. Ale jestem bardzo ciekawy, kiedy w końcu wyjaśnisz, co tu robisz. – Po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrzął na gościa. – Mam tylko jeden materac, więc jak się nie pospieszysz, czeka cię noc na podłodze.

– Daruj sobie. Mój szef chce, żebym jeszcze dzisiaj wrócił do Moskwy. Razem z tobą.

Żenia przez kilkanaście sekund maczał torebkę w wodzie, w końcu ją wyjął i wyrzucił do kosza pod zlewem. Przesunął szklanę w stronę gościa.

– W barku znajdziesz whisky, jakbyś chciał. Mam też miód. – Żenia otaksował faceta, który był od niego o pół głowy niższy i wydawał się przynajmniej o kilka kilogramów cięższy; przypominał nieco zdeformowane dziecko. – Wyglądasz na takiego, który lubi miód.

– Co to ma być?

– Wypij herbatę. Pooglądaj telewizję. Poczytaj coś. Mam niezłą kolekcję anglosaskiej literatury.

– A ty?

– A ja pójdę pobiegać. Przemyślę twoją propozycję. Za godzinę wrócę i dam ci odpowiedź.

Prochowiec zaśmiał się pod nosem.

– Chyba nie sądzisz, że potrzebna mi twoja odpowiedź.

– Nie. Ale lepiej się poczuję, myśląc, że mam wybór.

23 STYCZNIA 1959

DANIELA

Nie był szczególnie przystojny. Gdy widziała go na zdjęciach – skupionego, zamyślonego albo niezdarnie pozującego do obiektywu – wydawał się wręcz brzydki. Miał zbyt szeroko rozstawione oczy, przeoraną trądzikiem twarz, przerwę między jedykami. A do tego mięsiste, niemal dziewczęce usta. Poza tym na większości fotografii wyglądał na ponuraka, który nie ma ochoty wpuścić nikogo do swojego świata.

Ale kiedy się z nim widywała, roztaczał wokół siebie specyficzną aurę. Przyciągał ją. Sprawiał, że Daniela Kutuzowa marzyła wyłącznie o tym, aby Wiktor Gonczar rzucił ją na ziemię i posiadał. Jak swoją własność. Jak kobietę, z którą zamierza spędzić resztę życia.

– Dobrze schowałaś pieniądze? – zapytał Wiktor.

– W trzech różnych miejscach – odparła z dumą Daniela. – Tak jak prosiłeś.

Wiktor wrócił do rozpisanej na dwóch kartkach listy, z której wykreślał ołówkiem kolejne punkty. Był metodyczny, dokładny, przewidujący. Potrafił w najdrobniejszych szczegółach zaplanować wyprawę, a potem krok po kroku ją poprowadzić. Aż do szczęśliwego finału.

Ktoś mógłby powiedzieć, że Wiktorowi brakuje spontaniczności. Że jak na dwudziestotrzylatka jest zbyt poważny. Ale Danieli właśnie to się w nim podobało. Ta inność. Mądrość, pewność siebie, skupienie. I mimo tej nienaturalnej dla jego wieku powagi ludzie go lubili, ponieważ był gwarantem sukcesu wyprawy. Mogli z nim osiągać rzeczy, których sami nigdy by nie osiągnęli. Może nawet nie odważyliby się spróbować.

– Sprawdziłaś żarcie? – Wiktor przytknął ołówek do kartki. – Chleb, mięso, herbata, sól?

– Wszystko spakowałam i rozdzieliłam między członków ekipy. Jesteśmy zabezpieczeni na trzy tygodnie. W razie czego możemy jeszcze uzupełnić zapasy w którymś z miasteczek.

– Dobrze. – Wiktor pokiwał głową. – Nieźle nam idzie. Jesteśmy już w połowie. Zostało jeszcze... – Rzucił okiem na listę i szybko policzył w myślach. – Jakies sześćdziesiąt punktów.

Tym razem Wiktor był gwarantem wejścia do turystycznego eldorado. On i jego koledzy nie byli zawodowymi wspinaczami ani nawet nie planowali pracować jako przewodnicy górscy, ale wszyscy skrycie marzyli o trzecim stopniu wtajemniczenia turystycznego. A ten miała im zapewnić wymyślona przez Wiktora wyprawa na Ural Północny. Na pierwszy rzut oka nie sprawiała wrażenia wymagającej. Planowali zdobyć szczyt o wysokości ledwo tysiąca dwustu metrów. Czekają ich kilkadziesiąt kilometrów wędrówki, głównie przez las i na nartach. Ale wybierali się w mocno dziewicze tereny. W razie problemów nie mogli liczyć na pomoc miejscowych ani szybką ewakuację. Nie mieli precyzyjnych map. No i był środek zimy, a oni ruszali kilkaset kilometrów na północ, w stronę koła podbiegunowego. Prosto do serca okrutnej uralskiej tajgi.

– Czy twoim zdaniem jest coś, czego moglibyśmy się pozbyć? – spytał Wiktor. – Coś, co mogłoby nas spowolnić?

– Leon zamierza zabrać mandolinę. – To jedyne, co przyszło Danieli do głowy. – Trudno będzie go przekonać, żeby tego nie robił.

Wiktor posłał jej lodowate spojrzenie. Jakby to ona wpadła na pomysł z instrumentem.

– Niech weźmie – zawyrokował. – Przyda nam się jakiś rozweselacz. Zwłaszcza że nie bierzemy wódki.

– Większość tak chce.

Wiktor wzruszył ramionami.

– Skoro większość tak zdecydowała...

Danieli nie przestawało dręczyć jedno pytanie: dlaczego Wiktorowi zależało na tym, aby to ona sprawdziła z nim listę? Byli ze sobą już na kilku wyprawach, więc raczej nie chodziło o to, aby się obwąchać. Czy to możliwe, że chciał ją uwieść? Na swój dziwaczny, sztywniacki, kujoński sposób? Czy może uznał, że Daniela jest najbardziej sumienną osobą z całej paczki? Najdokładniejszą. Najbardziej przewidywalną. Nudną.

Pewnie dlatego chciał, żebym została skarbnikiem i opiekowała się dziennikiem wyprawy, pomyślała. Traktuje mnie jak asystentkę. Jak oddanego, pilnującego wspólnych spraw pomagiera, któremu nie przyjdzie do głowy nic głupiego. I ma rację. Co głupiego mogłabym zrobić? Wyznać, że tak naprawdę głównie obchodzi mnie jakaś góra, ale pragnę spędzić z nim trochę czasu?

– Jak wam idzie? – Zza pleców Daniela wyłoniła się Klara Babikowa.

– Powoli kończymy – odparł Wiktor.

– Chłopcy też już kończą z plecakami. Są tak wypchane, że nic więcej się nie wetknie.

– Może nie będzie trzeba. Przekaż im, że za godzinę wyruszamy.

– Powiem, że to ostatnia okazja, żeby się porządnie wysrać.

Nie był to szczególnie wyszukany dowcip. Mimo to Wiktor zaśmiał się tak, jakby nigdy nie słyszał lepszego.

Klara była zupełnym przeciwieństwem Daniela. Miała kruczoczarne włosy, ogromne piwne oczy i okazały biust, którym chwaliła się, gdy tylko była ku temu okazja – a nawet gdy jej nie było. Często trajkotała niczym źle nastrojone radio. Ale chłopakom to nie przeszkadzało. Podkochiwało się w niej pół uczelni, a kilku wyruszało na tę wyprawę między innymi ze względu na Klarę. Bo raczej nie z powodu Daniela. Prostej dziewczyny o pospolitej urodzie. Nierzucającej się w oczy. Nijakiej.

Daniela nie była pewna, co Wiktor czuje do Klary. Ale z pewnością nie traktował jej jak asystentki. To nie tak miało wyglądać, jęknęła Daniela w myślach. Zupełnie nie tak. Pocieszała się tym, że w trakcie wyprawy wiele może się zmienić. Zarówno na lepsze, jak i na gorsze.

1 STYCZNIA 2020

Żenia inaczej wyobrażał sobie początek roku. Zamierzał ostro trenować, żeby na wiosnę przystąpić do pierwszego w sezonie maratonu. Planował wybierać najprostsze sprawy, aby zawodowa mordęga nie zatruła jego i tak nie najłatwiejszej codzienności. Ale przede

wszystkim zamierzał żyć tu i teraz. Nie zastanawiając się, w jakim miejscu by był, gdyby wiele lat temu podjął kilka innych decyzji.

Inaczej też wyobrażał sobie ten wieczór. Po niespełna trzygodzinnym locie i pięćdziesięciminutowej podróży taksówką Żenia i Prochowiec dotarli do centrum. Wyszli pod kilkupiętrowym, niewyróżniającym się niczym szczególnym blokiem mieszkalnym, z którego rozciągał się widok na stojące po drugiej stronie rzeki wieżowce Moskiewskiego Międzynarodowego Centrum Biznesowego. Żenia, wyraźnie zmieszany, uniósł głowę. Przebiegł wzrokiem po kwadratowych balkonach i rozświetlonych oknach.

– Prywatna audyencja? – spytał. – Myślałem, że spotkamy się w biurze.

– Prokurator to zabiegany człowiek – odparł Prochowiec. – Skoro chce się zobaczyć tutaj, to znaczy, że tak jest mu najwygodniej.

Albo że nie chce, aby ktokolwiek się o mnie dowiedział, pomyślał Żenia i ruszył za Prochowcem.

Wnętrze budynku okazało się bardziej wytworne, niż sugerowała jego fasada: marmurowe podłogi, lśniący kontuar, za którym siedział znudzony ochroniarz, dużo bieli; trochę jak w hotelowym lobby. Wjechali na czwarte piętro. Podeszli do drzwi na końcu korytarza i zapukali. Kiedy z wnętrza dobiegł bliżej niezidentyfikowany odgłos, zaryzykowali i weszli.

Przed lustrem stał wystrojony w garniturowe spodnie i białą koszulę mężczyzna i pieczołowicie objeżdżał trymerem policzki. Wypielegnowana twarz, krótkie czarne włosy, przenikliwe spojrzenie. Kiedy się wyprostował, odłożył maszynkę i podszedł do gości; okazało się, że mierzy około stu dziewięćdziesięciu centymetrów. A więc podobnie jak Żenia.

– Pułkownik Lew Fiodorow, prokurator generalny Federacji Rosyjskiej. – Prochowiec przedstawił szefa w taki sposób, jakby ten był jego konsjerżem. – Doktor prawa, ekspert do spraw walki z przestępczością zorganizowaną, bohater wojenny.

– Wojak? – zdziwił się Żenia, któremu sylwetka Fiodorowa w ogóle nie zaimponowała. A przynajmniej nie dał tego po sobie poznać.

– Jak co drugi człowiek w tym kraju. – Fiodorow przywitał się z gośćmi, po czym przejechał dłońmi po świeżo ogolonej twarzy. – Zaproponowałbym wam coś do picia, ale za dwie godziny muszę być w samolocie, więc może od razu przejdźmy do rzeczy. – Wskazał dłońmi dwie równoległe ustawione skórzane sofy w rogu pomieszczenia.

Żenia domyślił się, że to nie jest dom Fiodorowa, lecz jedynie coś w rodzaju mieszkania służbowego, przeznaczonego do nieformalnych schadzki oraz pełniącego funkcję gabinetu. Duży dębowy stół, biurko wielkości małego samochodu, regały pełne efektownie oprawionych książek, barek z kilkudziesięcioma butelkami wódek, whisky i koniaków. Zbytek, który nie przystawał urzędnikowi państwowemu. Ukryty w zwykłym czteropiętrowym bloku.

– Sprowadziłem cię do stolicy, ponieważ mam dla ciebie zadanie – wyjaśnił Fiodorow, kiedy rozsiedli się na kanapach. – Ale to pewnie wiesz.

– Nie jestem już psem – odparł Żenia. – Ani trepem.

– Ale byłeś jednym i drugim. W obu rolach nieźle sobie radziłeś. Do czasu. – Prokurator zerknął na dzwoniący telefon, a następnie wyciszył go i schował do kieszeni. – Co się stało? Straciłeś wiarę w naszą wspólną misję?

– Nigdy zbyt mocno w nią nie wierzyłem.

– To ciekawe, bo dwadzieścia lat temu twoi przełożeni gotowi byli powierzyć ci dowództwo nad całkiem poważną jednostką. Uważali, że czeka cię świetlana przyszłość. Mogłeś zająć naprawdę daleko. Jedyne, co musiałeś zrobić, to zacisnąć zęby i przemilczeć swoje wywrotowe poglądy. Ale zamiast tego wolałeś pozostać szeregowym wykonawcą czyichś poleceń.

– Więc w czym problem?

– W niczym. Właśnie kogoś takiego potrzebuję. Kogoś, kto wie, że żyjemy w zakłamanym kraju, w którym nikomu nie można ufać. Kto podobnie jak ja nie wierzy w ideały i gardzi ludźmi sprawującymi władzę. Ale jednocześnie gotów jest poświęcić wiele, aby wykonać zadanie. Jakikolwiek by ono było.

Żenia przez dłuższą chwilę analizował słowa Fiodorowa. Podświadomie próbował się z nim nie zgodzić, ale facet całkiem trafnie go scharakteryzował.

– W jaki sposób miałbym ci pomóc? – spytał. – To, że kiedyś biegałem z karabinem i lubię historię, jeszcze nie oznacza, że potrafię rozwiązywać zagadki sprzed kilkudziesięciu lat.

– Podobno jesteś niezły w grzebaniu ludziom w życiorysach – odparł prokurator. – Znam nawet dwie osoby, które przez twoją wnikliwość straciły sporo pieniędzy. A skoro radzisz sobie z zagładaniem ludziom w majtki, powinieneś też uporać się z analizowaniem faktów.

– Prokurator Fiodorow chce, abyś przyjrzał się sprawie śmierci turystów na Przełęczy Gonczara – wyjaśnił Prochowiec. – Najdokładniej jak to możliwe.

– Ta historia nie daje mi spokoju – dodał Fiodorow. – Minęło ponad sześćdziesiąt lat, a my nadal nie wiemy, co się przytrafiło tym dzieciakom. W każdej teorii prędzej czy później pojawia się jakiś zgrzyt.

– Podobno rok temu wznowiliście śledztwo – zauważył Żenia.

– Pozornie. Zrobiliśmy to, żeby uspokoić opinię publiczną. Ludziom, którzy to wymyślili, zależało wyłącznie na tym, aby po kilku miesiącach dłubania w nosie móc oznajmić światu, że wciąż nie wiadomo, co tam się stało, albo że turystów zabiła „potężna siła”. – Fiodorow zrobił palcami cudzysłów w powietrzu. – Trzeba zająć się tym porządnie i wreszcie zamknąć temat. – Telefon ponownie się rozdzwonił. Prokurator wyjął go z kieszeni, odebrał i kilkoma równoważnikami zdań zbył rozmówcę. Następnie ponownie skupił się na Żeni. – Masz jakieś pytania?

– Całe mnóstwo.

– Za dziesięć minut zamierzam być w taksówce, więc na większość będziesz musiał odpowiedzieć sobie sam. Wybierz trzy. Wyobraź sobie, że jestem złotą rybką.

Kiedy Żenia zobaczył wyrachowany uśmiech Fiodorowa, odniósł wrażenie, że temperatura w pokoju spadła co najmniej o kilka stopni.

– Ta tragedia wydarzyła się sześćdziesiąt jeden lat temu, tak? – zapytał.

Prokurator kiwnął głową.

– Kiepsko wykorzystałeś pierwsze pytanie.

– Skoro przez tyle czasu nikt nie zdołał ustalić, co tam zaszło, dlaczego teraz miałyby się to udać?

– Po pierwsze, żyjemy w ogromnym kraju, który z jakiegoś powodu ma zadziwiające problemy z zasobami ludzkimi. Z każdej strony otaczają nas idioci. Do tej pory przełęczały się osoby, które nie rozpoznałyby Bin Ladena, gdyby ustawił się w rzędzie z bandą Eskimosów. A po drugie, wierzę w postęp. Sprawa gonczarowców przez kilkadziesiąt lat była owiana tajemnicą. Potem wiele osób zapalało się do tego tematu, odnajdując w sobie niepokornych śledczych, ale albo brakowało im konsekwencji, albo umiejętności, albo ktoś rzucał im kłody pod nogi. Dzisiaj tych barier nie ma, a my żyjemy już w zupełnie innych czasach.

– Czyżby?

Fiodorow ciężko westchnął.

– Lubię w to wierzyć. Zostało ci jeszcze jedno pytanie. Dobrze je przemyśl.

Żenia nie musiał. To pytanie chodziło mu po głowie, odkąd Prochowiec wprowadził go w szczegóły.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

Prokurator długo mu się przyglądał, zanim sformułował odpowiedź.

– Jeżeli jesteś człowiekiem, za jakiego cię uważam, w końcu sam na to wpadniesz.

Prochowiec wstał z kanapy i ruszył do wyjścia. Liczył na to, że Żenia zrozumie aluzję i podąży za nim. Ale ten nawet nie drgnął.

– Mam jeszcze jedno pytanie, poza konkursem. – Żenia podrapał się po twarzy. – Powiedzmy, że podejmę się tego zlecenia. Jak to zorganizować, żebym nie musiał z nim pracować? – Wskazał palcem mężczyznę w płaszczu.

– Nic – odparł Fiodorow, ponownie się uśmiechając. – Igor to twój nadzorca. Ma dopilnować, abym był należycie o wszystkim poinformowany. I żebyś nie zrobił nic głupiego. Na co dzień twoim partnerem będzie Uzi.

– Co to za jeden?

– To już piąte pytanie. Nie przeginaj. Poza tym gdybym zdradził, kim jest Uzi, zepsułbym niespodziankę.

Jeszcze jeden uśmiech. Najbardziej upiorny ze wszystkich.

23 STYCZNIA 1959

WIKTOR

– Pomyślcie o tym jak o nietypowych wakacjach. – Wiktor nie był nadzwyczajnym mówcą, ale potrafił sprawnie przekazywać komunikaty. Jasno, zdecydowanie, nie owijając w bawełnę. – Spędzimy kilkanaście dni w nieprzyjaznych zimowych warunkach. Temperatura będzie się wahała od minus dziesięciu do minus czterdziestu stopni, ale odczuwalna może być znacznie niższa, ze względu na huraganowe wiatry. Na początku trasy będą osłaniać nas drzewa, gdy jednak dotrzemy w wyższe partie gór, skończy się sielanka.

Wiktor zwołał odprawę w stołówce akademika przy Politechnice Niestierowskiej, którą już wkrótce zamierzał ukończyć – i to z jednym z najlepszych wyników na roku. Na uczelni poznał większość uczestników wyprawy, którzy albo – tak jak on – byli w trakcie nauki, albo cieszyli się statusem świeżo upieczonych absolwentów. Ustawili się w półokręgu. Wystrojeni w najgrubsze kurtki, jakie znaleźli w szafach, w najcieplejsze buty, jakie dostali od rodziców albo pożyczyci od kolegów, w tyle par kalesonów, ile tylko udało im się wcisnąć pod spodnie. Zwarci, gotowi i obładowani sprzętem zapakowanym do kilkudziesięciokilogramowych plecaków. Jakby wybierali się na koniec świata. Co zresztą nie było tak dalekie od prawdy.

– Jesteśmy przygotowani na najtrudniejsze warunki – kontynuował Wiktor. – Mamy odpowiednie stroje, spory zapas jedzenia, piecyk, sprzęt narciarski. Niczego nie powinno nam zabraknąć. Nie jesteśmy przygotowani tylko na to, czego nie da się przewidzieć.

– Na przykład na menka – rzucił Leon Simakow. – Wielkiego kudłatego skurwiela z lasu.

Leon rozbawił zgromadzonych, co odnotował z satysfakcją, zerkając na twarze kolegów – zawsze się upewniał, czy ludzie rechoczą z jego żartów. Tylko Wiktor pozostał niewzruszony i skarcił Leona wzrokiem. Tak jak karcił wszystkich, którzy nie potrafili zachować powagi wtedy, kiedy w jego mniemaniu była niezbędna. Czyli przez większość czasu.

– Menkiem bym się nie martwił, ale w górach żyje trochę dzikich zwierząt – odparł. – Renifer mógłby nas uratować, gdyby z jakiegoś powodu skończyło się jedzenie. Ale już niedźwiedź, zwłaszcza polarny, który przez pomyłkę zapędził się na południe, stanowiłby problem.

– Nie mamy broni – zauważył Marat Gołubiew. – Co zrobimy, jeżeli trzeba będzie przepędzić albo upolować jakieś zwierzę?

Marat stanowił przeciwieństwo wesołego i nieustannie dowcipkującego Leona. Był wysoki, dobrze zbudowany, skryty i poważny. Poważniejszy nawet od Wiktora. W dodatku zajmował się poważnymi sprawami z zakresu fizyki jądrowej, które mało kto rozumiał, z absolwentami politechniki włącznie. Był największym introwertykiem w grupie. Zabranie głosu na forum musiało go sporo kosztować. I musiało być dla niego ważne.

– Miejmy nadzieję, że broń nie będzie nam potrzebna. – Wiktor wyjął dłonie z kieszeni. – Planujemy trzymać się w grupie, więc jest mało prawdopodobne, by jakiegokolwiek zwierzę nas zaatakowało. Ale oczywiście powinniśmy się z tym liczyć. W razie czego muszą nam wystarczyć noże.

– A co z miejscowymi? – dopytywał się Leon.

– Nimi nie musimy się przejmować. Wortowie to pokojowi ludzie.

– Słyszałem od kumpla, że lubią wywar z muchomorów. Piją go podczas jakichś szamańskich obrzędów, a potem naćpani biegają po lesie.

Po stolówce znów poniósł się stłumiony śmiech.

– Być może – odparł Wiktor. – Ale mogę się z tobą założyć, że jeśli spotkamy jakiegoś Wortę, prędzej będzie speszony naszą obecnością niż nawalony. To, że ci ludzie żyją z dala od cywilizacji, nie oznacza, że są dzikusami. Ja bym się ich nie obawiał.

– A jest w ogóle coś, czego się boisz? – zapytał Leon.

Wiktor musiał się dłużej zastanowić. W żaden sposób nie łączył tej wyprawy z jakimkolwiek zagrożeniem życia. Wiedział, że jeśli wszyscy dostosują się do jego planu, nic im nie grozi. Choćby miała na nich spaść plaga nieszczęść.

– Pogody – odpowiedział. – Wichury i śnieżyce mogą nas spowolnić. Sprawić, że przesiedzimy kilka dni w namiocie, czekając na poprawę warunków. Ale jeśli czegoś fundamentalnie nie spieprzymy, wrócimy stamtąd w jednym kawałku. – Przebiegł wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Ufali mu. Wierzyli, że to on jest ich głównym zabezpieczeniem. – No i musimy uważać, żeby się nie pozagryzać. Bez papierosów i wódki może to nie być takie proste.

– Dobrze, że mamy Leona – odezwała się Klara. – Będzie nas zabawiał dzień i noc.

– Albo wkurwiał..

Nie było jasne, kto to powiedział, ale nie miało to znaczenia. Wszyscy, z Wiktorem i Leonem włącznie, gromko się roześmiali. Ich wesołość wymieszała się z podnieceniem. Ekscytację nadciągającą podróżą wzmogło delikatne ukłucie niepokoju, jakie wywoływała skala przedsięwzięcia. Członkowie wyprawy Wiktora Gonczara raczej nie byli bliskimi przyjaciółmi – niektórzy ledwo się znali. Ale mimo to dobrze się czuli w swoim sosie. Nikt nie miał wątpliwości, że są w stanie miło spędzić najbliższe kilkanaście dni.

- Macie jakieś pytania? – Wiktor popatrzył na kolegów.
 - Mielśmy wyruszyć w dziesięć osób – zauważyła Daniela. – Jest nas dziewięcioro.
 - Ostatni członek wyprawy dołączy do nas na dworcu.
 - Kto to?
 - Znajomy. Jest od nas trochę starszy, ale ma młodą duszę. Polubicie go.
- Kilka osób pokiwało głowami. Skoro Wiktor tak twierdził, musiała to być prawda.

2.

3 STYCZNIA 2020

Sasza nie był wirtuozem hokeja. Brakowało mu zwinności, szybkości i polotu. Nie wyczyniał cudów z krążkiem. Nawet nie potrafił zdominować rywali fizycznością, mimo że był wyższy i cięższy od większości rówieśników. Ale za to świetnie wypełniał powierzone mu zadania. Był zawzięty i nie odpuszczał. A do tego miał rzadką umiejętność odbierania talentu swoim bardziej uzdolnionym rywalom.

Pod wieloma względami niepokojąco przypominał ojca.

Żenia Kowalczuk przyglądał się wyczynom syna, pokrzykując zza bandy i podsuwając te same bezużyteczne wskazówki, jakie sam dostawał prawie czterdzieści lat temu: nie bój się podawać do przodu, graj częściej ciałem, pilnuj tego z dziesiątką, nie odpuszczaj. Sporo się zmieniło od czasu, kiedy sam występował w rozgrywkach międzyszkolnych, naiwnie wierząc, że kiedyś zostanie zawodowcem. Ale pewne rzeczy okazały się niezmiennie: dziecięce marzenia o byciu wielkim sportowcem, ojcowska wiara w niemożliwe, matczyne pragmatyzm. Nie zmienił się także Niestierow. Miastem nadal rządziły betonowe place, na których stawiano betonowe lodowiska. Przypominało zahibernowaną skamielinę, której nic nie jest w stanie skruszyć ani upiększyć. Chyba że wybuch bomby atomowej. Choć i to nie było pewne.

Niezmienna pozostawała również relacja Żeni z Tatianą, matką Saszy. Kiedy podszedł do niej po paru minutach pokrzykiwania na syna, przywitała go tym samym zimnym spojrzeniem, jakim obrzucała go od sześciu lat. Albo i dłużej. Tyle że dawniej, kiedy byli małżeństwem, zupełnie tego nie zauważał.

– Spóźniłeś się – burknęła, nie odrywając już wzroku od syna.

– Były korki. – Żenia wycelował palcem w lodowisko. – Dobrze mu idzie. Kiedyś był bierny, bał się włączać do ataku. Teraz jest jednym z najaktywniejszych obrońców w drużynie. No i wreszcie zaczyna wykorzystywać swoją parę.

– Popisuje się przed tobą. Robi to, jak tylko ma okazję. Nie wie, kiedy będzie następna.

Żenia wyjął papierosy i zapalił, zaciągając się tak, jakby chciał sobie wyrwać płuca. Już dawno powinien był przywyknąć do tych przytyków. Spodziewał się ich za każdym razem, kiedy widział się z Tatianą. Ale z jakiegoś powodu nadal wytręcały go z równowagi.

– Wiesz, że chciałbym się z nim częściej widywać – powiedział.

– To co cię powstrzymuje?

– Głównie wyrok rozwodowy.

Tatiana prychnęła. Nie rozśmieszył jej ten żart.

– Rozwód był dla ciebie jak gwiazdka z nieba. Gdybyś musiał zajmować się Saszą na co dzień, nie miałbyś czasu na to, co cię kręci.

– Czyli?

– Pracę, sport, picie i podrywanie lasek.

– Nie podry...

– Niekonsekwencja – wcięła się Tatiana. – To ona cię powstrzymuje. Chcesz wykręcać jak najlepsze wyniki w maratonach, ale nie potrafisz odmówić sobie palenia, wódki i śmieciowego żarcia. Narzekasz na robotę, którą wymyśliłeś sobie jako dorosły i doświadczony człowiek. Chcesz się widywać z dziećmi, ale kiedy przychodzi co do czego, nigdy nie masz czasu. W dodatku nienawidzisz tego miasta, ale nie zrobiłeś nic, żeby się stąd wyrwać. To właśnie jest niekonsekwencja.

Żenia zaklął w myślach. Musiał zmienić taktykę. Przyjechał tu przede wszystkim po to, żeby zobaczyć się z synem. Ale zamierzał także poinformować Tatianę, że nie będzie mógł zabrać go do siebie w kolejny weekend. Liczył na to, że jego była będzie w dobrym humorze. Że przy odrobinie szczęścia zdoła jej to zakomunikować w nieinwazyjny sposób, a ona, jak przystało na dorosłą osobę, zrozumie, że czasem tak po prostu musi być. Ale jak zwykle się przeliczył. Popatrzył na Tatianę. Miała już niewiele wspólnego z kobietą, którą kiedyś kochał. To on sprawił, że z pięknej, pełnej energii dziewczyny przeistoczyła się w człekopodobną, plującą jadem istotę.

Żenia miał zadziwiający dar odbierania uroku wszystkim, którzy go otaczali. Na lodowisku, na wojnie, w życiu osobistym. Wszędzie.

– Co u Leny? – zapytał, jakby nagle sobie przypomniał, że mają jeszcze córkę.

– Radzi sobie. Spędza mnóstwo czasu z nosem w książkach. Wkuwa tak, jakby co tydzień miała sesję. Wolalabym, żeby bardziej korzystała z życia, ale przecież nie będę jej namawiać do imprezowania.

– Widocznie wdała się w ciebie. – Żenia zgasił peta pod butem i uśmiechnął się do bylej.

– Najwyraźniej.

– Niedługo do niej zajrzę. Dostałem sprawę sprzed lat, która w jakimś stopniu wiąże się z politechniką.

– Dostałeś?

– Pewien wysoko postawiony człowiek poprosił, abym się nią zajął.

– Będziesz chociaż coś z tego miał?

– Nie sędę. Ale miałbym sporo nieprzyjemności, gdybym odmówił.

Tatiana zerknęła na byłego męża.

– Pewnie nawet nie przyszło ci do głowy, żeby odmówić, co?

Żenia chciał jej szybko odpowiedzieć, lecz się powstrzymał. Próbował sformułować jakąś logiczną ripostę. Ale najpierw nie chciała mu przyjść do głowy, a potem nie przecisnęła się przez gardło. Zamiast się odezwać, wyjął kolejnego papierosa.

Wiedział, że łączy w sobie wiele sprzeczności. Potrafił być dowcipny, wesoły, przyjemny w obejściu. Na imprezach często bywał duszą towarzystwa, i to nawet bez wsparcia alkoholu. Ale kiedy chodziło o sprawy fundamentalne, takie jak praca, rodzina czy przyszłość, zamykał się w sobie. Wznosił trzymetrowy płot, przez który w żaden sposób nie dało się przeskoczyć.

Może to rzeczywiście jest niekonsekwencja, pomyślał.

– Zabiorę go po meczu na lody – powiedział.

– Pogrzało cię?! – Tatiana rozejrzała się na boki, aby sprawdzić, czy nie ściągnęła na siebie spojrzeń innych rodziców. – Jest minus dziesięć.

– Ponoć lody powinno się jeść zimą. Gardło nie odczuwa wtedy szoku temperaturowego. Usłyszałem to kiedyś od wuefisty.

– Szkoda, że nie od woźnego albo kierowcy autobusu.

– Odstawię Saszę przed czternastą.

– A potem?

– Co potem?

– Kiedy będziesz chciał się z nim zobaczyć na dłużej?

– Wkrótce. Ze względu na tę nową sprawę ciężko będzie mi go zabrać do siebie, więc jeśli to dla ciebie nie kłopot...

– Dla mnie to nigdy nie jest kłopot – przerwała mu. – Tu nie chodzi o mnie, tylko o Saszę.

– Wiem. Odezwę się, gdy tylko zobaczę światelko w tunelu.

Tatiana machnęła ręką. Doskonale wiedziała, że Żenia nie spełni tej obietnicy. Podobnie jak wielu poprzednich.

23 STYCZNIA 1959

ALEKSIEJ I EMIL

– Przeleciałbyś ją?

To pytanie spadło na Aleksieja Woronowicza jak grom z jasnego nieba. Potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć, że to on jest jego adresatem. I paru kolejnych, aby skojarzyć, że wypadło z rozweselonej gęby Emila Konstantinowa.

– Kogo? – zapytał Aleksiej.

– Jak to kogo? Klarę. Widzisz tu inne kandydatki?

Aleksiej popatrzył przed siebie. Zobaczył siedem osób kroczących w nierównych odstępach przez potężny dworzec, z absurdalnie wypchanymi plecakami i przymocowanymi do nich nartami, ściągających na siebie ciekawskie spojrzenia innych podróżnych.

– Jest jeszcze Daniela – zauważył.

– Tej to bym nie tknął kijem przez ścierkę – odparł Emil.

– Dlaczego?

– To suka. W dodatku świętoszkowata i oddana sprawie. Głoszenie przy niej niepopularnych opinii grozi łągrem.

– Przesadzasz.

– Ani trochę. Spróbowałbyś powiedzieć coś złego na partię, toby od razu pobiegła do ojca. A jej stary to szycha. Całe życie sprawuje funkcje dyrektorskie.

– Gdzie?

– Wszędzie. A jak to sobie załatwił?

– Nie mam pojęcia.

– Pomyśl.

Myślał, kiedy przystanęli na chwilę, aby się upewnić, z którego peronu odjeżdża ich pociąg. Aleksiej nie był fanem teorii spiskowych. Nie wierzył też, że którykolwiek z jego kolegów mógłby zaszkodzić innemu uczestnikowi wyprawy. Nawet jeśli Daniela rzeczywiście była nieco nadgorliwą formalistką, nie wystawiłaby żadnego z nich na ryzyko. Może i naiwnie wierzyła w system, ale nie mogła nie wiedzieć, czym grozi jawny brak wiary.

– Czyli przeleciałbyś ją? – powtórzył Emil, kiedy ruszyli w stronę odpowiedniego peronu, a oni ponownie znaleźli się na końcu grupy.

– Jest ładna – odparł wymijająco Aleksiej.

– Nie o to pytałem.

– Jak każdy.

– Czyli tak. – Emil pochylił się do przodu, żeby spojrzeć Aleksiejowi w oczy.

– Tak, chętnie bym ją przeleciał. Zadowolony?

Przez króciuteńką chwilę Aleksiej miał ochotę zepchnąć Emila pod pociąg. Nie krępowały go rozmowy o seksie. Ale rozmowy o seksie z Klarą – to co innego. Emil mógł tego nie wiedzieć, ale Aleksiej przez pewien czas się z nią spotykał. Było miło. Klara zaprosiła go nawet do domu, aby poznał jej rodziców. Ale w którymś momencie coś się zepsuło, a Aleksiej nie bardzo potrafił to wytłumaczyć. Owszem, sam miał chwilę wątplenia, kiedy zdał sobie sprawę, jak bardzo się różnią. Gdy zrozumiał, że on,

nieociosany łapciuch z domu, w którym wszystkiego brakowało, mający do zaoferowania jedynie naturalny urok, odwagę i nieuzasadnioną ambicję, miałby się związać z dziewczyną z zupełnie innej bajki. Ale potem to ona go odtrąciła. Ona postawiła między nimi ścianę. Ona zaczęła się łączyć do TAMTEGO.

– Podobno już ją zaliczył – odezwał się Emil.

– Kto?

– Stary, strasznie wolno łapiesz. Nasz złoty chłopiec.

Tym razem chęć, aby zepchnąć Emila na tory, została z Aleksiejem.

– Tylko się kumplują – powiedział.

– Słyszałem coś innego.

– Od kogo?

– Wiktor chwalił się w szkole, że nie jest już prawiczkim. Nikt nie słyszał, aby wcześniej się z kimś spotykał, więc wychodzi na to, że musiał się rozdziewiczyć z Klarą.

– Kiedy tak powiedział?

– Z tydzień temu. Czemu pytasz?

Bo gdybym miał być z tobą szczerzy, pomyślał Aleksiej, to na twoje pierwsze pytanie odpowiedziałbym: jasne, kurwa, że tak. Z największą przyjemnością przeleciałbym Klarę. Zdarzały się takie dni, że nie myślałem o niczym innym. A teraz nie mogę przestać myśleć o tym, że ktoś mnie ubiegł.

– Nie wiedziałem, że się spotykają – skłamał Aleksiej.

– Nie chwałę się tym. Złoty chłopiec nie chce podgrzewać atmosfery na wyjeździe. Pomyśl. Dwie babki, ośmiu facetów i ponad dwa tygodnie bez robótek ręcznych. Z czegoś takiego może się zrobić niezły kipisz.

– Na razie siedmiu facetów. Słyszałeś coś o tym nowym?

Zanim Emil zdążył odpowiedzieć, grupa nagle się zatrzymała. Idący na czele pochodu Wiktor podszedł do mężczyzny, który podobnie jak studenci uzbrojony był w potężny plecak i narty. Przywitali się uprzejmie, choć z wyraźną rezerwą.

– Poznajcie Michaiła Klimienkę – Wiktor przedstawił nieznanego. – To ostatni uczestnik naszej wyprawy.

– Mówcie mi Misza – odparł facet i serdecznie się uśmiechnął.

Przywitał się z turystami, każdego z nich częstując silnym uściskiem dłoni i przeciągłym, nieco krępującym spojrzeniem w oczy. Niedługo później cała dziesiątka załadowała się do pociągu.

Kiedy Żenia odstawił Saszę do domu, odnalazł w smartfonie numer starego kumpla, jednego z najbardziej doświadczonych policjantów w Niestierowie. Krótko wyjaśnił, czego potrzebuje, a ten kilkanaście minut później wysłał mu esemesa z adresem.

Żenia wsiadł do auta, przedostał się na drugi koniec miasta i zaparkował pod jednym z dziesiątków identycznych, przygnębiająco szarych bloków, które w latach sześćdziesiątych masowo dobudowywano do miejscowych fabryk żywności czy sprzętu wojskowego. Po paru minutach odnalazł właściwą klatkę schodową. Dostał się na nią dzięki nastolatki, który wybiegł z budynku ze słuchawkami na uszach i szlugiem w gębie.

Wjechał windą na ósme piętro i zadzwonił do drzwi. Po mniej więcej trzydziestu sekundach usłyszał jakiś szmer w środku. Po kolejnych trzydziestu człowiek, który prawdopodobnie uważnie zlustrował go przez judasza, odważył się otworzyć.

– Pan Ansiel Diemagin?

Mężczyzna bardziej sapnął, niż potwierdził swoją tożsamość, ale Żeni to w zupełności wystarczyło.

– Jestem...

– Wiem, kim pan jest – przerwał mu starzec. – Nasz wspólny kolega do mnie dzwonił.

Ansiel Diemagin, filigranowy mężczyzna o lekko azjatyckich rysach, wpuścił Żenię do środka. Podał mu kapcie, upierając się, aby je założył, ponieważ ciągnie od podłogi, a następnie zaprowadził go do kuchni. Do swojego centrum zarządzania światem.

– Napije się pan czegoś? – zapytał.

– Dziękuję.

– Herbata? Piwo? Wódka?

– Nie zajmę panu dużo czasu.

– Czasu akurat mam w bród.

Żenia rozejrzał się po pomieszczeniu. Była to typowa kuchnia owdowiałego starca: niezbyt funkcjonalna i niemodernizowana od lat, ale całkiem schludna. Na parapecie w sześciu równo ustawionych słoikach po majonezie rosła cebula. Szafkę przy oknie zdobiło kilka doniczek z geranium, z którego starzec pewnie robił wywar na przeziębienie. Na przykrytym kolorową ceratą stole stały weki z herbatą i kompotem. A także radio, które wypluwało wiadomości tak głośno, jak gdyby Diemagin odgrywał rolę agencji informacyjnej dla całego bloku. Z kolei pod nieobudowanym kaloryferem leżał stary, kudłaty, śmierdzący pies. Żywy dowód na to, że zwierzęta upodabniają się do właścicieli.

A więc tak wygląda moja przyszłość, pomyślał Żenia. Tyle że bez psa.

– To Jaromir – wyjaśnił starzec, celując palcem w kundla. – Dostałem go od kolegi z Czech.

– Jaromir – powtórzył Żenia. – Lubi pan hokej?

– Nie bardzo. A co?

– Tak tylko...

– Chyba nie przyszedł pan rozmawiać o hokeju.

Żenia był nieco zakłopotany. Diemagin okazał się znacznie mniej stetryczalym facetem, niż sugerowały to jego wiek, nieufność na progu i ślamazarne ruchy. Intelktualnie wciąż był w formie.

– Jak dobrze zna pan sprawę śmierci turystów na Przełęczy Gonczara? – zapytał Żenia.

Diemagin z wysiłkiem opadł na krzesło. Wysiorbał spory łyk wystygłej herbaty.

– Byłem szczyłem, kiedy to się stało. Miałem dwadzieścia cztery lata i stawiałem pierwsze kroki w milicji. Niewiele z tego wszystkiego rozumiałem. Przynajmniej wtedy.

– A potem?

– Potem chciałem się trzymać od tego z daleka.

Żenia ledwo słyszał starca przez nieustannie charczące radio, ale nie chciał się rządzić w nie swoim mieszkaniu. Sięgnął po taboret i usiadł tuż obok gospodarza.

– Dlaczego? – zapytał.

– Zginęli tam moi rówieśnicy.

– I tylko dlatego?

Diemagin wolno pokręcił głową.

– Nie chciałem babrać się w sprawie, w której i tak nie miałbym wiele do powiedzenia. Mocniejsi ode mnie się tym zajmowali. I to przez kilkadziesiąt lat.

– Co tam się tak naprawdę stało?

– Każdy ma inną teorię.

– Jaka jest pańska?

– Ja uważam, że nigdy nie poznamy prawdy.

– Wiele osób miało nadzieję, że po otwarciu archiwów wszystko się wyjaśni.

Starzec szeroko się uśmiechnął, uwydatniając swoje azjatyckie rysy.

– Nic dobrego z tego nie wynikło. Niektórzy rzeczywiście doznali jakiejś tam satysfakcji, mogąc swobodnie opluwać komunistycznych przywódców i ich rządy. Inni posłużyli się historią do walki politycznej. A jeszcze inni... i tych niestety było najwięcej... zaczęli gmerać przy rzeczach, na których im zależało. I tuszować to, co było dla nich niewygodne.

– Tak było w przypadku gonczarowców?

– Tego nie wiem. Nikt nikogo nie złapał za rękę. Ale jak inaczej wytłumaczyć to, że sprawa wciąż pozostaje niewyjaśniona?

– Może to zwykłe gapiostwo. Niekompetencja śledczych.

– Może. Ale proszę pamiętać, że wtedy ludzie wcale nie byli głupszy, jak się młodym dzisiaj wydaje. A ze strachu przed reżimem często pracowali ciężiej i wytrwalej. Pytanie tylko, z jakiego powodu się bali.

Starzec odwrócił się na krześle. Otworzył szafkę i wyjął foliówkę. Rozplątał ją. W środku były różne psie przysmaki. Urwał kawałek czegoś, co wyglądało jak przesmażona parówka, i rzucił Jaromirowi.

– Znał pan ludzi, którzy pracowali przy śledztwie? – zapytał Żenia, zerkając na pałaszującego psa.

– Sprawą zajmowali się głównie chłopcy z Kiercowa i Igrimu. Znaliśmy się, ale nie byliśmy kolegami. Raz czy drugi poszedłem z nimi na wódkę, ale niewiele mogę o nich powiedzieć. A pewnie o to panu chodzi. – Diemagin znów się uśmiechnął. – O to, czy wypapłali coś przy kielichu.

– Nie do tego zmierzałem, ale skoro wywołał pan wilka z lasu...

– Nie rozmawialiśmy o przełęczy. Każdy miał swoje zadania i nie zadawał zbędnych pytań. Teraz pewnie postąpiłbym inaczej, ale wtedy byłem za młody. Niedoświadczony, naiwny i płochliwy. Robiłem to, co mi kazano, wierząc, że tak trzeba. Gdy zrozumiałem, że zwykle jest odwrotnie, sprawa przełęczy była już dawno zamknięta. Gdybym się nią nagle zainteresował, znalazłbym się na celowniku ludzi, z którymi niekoniecznie chciałem mieć do czynienia. – Diemagin spuścił wzrok. Zaczął wodzić po stole pomarszczonymi dłońmi, jakby czegoś na nim szukał. – Mnóstwo osób żyło tą historią długie lata. Rodzice ofiar domagali się wyjaśnień. Dostawaliśmy setki anonimowych listów. W latach dziewięćdziesiątych przełęczą zainteresowali się zagraniczni dziennikarze. Powstało mnóstwo artykułów i książek, które próbują rozwikłać tę zagadkę. Ale mam wrażenie, że nikt nie odważył się zbliżyć do jądra problemu. Nawet ci, którzy tak chętnie przedstawiają swoje teorie. – Starzec podniósł wzrok na Żenię. – Na pewno chce pan być pierwszy?

– Nie mam wyboru.

– W takim razie powodzenia.

Przyda się, pomyślał Żenia. Bez dwóch zdań.

23 STYCZNIA 1959

MISZA I WIKTOR

Powiedział, że ma trzydzieści osiem lat, choć przez zmęczoną twarz, częściowo przesłoniętą potężnymi wąsami, wydawał się starszy. Śniada cera mogła świadczyć o tym, że pochodzi z południa albo pracuje głównie na powietrzu. Mówił szybko i często się uśmiechał. Może nawet zbyt często. Ale dzięki temu roztaczał wokół siebie tak pozytywną

aure, że nikt nawet nie zwrócił uwagi na pojedyncze blizny na czole, które parokrotnie wysunęły się spod jego potarganych włosów.

Misza Klimienko był niezły w przełamywaniu lodów. Kiedy rozsiedli się w pociągu, obwarowani z każdej strony bagażami, zmęczeni po całym dniu pakowania i załatwiania spraw związanych z wyjazdem, nie czekał, aż zostanie zasypany pytaniami, tylko przejął inicjatywę. Próbował dowiedzieć się czegoś o każdym uczestniku wyprawy. Był dociekliwy, uprzejmy, empatyczny. Jak nauczyciel, który stara się poznać nowych uczniów, zanim zdążą go znienawidzić.

Dopiero po serii jego pytań przyszedł czas na zamianę ról.

– Jak się poznałeś z Wiktorem? – zapytała Klara, najbardziej gadatliwa z całej grupy.

– Przez przypadek – odparł Misza. – Miałem jechać w te rejony z inną grupą. Ale kilka dni temu jej lider przełożył wyjazd na koniec lutego, co nie całkiem mi odpowiadało. Na szczęście wtedy dowiedziałem się o waszej wyprawie. Kolega z pracy poznał mnie z Wiktorem, on mi zaufał i tak wylądowałem tutaj.

– A czym się zajmujesz?

– Właśnie tym. Jestem przewodnikiem górskim. Jeżdżę na wycieczki z młodzieżą, która nie ma takich umiejętności i doświadczenia jak wy.

– Nie musisz nam słodzić, żebyśmy cię polubili.

– Nie słodzę, taka jest prawda. Czasem pracuję z dziećmi, które ledwo jeżdżą na nartach. Gdybym zostawił je same na odludziu, umarłyby z głodu.

– My zabraliśmy tyle żarcia, że pewnie połowę przywieziemy z powrotem – odezwał się Leon, który stroił mandolinę. – Chyba że Klara z Danielą wszystko zeżrą.

Klara uderzyła chłopaka w ramię, czym tylko wzbudziła w grupie jeszcze większą wesołość.

– Nie znasz moich możliwości. – Misza pogładził się po wąsach i uśmiechnął do Leona. – Myślicie, że dlaczego się z wami wybrałem? Darmowa wyżerka ufundowana przez Klub Sportowy Politechniki Niestierowskiej. Takich okazji się nie marnuje.

Kiedy się rozkręcił, zaczął opowiadać o wyprawach w góry, oprowadzaniu turystów i urządzaniu polowań. Zarzucał kompanów anegdotami i ciekawostkami, nie dając im czasu na refleksję i zadawanie właściwych pytań: o jego przeszłość, rodzinę, blizny. O to, dlaczego tak naprawdę postanowił wyjechać na jakiś wygwizdów z dziećmi, dla których właściwie mógłby być ojcem.

Wiktor po raz pierwszy zaczął się nad tym zastanawiać dopiero w trzeciej godzinie podróży. Ale przerwał nagle swoje rozważania, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Bileciki do kontroli, piękny kawalerze.

Odwrócił się. Zaraz potem poderwał się z miejsca i serdecznie powitał kolegę. To był Denis Kalinin, student trzeciego roku na Politechnice Niestierowskiej. Podobnie jak

Wiktor walczył o najwyższe stopnie i był chlubą lokalnego klubu sportowego. I podobnie jak on lubił być królem stada.

- Nie wiedziałem, że jedziemy w tym samym kierunku – powiedział Wiktor.
- Chcieliśmy znaleźć miejsce, które o tej porze roku będzie najsroższe – wyjaśnił Denis.
- My też. – Nie było to prawdą, ale Kalinin nie musiał o tym wiedzieć. – Ilu was jedzie?
- Osiem osób. Ale tylko szóstka ma bilety.
- Nas jest dziesięcioro, a mamy osiem biletów.
- Nie ma głupich. W takim tłumie schowanie jednej czy dwóch osób to pestka.

Kalinin omiół wzrokiem kolegów Wiktora, witając uśmiechami tych, których kojarzył ze szkoły. Chwilę później przeszedł z Wiktorem na drugi koniec wagonu. Po drodze minęli kilka osób, które – sądząc po ich minach – już na samym początku wielogodzinnej podróży do Kiercowa miały serdecznie dość hałaśliwej bandy gówniarzy.

- Fajne te wasze piczki – powiedział Kalinin.

Wiktor, nie bardzo wiedząc, jak zareagować, odpowiedział najgłupiej, jak się da:

- Dzięki.
- Wolne?
- Jedna chyba tak, druga na pewno nie.
- Która jest wolna?
- Daniela. Blondynka.

– Szkoda. Czarna jest lepsza. U nas współczynnik jest taki, że możemy się co najwyżej pozapinać wzajemnie w dupę. – Denis stłumił własny rechot. – Wpadnij na jednego. Poznasz chłopaków.

- Nie mogę.
- A co, jesteś w ciąży?
- Umówiliśmy się, że nie będziemy pić podczas wyjazdu.
- Jeszcze nie jesteście w górach.

Wiktor ciężko wypuścił powietrze.

- Dzięki, ale naprawdę nie mogę. Przyjdę do was później. Pogadamy. Sprawdzimy mapy.
- Byle nie za późno. Chłopaki narzucają ostre tempo. Może się okazać, że za chwilę nie będziesz miał z kim gadać.

Kiedy Wiktor wrócił do grupy, zauważył, że atmosfera jeszcze bardziej się rozluźniła. Leon rozsiadł się z mandoliną na środku korytarza i zaczął wygrywać melodie, do których śpiewał wspólnie z Emilem. Głównie sprośne piosenki. Takie, od których niektórym ze współpasażerów mogły wędnać uszy. Z czasem dołączyli do nich pozostali, w tym Misza, który musiał się wykazać przed grupą znajomością wulgarnych przyśpiewek. Okazało się, że zna ich całe multum.

Dopiero grubo po północy Leon przestał grać i turyści zaczęli układać się do snu. W ciasnym wagonie leżeli praktycznie jeden na drugim. Wiktor zajął miejsce przy nieszczelnym oknie. Przykryty ubraniami wsłuchiwał się w hałas dobiegający spod szyn i wpatrywał w pustkę, która rozlewała się za szybą. Niemal fizycznie czuł, jak oddalają się od cywilizacji.

3 STYCZNIA 2020

Żenia usłyszał kiedyś, że ludzie kreatywni, aby stale poddawać swoją wyobraźnię różnym bodźcom, codziennie wracają do domu inną drogą. Spodobała mu się ta zasada. Ale że nie uśmiechało mu się krązenie po niestierowskich osiedlach, przerobił ją na swoją modłę. I dlatego w każdy piątek starał się meldować w innym pubie.

– Macie jakąś specjalność? – zapytał, siadając na plastikowym hokerze.

– To znaczy? – Dwumetrowy facet, przypominający bardziej wykidajkę niż barmana, oparł wytatuowane łapska na blacie.

– Na przykład oryginalnego drinka, którego serwujecie swoim ulubionym klientom. Albo alkohol, który gdzie indziej trudno dostać.

– Mamy piwo, wino i wódkę. Wybieraj.

Żenia rozejrzał się po lokalu. Zobaczył stół bilardowy z rozerwanym sukniem. Kilku facetów, którzy w milczeniu wisieli nad niedopitymi browarami. Dużo wymęczonych mebli, pstrokacizny i tandety. Cóż, pomyślał, tak się kończy brak researchu i przesadna wiara w intuicję.

– Piwo – powiedział. – Albo lufę i piwo.

Zdarzało mu się nadużywać alkoholu – to pewne. Ale na tle ludzi, których znał z wojska albo milicji, był niewiniątkiem. Trzeźwiaszkiem. Grzecznym chłopcem w klasie pełnej łobuzów. Alkohol nigdy nie był problemem w małżeństwie Żeni. Problemem była jego natura. Tatiana uważała, że jest niekonsekwentny, ale najprawdopodobniej chodziło jej o coś innego. O to, że Żenia – na ogół pogodny facet, z którym po prostu chciało się być – co jakiś czas zmieniał się w innego człowieka. Nieobecnego. Nieprzystępnego. Nieprzyjemnego.

Może po prostu widział więcej, niż chciałby widzieć?

Rozważania przerwał mu telefon. Zerknął na wyświetlacz. Nie znał numeru, więc wyciszył dzwonek i schował smartfon do kieszeni. Założył, że to klient, a nie miał ochoty dyskutować o nowym zleceniu. Zwłaszcza że wiedział, iż szybko nie znajdzie na nie czasu.

Jednak chwilę później dostał esemesa.

Odbierz.

Większość lapidarnych wiadomości to impersonalne komunikaty, których nie sposób przyporządkować do konkretnej osoby. Ale sporadycznie się zdarza, że nadawcę można rozpoznać zaskakująco łatwo. Dlatego gdy autor tej wiadomości zadzwonił ponownie, Żenia natychmiast odebrał.

– Nie skontaktowałeś się jeszcze z Uzi – oznajmił Igor aka Prochowiec.

Żenia odsunął telefon od ucha. Sprawdził czas. Od ich spotkania w Moskwie nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin.

– Po pierwsze – odparł – nie przypominam sobie, żebym oficjalnie przyjął zlecenie. Po drugie, nie pracuję pro bono, a wy nie zaproponowaliście żadnego wynagrodzenia. A po trzecie, jeszcze nie minęły dwa dni od naszego spotkania z Fiodorowem. Daj mi...

– Popraw się – przerwał mu Prochowiec. – To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Rozłączył się.

Żenia przez dłuższą chwilę bezrefleksyjnie gapił się na ekran, a kiedy ten zgasł, schował telefon. Nie wiedział, co zrobić z rękoma, postanowił więc opróżnić kieliszek.

Nie uśmiechało mu się gmeranie w nierozwiązywalnej sprawie na zlecenie ważniaka ze stolicy. Nie podobał mu się nadzór jakiegoś socjopatycznego gbura. A nade wszystko nie miał ochoty brać się do projektu, na którym może zdecydowanie więcej stracić, niż zyskać. Ale im dłużej o nim myślał, tym węższa była jego wiara, że ma jakikolwiek wybór.

– Na drugą nóżkę? – spytał barman.

Żenia popatrzył na pusty kieliszek, a potem na wytatuowaną włochatą rękę barmana, która zawisała z butelką nad blatem. Westchnął. Tego wieczoru ktoś postanowił zredukować jego moc decyzyjną do zera.

– Poproszę – odparł.

– A dla mnie to samo co dla kolegi.

Żenia spojrział w prawo. Obok niego pojawiła się wysoka brunetka z rozpuszczonymi włosami. W eleganckim płaszczu, garsonce i butach na obcasie. Kompletnie nie pasowała do tego miejsca. Ani do kogoś takiego jak Żenia.

– Znamy się? – zapytał.

– Jeszcze nie. – Kobieta wyciągnęła przed siebie dłoń. – Anna Gamowa. Ale możesz mi mówić Uzi.

3.

24 STYCZNIA 1959

DINAR I ILJA

– Boisz się?

Ilja Bielow spojrzał w szczerą twarz Dinara Czubarowa, który zdążył się spakować, więc najpewniej zadał to pytanie z nudów – żeby po prostu otworzyć do kogoś gębę. Raczej nie miał na myśli nic złośliwego. Raczej.

– Czego? – zapytał Ilja, wpychając poduszkę do plecaka.

– Nie wiem, tak ogólnie. Zimna. Wiatru. Menka.

Roześmiali się. Trochę by rozruszać towarzystwo po nocy przespanej w kiepskich pociągowych warunkach, a trochę dla rozładowania delikatnego podskórnego napięcia towarzyszącego im od początku podróży. A przynajmniej jednemu z nich.

Dinar tak naprawdę chciał zapytać o coś innego: czy Ilja nie martwi się o swoją rwę kulszową. Czy jest wystarczająco wypoczęty, żeby sprostać wyzwaniom, jakie ich czekają. Czy wytrzyma.

– Nie, nie boję się – powiedział Ilja. – Jesteśmy świetnie przygotowani i mamy wszystko, czego nam potrzeba. Wiktor to dobry lider i zna te rejony. Są z nami dziewczyny, więc nie będziemy się zachowywać jak bydło. Wszystko będzie dobrze.

– A jak twoje plecy?

– W porządku. – Ilja nienaturalnie się uśmiechnął. – Jestem w życiowej formie.

Nie potrafił odczytać intencji Dinara. Czy była to szczerza troska, dowód wrodzonej empatii? Czy może pod płaszczykiem dobroci kryła się obawa, że zamiast rozkoszować się zimowym pięknem gór, będzie musiał niańczyć kontuzjowanego kolegę?

Chłopaki stanowiły swoje przeciwieństwa. Dinar był sprawnym długodystansowcem, który uwielbiał biegać, włóczyć się po lasach i wspinać po górach. Pochodził z inteligentnej, świetnie ustawionej rodziny, która motywowała go i do wytężonej nauki, i do uprawiania sportu. Wyrastał w cieplarnianych warunkach, ale nie pozwolił się zepsuć. I chwala mu za to. W porównaniu z nim Ilja zawsze miał pod górkę. Zawsze był tym cherlawym, niepewnym, gorszym. Nawet jeśli niedobory fizyczne nadrabiał umysłem – a był jednym z najlepszych studentów geologii na roku – traktowano go jak nie w pełni

wartościowego członka społeczeństwa. Niegodnego życia w wielkiej ojczyźnie. W ojczyźnie ojczyzn.

Ilja doskonale wiedział, że ten wyjazd może być ponad jego siły. Ale chciał coś sobie udowodnić. Przez całe życie musiał się utwierdzać w przekonaniu, że nie jest gorszy od innych.

– Przygotujcie się, za chwilę wysiadamy! – zawołał Wiktor, który wstał jako pierwszy, pierwszy się spakował i pierwszy zameldował przy wyjściu z przedziału.

Niedługo później pociąg zjechał na dworzec w Kiercowie. Po długim i głośnym hamowaniu maszyna wreszcie się zatrzymała. Uczestnicy wyprawy przepuścili pasażerów, dając sobie czas, aby jeszcze raz sprawdzić, czy czegoś nie zostawili, po czym zaczęli wypełzać na peron.

Pierwszy wysiadł Wiktor. Pomógł zejść dziewczynom, a potem razem z kilkoma chłopakami zniósł plecaki. Na koniec wyciągnął rękę do Ilji, ale ten zdecydowanie odrzucił jego pomoc.

– Poradzę sobie – powiedział.

– Jak się czujesz? – zapytał Wiktor.

– Nieźle.

– Nic cię nie boli?

– Nic.

– Nie oszukujesz mnie?

– O co ci chodzi? – W głosie Ilji wyraźnie wybrzmiała irytacja. – Umówiliśmy się, że jeśli coś mi się stanie, to dam ci znać.

– Po prostu...

– Wiem. Nie chcesz, żebym spowolnił wyprawę. Ja też tego nie chcę. Uwierz, że absolutnie nie mam ochoty oglądać, jak wleczenie moje cielsko przez góry.

Wiktor przyjrzał mu się uważnie, jakby chciał prześwietlić go wzrokiem. Nie okazał mu krzty współczucia. Nie był empatycznym kolegą w typie Dinara, tylko wyrachowanym graczem, który za wszelką cenę chce osiągnąć cel.

– Będę miał cię na oku – oznajmił. – Zauważę, jeśli będzie się z tobą działo coś niepokojącego.

– Nic mi nie jest. Naprawdę.

Ilja wytrzymał ciężkie spojrzenie Wiktora, a kiedy ten się oddalił, z ulgą wypuścił powietrze.

Kutas, wyzwał go w myślach. Nie pozwolę, żeby miał rację. Nie dam mu tej satysfakcji.

Inna sprawa, że po nocy przespanej na bagażach, w kurtkach, w zimnie, które przesączało się przez nieszczelne okno i ciągnęło od podłogi, czuł się fatalnie. Jego ciało

robiło się sztywne. A to był dopiero początek nieszczęść. W następnej kolejności spodziewał się bólu kręgosłupa, drętwienia nóg, a nawet zawrotów głowy. Najgorsze dopiero miało nadejść.

Już parokrotnie się zdarzało, że ból zatrzymywał Ilję w połowie drogi. Ale tym razem miało być inaczej. Musiał jakoś wytrzymać. Musiał. Nie wyobrażał sobie innego scenariusza.

3 STYCZNIA 2020

– Masz rodzinę?

– Męża i synka – odparła Uzi. – Kola ma dwanaście lat. Straszny urwis.

– Dwanaście lat? – zdziwił się Żenia, zapalając papierosa. – To ile...

– Trzydzieści jeden. – Wzruszyła ramionami. – Pochodzę z tradycyjnej rodziny. Trochę czasu minęło, zanim zrozumiałam, że nie nadaję się na kurę domową. Późno zaczęłam pracować, ale szybko nadrobiłam zaległości.

– Czym się zajmuje twój mąż?

– Szymon robi karierę w dyplomacji gospodarczej. I to karierę przez duże K. Ale nie pytaj o szczegóły, bo nie wolno mu o tym rozmawiać. Nawet z żoną. Wiem tylko, że nieustannie gdzieś podróżuje i załatwia jakieś deale związane z energetyką czy surowcami. No i przywozi do domu mnóstwo kasy. Rzadko się widzujemy, ale może to i lepiej. Wtedy łatwiej wykrzesać namiętność.

– Kto się zajmuje synem, kiedy wyjeżdżacie?

– Nasze matki. Obie marzyły o wnuku, więc są wniebowzięte. A najlepsze jest to, że za sobą nie przepadają, przez co ciągle rywalizują o to, która spędzi więcej czasu z Kola, która go więcej nauczy i bardziej rozpieści.

– Brzmi jak marzenie.

W ciągu pół godziny Żeni udało się dowiedzieć, że Anna Gamowa jest moskiewską prawniczką – a nie, jak się spodziewał, policjantką. Skończyła studia na najlepszej uczelni w mieście. Pracowała przez chwilę w jednej kancelarii, po czym wylądowała w Prokuraturze Generalnej, gdzie powolutku wytuptuje swoją ścieżkę na szczyt. Zdążył się przekonać, że jest nie tylko atrakcyjna, ale też bystra i... nadpobudliwa. Zapewne zmagала się z ADHD. I zapewne lubiła imprezować. Żenia chciał zakończyć wieczór na dwóch kolejkach i browarze, ale Anna zaproponowała, aby usiedli przy stoliku z butelką wódki.

Nie zapytał, dlaczego nazywają ją Uzi. Nie musiał. Anna mówiła tak szybko, jakby próbowała ustanowić rekord świata w przekazywaniu wiadomości na czas.

Kiedy byli w połowie flaszki, otworzyła torebkę. Zdołała w niej zmieścić zadziwiająco dużo dokumentów: gruby zeszyt, spięty plik kartek, dwa czarne foldery.

– Tu masz wszystko, czego powinieneś się dowiedzieć o Przełęczu Gonczara, zanim zaczniemy grzebać w tej sprawie. – Wyłożyła materiały na stół. – Harmonogram zdarzeń, raporty z sekcji zwłok, zdjęcia, wpisy z pamiętników członków wyprawy, wykresy z informacjami pogodowymi i wypowiedzi najróżniejszych ekspertów. Są też noty biograficzne turystów oraz lista osób, które uczestniczyły w śledztwie. A także wykaz teorii na temat tego, co mogło się stać. Łącznie siedemdziesiąt pięć hipotez.

– Nieźle. – Żenia zgaślił peta i z uznaniem pokiwał głową. – Kiedy...

– Miesiąc temu. Prokurator Fiodorow szukał osoby, która mogłaby się zająć tą sprawą. Zgłosiłam się.

Żenia uniósł brwi.

– Czyli jesteś tu z własnej woli?

– Z tobą w barze? Nie. Czekałam, aż się do mnie odezwiesz, ale że się nie kwapiłeś, to cię odnalazłam. Natomiast nikt nie zmusił mnie do tego, abym się zaangażowała w śledztwo.

– Myślałem, że ta sprawa jest jak gorący ziemniak.

– Według mnie to okazja. Nie uważam się za karierowiczkę, ale nie lubię marnować szans, które życie podtyka mi pod nos. Kiedy usłyszałam, że Fiodorow zamierza uruchomić nieoficjalne śledztwo, pomyślałam, że mogę upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zyskać w oczach jednego z najważniejszych ludzi w kraju i zdobyć wieczną sławę.

– Jeśli rozwiążesz zagadkę.

– Nie ma nic za darmo.

Oboje uznali, że to dobry toast, więc się napili. Zagryźli plasterkami szynki i ogórkami kiszonymi, które Uzi zamówiła razem z butelką, i przez kilkanaście sekund milczeli. Żenia wertował stertę papierów, która niespodziewanie wyrosła na stole. Uzi uważnie się w niego wpatrywała, próbując odkryć, co mu chodzi po głowie.

– Nie wygładasz na kogoś, kto widziałby w tym sens – stwierdziła.

Rzucił jej przelotne spojrzenie i odłożył dokumenty na stół. Zapalił kolejnego papierosa.

– Bo prawdę mówiąc, nie widzę. Musi być jakiś powód, dla którego ta sprawa pozostaje nierozwiązana od tylu lat.

– Oczywiście. – Posłała mu zawadiacki, lekko podpity uśmiech. – Wszystkie dotychczasowe śledztwa prowadzili dyletanci. W dodatku niewielu z nich rzeczywiście chciało odkryć prawdę. Odbębniali pańszczyznę, mając nadzieję, że nikomu się nie narażą.

– Może się czegoś bali?

– Zaangażowania. – Uzi ciężko westchnęła. – W końcu można to zrobić porządnie. Jeśli odważysz się w to wejść na całego. Prześpij się z tym. Przejrzyj te papiery. Pozamykaj swoje sprawy i w poniedziałek ruszymy z kopyta.

– Rozmawiałaś z Prochowcem?

- Z kim?
 - Igorem Jakimśtam.
 - Janinem. Z twojego powodu codziennie rozmawiamy.
 - Jak to?
 - Nie ufa ci. Uważa, że jesteś nieodpowiedzialnym gościem, który może wszystko spieprzyć.
 - To dlaczego mnie wybrali?
 - O to musiałbyś zapytać prokuratora.
 - Wyczuwam, że ty też nie jesteś moją fanką. – Żenia posłał jej zaczepne spojrzenie. – Tyle że nie chcesz zepsuć naszej relacji na samym początku.
 - Staram się nie oceniać ludzi, dopóki ich dobrze nie poznam.
 - I jak ci to wychodzi?
 - Zwykle kiepsko.
- Roześmiali się. Żenia nalał wódkę do kieliszków i wzniosł kolejny toast.
- W takim razie za owocną współpracę – powiedział.
 - Za prawdę – skontrowała Uzi. – Jakakolwiek by była.

24 STYCZNIA 1959

LEON

- Jak to zamknięty? – zdziwił się Leon.
- Normalnie. Po prostu zamknięty. – Siedząca na rozpadającej się ławce kobieta miała około pięćdziesiątki. I mówiła tak zblazowanym głosem, jakby od tyluż lat czekała na pociąg. – Zamykają dworzec na noc i otwierają koło południa. Boją się, że wandalę go zdemolują.
- Przecież jest mróz – odezwał się Wiktor. – Co z pasażerami, którzy nie mają dokąd pójść?
- Kobieta wzruszyła ramionami.
- Każdy orze, jak może.
- Turyści zebrali się wokół jedynej wolnej ławki na peronie. Patrzyli na siebie, dyskutowali, czekali na decyzję. A tę mogła podjąć tylko jedna osoba.
- Jest ósma rano – zauważył Wiktor. – Poczekamy do dwunastej, aż otworzą dworzec.
- Otworzą albo nie otworzą – rzucił Aleksiej. – Zanim to zrobią, możemy zamarznąć.
- Gdybyśmy mieli wódkę, byłoby prościej – stwierdził Emil.

– A po co nam wódka? – Leon przycupnął z mandoliną na brzegu ławki. – Bez niej też może być miło.

Zaczął grać. I choć niektórym początkowo wydawało się to głupie, nieodpowiedzialne i irytujące, szybko rozniecił w nich wesołość. Zapomnieli, że są zmęczeni i niewyspani, że czują w kościach niezbyt komfortową noc, że jest środek zimy, a oni nie mają co ze sobą począć. Czuli się trochę jak po grubej imprezie – wciąż nawaleni, ale jeszcze wolni od kaca.

Beztraska nie trwała jednak długo. Po jakimś kwadransie na peronie pojawił się milicjant. Pech chciał, że załapał się na jedną z kilku antymilicyjnych piosenek z repertuaru Leona.

– Co tu się wyprawia? – warknął.

– Przyjechaliśmy z Niestierowa – odparł Wiktor. – Dworzec jest zamknięty, więc...

– Nie ciebie pytałem. – Milicjant wbił wzrok w Leona.

– Nic. – Leon, wcześniej rozśpiewany i wesoły, teraz z trudem wydobył głos z gardła. – Czekamy.

– Na co?

– Dworzec jest zamknięty, a następny pociąg mamy za dziesięć godzin. Musimy coś ze sobą zrobić.

– Gdzie jedziecie?

– W góry. Na wycieczkę organizowaną przez Klub Sportowy Politechniki Niestierowskiej.

– Jak się nazywasz?

– Leon Simakow.

– Dokumenty.

Przekazali milicjantowi paszporty wewnętrzne, a Daniela, która była skarbnikiem wycieczki, wręczyła mu pozwolenie na wyprawę wydane przez Niestierowską Komisję Tras Turystycznych i uczelnię. Funkcjonariusz sprawdzał papiery i wywoływał kolejnych uczestników wyprawy. Każdemu uważnie się przyglądał. Najważniej – Miszy i Klarze.

– Po jaką cholerę tam jedziecie? – zapytał. – Przecież tam nic nie ma. Tylko śnieg i wiatr.

Leon, skrępowany obecnością milicjanta, nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Na szczęście wyręczył go Wiktor.

– Staramy się o trzeci stopień certyfikacji turystycznej – powiedział.

– I żeby go zdobyć, musicie wleźć na ten szczyt? – Milicjant zerknął do dokumentów. – Sze-li-cha-mat. Co to w ogóle za nazwa?

– „Zawróćcie”. Tak nazywają tę górę miejscowi. Ale nam nie wystarczy na nią wejść. Musimy spełnić szereg warunków. Jednym z nich jest zrealizowanie co najmniej trzystukilometrowej trasy, której znaczna część powinna przebiegać przez wymagający

teren. Do tego trzeba podróżować przez minimum szesnaście dni, w tym osiem w niezamieszkanym terenie, a także...

Milicjant zaczął się śmiać. Oddał papiery Wiktorowi.

– A mogliście siedzieć w ciepłym niestierowskim kurwidołku, zamiast mrozić dupy pod dworcem. Wynoście się stąd. – Kiedy Leon zerwał się z ławki, milicjant zagroził mu nogą drogę. – Z tobą jeszcze nie skończyłem. – Funkcjonariusz odczekał, aż członkowie grupy się oddalą. – Powiniennem połamać ci nogi za tę piosenkę. Ale że jesteś młody i głupi, to tego nie zrobię. Poza tym ładnie grasz. Największą karą będzie to, że was nie zamknę, tylko pozwolę wam kontynuować tę durną wycieczkę. A teraz bierz dupę w troki i wypierdalaj. Ale już!

Nie musiał dwa razy powtarzać.

Przez następne pół godziny kręcili się bez ładu i składu po mieście. Żałowali, że nie zapytali Denisa Kalinina, jaki ma plan – on także zamierzał wyjechać wieczornym pociągiem na północ, a mimo to razem z kompanami opuścił dworzec zaraz po przyjeździe do Kiercowa. Oczywiście mogli się po prostu powłóczyć po okolicy. Ale po pierwsze, było potwornie zimno, a po drugie – Kiercow ich odpychał. To jedno z tych sztucznych miast, które powstały wyłącznie po to, żeby robotnicy z okolicznych hut, kopalń czy zakładów mięsnych mieli gdzie mieszkać. Zero tradycji, zero uroku, zero perspektyw.

W końcu los się do turystów uśmiechnął. Zanim zdążyli przemarznąć do szpiku kości, natknęli się na niewielką szkołę. Dyrektorka wynurzyła się z budynku, mając nadzieję, że absolwenci wpadli w odwiedziny. Zmarkotniała, gdy się okazało, że nie mają nic wspólnego z tym zapomnianym przez estetykę miastem. Ale jednocześnie zrobiło jej się ich żal. Kiedy wyjaśnili, jaki mają cel podróży, powiedziała, że wygospodaruje dla nich trochę przestrzeni w budynku, da im coś do jedzenia i pozwoli poczekać na pociąg. Pod jednym warunkiem – zanim wyjadą, opowiedzą dzieciakom o swojej wyprawie.

Była to wyjątkowo niska cena za ratunek przed zamarznieniem i wątpliwymi wdziękami Kiercowa.

3 STYCZNIA 2020

Żenia był szczerze zdziwiony, kiedy pękła druga flaszka. Wprawdzie gdzieś w połowie butelki Uzi zaczęła kombinować, pić po pół kieliszka albo tak długo odwlekać moment konsumpcji, że ostatecznie omijała ją kolejka, ale i tak nieźle się trzymała. Może nawet lepiej od niego.

– Zamówić ci taksówkę? – zapytał, paląc ostatniego papierosa, jakiego znalazł w paczce.

– Nie trzeba – podziękowała z uprzejmym uśmiechem.

– Gdzie się zatrzymałaś?

– Niedaleko.

– No to chodź, odprowadzę cię.

Szybko włożył kurtkę, wciągnął na głowę czapkę i był gotowy do wyjścia. Stał obok stołu, wepchnął ręce do kieszeni i przyglądał się Uzi. Zresztą nie on jeden. Młoda prawniczka, która pieczołowicie owijała się szalem, ściągnęła na siebie wzrok wszystkich ochlapusów, jacy pozostali w lokalu. Była naprawdę rzadkim okazem w tym uniwersum.

– Dlaczego się rozstaliście? – spytała, kiedy znaleźli się na zewnątrz. – Kto kogo zostawił?

– Ona mnie.

– Zdradziłeś ją?

– To nie takie proste.

– Czyli tak.

– To był inny rodzaj zdrady. Nie zdradziłem Tatiany, tylko relację, jaką stworzyliśmy.

Uzi się roześmiała.

– Niesamowite. Wystarczy, że facet włoży w niewłaściwą dziurę, i od razu zostaje filozofem.

Żenia ciężko wypuścił powietrze.

– Sporo o tym myślałem.

– I?

– I doszedłem do wniosku, że związek dzieli się na trzy etapy. Pierwszy to zauroczenie. Mówicie sobie miłe, choć nie zawsze prawdziwe rzeczy, chcecie ze sobą spędzać czas, pieprzycie się jak króliki. Ten etap jest najkrótszy, najintensywniejszy i po latach najmilej się go wspomina. Potem nastaje czułość i powaga. Na tym etapie jesteście ze sobą szczerzy, planujecie wspólne życie, pojawiają się dzieci, dom, kredyty i inne zmartwienia. Namiętność znika, a jej miejsce zajmuje czułość. Trzeci i ostatni etap to czas troski. Traktujecie siebie jak rodziców z alzheimerem. Robicie sobie kanapki, prasujecie ciuchy, budzicie się nawzajem, żeby nie zaspać do roboty. Jeżeli do siebie dzwonicie, to nie po to, żeby zapytać, jak wam minął dzień, tylko czy nic się nie stało. Czułość zostaje wyparta przez melancholię. Dla jednych jest to świadectwo dojrzałości, a dla innych dowód na ostateczny rozkład związku. – Wzruszył ramionami. – Trzeci etap zwykle jest najdłuższy i najtrudniejszy. A ja jeszcze nie byłem na niego gotowy.

Uzi nie chciała zdradzić, w którym hotelu się zatrzymała. W dodatku uparła się, że wie, jak do niego trafić. Żenia szedł z nią cierpliwie, powstrzymując się od złośliwych komentarzy. Nawet mu się podobało, że spacer się przeciąga.

– Ależ tu jest brzydko! – rzuciła Uzi, kiedy minęli trzecie z rzędu identyczne skrzyżowanie.

– Poczekaj, aż zobaczysz miasto o poranku – odparł. – Gdy smutni ludzie wypełzną do roboty.

– Dlaczego stąd nie wyjechałeś?

Żenia długo szukał odpowiednich słów.

– Chyba przez jakiś irracjonalny strach. Jeśli do pewnego wieku nie zdecydujesz się na wyjazd, potem staje się to cholernie trudne. Przegapiłem swoją okazję.

– To nieprawda. Zawsze możesz zmienić życie. Chyba że wcześniej porwie cię lawina albo pożre yeti.

Uzi zaśmiała się z czerstwości własnego dowcipu, a Żenia ochoczo jej zawtórował. Polubił ją. Bardziej, niż się spodziewał.

– To tutaj. – Uzi zatrzymała się na wysokości betonowej klatki schodowej, nad którą wisiał pstrokaty szyld z napisem HOTEL.

– Chyba żartujesz.

– Co?

– Hotel Bałabin to najgorsza speluna w mieście. Dawniej koszarowano tu więźniów, których przywożono do roboty w kopalniach. Prokuratury nie stać na nic lepszego?

– Byłam w środku. Nie jest źle.

– Poczekaj do śniadania.

– Nie muszę jeść w hotelu.

– Może wolałabyś zatrzymać się u mnie? – Żenia zrobił krok w jej stronę. – Nie oferuję luksusów, ale jest w miarę czysto. Poza tym mam niezłe wyposażoną lodówkę i wygodny materac.

Żenia był pewien, że Uzi się nie zgodzi. Mimo to z zaciekawieniem oczekiwał jej reakcji.

– Lepiej, żeby szefostwo się nie dowiedziało, że płaci za nocleg, z którego nie korzystam. Zostanę tutaj.

– Twój wybór, nie naciskam. – Żenia wyciągnął przed siebie rękę. – W takim razie do zobaczenia w poniedziałek.

– Przeczytaj te papiery – rzuciła Uzi.

– Przeczytam. Nie bój żaby.

Pożegnali się uściskiem dłoni, który obojgu wydał się zdecydowanie zbyt formalny, po czym Żenia lekko się zatoczył i ruszył w kierunku domu.

Gdy tylko się oddalił, dopadła go czkawka. Nie wróżyła niczego dobrego. Zwiastowała trudną sobotę, której raczej nie spędzi na lekturze dokumentów. Ale w tamtym momencie liczyło się tylko to, że Uzi się zawahała. A on niczego więcej nie potrzebował.

24 STYCZNIA 1959

KLARA

Mimo że była zmęczona, nie mogła zasnąć. Nie chodziło o niewygodę, choć drewniana podłoga kiepsko ogrzewanej szkoły nikogo nie zachwyciła. Nie przeszkadzało słońce, które przesączało się przez cienkie zasłony w oknach. Nie denerwowało jej chrapanie Emila, wiercenie się Leona ani przepakowywanie plecaka przez Ilję, który kombinował, jak ulżyć swojemu kręgosłupowi.

Nie. Klarę Babikową dręczyło coś innego. Coś, co z braku lepszego pomysłu nazwała wyrzutami sumienia.

Czuła, że Aleksiej nie pogodził się z tym, co się stało, mimo że to on zainicjował rozstanie. Jakby odtrącił ją w przyływie głupoty albo słabości, a potem się zorientował, że jednak popełnił błąd. Ona też tego żałowała. Lubiła Aleksieja. Może za szybko chciała postawić kolejny krok? Może niepotrzebnie przedstawiła go rodzinie? A może przestraszyła, rozbudzając w nim nadzieję na coś poważnego?

Trudno. Stało się i już się nie odstanie. Musieli iść dalej.

Widziała, w jaki sposób Aleksiej na nią patrzy: z mieszanką żalu, złości i niezrozumienia. Widziała też, jak w jego towarzystwie zachowuje się Wiktor. Był inny. Tracił tę magnetyczną pewność siebie. Jakby tłamsiły go przypuszczenia, że Aleksiej całował się z Klarą. Że dotykał jej przez bluzkę. Że może posunęli się dalej. Dalej niż oni do tej pory się odważyli.

A może to tylko stres związany z wyprawą? W końcu Wiktor po raz pierwszy przewodził grupie w trakcie tak skomplikowanej eskapady. Na jego barkach leżała cała logistyka. Musiał ich bezpiecznie przeprowadzić przez niemal dziewicze góry. Od niego zależał los kilku osób. To na pewno robiło na nim wrażenie, nawet jeśli starał się zdusić emocje w zarodku.

Spojrzała na zegarek. Dwunasta. Umówili się, że zafundują sobie kilkugodzinny odpoczynek, przekazują coś i wrócą na dworzec. I obiecali jeszcze poprowadzić zajęcia dla dzieciaków. W efekcie wcale nie mieli tak dużo czasu. A Klara, zamiast odpoczywać, marnowała go na rozmyślenia, które do niczego dobrego nie mogły doprowadzić.

Ostrożnie się podniosła. Wyszła z sali, w której zakwaterowała ich dyrektorka. Najwyraźniej trafiła na czas lekcji, ponieważ pozbawiony okien korytarz – a przez to fatalnie oświetlony – był zupełnie pusty. Na jego końcu znajdowała się toaleta. Klara szczelnie opatuliła się kurtką, której od momentu wyjścia z akademika nie zdjęła nawet na chwilę, i ruszyła przed siebie.

Otworzyła drzwi. W toalecie było jeszcze chłodniej niż na korytarzu. Być może rury, które wystawały ze ścian, wychodziły na zewnątrz, wpuszczając powiew zimy do budynku. Nie zamierzała jednak narzekać. Przecież w ciągu kilkunastu następnych dni miała się załatwiać na zewnątrz – w temperaturze często sięgającej trzydziestu stopni poniżej zera, przy huraganowym wietrze i znikomej widoczności. Przy tym, co ich czekało, nieszczęlny kibel był betką.

– Cześć.

Wzdrygnęła się. Spojrzała w prawo. Obok jednej z dwóch obudowanych kabin znajdowała się wąska wnęka z naderwanym zlewem. W tej wnęce stał taboret. A na taborecie siedział Misza i przyglądał się Klarze w zapaskudżonym lustrze.

– Przepraszam – powiedział, nie spuszczać z niej wzroku. – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Nie przestraszyłeś – skłamała. – Po prostu mnie zaskoczyłeś.

Misza się uśmiechnął. Wiedział, że „zaskoczyłeś” to nie jest właściwe określenie. „Przeraziłeś”, „zatrwożyłeś”, „zszokowałeś”, „doprowadziłeś niemal do zawału” – tak byłoby znacznie trafniej.

I nie chodziło o to, że tam był. Chodziło o to, co robił.

– Wolałem, żebyście tego nie widzieli. – Misza wstał, szybko naciągnął koszulkę i sweter, wepchnął przybory kosmetyczne do worka, a następnie szczelnie go zawiązał. – Chciałem oszczędzić sobie i wam przykrości.

Klara miała zamiar jakoś skomentować jego słowa, ale nic sensownego nie przyszło jej do głowy, więc tylko nienaturalnie się uśmiechnęła. Na szczęście Misza, który też czuł niezręczność sytuacji, pospiesznie opuścił toaletę.

Kiedy się wysikała, wróciła do wspólnej noclegowni. Sięgnęła po plecak i, najdyskretniej jak to możliwe, zerknęła w stronę Miszy, który ponownie ułożył się na swoim miejscu. Potem szybko wyszła na korytarz.

Przycupnęła na ławeczce obok wejścia do sali lekcyjnej, z której dobiegał cierpliwy głos nauczycielki. Wyjęła z plecaka dwa notatniki: oficjalny dziennik wyprawy, który był przechodni i akurat teraz ona miała nad nim pieczę, oraz swój prywatny. Pierwszy z nich szybko schowała z powrotem. Bo co miałyby w nim napisać? Że drugiego dnia wyprawy trochę lepiej poznała nowego kolegę? Że zobaczyła jego wytatuowane ramiona i plecy, pełne imion, liter oraz niezrozumiałych symboli? Że jakimś dziwnym, śmierdzącym mazidłem smarował blizny na rękach, plecach i brzuchu? Że wcale nie wygląda na faceta, który żyje z przeprowadzania dzieciaków przez góry? Że tak raczej wyglądają ludzie, których spotkało coś strasznego?

Otworzyła pamiętnik i zaczęła notować. Czuła, że potrzebuje snu. Ale wiedziała, że po tym, co zobaczyła, na pewno już nie zaśnie.

4.

6 STYCZNIA 2020

W poniedziałkowy poranek Żenia Kowalczyk przekonał się, że nie jest mistrzem zamykania starych spraw. Poinformował swoich klientów lapidarnym mailem, że na kilka tygodni musi zawiesić rozpoczęte prace, ale jak tylko upora się z pewnym niecierpiącym zwłoki zleceniem, to do nich wróci. Nie przyjęli tego najlepiej, a Żenia wcale im się nie dziwił. Sam byłby wściekły, gdyby ktoś wziął od niego zaliczkę, po czym oznajmił, że ma jego sprawę w dupie, ponieważ wpadło mu coś ważniejszego. Choć raczej nie zniżyłby się do desperackiego wydzwaniania i wysyłania esemesów pełnych zawołanych gróźb.

Jak kocha, to poczeka, pomyślał Żenia, zerkając na wibrujący telefon. A potem spojrzął na Uzi, która wyszła z obscurnego hotelu, przecisnęła się między przechodniami i wsiadła do jego samochodu.

– Wypoczęta? – zapytał, wręczając jej kubek gorącej kawy.

– Dziękuję, wypiliśmy już dwie – odparła, zapinając pas. – Jedną przed joggingiem, a drugą po nim.

– Nie mówiłaś, że biegasz.

– Bo nie pytałeś.

Żenia włożył kubek do niezbyt poręcznego chwytaka, który wysuwał się spod radia, i ostrożnie włączył się do ruchu.

– Długie dystanse? – zapytał.

– Różnie. Zwykle od pięciu do dziesięciu kilometrów. Najczęściej na bieżni.

– Startujesz w zawodach?

Uzi się roześmiała.

– Coś ty! Nie chcę zostać mistrzynią świata, tylko mieć jędrny tyłek.

Żenia poczuł lekki zawód. Byłby gotów oddać tej dziewczynie serce, gdyby się okazało, że jest równie zajarana bieganiem jak on. Ale jednocześnie bardzo mu się spodobała jej odpowiedź.

– Telefon. – Uzi wskazała palcem smartfon wibrujący pomiędzy siedzeniami. – Nie odbierzesz?

- Nie mam teraz do tego głowy. Oddzwonię.
- Wiesz, że to niekulturalne i strasznie egoistyczne?
- Wiem. Słyszałem to od żony. Wielokrotnie.
- Słyszałeś, ale nie posłuchałeś. Dokąd jedziemy?
- Do archiwum niestierowskiej prokuratury. Jeżeli chcemy poprowadzić tę sprawę po bożemu, musimy zacząć od początku.
- Przecież dałam ci całą dokumentację. Przeczytałeś ją?
- Tak.
- To po co nam archiwum?
- Chciałbym zobaczyć oryginały materiałów.
- Kwestionujesz mój research?
- Gdybym był dyplomata, powiedziałbym, że dzięki temu lepiej zrozumieję tragedię tych młodziaków. Ale prawda jest taka, że jestem okropnie podejrzliwy. – Zerknął na Uzi. – Wybacz, ale zbyt wiele razy dostałem od życia po dupie, żeby zaufać nowo poznanej osobie.
- Dobrze – zawyrokowała Uzi po dłuższej chwili. – Jedźmy do archiwum.

Po kilkunastu minutach przebijania się przez zakorkowane centrum Niestierowa dotarli na miejsce. Archiwum zlokalizowane było w jednym z czterech połączonych ze sobą budynków, które przypominały zapuszczony wielooddziałowy szpital. Mieściły się tam sąd, prokuratura oraz kilka jednostek administracyjnych należących do miasta. Zaparkowali niedaleko wejścia do budynku i chwilę później znaleźli się w środku.

– Interesuje nas pełna dokumentacja dotycząca tragedii na Przełęczy Gonczara – wyjaśnił Żenia recepcjonistce, młodej kobiecie ze spiętymi włosami, zaciśniętymi ustami i ogólnie spiętej, odkąd rzuciła okiem na jakieś moskiewskie świstki w ręce Uzi.

– Co to znaczy „pełna”? – zapytała.

– To znaczy, że chcielibyśmy uzyskać nieskrępowany dostęp do wszystkich materiałów dotyczących tej sprawy. Interesują nas dowody rzeczowe, raporty, protokoły przesłuchań, zdjęcia, mapy. Wszystko, co zostało po tych dzieciakach i ponad sześćdziesięciu latach grzebania w ich sprawie.

– Proszę chwilę poczekać.

Recepcjonistka zniknęła w pomieszczeniu, które znajdowało się za jej plecami. Wróciła po mniej więcej minucie w towarzystwie kierownika, wysokiego faceta w czarnym garniturze. Również spiętego, może nawet bardziej od niej.

– Mogą państwo wejść do archiwum, zrobić zdjęcia, przejrzeć wszystko, czego potrzebują, ale nie wolno nic stamtąd wynosić – wyjaśnił. – A żeby mieć pewność, że do tego nie dojdzie, będę państwu przez cały czas towarzyszył. – Zerknął na zegarek. – Jest

dziewięta trzydzieści. O jedenastej mamy cotygodniowe zebranie, które muszę poprowadzić.

– Półtorej godziny to trochę mało – zauważył Żenia. – A jeżeli nie zdążymy przejrzeć wszystkiego, co nas interesuje?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Trudno.

– Przyjdziemy jutro. Potem pojutrze. I popojutrze. Na pewno pan tego chce?

– Archiwum to nie czytelnia. Jeżeli będą nas państwo nękać, zgłoszę to swoim przełożonym, którzy zatroszczą się o to, żeby już nigdy więcej nie zagościli państwo w naszych progach.

– A kto tu mówi o nękanii? Przecież...

– Czas leci. – Kierownik wycelował kciukiem w drzwi, za którymi kryły się przepastne zbiory miejscowej prokuratury. – Chcą państwo zobaczyć te papiery czy nie?

Żenia i Uzi popatrzyli po sobie. Spodziewali się, że nie zostaną przyjęci z otwartymi ramionami. Ale mimo to nie sądzili, że już przy pierwszej konfrontacji z przeszłością będą musieli stoczyć wojnę.

24 STYCZNIA 1959

DANIELA

Dziesięć latki z kiercowskiej szkoły czuły się jak w baśniowej krainie, kiedy Klara i Wiktor chodzili między ławkami, pokazując im sprzęt wyprawowy: mapy, czekany, aparaty, latarki. Dzieciaki były przyzwyczajone do spotkań z potwornie nudnymi pracownikami fabryk albo przerażającymi weteranami wojennymi. Jeszcze nigdy nie miały do czynienia z wyluzowanymi, uśmiechniętymi młodymi ludźmi, którzy robili coś tak niezwykłego.

– Kiedy wyjdziemy z lasu – zaczął swoją opowieść Wiktor – wylądujemy na zupełnie odsłoniętym terenie. Będziemy tam tylko my. Żadnych innych ludzi, zwierząt ani roślin. Jedynie kilkumetrowa warstwa śniegu, porywisty wiatr i majaczące w oddali szczyty gór.

– Oczywiście nie jest powiedziane, że tam dotrzemy – odezwał się Misza.

– Czemu? – spytał chłopiec, który niemal przez całe spotkanie trzymał rękę w górze, wymuszając na gościach tłumaczenie się z każdego szczegółu wycieczki.

– Bo w lasach, które będziemy mijać po drodze, mieszkają różne stwory. Na przykład menk.

– Co to jest menk?

– Wielki włochaty potwór. Połączenie człowieka i małpy. Niewiele osób go widziało, ponieważ poluje w nocy. Żywi się głównie reniferami i lisami. Ale od czasu do czasu zdarza

mu się pożreć jakieś dziecko.

Misza chwycił jednego z chłopców, udając, że wgrzyza mu się w szyję. Powietrze przeszła kakofonia dźwięków – sopranowa mieszanka pisków, krzyków i śmiechu.

– Misza tylko żartuje – odezwał się Wiktor. – Nie ma żadnego menka. A najgroźniejszym zwierzęciem, jakie możemy spotkać po drodze, jest człowiek.

Wiktor powiedział, że jeśli zrealizują swój cel, uzyskają trzeci stopień certyfikacji turystycznej, dzięki któremu będą mogli wyruszyć na Arktykę. A gdy wyjaśnił, czym jest Arktyka, po sali poniósł się jęk ekscytacji. W tym momencie członkowie grupy przebili wszystkich gości, jakich uczniowie mieli okazję poznać.

– A czy Klara może być naszą liderką? – zapytała jedna z dziewczynek.

Kilku chłopców energicznymi kiwnięciami głowy przyłączyło się do jej prośby.

– Klara już kiedyś była liderką – odparł Misza, nie mając pojęcia, czy to prawda. Było to jednak bez znaczenia. – Przewodziła pionierom i dawała przykład rówieśnikom. Uczcie się dobrze, to za jakiś czas staniecie się mądrymi komsomolcami, którzy tak jak Klara będą jeździć na niesamowite wyprawy.

Słyszając słowa Miszy, Daniela przewróciła oczami. Dobrze pamiętała czasy, kiedy sama należała do pionierów. Uwielbiała swoją czerwoną chustę, odznakę i beret. Kochała jeździć na obozy i uczestniczyć w pracach społecznych. Bardzo, ale to bardzo chciała być dobrą komunistką, z której ojczyzna będzie dumna. Żyła więc tak, żeby nikt nie mógł jej nic zarzucić. A przede wszystkim żeby zachować spokój sumienia.

Ale Klara? Ta rozpuszczona zdzira? Ta wulgarna egoistka, która myśli wyłącznie o sobie? Miała zbyt wiele indywidualistycznych skłonności i nie mogła świecić przykładem. A jednak dzieci ją uwielbiały. Aleksiej ją uwielbiał. Wiktor ją uwielbiał. I wszystko wskazywało na to, że Misza też.

– Zaśpiewacie nam coś? – spytał nadgorliwy chłopiec.

– To zależy – odparła Klara. – Co chcielibyście usłyszeć?

– Piosenki, które śpiewacie podczas podróży.

Klara uśmiechnęła się do Miszy.

– Obawiam się, że tych nie możemy wam zaśpiewać. – Misza przykucnął pomiędzy ławkami i ściszył głos. – Pani dyrektor kopnęłaby mnie w tyłek, gdyby je usłyszała. – Dzieciaki chóralnie się zaśmiały. – Ale znamy kilka innych piosenek.

Godzinę później dzieci odprowadziły gości na dworzec. Turyści obiecali zachwyconym uczniom, że odwiedzą ich po powrocie z wyprawy, a następnie, po ciepłym pożegnaniu, zapakowali się do pociągu.

– Strata czasu – burknęła Uzi. – Nie zobaczyliśmy nic nowego. Nic, czego nie byłoby w dokumentach, które ci dałam.

Żenia się uśmiechnął, ze wzrokiem wbitym w telefon, nie przerywając pałaszowania obiadu. Uzi była podenerwowana poranną wizytą w archiwum, więc chciał ją udobruchać ulubionym omulem pod pierzynką. Ale ona najwyraźniej nie miała apetytu.

– Wygląda na to, że dwie osoby mogą patrzeć na to samo i wyciągać skrajnie różne wnioski – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Choćby to. – Przekazał jej telefon. – Pamiętnik Klary.

– Widzę. Znam go prawie na pamięć.

– Ale do tej pory pewnie nie widziałaś samego pamiętnika.

– Notatnik jak notatnik.

– Może tak, a może nie.

Uzi delikatnie przekrzywiła głowę.

– Uważasz, że mógł zostać sfalszowany?

– Nie wiem.

– Masz jakiś powód, żeby tak przypuszczać? Czy to tylko paranoja?

– Paranoja poparta wieloletnim doświadczeniem. Coś ci przeczytam.

Przesunął talerz na krawędź stołu. Schylił się i podniósł z podłogi sportową torbę. Wyjął z niej część dokumentów. Odszukał interesującą go kartkę, a następnie włożył okulary. Powinien je nosić na co dzień, ale w praktyce używał ich tylko do czytania.

– „Znowu jesteśmy w trasie!” – zaczął czytać, co jakiś czas zerkając na Uzi, która wreszcie postanowiła spróbować ryby. – „Większość dnia spędziliśmy w pociągu do Kiercowa. Dotarliśmy tam po dziesięciogodzinnej podróży. Choć w przedziale nie było zbyt wygodnie, dojechaliśmy szczęśliwi. Do późna śpiewaliśmy piosenki. Wiele z nich poznaliśmy dzięki naszemu nowemu koledze Miszy. Świetnie się bawiliśmy”. – Żenia odłożył kartkę i ściągnął okulary. – I co?

– Rzeczywiście, niezła – odparła Uzi z pełnymi ustami.

– Pytałem o tekst. Czy to brzmi jak wpis z pamiętnika dwudziestodwulatki? Przecież tu nie ma nic ciekawego. Żadnych osobistych przemyśleń ani pikantnych fragmentów. Nic na temat chłopaków, a przecież spotykała się z dwoma uczestnikami wyprawy.

– Ludzie byli wtedy bardziej pruderyjni.

– A przynajmniej tak nam się wmawia.

– Uważasz, że to nie ona napisała?

– Na pewno warto rozważyć taki scenariusz.

– Dobrze. Znasz jakiegoś grafologa, któremu można zaufać? – spytała Uzi, złośliwie akcentując ostatnie słowo.

– Jestem detektywem. Wielokrotnie musiałem sprawdzać prawdziwość różnych podpisów. Znam grafologkę, która przy okazji jest historykiem sztuki i z jakiegoś powodu pasjonuje się czasami komunizmem. Być może będzie w stanie powiedzieć coś ciekawego na temat rzeczy znalezionych u gonczarowców.

– Świetnie. Wyślijmy jej fotki.

– Już to zrobiłem.

Uzi oderwała się od talerza. Wytarła serwetką usta i odchyliła się na oparcie krzesła.

– Fiodorow chce, żebyśmy prowadzili tę sprawę wspólnie. Na równych, partnerskich zasadach. A zatem nie możesz podejmować takich decyzji za moimi plecami.

– Wiem. – Żenia ciężko sapnęła. – Nie chciałem cię urazić. Po prostu nigdy nie byłem mistrzem pracy zespołowej.

– Pora to zmienić.

– Problem w tym, że staremu psu trudno jest się nauczyć nowych sztuczek.

Uzi rzuciła serwetkę na talerz. Nawet jeżeli omul jej smakował, nie zamierzała go już tknąć.

– Fiodorow powiedział mi jeszcze jedną rzecz. Nie przytoczę ci dokładnie, ale przekaz był mniej więcej taki. – Pochyliła się do przodu. – Jeśli to spierdolisz, nie masz po co wracać.

Żenia również stracił apetyt.

– A mówiłaś, że to twoja wielka szansa. Jak mam ci zaufać, skoro na dzień dobry mnie okłamałaś?

– Nie okłamałam. Nadal uważam, że ta sprawa może stanowić wstęp do wielkiej kariery. Dlatego się zgłosiłam. Ale już będąc w środku, dowiedziałam się, że stawka jest znacznie wyższa.

Żenia nie wyglądał na przekonanego i wciąż czuł się oszukany. Ale jednocześnie zrobiło mu się żal tej dziewczyny. Miał ją za twardą babkę, która w pewnym momencie postanowiła porzucić wszystko, co jej przez lata wpajano, i złapać życie za mordę. Wycisnąć z niego tyle, ile się da, i jeszcze trochę. Ale nawet jeśli faktycznie miała taki zamiar, nie mogła działać w kontrze do rzeczywistości, która prędzej czy później zawsze upomni się o swoje.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał.

– Fiodorow? – Uzi dziwacznie skrzywiła usta. – Jedni uważają, że piekielnie zdolnym prawnikiem, który nawet bez znajomości i wsparcia ojca zaszedłby daleko.

– A inni?

– Że to facet ze służb specjalnych, namaszczony przez oligarchów, żeby ich chronić.

– A ty co uważasz?

– Ja mam jeszcze jedną teorię. – Uzi utkwiała wzrok w wysokim oknie, za którym rozgrywało się mozolne niestierowskie życie. – To ucieleśnienie największych ludzkich lęków. – Spojrzała na Żenię. – Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo zależy mi na tej sprawie.

Żenia schował z powrotem dokumenty i przerzucił torbę przez ramię. Wstał. Patrząc z góry na Uzi, wetknął niezapalonego papierosa do ust.

– No to mamy jeszcze jedną zagadkę do rozwiązania.

24 STYCZNIA 1959

ALEKSIEJ

Byli dopiero drugi dzień w podróży, ale Aleksiej Woronowicz już się czuł wyczerpany. Emocjonalnie wycieńczony. Wypluty. Nie spodziewał się, że obecność Klary tak na niego wpłynie. Myślał, a raczej się łudził, że będzie jak dawniej. Zanim się do siebie zbliżyli. Zanim Klara zaczęła wysyłać sygnały, że jest nim zainteresowana. Zanim go pocałowała i pozwoliła się dotknąć. I zanim to wszystko nagle się urwało. Pewnie byłoby prościej, gdyby Klara była inna. Mniej ekspansywna. Wstrzemięźliwa. Nierzucająca się w oczy. Ale wówczas nie byłaby sobą.

– Wszystko w porządku? – spytał Emil, dołączając do Aleksieja w korytarzu.

– Tak. – Aleksiej oderwał wzrok od Klary, która siedziała w przedziale między Leonem i Wiktorem, uważnie wysłuchując ich opowieści. – Zamyśliłem się.

– Wyglądałeś na zmartwionego.

– To zmęczenie. Nie spałem najlepiej.

– Jak my wszyscy.

Emil poklepał kolegę po plecach i skierował się do toalety. Kiedy Aleksiej został sam, ponownie skupił się na Klarze, choć tym razem starał się nie patrzeć na nią tak ostentacyjnie.

– Ty, drańgal.

Aleksiej odwrócił się. Ujrzał niskiego, chudego i solidnie napitego chłopaka, który przy gwałtowniejszych szarpnięciach pociągu bujał się tak, jakby ujeżdżał byka.

– Podzielcie się wódką – powiedział chuderlak.

Chłopak nie był sam. Na końcu korytarza stała zgraja podobnych do niego, chichoczących i przeklinających koleżków, którzy mogli być rówieśnikami członków wyprawy. Tyle że nie wyglądali na przyszłych sportowców, naukowców ani polityków. Raczej na penitencjariuszy któregoś z pobliskich obozów pracy przymusowej.

- Nie mamy wódki – odparł Aleksiej. – Nie pijemy w podróży.
- Jak to, kurwa, nie pijecie?!
- O ile mi wiadomo, w pociągu nie ma takiego obowiązku.
- Nie bądź za mądry, pajacu.

Pijak popchnął Aleksieja. I choć ten niemal nic nie poczuł, sam fakt, że chuderlak odważył się na ten ruch, był niepokojący. Bo jeśli ktoś taki startuje z łapskami do dwa razy większego mężczyzny, to albo ma nierówno pod sufitem, albo chowa gdzieś broń, albo jest kimś, kto może sobie na takie zachowanie pozwolić. Nie wiadomo, co gorsze.

– Jedziemy w jednym wagonie i nie chcemy nieprzyjemności – odparł dyplomatycznie Aleksiej. – Gdybyśmy mieli wódkę, tobyśmy się podzielili.

– Gównu mnie obchodzi, co byście zrobili. Skoro nie chcecie dać nam wódki, sami ją sobie weźmiemy. – Pijak wychylił się, aby zajrzeć do przedziału turystów. Wykrzywił usta w ni to uśmiechu, ni grymasie. Pomachał do Klary. – Może weźmiemy coś jeszcze.

– Pomożemy wam – odezwał się Misza, który niespodziewanie wyrósł przed chuderlakiem. – Ale najpierw muszę wam o czymś powiedzieć.

Objął chłopaka ramieniem, jakby byli starymi kumplami, a następnie ruszył z nim w stronę nawalonej brygady. Aleksiej ze zdziwieniem obserwował, jak Misza z nimi rozmawia. Nie miał pojęcia, o czym mówią, ale odniósł wrażenie, że świetnie się dogadują. A na potwierdzenie usłyszał śmiech Miszy, który swoją wesołością aktywował rechot całej bandy.

Po paru minutach wrócił do grupy. I jakby nigdy nic usiadł na swoim miejscu.

– Co tam się stało? – zapytał Leon.

– Nic takiego – odparł Misza. – Załatwiłem nam święty spokój.

– Jak to?

– Najpierw wyjaśniłem, co tu robimy, dokąd jedziemy i dlaczego nie możemy dać im tego, czego chcą. Potem wysłuchałem ich historii. A na koniec trochę ich nastraszyłem.

– Czym?

– Powiedziałem, że jedzie z nami syn wysoko postawionego oficera KGB. I że w sąsiednim wagonie siedzi dwóch agentów, którzy uważnie nam się przyglądają. A przy okazji wszystkim ludziom, jakich spotykamy po drodze.

– Uwierzyli?

– Nie sądzę. Ale w ten sposób udało mi się potwierdzić, że nie mają żadnych związków z agenturą. No i zasiałem wątpliwości w głowie ich lidera, a to wystarczyło, żeby poskromić całą grupę.

Misza mrugnął do Klary. Chwilę później odchylił się na oparcie i przymknął oczy. Był zadziwiająco wyluzowany jak na faceta, który dopiero co negocjował z grupą zalanych

chłystków.

– Czy coś mnie ominęło? – spytał Emil, który właśnie wrócił z toalety.

Nic takiego, pomyślał Aleksiej. Tylko to, że mamy nowego anioła stróża. Najdziwniejszego, jakiego można sobie wymyślić.

6 STYCZNIA 2020

Cztery piętnaście.

Nie jest źle. Nogi niosą, kolana za bardzo nie dokuczają, zimno nie doskwiera. Sączący się ze słuchawek ambient pomaga regulować tempo. A przede wszystkim skutecznie odizolowuje od obezwładniającej szarzyzny Niestierowa.

Cztery dwadzieścia.

Tempo trochę spadło, ale to nic. Kilka mocniejszych depnięć powinno je ustabilizować na poziomie, jakiego oczekiwał. Wielokrotnie to przerabiał. Chwila dekoncentracji nie powinna zniweczyć planu.

Cztery dwadzieścia pięć.

Mięśnie zaczęły piec. Oddech się rozregulował, a płuca zachłannie szukały tlenu. Jedno z kolan pulsowało, zwiastując nadejście czegoś znacznie gorszego. Niedobrze. Wiedział, że coś takiego nastąpi, ale nie powinno się wydarzyć już teraz. Był jeszcze cień nadziei, ale Żenia ledwo go dostrzegał.

Cztery trzydzieści.

Kurwa!

Zatrzymał się i zastopował czas. Ciężko dysząc, spojrzął na zegarek. Godzina i dwadzieścia dziewięć minut. Za wolno. Gdyby w takim tempie przebiegł całą trasę, osiągnąłby cel – złamałby trzy godziny w maratonie. Ale musiał założyć, że druga połówka dystansu będzie wolniejsza. A ostatnie dziesięć kilometrów zamieni się w koszmar. Tak przynajmniej było w każdym z ośmiu maratonów, w jakich do tej pory startował.

Przypomniał sobie historię emerytowanego żołnierza Marines, rekordzisty świata w plankach, który w ramach przygotowań katował się wielogodzinnym utrzymywaniem pozycji deski, setkami pompek i przysiadów. A podczas rekordowych prób słuchał rockowej muzyki, takiej jak Van Halen czy Rammstein.

Może on też powinien przez kilka godzin katować się *Du hast*, a nie jakimś pieprzonym ambientem? A może powinien po prostu skupić się na bieganiu, zamiast rozmyślać o śledztwie, o Uzi i o Fiodorowie?

Kiedy wrócił z treningu, schylił się, aby – jak zwykle – wyjąć klucze spod wycieraczki. Ale tym razem ich tam nie było. Nacisnął klamkę. Ustąpiła.

Otworzył drzwi.

Przez kilka sekund nie był pewien, na co właściwie patrzy ani czy to jest realne. Wszystko było wywrócone do góry nogami. Szuflady powyciągane z komód, książki pospychane z regałów, ubrania i dokumenty rzucone na podłogę. Za cały ten rozgardiasz odpowiadało kilku facetów, którzy nie wyglądali na szczególnie zmartwionych pojawieniem się gospodarza. Przy odrobinie wyobraźni można byłoby ich wziąć za członków ekipy przeprowadzkowej, choć ogolone na łyso głowy i skórzane kurtki nieco zaburzały ten obraz.

– Jesteś zadziwiająco nieroztropny jak na detektywa.

Żenia znał ten głos. Jednoznacznie kojarzył go z mężczyzną w prochowcu, który już parę dni wcześniej udowodnił, że lubi wchodzić bez pukania do nie swoich mieszkań.

– Zawsze zostawiasz klucze w takim miejscu?! – zawołał Igor Janin z sypialni.

– Sąsiedzi wiedzą, kim jestem – odparł Żenia, ostrożnie przemierzając korytarz. – Ufam, że nie zrobią nic głupiego pod moją nieobecność.

– Ale to nie sąsiadów powinieneś się obawiać. – Igor Janin wyszedł z sypialni. Miał w dłoniach potężny album, w którym Żenia trzymał rodzinne zdjęcia. Z czasów kiedy Sasza jeszcze nie mówił, Lena była słodką i bezproblemową dziewczynką, a Tatiana nie reagowała burknięciami za każdym razem, kiedy próbował nawiązać z nią kontakt. Z czasów kiedy myśleli, że są szczęśliwi. – Sorry za bałagan. Ale skoro zdecydowałeś się zabrać do tej sprawy, musieliśmy się upewnić, że grasz po naszej stronie.

Żenia przyglądał mu się przez chwilę, próbując nie patrzeć na album. I nie skoczyć skurwielowi do gardła. Nie ufał w pełni swoim emocjom, więc poszedł do kuchni. Wyjął szklankę i wsypał do niej elektrolity. Odczekał, aż się rozpuszczą, po czym wypił napój duszkiem.

– I co? – zapytał, odstawiając z hukiem szklankę na blat. – Upewniliście się?

Janin, który podążył za nim do kuchni, nie odpowiedział. Zamiast tego położył na stole otwarty album.

– Szybko biegasz – oznajmił. – Nie potknij się.

Chwilę później razem ze swoją sforą opuścił mieszkanie.

Żenia podszedł do okna w sypialni i odprowadził ich wzrokiem. Na parkingu przed domem było kilka wolnych miejsc, ale zatrzymali się gdzie indziej. Tak żeby Żenia się nie dowiedział, czym jeżdżą. A to mogło oznaczać, że planują złożyć mu jeszcze niejedną wizytę.

Wrócił do kuchni i przygotował kolejną porcję napoju. Ale tym razem nie był w stanie wypić go duszkiem. Być może miał już dość mdłego owocowego smaku, który kojarzył mu się z apteką, biegunką, wymiotami i wysiłkiem. A może chodziło o zdjęcie dwojga uśmiechniętych dzieci, które kątem oka dostrzegł w albumie.

Prochowiec doskonale wiedział, gdzie nacisnąć, aby najmocniej zabolalo.

5.

7 STYCZNIA 2020

– UFO. – Uzi przeszła do konkretów zaraz po wejściu do kawiarni Smelly Cat. Zanim zerknęła w menu. Zanim Żenia zdążył wymyślić, co zje na śniadanie. Zanim Irinie, właścicielce lokalu, przyszło do głowy, żeby zwlec dupę z krzesła i ich obsłużyć. – Teorię związaną z UFO możemy włożyć między bajki. Zgoda? – Próbowała uchwycić spojrzenie Żeni, ale ten uparcie wpatrywał się w menu.

– Zgoda – powiedział ze sporym opóźnieniem. – Wykreślamy.

Uzi wywlekła na stół swoje papierzyska i odnalazła plik kartek, na których wypisała siedemdziesiąt pięć teorii na temat tego, co mogło się wydarzyć na Przełęczu Gonczara. Przy każdej z nich miała jakieś notatki, zrobione starannym odręcznym pismem. Była pedantyczna, zdeterminowana i pracowita. Typ szkolnej prymuski. Żenia parokrotnie próbował sobie wyobrazić, jak mogłoby wyglądać życie z nią pod jednym dachem, ale za każdym razem ta wizja go odrzucała. Niczym sztachnięcie się amoniakiem.

– Menk – kontynuowała Uzi. – Gdyby jakaś nawiedzona miejscowa baba nie wspomniała o stworze, którego rzekomo widziała w tamtejszych lasach, nikomu nawet nie przysłoby do głowy, by się nad tym poważnie zastanawiać.

– Okej, wykreślamy.

– Testy broni psychotronicznej. Zawsze byliśmy zafiksowani na punkcie wszelkiej maści znachorów i parapsychologicznych hochsztaplerów. W dodatku są dowody na to, że w czasach Stalina i Chruszczowa wojsko robiło wiele badań dotyczących ponadmysłowego oddziaływania na rzeczywistość. Nie można więc wykluczyć, że kiedyś powstała taka broń. Ale jest bardziej prawdopodobne, że stało się to już po pięćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy wojna z Zachodem rozkręciła się na dobre. Poza tym gonczarowcy mieli nieskazitelną reputację i uchodzili za nadzieję narodu, więc raczej nikt nie wpadłby na pomysł, żeby cokolwiek na nich testować. A szansa, że przez przypadek padli ofiarą takich prób, jest jak jeden na milion. Wykreślamy?

Żenia ciężko westchnęła i popatrzył na Uzi.

– Jakie masz kolejne punkty na liście?

– Poszukiwacze złota, zatrucie czadem, katastrofa aerostatu, broń termobaryczna, bomba neutronowa... – Uzi przerwała, widząc kątem oka, że Żenia kręci głową. – Co?

– Tak nie dojdziemy do prawdy.

– Jeżeli się z czymś nie zgadzasz, to powiedz.

– Nie o to chodzi. Musimy te teorie jakoś pogrupować, a dopiero potem odrzucać jedną po drugiej.

Uzi przesunęła kartki na bok i położyła dłonie na stole.

– Co proponujesz?

– Dopiero wczoraj skończyłem czytać wszystkie papiery, które mi dałaś.

– Lepiej późno niż wcale.

– Zauważyłem, że są trzy typy ludzi wykuwających teorie na temat gonczarowców. Pierwszą stanowią konspiratorzy. Wierzą, że turystów zabiła rakietka albo że za ich śmierć odpowiadają testy broni nuklearnej, że padli ofiarą jakiegoś stwora albo że dorwali ich goście ze służb, bo tak naprawdę byli szpiegami próbującymi uciec z kraju. Z takimi teoriami najszybciej się rozprawimy, bo zwykle są pełne dziur. – Żenia zrobił pauzę, czekając na reakcję Uzi. Nie zaprotestowała, więc uznał, że się zgadza. – Drugą grupę stanowią naukowcy. Oni uważają, że turyści zginęli wskutek osunięcia się lawiny, wystąpienia deski śnieżnej, huraganu albo jakichś dziwnych zjawisk meteorologicznych. Oczywiście każdą teorię naukową da się podważyć albo zakrzyczeć, ale mogę się założyć, że jesteśmy w stanie znaleźć ekspertów, którzy je nam logicznie wytłumaczą. Zgadzasz się?

Uzi pokiwała głową.

– A trzecia grupa? – zapytała.

– Racjonalisci. – Żenia się uśmiechnął. – Oni uważają, że człowiek jest w stanie wszystko dokumentnie spierdolić. I że cokolwiek stało się na przełęczu, winni są temu ludzie, którzy tam byli. Nikt i nic więcej.

Uzi przez kilka sekund przyglądała się Żeni w milczeniu, po czym ponownie skupiła wzrok na papierach. Pospiesznie przejrzała listę teorii. Wreszcie wolno pokiwała głową.

– Myślę, że możemy tak zrobić – zawyrokowała. – Czyli najpierw podzielimy hipotezy na grupy, a potem będziemy je konsekwentnie obalać.

– Najpierw to powinnaś odłożyć te psychotroniczne bzdety i zerknąć do karty. – Żenia się rozejrzała i ściszył głos. – Ten lokal nie słynie z wybitnego jedzenia, a z jego właścicielką mam specyficzną *love-hate relationship*, więc rekomenduję coś prostego.

Chwilę później do ich stolika podeszła Irina, jakby się aktywowała na wzmiankę o sobie. Przyjęła zamówienie – jajka sadzone dla Żeni oraz tosty dla Uzi – i wróciła do swojej kanciapy. A to oznaczało, że najwcześniej mogli się jej spodziewać za jakieś dwadzieścia minut.

– Znam jednego gościa, który może nam pomóc – oznajmiła Uzi. – To naukowiec. Klimatolog. Podobno świetny. W dodatku pochodzi stąd i zna sprawę. Wypowiada się na jej temat w mediach. Uważam, że z sensem.

– To cudownie, ale najpierw śniadanie. Zgoda?

Uzi ciężko wypuściła powietrze. Zaczynało ją irytować, że tak bardzo się z Żenią różnią. Miała wrażenie, że należą do dwóch odmiennych światów, które nie mają prawa być ze sobą kompatybilne. Że są jak klocki z dwóch różnych zestawów. Pewnie dałoby się z nich coś ułożyć, ale szansa, że wyglądałoby to dobrze, była praktycznie zerowa.

24 STYCZNIA 1959

WIKTOR

Tym razem mieli więcej szczęścia. Dworzec w Igrimie, do którego dotarli po ponadpięciogodzinnej jeździe pociągiem, nie tylko był otwarty, ale też okazał się wystarczająco przestronny i ciepły, żeby mogli się tam rozstawić ze swoimi kłopotami i przespać. Albo chociaż odpocząć przed dalszą podróżą. Przybyli do miasta o dwunastej w nocy, a sześć godzin później mieli być w autobusie, który zabierze ich na północ.

Wiktor musiał się upewnić, że wszyscy członkowie jego ekipy znaleźli sobie względnie wygodny kącik, że opiekują się bagażami i wspólnym sprzętem i że zamiast marnować energię na głędzenie albo grę w karty, rzeczywiście próbują odpocząć. A gdy już to zrobił, zgarnął swoje rzeczy i oddalił się od grupy. Usiadł na plecaku, wyjął wszystkie swoje mapy i jeszcze raz przestudiował trasę, choć praktycznie znał ją na pamięć.

Było to silniejsze od niego. Jeszcze zanim wyruszyli, przykleiła się do niego dziwna nadgorliwość, która powodowała, że wszystko i wszystkich musiał sprawdzać podwójnie. Mieszanka stresu i ekscytacji. Stresu, bo jeszcze nigdy nie kierował grupą na tak trudnej trasie. Ekscytacji, ponieważ zakładał, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, czekają ich cudowne dwa tygodnie.

Był tylko jeden problem: jego wymarzony, pieczołowicie układany plan zaczął się sypać, jeszcze zanim wyjechali z Niestierowa.

Pierwszym odstępstwem od normy była Klara. Wiktor nie spodziewał się, że jej obecność będzie go krępowała. Ani że ich związek okaże się problemem dla reszty ekipy, która przez grzeczność udawała, że o niczym nie wie.

Drugie odstępstwo właśnie podniosło swoje ciężkie cielsko, rozejrzało się dokoła, a następnie ruszyło w kierunku Wiktora.

– Zazdroszczę ludziom, którzy potrafią zasypiać jak dzieci – powiedział Misza. – Nocowałem już w najróżniejszych warunkach, ale nie nauczyłem się wyłączać na zawołanie.

I już chyba jestem za stary, żeby to zmienić. – Przysiadł się do Wiktora. Włożył rękę do kieszeni kurtki, chwilę pogrzebał, po czym wyjął papierosy. – Chcesz?

– Umówiliśmy się, że nie będziemy palić – przypomniał Wiktor.

– Nawet gdy nikt nie patrzy?

Wiktor omiótł wzrokiem dworzec. Rzeczywiście nikt na nich nie patrzył. Jego ekipa spała albo próbowała spać. Zespół Denisa Kalinina, który tym razem wylądował razem z nimi, ulokował się po drugiej stronie stacji. Kilkoro nieznajomych szwendało się wte i wewte, ale kompletnie nie zwracało na nich uwagi.

– Dowiedziałeś się o tym dopiero w trakcie wyjazdu, więc nie będę cię ograniczał – odparł Wiktor.

– Mimo to nie chcę łamać twoich przepisów. Może zrobimy tak, że nie będę palił przy grupie, ale od czasu do czasu zniknę gdzieś na chmurkę. W porządku?

Wiktor pokiwał głową, choć nie było to dla niego wymarzone rozwiązanie – kolejne odstępstwo od planu. Chwilę później patrzył z zazdrością, jak Misza wyciąga zapalniczkę, odpala papierosa i rozkoszuje się pierwszym machem.

– Co robiłeś, zanim zostałeś przewodnikiem? – zapytał.

– Tułałem się po kraju – odparł Misza. – Szukałem dla siebie miejsca. Uczyłem w szkole, harowałem w kilku fabrykach, pracowałem jako urzędnik. Ale najwięcej czasu spędziłem w wojsku.

– Byłeś na wojnie?

Misza pokiwał głową. Nie rozwinął jednak tematu, więc Wiktor nie naciskał.

– Masz żonę?

– Ani żony, ani dzieci. Zresztą chyba nie byłbym dobrym ojcem.

– Skąd wiesz?

– Bo siebie znam. Czasem takie rzeczy można wyczuć. Trzeba jedynie mieć wystarczająco dużą samoświadomość.

Patrząc na zagadkowy uśmiech Miszy, Wiktor zastanawiał się, co mu w tym facecie nie pasuje. Czy mogło chodzić o to, że był od niego sporo starszy i bardziej doświadczony? Że wydawał się silniejszy i pewnie świetnie się poruszał w dziczy? Że członkowie ekipy traktowali go z szacunkiem? Że dziewczynom średnio wychodziło udawanie, że Misza nie robi na nich wrażenia? Tak, pomyślał Wiktor, najpewniej jest więcej niż jeden powód.

– Nie wspominałeś, że przywlokłeś ze sobą dziadka.

Denis Kalinin zaszedł ich od tyłu, tak jak to miał w zwyczaju. Był głośny i rozweselony. Ścisnął w dłoni ledwo napęczętą butelkę wódki. Z pewnością nie pierwszą, którą rozpracowywał tego dnia.

– Nie słyszałeś, że do starszych trzeba się zwracać z szacunkiem? – odparł Misza, po czym serdecznie przywitał się z Denisem.

– Znacie się? – zdziwił się Wiktor.

– Jak łyse konie – odparł Kalinin. – Czyli od jakichś pięciu godzin.

– Ucieliśmy sobie pogawędkę w pociągu do Igrimu – wyjaśnił Misza. – Też nie możesz spać?

– Chyba za mało wypilem. – Kalinin pomachał flaszką. – Moja ekipa ostro grzeje na początku każdej wyprawy. Czasem ledwo udaje nam się dotrzeć w góry. Ale potem chłopaki potrafią wziąć się w garść.

– Zostawili cię z tym samego? – Misza wycelował palcem w butelkę.

– Gdybym wychlał tyle co oni, tobym wpadł pod pociąg. Co nie znaczy, że lubię być trzeźwy.

Denis pozbył się zakrętki i na potwierdzenie swoich słów wychylił spory łyk. Wyglądało to trochę nienaturalnie. Jakby się przed nimi popisywał. Może on też się denerwuje, pomyślał Wiktor. Może to przypadłość wszystkich liderów.

– Wiktor wspominał, że znasz Ural jak własną kieszeń – powiedział Kalinin.

– Może nie aż tak, ale od jakiegoś czasu spędzam w górach kilkadziesiąt dni w roku – wyjaśnił Misza.

– Jest coś, czego powinniśmy się obawiać?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy wierzycie w zabobony. I w to, co mówią uralskie szeptuchy.

– A co mówią?

– Od lat opowiadają niestworzone historie o tamtejszych górach. O stworach, które tam widziały. O duchach, które zabrały im mężczyzn. O różnych dziwach, które oglądały, gdy skosztowały naparu z muchomorów.

– Jesteśmy inżynierami – zauważył Wiktor. – Wierzymy w naukę, a nie jakieś lokalne bzdury.

– W takim razie możecie obawiać się tylko jednej rzeczy. Ciszy.

– Ciszy? – zdziwił się Denis.

– Wiem, jak to brzmi, ale uwierzcie: cisza potrafi być obezwładniająca. A w tych górach zdarza się ludziom wpadać w coś, co przypomina dźwiękową próżnię. Trafiają się takie momenty, kiedy wiatr ustaje, a wszystkie dźwięki zanikają. Nagle zostajesz w tych górach zupełnie sam. – Misza ściągnął ostatniego bucha i zgasił peta pod butem. – Jedni doświadczają wtedy przyjemnej zadumy. Czują się tak, jakby medytowali. Jakby zlewali się

z przyrodą w jedność. Ale inni wpadają w panikę, ponieważ wydaje im się, że wszystko umarło. Z nimi włącznie.

Po kilkusekundowej konsternacji Kalinin przekazał Miszy butelkę.

– Wypijmy za to – powiedział. – Za to, żeby cisza była naszym i waszym sprzymierzeńcem, a nie wrogiem.

Misza bez większego zastanowienia pociągnął łyk, a następnie przekazał flaszkę Wiktorowi. Chłopak przez chwilę się wahał. Ale potem łypnął okiem w stronę swojej ekipy i przejął butelkę.

Kiedy sekundę później wódka zasiała spustoszenie w jego przelyku, pomyślał, że tak właśnie smakuje odstępstwo od planu.

7 STYCZNIA 2020

Czekając na doktora Jegora Kosariewa, Żenia odtwarzał na smartfonie jeden z jego wykładów. Przyglądał się łysiejącemu okularnikowi z zadziwiająco okrągłą głową, wystrojonemu w przestarzały sztruksowy garnitur i kraciastą koszulę z kiepsko dopasowanym krawatem.

Kilka minut później ten dziwaczny człowiek zmaterializował się przed nimi. Z podkrążonymi oczami, licznymi przebarwieniami na twarzy i w porozciągany swetrze prezentował się jeszcze żałośniej niż na filmie. Nie wyglądał ani na męża efektownej, młodszej o jakieś dwadzieścia lat kobiety, która wpuściła Żenię i Uzi do mieszkania, ani na właściciela lokalu, wprawdzie mieszczącego się w obskurnym bloku na starym niestierowskim osiedlu, ale urządzonego ze smakiem.

– Przepraszam – powiedział Kosariew, witając się z ludźmi, z którymi dwie godziny wcześniej rozmawiał przez telefon. – Przeciągnął mi się wykład.

– Uczy pan online? – zdziwiła się Uzi.

– Na czterech nic nieznaczących uczelniach, o których pani pewnie nigdy nie słyszała. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Odkąd przedstawiłem swoje wyjaśnienie zagadki gonczarowców, wypadłem z typowego akademickiego obiegu. – Jegor uśmiechnął się kwaśno do gości, a potem przeniósł ten uśmiech na żonę. – Zrób nam herbatę. I przynieś coś do jedzenia.

Kobieta bez słowa podreptała do kuchni.

W tym czasie naukowiec zaprowadził gości do gabinetu. Jego biuro przypominało pokój nastoletniego nerda zafiksowanego na punkcie geografii. Jedną ze ścian niemal w całości pokrywały mapy świata i Rosji, pełne powbijanych w nie pinesek. Na biurku stały trzy monitory, na których wyświetlały się trzy różne radary pogodowe. A zamiast żyrandola do sufitu przymocowana była lampa przypominająca odwrócony globus.

– Lubię kicz – powiedział Kosariew, wyczuwając, że powinien się usprawiedliwić. – Poza tym czytałem badania, z których wynika, że ludzie bardziej wierzą komuś, kto posługuje się rekwizytami, niż osobie władającej wyłącznie wiedzą. A człowiek w moim położeniu musi się bardzo troszczyć o audytorium. – Pochylił się nad biurkiem i zdmuchnął okruchy z klawiatury. – Głoszenie niepopularnych poglądów może cię unieśmiertelnić albo uczynić błaznem. W nauce ten pierwszy przypadek prawie nie występuje.

Żenia popatrzył na ekrany, przypomniał sobie wystrój przedpokoju, a potem posłał wdzięczny uśmiech młodej żonie doktora, która na porcelanowej zastawie przyniosła herbatę i przekąski. Może i Kosariew rzeczywiście czuł się przegrywem, ale nie był to do końca prawdziwy obraz.

– Dlaczego środowisko naukowe nie zgadza się z pańską teorią? – zapytał Żenia.

– Bo nikt oprócz mnie nie próbował rozwiązać tej zagadki z otwartą głową – odparł Jegor. – Rolą naukowców było przeanalizowanie warunków pogodowych, miejsca zdarzenia oraz tego, co na nim zostało po tragedii. Moi koledzy wyszli z założenia, że będą eliminować wszystkie istniejące hipotezy, aż zostanie ta, która jest prawdziwa.

– W myśl zasady Arthura Conan Doyle’a – wtrąciła Uzi. – „Gdy odrzucisz to, co niemożliwe, wszystko pozostałe, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

– Zgadza się. I do pewnego momentu to działało. – Kosariew nalał do kubków herbatę, a potem wrzucił do ust ciastko i błyskawicznie je pogryzł. – Lawinę dało się wykluczyć od razu, ponieważ zbocze nie jest wystarczająco strome. Wtedy pojawiła się koncepcja deski śnieżnej. Gdyby gonczarowcy wbili namiot zbyt głęboko, teoretycznie mogliby podciąć stok, usuwając ukrytą pod nim warstwę gipsu, cięższą i bardziej zbitą od puchu, a potem także znajdującego się niżej luźnego śniegu. Potrafię sobie wyobrazić, jak przy silnym wietrze coś takiego doprowadza do osunięcia się mas śnieżnych na turystów. Tyle że nic podobnego się nie stało, bo przecież obok namiotu wbite były narty i kijki. A to także wykluczało teorię, że gonczarowców mógł wykończyć huraganowy wiatr. Większość moich kolegów doszła do tego momentu i zgłupiała. Nie tylko nie potrafili wytłumaczyć, jaka siła mogła oddziaływać na turystów, ale też co sprawiło, że rozciąli oni namiot od środka i uciekli w popłochu.

– Ale pan to odkrył – powiedział Żenia.

– Bo zadziałałem zgodnie ze sztuką. Zamiast babrać się w danych pogodowych i pozostałościach namiotu, najpierw przyjrzałem się górze, na którą wdrapywali się gonczarowcy. To ona skrywa odpowiedź.

– Dalej nie rozumiem, jak pan na to wpadł.

Jegor uśmiechnął się pod nosem.

– Pokażę wam.

Podniósł się z krzesła i podszedł do tekturowego pudła. Wyjął dwa egzemplarze tej samej książki, a następnie wręczył je gościom. Żenia zerknął na okładkę.

CO ZABIŁO TURYSTÓW NA PRZEŁĘCZY GONCZARA?

Doktor Jegor Kosariew

rozwiązuje największą zagadkę XX wieku

– Wiem, że chwalenie się własną książką jest trochę żenujące, ale w ten sposób najprościej będzie mi to wytłumaczyć – powiedział Kosariew. – Strona sto dwudziesta szósta.

Żenia i Uzi otworzyli książki we wskazanym miejscu. Zobaczyli symboliczny rysunek góry, którą otaczały strzałki, serpentyny i liczby. Obok znajdowały się spiralne kształty czegoś, co przypominało chmury.

– To schemat ścieżek wirowych von Kármána – wyjaśnił Kosariew. – Zwykle powstają wtedy, kiedy wiatry napotykają jakąś przeszkodę, na przykład wyspę albo górę, i zaczynają się wokół niej kręcić. Napierając na siebie przy odpowiedniej prędkości, mogą doprowadzić do powstania wiru albo nawet tornada. Przerzućcie na kolejną stronę. – Kiedy to zrobili, wycelował palcem w jeden z obrazków w książce Żeni. – Kopulasty szczyt góry Alatanaj, który znajduje się niecałe dwieście metrów nad Przełęczą Gonczara, idealnie nadaje się do wytworzenia tego zjawiska. A dane dotyczące prędkości wiatru sugerują, że mogło do niego dojść.

– Ale skoro huragan nie zniszczył namiotu, to tornado tym bardziej – zauważyła Uzi.

– Nie musiało. Wystarczy, że doprowadziło do powstania infradźwięków. To one zdeterminowały los tych dzieciaków. Infradźwięki mogą powodować problemy ze snem, napady paniki czy nawet zachowania graniczące z szaleństwem. A gdy jesteś w ciasnym namiocie z grupą ludzi, których masz już serdecznie dość, gdy wiesz, że utknąłeś i nie możesz liczyć na niczyją pomoc, gdy czujesz wibracje podłoża, słyszysz przeraźliwy hałas i masz wrażenie, że obok ciebie startuje odrzutowiec, infradźwięki mogą wywołać najgorszą reakcję z możliwych.

– Ale to nie tłumaczy obrażeń, jakich doznali gonczarowcy – stwierdził Żenia.

– Część ran mogli sobie zadać sami, klóćąc się i szarpiąc jeszcze w namiocie, który ostatecznie rozerwali od środka. Reszta to skutek panicznego biegu po zboczach w środku nocy. Najgorszych obrażeń doznali ci, którzy wpadli do głębokiego jaru. Nie tylko ze względu na upadek z wysokości, ale również dlatego, że doczekali się w nim roztopów. Wilgoć przyspieszyła procesy gnilne. To dlatego Danieli brakowało większości płytek paznokciowych, gałek ocznych czy języka.

– Z całym szacunkiem, ale brzmi to mocno naciąganie.

– Wiem. – Jegor parsknął pod nosem. – Ale to jedyna teoria naukowa, której nie da się obalić.

Żenia przekartkował książkę Kosariewa. Facet poświęcił kilkanaście lat życia na zgłębienie sekretu Przełęczu Gonczara. Zaprzął do tego całą swoją klimatologiczną, meteorologiczną i inżynierską wiedzę. Pozwolił tej teorii zniszczyć, a przynajmniej mocno nadwyrężyć swoją reputację. I sądząc po tym, że trzymał w domu pudło pełne swoich książek, a jego nazwisko nigdy nie pojawiło się na liście bestsellerów, nie zbił na tym fortuny. A mimo to nadal z niezachwianą pewnością bronił swoich tez.

– Próbował pan jakoś potwierdzić tę teorię? – zapytał Żenia.

– Pyta pan, czy byłem na przełęczu?

Żenia kiwnął głową.

– Nie musiałem. Potwierdzenie mojej teorii leży w danych i wiedzy, jaką można zdobyć z książek, a nie w terenie. Poza tym skoro ludzie i tak uznali mnie za żadnego sławy wariata, to po jaką cholere miałbym jeszcze pchać się w te góry?

– Dla zaspokojenia ciekawości – rzuciła Uzi.

Jegor spojrział na nią, jakby obraziła jego intelekt.

– Zaspokoilem ją tutaj. – Kosariew postukał palcem w książkę. – Choć gdybym mógł cofnąć czas, trzymałbym się od tej sprawy z daleka. I wam radzę to samo. Gonczarowcy nie są jedynymi ofiarami tego miejsca.

25 STYCZNIA 1959

MARAT

Choć Marat Gołubiew nie uważał się za uległego, przywykł robić to, czego ludzie od niego oczekują. Miał oszczędzać, ponieważ po zagadkowej śmierci ojca w domu się nie przelewało – z dnia na dzień zaczął chomikować niemal wszystko. Miał się uczyć, ponieważ matka uważała, że tylko tak może wyciągnąć rodzinę z tarapatów – stał się jednym z lepszych studentów fizyki jądrowej na roku. Miał wstąpić do partii, ponieważ to najprostszy sposób, aby wieść bezpieczne i dobre życie – uwierzył w magię komunizmu. Ale to nie oznaczało, że Maratowi zawsze odpowiadał ten układ.

Podczas tej wyprawy także miał wykonywać polecenia innych. Ale gdy zobaczył na dworcu w Igrimie, jak Misza pali papierosa, a potem razem z Wiktoorem i Denisem pije wódkę, pomyślał: chrzanić to. Nie zamierzał dłużej dostosowywać się do czyichś reguł. Dlatego w autobusie dyskretnie wydebił od Miszy papierosa. A gdy w połowie drogi do Wiermukowa, ostatniej większej miejscowości na trasie, kierowca zarządził przerwę toaletową, postanowił wykorzystać tę okazję.

Zatrzymali się na wysokości przydrożnego sklepu. Marat wiedział, że opróżnienie wypchanego po brzegi busiku, który właściwie był małą ciężarówką z dwudziestoma pięcioma miejscami siedzącymi zamiast kipy, może chwilę potrwać. Zawczasu wybrał fotel niedaleko drzwi. A kiedy się otworzyły, wyskoczył na zewnątrz i przeszedł na tyły sklepu. Wysikał się, a potem skierował w głąb lasu. Kiedy się upewnił, że jest sam i nikt go nie widzi, wyjął podarunek od Miszy. Zapalił i mocno się zaciągnął.

Papieros smakował wybornie. Wprawdzie nie był to towar z górnej półki, ale po kilku dniach bez tytoniu Marat gotów byłby zapalić siano. Poza tym rajcowała go świadomość, że robi coś zabronionego. Że działa wbrew regułom ustalonym przez Gonczara. Czasem odnosił wrażenie, że ten egoistyczny dupek uważa się za lepszego od innych. Za Boga. Albo przynajmniej półboga.

Ale najważniejsze dla Marata było to, że w końcu mógł pobyć sam. Z dala od grupy. Z dala od gderania, anegdot, dowcipów i tych wnerwiających piosenek. Z dala od wszystkiego, co ludzie uwielbiają na takich wyprawach, a co jego niemiłosiernie wkurwia. Zatopiwszy się w lesie – przetrzebionym przez mróz, ze śnieżną pokrywą wyścielającą dziewicze ścieżki i niedotkniętym dewastującą ręką człowieka – miał wrażenie, że jest idealnie odcięty od cywilizacji.

Choć niezupełnie tak było.

Kiedy odległy szmer rozmów i śmiechów wreszcie ustał, Marat usłyszał za plecami nowy odgłos. Coś jakby jęk. Przez moment myślał, że może jakieś zwierzę przebiegło obok i zniknęło w głębi lasu. Ale potem ponownie usłyszał ten dźwięk. I jeszcze raz. Chwilę później przerodził się on w regularny wytłumiony skowyt.

Chłopak wyrzucił niedopałek w śnieg i zaczął schodzić po lekko opadającym zboczu. Po przejściu kilku metrów zdał sobie sprawę, że niepokojące odgłosy zaczynają przypominać coś, co znał. I z całą pewnością nie były wydawane przez zwierzęta.

Zatrzymał się i wychylił zza drzewa. Jakies dziesięć metrów dalej stała dziewczyna z chustą na głowie, prawdopodobnie kilka lat młodsza od niego. Opierała się o pień potężnego drzewa wrastającego w niezbyt głęboki wąwóz. Za nią stał sporo starszy mężczyzna w czapce zwisającej z tyłu głowy. Ona miała ściągniętą do kolan spódnicę, on spodnie opuszczone do kostek. Ona pojękiwała, on dyszał i stękał. Ona szlochała, a on wydawał się świetnie bawić.

Jednak to, że się pieprzyli, wcale nie było najdziwniejsze. Najdziwniejsze było to, że nie byli tam sami.

Kopulującej parze towarzyszyło w wąwozie dwóch facetów w średnim wieku. Jeden z nich, wysoki, chudy i prawdopodobnie bardzo pijany, stał obok drzewa i zabawiał się ze sobą. Najwyraźniej miał być następny. Drugi, sporo niższy i krępy, trzymał się nieco z tyłu. Ścisnął w dłoni butelkę wódki, z której co chwila pociągał małe łyki, jak gdyby zwilżał sobie usta. I sądząc po uśmiechu, podobało mu się to, co widział.

W pewnym momencie uniósł głowę. Na ułamek sekundy pochwycił Marata wzrokiem.

– Proszę, proszę! – zawołał. – Kolejny chce poruchać.

Marat speszzył się na dźwięk jego głosu. Gdy próbował się odwrócić, poślizgnął się na mokrej ściółce i omal nie zsunął do wąwozu. Na szczęście szybko poderwał się z kolan i wdrapał na górę. Po mniej więcej półminutowym biegu wydostał się z lasu.

Wtedy przeżył kolejny szok. Autobus, którym przyjechał z resztą ekipy, zniknął. Marat dostrzegł go kilkadziesiąt metrów dalej, topornie rozpędzającego się na drodze. Nie zastanawiając się ani chwili, pognął za pojazdem.

Pasażerowie musieli się zorientować, że jednego z nich brakuje, ponieważ w pewnym momencie kierowca zwolnił niemal do zera i otworzył drzwi. Dzięki temu Marat, zdyszany i przestraszony, zdołał dogonić pojazd i wskoczył do środka.

– Gdzieś ty polazł?! – warknął Wiktor, który najwyraźniej się szykował, żeby wybiec na poszukiwania kolegi.

– Przycisnęło mnie – odparł Marat, bo nie udało mu się wymyślić nic bardziej przekonującego.

Wszyscy ryknęli śmiechem.

– Prawie odjechaliśmy bez ciebie. W takim ścisku trudno jest wszystkich policzyć, więc każdy musi się pilnować.

– Wiem. Przepraszam.

Wiktor poruszył nozdrzami. Musiał wyczuć, że Marat palił. Ale w żaden sposób tego nie skomentował.

– Myślałem, że z tobą nie będzie problemów – powiedział, po czym wycofał się na tył autobusu.

Marat przez kilka sekund łapał oddech. Potem zajął swoje miejsce, przyjmując drwiny od członków obu ekip. Korciło go, aby opowiedzieć, co widział w lesie. Miał przed oczami zapłakaną twarz dziewczyny i zastanawiał się, czy nie należałoby tego komuś zgłosić. Ale w końcu uznał, że musiała wiedzieć, na co się pisze, skoro dała się zaciągnąć trzem nawalonym facetom do lasu.

Poza tym Marat wolał słuchać, niż mówić. I nie zaliczał się do ludzi, którzy z byle powodu podnoszą rwetes.

7 STYCZNIA 2020

– Wierzysz mu? – zapytała Uzi.

– Wierzę, że był z nami szczery – odparł Żenia, próbując uruchomić samochód. Silnik zaskoczył dopiero za trzecim razem. – I że jest święcie przekonany o prawdziwości swojej

teorii. A to już coś.

– Brzmi nieprawdopodobnie, ale logicznie.

– Przynajmniej do pewnego momentu. – Żenia sięgnął po gąbkę, wychylił się nad kierownicą i przetaił zaparowane szyby. Potem poprosił Uzi, aby zrobiła to samo po swojej stronie. – Teoria doktorka tłumaczy, jak doszło do tego, że dzieciaki w panice wybiegły z namiotu. Ale nie wyjaśnia, co się wydarzyło później.

– Czwooro z nich wpadło do jaru, doznając poważnych obrażeń ciała. Resztę wykończył mróz, co potwierdzają raporty medyczne wskazujące na hipotermię. W większości byli fatalnie ubrani. Nie mieli żadnych szans.

– Masz te swoje papiery?

– Mam.

– To wyjmij rysunek, na którym widać rozmieszczenie ciał.

Uzi schyliła się do torebki. Żenia był pod wrażeniem tego, jak szybko zdołała wydobyć z tej sterty dokumentów plik, o który mu chodziło. Musiała znać te papierzyska na pamięć. I za każdym razem układała je w identycznej kolejności.

– Co widzisz? – zapytał Żenia.

– Cztery trupy w jarze, trzy na stoku w odległości kilkuset metrów od namiotu i dwa obok cedru.

– No właśnie. – Żenia zerknął na Uzi. – Nie rozpiechli się we wszystkie strony, tylko zaczęli zbiegać we względnie zorganizowany sposób. W dodatku troje z nich najprawdopodobniej próbowało wrócić do namiotu.

– To tylko spekulacja.

– Zgadza się. Ale jeśli skutek działania jakichś wirów i infradźwięków rzeczywiście doznali chwilowej niepoczytalności, która spowodowała, że wybiegli z namiotu, to zadziwiająco szybko sobie z nią poradzili. Podzielili się na trzy grupy. Dwóch, czyli Aleksiej i Dinar, dobiegło do drzewa i spróbowało rozpalić ognisko. Nawet im się to udało, ale to nie wystarczyło, żeby przeżyć. Troje, a więc Wiktor, Klara i Emil, zorientowało się, że nie przeżyje na zewnątrz. Dlatego usiłowało zawrócić do namiotu. Kłopot w tym, że bez odpowiedniej odzieży w środku przeraźliwie zimnej nocy było to niewykonalne. Z kolei czwooro pozostałych miało jeszcze jakiś inny plan, ale nie dowiedzieliśmy się jaki, ponieważ wszyscy wpadli do wąwozu. Być może po prostu go nie zauważyli.

– Znów: to tylko spekulacja.

– Ale przyznaj, że całkiem prawdopodobna.

Uzi jakiś czas milczała, rozbierając koncepcję Żeni na czynniki pierwsze.

– Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jak naprawdę zadziałały na nich infradźwięki – odparła. – Jeżeli przystaniemy na koncepcję Kosariewa, nigdy nie wyjdziemy ze sfery domysłów.

– Niekoniecznie. – Żenia zatrzymał się przed wyjazdem z osiedla, włączył kierunkowskaz i rozejrzał się na boki. – Zawsze możemy przeprowadzić eksperyment na miejscu.

Wyruszyli od Kosariewa w godzinach szczytu, przez co utknęli w korku. Uzi wykorzystwała te minuty, aby jeszcze raz przewertować dokumenty i dodać kilka notatek. Żenia przez większość czasu wgapił się w boczną szybę, obserwując samochody wolno przebijające się przez zaśnieżoną drogę. Patrząc na ich buksujące koła, przypomniał sobie czasy armii. Miał to nieszczęście, że szkolił się głównie na północy kraju, w większym stopniu ucząc się przetrwania w przeraźliwym zimnie niż zabijania, a potem wysyłano go na Bliski Wschód i Kaukaz, gdzie musiał walczyć z wrogiem w warunkach, z jakimi nigdy wcześniej się nie zetknął: w górach, na pustyniach, przy niemal zerowej wilgotności i temperaturze często przekraczającej czterdzieści stopni. Było to zupełnie wbrew logice. Dopiero po jakimś czasie pojął, że w wojsku logika służy do podcierania dupy.

– Na Politechnice Niestierowskiej pracują ludzie, którzy od lat interesują się tą sprawą – odezwała się Uzi. – Warto z nimi porozmawiać o innych teoriach.

– Skąd wiesz, że warto?

– Bo grzebiemy w sprawie sprzed sześćdziesięciu lat. Każdy, kto ma na jej temat coś do powiedzenia, jest potencjalnie wartościowy. Nawet jeśli to kompletny świr.

Żenia przez dłuższą chwilę myślał o tym, co powiedziała. W końcu pokiwał głową i podgłośnił radio. Jakby ciężkie gitarowe riffy mogły mu pomóc oderwać się od rzeczywistości.

6.

7 STYCZNIA 2020

Maksym i Jekatierina Myszkiniowie byli małżeństwem od czterdziestu lat. Równie długo pracowali jako wykładowcy na Politechnice Niestierowskiej, ucząc studentów fizyki. I zapewne jeszcze dłużej interesowali się sprawą gonczarowców. Żenia i Uzi spotkali się z nimi w małym biurze, do którego Myszkiniowie konsekwentnie dokładali kolejne elementy świadczące o ich niesłabnącej miłości: zdjęcia dzieci i wnuków, pamiątki z podróży czy wyróżnienia z konkursów dla fizyków amatorów, w których brali udział jako dwuosobowa drużyna.

Żenia przyglądał się im z zazdrością. Dawno temu także marzył o tym, żeby kiedyś, na starość, wieść względnie normalne życie u boku Tatiany – kobiety, która daje mu szczęście. Ale potem wydarzyło się tyle złych, dziwnych i niespodziewanych rzeczy, że teraz nawet nie potrafił sobie wyobrazić takiej przyszłości. Choć do sześćdziesiątki było mu znacznie bliżej niż wtedy.

– Spędziliśmy tu większość życia – oznajmiła Jekatierina. – Widzieliśmy i słyszeliśmy praktycznie wszystko, co mówiono na temat Przełęczu Gonczara.

– A do tego poznaliśmy chyba każdego, kto był zaangażowany w tę sprawę – uzupełnił Maksym. – Począwszy od milicjantów i prokuratorów, a skończywszy na rodzinach ofiar.

– Całe miasto żyło tym tematem, nawet gdy władza próbowała zamieść go pod dywan.

– A rzeczywiście próbowała? – spytał Żenia.

– Jeszcze jak! – uniósł się Maksym. – Śledczy wcale nie dążyli do tego, żeby się dowiedzieć, co tam zaszło, tylko by jak najszybciej zamknąć dochodzenie. A gdy się okazało, że stwierdzenie o potężnej sile nikogo nie satysfakcjonuje, próbowali dyskretnie uciszyć protestujących.

– Dyskretnie jak na ówczesne standardy – wtrąciła Jekatierina. – Nie mordowali ludzi, którzy starali się dociec prawdy, i nie pałowali rodziców próbujących odkryć, co spotkało ich dzieci. Ale zrobili stanowczo za mało, żeby wyjaśnić największą zagadkę kryminalną poprzedniego stulecia. A to każe zadawać pytania.

– Przystudiowaliśmy wszystkie dokumenty dotyczące sprawy gonczarowców. Nie dość, że w raportach brakowało niektórych stron, to jeszcze śledztwo prowadzone było przez

dyletantów.

– Istnieje uzasadnione ryzyko, że przeoczyli kluczowe dowody. A przez to dziś z tych wszystkich rozsypanych puzzli nie da się ułożyć kompletnej układanki.

Myszkinów wcale nie trzeba było przyciskać, aby wyśpiewali wszystko, co wiedzą. Żenia był bardzo ciekawy, jak wyglądają ich rodzinne spędy.

– Dlaczego tak bardzo zaangażowaliście się w tę sprawę? – zapytała Uzi.

Małżonkowie uśmiechnęli się do siebie.

– Z dwóch powodów – odparł Maksym. – Po pierwsze, uwielbiamy zagadki kryminalne. Przeczytaliśmy wszystkie książki Agathy Christie i znamy całą filmografię Davida Finchera. Kiedyś nawet uruchomiliśmy własny escape room, który nawiązywał do *Zodiaka*.

– A po drugie, ojciec jednej z ofiar był moim dziadkiem – dodała Jekatierina. – Daniela Kutuzowa to ciotka, której nie zdołałam poznać.

– Dziadek Jekatieriny nigdy nie pogodził się ze śmiercią córki. Przez wiele lat próbował prowadzić własne śledztwo.

– Był szanowanym obywatelem, dyrektorem w kilku fabrykach. Dzięki temu władza traktowała go ulgowo. Gdyby ktoś inny wygłaszał takie poglądy jak on, dawno skończyłby w obozie albo dostał kulkę w łeb.

– Przez tę tragedię zupełnie stracił wiarę w socjalizm. I trudno mu się dziwić.

– Można powiedzieć, że kontynuujemy jego dzieło. W ciągu trzydziestu lat zgromadził mnóstwo notatek na temat sprawy. Jeśli chcecie, możemy je wam pokazać.

– Z przyjemnością je zobaczymy – odparł Żenia. – Co jego zdaniem tam się stało?

– Dziadek Jekatieriny uważał, że turyści padli ofiarą nieudanego eksperymentu militarne – stwierdził Maksym. – Przez lata próbował tego dowieść, analizując wojskowe raporty i wierząc dziurę w brzuchu partyjnym dygnitarzom. Nie zdobył potwierdzenia, ale dowiedział się, że na Uralu Północnym rzeczywiście przeprowadzano eksperymenty. Mniej więcej w tym samym czasie, na przełomie stycznia i lutego.

– Jego zdaniem wojsko schrzaniło sprawę, a potem próbowało zatuszować swój błąd – włączyła się Jekatierina. – Problem w tym, że nie mogli zrzucić winy na pogodę.

– Mieli za dużo świadków. W poszukiwania turystów zaangażowało się kilkadziesiąt osób. Zbyt wielu ludzi widziało namiot, który nie był dość uszkodzony, aby dało się obwinąć lawinę albo huragan.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby żołnierze dopuścili się tego po pijaku. Potem próbowali zatrzeć ślady, ale byli zbyt nawaleni, żeby odnaleźć ciała. Dopiero gdy...

Ten dwudziałowy słowotok strzelał jeszcze przez pół godziny. Kiedy Myszkinowie wreszcie skończyli, Żenia i Uzi czuli się przebodźcowani. Zbombardowani informacjami, hipotezami, wyjaśnieniami i anegdotami. Myszkinowie potrafili całkiem wiarygodnie wytłumaczyć, jak głupota wojskowych doprowadziła do śmierci dziewięciorga młodych

ludzi, ale nie mieli na to jednoznacznych dowodów. Te setki słów, jakie z siebie wyrzucili, były tylko całkiem zgrabną spekulacją.

Żenia i Uzi opuścili ich gabinet z kilkoma pudłami notatek, które obiecali zwrócić za kilka tygodni. Załadowali je do bagażnika i odjechali.

25 STYCZNIA 1959

DANIELA

Kiedy dotarli do Wiermukowa, Daniela wreszcie poczuła, że wyrwała się ze szponów codzienności. Może to przez majaczące na horyzoncie pagórki, nieśmiało przebijające się przez mleczną powłokę, która spowijała miejscowość. Może ze względu na to, że byli już jakieś pięćset kilometrów od Niestierowa i coraz mocniej odczuwali bliskość nieprzystępnej Północy. A może w końcu dotarło do niej, że najbliższe dni mogą być najprzyjemniejszymi albo najnędniejszymi w jej życiu. I że wszystko zależy od niej.

Ostatnia większa osada na ich drodze była przede wszystkim domem dla pracowników lokalnych tartaków, zaopatrujących w drewno wieś i miejscowości leżące na południe od Wiermukowa. A także tymczasowym miejscem przymusowej pracy dla tysięcy więźniów, których zwieziono tu z pobliskich obozów. Daniela miała jedynie mgliste pojęcie o życiu w takich placówkach, choć słyszała na ten temat najróżniejsze historie. Większość brzmiała niewiarygodnie. Trudno było jej uwierzyć, że więźniowie mogą być ofiarami systemu reprezentowanego przez obozowych katów i ich partyjnych przełożonych. W końcu ten mechanizm został wymyślony po to, aby odrobaczyć społeczeństwo. Pozbyć się z jego struktur najgroźniejszych i najbardziej jątrzących jednostek. Ukarać niebezpiecznych wrogów socjalizmu. Więźniowie musieli tam trafiać z jakichś powodów. A przecież nie może stawiać się w roli ofiary ten, kogo dosięga sprawiedliwość.

Daniela uznała, że to właśnie odwiedzający osadę więźniowie tworzą jej niepokojącą atmosferę. Mimo to ona i jej znajomi czuli się tam dobrze. Kiedy razem z grupą Denisa Kalinina dotarli do kantyny w samym sercu Wiermukowa, wszyscy byli w świetnych nastrojach.

No, prawie wszyscy.

– Za dwie godziny wyjeżdżamy – oznajmił Kalinin, podchodząc energicznym krokiem do swojej ekipy, która razem z grupą Gonczara zajmowała większość lokalu. – Dogadałem się z kierownikiem jednego z obozów. Przyjechali tu w kilka ciężarówek. Część strażników zostaje w Wiermukowie, dzięki czemu w drodze powrotnej będą mieć sporo wolnych miejsc. Mogą nas podrzucić jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód. – Spojrzał na Wiktora, a następnie poklepał go po ramieniu. – Wygląda na to, że się rozstajemy.

W pomieszczeniu zapanowało poruszenie. Członkowie ekipy Kalinina w pośpiechu dokańczali jedzenie i dopijali herbatę. Współtowarzysze Gonczara mieli wyruszyć dopiero nazajutrz, więc teraz skupili się na dawaniu kolegom uszczypliwych rad: nie pozagryzajcie się tam, nie spadnijcie ze szczytu, nie zapomnijcie majtek na zmianę, nie dajcie się zgwałcić więźniom.

– Mamy pół dnia na relaks i odpoczynek – powiedziała Daniela, zwracając się trochę do Wiktora, a trochę do całej grupy. – Przyda się.

– Dzień w plecy – odburknął Gonczar.

– Przynajmniej się wyśpimy – zauważył Leon. – Dyrektor tartaku obiecał nam zakwaterowanie w domu gościnnym. Z zewnątrz wygląda ładnie.

– Gdybym chciał się wyspać w ładnych warunkach, nie wyjeżdżałbym z Niestierowa. – Wiktor zakołysał szklanką. – A gdybym chciał się napić letniej herbaty, tobym o taką poprosił.

Wstał od stołu.

– Gdzie idziesz? – spytała Daniela.

Wiktor uniósł szklankę.

– Na zewnątrz będę miał wrażenie, że jest ciepła.

Zaraz po posiłku zebrali się przed lokalem, skąd odebrał ich dyrektor tartaku i zaprowadził do noclegowni. Przy okazji mogli pobieżnie zwiedzić wioskę, która wcale nie była taką dziurą, za jaką ją uważali. Miała szkołę, parę sklepów, a nawet kino. We mgle i przy lekko sypiącym śniegu wyglądała nieco magicznie.

Dom gościnny także miło ich zaskoczył. Mając na uwadze dotychczasowe doświadczenia z podróży i perspektywę spędzenia wielu nocy w namiocie, nie oczekiwali zbyt dużo. Tymczasem dyrektor dał im do dyspozycji cały budynek, więc każdy miał pokój dla siebie.

Kiedy się zakwaterowali, wyszli, żeby się pożegnać z ekipą Kalinina, którą spodziewali się spotkać dopiero po powrocie na uczelnię. Daniela zobaczyła, że Wiktor uściśnął dłoń Denisa, po czym samotnie oddalił się w kierunku niewielkiego drewnianego mostu. Postanowiła do niego podejść.

– Czegoś takiego się nie spodziewałam – powiedziała, wskazując kciukiem dom gościnny. – A wiele osób mnie ostrzegało, że nie spotkamy tu dobrych ludzi. Nie cieszysz się?

– Straciliśmy pół dnia – przypomniał Wiktor. – Z czego miałbym się cieszyć?

– Przecież z nikim się nie ściągamy. Denis i jego chłopcy mają inną trasę. Wszystko jest tak zaplanowane, że nie musimy się przejmować podobnymi rzeczami.

– No właśnie. Może niewystarczająco dobrze to zaplanowaliśmy. Może powinniśmy usiąść w kółku i przegadać nasz plan. Wtedy ludzie nie mieliby go tak głęboko w dupie.

– O co ci chodzi?

– Ruszamy się jak muchy w smole. Ciągłe mamy jakieś opóźnienia.

– W dziesięcioosobowej grupie nie da się ich uniknąć. Wiedziałaś o tym. – Zbliżyła się do Gonczara. – O co chodzi?

Wiktor spojrział na Danielę. A właściwie na jej kościstą dłoń, która wylądowała na jego przegubie.

– O nic. – Odwrócił się, automatycznie strącając jej rękę, i posłał odjeżdżającemu Kalininowi fałszywy uśmiech. – Prześpijmy się i spierdalajmy stąd. Nie chcę już tracić więcej czasu.

7 STYCZNIA 2020

Zakończyli ten pracowity dzień w tym samym miejscu, w którym go rozpoczęli – w kawiarni u Iriny. Kiedy Uzi wyszła do toalety, Żenia zamienił słówko z wyjątkowo ciekawską właścicielką lokalu, która chciała się czegoś dowiedzieć na temat jego nowej koleżanki. Kiedy pobieżnie zaspokoił ciekawość Iriny, obiecując, że kiedyś opowie jej więcej, dała mu spokój, a on wrócił do przeglądania protokołów sekcji zwłok.

Zdaniem specjalistów medycyny sądowej, którzy przebadali ciała gonczarowców, sprawa była jasna. Pięcioro turystów zmarło wskutek hipotermii: znalezieni nieopodal ogniska Aleksiej i Dinar, a także ta trójka, która prawdopodobnie próbowała wrócić do namiotu – Wiktor, Klara i Emil. Nie licząc siniaków, otarć i drobnych ran, których mogli się nabawić na tysiąc różnych sposobów, nie mieli obrażeń sugerujących, że uczestniczyli w jakiejś awanturze. Ale pozostałych czworo – Daniela, Marat, Emil i Misza – skończyło znacznie gorzej. Stwierdzono u nich między innymi skomplikowane złamania żeber, pęknięcia czaszki, liczne krwotoki wewnętrzne, a nawet utratę gałek ocznych. Brak języka Daniela stał się zaś powodem wieloletnich spekulacji. Część osób – jak Kosariw – uważała, że jest to skutek procesów gnilnych, którym pomogły roztopy. Inni twierdzili, że to sprawka zwierząt. Ale byli też tacy, według których dziewczynę okaleczyli naćpani Wortowie, zbiegli więźniowie z jednego z pobliskich obozów albo sami jej koledzy.

Żenia też się zastanawiał, czy to możliwe, żeby gonczarowcy wzajemnie się wykończyli. Dokładnie przestudiował życiorysy wszystkich uczestników wyprawy. Miał wrażenie, że się całkiem nieźle poznał z pewnym siebie Wiktorem, mrukliwym Maratem czy wesołkowatym Leonem. Żył już jednak wystarczająco długo, aby wiedzieć, że nawet z najobszerniejszych raportów nie da się wydobyć prawdy na temat ludzi.

Tylko czy którykolwiek z turystów, nie licząc tajemniczego Miszy Klimienki, do dzisiaj stanowiącego zagadkę dla śledczych i historyków, mógłby wykończyć kolegów, a potem targnąć się na własne życie?

Pytań, które nie dawały Żeni spokoju, było jednak więcej. Dlaczego w środku nocy turyści rozdarli namiot i wybiegli na siarczysty mróz? Co ich przestraszyło? Dlaczego się rozdzielili? Skąd na ubraniach niektórych z nich wzięły się ślady promieniowania? Czy to możliwe, że ktoś zamordował te dzieciaki?

– Przepraszam. – Po jakimś kwadransie Uzi wróciła do stolika. – Musiałam pogadać z chłopakami.

– Nie tęsknią? – spytał Żenia.

– Pewnie tęsknią, ale Kola nigdy się do tego nie przyzna, a Szymon czasem zachowuje się tak, jakby miał aspergera.

– A ty?

Wzruszyła ramionami.

– To zabrzmi okropnie, ale przyzwyczaiałam się do widywania ich rzadziej, niżbym chciała. Mam nadzieję, że kiedyś Kola zrozumie, z czego to wynikało, i nie będzie miał mi tego za złe.

Żenia uniósł brwi.

– Być może nie powinienem się wymądrzać, ale wydaje mi się, że jako autor niezliczonej liczby rodzicielskich błędów nauczyłem się dostrzegać je u innych. Obawiam się, że nawet jeśli Kola wyrośnie na bardzo empatycznego mężczyznę, może nie załapać twoich intencji.

– Wróćmy do sprawy – Uzi ucięła temat, wskazując palcem dokumenty. – Wywnioskowałeś coś z tych raportów?

Żenia wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, rozdrapując w myślach poprzedni wątek, po czym pokręcił głową.

– Mam jeszcze więcej pytań niż na początku. W dodatku na większość z nich nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć samodzielnie.

– I tak jest postęp. Zredukowaliśmy liczbę teorii z siedemdziesięciu pięciu do czterdziestu dwóch.

– Być może kilkanaście kolejnych uda nam się wykluczyć po przejrzeniu materiałów ojca Daniela. Facet zafiksował się na hipotezach dotyczących eksperymentów wojskowych. Coś mi się zdaje, że jego dowody na prawdziwość tej teorii nie wytrzymają konfrontacji z faktami. Tak czy inaczej, wpadnij do mnie jutro. – Żenia zderzył się z pełnym sprzeciwem wzrokiem Uzi. – Tych materiałów jest od cholery. Trudno byłoby je wszystkie skopiować. No i to, że paradujemy z nimi po punktach ksero, mogłoby się nie spodobać twoim szefom.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Bez obaw. Potrafię trzymać łapy przy sobie. Jeśli nie wierzysz, zapytaj Iriny. – Żenia powiedział to na tyle głośno, że przechodząca obok kobieta zatrzymała się przy ich stoliku.

– Od miesiący próbuje mnie złować, a ja nawet nie uszczypnąłem jej w tyłek.

Irina przez moment wyglądała tak, jakby nie była pewna, czy powinna się roześmiać, czy zdzielić Żenię po gębie.

– I on myśli, że to ze mną jest jakiś problem – stwierdziła.

Kobiety wymieniły się nieco wymuszonymi uśmiechami. Następnie Irina poszła do innych klientów, a Uzi ponownie skupiła się na Żeni.

– Zgoda – powiedziała. – Tak rzeczywiście będzie wygodniej.

Spojrzał na zegarek. Wybiła dwudziesta.

– Czy jesteś przekonana, że twój szef chce odkryć prawdę? – zapytał.

– Fiodorow? – zdziwiła się Uzi. – Gdyby mu na tym nie zależało, to po jaką cholere otwierałby śledztwo?

– Nie wiem. Ale wczoraj o tej porze odwiedził mnie jego przydupas ze swoimi goryłami.

Uzi odsunęła się do tyłu, jakby uderzyła ją w twarz chmura smrodu.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Zastanawiałem się, czy w ogóle ci powiedzieć. Wywrócili moje mieszkanie do góry nogami. Szukali na mnie haków.

Żenia uważnie obserwował reakcję Uzi. Chciał sprawdzić, czy o tym wiedziała. Wyglądała jednak na szczerze zaskoczoną.

– Jeśli miałabym zgadywać, powiedziałabym, że to pomysł Janina – stwierdziła. – Facet jest reliktem minionej epoki. Gdyby urodził się pół wieku wcześniej, zostałby obozowym katem.

– Milutko. Ale to nie tłumaczy, dlaczego traktuje mnie jak wroga. Zupełnie jakbym robił coś wbrew jego woli.

– Bo być może tak jest. Nie zdziwiłabym się, gdyby Janin wykonywał polecenia Fiodorowa, jednocześnie fundamentalnie się z nim nie zgadzając. Niektórzy uważają, że nasza historia zbudowana jest z niedopowiedzeń i sekretów. I że tak powinno pozostać.

– Może mają rację.

– Nie. Nie mają. – Uzi pociągnęła ostatni łyk dawno wystygłej herbaty. – Wracam do hotelu. Nie musisz mnie odwozić. – Wstała. Rzuciła na stolik dwusturublowy banknot. – Widzimy się jutro. Będę chwilę przed ósmą.

Błyskawicznie ulotniła się z lokalu, a Żenia poczuł, że dorzuciła mu kolejną garść pytań, na które powinien poszukać odpowiedzi. Czemu tak szybko ucieła dyskusję o Prochowcu? Co ją tak spłoszyło? I kim jest dla niej Fiodorow?

– Sztymniara, nie dla ciebie – oceniła Irina, która ponownie pojawiła się obok Żeni. – Podać ci coś? Może drugą kawę? Albo shotę?

Żenia potrząsnął głową.

– Dzięki, ale muszę jeszcze coś załatwić.

Zerwał się od stołu. Zapłacił za kawę, ściągnął kurtkę z oparcia i ruszył do wyjścia.

25 STYCZNIA 1959

KLARA

Kochał ją. Bardziej niż kogokolwiek przedtem. Bardziej, niż sądził, że to możliwe. Problem w tym, że był wyrzutkiem i rozrabiaką, przyzwyczajonym do życia w odseparowaniu. W dodatku kraj sposobił się na wojnę. Ona też go kochała. Bez opamiętania. Wbrew logice. Pomimo protestów rodziny, która jednomyślnie jej radziła: uciekaj, dziewczyno, odkochaj się, zanim będzie za późno. Tyle że ona nie zamierzała nikogo słuchać. Serce podejmowało za nią decyzje. I to ono, jak się okazało, doprowadziło ją do tragedii.

Przystanek przed niebem. Klara uwielbiała ten film. Wzruszał ją. A jednocześnie wywoływał ukłucie zazdrości, ponieważ sama pragnęła doświadczyć tak silnego uczucia. Kiedy się dowiedziała, że jest wyświetlany w kameralnym kinie w Wiermukowie, była wniebowzięta. Ale gdy w połowie seansu emocje puściły, poczuła się senna. Gotowa zlec na pierwszym lepszym skrawku ziemi. Uwielbienie dla ukochanego romansu przegrało ze zmęczeniem.

Opuściła salę kilka minut przed końcem filmu. Dokładnie się opatulila, wiedząc, że rozespana będzie bardziej wrażliwa na mróz, po czym wyszła z kina. Momentalnie pożałowała, że najcieplejsze ubrania zostawiła w pokoju, ponieważ na zewnątrz rozpełtało się piekło. Pośrodku zamieci i w temperaturze sięgającej dwudziestu stopni poniżej zera miała wrażenie, jakby wbijała się w wypełnioną wirującymi kryształkami przestrzeń, z której nikt ani nic nie ma prawa wyjść żywe. Widoczność była praktycznie zerowa, tym bardziej że zapadł zmrok, a w żadnym z budynków sąsiadujących z kinem nie paliło się światło. Na szczęście miasteczko było zbyt małe, żeby się w nim zgubić.

Klara szła mocno pochylona, skupiając się na maleńkich krokach stawianych na śnieżnej pokrywie. Nie słyszała nic oprócz własnych myśli oraz przeciągłych syknień wiatru. Ale gdy ten cichł, rozbrzmiewały głośnie skrzypnięcia wydobywające się spod jej ciężkich butów.

W pewnym momencie się zorientowała, że tym skrzypnięciom wtórują jeszcze inne.

Ktoś ją śledził.

Była już blisko domu gościnnego, więc zacisnęła zęby i przyspieszyła. Chciała czym prędzej dotrzeć do budynku. I pewnie dałaby radę, gdyby nie potknęła się o kamień ukryty pod jedną z zasp.

Przewróciła się. A zanim się pozbierała, poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Chwilę później usłyszała znajomy głos.

– Nic ci nie jest? – zapytał Aleksiej.

– Nie! – odparła, a właściwie odkrzyknęła, ponieważ ponownie zaczął dąć wiatr. – Chodźmy stąd!

Aleksiej pomógł jej wstać i wkrótce dotarli do celu. Zatrzymali się na ganku, żeby otrzepać śnieg z butów, i weszli do środka. W domu było solidnie nagrzane, więc natychmiast zaczęli się pozbywać mokrych ubrań. A kiedy ich krótka entropia ustała, Klara posłała Aleksiejowi wdzięczny uśmiech. Pierwszy od wielu tygodni.

– Dziękuję – powiedziała.

Aleksiej machinalnie pokiwał mokrą głową. A potem wyprowadził cios, którego zupełnie się nie spodziewała.

– Dlaczego mnie zostawiłaś?

Klara miała nadzieję, że się przesłyszała. Że jej złośliwa wyobraźnia zdeformowała słowa Aleksieja. Ale ponaglące spojrzenie byłego podpowiadało, że brzmiały dokładnie tak, jak do niej dotarły.

– Nie zostawiłam cię – odparła. – To ty mnie odtrąciłeś po wizycie u moich rodziców.

– Widziałem, jak na mnie patrzyli.

– Niby jak?

– Jak na lumpa. Jakbym na ciebie nie zasługiwał.

– Nic takiego nie powiedzieli.

– Nie musieli. Można to było wyczytać z ich twarzy.

– No i co z tego?! – wydarła się Klara. – Czy to, że cię nie polubili, automatycznie przekreśliło nasz związek? Nie mogliśmy się spotykać, bo marzyli o innym zięciu? Nie. To ty wszystko spieprzyłeś. Zacząłeś traktować mnie jak powietrze.

Aleksiej szybko odtworzył w pamięci ich ostatnie wspólne dni. To prawda – uraził go sposób, w jaki został potraktowany przez rodziców Klary, a nie przez nią. To prawda – po spotkaniu zachowywał się wobec niej oschle, jakby to ona nastawiła matkę i ojca przeciwko niemu. Prawdą było także to, że sam się zastanawiał, czy w tej sytuacji kontynuowanie związku ma sens. Ale nie on postanowił go zakończyć.

– Co on takiego ma w sobie? – zapytał.

– Kto?

– Wiesz kto. – Aleksiej wskazał brodą pokój, który kilka godzin wcześniej zajął Wiktor Gonczar. – Przecież to przemądrzały buc. Ma gdzieś ciebie i całą tę wycieczkę. Myśli tylko o sobie. O karierze, o podróżowaniu, o kolejnych osiągnięciach. Zależy mu wyłącznie na tym, żeby każdy go podziwiał.

– Przynajmniej na czymś mu zależy – odparła Klara. – A ty? Masz jakiś cel? Chcesz coś osiągnąć czy zamierzasz przebimbać całe życie jak twoi starzy?

Aleksiej miał nieodpartą ochotę zdzielić ją w twarz. Zedrzyć z niej ten wnerwiający uśmieszek, którym próbowała go upokorzyć.

– Pieprzyłaś się z nim – powiedział. – Jeszcze porządnie ze mną nie zerwałaś, a już dałaś mu dupy.

– Nie! – wrzasnęła. – Z nikim się nie pieprzyłam.

Kiedy to powiedziała, otworzyły się drzwi do budynku. Na czele kilkusobowej grupy szli Daniela i Ilja. Pochód zamykał Wiktor. Zawarł szczelnie drzwi, a następnie podszedł do Aleksieja i Klary.

– Jutro rano wybierzemy się do leśniczego – oznajmił. – Może pożyczysz nam swoje mapy. Albo chociaż zasugeruje, jaką drogę powinniśmy obrać. Nie zaśpijcie.

Powiedziawszy to, rzucił przelotne spojrzenie Klarze, po czym schował się do pokoju.

7 STYCZNIA 2020

Najpierw pasmo biodrowo-piszczelowe oraz mięśnie pośladkowe. Potem – czworogłowy uda, zwykle najbardziej spięty, a przez to zadający najwięcej cierpienia. Po nim zabiera się do łydki oraz tyłu uda. Na koniec zostawia przywodziciela, który sprawia mu najwięcej trudności. Musi wepchnąć roller pod wewnętrzną część uda, a następnie, wykorzystując ramiona i wolną nogę jako punkty podparcia, przesuwając wałek na odcinku od kolana do biodra. Czuje się wtedy tak, jakby próbował zgwałcić podłogę.

Po kwadransie rolowania Żenia zerwał się na równe nogi. Masaż poprzedzający trening biegowy powinien mu zapewnić odprężenie i rozluźnienie. Ale tym razem było inaczej. Tym razem wydawało mu się, że ściany jego mieszkania zaczynają się zapadać. Że ginie pod ich ciężarem. Stłamszony, ośmieszony, zgnojony, ogłupiony. Wmanewrowany w sytuację, w której nie miał ochoty się znaleźć. I jeszcze parę dni temu głęboko wierzył, że nigdy się nie znajdzie.

Uruchomił uśpiony komputer i jeszcze raz przejrzał karty przeglądarki. Trzy rzeczy szczególnie go martwiły.

Jedną z nich było to, że Uzi praktycznie nie istniała w mediach społecznościowych. Miała profile w kilku serwisach, ale ograniczała się do podawania jedynie szczątkowych informacji na temat swojej pracy. Żadnych zdjęć, odnośników, komentarzy do rzeczywistości. Spodziewał się, że dziewczyna tak silnie nastawiona na sukces będzie próbowała jakoś podkreślić w sieci swoje dokonania. Nieświecenie gębą w internecie to oczywiście nic złego, ale biorąc poprawkę na to, jak ekspansywną osobą jest Uzi, coś mu w tym nie pasowało.

Drugim zmartwieniem był brak danych na temat Igora Janina. W wypadku Fiodorowa można się było zastanawiać, czy ma coś wspólnego ze służbami specjalnymi, ale jeśli chodzi o faceta w prochowcu, sprawa była jasna. Żenia spotkał w życiu kilku agentów, którzy doskonale ukrywali swój fach, ponieważ tego wymagała ich misja. Ale poznał też paru

takich jak Janin: obcesowych, oślizgłych, aroganckich. Wywodzących się z kręgów wojskowych albo milicyjnych. Nawet niemających ochoty udawać, że są kimś innym. Janin chciał, aby Żenia miał poczucie, że ktoś nieustannie przystawia mu nóż do gardła. Pytanie: dlaczego? Chciał go zmotywować do cięższej pracy czy wręcz przeciwnie – sprawić, że się przestraszy i wycofa? Jeżeli to drugie, to dlaczego Fiodorow w ogóle wszczął to śledztwo? I po jaką cholereę zaangażował w nie tego upiornego typa?

Trzecim problemem był sam Fiodorow. O nim Żenia wiedział najwięcej, ponieważ facet był gwiazdą internetu. Brylował na wiecach politycznych, uroczystościach państwowych, eventach biznesowych. Wypowiadał się w mediach na najbardziej kontrowersyjne tematy: od głośnych zabójstw po zmiany w sądownictwie. Zawsze przygotowany, przystojny, onieśmielający dziennikarzy. Praktycznie nie zaliczał wpadek. A skoro tak dobrze mu szło, to po jaką cholereę pochylił się nad sprawą, która mogła przysporzyć mu więcej problemów niż korzyści? Dlaczego tak zaryzykował? Co zamierzał ugrać?

Żenia odsunął się od komputera i zapalił papierosa. Podeszedł do pudeł, które dostali od szurniętych Myszkinów, i zaczął je wypakowywać. Kiedy skończył, podłoga w jego pokoju wyglądała niczym sanktuarium gonczarowców. Była namacalnym dowodem wieloletniej obsesji Romana Kutuzowa, który poświęcił całą jesień życia na próbę wyjaśnienia, co spotkało jego córkę i ośmioro jej znajomych na zboczu góry Alatanaj.

Ojciec Danieli zgromadził masę raportów kryminalnych i medycznych, mnóstwo zdjęć oraz kilkaset stron własnych notatek i obserwacji. Jego zbiór nie ustępował temu, z jakim zetknęli się w archiwum w Niestierowie. A nawet pod wieloma względami go przerastał, ponieważ był znacznie bardziej nieformalny i osobisty.

Żenia usiadł po turecku, postawił obok siebie popielniczkę i zaczął wyciągać pogrupowane skrupulatnie zdjęcia. Najświeższe pochodziły sprzed dwunastu lat, a więc zostały zrobione niedługo przed śmiercią Romana Kutuzowa. Ojciec Danieli dokumentował absolutnie wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się ze sprawą gonczarowców – z fotografiami zagranicznych dziennikarzy, którzy pisali o przełęczy, włącznie. Przez to większość materiałów była dla Żeni zupełnie bezwartościowa.

Ale jedno zdjęcie przykuło jego uwagę. Wziął je do ręki. Kilkoro dzieciaków pod szczytem Alatanaj. Nieco zziąpanych, ale uśmiechniętych, zadowolonych i beztraskich. Pozujących bez czapek i okularów. Wyraźnie celebrujących dotarcie do miejsca, w którym kilkadziesiąt lat wcześniej ich rówieśnicy zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Niby nic szczególnego. Ale Żenia poświęcił sporą część życia – czy to w armii, czy w milicji, czy we własnej agencji detektywistycznej – na rozpoznawanie ludzi ze zdjęć i odnajdywanie ich w rzeczywistości. Miał dobre oko do twarzy. I ogromną łatwość ich zapamiętywania.

A jednego z turystów, którzy szczerzyli kły do obiektywu, z pewnością już gdzieś widział. I to całkiem niedawno.

Podniósł się z podłogi i ponownie wybudził komputer. Jeszcze raz zajrzał do internetu. Po mniej więcej minucie znalazł to, czego szukał.

– Niech żyją obsesje – mruknął pod nosem.

Być może odpowiedź na jedno z dręczących go pytań była znacznie prostsza, niż mu się zdawało.

7.

26 STYCZNIA 1959

ILJA

Byłem cholernie naiwny, pomyślał Ilja Bielów. Dlaczego sądziłem, że ta noc coś zmieni? Że nagle poczuję się jak nowo narodzony? Że wszystkie usztywnienia puszczą, kiedy tylko na kilka godzin wyląduję w normalnym łóżku?

Rwa kulszowa coraz silniej dawała się Ilji we znaki, ale nie mógł się do tego przyznać Wiktorowi. Jeszcze nie teraz. Musiał wytrzymać co najmniej do połowy drogi. Aż znajdą się wystarczająco daleko, by bardziej im się opłacało dokończyć wyprawę, niż zarządzić odwrót.

Po śniadaniu część osób wróciła do domu gościnnego, a pozostali wybrali się w odwiedziny do człowieka uchodzącego za największego znawcę tutejszych tras, lasów i gór. Wiktor zabrał na to spotkanie Klarę, Aleksieja, Miszę oraz Ilję.

Klara była jego dziewczyną. Z Aleksiejem nie zawsze się zgadzał, ale obaj świetnie sobie radzili w górach. Misza miał największe doświadczenie spośród wszystkich uczestników wyprawy. Ale Ilja? Cherlawy, chorowity i słaby Ilja? On co najwyżej mógł się dowiedzieć, że czeka ich bardzo ciężkie zadanie. Cięższe, niż ktokolwiek przypuszczał. I pewnie właśnie o to chodziło Wiktorowi. Chciał zniechęcić Ilję do dalszej podróży, zanim swoją ułomnością przysporzy sobie i wszystkim problemów.

Po wczorajszej nawałnicy nie został nawet ślad. Dzień był suchy, słoneczny i mroźny. Dzięki temu prowadzona przez Wiktora delegacja bez problemu odnalazła dom leśniczego. Mężczyzna mieszkał w drewnianej chacie na obrzeżach Wiermukowa, wzniesionej na niewielkim wzgórzu, które izolowało ją od pozostałych zabudowań. Nazywał się Daniel Rodin. Dyrektor tartaku powiedział, że leśniczy jak mało kto zna Ural Północny, tyle że jest nieco zdziwaczały, mrukliwy i nieufny. Zwłaszcza wobec miastowych.

Rodin okazał się chudym, zaniedbanym facetem o długich siwych włosach i ogorzalej twarzy. Musiał się rzadko stykać z ludźmi, ponieważ nie potrafił się z nimi obchodzić. Nie wyglądał na poczciwego komunistę. Nie zachowywał się jak poczciwy komunista. Nie był poczciwym komunistą.

– Odpuście – mruknął pod nosem, podejmując delegację przed wejściem do domu. – To nie są trasy dla mieszczuchów.

– Każdy z nas ma duże doświadczenie górskie – zachnął się Wiktor. – Robiliśmy już takie trasy na Uralu i w znacznie wyższych górach.

– Gdybyście byli tak doświadczeni, jak mówisz, toby was tutaj nie było.

Wiktor ciężko wypuścił powietrze. Gotów był zawrócić, ponieważ nie miał najmniejszej ochoty użerać się z przemądrzałym dziadygą. Ale wtedy do akcji wkroczył Misza.

– Podobno ma pan niezłe mapy okolicy – powiedział. – Jeżeli to nie kłopot, chętnie rzucilibyśmy na nie okiem.

Leśniczy przyjrzał mu się uważnie, a potem zmierzył wzrokiem pozostałych. Wreszcie szerzej otworzył trzeszczące drzwi i ruszył w głąb domu.

– Przyjemniaczek – szepnął Misza, po czym pierwszy wszedł do budynku.

Ilja zrozumiał, dlaczego Rodin nie chciał ich wpuścić. Jego chata przypominała wykute w drewnie siedlisko sfiksowanego jaskiniowca. Śmierdziało w niej wędzonym mięsem, zwierzęcą krwią i niepowalającą higieną gospodarza. W dodatku było tam dość upiornie. Do jednej ze ścian w korytarzu leśniczy poprzybijał lby upolowanych zwierząt: reniferów, wilków, lisów, a nawet niedźwiedzia. Na przeciwległej wisały rozmieszczone w równych odstępach obrazy. Były do siebie bliźniaczo podobne: każdy przedstawiał kopulaste śnieżne szczyty wylaniające się znad zalesionego stoku. Pod obrazami stała niewielka komoda, na której sterczało kilkadziesiąt identycznych drewnianych figurek.

Ilja sięgnął po jedną z nich i uniósł ją na wysokość oczu. Nie potrafił stwierdzić, czy przygląda się niezbyt precyzyjnie wyciosanemu człowiekowi, czy jakiemuś dziwacznemu stworowi.

– Odłóż to – warknął Rodin, zatrzymując się przed wejściem do izby. – Dotykanie relikwii bez zgody ich właściciela może osłabić twojego ducha. A tego byś nie chciał.

Leśniczy zaprowadził turystów do pomieszczenia, które musiało pełnić kilka funkcji jednocześnie: pokoju gościnnego, sypialni oraz kuchni. Nie zaproponował herbaty i nie pozwolił na niczym usiąść, a więc raczej nie zakładał, że ich wizyta potrwa długo. Wyciągnął z szafki kilka map i rozłożył jedną z nich na nieheblowanym stole. Wiktor wytłumaczył Rodinowi, jaką trasą zamierzają pójść. Leśniczy cierpliwie go wysłuchał, po czym pokręcił głową.

– Wortowie nie będą zachwyceni – powiedział.

– Nie mamy złych intencji – odparł Gonczar. – Poza tym słyszeliśmy, że Wortowie to pokojowi ludzie.

– Pokojowi czy nie, nikt nie lubi intruzów na swojej ziemi.

– To nie jest ich ziemia, tylko nasza wspólna. Radziecka. Każdy ma do niej takie samo prawo.

Rodin popatrzył na Gonczara jak na heretyka.

– Wortowie to tylko jeden z problemów. Być może najmniej istotny. – Zapalił papierosa. Następnie zgasił zapalną i wskazał nią punkt na mapie. – Do tego momentu będziecie się mierzyć z nierównomiernie zamrożniętymi rzekami, kilkumetrowymi zaspami, których nie da się pokonać na nartach, i ze szczelinami kryjącymi się pod śniegiem. Wychłódzicie dupy, ale powinniście przeżyć. Za to później znajdziecie się na całkowicie odsłoniętym terenie. Bezbronni wobec natury. W tym rejonie wiatr potrafi wiać z taką prędkością, że strąca ludzi ze stoków.

– Widział pan kiedyś coś takiego?

– Wystarczy, że o tym słyszałem.

– Od Wortów?

– Od Boga. – Rodin tajemniczo się uśmiechnął. – Dużo czasu zamierzacie spędzić na tej wysokości?

– Przewidujemy przynajmniej dwa noclegi na otwartym terenie. Stamtąd będzie nam łatwiej zaatakować szczyt.

Leśniczy wzruszył ramionami.

– Jeżeli lubicie cierpieć, to proszę bardzo.

Kiedy Rodin i reszta pochylali się nad mapą, Ilja przeszedł na drugą stronę izby. Pomiędzy oknem a kominkiem ustawiona była sterta przykrytych płachtą drewnianych skrzynek. Ilja ostrożnie uniósł materiał. Większość skrzyń wypełniały słoiki z przetworami, a także worki z ziemniakami, marchwią, cebulą i innymi warzywami – typowe zimowe zapasy. W kilku leżały zużyte narzędzia i ubrania – też nic nadzwyczajnego. Ale jedna skrzynka zdecydowanie różniła się od pozostałych. Ilja przykucnął i zajrzał do środka. Zobaczył te same drewniane figurki, jakie dostrzegł w korytarzu, oraz kilkanaście obrazów leżących jeden na drugim. Widział tylko pierwszy z nich, ale domyślił się, że pozostałe wyglądają dokładnie tak samo.

– Mówiłem, żebyś niczego nie ruszał. – Leśniczy przybrał taki ton, jakby tym razem naprawdę się zezłościł.

– Niczego nie dotknąłem – bronił się Ilja. – Ja tylko...

– One tracą swoją moc, gdy są nieodpowiednio traktowane.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że to dla pana takie ważne.

Rodin wyprostował się i przez kilka sekund mierzył chłopaka wzrokiem. Następnie wycelował brudnym paluchem w Klarę.

– Ona idzie z wami?

– Tak – odparł stanowczo Misza. – To problem?

– Te góry nie są dobrym miejscem dla kobiet.

– Poradzę sobie – odparła Klara. – Potrafię o siebie zadbać.

- Klara jest wytrzymalsza od większości facetów, jakich znam – dodał Wiktor.
- Ale ma dziurę między nogami. A to może mu się nie spodobać.
- Komu?
- Bogu.

Wiktor parsknął z irytacją.

– Religia to opium ludu – stwierdził. – Służy do otumaniania robotników i napychania kabzy cwany klechom. Komuniści wierzą w naukę i życie ziemskie. To o nie toczymy walkę. Bóg nie istnieje.

Rodin przyjrzał się Wiktorowi, po czym zgasił peta w zakrętce od słoika.

– I tu się mylisz, chłopcze – powiedział. – Tam, skąd pochodzisz, być może nie ma Boga. Ale tutaj jest inny świat. Inni ludzie. Inna wiara. Tutaj o doczesnym życiu w takim samym stopniu decydują nasze występki, jak i relacja z Bogiem. A tam – wycelował palcem w okno, za którym wyłaniały się las i góry – to nie my rozdajemy karty.

– Brednie – zachnął się Wiktor. – Za takie słowa można trafić do więzienia.

– Nie boję się waszych więzień. Ani tortur. Ani śmierci. Jeżeli żyjesz w zgodzie z Bogiem, niczego nie musisz się bać. – Leśniczy sięgnął po jedną ze zwiniętych map i wepchnął ją Wiktorowi do rąk. – Weźcie to. Może wam się przydać. Choć nie daje gwarancji, że stamtąd wróćcie.

Rodin przeszedł do przedpokoju, dając jasno do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. Młodzi wymienili spojrzenia, a potem ruszyli do wyjścia. Wszyscy mieli serdecznie dość tej starczej gadaniny.

Ilja szedł na końcu. Zanim opuścił chatę, leśniczy chwycił go za ramię. Chłopak próbował się wyrwać, ale starzec mimo wątlej postury okazał się zadziwiająco silny.

– Wyciągnij rękę – powiedział Rodin.

– Co? – zdziwił się Ilja.

– Daj rękę.

Po chwili wahania Ilja spełnił jego polecenie. A wtedy Rodin włożył mu w dłoń jedną ze swoich figurek.

– To święty Walery – wyjaśnił. – Patron tych, którzy mimo cierpienia i przeciwności losu zmierzają w nieznane. Będzie was strzegł tak długo, jak długo będziesz go miał przy sobie.

Ilja w końcu wyrwał się z jego uścisku. Posłał zwariowanemu starcowi ostatnie spojrzenie i wyszedł z chaty. Próbując dogonić oddalającą się grupę, schował figurkę do zewnętrznej kieszeni kurtki.

– Czym się zajmują twoi rodzice?

Uzi oderwała wzrok od dziesiątków zdjęć, wycinków prasowych i dokumentów, które Żenia starannie ułożył na dywanie, i skupiła się na nim. Na facecie, który wyglądał tak, jakby od kilkudziesięciu godzin nie spał. Który ledwo trzymał papierosa między drżącymi palcami. Który wskutek zmęczenia i nadmiaru kofeiny prawdopodobnie uległ tymczasowej niepo czytalności.

– Ojciec długo był dyrektorem teatru – odparła. – Zaczynał jako aktor, potem reżyserował, a na koniec został szefem interesu. Matka przez pewien czas u niego pracowała. Podobno nie miała drygu do aktorstwa, ale bardzo chciała się zbliżyć do człowieka, którego zobaczyła w jednej ze sztuk. W końcu dopięła swego.

– W domu pewnie było dużo literatury – powiedział Żenia.

– Oczywiście. Wychowałam się na książkach. Dostojewski, Nabokow, Virginia Woolf, Hemingway. Łykałam wszystko, co było pod ręką.

– A skąd się wzięło prawo?

– Chyba z przekory. Ojciec nie znosił prawników. Mówił, że to sępy żywiące się ludzkimi tragediami. Zawsze mnie do nich negatywnie nastawiał. A im usilniej się starał, tym bardziej ciągnęło mnie do ich świata. Poza tym... – przerwała w chwili, gdy się zorientowała, że Żenia jej nie słucha – ...do czego zmierzasz?

Żenia stał przy biurku, które stanowiło główny punkt jego spartańsko urządzonej pracowni, i stukał w klawiaturę.

– Zgodzisz się, że niedaleko pada jabłko od jabłoni? – zapytał.

– Pewnie tak. Choć ja akurat nie jestem tego najlepszym przykładem.

– Wręcz przeciwnie. Twoi rodzice wywodzą się z inteligencji. Zarazili cię pasją do zdobywania wiedzy, więc nie porzuciłaś nauki, choć z dzieciakiem na karku pewnie nie było to takie proste. A kto wie, może twój ojciec celowo nastawiał cię przeciwko prawu, wiedząc, że niepokorna córka zrobi coś dokładnie odwrotnego do jego sugestii. – Żenia posłał jej oszczędny uśmiech. Odsunął się od komputera. – Poznajesz tego faceta?

Uzi przyjrzała się mężczyźnie z czarno-białego zdjęcia, który stojąc na tandetnym podium z kwiatami w ręce, szczyrzył się do fotografa.

– Nie interesuję się sportem – odparła. – Kto to?

– Taras Fiodorow.

– Ojciec Lwa? Prokuratora generalnego?

Żenia pokiwał głową.

– Znasz jego historię?

– Wiem, że był niezłe umocowanym politykiem, który bez większego szwanku przeszedł przez zmianę ustroju. Nie pchał się na świecznik, ale ludzie liczyli się z jego zdaniem. No

i najprawdopodobniej dał synowi niezły napęd początkowy.

– A wiedziałaś, że pochodził stąd? – Żenia zaczął przeskakiwać pomiędzy zdjęciami. Zatrzymał się na kolejnej archaicznej fotografii, na której Taras Fiodorow razem z trzema facetami w podobnym wieku pozował na jakimś zaśnieżonym szczycie. – Stary Fiodorow spędził połowę życia w Moskwie, ale wcześniej związany był z Niestierowem. Trenował biegi narciarskie w klubie, który zarówno wtedy, jak i dzisiaj organizuje wycieczki w góry. – Przesunął kursor i pokazał Uzi podpis pod zdjęciem. „Ural Północny, 1962”.

– O kurwa! – zakląła Uzi. – Myślisz, że ojciec Fiodorowa miał coś wspólnego ze śmiercią turystów?

– Wątpię. Był mniej więcej w ich wieku. Nie bardzo wiem, jak mógłby się przyczynić do śmierci dziewięciorga osób. Ale życie mnie nauczyło, że nie należy wierzyć w zbiegi okoliczności. – Żenia zgasił peta. Następnie wyjął z szuflady zdjęcie, na które natknął się poprzedniego dnia. – Poznajesz tych gości?

Uzi uniosła fotografię.

– To Władimir Czistow. – Wycelowwała palcem w drugiego mężczyznę od prawej. – Znany stołeczny adwokat. Często reprezentuje oligarchów. Podobno dorobił się na tym niemałej fortuny. O ile mi wiadomo, kiedyś kumpłował się z młodym Fiodorowem.

– No właśnie. Znalazłem to zdjęcie w rzeczach Romana Kutuzowa. Zostało zrobione dwanaście lat temu na zboczach góry Alatanaj. – Żenia popatrzył Uzi głęboko w oczy. – Jak blisko byli ze sobą Fiodorow i Czistow?

– Blisko. Uchodzili za przyjaciół.

– Jesteś w stanie się dowiedzieć, kim są pozostali faceci na zdjęciu?

– Spróbuję.

– Jeżeli to koledzy ze studiów, mam pewne przypuszczenie, kto mógł stać za aparatem.

– Fiodorow. – Uzi z niedowierzaniem potrząsnęła głową. – Jego ojciec był blisko sprawy, więc mógł się dowiedzieć o niej czegoś, co nie figuruje w oficjalnych raportach. Opowiedział o tym synowi, zarażając go zagadką. A gdy młody Fiodorow wreszcie znalazł się na pozycji, która pozwala mu coś z tym zrobić, postanowił ruszyć do ataku.

– Bingo. Ale to tylko jedno z możliwych rozwiązań. To lepsze. Drugie jest takie, że Fiodorow dorósł do pozycji, z której może w pełni chronić tajemnicę tego miejsca.

– I dlatego postanowił wznowić śledztwo? Przecież to nielogiczne.

– Z jakiegoś powodu nie zrobił tego oficjalnie.

– Myślisz, że się nami wysługuje? Że jesteśmy narzędziami w jego grze?

– Co do tego nie mam wątpliwości. Pytanie tylko, co to za gra.

Żenia zapalił kolejnego papierosa. Opadł na krzesło. Przetarł kłykciami podkrążone oczy.

– Kiedy miałaś na to wszystko czas? – zapytała Uzi.

– W nocy. Nie mogłem zasnąć.

– Znalazłeś coś jeszcze?

– Na razie tylko to. – Ponownie spojrzął Uzi głęboko w oczy. Jakby poprzednim razem nie znalazł w nich tego, czego szukał. – Jeśli o czymś mnie nie poinformowałaś, jest to dobry moment, żeby to nadrobić.

Albo mu się zdawało, albo Uzi poruszyła ustami, jak gdyby chciała coś powiedzieć. Ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Telefon – wypaliła po chwili.

– Co?

– Telefon ci dzwoni.

Żenia poderwał się z krzesła i podniósł z blatu smartfon. Po lapidarnej rozmowie schował telefon do kieszeni i pospiesznie zgasił peta.

– To grafolożka – wyjaśnił. – Zaprasza nas na herbatę.

26 STYCZNIA 1959

DINAR, LEON, KLARA, DANIELA, MISZA, EMIL, MARAT, ALEKSIEJ, WIKTOR, ILJA

Odcinek z Wiermukowa do osady drwali. Dziesięć osób ściśniętych na kipie zdezelowanej ciężarówce, zwykle przewożącej kryminalistów i wrogów ustroju. Ostatni fragment trasy, który uczestnicy wyprawy pokonają w towarzystwie obcych i nie na własnych nogach. Gdy opuszczą osadę, będą mogli liczyć wyłącznie na siebie.

– To trochę dziwne, że facet ciągle maluje ten sam obraz i rzeźbi jakieś figurki – powiedział Dinar.

– Nie powiedziałbym, że dziwne – zaoponował Leon. – To pojebane.

Młodzieńczy śmiech rozpuścił się w warkocie ciężarówce, która z mozołem wspinała się na niewielkie wzgórze.

– Ludzie na wsi są bardziej religijni – odezwała się Klara. – Nie uczą się. Nie czytają gazet. Nie chodzą na wiece. Od rana do wieczora machają cepem. Potrafią przejść przez życie, nie mając pojęcia, jak wygląda świat. To dlatego wierzą w jakieś metafizyczne bzdury.

– Nie wszyscy – zaprotestowała Daniela. – Cała moja rodzina pochodzi ze wsi, a nie ma w niej nikogo, kto pasowałby do twojego opisu. Żeby być porządnym komunistą, nie trzeba urodzić się w mieście.

– Klarze chyba chodziło o coś innego – odezwał się Misza. – Kiedy wiesz proste życie blisko przyrody, z dala od wielkowiejskich niebezpieczeństw, pędu i polityki, łatwo możesz odnieść wrażenie, że tam jest coś więcej. – Wycelował palcem w czarne, bezchmurne niebo. – Że ktoś sprytnie to wszystko reżyseruje. Kontroluje smutki i uciechy. Dbą o to, żebyśmy

każdego dnia wstali z łóżka. W mieście możesz się czuć zagubiony i samotny. Tutaj nabierasz przekonania, że nie możesz być sam, ponieważ zawsze towarzyszy ci ktoś jeszcze.

– Bzdura – obruszył się Emil. – Przecież nigdy nie jesteśmy sami. Nawet w życiu największego odludka w ten czy inny sposób roi się od ludzi. Trzeba być niespełna rozumu, aby wierzyć, że wszystko, co zbudowaliśmy dzięki potędze umysłu i siłą swoich rąk, jest zasługą jakiegoś gościa z brodą.

– Zdarzają się momenty, gdy jesteśmy zupełnie sami. – Leon, smętnie brzdąkając na mandolinie, popatrzył na kompanów. – W sraczu.

Kiedy kierowca najechał na nierówność i omal nie wyrzuciło ich w powietrze, wybuchła kolejna salwa śmiechu.

– Potrafię zrozumieć tego człowieka – powiedział Misza. – Spotkałem w tych górach wielu podobnych ludzi. Takich, którzy nie wierzą w Związek Radziecki. Którzy mają w dupie naszą rację stanu. Oddanych własnym bóstwom i przypisujących naturze nadprzyrodzone właściwości. Tego samego powinniśmy spodziewać się po Wortach. I po każdym innym plemieniu, które zamieszkuje te góry.

– Podobno jest ich ponad sto – odezwał się niespodziewanie Marat.

– Tego akurat nie wiem. Ale wiem, że to miejsce skrywa dużo tajemnic.

– To ciekawe, bo byłem na wielu uralskich wyprawach i jeszcze ani razu nie spotkało mnie nic metafizycznego. – Wiktor, milczący przez większość podróży, bawiący się guzikami kurtki albo tępo wpatrzony w podłogę, uniósł na chwilę wzrok. Spojrzał na Miszę tak, jakby miał go za idiotę. – Mam nadzieję, że nie wierzysz w te bzdury.

– Nie rozmawiamy o mnie, tylko o facecie od figurek i obrazów. Skoro spędził w tym regionie całe życie, musiało spotkać go coś, co spowodowało, że odrzucił wiarę w radziecki porządek.

– Albo ktoś nakładł mu głupot do głowy.

– Tak czy inaczej, dziadek wydaje się święcie przekonany, że te rytuały w jakiś sposób go chronią.

– Przed czym?

– Przed złymi mocami.

Wiktor zaśmiał się pod nosem.

– Żenujące zabobony.

– Przynajmniej w jakiś sposób porządkują rzeczywistość tego człowieka. Trudno sobie wyobrazić inny powód, dla którego miałby to robić.

– Z głupoty. Ze skrajnej, nieodpowiedzialnej głupoty.

– Przecież już wam mówiłem – włączył się Leon. – Koleś jest zdrowo pierdolnięty.

Leon próbował rozładować napięcie na linii Wiktor–Misza, ale kolejna salwa śmiechu nie wybuchła. Uczestnicy wyprawy spodziewali się, że Misza może mieć problem z podporządkowaniem się młodszemu o kilkanaście lat Wiktorowi. I byli absolutnie pewni, że Wiktor nie pozwoli, aby gość, który w ostatniej chwili podpiął się do wycieczki, podważał jego przywództwo. Spodziewali się tarć między tą dwójką. Ale mieli nadzieję, że zaczną się dopiero w górach.

– Dostałem od niego figurkę. – Ilja włożył dłoń do kieszeni. Po chwili wyjął małe drewniane dzieło sztuki. – Powiedział, że będzie nas strzegła.

Puścił figurkę w obieg. Każdy, kto jeszcze jej nie widział, przyglądał się artefaktowi z zaciekawieniem. Pozostali głośno próbowali odgadnąć, co przedstawia rzeźba. Człowieka? Niedźwiedzia? Jakąś nieukształtowaną formę życia?

W końcu figurka dotarła do Wiktora. Popatrzył na nią, a potem posłał Ilji surowe spojrzenie.

– Na mojej wyprawie nie będzie żadnego guślarskiego gówna – warknął, po czym wyrzucił figurkę za siebie.

Nie wszystkim się to spodobało. Ale nikt nie miał odwagi zaprotestować.

Przez kolejne pół godziny jechali w milczeniu. Smagani po twarzach lodowatym wiatrem i zagłuszani przez terkoczącą ciężarówkę, nieuchronnie zanurzali się w góry.

8 STYCZNIA 2020

Choć Nadieżda Liszczuk była jednym z najlepszych grafologów w Niestierowie, w pierwszym momencie można było ją wziąć za sympatyczną, niegroźną, a przy tym nieco irytującą ciotkę-klotkę, która zbyt nachalnie przygląda się nowo poznanym ludziom i bezpodstawnie wyciąga daleko idące wnioski. Gdy wpuściła Uzi do domu, momentalnie się do niej przykleiła. Chciała ją zagłaskać, utuczyć, poznać. A nade wszystko przekonać, że ten wysoki jegomość po przejściach, z którym się do niej pofatygowała, może być niezłym kandydatem na męża, jeśli się nad nim trochę popracuje.

Kiedy Uzi, aby uniknąć kolejnej porcji kłopotliwych pytań, wypchała usta ciastkami, Nadieżda przerzuciła uwagę na Żenię.

– Co słyhać u dzieci? Sasza jest już gwiazdą NHL-u?

– Nie sądzę, żeby wyrósł na hokeistę – przyznał Żenia z żalem. – Brakuje mu talentu. A wbrew temu, co się mówi, w sporcie samą ciężką pracą nie da się dojść do sukcesu. Wiem to po sobie.

– Pewnie jesteś dla niego zbyt surowy. A jak Lenka radzi sobie na politechnice? Dalej ma same piątki?

– Chyba tak.

– Chyba?

– Odkąd stała się pełnoletnia, chroni swoją prywatność. Czy możemy...

– Chyba nie jesteś zbyt blisko z dziećmi, co? Tatiana cię nie dopuszcza czy nie masz czasu? A może robią uniki, bo uważają, że je zostawiłeś?

– Wystarczy. – Żenia podniósł głos. – Porozmawiajmy o pamiętnikach.

Nadieżda na moment sposepniała. Jednak po chwili odwróciła się do Uzi i posłała jej dobrotliwy uśmiech.

– To się nazywa *small talk* – powiedziała, twardo i wyraźnie wymawiając angielskie słowa.

– Twój przyjaciel nigdy nie był zbyt rozmowny. W ogóle się nie zmienia. Jest jak krowa. – Podniosła się z krzesła, wsunęła okulary na nos i podeszła do potężnej drewnianej komody. Jednego z wielu archaicznych mebli, przez które jej małe lokum na obrzeżach Niestierowa wyglądało jak zapomniane przez świat archiwum. – Wydrukowałam zdjęcia, które mi wysłałeś. W ten sposób łatwiej było je analizować.

Wręczyła gościom dwie partie fotografii i wróciła na swoje miejsce.

– Nie spieszyłeś się – zauważył Żenia.

– Nie mówiłeś, że powinnam. Poza tym rzeczy sprzed sześćdziesięciu lat zwykle nie są pilne. – Posłała obojgu kolejny jowialny uśmiech. – Podpisy nie zostały sfalszowane. Autorami wpisów w pamiętnikach są osoby, które na innych dokumentach podpisywały się jako Klara, Daniela, Ilja oraz Dinar. One też sporządziły większość notatek w grupowym dzienniku.

– Jesteś pewna?

– Głęboko przekonana. W tekstach zgadzają się punkty inicjalne oraz końcowe, czyli miejsca, w których zaczynamy i kończymy pisać dane słowo. Zgadzą się marginesy oraz rozmieszczenie znaków przestankowych. Zgadzą się także kształty, pochylenie, zagęszczenie i rozmiary liter. Nieznaczne różnice mogą wynikać z różnych warunków, w jakich powstawały poszczególne wpisy.

Żenia i Uzi pobieżnie przejrzeni zdjęcia, na których roilo się od odręcznych notatek Nadieżdy. Grafolożka potrafiła dostrzec w tych gryzmołach zadziwiająco wiele detali, które dla nieuzbrojonego oka byłyby bez znaczenia.

– Jest tylko jeden problem – kontynuowała Nadieżda. – Część z tych wpisów nie mogła powstać w styczniu pięćdziesiątego dziewiątego roku. – Wzięła od Żeni materiały, które dopiero co mu wręczyła, i wydobyla z nich fotografię jednego z pamiętników, sporządzoną kilka dni wcześniej w archiwum niestierowskiej prokuratury. – Jak wiecie, lubię minioną epokę. Uważam, że żyło nam się lepiej, sprawiedliwiej i wbrew pozorom barwniej niż obecnie. A poza tym ludzie mieli wtedy lepszy styl. Dlatego kolekcjonuję różne rzeczy z czasów Stalina czy Chruszczowa. Meble, bibeloty, zegarki. Zresztą podobnie robią

koleżanki, z którymi studiowałam historię sztuki. Żałujcie, że nie widzieliście domu Walentyny. Można się w nim poczuć jak po przenosinach w czasie.

– Błagam, do brzegu. – Żenia westchnął.

Nadieżda wypuściła kolejny uśmiech, tym razem przeznaczony dla Uzi. Dokądkolwiek zmierzała, najwyraźniej planowała przy okazji wnerwić Żenię.

– Wysłałam te zdjęcia dwóm dziewczynom, które zawodowo zajmują się analizowaniem przedmiotów z tamtego okresu. Jedna z nich odkryła, że notatniki zostały wyprodukowane w Jakatowie. W styczniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku.

– Czyli wszystko się zgadza – odezwała się Uzi.

– Też tak pomyślałam. Ale szybko zostałam wyprowadzona z błędu. Jakatow leży ponad trzy tysiące kilometrów od Niestierowa. Dzisiaj z jednego miasta do drugiego można dotrzeć samolotem w ciągu kilku godzin. Ale wtedy nie było ani lotnisk z szeroką siatką połączeń, ani odpowiednio rozbudowanych autostrad, ani porządnego połączenia kolejowego. Biorąc pod uwagę ówczesną biurokrację, kwestie transportowe oraz fakt, że pewnie nikt nie miał interesu w tym, aby czym prędzej dostarczyć te notatniki na drugi koniec kraju, należy założyć, że dotarły do Niestierowa dopiero parę tygodni po wyprodukowaniu. Mogły być w sprzedaży, kiedy odnaleziono zwłoki turystów, ale wydaje się mało prawdopodobne, aby trafiły na rynek, zanim wyruszyli na wyprawę.

W pomieszczeniu zapanowała gęsta cisza.

– Przecież powiedziałaś, że autorami tekstów sprzed wyprawy oraz wpisów w pamiętnikach są ci sami ludzie – zauważył Żenia. – Jak to możliwe?

– To proste. Najwyraźniej nie napisali ich turyści, tylko ci, którzy umiejętnie się pod nich podszyli. Aby oszukać grafologów, sfingowali zarówno dzienniki, jak i teksty gonczarowców sprzed wyprawy. I w zasadzie dopięli swego, ponieważ ja ich nie nakryłam. Ale przeoczyli to, że notatniki produkowane od pięćdziesiątego dziewiątego roku minimalnie się różnią od swoich poprzedników.

Nadieżda popatrzyła na zdziwione oblicza swoich gości, po czym głośno się roześmiała. Potrzebowała kilku sekund, kilku głębokich westchnięć i kilku łyków herbaty, aby przywołać się do porządku.

– W kraju zbudowanym na kłamstwach dochodzenie do prawdy może być fascynującym zajęciem – powiedziała.

Albo przerażającym, dodał Żenia w myślach.

26 STYCZNIA 1959

WIKTOR

Kierowca ciężarówki – zrzędlawy wąsacz, od którego na kilometr zionęło wodą – najwyraźniej nie był fanem miastowej młodzieży, ponieważ zostawił pasażerów kilka kilometrów od wjazdu na teren tartaku. Strefa 77, stanowiąca w istocie kilkudziesięcioosobową osadę drwali, była dla nich ostatnim zamieszkanym miejscem na trasie. A także ostatnim, w którym mogli odpocząć i trochę się odświeżyć. Przynajmniej teoretycznie.

Pokonanie tego dystansu w pełnym rynsztunku zajęło im ponad godzinę. Kiedy dotarli do osady, zobaczyli, że unoszą się nad nią dym i pomarańczowa łuna. A gdy przeszli przez otwartą na oścież drewnianą bramę, usłyszeli śpiewy, wesołe okrzyki i swobodnie wyrzucane wulgaryzmy. Cóż, od facetów, którzy z własnej woli zaszyli się w głuszy i poświęcili wycince lasu, nie powinno się oczekiwać kultury.

Minęli kilka prostych baraków, przeszli obok potężnych zwałów drewna i dotarli do epicentrum zabawy. Widok około dwudziestu mężczyzn – tłoczących się wokół ogniska, żłopiających wodę i próbujących śpiewać – trochę ich onieśmielił. W pewnym momencie jeden z drwali wycelował w nich palcem. Chwilę później śmiechy i śpiewy ustały, a do turystów podszedł mężczyzna z gęstą brodą, długimi włosami i solidnie owłosionymi łapskami, które wyrastały spod podwiniętego do łokci swetra.

– Nareszcie! – zawołał. – Mówią na mnie Małpa, choć nie mam pojęcia dlaczego. Pewnie z głupoty.

Odwrócił się do rechoczącej i zdrowo podpitej sfory. I niemal natychmiast musiał zrobić unik, ponieważ jeden z drwali rzucił w niego kawałkiem drewna.

– Ja jestem Wiktor. – Gonczar wysunął się na czoło grupy i przywitał z Małpą. – To ja do was pisałem.

– Wiem, pamiętam. Właściwie spodziewaliśmy się was już wczoraj. Paru chłopaków nie wytrzymało napięcia. – Małpa wskazał ręką przysypiającego faceta, bezwiednie opartego o piramidę z bali. – Przygotowaliśmy dla was nocleg. Walerij was oprowadzi i wszystko wyjaśni. Choć właściwie nie ma tu wiele do tłumaczenia. Jak widzicie, żyjemy tu dość... prosto. Ale najpierw zapraszam na jednego.

– Dzięki, ale nie pijemy.

Małpa wytrzeszczył oczy.

– Przyjechaliście tu z Wiermukowa, więc macie za sobą co najmniej czterogodzinną podróż. Niezbyt przyjemną, jeżeli wiózł was kierowca, który najczęściej kręci się po tych drogach. Musicie być zmęczeni i rozdrażnieni. W dodatku jest kurewsko zimno. – Pokręcił głową. – Nie rozumiem...

– Umówiliśmy się, że nie będziemy pić – wyjaśnił Wiktor. – Chcemy zachować trzeźwość umysłu w trakcie całego wypadu.

– Nie upieram się, żebyście grzali do rana, ale fajnie byłoby się trochę zintegrować. Rzadko odwiedzają nas goście. – Mówiąc to, Małpa uśmiechnął się do Klary. – A jak można lepiej poznać drugiego człowieka, niż siadając z nim do kielicha?

Wśród uczestników wyprawy zapanował niepokój. Czuli presję Małpy i jego załogi, która zaczęła robić im miejsce przy ognisku, przynosząc z baraków pieńki do siedzenia, talerze i patyki do nadziewania mięsa. A także szklanki. Bynajmniej nie po to, żeby pić z nich wodę.

– Od jednego na rozgrzanie jeszcze nikt nie umarł. – Misza wyłonił się z grupy, przeszedł obok Wiktora i przywitał się z Małpą. – Misza. Jestem instruktorem w bazie turystycznej. Załapałem się z młodzieżą na krzywy ryj.

– Właśnie miałem powiedzieć, że wyglądasz, jakbyś od kilku ładnych lat kiblował.

– Napiję się z wami, żebyście nie czuli się urażeni. – Misza odwrócił się do turystów. – Ktoś jeszcze ma ochotę?

Postawiony w niezręcznej sytuacji Wiktor wołał nie zabierać głosu w imieniu zespołu. I wcale nie musiał.

– Po pijaku ładniej śpiewam – rzucił Leon.

Podszedł do Małpy, a ten wyściskał go niczym serdecznego przyjaciela, którego nie widział od wieków. Chwilę później dołączyli do nich pozostali. Nie minęła minuta, a turyści rozsiedli się wokół ogniska, poznając resztę wesolej ferajny.

8.

8 STYCZNIA 2020

– Jeśli Nadieżda i jej psiapsiółki mają rację, jesteśmy w czarnej dupie – zawyrokował Żenia, nieco zbyt gwałtownie wjeżdżając w zakręt.

– Może się mylą – odparła Uzi, która zaczęła przebierać nogami, jakby sama siedziała za kółkiem. – To tylko kwestia kilku dni. Notatniki mogły dotrzeć do Niestierowa, jeszcze zanim turyści wyruszyli w podróż. Takie drobiazgi często kupuje się pięć minut przed wyjazdem.

– Dzisiaj. Sześćdziesiąt lat temu z kupowaniem było różnie. Poza tym młodzi przygotowywali się do wyprawy od wielu miesięcy. Wątpię, żeby taki pedant jak Gonczar zostawił cokolwiek na ostatnią chwilę.

Żenia rzadko podnosił głos. Rzadko wpadał w gniew. Jeszcze rzadziej pokazywał, że jest przestraszony albo zestresowany. Ale odkąd odjechali spod domu grafolożki, stale naciskał pedał gazu.

– Co oni chcieli zataić? – Bardziej rzucił to pytanie w eter, niż skierował do Uzi. – Co takiego mogło być w tych wpisach, że postanowili je sfalszować?

– Zwolnij. – Uzi machinalnie chwyciła się podłokietnika.

– Co?

– Zwolnij, do cholery, bo nas zabijesz.

Dopiero po paru sekundach Żenia zrozumiał, o czym ona mówi. Zwolnił, wziął kilka głębokich wdechów i zakotwiczył na prawym pasie.

– Źle do tego podchodzisz. – Uzi wyjęła swój przepastny notatnik i zaczęła w nim coś skrobać. – Wiemy, że ktoś mataczył w sprawie, najpewniej jakiś człowiek ze szczebla władzy. To komplikuje sytuację, ale ani trochę nie przybliży nas do odkrycia tajemnicy. Równie dobrze turyści mogli zginąć wskutek anomalii pogodowych, a władze próbowały zataić przebieg wyprawy, bo coś im się w niej nie spodobało. Może powypisywali w tych pamiętnikach straszne bzdury, a jakiś przewrażliwiony debil uznał, że to nie powinno wyjść na światło dzienne.

– Albo wydarzyło się tam coś strasznego i władze postanowiły to zatuszować. Tego się nie dowiemy, jeżeli w najdrobniejszych szczegółach nie odtworzymy przebiegu wyprawy.

Wszystko, co wiemy na jej temat, możemy wsadzić między bajki. Zgadzasz się?

Uzi skinęła głową.

– Trudno będzie to zrobić po tylu latach. Większość osób, które mogłyby coś powiedzieć o faktycznym przebiegu wyprawy, już nie żyje.

– Nie mamy wyjścia.

– Co proponujesz?

– Zawiozę cię do hotelu.

Uzi zamknęła notatnik.

– Jest środek dnia. Wolałabym, żebyśmy jeszcze trochę popracowali, zanim się rozejdziemy.

– Musisz się wymeldować i zabrać swoje rzeczy. – Żenia spojrzała na Uzi. – Pora wyjechać z Niestierowa.

26 STYCZNIA 1959

KLARA

Dziwne, pomyślała Klara. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła drwali, wzięła ich za zgraję barbarzyńców. Nawalonych, brudnych, nieokielznanych prymitywów. Była przerażona. Ale po godzinie spędzonej w ich towarzystwie zaczęła się przyzwyczajać do niewybrednych żartów, siermiężnych odzywek i symulowanych bójek. Do tej przyciężkawej drwalskiej inności. Do czegoś, co jeszcze chwilę temu uważała za wynaturzenie.

Owszem, nie dało się z nimi porozmawiać o literaturze ani polityce. Ale nie byli ludźmi niższej kategorii. Byli komunistami. Tak samo jak oni. Jak dwieście milionów innych osób. A wkrótce być może znacznie, znacznie więcej.

– No więc posiedziałem z nimi trochę, pojadłem, popiłem, a potem spróbowałem wywaru, który dla mnie przygotowali. – Małpa stanął przed ogniskiem, aby dokończyć swoją wojskową opowieść. Miał ewidentną potrzebę bycia w centrum uwagi. – Nie mam pojęcia, co oni tam wrzucili, ale było to obrzydliwe. A mój organizm bardzo szybko na to zareagował. Niemal natychmiast musiałem pobiec do kibla. – Zrobił pauzę, aby napić się wódki. – Lało jak z cebra, a ja miałem do pokonania ze trzydzieści metrów. Zarzuciłem naprędce płaszcz przeciwdeszczowy, wskoczyłem w kamasze i wybiegłem z baraku. Gdy dotarłem do wychodka, byłem cały mokry. Ale wtedy nic mnie nie obchodziło. Ważne, że mogłem wyrzucić to świństwo. Rozsiadłem się na tronie i momentalnie poczułem ulgę. Dopiero po chwili pojąłem, że coś jest nie tak. Przypomniałem sobie, że mam na sobie całkiem długi płaszcz, który wypadałoby podwinąć przed sranie...

Kiedy około trzydziestu osób równocześnie ryknęło śmiechem, wszystkie mury oddzielające turystów od drwali padły. Stali się jednością. Bardzo niejednorodną, będącą

owocem różnych matek, systemów wartości i doświadczeń, mimo to jednością. A po kolejnej godzinie, gdy członkowie ekspedycji doszlusowali do pijackiej rzeczywistości zaprawionych w boju robociarzy, wszyscy stali się bardzo zintegrowaną, głośną, rozśpiewaną jednością.

Małpa okazał się mistrzem integracji. Po jednym z barwnych monologów usiadł na długiej drewnianej beli pomiędzy Wiktorem a Klarą. Zapalił papierosa. Następnie nalał obojgu wódkę do szklanek.

– Wyjaśnijcie mi jedną rzecz. Dlaczego uważacie, że to, co robicie, jest ważne?

– Nie rozumiem – odparł Wiktor.

– Nikt was nie zmuszał, żeby wyruszyć na tę wycieczkę. Sami wykombinowaliście, że będziecie przez kilka tygodni włóczyć się po kraju. Rozumiem, że chcecie udowodnić swoje umiejętności, ale to nie może być wasza jedyna motywacja.

Wiktor wzruszył ramionami.

– Pewnie każde z nas jest tutaj z innego powodu.

– Interesuje mnie twój. W końcu ty to wszystko wymyśliłeś.

– Mój ojciec zawsze powtarzał, że w zdrowym ciele tli się zdrowy duch. Od małego zabierał mnie w góry. Chciał, żebym był silny, sprawny i wytrzymały, bo wierzył, że w ten sposób lepiej przysłużę się ojczyźnie.

– A ty, jak przystało na wzorowego synka, zawsze słuchasz swojego starego? Daj spokój...

– Wierzę, że wysiłek fizyczny uszlachetnia. I że jeśli chcę zostać wybitnym fizykiem, potrzebuję zarówno głowy, jak i ciała.

Małpa uśmiechnął się szyderczo.

– Nie obraż się, ale to gównie prawda.

– Co?

– Twoja motywacja. Rzeczywiście wierzysz, że łożenie po krzakach, spanie w namiocie i spotkanie z jakąś zgrają pijusów może ci się do czegoś przydać? Wmawia się nam, że wszyscy jesteśmy tacy sami, ale to bujda. Ja nie jestem taki sam jak moi kompani. Choć razem mieszkamy, to ja wydaję im polecenia, a nie odwrotnie. Z kolei wy nie jesteście ani trochę do mnie podobni, mimo że spędzimy tę noc w identycznych warunkach, a jutro pewnie będziemy mieć równie uciążliwego kaca. Nikt z nas nie jest też podobny do ludzi, którzy wymyślili ten system. Z ich punktu widzenia jestem nikim. Ty też jesteś nikim. I ty również. – Spojrzał na Klarę, która z rosnącym niesmakiem przysłuchiwała się jego tyradzie. – Jesteśmy mrówkami. Odpadami. Wynaturzeniami systemu, który miał wyglądać inaczej. Albo, co gorsza, wygląda dokładnie tak, jak miał wyglądać.

Klara chciała zaprotestować, ale tego nie zrobiła. Raz, że Małpa trochę ją onieśmielał, a dwa – sama wielokrotnie zastanawiała się nad tym, o czym mówił. Miewała momenty zwątpienia w komunizm. W sens drogi, jaką podążała. W decyzje, które często

podejmowali za nią inni. Ale nigdy nie miała dość odwagi, aby wyznać to przed samą sobą, a co dopiero na forum!

– To co twoim zdaniem powinniśmy robić? – zapytał Wiktor. – Rzucić szkołę? Wyjechać z miasta? Zaszyć się w głuszy i nauczyć żyć tak jak wy, nienawidząc Związku Radzieckiego i kwestionując wszystko, co mówią politycy?

Małpa potrząsnął głową.

– Wręcz przeciwnie. Jesteście od nas mądrzejsi. Wykorzystajcie swój potencjał, żeby zbudować w tym kraju coś nowego. Jakąś nową jakością. Ale przede wszystkim nie powinniście być marionetkami ludzi, którzy na każdym kroku robią z was idiotów.

– A jeśli ja się z tymi ludźmi zgadzam?

– W takim razie musisz odpowiedzieć sobie na pytanie, jak to możliwe, że wylądowałeś tutaj. Ze zgrają zaszytych w lesie dziwaków, których przywódca opowiada o tym, jak nasrał sobie na płaszcz. – Małpa szeroko się uśmiechnął. – Jedziemy na jednym wózku. Ale prawda jest taka, że tylko ja mam prawo być z tego układu zadowolony. – Wychylił kolejkę, przepalił wódkę papierosem i wyrzucił niedopałek do ogniska. – A ty? – Odwrócił się do Klary. – Co taka ślicznotka robi w takim miejscu? Pośród zgrai nudziarzy z politechniki i facetów, którzy ledwo potrafią czytać?

Małpa mógł się podobać kobietom. Kaukaska uroda, zwierzęca surowość, bezpośredniość. Na swój sposób był charyzmatyczny. Ale jego brak zahamowań zupełnie Klarze nie leżał. Dlatego gdy poczuła na udzie rękę Małpy, drgnęła niczym oparzona.

– Też jestem nudziarą z politechniki – odparła, zrywając się z miejsca.

Okrążyła ognisko, wokół którego zapanowało nieskoordynowane szaleństwo: część facetów zwierzała się sobie z najgłębszych sekretów; Leon, Emil i Dinar uczyli paru muzykalnych drwali piosenek; ktoś robił orzełka na śniegu; ktoś inny próbował się wysikać na rozżarzony stos. Klara ruszyła w kierunku najbliższego baraku. Zastanawiała się, czy nie zostawić tego wesołego towarzystwa i nie położyć się spać. Ale bała się, że gdy inni będą się bawić, Małpa pójdzie za nią i zacznie się do niej dobierać. W grupie było bezpieczniej. Odrzuciła więc ten pomysł i zawróciła.

Zatrzymała się, gdy usłyszała charkot dobiegający spod budynku. Jakiś facet stał pod barakiem zgięty wpół i wyrzucał z siebie trudy wieczoru. Któryś z drwali, pomyślała, nie wytrzymał tempa.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Mężczyzna parokrotnie splunął pod nogi, a następnie się wyprostował. I choć Klara dobrze nie widziała zanurzonej w mroku twarzy, bezbłędnie rozpoznała sylwetkę.

– Klara? – wymamrotał Aleksiej.

Dziewczyna przez kilka sekund przyglądała się postaci zataczającej się w jej stronę.

– Nie do wiary – mruknęła.

- Poczekaj. – Próbując złapać ją za ramię, Aleksiej omal się nie wywrócił.
- Na co? Aż mi zarzygasz buty?
- Nie miałem dzisiaj głowy.
- Ty w ogóle nie masz głowy. A na pewno za rzadko jej używasz.
- Przepraszam. – Aleksiej wytarł usta. Skupił się, aby złapać pion. – Kocham cię.

Klara parsknęła śmiechem.

- Musiałeś się schlać jak świnia, żeby to wykrztusić?
- Mówię serio. Kocham cię.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Bredzisz jak potłuczony. Jutro pewnie nawet nie będziesz o tym pamiętał.

Aleksiej próbował zaprotestować, ale Klara już go nie słuchała. Ruszyła w stronę ogniska. Kątem oka zlokalizowała Małpę, który w dalszym ciągu maglował Wiktora, i usiadła jak najdalej od nich.

- Problemy w rajcu? – spytał Misza, który niespodziewanie wyrósł obok Klary.

– Co?

– Wyglądasz na zdenerwowaną. A kiedy dziewczyna jest zła, zwykle chodzi o sprawy sercowe. – Pochylił się i podał jej szklankę.

– Nie chcę – burknęła.

– To woda. Też już mam dosyć wódki. Nie chcę skończyć jak twój były.

– Skąd wiesz, że...

– Jestem dobrym obserwatorem. Uważam, że czasem jest lepiej słuchać i patrzeć, niż nieustannie otwierać gębę. Zwłaszcza gdy nie ma się wiele do powiedzenia.

Misza usiadł na sąsiednim pieńku. Wyjął papierosy i poczęstował Klarę. Zawahała się. Nie paliła na co dzień. Sama zaproponowała, żeby wyprawa była wolna od dymu. Ale z jakiegoś powodu miała ogromną ochotę zakopcić z Miszą. Wzięła od niego papierosa.

Rozkaślała się po dziewiczym machu. Sądziła, że Misza ją wyśmiej, ale on tylko stuknął się z nią szklanką.

– Za młodość i wszystkie cudowności, które jej towarzyszą – powiedział.

Klara pierwszy raz w życiu wzniosła toast wodą. I po raz pierwszy w trakcie tego wieczoru poczuła, że nie musi się on skończyć kompletną porażką.

8 STYCZNIA 2020

Uzi nie była przekonana do pomysłu Żeni, choć nie potrafiła wskazać, co jej najbardziej w nim przeszkadza. Może to, że wiązał się z kilkusetkilometrową objazdówką śladami

gonczarowców. Albo że czekały ich dziesiątki spotkań z ludźmi w przedagonalnym wieku, którzy prawdopodobnie nie będą chcieli z nimi rozmawiać. Albo fakt, że dwoje mieszczuchów może mieć niemały problem z dogadaniem się z wieśniakami. Ale chyba najbardziej mierziło ją to, że wyruszała na tę wyprawę z Żenią. Z kolesiem, który spakował swoje ciuchy do gigantycznej sportowej torby, zabierając na wyjazd tyle samo par majtek co getrów do biegania.

– Co? – spytał zgięty wpół Żenia, widząc, że Uzi bezdźwięcznie drwi z jego przygotowań.

– Nic. – Przycupnęła w przedpokoju na skrzypiącym fotelu. Rozejrzała się na boki. – Długo tu mieszkasz?

– Dwadzieścia parę lat. Przez jakiś czas mieszkałem razem z Tatianą i dziećmi. Kiedy się między nami popsulo, udało mi się załatwić dla nich ciut większe i nowsze mieszkanie, a sam zostałem tutaj. – Żenia wyprostował się i zerknął na korytarz. – Ale nawet lubię tę norę.

– Chyba można powiedzieć, że jest przytulnie. – Ton Uzi nie brzmiał zbyt przekonująco.

– Mam tu jeszcze trochę ciuchów po Tatianie.

– No i?

– Pomyślałem, że mogłyby ci się przydać. Cholera wie, ile czasu spędzimy na tym dupajewie, a widziałem, że masz malutką torbę.

– Bo ja w przeciwieństwie do ciebie nie jadę tam biegać.

– Spróbuję połączyć przyjemne z pożytecznym.

– Raczej nieprzyjemne z nieprzyjemnym.

– Myślałem, że lubisz biegać.

– Lubię być w formie i dobrze wyglądać. Ale katowanie organizmu nie sprawia mi frajdy. Właściwie uważam, że to jakaś forma masochizmu. A gdybym miała się pobawić we Freuda, powiedziałabym, że twoja pasja do biegania jest odreagowywaniem jakichś traum. Że zadajesz sobie cierpienie, aby o czymś zapomnieć.

Żenia przerwał na moment pakowanie. Patrząc na stos saszetek z elektrolitami, zastanawiał się nad słowami Uzi. Może ma rację, pomyślał. Może tylko sobie wmawiam, że znalazłem pasję, a tak naprawdę robię to, żeby się nie pociąć. Może jestem żalonym, starzejącym się kolesiem, który nie biega, tylko ucieka przed przeszłością, teraźniejszością, a przede wszystkim przyszłością.

Kiedy rozległ się dzwonek, Żenia wyszedł z sypialni do przedpokoju.

– Spodziewasz się gości? – spytała Uzi.

– Gościa.

Żenia podszedł do drzwi. Profilaktycznie zerknął przez wizjer. Otworzył.

– Masz zepsuty domofon – powiedział mężczyzna, targając ze sobą torbę sportową, niewiele mniejszą od tej, do której pakował się Żenia.

– Od jakichś dziesięciu lat. Wejdz.

Kiedy facet przekroczył próg, serdecznie się uściskali.

– Anno – oznajmił Żenia – to jest mój kolega Anton. Antonie, to jest Anna, lepiej znana jako Uzi. Pracujemy razem.

– Miło cię poznać. – Anton wyciągnął dłoń i zawiesił na Uzi badawcze spojrzenie.

– Ciebie również.

Wydało jej się mało prawdopodobne, aby Anton mógł być znajomym Żeni z wojskowych albo milicyjnych czasów. Miał wyraźną niedowagę, zapadnięte policzki i wąsko osadzone, duże oczy, które upodabniały go do spłoszonego zwierzęcia. Łysiał, ale albo udawał, że tego nie widzi, albo nie mógł się z tym pogodzić.

– Napijesz się czegoś? – spytał Żenia.

– Nie, dzięki. Wpadłem tylko na chwilę. – Anton postawił torbę na podłodze. Otworzył ją i wyjął buty do biegania. Wyglądały niemal identycznie jak te, które kilka minut wcześniej spakował Żenia. – Zrobiłem w nich niecałe dwieście kilometrów. Amortyzacja powinna być bez zarzutu.

Żenia przejął od niego obuwie. Obejrzał je z każdej strony.

– Ratusz mi dupę. Moje są już tak sfatygowane, że nie wiem, czy wytrzymają tę podróż. Na pewno nie będziesz ich potrzebował?

– Na pewno.

Żenia zerknął na Uzi, która chyba tylko nadzwyczajną siłą woli powstrzymała się od śmiechu.

– Kowalczyk wspominał, że znikacie na parę dni – powiedział Anton, kiedy Żenia poszedł z butami do sypialni.

– Co najmniej.

– Co na to twój mąż? Nie ma nic przeciwko, że wyjeżdżasz z obcym chłopem?

Uzi poczuła się zbita z tropu jego bezpośredniością.

– To wyjazd służbowy – odparła. – Nie ma o co być zazdrosny.

– Różnie z tym bywa. Moja była nie mogła zdzierżyć żadnej kobiety, z którą pracowałem. Nawet jeśli sama poleciała mi ją do firmy. – Anton bezradnie rozłożył ręce. – Twój szef zlecił wam tę robotę?

– Nie wiem, czy mogę z tobą o tym rozmawiać.

– Spokojnie. – Żenia wrócił do przedpokoju. – Anton to swój człowiek.

– Jesteście kumplami od biegania?

– Zaczęło się od kielicha, bieganie przyszło wraz z kryzysem wieku średniego. – Anton posłał jej irytujący uśmiezek.

– A potem doszły jeszcze jego cholernie drogie usługi – dodał Żenia. – Anton jest księgowym i prowadzi własne biuro rachunkowe. Na co dzień zajmuje się potwornie nudnymi rzeczami, za które co miesiąc odpalam mu niemałą sumkę. A żeby haracz jeszcze nie wzrósł, sprzedaję mu co smaczniejsze kąski ze swojej roboty. Tak że bez obaw.

Żenia ich minął i wszedł do toalety. Kiedy Uzi i Anton zostali sami, w przedpokoju zapanowała niezręczna cisza.

– Przełącz Gonczara. – Anton pokręcił głową. – Zazdroścę.

– Nie ma czego.

– Jak to? Przecież to wielka sprawa. Jedna z największych zagadek minionego wieku. Jeśli ją rozwiążecie, będziecie sławni.

– „Jeśli” to słowo klucz.

– Sam fakt, że się tym zajmujecie, jest już sporym wyróżnieniem. Musisz być szycią w prokuraturze.

– To nie działa w ten sposób.

– A jak?

Uzi nie miała ochoty wchodzić w szczegóły. Ale nie chciała wyjść na naburmuszoną pańnię ze stolicy, więc odpowiedziała natrętowi najspokojniej, jak potrafiła:

– Sprawy, które na pierwszy rzut oka wyglądają jak furtka do wielkiej kariery, zwykle niosą ze sobą spore ryzyko. A przez to nie wszyscy się do nich palą. Historia gonczarowców jest jak nierozbrojona mina, która od lat leży przed rządowym budynkiem. Mnóstwo osób się koło niej kręci, ale nikt nie ma odwagi spróbować czegoś z tym zrobić. Każdy się boi, że może stracić palce.

– Albo życie.

Nie miała pojęcia, dlaczego Anton to dodał. Ale też nie miała czasu ani ochoty w to wnikać. Na szczęście Żenia wyszedł z toalety.

– Nie chcę wam przerywać, ale musimy się zbierać, żeby zajechać do Kiercowa o jakiejś ludzkiej porze. – Żenia wytarł mokre dłonie w spodnie. Sięgnął po rzuconą na komodę kurtkę. – Podrzucić cię gdzieś?

– Przyjechałem swoim. Ale dzięki. – Anton wyciągnął do Uzi dłoń. – Powodzenia w odkrywaniu tajemnicy. Będę trzymał za was kciuki.

– Dzięki.

– I uważaj na tego typu. Kowalczyk zwykle jest grzeczny, ale kiedy popije, miewa lepkie łapki.

– Wiesz to z autopsji? – spytał Żenia.

– Lepiej z autopsji niż z rektoskopii.

Uściskali się na pożegnanie. Chwilę później chuderlak chwycił torbę i wyszedł.

– Dziwnych masz znajomych – zauważyła Uzi.

– Jak się nie ma, co się lubi...

– ...to się zgarnia resztki i nie wybrzydza.

Żenia spojrzał na Uzi.

– Trochę inaczej zapamiętałem to powiedzenie.

– Urealniłam je. Ruszajmy, bo się ściemnia.

26 STYCZNIA 1959

WIKTOR

Kretyn, pomyślał Wiktor. Zarośnięty, brudny, zdziwaczały kretyn. Nie mógł już słuchać Małpy. Miał ochotę wrzucić go do tego pieprzonego ogniska i patrzeć, jak płonie. Jak zdycha. A razem z nim jego archaiczne wyobrażenie świata.

Wiktor wychylił kolejkę, obiecując sobie, że tego wieczoru już nie tknie wódki. Przegryzł przesolonym ogórkiem i postawił szklanekę za pieńkiem. Poszedł się wysikać.

Oddalił się od ogniska i przystanął w zaciemnionym miejscu między barakami. Rozpiął rozporek. Miał już nieźle w czubie, ale wciąż całkiem trzeźwo myślał. A jego rozważania orbitowały wokół wydarzeń z ostatnich godzin. Kiedy słuchał, jak jakiś durny drwal próbuje zniszczyć morale jego grupy knajackimi historiami i krytyką państwa, czuł się tak, jakby sypał się kolejny element jego planu. Jakby kolejna rzecz miała się spieprzyć, zanim w ogóle wyjdą w góry.

Najpierw był zamknięty dworzec w Kiercowie i nieprzyjemna pogawędka z milicjantem. Potem dzień opóźnienia w Wiermukowie, gdy nie zdążyli załapać się na transport. A teraz to – pijaństwo z jakimiś dzikusami. Po drodze pojawił się jeszcze Misza, który nie okazał się wsparciem, na jakie liczył, tylko wywrotowcem mającym w dupie ich zasady. Do tego dochodziła Klara. Ona akurat stanowiła część planu. Swoją energią i gadatliwością miała dodawać wszystkim animuszu. Być dobrym duchem wyprawy. A tymczasem stała się... No właśnie. Wiktor nawet nie potrafił określić jej roli. Wiedział tylko, że zachowuje się dziwnie. Jak niezdecydowana dziwka.

Wiktor lubił porządek. Klarowne sytuacje, zwięzłe komunikaty, proste relacje. Niejasności wносиły niepotrzebny chaos do wystarczająco chaotycznej rzeczywistości. Nie mógł pozwolić, aby jego życie zależało od zdarzeń losowych, niestabilnych emocjonalnie dziewczyn czy zachlanych analfabetów. Dlatego kiedy skończył sikać, uznał, że musi przywrócić porządek. Tu i teraz.

- Mogę cię prosić na chwilę? – Stanął przed Ilją, przerywając jego rozmowę z Dinarem.
- O co chodzi? – Ilja się uśmiechał.
- Chodź ze mną.

Odeszli na kilka metrów. Wiktor nie chciał, aby ktokolwiek przysłuchiwał się ich rozmowie.

- Jak się czujesz? – zapytał.
- Dobrze. Jestem w życiu...
- Zapytałem, kurwa, jak się czujesz.

Ilja momentalnie spowaźniał. Jak gdyby podniesiony głos Wiktora zneutralizował działanie alkoholu.

– Na koniec każdego dnia czuję lekkie usztywnienie – powiedział. – Czasem drętwieją mi nogi. A od siedzenia na tych pieńkach boli mnie dupa. – Próbował rozweselić Wiktora, ale ten pozostawał posępny. – Naprawdę nie jest źle. Dam radę. Wytrzymam wszystko, z czym przyjdzie nam się mierzyć.

Wiktor poklepał go po ramieniu. Lekko się do niego uśmiechnął.

– Jutro dotrzemy do tego punktu geologicznego, o którym wspominałem ci przed wyjazdem – powiedział.

– Czekam na to, odkąd wyjechaliśmy z Niestierowa. Nie licząc wejścia na Szelichamat, to dla mnie najważniejszy punkt wyprawy.

– Wiem. Dlatego gdy już się nim nacieszysz, poinformujesz wszystkich, że twoja wycieczka dobiegła końca.

Dłoń Wiktora ponownie powędrowała na plecy Ilji. Lecz tym razem go nie poklepał, tylko zacisnął palce na jego barku.

– Ale...

– Powiesz, że było ci bardzo miło i nigdy nie zapomnisz tych kilku dni spędzonych razem, ale zdrowie nie pozwala ci na dalszą podróż. Opowiesz o sztywnieniu karku, o drętwiejących dłoniach. O tym, że nie chcesz być dla nikogo obciążeniem.

Przez ułamek sekundy Ilja ludził się, że Gonczar żartuje. Że to jeden z tych niewybrednych, nieco psychopatycznych dowcipów, które lubią opowiadać podpici ludzie, aby nastraszyć kolegów. Ale Wiktor nie żartował. Naprawdę chciał się go pozbyć.

– Skurwiel z ciebie. – Ilja wyrwał się z jego uścisku. – Mały, zadufany w sobie, arogancki skurwiel. Żalсна imitacja lidera.

– Pamiętaj, że życie nie kończy się na tej wycieczce. Słowa, które teraz wypowiesz, mogą mieć wpływ na to, co będzie się z tobą działo potem. Po powrocie na studia, za rok, za pięć lat.

– Paszo!

Ilja splunął pod nogi i odszedł. Wrócił do Dinara, rozsiadł się na niewygodnym pieńku i posłał Gonczarowi nienawistne spojrzenie.

Wiktor nic do niego nie miał. Początkowo wcale nie zamierzał tak kategorycznie rozstrzygać jego udziału w wyprawie. Ale gdy sprawy przybrały nieciekawy obrót, musiał czym prędzej oddzielić ziarno od plew.

Odwrócił się plecami do ogniska i spojrzał w kierunku gór. Nie widział ich, ale wiedział, że tam są. Niezmienne od tysięcy lat. Gotowe, aby on i jemu podobni kształtowali na nich charaktery. W imię ojczyzny. W imię zasad. W imię własnej godności.

Jeden problem z głowy, pomyślał. I natychmiast zaczął się zastanawiać, co zrobić z kolejnym.

8 STYCZNIA 2020

Byli w połowie drogi do Kiercowa, kiedy Uzi wreszcie dała sobie spokój z pracą. Włożyła notatki do torby, po raz ostatni sprawdziła pocztę w telefonie i oparła głowę o boczną szybę.

– Przekimaj się, jeśli chcesz – zaproponował Żenia. – Znam drogę. To znaczy GPS zna.

– Nie jestem śpiąca, tylko zmęczona – odparła.

– W kosmetyczce mam tabletki nasenne. – Żenia poczuł na sobie pytające spojrzenie Uzi.

– Często trenuję wieczorami. Po biegu zwykle potrzebuję kilku godzin, żeby się wyciszyć. A że nie uśmiecha mi się bezowocne leżenie w wyrze do drugiej czy trzeciej w nocy, pomagam sobie farmakologicznie.

– Nie rozumiem tego. Najpierw się katujesz, a potem zanieczyszczasz organizm jakimś syfem.

– Na coś trzeba umrzeć. Chcesz tabletkę?

– Dzięki, ale nie zamierzam być amebą, gdy dotrzemy na miejsce. Poza tym pasażer nie powinien spać, tylko zagadywać kierowcę.

Żenia zmarszczył brwi. Nie bardzo wiedział, jak ta deklaracja ma się do ostatniej godziny podróży, którą Uzi spędziła z nosem w telefonie.

– Wyczytałaś coś ciekawego? – Skinął brodą w stronę leżącej pod jej nogami torby.

– Nic optymistycznego.

– To znaczy?

– Zrobiłam listę związanych ze sprawą osób, które nadal mogą żyć. Nie wygląda to dobrze.

– Towarzystwo geriatryczne?

– Kilku osiemdziesięciolatków i kilkunastu dziewięćdziesięciolatków. Reszta na pewno jest już w piachu.

– Mamy jeszcze ich dzieci oraz wnuki. A także tych, którzy interesowali się tą sprawą, ale przez kilkadziesiąt lat władza nie pozwalała im otworzyć gęby.

– Ludzie lubią gadać głupoty.

– A nasza rola polega na odsiewaniu prawdy od bzdur. – Żenia pociągnął łyk napoju energetycznego, po czym zerknął na Uzi. – Coś cię trapi.

– Nie załatwiliśmy wszystkiego w Niestierowie. W ogóle nie poruszyliśmy tematu Miszy Klimienki. A to przecież jedna z największych niewiadomych w całej tej sprawie.

Żenia kiwnął głową, niechętnie przyznając jej rację. Misza Klimienko był najstarszym uczestnikiem wyprawy Gonczara, a zarazem tym, wobec którego wysuwano najdziwniejsze podejrzenia. Że zmyślił swoją tożsamość. Że był szpiclem KGB. Że to on wszystkich zabił. Z całą pewnością dało się stwierdzić tylko to, że ma najmocniej zagmatwaną historię ze wszystkich członków wyprawy. Przez kilkadziesiąt lat nikt nie był w stanie ustalić, kim tak naprawdę był Misza Klimienko i jaki ciągnął za sobą bagaż doświadczeń, dlaczego dołączył do ekipy Gonczara ani czy ciało leżące na cmentarzu w Niestierowie rzeczywiście należy do niego. Wątpliwości dotyczyły przede wszystkim braku identyfikacji ciała przed pochówkiem. Wygląd zmarłego nie był zgodny z zachowanymi fotografiami Miszy ani z opisami jego bliskich. Do tego dochodziły niejasności w dokumentach.

Kontrowersje dotyczące Klimienki miała rozwiązać wykonana prawie sześćdziesiąt lat po tragedii ekspertyza DNA. Ale ona jedynie skomplikowała sytuację. Prywatne laboratorium, które przeprowadziło badanie, stwierdziło, że materiał genetyczny należący do siostrzenicy Miszy jest sprzeczny z DNA pochowanego człowieka. Szok był tak duży, że władze zleciły kolejną analizę. Państwową. Ta z kolei wykazała, że z niemal stuprocentowym prawdopodobieństwem zwłoki należą do Miszy. Albo do jego brata Bogdana, który zaginął bez śladu podczas drugiej wojny światowej.

– Celowo unikałem tego wątku – powiedział Żenia.

– Dlaczego?

Żenia odstawił napój do uchwytu i przełknął jego słodko-kwaśny smak.

– Fiodorow chciał, żebyśmy działali po cichu. To oznacza, że nie możemy wymagać kolejnej ekshumacji. Nie dowiemy się o Klimience niczego nowego. Chyba że zaczniemy grzebać w jego przeszłości.

– Przecież nawet nie wiemy, kim był ten człowiek.

– Otóż to. I od tego proponuję zacząć.

Żenia zerknął w lusterko wsteczne. Po wyjeździe z Niestierowa długo sunęli w gąszczu aut, ale im bardziej zbliżali się do Kiercowa, tym ruch uliczny stawał się mniejszy. Po

pokonaniu stu pięćdziesięciu kilometrów zrobiło się na tyle luźno, że trudno było zachować całkowitą anonimowość na drodze.

– Nawigacja mówi, że za pięć kilometrów będziemy mijać stację benzynową – powiedział Żenia. – Nie chcesz się wysikać?

Uzi zaniepokoił uśmiech, który pojawił się na jego twarzy.

– Troszczysz się o mój pęcherz czy coś kombinujesz? – spytała.

– Mam wrażenie, że jedzie za nami samochód, który widziałem na poprzednim postoju. Chciałbym się przyjrzeć pasażerom.

– Myślisz, że Janin założył nam ogon?

– Jestem tego pewien. Ale ciekawi mnie, czy zrobił to osobiście, czy występuje się goryłami. Tylko nie...

– Muszę po coś sięgnąć. – Uzi wychyliła się pomiędzy fotelami, zerkając przy okazji przez tylną szybę. – Mogą się przydać w kiblu – powiedziała, pokazując Żeni paczkę chusteczek nawilżających. – Za nami jedzie para grubasów. O ile mnie wzrok nie myli, właśnie wpieprzają chipsy. Mam nadzieję, że nie jesteś paranoikiem.

Żenia ponownie zerknął w lusterko.

– Jestem tylko podstarzałym lowelasem, który lubi sobie pobiegać, popić i po... – Uśmiechnął się do Uzi. – I który od czasu do czasu rozwiązuje zagadki.

26 STYCZNIA 1959

MISZA

Pytania padały z dwóch stron, w tempie karabinu maszynowego. Czy masz żonę? Byłeś kiedykolwiek zakochany? Chciałbyś mieć dzieci? Walczyłeś na froncie? Gdzie przedtem pracowałeś?

– Co tu, do kurwy nędzy, robisz?

To ostatnie zadał Leon, który trochę nieświadomie przyszedł Miszy w sukurs, uwalniając go od skumulowanej dociekliwości Klary i Daniela. Choć „przyszedł” to niezbyt precyzyjne określenie. Wpieprzył się pomiędzy rozmawiającą trójkę z gracją słonia, ściskając w rękach mandolinę i butelkę wódki.

– Już mówiłem. – Misza potrząsnął pustoszejącą szybko paczką i wyjął jednego z ostatnich papierosów. – Przypadkowo usłyszałem o waszej wycieczce, skontaktowałem się z Wiktorem i oto jestem.

– Ale dlaczego to robisz? Po chuj łazisz po górach?

– Leon! – Daniela pacnęła kolegę w łeb. – Zachowuj się.

Misza przypalił papierosa i mocno się zaciągnął. Siedział frontem do studentów, ale bokiem do ogniska, przez co tylko połowa jego twarzy była dobrze widoczna. Reszta pozostawała w mroku.

– Zajmowałem się w życiu bardzo różnymi rzeczami. Pracowałem za biurkiem, jeździłem ciężarówkami, harowałem fizycznie. Może nawet ciężiej niż oni. – Kiwnął głową w stronę grupki drwali. – Mimo to nie znalazłem odpowiedzi na najważniejsze pytania: po co żyjemy?, co nam z tego przyjdzie?, czy warto? Ale przynajmniej dość dobrze poznałem siebie. Swoje upodobania i charakter. A prawda jest taka, że nie jestem kolesiem, którego można lubić.

– Ty? – zdziwiła się Klara. – Przecież jesteś duszą towarzystwa.

– Tak może się wydawać na początku. Ale zdecydowanie tracę przy bliższym poznaniu. – Misza uśmiechnął się półgębkiem. – Znać mnie krótko, więc macie do czynienia z moją lepszą wersją. Z Miszą, który sporo rzeczy w życiu widział, więc nieźle reaguje na sytuacje stresowe. Z Miszą otwartym, gadatliwym, sypiącym podwórkowymi mądrościami. Z Miszą, który nie jest niecierpliwym bucem, tylko dobrym kompanem do wieczornej posiadówki. – Zrobił pauzę, wpatrując się w płomienie. – Zostaną wam po mnie dobre wspomnienia, bo nie zdążycie zobaczyć tej drugiej wersji Miszy.

– Dlaczego? – Daniela wydawała się szczerze przejęta.

– Chyba nie sądzicie, że nasza znajomość przetrwa ten wyjazd? – Misza posłał dziewczynom trochę dobrotliwe, a trochę drwiące spojrzenie. – Po wszystkim wrócicie na uczelnię. Ktoś z was zrobi karierę naukową, ktoś będzie błyszczał w partii. Komuś pewnie się nie powiedzie i skończy jak ci tutaj. A ja wrócę do swojej tułaczki przez życie.

– Nie zależy ci na tej znajomości? – spytała Klara.

– Nie chcesz, żebym był z wami w tej kwestii szczerzy.

– Szkoda, bo dziewczynom w chuj zależy. W chuj. – Leon zsunął się z drewnianego klocka na śnieg. – Bardzo chcę, żebyś je rozdziewiczył. Przynajmniej jedna z nich.

Daniela ukarała go całą serią pacnięć w głowę. Klara pewnie zrobiłaby to samo, ale jej koleżanka miała bliżej.

– Jesteś niesprawiedliwy i podły. – Klara splotła ręce na piersiach. – Nie można na wstępie zakładać, że znajomość nie przetrwa próby czasu. To tak, jakby zaprojektować coś z myślą, że za tydzień lub dwa się zepsuje. Ludzie tak nie robią. Ludzie tacy nie są.

– Ludzie są różni. Najczęściej źli. A z wiekiem stają się tylko gorsi. – Misza wyrzucił peta do ogniska. – Jeśli chcecie mieć po mnie przyjemne wspomnienia, dobrze wykorzystajcie te dwa tygodnie. Później nie będzie już okazji.

Mówiąc to, intensywnie wpatrywał się w Klarę. W którymś momencie zmusił ją, aby odwróciła wzrok.

– Kurwa mać! – Leon oparł się plecami o pień. Uniósł głowę. – Z czego oni, kurwa, pędzą tę wódkę?

Zrobiło się niezręcznie. Daniela próbowała wrócić do konwersacji, ale czuła się dotknięta tym, co powiedział Misza, więc po jakimś czasie pod pretekstem pójścia za potrzebą oddaliła się od grupy. Chwilę po niej to samo zrobiła Klara. Z kolei Leon nie tylko już nie mówił, ale miał też coraz większe problemy z utrzymaniem głowy w pionie. Kiedy w końcu odpłynął, Misza pomógł mu się podnieść, przeniósł go bliżej ogniska, a następnie szczelnie opatulił kurtką, której ten parę minut wcześniej się pozbył. Położył obok niego mandolinę, tak aby była pierwszą rzeczą, jaką Leon zobaczy po przebudzeniu.

Następnie Misza wrócił na swój pień i wyjął kolejnego papierosa – ostatniego. Wyciągnął pudełko zapalek – puste. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ognisko, szukając kawałka drewna, który mógłby wykorzystać jako rozpalkę.

– Odspawaj sobie.

Misza spojrzał w lewo i na wysokości oczu zobaczył rozżarzonego szluga. Podniósł wzrok. Obok niego stał krępy mężczyzna z kruczoczarnymi włosami, gęstą brodą i śniadą twarzą, przypominający mniejszą kopię Małpy. Czeczen albo Gruzin. Misza nie pamiętał jego imienia, ale zdążył się zorientować, że to jeden z najspokojniejszych członków rozwydrzonej ekipy drwali.

– Dzięki. – Przejął od niego papierosa i przypalił swojego. – Misza.

– Merab.

Uścisnęli sobie dłonie. Merab usiadł na sąsiednim klocku. A kiedy Misza poczęstował go wódką, którą paręnaście minut wcześniej przytargał Leon, drwał pokręcił głową.

– Nie lubisz? – zdziwił się Misza.

– Lubię, ale źle na mnie działa. Robię się po niej nieprzyjemny.

– Niektórzy tak mają. Czasem to mija.

Merab mógł być w jego wieku, ale Misza automatycznie miał ochotę traktować go jak kogoś młodszego. Pewnie dlatego, że Gruzini, z którymi miał do czynienia, zwykle byli pełnymi wigoru młodymi facetami. Wesołymi, rozgadanyimi optymistami. Nieświadomymi, jak wiele rzeczy w życiu może się jeszcze spieprzyć.

Obaj przez jakiś czas milczeli, wpatrując się w powoli dogasające ognisko. Merab długo zbierał się w sobie, zanim przystąpił do rzeczy.

– Pewnie mnie nie pamiętasz, ale walczyliśmy razem – powiedział. – Pod Kurskiem. Szesnaście lat temu. Siedzieliśmy w tych pierdolonych okopach, czekając, aż Hitler rozjedzie nas panterami i tygrysami. Czekaliśmy, czekaliśmy i chuj. Nie rozjechał. – Merab się zaśmiał, choć wcale nie było mu do śmiechu. – Półtora miesiąca tam gniliśmy. Widziałem tysiące ludzi. Tysiące męskich mord, kompletnie bez znaczenia, a mimo to niektóre z nich zapamiętałem. Między innymi twoją.

Misza ściągnął ostatniego macha. Wolno potrząsnął głową.

– Przykro mi, ale musiałeś mnie z kimś pomylić. Nigdy nie byłem pod Kurskiem. – Wstał i wrzucił kiepa do paleniska. Popatrzył na Meraba z góry. – Dzięki za ogień.

– Masz brata? – Merab podniósł na niego wzrok.

– Jestem jedynakiem.

Gruzin zaśmiał się nerwowo.

– W takim razie to byłeś ty. Wiem, co widziałem.

– A ja wiem, gdzie byłem.

Misza odszedł bez pożegnania. Okrążył ognisko. Już po drugiej stronie przystanął. Rozejrzał się na boki, niepewny, dokąd ma iść. Ale wiedział jedno: że nie chce wracać myślami do przeszłości.

8 STYCZNIA 2020

– Masz jakieś pasje? – spytała Uzi. – Oprócz biegania i strzelania do ludzi?

Żenia posłał jej zdziwione spojrzenie.

– Strzelania do ludzi?

– Byłeś na wojnie, pracowałeś w milicji, nadal wozisz ze sobą broń. – Wskazała palcem schowek po stronie pasażera. – W drodze dedukcji wyszło mi, że musi cię to kręcić.

Żenia nie odpowiedział od razu. Najpierw spojrzął na GPS, który wskazywał, że są już prawie na miejscu, a potem w lusterko wsteczne. Jadący za nimi samochód został daleko w tyle. Kilkanaście kilometrów przed Kiercowem byli na drodze zupełnie sami. I ta samotność w połączeniu z późnym zimowym wieczorem, dziurawą asfaltową szosą, wiejskim krajobrazem oraz kąśliwą uwagą Uzi wydała się Żeni szczególnie dojmująca.

– Pojechałem na wojnę, ponieważ byłem młody i głupi. Wstąpiłem do milicji, bo nie chciałem już być wojakiem, ale musiałem jakoś zarabiać na życie. A kopyto wożę dlatego, że żyjemy w dziwnym kraju, a ja nie zawsze czuję się bezpiecznie. W końcu zajmuję się zawodowo deptaniem ludziom po piętach.

– Zabiłeś kiedyś człowieka?

Żenia próbował zajrzeć Uzi w oczy, ale ta akurat przeglądała jakieś pierdoły w telefonie. To pytanie po prostu z niej wypadło. Bezrefleksyjnie. Jak chrząknięcie, które niechcący wystroilo się w słowa.

– Jesteś pewna, że to cię interesuje? – zapytał.

Uzi oderwała się na chwilę od smartfona.

– Jestem pewna, że skoro mamy dzielić pokój, wolałabym wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Żenia ciężko wypuścił powietrze. Nie lubił mówić o sobie. A tym bardziej o tamtej wersji siebie. Naiwnej. Durnej. Butnej. Ślepej. Ale jeszcze bardziej nie lubił mówić o wojnie. O didowszczyźnie i kulturze sadyzmu w radzieckiej armii. O samobójstwach, narkotykach, tyfusie i trupach. O uzbrojonych w kałasznikowy duchach, które czaiły się na nich w afgańskich górach. O swoich ówczesnych rówieśnikach – wyjeżdżających na przygodę życia, wyposażonych w ideały i górnotne hasła, a wracających bez nadziei, z trwałym kalectwem albo w cynowych trumnach.

– Miałem niespełna dziewiętnaście lat, kiedy trafiłem do Afganistanu. Załapałem się na jeden z ostatnich wyjazdów przed wycofaniem naszych wojsk. Koledzy mówili, że mam szczęście. Że mi się udało. I ja też wtedy tak myślałem. – Żenia sięgnął po paczkę papierosów. Wyjął jednego. Zapalił. Nieznacznie opuścił szybę i wydmuchnął dym przez lufcik. – Przez kilka tygodni przypominało to wakacje. Mieliśmy jakieś patrole i wszyscy nas uczulali, żebyśmy zachowali czujność, ale tak naprawdę przez większość czasu piliśmy i graliśmy w karty, czekając na wsparcie raketowe. Niektórzy zaczęli się nudzić. Byli tam tacy, którzy siedzieli kilka lat na Bliskim Wschodzie i nie widzieli ani jednego partyzanta. Wracali do domu nie z zespołem stresu pourazowego, tylko z początkiem marskości wątroby. Ale mnie nie było w tej grupie. Ja jak zwykle miałem pecha.

– Co się stało?

– Nic. – Żenia wzruszył ramionami. – A przynajmniej nic niestandardowego. Podczas jednego z miejskich patroli natknęliśmy się na grupę mudżahedinów. Na bandę kompletnych świrów, którzy zleźli z góry, aby dobrać się do naszej jednostki. Bez porządnego sprzętu, bez planu, bez wsparcia. To była praktycznie misja samobójcza.

– Zaatakowali was?

– Wzajemnie na siebie ruszyliśmy. Wywiązała się strzelanina. Na szczęście w porę połapaliśmy się w sytuacji i zdążyliśmy wezwać wsparcie jeszcze przed jatką. Dzięki temu po paru minutach mieliśmy gigantyczną przewagę liczebną. Przejęliśmy kontrolę nad sytuacją. Byli bez szans.

– Zabiliście ich?

– Co do jednego. Ułatwili nam robotę, bo woleli zginąć, niż dostać się do niewoli.

– Ilu zastrześliście?

Żenia zaśmiał się nerwowo.

– A ty co, robisz w urzędzie statystycznym?

– Kiedyś chciałam być dziennikarką. Jednego? Dwóch? Więcej?

– Wojna to nie jest film z Chuckiem Norrisem. – Żenia, wyraźnie poirytowany, wyrzucił peta przez okno. – Oddałem jeden strzał. Jeden strzał w ciągu dwudziestu pięciu lat służby w wojsku i milicji. Więcej nie musiałem.

Uzi odwróciła się do niego. Tym razem poświęciła mu całą uwagę.

– I jak ci z tym?

– Z czym?

– Z tym, że zabiłeś człowieka.

– Nijak.

– Przecież to nie jest pryszcz.

– To akurat zależy od perspektywy. Z mojej wyglądało to tak, że zrobiłem, co musiałem, aby uratować siebie i kolegów. Nie doznałem z tego powodu traumy. Nie budziłem się w środku nocy z krzykiem. Nie śniła mi się twarz faceta, którego zastrzeliłem. Ten incydent nie zmienił mnie jako człowieka.

Uzi parsknęła.

– Gówno prawda.

– Poważnie. Nawet nie pamiętam, kiedy dokładnie to się stało. Wiem tylko, że w styczniu, na kilka tygodni przed wycofaniem wojsk.

Oczywiście nie była to prawda. Ale Uzi nie musiała o tym wiedzieć.

– To dlaczego powiedziałeś, że miałeś pecha?

– Bo gdyby nie to, być może po powrocie robiłbym coś innego. Może skorzystałbym na pieriestrojce i został przedsiębiorcą. Byłbym teraz milionerem. Żrącym najlepszy kawior, chlejącym najdroższą whisky i zmieniającym żony na coraz młodsze. Ale paru wyżej postawionych facetów uznało, że jak na takiego szczyła świetnie się spisałem, więc z pewnością jest mi przeznaczona kariera wojskowa. W efekcie przez ćwierć wieku broniłem kraju, którego nienawidzę. Po drodze zmieniłem tylko mundur.

Ostatnie dwadzieścia kilometrów przejechali w milczeniu. Kiedy minęli tabliczkę z napisem KIERCOW, Żenia skręcił w jedną z odchodzących od szosy dróg i zjechał na pobocze. Wyłączył silnik.

– Co robisz? – spytała Uzi.

– Parkuję.

– Widzę. Ale dlaczego tutaj?

– Nie znajdziemy o tej porze noclegu. A na pewno nie tak szybko.

– Myślałam, że już to zrobiłeś.

– Sorry, ale muszę się przekimać.

Uzi bezradnie opuściła ręce.

– Powiedz, proszę, że to żart.

Ale Żenia nie żartował. I wyglądało na to, że nie zamierza zmienić decyzji. Wsiadł z auta i podszedł do bagażnika. Chwilę później wrócił i podał Uzi koc.

– Jeśli jesteś wypoczęta, możesz poszukać czegoś w necie albo pojeździć po okolicy.

– Telefon mi pada. Poza tym dawno nie prowadziłam.

– W takim razie jesteś na mnie skazana. – Posłał jej uśmiech pozbawiony choćby krzty sympatii. – To tylko kilka godzin. Rano zjemy śniadanie i zaczniemy robotę.

Uzi powąchała koc. Nie cuchnął, ale i tak potrząsnęła głową.

– Włącz chociaż ogrzewanie.

– Szkoda akumulatora.

– Przecież jest, kurwa, minus dziesięć!

Żenia wychylił się przez środek i zgarnął z tylnego siedzenia kurtkę, którą zdjął na czas jazdy. Potem położył swój fotel. Przykrył się ubraniem i przymknął oczy.

– Pomyśl, że jesteś w górach, w ciasnym namiocie z niedziałającym piecykiem, a na zewnątrz szaleje zamieć. Jedyne, co musisz zrobić, to zająć czymś myśli i przetrwać do rana. A przy odrobinie szczęścia złapać trochę świeżości. – Otworzył oczy i zerknął na Uzi. Nie spodziewał się, że wzburzenie może tak znacząco odmienić jej piękną twarz. – No co? Chciałaś być dziennikarką. Wyobraź sobie, że robisz reportaż wcieleniowy.

– Pierdol się!

Z jakiegoś powodu Żenię rozbawiła jej gniewna reakcja. Pożegnał Uzi pustym śmiechem. I mimo uciążliwej niewygody po paru minutach zasnął.

26 STYCZNIA 1959

DANIELA

Sposób, w jaki drwale sprząтали po pijaństwie, zgarniając niedopite butelki i resztki jedzenia, wygrzebując ze śniegu porozrzucane sztuczce, które mogłyby zamarznąć, a przede wszystkim znosząc do baraków niedomagających kompanów, sugerował, że w tego typu czynnościach mają niemałą wprawę. Daniela dostrzegала w tym coś uduchowionego. Pierwotnego. Wręcz wojowniczego. Tyle że drwale nie byli wojownikami. Oni z nikim nie walczyli. Ani z wrogami, ani między sobą. Ani z komunistami, ani z kapitalistami. Ani z przeszłością, ani o lepsze jutro. Według Daniela wiedli prostackie życie. Pozbawione ambicji i planów. A przy tym skrajnie eksploatujące. Przypominające zjazd na dupie ze stromego zbocza, prosto w niekończącą się przepaść.

Mimo to z jakiegoś powodu zazdrościła im tego. Może właśnie o to w tym wszystkim chodzi? Żeby nie myśleć zbyt dużo. Nie kombinować. Nie zadręczać się tym, że można było wskórać więcej.

– Wszystko w porządku? – To był Misza. Człapał w stronę baraku, ciągnąc ze sobą półprzytomnego, bełkoczącego pod nosem Leona. – Pomogę ci.

– Nie trzeba – odparła Daniela.

– Odstawię go do wyra i przyjdę po ciebie.

– Powiedziałam, kurwa, że nie trzeba.

Aby to udowodnić, energicznie zerwała się na równe nogi. Złapała pion. Ale gdy ruszyła do przodu, poczuła, że nie ma kontroli nad ciałem. Bujnęło nią w prawo, potem w lewo, potknęła się o pień i wylądowała twarzą w śniegu.

– Kurwa! – syknął Misza. – Przyjdę po ciebie.

– Ja jej pomogę.

Daniela nie miała pojęcia, kto to powiedział, ale po chwili ponownie stanęła. Kiedy spluwała śniegiem, jakiś facet chwycił ją w pasie, jakby obejmował beczkę z kapustą, i pomógł jej wstać.

– Właśnie dlatego baby nie powinny pić wódki. Za bardzo się wtedy upodabniają do chłopów.

Głowa Daniela nagle zrobiła się nieludzko ciężka i bezwładnie opadła na pierś. Jak przez mgłę dziewczyna widziała owłosione grzbiety dłoni człowieka, który pomógł jej się podnieść.

– Poradzisz sobie? – spytał Misza.

– Zwykle noszę wielkich, głupich i awanturujących się kolesiów – odparł Małpa. – A to tylko wojująca komunistka.

– Tylko i aż.

Powietrze przeszył chropowaty rechot.

Daniela poczuła, że jej stopy suną po śniegu. Nie trwało to jednak długo, ponieważ chwilę później świat zawirował, a ona znalazła się w powietrzu. Podniosła zadziwiająco ciężkie powieki i zobaczyła śnieg sypiący się spod ciężkich buciorów Małpy.

– Będziesz rzygać? – spytał drwal.

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą.

– To jak już się dowiesz, daj znać. Założyłem na wasz przyjazd najlepsze ciuchy.

Śnieg nagle zniknął, a Daniela usłyszała huk zatrzaskiwanych drzwi. Zrobiło się ciut cieplej. Ciut przyjemniej. I ciut jaśniej. Kiedy zamknęła oczy, a po paru sekundach ponownie je otworzyła, była już w innym miejscu. Jeszcze przyjemniejszym, jeszcze cieplejszym. A kiedy świat ponownie zawirował i jej ciało wylądowało na czymś poziomym i twardym, zrobiło się już supermiło.

– Gdzie ja jestem?

– W swoim tymczasowym domu.

– A Klara?

– Leży w sąsiednim pokoju. Dotarła tam o własnych siłach. Nie tylko jest ładniejsza, ale i bardziej samodzielna od ciebie.

– Pierdol się.

Małpa się roześmiał i usiadł na brzegu pryczy. Zapalił papierosa.

– Mam żonę, która jest dokładnie taka jak ty. – Popatrzył na Danielę. – Ciężko bez was żyć, ale na co dzień jesteście jak wrzody na dupie. Marudne i upierdliwe. To, że przez większość roku nie widuję tej jędzy, jest największym błogosławieństwem, jakie mogło mnie spotkać.

Pochylił się i pogładził dziewczynę po zmarzniętym policzku. Kiedy chciał cofnąć rękę, poczuł jej uścisk na palcach.

– Zostań – wymamrotała.

Mimo że leżąca z zamkniętymi oczami Daniela nie mogła tego widzieć, Małpa pokręcił głową.

– Chciałbym, ale nie mogę.

Bez żadnych problemów wyrwał się z jej rachitycznego uścisku. Wstał i przykrył kocem ciało dziewczyny. Na koniec podsunął wiadro do pryczy i wyszedł.

Daniela podciągnęła nogi pod brodę. Alkohol bezapelacyjnie ją znokautował. Czowała, że za moment zaśnie. W ostatniej chwili jej myśli powędrowały do Małpy. Ten grubo ciosany facet urzekł ją swoją troską. Był inny od mężczyzn, z którymi podróżowała. Różnił się od łatwo wybuchającego Wiktora, drwiącego i niedostępnego Miszy, niestabilnego emocjonalnie Aleksieja. Był inny od małomównego Marata, durnowatego Leona, nieporadnego Ilji, zboczonego Emila czy nijakiego Dinara. Był jedyny w swoim rodzaju.

I choć nigdy by się do tego nie przyznała, cholernie jej się podobał.

Zasnęła.

Ale po kilku minutach coś ją zbudziło. Poczowała, że ktoś usiadł na łóżku.

– Wróciłeś – ucieszyła się.

Otworzyła oczy, ale nic nie zobaczyła, ponieważ człowiek, który do niej przyszedł, odwrócił ją na brzuch. A kiedy chciała coś powiedzieć, przycisnął jej głowę i wepchnął do ust coś cuchnącego.

To nie on, pomyślała Daniela. To nie Małpa. To nie może być Małpa.

Mężczyzna zrzucił na ziemię koc. Przygniótł dziewczynie nogi i zaczął rozpinać spodnie.

Chciała mu coś powiedzieć. A właściwie nie powiedzieć – wykrzyczeć. Żeby z niej zlaźł. Żeby zabrał to świństwo z jej ust. Żeby jej nie krzywdził. Że jest dziewczycą.

Ale była bezsilna. Bezwolna. Bezradna. Mogła jedynie mieć nadzieję, że to, co ją spotka, nie potrwa długo.

Zacisnęła powieki, wydając z siebie bezdźwięczny ryk.

9.

9 STYCZNIA 2020

Rozpoczęli dzień od niezbyt wyszukanego śniadania: lurowatej kawy ze stacji benzynowej i kilku zimnych kanapek spożytych w samochodzie. Jako że Żenia nie zaliczał się do facetów przesadnie dbających o auto, po kilkunastu godzinach podróży wnętrze jego hyundaia wyglądało jak pobożowisko.

- Odwróć się – powiedziała Uzi, która ani nie dopiła kawy, ani nie dojadła kanapek.
- Po co? – zdziwił się Żenia.
- Chcę się przebrać.

Żenia wziął dwa ostatnie leniwe gryzy, zwinął papierek po bułce i wepchnął go do podłokietnikowego schowka, który niezauważenie przeistoczył się w kosz na śmieci. Zgarnął kubek z kawą, uchylił drzwi i wyciągnął nogi na zewnątrz. W tym czasie Uzi stanęła obok samochodu, zaparkowanego kilkaset metrów od stacji, na poboczu rzadko uczęszczanej drogi, którą z obu stron obrastało szczerze pole, i zaczęła się przebierać.

- Masz jakiś plan? – zapytała.
- Na co?
- Na naszą historyczno-kryminalną wycieczkę.

Żenia pociągnął łyk kawy, która nie podchodziła nawet jego niewybrednemu podniebieniu, i zapalił papierosa. Miał nadzieję, że posłuży mu jako sprzęgło do napoju.

– Plan jest taki, że będziemy łączyć od domu do domu i wypytywać ludzi o Przełęcz Gonczara.

- Pytam poważnie – burknęła Uzi. – W jaki sposób chcesz się dobrać do tematu?
- Inaczej niż ty.
- Przecież nie wiesz, jak chcę to zrobić.

– Wiem. – Żenia powiódł wzrokiem za przejeżdżającym samochodem. – Najchętniej wparowałabyś na komisariat, powiedziała, kim jesteś, powołała się na prokuratorskie wpływy i wyciągnęła od miejscowych psów standardowy zestaw informacji.

Uzi wróciła do środka. Zamknęła drzwi. Chwilę później Żenia wyrzucił peta i zrobił to samo.

– Efektywność to moje drugie imię. – Uzi wyjęła z torebki kosmetyczkę, a z niej przybory do makijażu. – To najlepszy sposób, żeby się dowiedzieć czegoś o tym zadupiu i jego mieszkańcach.

Żenia obejrzał jej nowy strój. Uzi wymieniła jeden standardowy zestaw biurowy na inny; też składał się z czarnych materiałowych spodni, białej bluzki i szarego żakietu.

– Co? – spytała, widząc, że się na nią gapi.

– Kiedy się poznaliśmy, powiedziałaś, że pochodzisz z tradycyjnej rodziny.

– Bo to prawda.

– Założyłem, że urodziłaś się poza Moskwą.

Uzi na chwilę przerwała poprawianie rzęs.

– W stolicy też się takie trafiają. Jestem moskwianką. Z dziada pradziada.

– Teraz już wiem.

– Skąd?

– Gdybyś wywodziła się z małego miasteczka, wiedziałabyś co najmniej dwie rzeczy o ludziach z prowincji.

– Mianowicie?

– Po pierwsze, nie znoszą protekcjonalizmu i obcesowego traktowania. Jak wszyscy lubią się czuć ważni. Zwykle nie są w tej kwestii szczególnie wymagający, więc wystarczy uznać ich za równych sobie. A po drugie, nigdy się nie spieszą. Dlatego mieszcuchy próbujące załatwić z nimi coś na łapu-capu przeważnie dostają po dupie.

– Przecież ty się urodziłeś w Niestierowie.

– Ale dzieciństwo i młodość przeżyłem jako parias. To mnie nauczyło pokory i szacunku dla tych, którzy mają w życiu gorzej. A także tego, że ich sytuacja wcale nie musi być wynikiem niedoborów intelektualnych czy lenistwa.

– Ale zwykle jest.

– Coś takiego może powiedzieć tylko ktoś, kto nie pamięta komuny.

– W takim razie jak chcesz to rozegrać? – Uzi zamieniła tusz do rzęs na puder.

– Nikt nie może wiedzieć, że jesteśmy tu dlatego, że jakiś koleś, który kumpluje się z oligarchami, zlecił nam tę robotę. Nie mogą wiedzieć, że reprezentujemy kastę, której nienawidzą. Moja propozycja jest taka, żebyśmy podawali się za dalekich krewnych Miszy Klimienki, którzy próbują rozwiązać rodzinną zagadkę. Oboje znamy na pamięć jego oficjalną historię, więc nie będziemy czuć się niekomfortowo, zmyślając tę opowieść.

Uzi zamknęła kosmetyczkę. Przez kilka sekund przyglądała się w lusterku efektom swojej pracy.

– Co jeszcze? – spytała, wyczuwając, że to nie koniec.

– Żeby zyskać wiarygodność, powinniśmy podać się za rodzeństwo. Albo małżeństwo.

– Mamy w dowodach różne nazwiska, więc to drugie odpada.

– Problem w tym, że nie jesteśmy do siebie ani trochę podobni. Ludzie prędzej łykną sporą różnicę wieku i odmienne nazwiska niż brak wspólnych cech.

Uzi uniosła brwi.

– Zgoda. Ale jeśli złapiesz mnie za tyłek albo pocałujesz, oberwiesz w jaja.

– Nawet nie przeszło mi to przez myśl.

– Jasne. Żeby nie było, że nie ostrzegałam. – Włożyła kosmetyczkę do torebki i jeszcze raz przyjrzała się sobie w lusterku wstecznym. – Miejscowi policjanci mogą nie być zachwyceni, jeżeli się dowiedzą, że ich oszukaliśmy.

– Nie dowiedzą się, bo w ogóle nie będziemy z nimi rozmawiać. Zaczniemy od podstawówki, w której nocowali gonczarowcy. W takich miejscach szkoły często są największymi wylęgarniami pasjonatów historii i dziwaków. A to oni tworzą naszą grupą docelową. Oczywiście nie licząc starców.

Uzi wzruszyła ramionami.

– Niech będzie. Ruszamy?

– Jeszcze jedno. – Żenia otaksował ją od stóp do głów. – Masz jakieś inne ciuchy?

– To znaczy?

– Takie, w których nie wyglądasz jak prawniczka ze stolicy.

– Uważasz mnie za snobistyczną dziunię?

– Nie ma znaczenia, za kogo cię uważam. Ważne, co o tobie pomyślą ci biedni ludzie, którzy świat poza Kiercowem znają jedynie z *reality show* i wiadomości.

– Mam dzinsy i kilka kolorowych bluzek. – Spojrzała na Żenię wzrokiem bazyliuszka. – Oraz dres, w którym zamierzałam paradować w naszym luksusowym apartamencie.

– Dzinsy wystarczą.

Żenia otworzył drzwi i ponownie wystawił nogi na zewnątrz. Zapatrzony w wolno przesuwające się chmury, zapalił kolejnego papierosa. Zapowiada się piękny dzień, pomyślał.

27 STYCZNIA 1959

DANIELA

– Stańcie obok siebie. Najbliżej, jak się da. A najlepiej, gdybyście się przytulili.

Kiedy Emil próbował ustawić wszystkich tak, aby każdy zmieścił się w kadrze, Daniela poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Spojrzała w prawo. Obok niej stanął chłopak mniej więcej w jej wieku. Niewysoki, wąsaty, z ospowatą twarzą i zepsutymi zębami. Czuła jego cuchnący oddech za każdym razem, gdy niekontrolowanie wybuchał śmiechem.

To nie on, pomyślała. Tamten nie miał wąsów i tak nie śmierdział.

Kiedy się ocknęła, była jeszcze pijana. Wstając z łóżka, omal nie przewróciła wiadra z rzygowinami. Wtedy znów ją zemdliło, choć już nie bardzo miała czym wymiotować. Następnie usiadła na brzegu wyra, z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Powoli, bardzo powoli dochodziła do siebie.

Próbowała przypomnieć sobie miniony wieczór. Wyostrzyć zamazane obrazy. Wypełnić luki. Gdy doszła do kulminacyjnego momentu, zaczęła się zastanawiać, czy to się wydarzyło naprawdę. Czy to nie był zły sen. Upiornie realistyczny koszmar. Ale potem podrapała się po plecach, wyczuwając pod palcami zaschniętą maź. I nagle wszystkie wspomnienia wróciły.

Nie bardzo rozumiała, co ten facet właściwie z nią robił. Przecież, na szczęście, nic jej nie włożył. Zapamiętała to tak, jakby napastnik próbował zrobić sobie dobrze przy pomocy nawalonej, ledwo kontaktującej dziewczyny, ocierając się o jej zmarznięte pośladki. Zupełnie jakby bał się zrobić to, po co tam przyszedł. Albo jakby nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Kiedy się spuścił, natychmiast z niej zlął i wyjął knebel z jej ust. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wtedy do Daniela dotarło, co przed momentem zaszło. Wychyliła się za krawędź łóżka i zwymiotowała. A zaraz potem opadła na poduszkę i zasnęła.

Odwróciła się. Za nią stał Małpa. Palił papierosa i dowcipkował z kolegami. W pewnym momencie uchwycił jej wzrok i drwiąco się uśmiechnął. Jakby chciał powiedzieć: „Masz, czego chciałaś”. Daniela była na niego wściekła. W końcu to on rządził tym obozowiskiem. Miał ich pilnować przed zgrają niewyżytych gnojków. Wydzielił dla podróżnych osobny barak, a dla niej i dla Klary nawet osobne pomieszczenia. A mimo to stało się to, co się stało. Na jego warcie. Pod jego nosem. A kto wie – może nawet za jego przyzwoleniem.

Daniela podniosła wzrok. Za Małpą, na kilku nierównych schodkach, stała reszta drwali. Z wąsami i bez. W czapkach zimowych i fikuśnych beretach. Skacowanych, brudnych, śmierdzących. Irytująco zadowolonych z życia.

– Daniela! – wrzasnął Emil. – Spójrz, do cholery, w obiektyw, bo nigdy nie zrobię tego zdjęcia. I uśmiechnij się trochę. Wszyscy się uśmiechnijcie!

Cudnie, pomyślała Daniela. Pamiętkowe zdjęcie, do którego najprawdopodobniej zapozuje ze swoim oprawcą. Jak jakaś skretyniała ofiara losu.

Było wczesne popołudnie, a turyści, wymęczeni po pijackiej nocy i wyjątkowo obfitym śniadaniu, które składało się z resztek z ogniska, zaczęli się szykować do odjazdu. Tego dnia zamierzali po raz pierwszy założyć narty. Musieli przejechać około dwudziestu pięciu kilometrów do dawnego stanowiska geologicznego. Dopiero tam rozpoczynała się właściwa część ich wyprawy.

– Mam prośbę. – Małpa podszedł do Wiktora, który z wyraźnie zagubioną Daniellą konsultował stan ekwipunku. – Parę tygodni temu robiliśmy wyręb niedaleko miejsca, do którego jedziecie. Zostawiliśmy tam trochę sprzętu: żeliwne rury, narzędzia, kliny.

Mogliśmy je zabrać ze sobą, ale chłopcy popili, więc wolałem nie ryzykować, że coś zgubią albo zrobią sobie krzywdę.

– Chcesz, żebyśmy to wam przywieźli? – zdziwił się Wiktor.

– Tylko pomogli załadować.

– Na co?

Małpa wycelował palcem w stronę bramy wjazdowej, do której zbliżał się zaprzęg konny z siwym mężczyzną na szczycie sań.

– To wasz szofer – wyjaśnił. – Wygląda na pocziwca, ale nie dajcie się zwieść. Facet spędził dziesięć lat w obozie. Sam fakt, że to przeżył, czyni z niego groźnego skurwysyna.

– Za co siedział?

– Nie mam pojęcia.

– Nie zapytałeś?

– To bez znaczenia. Znasz kogoś, kto trafił do obozu ze swojej winy?

Przerwali rozmowę, kiedy zaprzęg wjechał na środek podwórka. Powożący nim mężczyzna miał solidnie poturbowaną twarz i braki w uzębieniu. Powitał zgromadzonych zamglonym spojrzeniem i niepokojąco brzmiącym kaszlem. Wyglądał na siedemdziesiątkę, choć zapewne był sporo młodszy. Dekada w łagrze zrobiła swoje.

– Poznajcie Tautvydasa. – Małpa podszedł do zaprzęgu, ale zamiast przywitać się z mężczyzną, pogłaskał jego konia. – Spędzicie z nim kilka ostatnich godzin, zanim zanurzycie się w głuszę.

Tautvydas otaksował wzrokiem turystów, którzy zbili się w jedną grupę, jakby chcieli ułatwić mu zadanie. Nie wyglądał na szczęśliwego.

– Załadujcie plecaki na wóz – nakazał. – Zabiorę tylko bagaże. Wy musicie dotrzeć do stanowiska na własną rękę. Gównu mnie obchodzi, jak to zrobicie.

– Mówiłem, że to przyjemniaczek. – Małpa mrugnął do Daniela, ale ta natychmiast odwróciła wzrok. – Napijesz się czegoś przed drogą? – spytał, zwracając się do woźnicy. – Mamy dobry kompot wiśniowy. Możemy ci zrobić herbatę. A jak jesteś głodny, to...

– Nalej mi szklankę – przerwał mu Tautvydas. – I przynieś wodę dla konia. Jak się napije, to ruszamy. Chcę tam dojechać o ludzkiej porze. A wy ruszcie się z tymi bagażami.

Załadowanie dziesięciu potężnych plecaków na sanie zajęło kilka minut. Tyle samo czasu potrzebował koń, aby się napoić i posilić przed drogą. Tylko Tautvydas znacznie szybciej uporał się ze szklanką wódki.

– Jedziemy – powiedział woźnica.

Turyści pożegnali się z Małpą i ustawili do odjazdu. Kiedy Emil robił zdjęcie grupy, dorzucając kolejny element do dokumentacji, jaką po powrocie zamierzali przedłożyć

w klubie sportowym na dowód swojego wyczynu, lider drwali po raz ostatni podszedł do Daniela.

– Nie daj się – powiedział, po czym nieoczekiwanie pocałował ją w policzek.

Jeszcze wczoraj Daniela pomyślałaby, że to miłe. Ale dzisiaj miała ochotę ukręcić mu łeb.

9 STYCZNIA 2020

Poznając Kiercow z za szyb samochodu, Żenia miał wrażenie, że czas stanął w miejscu. Budynki błagały o remont, sunące ulicami pojazdy wyglądały jak zdobyczne dziewiętnastowiecznej techniki, a ludzie wydawali się przygaszeni, oszukani i wściekli. Z każdego brudnego zakątka tego sztucznego, pozbawionego właściwości miasteczka wzywały jego wieloletnie problemy: dychawiczna gospodarka, wysokie bezrobocie, brak perspektyw.

Żenia często słyszał, że Rosja to stan umysłu. On jednak szedł o krok dalej. Uważał, że Rosja to stan masowej psychozy. Że to nieuleczalnie chora, wielka, niejednorodna kraina, pełna pozornych zwycięzców i faktycznych przegranych. Kraina składająca się ze stolicy, kilkudziesięciu Niestierowów, kilku tysięcy Kiercowów i kilkuset tysięcy innych pierwiastków, które tworzą skomplikowany związek chemiczny. Kraina zamieszкана przez jeden lud – postradziecki. Kraina starych ludzi: zblazowanych, przepitych, rozczarowanych; tęskniących za ustrojem, który wytepił wyjątkowość i pod płaszczykiem sprawiedliwości społecznej wyhodował monstrum. Ale też kraina młodych: resztkami sił marzących o tym, aby gdzieś uciec; tęskniących za epoką, jaką znają z opowieści ojców i dziadków, za czasami, w których Rosja była silna, przywódcy mieli jaja, a świat się jej lękał.

Sylwia Gusmanowa, dyrektorka szkoły w Kiercowie, była zawieszona pomiędzy tymi dwoma pokoleniami. Kiedy Żenia i Uzi do niej przyjechali, podając się za małżeństwo szukające prawdy na temat dalekiego kuzyna, wydawała się szczerze uradowana ich wizytą. Siedziała za biurkiem i stukiała w telefon, sprawiając wrażenie znudzonej i sennej. Choć to akurat mogło być złudzenie wywołane jej tuszą – licznymi krągłościami, podwójnym podbródkiem i niekończącymi się załamaniem na skórze, nadającymi jej wygląd wyrośniętego shar peia.

– Świetnie trafiliście. – Dyrektorka odłożyła telefon na blat i nie bez kłopotu wydostała się zza biurka, które było ustawione zbyt blisko ściany. Przynajmniej dla osoby o jej gabarytach. – Ja wam wprawdzie nie pomogę, ale pani Matuzalem posika się ze szczęścia. Uwielbia wspominać dawne dzieje.

– Pani Matuzalem? – zdziwiła się Uzi.

– Tak na nią mówimy. To była dyrektorka szkoły. Alona Jarczuk. Ma dziewięćdziesiąt dwa lata. Pójdę po nią. Zdaje się, że jeszcze nie zaczęła lekcji.

– To ona jeszcze...

– Żyje? – Tubalny śmiech kobiety rozdarł powietrze.

– Chciałam powiedzieć „uczy”.

– W takim miejscu jedno i drugie jest równie zaskakujące. Pani Matuzalem twierdzi, że spotkania z dziećmi utrzymują ją przy życiu. Trochę niedosłysz, ale umysł wciąż ma ostry jak brzytwa.

Kiedy Sylwia Gusmanowa wyszła z pokoju, Żenia i Uzi przez kilka sekund milczeli, przytłoczeni zaskakującym nadmiarem jej energii. Ciszę przerwał ćwierkający odgłos telefonu.

– To Tinder – powiedziała Uzi. – Grubcia ma *match*.

– Co?

– *Match*. Dopasowanie. – Widząc zdziwienie wymalowane na twarzy Żeni, przewróciła oczami. – Ktoś właśnie dał jej do zrozumienia, że jest nią zainteresowany. Pewnie wrzuciła zdjęcie, na którym nie widać tuszy.

Żenia dalej wyglądał na zagubionego.

– Tinder to najpopularniejsza aplikacja randkowa na świecie. Ile ty masz lat? Osiemdziesiąt? – zirytowała się Uzi.

Żenię korciło, aby ją zapytać, skąd to wszystko wie, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie chciał zaognić sytuacji.

– Dobrze dla niej – stwierdził.

Chwilę później dyrektorka przyprowadziła Alonę Jarczuk. Pani Matuzalem wydawała się godna swojego pseudonimu. Miała króciutkie siwe włosy, pergaminową cerę i wąskie, ściśnięte usta. Była lekko przygarbiona i drobna, jakby z każdym rokiem emerytury traciła co najmniej kilogram masy ciała. Obok potężnej dyrektorki wyglądała jak mikrob.

Kiedy rozsiedli się we czworo przy biurku Gusmanowej, skromna salka wydała się jeszcze mniejsza. I zadziwiająco duszna, biorąc pod uwagę, że na wysokie okno nacierał mróz. A gdy powędrowali myślami do wydarzeń sprzed ponad sześćdziesięciu lat, zrobiło się jeszcze duszniej.

– Doskonale ich pamiętam – zaczęła Alona Jarczuk. Dyrektorka musiała zawczasu wprowadzić ją w temat. – Całą dziesiątkę. Z waszym wujem włącznie. Na początku myślałam, że to ich nauczyciel.

– Był sporo starszy od reszty – zauważyła Uzi. – Mogło się wydawać, że...

– A potem pomyślałam, że to enkawudzista. Wiem, że wtedy działało już KGB, a teraz to się jeszcze inaczej nazywa, ale moi rodzice zawsze mówili NKWD. I mnie też tak zostało.

– Skąd to podejrzenie?

– Czytaliście Solżenicyna, Suworowa albo Szalamowa? Jeżeli choć trochę znacie naszą historię, powinniście wiedzieć, że w tamtych czasach nikt nie puściłby grupy zdolnych dzieciaków w góry bez odpowiedniej opieki. Nikt nie zgodziłby się na to, by przez dwa czy trzy tygodnie wyprawiali, co im się żywnie podoba. – Jarczuk zrobiła pauzę, aby nabrać tchu i przyjrzeć się gościom. – Wyglądacie na zaskoczonych. Przykro mi, że dowiedzieliście się tego ode mnie.

– Jak pani ich wspomina? – zapytał Żenia.

– Jako energicznych i wesołych młodych ludzi. Przyszli do szkoły bladym świtem, zmęczeni po ciężkiej nocy, a mimo to mieli w sobie mnóstwo życia. Dzieci były nimi zachwycone. Zwłaszcza Klarą.

– Były między nimi jakieś napięcia? Dochodziło do kłótni?

– A skąd! Oczywiście nie wiem, co działo się później, ale to był dopiero początek ich podróży. Wszyscy byli w świetnych humorach.

– Dużo pani z nimi rozmawiała? – zapytała Uzi.

– Wymieniliśmy raptem kilka zdań. Głównie z Wiktorem, który wypowiadał się w imieniu grupy. Ale tyle wystarczyło, żeby poczuć bijące od nich dobro. – Staruszka wytarła łzę, która spłynęła jej po policzku. – Oni naprawdę mieli w sobie mnóstwo ciepła. Mieszkańcy Kiercowa wspominali ich jeszcze przez wiele lat.

Uzi odsunęła się do tyłu, jakby uderzyła w nią ta wiadomość.

– Z tego, co nam wiadomo, gonczarowcy spędzili w miasteczku łącznie jakieś jedenaście godzin: pod dworcem, w drodze do szkoły i tutaj. Poznali panią, nauczycielki i waszych podopiecznych, a także milicjanta, który przegonił ich ze stacji. Nikogo więcej. – Zerknęła na Żenię, który dopiero teraz załapał, do czego zmierza. – Z całym szacunkiem, ale jak można dać się zauroczyć ludziom, których się właściwie nie poznało?

– Nie zauroczyliśmy się nimi. – Pani Matuzalem wyjęła solidnie wymiętą chusteczkę i wytarła w nią nos. – Zauroczyliśmy się ich cierpieniem. Ośmioro młodych ludzi i waszego wuja spotkało coś strasznego.

– Pani wie co?

– Wszyscy wiedzą. Ale nikt, nawet po tylu latach, nie chce tego głośno powiedzieć. Ludzie nadal się boją. Niektórzy wciąż dobrze pamiętają milicjantów, którzy łazili po domach, wypytując o turystów.

– O co konkretnie?

– A jak pani myśli? – W głosie pani Matuzalem po raz pierwszy pojawiła się nuta irytacji. – Oficjalnie władze próbowały zdobyć informacje na temat turystów, podobnie jak wy. Ale tak naprawdę chciały się upewnić, czy ktoś przypadkiem nie zna prawdy.

– Pani Alona uważa, że gonczarowcy zostali zamordowani przez wojsko – wyjaśniła Sylwia, ścisząc głos do szeptu.

– Wybili ich – dodała staruszka. – Co do jednego. Waszego wuja też nie oszczędzili. Nie mogli pozwolić sobie na ryzyko. Nie wiem, na co ci młodzi natknęli się w górach, ale komuś bardzo zależało, aby nikt się o tym nie dowiedział.

Staruszka ponownie wyjęła chusteczkę, ale teraz się w nią wysmarkała. Tymczasem telefon dyrektorki ponownie wydał z siebie dźwięk. Kolejny *match*.

– Zna pani kogoś, kto miał styczność z gonczarowcami? – spytała Uzi. – Albo z ludźmi, którzy próbowali potem wyjaśnić przyczyny ich śmierci?

– Kochana. – Na przezroczyściej twarzy kobieciny pojawił się zadziwiająco entuzjastyczny uśmiech. – Ja znam wszystkich.

27 STYCZNIA 1959

ILJA

Wreszcie zrobili to, na co czekali od początku wyprawy – zanurzyli się w uralską tajgę. Uzbrojeni w narty i uwolnieni od ciężaru plecaków, które jechały na saniach Tautvydasa, poruszali się po zamrożonej Mierioży, potoku mającym doprowadzić ich pod stanowisko geologiczne, gdzie zamierzali spędzić noc.

Mimo panującego od wielu tygodni mrozu warstwa lodu na rzece nie była szczególnie gruba, więc musieli być ostrożni. W dodatku często przystawali, aby zeszkrobać szadź osiadającą na nartach. Ale mimo to podróż sprawiała im frajdę. Zapomnieli o drobnych nieporozumieniach, o nieprzespanych nocach, o kacu. O tym, że jeszcze kilka godzin wcześniej jedli śniadanie z jakimiś barbarzyńcami, do których w niepokojąco szybkim tempie zaczęli się upodabniać. Napawali się przyrodą, chłonąc uroki przykrytego białą kołdrą lasu, przez który meandrował górski strumień; robili dziesiątki zdjęć, zachwyceni nieprzystępnym urokiem tajgi, a podczas każdego postoju śpiewali i dowcipkowali.

Tylko jedna osoba była tymi okolicznościami boleśnie przygnębiona.

– Co się tak wleciesz?

Ilja odwrócił się w lewo. Tautvydas prowadził zaprzęg powoli, żeby nie zamęczyć obciążonego ponaddwustukilogramowym bagażem konia, a przez to większość drogi pokonał sam, jadąc kilkadziesiąt metrów za turystami. Ale kiedy ci już przywykli do nowych warunków podróży, oswoili się z pięknem tajgi i przyspieszyli, od grupy zaczęli odstawać także Ilja.

– Plecy mnie bolą – odparł. – Musiałem trochę zwolnić.

– Gówna prawda. – Tautvydas wychylił się przez drewnianą barierkę i splunął na śnieg. – Widziałem wielu ludzi, których coś boli. W zasadzie widziałem wszystkie rodzaje bólu. Tobie nic nie dolega. A przynajmniej nie na tyle uciążliwego, żeby się tarabanić za grupą.

Ilja nie miał pojęcia, skąd ten zrzędlawy woźnica to wie, ale jego diagnoza była słuszna. Plecy rzeczywiście nie dokuczały mu aż tak, aby musiał jechać wolniej. Ale skoro lada moment miał obwieścić kolegom, że jego wycieczka dobiegła końca, musiał zasymulować jakiś problem.

– Wleciesz się, bo cię tutaj nie chcą – rzucił Tautvydas, nie czekając na ripostę ze strony Ilji.

– Chcą. Chyba chcą. – Ilja poszukał wzrokiem jadącej z przodu grupy. – Tylko jedna osoba ma ze mną problem.

– Za to najważniejsza ze wszystkich. Przywódca stada.

– To też zauważyłeś?

– Różne rzeczy widzę i różne rzeczy wiem. Dlatego dam ci dobrą radę. – Woźnica wyjął papierosa i wetknął go między zęby. – Spierdalaj stąd i już nigdy nie wracaj.

– O czym ty mówisz?

– O tajdze. O górach. O tym pierdolonym lesie. Z jakiegoś powodu myślimy, że przyroda to najpiękniejsza rzecz, jaką ojczyzna ma nam do zaoferowania. Jesteśmy dumni z tego, że pomogła zatrzymać naszych wrogów. Że to dzięki niej Napoleon i Hitler nie zdołali splądrować całego kraju. Ale prawda jest taka, że przyroda jest naszym największym wrogiem. To ona nas morduje. Rok w rok. Jesteśmy największymi ofiarami naszej własnej broni. – Tautvydas charkotliwie zakasłał, a następnie ponownie splunął. – Gdybyś zobaczył to, co widziałem w obozie... Przymierających głodem ludzi, których strażnicy zmuszają, by przy minus czterdziestu zapierdalali na budowie linii kolejowych... Nigdy nie przyszłoby ci do głowy, żeby z własnej woli poleźć do lasu.

– Ty polazłeś.

– A kto powiedział, że z własnej woli? – Woźnica uśmiechnął się ponuro, odsłaniając rząd karłowatych czarnych zębów. – Lubisz brać w dupę?

– Co?!

– Słyszałeś.

– Nie. Jasne, że nie.

– No widzisz. A ta wasza wyprawa jest jak zebranie o to, żeby ktoś was wydupczył.

– Przecież nie zamierzamy wejść na Czomolungmę.

– Ty na pewno nie.

Tautvydas nie zdążył się dobrze roześmiać, kiedy ponownie zaatakował go kaszel. Jeszcze raz splunął w bok. Tym razem po stronie Ilji, który zerknął na śnieg i zauważył, że męzczyzna charka krwią.

– Życie mnie nie oszczędzało – powiedział woźnica. – Ciebie też nie oszczędzi, jeśli sam się o siebie nie zatroszczysz. A teraz zapierdalaj do przodu, bo nawet mnie spowalniasz.

Na miejsce dotarli późnym wieczorem. Opuszczone stanowisko geologiczne składało się z kilku budynków, z których tylko jeden nadawał się na nocleg. Był to typowy górski dom – podłużny, drewniany, ze spadzistym dachem uginającym się pod ciężarem śniegu. Pozostałe budynki wyglądały na rupieciarnie, roło się w nich od najróżniejszych narzędzi, mebli, ciuchów roboczych czy drewna na opał. Podobno ostatni mieszkańcy opuścili ten kompleks kilka lat temu. I wyglądało, że zrobili to w pośpiechu, zostawiając wszystko za sobą.

Zaraz po przyjeździe wzięli się do roboty: dziewczyny połowicznie wysprzątały izbę; Leon, Ilja i Emil naznosili drewna, uruchomili przytkany piec i przygotowali naprędce kolację; Wiktor, Misza, Aleksiej, Marat i Dinar wypakowali bagaże, a następnie pomogli załadować na sanie sprzęt, który woźnica miał zawieźć z powrotem do tartaku. W tym czasie Tautvydas oporządził konia, którego czekała noc w jednym z zagraconych budynków, ponieważ stodoła była kompletnie zdewastowana.

Kiedy uporali się ze swoimi zadaniami, zebrali się na kolację. Usiedli na podłodze, podzielili się chlebem, zjedli po talerzu letniej zupy. W pewnym momencie Ilja wstał, udając, że sprawiło mu to poważny kłopot, i wyszedł na środek izby.

– Słuchajcie, muszę wam coś powiedzieć.

Smętnie popatrzył na twarze kolegów. I już wiedział, że nic więcej nie musi mówić.

9 STYCZNIA 2020

„Ja znam wszystkich”, które padło z ust pani Matuzalem, wlało nadzieję w serca Żeni i Uzi. Jednak szybko się przekonali, że była ona przedwczesna. Owi „wszyscy” okazali się czterema stetrycznymi osiemdziesięciolatkami, którzy mieli jednorazową styczność z milicjantami wypytującymi o gonczarowców. Jedynym plusem było to, że jeden z nich, o dziwo, wiedział, gdzie w centrum miasta można bezproblemowo dostać nocleg.

– Podwójne łóżko? – spytała recepcjonistka. Doglądała biznesu w niezbyt urodziwym dwupiętrowym budynku, który z daleka wcale nie wyglądał jak hotel. Z bliska zresztą też nie.

– Wolelibyśmy dwa pojedyncze. – Uzi uśmiechnęła się sztucznie. – Mąż strasznie chrapie. W dodatku zabiera mi kołdrę. Roluje ją i zgniata kolanami, a ja budzę się zmarznięta w środku nocy i muszę ją wyszarpywać.

– Mąż? – zdziwiła się recepcjonistka, zaglądając do dokumentów.

– Kowalczyk to bardzo pospolite nazwisko. Wolalam zostać przy swoim.

Kobieta obrzuciła ich znudzonym spojrzeniem, po czym wstukała dane do komputera. Kiedy skończyła, oddała im dowody i wręczyła klucz.

– W budynku obowiązuje całkowity zakaz palenia. W łazience znajdziecie czyste ręczniki i mydło. Śniadania wydajemy między siódmą a dziewiątą. Nie zaśpijcie.

Recepcjonistka ożywiła się na chwilę, aby zasygnalizować drwiącym uśmiechem, że właśnie ich przejrzała. Że wie, iż są kochankami.

No cóż, pomyślała Uzi, lepsze to, niż gdyby miała nas wziąć za detektywów.

– „Roluje kołdrę”? – szepnął Żenia, kiedy wdrapywali się na górę.

– To akurat prawda. Tyle że facet się nie zgadza.

Dostali pokój na najwyższym piętrze. Była to śmierdząca tanim odświeżaczem powietrza klitka z klaustrofobiczną łazienką. Wydawała się jednak względnie czysta i cicha. A oni niczego więcej nie potrzebowali.

Uzi błyskawicznie zajęła jedno z łóżek, po czym wyjęła kosmetyki i ciuchy na zmianę.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, pójdę się umyć pierwsza – oznajmiła. – Czuję, że śmierdę.

– Śmiało. – Żenia, gdy tylko weszli do pokoju, podpiął telefon do ładowania.

– Potem możemy podsumować dzień.

– A co tu podsumowywać? Jakaś stara baba przedstawiła nam spiskową teorię, która nie ma żadnego poparcia w dowodach. Nie dowiedzieliśmy się niczego na temat Miszy Klimienki, a nawet nie przybliżyliśmy się o włos do wymyślenia, jak moglibyśmy to zrobić. Nie poznaliśmy też nikogo, kto mógłby nam jakkolwiek pomóc w rozwikłaniu zagadki. Cały dzień psu w dupę.

– Może i tak. A może, jeśli jeszcze chwilę nad tym posiedzimy, uda nam się wykluczyć kilka następnych teorii. – Uzi wyjęła z torby notatnik, w którym skrupulatnie spisała wszystkie potencjalne przyczyny śmierci turystów. Rzuciła go na łóżko. – Zróbmy cokolwiek, żeby zakończyć dzień na plusie. Okej?

Żenia ciężko wypuścił powietrze. Wyraźnie nie miał na to ochoty, ale pokiwał głową.

– Niech ci będzie. Tyle że najpierw muszę zajarać.

Odpiął telefon od ładowarki, włożył kurtkę i wyszedł z pokoju. Zszedł na parter, minął recepcję i opuścił budynek. Przystanął obok parapetu, który zdobiły dwie puste doniczki oraz osmolony słój z niedopalkami. Wciągnął na głowę kaptur i zapalił. Chwilę później wyjął telefon.

– Myślałem, że już się nigdy nie odezwiesz. – Anton przywitał Żenię z pretensją w głosie, ale mimo to wydawał się zadowolony z jego telefonu. – Stukaliście się już?

– Spędziliśmy noc w samochodzie – odparł Żenia.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– A moim zdaniem jest.

– Dowiedzieliście się czegoś o dzieciakach?

- Niczego, czego byśmy nie wiedzieli.
- A o tym gościu, którego zwłoki zaginęły?
- Mówili mi, że jesteś wścibski, ale nie wspominali, że aż tak.

Anton się roześmiał.

- Taka praca. Zresztą chyba coś o tym wiesz.
- Masz dla mnie jakieś wieści?
- Mam, ale najpierw musisz się usprawiedliwić. Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? Nie zżerała cię ciekawość, z kim podróżujesz?

– Oczywiście, że zżerała. Ale gdybym dowiedział się czegoś, co niekoniecznie chciałbym usłyszeć, pewnie zachowywałbym się wobec niej nieufnie i nienaturalnie, a ona z pewnością by to zauważyła. Woląłem nie ryzykować.

– No to dobrze zrobiłeś. – Żenia usłyszał, jak Anton przerzuca kartki w notatniku. – Wygląda na to, że twoja przyszła dziewczyna pilnie strzeże swojej prywatności. Potwierdziłem, że rzeczywiście pracuje w Prokuraturze Generalnej, ale odtworzenie jej drogi zawodowej, przesłедzenie spraw, którymi się zajmowała, czy ustalenie, kim są jej najbliżsi, to już wyższa szkoła jazdy.

- Wiem. Też próbowałem ją prześwietlić i gówno z tego wyszło.
- Za to dowiedziałem się, że prawdopodobnie wali męża po rogach.
- Jak to?
- Rozmawiałem z gościem, który był mocno zdziwiony tym, że Anna Gamowa ma męża i syna. Widział ją w towarzystwie dwóch różnych facetów. Wobec obu zachowywała się tak, jakby byli kimś więcej niż kolegami.
- Od kogo to wiesz?
- Od ciecia w Prokuraturze Generalnej.
- Poleciałeś do Moskwy?
- Poprosiłem mnie o przysługę. A ja jestem rzetelnym człowiekiem.

Anton tak naprawdę nie był księgowym. Anton, podobnie jak Żenia, pracował jako prywatny detektyw. Mieli okazję wspólnie zajmować się sprawą pewnego zamożnego faceta, który chciał mieć absolutną pewność, że jego problem zostanie należycie rozwiązany, więc wynajął dwóch niezależnych specjalistów. A ci dość nieoczekiwanie się zakumpłowali. Połączyły ich wspólny fach, zajawka biegowa, milicyjna przeszłość, a przede wszystkim równie mocno zakorzeniona niechęć do władzy i wszystkiego, co z nią związane. No i Anton tak naprawdę nie miał na imię Anton.

- A co z jej mową ciała? – zapytał Żenia.
- Powiem ci, ale pamiętaj, że przy tak krótkiej interakcji i bez odpowiednich narzędzi to trochę wróżenie z fusów.

– Proszę cię, nie przeciągaj tej rozmowy, bo zaraz padnie mi telefon.

– Była zestresowana moją obecnością.

– Tyle to sam zauważyłem.

– Poprowadziłem tę rozmowę tak, aby przez cały czas odczuwała dyskomfort. Dlatego nawiązałem do jej męża, do sprawy, którą się zajmujecie, i do ciebie. Zgadnij, na co zareagowała najbardziej alergicznie.

– Pewnie na męża.

– Nie. O nim po prostu nie miała ochoty rozmawiać z obcym facetem.

– No to na sprawę.

– Przez cały czas patrzyła mi głęboko w oczy, co może świadczyć o tym, że próbowała mnie oszukać. Ale nie to było najdziwniejsze.

– A co?

– Kiedy wspomniałem o twoich lepkich łapkach, wzdrygnęła się. Jakby się ciebie bała. Albo jakby się przestraszyła jakiegoś skojarzenia, które podsunęły jej moje słowa. Szkoda, że nam wtedy przerwałeś.

– Byłoby dziwne, gdybym nie zareagował.

– Wiem. Tak czy inaczej, uważaj na nią. Spędzę w Moskwie jeszcze kilka dni, więc spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej.

Zanim Żenia zdążył mu podziękować, usłyszał charakterystyczne piknięcie. Przez kilka następnych sekund zamyślony wpatrywał się w martwy ekran telefonu.

10.

10 STYCZNIA 2020

Uzi zeszła na śniadanie za pięć ósma. Żenia zdążył wcześniej znieść bagaże do samochodu, wypalić papierosa i zająć im miejsce w jadalni. Z tym ostatnim nie było problemu, ponieważ kiedy wszedł do podłużnej salki z czterema pokrytymi ceratą stolikami, okazało się, że prawdopodobnie są jedynymi gośćmi w hotelu. A przynajmniej jedynymi, którzy odważyli się w nim stołować.

– Myślałam o tym, co powiedziała pani Matuzalem – zaczęła Uzi, kładąc na stole notatnik, z którym się praktycznie nie rozstawała.

– A ja myślałem, że mamy to za sobą – odparł Żenia. – Przecież doszliśmy do wniosku, że to zdziwaczała paranoiczka.

– Pewnie tak. Ale skoro milicja łąziła po miasteczku oddalonym o trzysta pięćdziesiąt kilometrów od miejsca tragedii i wypytywała o turystów, to jednak wypada się nad tym pochylić.

– To mogła być standardowa procedura.

– Albo rzeczywiście wydarzyło się tam coś bardzo dziwnego z udziałem milicji, wojska czy służb, co trzeba było jakoś przykryć. Gros teorii narosłych wokół przełęczu dotyczy testów broni.

– I wszystkie uznaliśmy za stek bzdur.

– Co nie zmienia faktu, że nie wyjaśniliśmy jeszcze dziwnych zjawisk widzianych na niebie na przełomie stycznia i lutego pięćdziesiątego dziewiątego roku czy śladów promieniowania znalezionych na ubraniach dwóch turystów. Nie twierdzę, że coś w tym jest, ale żeby pozostać śledczymi, a nie kolejnymi apologetami ulubionej teorii, powinniśmy zachować otwarte głowy.

Żenia próbował znaleźć błąd w jej rozumowaniu. Bezskutecznie.

– Okej, a czy możemy się z tym wstrzymać na czas śniadania? O ile jakieś dostaniemy...

Dopiero kwadrans po ósmej do jadalni pofatygowała się kobieta, która prawdopodobnie była również kucharką. Zebrała od Żeni i Uzi zamówienie, zaznaczywszy, że mogą dostać jedynie tosty albo jajecznicę. Poprosili więc o oba dania, na co kobieta odpowiedziała

pełnym niechęci stęknieniem. Kiedy jedzenie wjechało na stół, nie wyglądało zbyt apetycznie. Na szczęście byli bardzo głodni, więc zjedli wszystko ze smakiem.

– No dobra. – Żenia wyciągnął nogi pod stołem. – Zakładam, że skoro wyskoczyłaś z tym tematem, musi chodzić o coś więcej niż o wynurzenia jakiejś starej baby.

Uzi otworzyła notatnik, odnalazła stronę, której szukała, i pokazała ją Żeni.

– Spójrz na datę.

Żenia niechętnie pochylił się nad stołem.

– Dwudziesty szósty lutego – przeczytał. – Data rozpoczęcia śledztwa.

– Oficjalna. Nieoficjalnie śledczy zaczęli pracować nad sprawą znacznie wcześniej. – Uzi schyliła się do zawieszanej na krześle torebki i wyjęła jakieś papiery. – Trzynastego lutego rodziny ofiar zaczęły się niepokoić, ponieważ wtedy turyści mieli wrócić do domu. Dwa dni później Politechnika Niestierowska przestała lekceważyć telefony w tej sprawie i postanowiła wszcząć poszukiwania. Pierwsze zwłoki znaleziono dopiero dwudziestego szóstego lutego. A już dwa dni później podjęto decyzję, żeby odebrać sprawę miejscowemu prokuratorowi i przekazać ją ważniakowi z Niestierowa, Borysowi Jakupowowi.

– Do czego zmierzasz?

Uzi położyła kartki na stole. Były to wydruki z jakiegoś bloga poświęconego Przełęczcy Gonczara.

– To wywiad z miejscowym prokuratorem Piotrem Lisinem. Mówi, że pracował nad tą sprawą około dwudziestu dni, zanim mu ją odebrano. A to – Uzi wycelowała w drugi zestaw kartek – rozmowa z Danielem Rodinem, leśniczym z Wiermukowa. Gość wydaje się strasznie dziwakiem, ale twierdzi, że w sprawie gonczarowców po raz pierwszy przesłuchiwany był już szóstego lutego. A więc dwadzieścia dni przed oficjalnym rozpoczęciem śledztwa. I równo tydzień przed tym, jak rodzice dzieciaków zaczęli się niepokoić.

Żenia pospiesznie przejrzał oba wywiady.

– Czyli dwóch gości twierdzi to samo. To już coś.

– Skoro śledztwo faktycznie ruszyło dwadzieścia dni wcześniej, to znaczy, że zwłoki prawdopodobnie zostały znalezione ledwie kilka dni po śmierci turystów. A wtedy nie mamy do czynienia z bałaganem w papierach, tylko z fałszerstwem.

– Jeśli to prawda, możemy wyrzucić całą dokumentację do śmieci. Wszystko mogło zostać sfingowane: daty, pamiętniki, raport z sekcji zwłok, zeznania świadków.

– Tylko jak teraz znaleźć kogoś, kto po ponad sześćdziesięciu latach opowie, co tam się stało?

– Musimy szukać. – Żenia wstał, nieprzyjemnie szurając krzesłem. – Pójdę zajarać i poczekam w samochodzie.

Uzi widziała przez okno, jak drepcząc w miejscu, Żenia nerwowo pali szluga. Potem spojrzała na herbatę, której wcale nie miała ochoty dopijać, i ruszyła w kierunku recepcji. Za ladą spotkała starszą kobietę pochylającą się nad książką. Wyglądała na matkę dziewczyny, która dzień wcześniej zakwaterowała ich w hotelu.

– Oddaję klucz. – Uzi uśmiechnęła się do niej cierpko, jakby chciała ją za coś przeprosić.

– Wszystko było w porządku? – spytała kobieta, niechętnie odrywając się od lektury.

– Tak, dziękujemy. Wyruszamy w dalszą podróż.

– Mam nadzieję, że podobało wam się w Kiercowie.

Uzi nie była pewna, czy to w ogóle możliwe, więc ponownie obdarzyła kobietę niezręcznym uśmiechem.

– Urokliwe miasteczko – odparła. – A swoją drogą, czy zna pani jakichś osiemdziesięciolatków, którzy tu mieszkają?

Kobieta, wyraźnie zaskoczona pytaniem, odłożyła książkę.

– Znam jednego. Ale nie pochodzi stąd. Przyjechał z Wiermukowa. Podobno pomagał w poszukiwaniach turystów, którzy zginęli na Uralu. To dlatego tu przyjechaliście, prawda?

Uzi wolałaby tego nie potwierdzać, ale kobieta wyglądała na pewną swojej obserwacji.

– Skąd pani to wie?

– Wczoraj wieczorem pytał o was jakiś facet.

– O co konkretnie?

– Chciał wiedzieć, jak długo tu zostaniecie. Nie powiedział, po co mu ta wiedza, więc córka nie udzieliła mu żadnych informacji.

– A mówiła, jak wyglądał?

– Piuwne oczy, zarost, niewysoki. Lekko skośne oczy. Był w czapce i kurtce narciarskiej. Według Weroniki równie dobrze mógł mieć czterdzieści, jak i pięćdziesiąt lat. – Kobieta wyglądała na zadowoloną z siebie. – Czasem w okolicy kręcą się podejrzane typy, więc zawsze wypytyuję o ludzi, którzy tu przychodzą.

Uzi poprosiła o namiary na osiemdziesięciolatka z Wiermukowa i spisała je na kartce. Chwilę później podziękowała kobiecie i wyszła.

28 STYCZNIA 1959

ILJA

Poprzedni wieczór spędzili w milczeniu – po trosze zmęczeni, po trosze rozmyślający o decyzji Ilji – a następnie posprząтали po jedzeniu, porządnie napalili w piecu i zasnęli jak dzieci. Nazajutrz zerwali się wcześnie, zjedli ostatnie wspólne śniadanie i zaczęli szykować

się do drogi. Dziewięć osób wybierało się w góry, a Ilja i Tautvydas z powrotem w kierunku miasteczka.

– Kazał ci spieprzać?

To był Aleksiej. Dołączył do Ilji przy niewysokiej skarpie, kiedy ten poszedł się wysikać.

– Nikt mi nic nie kazał – zachnął się Ilja.

– Przecież widzę, że nic ci nie jest.

– To ciekawe, że nagle wszyscy wiedzą lepiej ode mnie, jak się czuję.

– Byłem z tobą na trzech wyprawach. Potrafię stwierdzić, kiedy naprawdę cierpisz. Teraz jedynie bardzo chcesz, aby wszyscy tak myśleli. Tyle że gówniany z ciebie aktor.

– Pierdol się. – Ilja powiedział to tak, jakby nie chciał obrazić Aleksieja, a jedynie załatwić sobie święty spokój. – Martw się o siebie.

– On tu rządzi, ale nie wszystko zależy od niego. Jako grupa możemy mu się sprzeciwić. – Aleksiej pochwyił wzrok Ilji. Chciał się upewnić, czy ten rozumie, do czego zmierza. – Dziewczyny się wściekną, kiedy usłyszą, że cię wykluczył. Poza tym jest z nami Misza, który mógłby przemówić Gonczarowi do rozsądku, a w razie czego zastąpić go w roli lidera. Zresztą ja też mam odpowiednie kompetencje. Wystarczy zadziałać.

Ilja pierwszy skończył sikać. Zapiął rozporek i podszedł do Aleksieja od tyłu, jak gdyby chciał go zepchnąć ze skarpy.

– Jeśli ci z nim nie po drodze, to może mu to powiedz, zamiast wciągać innych do swoich gier.

– Jak chcesz. – Aleksiej lekko przekrzywił głowę i wzruszył ramionami. – Tylko potem nie łaż po szkole i nie opowiadaj, że Gonczar to kutas. Sam jesteś sobie winien.

Skurwysyn, pomyślał Ilja, oddalając się w stronę budynku. Ale po chwili przyznał Aleksiejowi rację. Mógł się sprzeciwić Wiktorowi. Mógł przynajmniej sprawdzić, jak zareaguje na jego wolę. Mógł wreszcie zdyskredytować przywódcę w oczach grupy. Ale na żaden z tych ruchów się nie zdecydował. Z jednej strony brakowało mu odwagi, a z drugiej podskórnie czuł, że Wiktor może mieć rację. Od początku wyprawy miał wątpliwości, czy jego organizm ją wytrzyma. Pierwsze niepokojące sygnały pojawiły się zaraz po wyjeździe z Niestierowa. Może więc dobrze się stało, że wraca.

Tylko dlaczego, do cholery, całym sobą czuł, że jest inaczej?

Pół godziny później nastął czas rozstania. Ilja czule żegnał się z kolejnymi osobami, z Wiktorem włącznie, życząc im powodzenia w dalszej części wyprawy. Uznał, że będzie grał do końca. I nawet drwiący uśmiech Aleksieja nie wyprowadził go z równowagi.

Na koniec miał się pożegnać z Danielą. Poprosił ją, aby odsunęli się od grupy. Przez całą podróż świetnie się dogadywali. A ktoś, kto przyglądałby im się z boku, mógłby nawet stwierdzić, że w ich relacji może chodzić o coś więcej niż koleżeństwo.

– Uważaj na Gonczara – powiedział. – Jeśli z jakiegoś powodu zrobi się na górze niebezpiecznie, nie licz na jego pomoc. A jeżeli zaczniesz świrować, uciekaj.

Daniela wyglądała na poważnie skonsternowaną. A chwilę później – na przerażoną.

– O czym ty mówisz? – spytała.

– Obiecuj mi, że tak zrobisz.

– Ilja, co ty pleciesz?

– Obiecuj. – Ilja ściszył głos, jednocześnie mocno ściskając jej dłoń.

– Obiecuję.

Daniela chciała coś dodać. Dopytać. Zrozumieć. Chciała podzielić się z Ilją tym, co ją spotkało, i zapytać, czy to dlatego ostrzega ją przed Wiktorem. Ale nie mogła mu o tym wspomnieć. Nie potrafiła. Uściskali się więc serdecznie i dziewczyna dołączyła do grupy.

Ilja pomachał wszystkim po raz ostatni, a potem podjechał na nartach do zniecierpliwionego Tautvydasa.

– No i cię wyruchał. – Woźnica posłał chłopakowi kpiące spojrzenie. – Powinieneś mu za to podziękować. Ale jesteś młody i głupi, więc tego nie rozumiesz.

– Jedźmy już – burknął Ilja.

I pojechali. Przy akompaniamencie gruzliczego rechotu schorowanego człowieka.

10 STYCZNIA 2020

– Gdyby to był Janin, dziewczyna nie opisałaby go jako zwykłego kolesia. – Żenia wyjął z paczki papierosa. – Nie był to też żaden z jego schabów. A to oznacza, że prawdopodobnie wypytywał o nas ktoś, kogo nie znamy.

– Wścibski miejscowy? – zasugerowała Uzi.

– Może. Tylko dlaczego ktoś taki nagle się nami zainteresował? I dlaczego stało się to tak szybko? Przecież dopiero tu przyjechaliśmy. – Żenia pokręcił głową. – Coraz mniej mi się to wszystko podoba.

Podeszli do dwupiętrowego budynku, który był hybrydą kamienicy i socrealistycznego bloku. Wybrali numer na domofonie. Urządzenie nie zadziało, ale drzwi okazały się otwarte, więc Żenia wziął w pośpiechu kilka machów, wyrzucił peta pod nogi i pofatygowali się na górę. Załomotali w drzwi pod numerem siedem. Po kilkudziesięciu sekundach ktoś odciągnął rygiel w zamku.

Mężczyzna, który stanął w progu, nie wyglądał na osiemdziesięciolatka. Ani na kogoś, kto cieszyłby się na widok niezapowiedzianych gości.

Uzi wspięła się na wyżyny uprzejmości, aby sprzedać facetowi bajeczkę, którą parokrotnie wcześniej opowiadała mieszkańcom Kiercowa. Z jego ponurej twarzy trudno

było wyczytać, czy ją łknął, ale w końcu wpuścił ich do środka. Sam natomiast bez słowa udał się w głąb mieszkania.

– Ani „dzień dobry”, ani „pocałuj mnie w dupę” – szepnęła Żenia do Uzi.

– To nie on – odparła. – Jurij Pieczonkin miał być schorowanym osiemdziesięcioletkiem, a ten facet...

– Jurij Pieczonkin to mój ojciec. – Mężczyzna zniknął z lewej strony przedpokoju i nagle nieoczekiwanie pojawił się z prawej. – Ja mam na imię Nikodem. Jestem jego synem. – Wyciągnął dłoń do Żeni, a Uzi posłał uśmiech. – Przepraszam za tak chłodne przyjęcie. Nie wiedziałem, czy tata będzie chciał z wami rozmawiać. Zapraszam.

Poprowadził ich korytarzem w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w prawo. W tym dziwnie skonstruowanym mieszkaniu było coś w rodzaju centrum, w którym mieściły się łazienka z ubikacją, dwa pokoje rozmieszczone po przeciwległych stronach lokalu oraz kuchnia, największe i najważniejsze pomieszczenie w domu. To w nim zastali Jurija Pieczonkina. Miał krzaczaste brwi, bujną siwą czuprynę, długą pomarszczoną twarz i zadziwiająco żywotne oczy. Wydawał się przyspawany do taboretu stojącego pod oknem, skąd miał niezły widok na okolicę.

– Wiem, kim jesteście – powiedział Jurij, nie dając gościom szans, aby się przedstawili. – Ostrzegano mnie, że przyjdziecie.

Żenia i Uzi usiedli przy niewielkim kwadratowym stole, zajmując miejsca wskazane przez młodego Pieczonkina.

– Słyszeliśmy, że pomagał pan w poszukiwaniach turystów, którzy zginęli na Przełęczy Gonczara – powiedziała Uzi.

– Bo pomagałem. Tak samo jak wiele innych osób.

– W oficjalnych dokumentach brakuje pańskiego nazwiska.

– Gdybyście widzieli, jak to wszystko się odbywało, to już nic by was nie zdziwiło. To cud, że nie było więcej ofiar.

– Opowie nam pan o poszukiwaniach?

Mężczyzna popatrzył na Uzi, a potem skinął ręką na syna. Ten, nie pytając kogokolwiek o zdanie, włączył czajnik i postawił na stole szklanki z herbatą.

– Też byłem wtedy studentem – zaczął Pieczonkin. – I tak jak oni podróżowałem po kraju. Choć mnie i kolegów nie ciągnęło w góry. Woleliśmy się bawić i uganiać za dziewczuchami. Dopiero parę lat później poznałem twoją matkę. – Spojrzał na syna, czując, że powinien się usprawiedliwić. – Ale wiadomość o tych turystach mocno nas poruszyła. Czuliśmy się w obowiązku ruszyć z pomocą. Nawet jeśli zupełnie nie byliśmy do tego przygotowani.

– Kiedy się o nich dowiedzieliście? – spytała Uzi.

– Nie pamiętam daty. Ale pamiętam, że jedna grupa już ich szukała. Komuś udało się ustalić, jaką trasą mieli podążać, dzięki czemu wszyscy z grubsza wiedzieli, gdzie trzeba iść. Moja grupa miała szczęście w nieszczęściu.

– Co to znaczy?

– Tata i jego koledzy próbowali wejść na Szelichamat określną drogą, trochę wbrew logice – wyjaśnił Nikodem, zalewając gościom herbatę. – To dlatego znaleźli namiot.

Stary Pieczonkin wzruszył ramionami.

– Czysty przypadek. Nie mieliśmy bladego pojęcia o nawigowaniu w górach. W dodatku nie udało nam się zdobyć porządnych map. Zabłądziliśmy. Dopiero potem ktoś nam powiedział, że zamiast iść prosto na Szelichamat, zrobiliśmy trawers góry Alatanaj. Ja wtedy nawet nie wiedziałem, co to jest trawers.

– Sprawdziliście namiot? – spytał Żenia.

– Tylko się upewniliśmy, że nikogo nie ma w środku. Zaraz potem sprowadziliśmy gości, którzy mieli większe pojęcie od nas. A później zaczęła się jatka. – Pieczonkin przejechał dłonią po srebrnej czuprynie. – Pierwsze ciała udało nam się znaleźć w miarę szybko, ale kolejnych szukaliśmy kilka tygodni. Kilka tygodni łażenia po tych zasranych górach z wykrywaczami min, sondami lawinowymi i kijkami narciarskimi. Kilka tygodni dziobania w śniegu z nadzieją, że ktoś w końcu natknie się na ciało. Koszmar.

– Wyobrażam sobie. – Uzi zajrzała do notatek. – A czy zwróciliście uwagę na ślady na śniegu? Z raportów wynika, że na miejscu znaleziono osiem albo dziewięć par odcisków. Ich umiejscowienie sugeruje, że turyści zeszli ze zbocza we względnie kontrolowany sposób.

– Wiem tylko jedno. – Starzec dyskretnie wyjrzał przez okno, po czym przeciągnął zasłonę na środek, jakby nagle sobie przypomniał, że ktoś może ich obserwować. – Tam na górze panował straszny burdel. Byliśmy nieprzygotowani, nie mieliśmy odpowiedniego sprzętu, nikt nie wiedział, co robić. Jeżeli całe śledztwo prowadzono w taki sposób jak poszukiwania, to na waszym miejscu nie przywiązywałbym dużej wagi do tego, co wyczytaliście w tych dokumentach. – Skinął brodą na notatnik Uzi. – Ale to nie ze mną powinniście rozmawiać o szczegółach sprawy.

– A z kim?

– Na przykład z Wadimem Korolewem. Był prawą ręką miejscowego prokuratora, który na początku badał tę zagadkę.

– Piotra Lisina?

Pieczonkin pokiwał głową.

– Nie mam pojęcia, czy Wadim jeszcze żyje. Pewnie nie. Ale jego syn, bodajże Grigorij, też został prokuratorem i interesował się tą sprawą.

– Gdzie go znajdziemy? – zapytał Żenia.

– Nie mam pojęcia. Rozmawiałem z nim raz w życiu i było to ze dwadzieścia lat temu. – Pieczonkin ponownie przykleił się do okna. – Ale o ile dobrze pamiętam, on także wypytywał o ślady na śniegu.

28 STYCZNIA 1959

EMIL

Trasa, formacja, roślinność, pogoda, warunki noclegowe, punkty charakterystyczne, sprzęt i sposób jego wykorzystania. To był fotograficzny program obowiązkowy. Nudziarstwo, które musieli uwiecznić na kliszach, aby przywlec z gór dokumentację niezbędną do uzyskania najwyższych uprawnień turystycznych.

Emila Konstantinowa zupełnie nie kręciły takie zdjęcia. On wolał program dowolny, którego po powrocie z wyprawy nie obejrzy nikt poza jej uczestnikami. Zaliczały się do niego obrazki uwieczniające ich najróżniejsze wyglądy – od wchodzenia na barana i przytulania się do drzew po podmianki ubrań i zabawy w śniegu – fotografie artystyczne, a także zdjęcia dziewczyn, zwłaszcza Klary, które zamierzał wykorzystać w wiadomym celu.

Jednak tym razem natknął się na coś spoza tych kategorii.

Kiedy opuścili stanowisko geologiczne, ruszyli w górę Mierioży. Sunęli na nartach wzdłuż brzegu, ponieważ tafla lodu nie była wystarczająco gruba, aby mogli się przenieść na środek rzeki. Teren wyraźnie się wznosił, a gdzieś tam pomiędzy drzew wyłaniały się łyse uralskie szczyty. Jechali w zwartej formacji, w której najtrudniejsze zadanie miała osoba znajdująca się na początku grupy, wytyczająca drogę przez zalegający na tafli śnieg. Dlatego co dziesięć minut zmieniali się na prowadzeniu, a co trzydzieści robili krótkie przerwy, by odsapnąć, napić się wody albo coś przekąsić.

Podczas jednego z postojów Emil wyjął z plecaka aparat i odszedł na kilkanaście metrów od grupy. Na jednym z drzew dostrzegł dziwny symbol. Kilka poziomych kresek, dwie pionowe, niedokończony okrąg. Pieczęć wryto w korze na wysokości niespełna metra, przez co łatwo można było ją przeoczyć. Chyba że się wiedziało, gdzie szukać.

Emil usłyszał skrzypienie śniegu. Odwrócił się. W jego kierunku szedł Misza, niosąc w ręce jabłko, z którego krótkim nożem odkrajał kolejne płaty i pakował je do ust.

– Znalazłeś coś? – zapytał.

– Na to wygląda. Tylko nie wiem, co to takiego.

Misza podszedł do drzewa. Przykucnął, żeby obejrzeć symbol.

– To sprawa Wortów – ocenił.

– Skąd wiesz?

– Widziałem już takie symbole. Poza tym to ich tereny. Inne plemiona raczej się tu nie zapuszczają. A na pewno nie robią tego w taki sposób, aby pozostawić po sobie ślady.

– Te ludy jakoś ze sobą rywalizują?

– Raczej starają się trzymać dystans i nie wchodzić sobie w paradę. Na Uralu starczy miejsca dla wszystkich. Tylko my jesteśmy tu regularnymi intruzami. Jeżeli więc Wortowie mieliby do kogoś pretensje, to wyłącznie do nas.

Emil spojrział na Miszę, jakby chciał się upewnić, czy mają się czego obawiać. Ale niczego nie wyczytał z jego twarzy.

– Co to może oznaczać? – zapytał Emil.

– Nie mam pojęcia. Nie znam ich języka ani pisma. Ale pewnie można to jakoś wydedukować. – Misza wstał, odsunął się od drzewa i rozejrzał dookoła. – To może być odległość do jakiegoś punktu, na przykład wioski czy najbliższego ujścia rzeki. Albo informacja dotycząca zwierząt, które żerują w okolicy. A może jeden z Wortów ukrył gdzieś skarb i zostawił dla kogoś podpowiedź?

– Trudno byłoby tu znaleźć coś, co nadawałoby się na skarb.

Misza uśmiechnął się do Emila. Wyglądało na to, że zrobił mu szybki test na inteligencję.

– Dobrze, że to zauważyłeś – powiedział. – Wortowie to urodzeni myśliwi. Mają doskonałą orientację w terenie. No i świetnie znają okolicę. Jeżeli tu byli, to znaczy, że wiedzie tędy jakaś droga, którą prawdopodobnie dostaniemy się na górę. Choć oczywiście nie będziemy musieli się uciekać do szukania wskazówek od Wortów. W końcu mamy Wiktora.

– Taaa... – westchnął Emil.

Misza ściał ostatni plaster z jabłka, po czym wyrzucił ogryzek. Wytarł nóż w kurtkę i schował do pokrowca.

– Wątpisz w talent nawigacyjny Wiktora?

– Byłem z nim tylko na jednej wyprawie, więc nie chcę go pochopnie oceniać. Na pewno jest sprawny i niezłe się porusza w wymagającym terenie. Nie miałem z nim żadnych problemów, bo wytrzymywałem jego tempo. Ale słyszałem, że kiepsko sobie radzi z presją.

– Nie jest łatwo być dobrym liderem. Nie wystarczy umieć chodzić po górach, rozpoznawać szlaki i czytać mapy. Trzeba jeszcze lubić ludzi. A to jest największym wyzwaniem. – Misza klepnął Emila w ramię. – Ruszajmy. Pogoda się pogarsza.

Emil spojrział w górę. Spomiędzy ogołoconych z liści drzew wyłaniało się nieskazitelnie czyste niebo.

– Skąd wiesz? – zapytał.

W odpowiedzi dostał tylko tajemniczy uśmiech.

Chwilę później obaj wrócili do grupy.

– Najpierw dobra czy zła wiadomość? – spytała Uzi, nie odrywając wzroku od telefonu. – Chociaż w zasadzie obie są złe...

– Zaczynij od gorszej – odparł Żenia, nadziewając na widelec coś, co kiedyś prawdopodobnie było świnia, ale teraz, w otłuszczonej karcie jednej z knajp w centrum Kiercowa, przypominającej stołówkę robotniczą przerobioną na bar szybkiej obsługi, figurowało jako kotlet.

– No dobra. – Uzi przesunęła na bok miskę z nietkniętą zupą i położyła smartfon na blacie. – Wadim Korolew nie żyje od dwudziestu lat. Rozległy wylew. Znalazłam jego nekrolog w jednym z lokalnych serwisów informacyjnych. Wynika z niego, że całe życie spędził w Kiercowie, był szanowanym obywatelem oraz kochającym ojcem i mężem. Bła, bła, bła. Nie ma nawet pół wzmianki o Przełęczu Gonczara ani o innych sprawach, którymi się zajmował.

– To była zła czy gorsza wiadomość?

– Zła. Gorsza jest taka, że choć Grigorij Korolew także został miejscowym prokuratorem, to wiadomo o nim jeszcze mniej niż o jego ojcu. Znalazłam kilka artykułów dotyczących jakiegoś zabójstwa sprzed sześciu lat, w których był cytowany. I to w zasadzie wszystko.

– Lokalny oddział prokuratury ma jakąś stronę internetową?

– Ma. Wygląda na niezmienną od czasów DOS-a. Tak czy inaczej, szefem lokalnej prokuratury jest już ktoś inny. Korolew pewnie przeszedł na emeryturę.

– Ile on może mieć lat?

– Ojciec zmarł w wieku siedemdziesięciu siedmiu.

– Kurwa! – zaklął Żenia, odnosząc się i do smaku kotleta, i do usłyszanych wieści. – Rzygam już tą geriatrią. – Popatrzył na Uzi, która ponownie sięgnęła po telefon. – Zjedz zupę. Zimna będzie zupełnie niejadalna.

Uzi uniosła brwi, jak gdyby chciała zakomunikować Żeni, że chyba pomyliły mu się role – tymczasowego partnera służbowego z ojcem. Mimo to włożyła łyżkę do zupy. I ku jej zaskoczeniu wcale tego nie pożałowała. Smak domowej pomidorówki obudził w niej dobre wspomnienia.

– Musimy sporządzić nowy plan – powiedziała. – Najpierw trzeba odnaleźć syna Korolewa. Później powinniśmy jeszcze raz przestudiować listę ludzi, którzy mogą mieć coś wspólnego ze śledztwem. Być może takich Korolewów jest więcej, a każdy z nich może mieć dzieci, wnuki albo znajomych interesujących się gonczarowcami. A potem proponuję wylapać wszystkich lokalnych dziennikarzy i blogerów, którzy pisali o sprawie. Większość z nich to łowcy sensacji, walczący o kliki za pomocą spiskowych teorii i chwytliwych tytułów, ale może powiedzą coś ciekawego. – Zamilkła, zauważywszy, że Żenia coraz wolniej przeżuwa. – Co się stało?

– Nic.

– Przecież widzę, że mnie nie słuchasz.

Dopiero po chwili Żenia przeniósł na nią wzrok.

– Jakiś koleś nam się przygląda. Tylko się nie odwracaj. Jedz zupe.

Uzi zastygła na moment, a potem nabrała sporą łyżkę. Pomidorówka nagle straciła smak.

– Jak wygląda?

– Skośne oczy, broda, kurtka narciarska – odparł.

– Koleś z hotelu.

– No właśnie.

– I co teraz?

– Poczekamy na rozwój wypadków. Siedzi przy samym wejściu. Gdy zjem, pójde zająrać i spróbuje mu się przyjrzeć.

Ale Żenia szybko musiał zmodyfikować plan. Zanim dokończył obiad, mężczyzna przywołał kelnerkę, zapłacił gotówką za kawę i wstał od stolika. Skierował się w stronę toalety.

– Co robisz?! – szepnęła z irytacją Uzi, widząc, że Żenia się podnosi.

– Facet poszedł do kibla. Pójde za nim. A ty jedz jakby nigdy nic.

Żenia spokojnie wytarł chusteczką usta i niespiesznie ruszył za nieznajomym.

Podłużna toaleta składała się z dwóch nieodseparowanych drzwiami pomieszczeń. W pierwszym było kilka pordzewiałych umywalek i kilkumetrowe brudne lustro, w drugim – rząd pisuarów oraz trzy drewniane kabiny, zabudowane od podłogi po sufit. Żenia nigdzie nie widział faceta z hotelu, więc przystanął przy zlewie, aby umyć ręce. Co jakiś czas spoglądał w lustro, przypatrując się mężczyznom, którzy wychodzili z drugiej części pomieszczenia. Kiedy po mniej więcej minucie zwolniły się dwie pierwsze kabiny, natychmiast zajęły je następni chętni. To oznaczało, że śledzący ich mężczyzna musiał okupować ostatnią.

Żenia odczekał kolejne pół minuty, maksymalnie przeciągając suszenie rąk. Następnie wyjął telefon, udając, że coś przegląda. W końcu stracił cierpliwość. Podszedł do ostatniej kabiny i załomotał w drzwi. Żadnej reakcji. Żadnych odgłosów dobiegających ze środka. Nic. Pociągnął więc za okrągłą klamkę.

Drzwi ustąpiły. A w środku nie było nikogo.

Żenia zauważył za to nieduże, szeroko otwarte okno. Człowiek o jego gabarytach raczej by się tamtędy nie przecisnął. Ale ktoś sporo niższy – jak mężczyzna z hotelu – najwyraźniej tak.

– Kurwa – zaklął Żenia pod nosem. Gość go wykiwał. Domyślił się, że pójdzie za nim do kibla. To nie był żaden kamuflaż, tylko dobrze obmyślany plan ucieczki.

Żenia dokładnie obejrzał kabinę, licząc na to, że facet w roztargnieniu coś zgubił. Jednak niczego takiego nie znalazł. Za to gdy wszedł do środka i przymknął drzwi, zobaczył przyklejoną do nich karteczkę.

Treść była jednoznaczna. Adresat również.

– Korzystasz czy nie?

Przed kabiną pojawił się łysy facet w drelichowym kombinezonie. Jego podenerwowany ton i spoczywająca na brzuchu ręka wyraźnie sygnalizowały, że jest o włos od kompromitacji.

– Już nie – odparł Żenia.

Po wyjściu z toalety podszedł do stolika, przy którym widział nieznanego. Kelnerka właśnie zgarniała niedopitą kawę.

– Czy zna pani mężczyznę, który tu siedział? – zapytał.

Kobieta posłała mu nieufne spojrzenie.

– A o co chodzi?

– Wszedłem po nim do toalety. Wydaje mi się, że zostawił zapalniczkę.

Pokazał kelnerce przedmiot, którym setki razy podpalał sobie szluga.

– Przykro mi. Pierwszy raz go widziałam.

Żenia zaklął w myślach i wrócił do Uzi, która ze stresu opędzlowała całą zupę.

– I co? – spytała.

– Nic. Facet zwiął przez okno. Wydymał nas.

– Cholera. – Uzi opadła na oparcie krzesła. – Czyli to on. Facet z hotelu.

Chowając do kieszeni zapalniczkę, Żenia wymacał pod palcami kartkę, którą zabrał z toalety.

– A na pewno ktoś, kto sporo o nas wie.

28 STYCZNIA 1959

WIKTOR

Warto było na to czekać, pomyślał Wiktor, przesuając się powoli na czoło grupy. Zaczął od końca, aby przyjrzeć się wszystkim uczestnikom ekspedycji. Tak robią dobrzy liderzy. Nie myślą o sobie, o palących mięśniach, o problemach codzienności, które próbują zrzucić z barków podczas wyprawy. Myślą o pozostałych. O tych potencjalnie słabszych. O swoich podopiecznych. O drużynie.

Wiktor uwielbiał być tym, na którego wszyscy patrzą, kiedy trzeba podjąć decyzję. Tym silniejszym, dojrzałszym, mądrzejszym. Wiedział, że sprawność fizyczna to niezbędny budulec zdrowia psychicznego. Że ciężka praca uszlachetnia i kształtuje charakter. Ale

wiedział też, że dopiero branie odpowiedzialności za innych czyni człowieka lepszym. A ci, którzy tego nie rozumieją, są tylko paprochami. Naleciałościami na systemie. Mikroskopijnymi szkodnikami, którymi nie należy zawracać sobie głowy.

– Wszystko w porządku? – zapytał Daniełę, która przez większość dnia zamykała stawkę.
– Za chwilę zapadnie zmrok. Zatrzymamy się i rozbijemy namiot. Musimy się wspiąć jeszcze odrobinę. Dasz radę?

Pokiwała głową.

– Nic mi nie jest – burknęła.

Wiktor posłał dziewczynie gniewne spojrzenie. Cokolwiek ją dręczyło, nie powinna się tak do niego odzywać. Tym razem postanowił jej to wybaczyć.

– Jak się trzymasz? – zapytał Leona, który sunął pod górę kilka metrów przed Daniełą.

Chłopak pokiwał głową. Uśmiechnął się.

– Bywałem bardziej wypoczęty – odparł, z trudem łapiąc oddech. – Ale w końcu jesteśmy tu po to, żeby się zmęczyć, nie?

Nie, pomyślał Wiktor. Ale zamiast wytłumaczyć temu leniwemu birbantowi, po co to robią i o co tak naprawdę chodzi w tego typu wyprawach, tylko poklepał Leona po ramieniu. Miał jeszcze mnóstwo czasu, żeby go naprostować. Podobnie jak pozostałych.

Wiktor w końcu dojechał do Miszy, który otwierał ich dziewięcioosobowy peletonik. Nie zamierzał z nim rozmawiać. Chciał się jedynie przyjrzeć temu, w jaki sposób Misza radzi sobie ze stromizną. Wsłuchać się w jego ciężki oddech. Wyczuć, czy ten trzydziestoosmioletni facet może stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla jego przywództwa.

Ale Misza nie dał mu tej okazji, ponieważ w pewnym momencie niespodziewanie się zatrzymał.

– Potrzebujesz zmiany? – zapytał Wiktor.

Misza potrząsnął głową.

– Jak długo chcesz podążać wzdłuż rzeki? – zwrócił się do Wiktora.

– Najdłużej, jak się da. Dzięki temu ominiemy większość wzniesień i unikniemy niepotrzebnej wspinaczki. To jedna z niewielu stromizn, jakie nas dzisiaj czekają. – Wiktor wyjął z zewnętrznej kieszeni plecaka mapę, którą otrzymał od leśniczego z Wiermukowa. – Wkrótce powinniśmy dotrzeć do niewielkiego rozlewiska. Tam rozbijemy obóz.

– Czy są jakieś inne trasy prowadzące na ten szczyt?

– Cała masa, ale wybrałem optymalną. Masz jakieś wątpliwości?

– Nie o to chodzi. – Misza wskazał palcem wyrastającą z lasu ścieżkę, która kilka metrów dalej łączyła się z ich trasą. – Ktoś już tędy jechał. I to niedawno.

Wiktor przestudiował ślady nart. Były bardzo wyraźne. Nie dało się ich pomylić z niczym innym.

– Myślisz, że to Wortowie? – spytał.

– Nie wiem. Ale na pewno jechały tędy co najmniej dwie osoby.

– Spotkamy się z ludojadami? – spytał zdyszany Leon, podpierając się na kijkach.

– Oni nie są ludojadami – zaprotestowała Klara.

– Skąd wiesz? Poznałaś jakiegoś?

– Po prostu wiem.

– Żebyś się nie zdziwiła, kiedy się obudzisz, a któryś z tych dzikusów będzie wsuwał twoją nogę.

– Co ty pleciesz?!

– Cicho! – warknął Misza, po czym wysunął się kilka metrów do przodu. – Ktoś tam jest.

Turyści ustawili się w linii, aby zobaczyć to, co dostrzegł najstarszy członek ich grupy. Przez kilka sekund bezowocnie wpatrywali się w śnieżną pustkę, niczym nieróżniącą się od krajobrazu, jaki towarzyszył im od początku dnia. Ale potem to zobaczyli. Cienką brudnoszarą smugę, która swobodnie szybowiała ponad koronami drzew.

Dym.

Kilkadziesiąt metrów przed nimi znajdowało się obozowisko. Za chwilę mieli się dowiedzieć, kto je rozbił.

Część II

11.

10 STYCZNIA 2020

UZI

Po akcji w knajpie Żenia zrobił się nieco paranoiczny. Zaczął się częściej rozglądać na boki, mówił ciszej i tylko wtedy, kiedy było to absolutnie niezbędne, poruszał się szybko i nerwowo. W dodatku zaproponował, aby ograniczyli do niezbędnego minimum wizyty w miejscach publicznych, a wszelkie sprawy związane ze śledztwem omawiali w samochodzie, który stanie się ich centrum dowodzenia. W zasadzie Uzi nie miałyby nic przeciwko, gdyby tylko hyundai nie przypominał chlewu.

– W jaki sposób przeważnie załatwiasz takie sprawy? – spytała, obserwując z niesmakiem, jak Żenia wciska do schowka w podłokietniku kubek po kawie.

– Jakie sprawy?

– Detektywistyczne. Kiedy musisz kogoś znaleźć, a potem się okazuje, że sam jesteś śledzony.

Żenia zaśmiał się pod nosem.

– Masz chyba błędne wyobrażenie na temat tego, czym się zajmuję.

– „Jewgienij Kowalczyk. Agencja detektywistyczna”. Widziałam wizytówki w twoim mieszkaniu. Detektywi odnajdują i śledzą ludzi, aby zdobywać informacje na ich temat.

– Na filmach może i tak. W rzeczywistości większość danych dostaję od klientów. Ja jestem tylko od dopełniania formalności. Mam na przykład przyłapać kolesia na zdradzie, aby żona mogła wyciągnąć od niego jak najwięcej kasy podczas rozwodu. Zwykle to od niej się dowiaduję, gdzie jej facet pracuje, o której kończy i z kim się rucha na boku.

– I odkąd odszedłeś ze służby, tylko tym się zajmujesz? Serio?

– Czasem trafi się coś ciekawszego. Przekręty gospodarcze, próby wyłudzeń, gangsterka. Dobrałem się też do dupy paru kłamliwym politykom. Zresztą pewnie dlatego Fiodorow wybrał mnie do tej roboty. Ktoś musiał mu powiedzieć o mojej skuteczności. Ale ona wynika wyłącznie z tego, że ludzie bywają bezdennie głupi. A w tym wypadku nie mierzymy się z żadnym konkretnym człowiekiem, tylko z potężnym i skomplikowanym systemem, który z jakiegoś powodu postanowił zafałszować historię. A to zupełnie inna kategoria wyzwań.

Uzi nie potrafiła rozgryźć Żeni. Wiedziała, że to bystry facet, który mógłby w życiu osiągnąć znacznie więcej. Tylko co go tak naprawdę blokowało? Niskie poczucie własnej wartości? Lenistwo i zblazowanie? Nieudane małżeństwo? Jakies wojenne traumy? A może tak naprawdę był kimś zupełnie innym, tylko toczył z nią wyrafinowaną grę?

Nie. Chyba nie. Nie chciało jej się w to wierzyć. Nie mogła w to wierzyć.

– Musimy odnaleźć tego Korolewa. – Żenia uchylił szybę, wpuszczając do auta drobiny zacinającego śniegu. Zapalił papierosa. – To w tej chwili jedyny powód, dla którego tkwimy w tym cholernym mieście i pozwalamy się śledzić jakiemuś kolesiowi. – Zerknął na Uzi, która go słuchała, jednocześnie oglądając coś w smartfonie. – Możesz sprawdzić dla mnie w sieci pewien drobiazg?

– A sam nie możesz?

– Mogę, ale wyglądasz na nieźle uzależnioną od internetu.

– Po prostu lubię trzymać rękę na pulsie.

– Skoro tak, to poszukaj wykazu kancelarii prawnych działających w Kiercowie. Znajdziemy taką z dużym stażem i zapytamy w niej o Korolewa. Może uda się go zlokalizować, nie angażując do tego prokuratury ani lokalnych władz.

– Już to zrobiłam.

– Poważnie? – Żenia był szczerze zaskoczony.

– Jeszcze w Niestierowie. Wysłałam z założenia, że może nam się przydać pomoc prawna na miejscu. Mam nazwiska, adresy i numery telefonów. Wszystko, czego jaśnie pan sobie życzy. – Uzi posłała mu kpiarski uśmiech. – Podobno wielkie umysły myślą podobnie.

– Też tak słyszałem.

Uzi schyliła się do leżącej pod nogami torby i wyjęła notatnik.

– Jedna z kancelarii działa od dziewięćdziesiątego drugiego roku. Jej założycielem jest doktor prawa po Uniwersytecie Moskiewskim. Specjalizuje się w sprawach gospodarczych oraz karnych. Będąc od tylu lat w zawodzie, musiał słyszeć o Korolewie.

Żenia z uznaniem pokiwał głową. Następnie wycelował palcem w zeszyt Uzi.

– Jestem bardzo ciekawy, co jeszcze tam nagryzmołałaś.

– Wolałbyś nie wiedzieć.

Żenia wyrzucił peta przez okno. Uruchomił silnik. Następnie wstukał podany przez Uzi adres do GPS-u i odjechali z parkingu.

Kancelaria prawna Konstantina Lewartowa miała siedzibę na obrzeżach miasta, w efektownej dwupiętrowej kamienicy z nieco absurdalną arkadą, która zupełnie nie pasowała do przygnębiającej socrealistycznej estetyki charakterystycznej dla Kiercowa. Pomysłodawcy tej budowli, mieszczącej także biuro doradztwa podatkowego i poradnię

psychologiczną, musiało zależeć na tym, aby wyglądała na miejsce, do którego wypada wejść w odpowiednim stroju i z należyтым nastawieniem. A przede wszystkim ze świadomością, że wyjdzie się uboższym o okazałą sumkę.

Tym razem Żenia i Uzi uznali, że będą bardziej skuteczni, jeżeli przedstawią się jako wzięta prawniczka z Moskwy oraz weteran wojenny. I rzeczywiście, niespełna pięć minut po tym, jak młoda, wystrojona w obcisły kostium sekretarka poinformowała Lewartowa o wizycie niezapowiedzianych gości, właściciel kancelarii zakończył spotkanie z pracownikami i podjął przybyszy w luksusowym gabinecie.

– Wiem, co sobie myślicie – zaczął, zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć. – Stary, łysy i gruby Żyd z wielkim nochem i smykałką do robienia kasy. Bardziej stereotypowo już się nie da. – Lewartow przyjrzał się gościom, którzy wyglądali na zdrowo zaskoczonych. – No cóż. Nie zdołał nas zgnębić Hitler, nie dał nam rady Stalin, więc teraz odpłacamy się światu z nawiązką.

Uzi zwykle potrafiła szybko rozpoznać, czy ma do czynienia z porządnym prawnikiem, czy z dziwakiem i megalomanem. W wypadku Lewartowa było to dziecinnie proste. Mimo to czuła się nieswojo, słysząc jego gadkę na przełamanie lodów, którą pewnie od lat częstował klientów.

– Ładnie się pan urządził – powiedziała. – To art déco?

Lewartow z zadowoleniem pokiwał łysą głową.

– Żona zaprojektowała to biuro. Jest malarką. Niespokojna dusza. Przez wiele lat mnie przekonywała, że prawnik musi wyglądać jak prawnik, ubierać się jak prawnik i mieć biuro jak prawnik. A jeśli kancelaria świeci w nazwie jego nazwiskiem, to wszystkie elementy muszą ze sobą współgrać. W końcu się ugiąłem i pozwoliłem jej zrobić z tego miejsca małe dzieło sztuki. – Lewartow rozsiadł się na końcu długiego lakierowanego stołu, Żenia i Uzi zajęli miejsca po bokach. – Ale już dość o mnie. Co was sprowadza w moje nieskromne progi?

– Szukamy Grigorija Korolewa – oznajmił Żenia.

– Pracował w miejscowej prokuraturze ponad trzydzieści lat – wyjaśniła Uzi. – Uznaliśmy, że skoro pan od prawie trzydziestu prowadzi w Kiercowie kancelarię, to miał okazję go poznać.

Lewartow osunął się na oparcie krzesła. Wyglądał na zawiedzionego. Jak facet, któremu właśnie przemknął obok nosa potężny przelew.

– Rozumiem, że nie jesteście ludźmi, za których podaliście się na recepcji – powiedział.

– Nie okłamaliśmy pańskiej asystentki – stwierdziła Uzi. – Po prostu nie była wystarczająco dociekliwa.

– I pewnie nie powiecie, czego chcecie od Grigorija.

– Nie możemy – odezwał się Żenia. – Za to możemy zapewnić, że nie zamierzamy mu zrobić nic złego. Chcemy tylko pogadać.

– O przełęcz?

Żenia ciężko westchnął.

– Tak jak mówiłem, nie może...

– Nie jesteście pierwsi i nie będziecie ostatni – wtrącił prawnik. – Co jakiś czas pojawia się ktoś, kto chce rozmawiać o tych dzieciakach. Najpierw jego ojciec nie mógł się uwolnić od tej historii, a potem klątwa przeszła na Grigorija. Jak w jakiejś gównianej sztafecie pokoleń. – Lewartow wyjął dzwoniący telefon, a następnie go wyciszył. – Grigorij nie powie wam nic ciekawego.

– Skąd pan to wie?

– Znamy się od lat. Kiedyś w każdą sobotę graliśmy w brydża. Wypiliśmy przy tym morze wódki. Wielokrotnie pytałem go o przełęcz, ale za każdym razem mówił mi tylko tyle, ile sam mogłem się dowiedzieć z mediów.

– Może panu nie ufał – zasugerowała Uzi.

Lewartow posłał jej ponury uśmiech.

– Pewne jest to, że Grigorij jest jedyną osobą, która może wiedzieć, co zobaczył jego ojciec. Ale równie dobrze może nie wiedzieć nic. Wadim Korolew był bardzo mądrym człowiekiem. Nie zdziwiłbym się, gdyby zabrał prawdę do grobu, aby uchronić syna przed konsekwencjami posiadania nieodpowiedniej wiedzy.

– Chętnie usłyszelibyśmy to bezpośrednio od Grigorija.

– Powinniście zapytać o niego w prokuraturze.

– Ale zapytaliśmy pana – burknął Żenia.

Lewartow długo im się przyglądał. Myślał.

– Nie wiem, kim jesteście ani co kombinujecie, ale nie chciałbym, żebyście byli moim problemem. – Wstał od stołu i podszedł do biurka. Nabazgrał coś na żółtej karteczce samoprzylepnej, którą następnie przekazał Żeni. – Wątpię, żebyście się czegoś od niego dowiedzieli. I to nie dlatego, że nic nie wie albo nie będzie chciał wyjawiać.

– Jak mamy to rozumieć? – spytał Żenia.

– Zobaczycie.

Lewartow podszedł do drzwi i je otworzył. Bardziej wymownie nie mógł dać do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

– Czy ty właśnie przechodzisz udar? – spytała Uzi, widząc, że Żenia zastygł na półpiętrze ze wzrokiem wbitym w okno. – Halo?! Idziemy?

– Poczekaj – wymamrotał Żenia. – Podejź tu na chwilę.

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, i frustrowało ją, że ich spowalnia. W końcu mieli adres Korolewa. Mogli do niego podjechać, przepytac go i spieprzyć z tego miasta. Ale Żenia z jakiegoś powodu nagle zaczął podziwiać elewację sąsiedniego budynku.

– Widzisz tego mercedesa? – zapytał.

Uzi powędrowała wzrokiem za jego palcem. Za kilkoma złączonymi ze sobą garażami było niewielkie wzniesienie, na którym stał śmietnik, odgradzony od podwórka czerwonym murem. A zza tego muru wystawał samochód. Mercedes. Czarny. Ustawiony tak, jakby właściciel próbował go przed czymś lub przed kimś ukryć.

– To przecież...

– Janin i jego przydupasy – dokończył za nią Żenia. – Mam pewien pomysł.

Wrócili na drugie piętro i ponownie zajrzeli do kancelarii Lewartowa. Zanim sekretarka otworzyła usta, żeby ich przepędzić, Żenia zdążył ją zapytać o inne wyjście z budynku. Chwilę później wrócili na parter i wślizgnęli się na podwórko z tyłu kamienicy. Obeszli budynek, a następnie ostrożnie wychylili się zza rogu, sprawdzając, czy nikt z ekipy Janina nie wyszedł zajarać albo się wysikać. Wyglądało jednak na to, że wszyscy nadal siedzą w aucie, więc Żenia i Uzi ruszyli w jego kierunku. Wdrapali się na niewielkie wybrzuszenie terenu, okrążyli śmietnik i zaszli samochód od tyłu.

Żenia zapukał w szybę od strony pasażera. Po kilku sekundach powędrowała w dół. Zgodnie z ich przypuszczeniami miejsce obok kierowcy zajmował Janin, który nie wyglądał na szczególnie zadowolonego z tego spotkania.

– Chciałem pogadać już na stacji, ale szybko się ulotniliście – powiedział Żenia, zdobywając się na najbardziej złośliwy uśmiech, jaki miał w repertuarze. – Rozumiem, że mogliście wyjechać z Niestierowa z pełnym bakiem, ale jestem ciekaw, czy udało wam się dojechać do Kiercowa z pełnym pęcherzem.

– Czego chcesz? – burknął Janin.

Uzi nieśmiało zajrzała do środka, wylapując gniewne spojrzenia trzech facetów, którzy najprawdopodobniej kilka dni wcześniej złożyli niezbyt uprzejmą wizytę w mieszkaniu Żeni. Nie wyglądali na pracowników prokuratury. Nie wyglądali na ludzi, którzy skończyli jakąkolwiek szkołę. Przypominali trzech wkurwionych wykidajłów, którzy mieli dość siedzenia w samochodzie i chętnie zrobiliby komuś krzywdę.

– Przysługi – odparł Żenia. Zapalił papierosa i pochylił się, jakby chciał wetknąć głowę do środka. – Nie chodzi o nic wielkiego.

– Nie tłułem się przez pół kraju, żeby zrobić ci dobrze.

Goryle Janina zarechotali z uznaniem.

– Po pierwsze – ciągnął niezrażony Żenia – masz wyjątkowo nieprecyzyjne wyobrażenie o powierzchni Rosji. A po drugie, byłby to dla mnie miły dowód na to, że gramy do jednej bramki.

Janin parsknął pod nosem.

– Sprawdzasz mnie?

– Żyjemy w takim miejscu i w takich czasach, że wszyscy powinni się sprawdzać. Ty mnie, ja ją, a ona ciebie. – Żenia zerknął na Uzi, która pokiwała głową, choć nie bardzo rozumiała, do czego on zmierza. – Musisz przyznać, że do tej pory odbywało się to dość jednostronnie, co może być szkodliwe dla każdego z nas.

Janin nie miał ochoty uczestniczyć w jego gierkach. Ale chyba był tak zażenowany swoją nieudolną obserwacją, że nie potrafił kategorycznie odmówić.

– Niczego nie mogę obiecać, dopóki się nie dowiem, czego chcesz – oznajmił.

– Tak jak mówiłem, to nic wielkiego.

Żenia wyjął z kieszeni karteczkę, którą kilka minut wcześniej otrzymał od właściciela kancelarii, i podał ją Prochowcowi.

– Co to jest? – spytał Janin.

– Adres, pod który za chwilę pojedziemy. Później udamy się do restauracji przy głównym placu, a stamtąd do hotelu. Powinniście już wiedzieć, jak tam dotrzeć.

– Po co mi to dajesz?

– Żebyście nie musieli siedzieć nam na zderzaku. Możecie natomiast sprawdzić, czy nie śledzi nas pewien facet.

Żenia krótko scharakteryzował mężczyznę, którego widzieli w restauracji.

– Czym on jeździ? – spytał Janin.

– Tego, niestety, nie wiemy. Ale to najprawdopodobniej ktoś stąd, więc rozglądajcie się za tutejszymi blachami.

– Aleś nam ułatwił zadanie!

– Duże z was chłopaki. Poradzicie sobie. – Żenia puścił do niego oko. – Dajcie znać, jeżeli zauważycie tego faceta. Tylko pod żadnym pozorem z nim nie rozmawiajcie.

– Przecież nie obedrę go ze skóry.

– Ty pewnie nie. – Żenia przyjrzał się goryłom Janina, którzy samym milczeniem potrafili zadziwiająco sugestywnie okazać nienawiść. – Nie musimy być wrogami. Możemy okazać sobie odrobinę miłości.

Janin podniósł szybę, omal nie przycinając Żeni głowy. Chwilę później kazał kierowcy odjechać.

– Wkurwił się – zauważyła Uzi, odprowadzając mercedesa wzrokiem.

– I dobrze.

– Jesteś pewien, że chcesz z nim współpracować?

– Jestem pewien, że nie chcę. Ale skoro i tak za nami jeździ, mógłby się do czegoś przydać.

– Widziałeś jego przydupasów. Oni mogą zabić tego człowieka.

Żenia wolno pokręcił głową.

– Nie sędzę, żeby go znaleźli. I prawdę mówiąc, wątpię, żeby nam się to udało. – Wyrzucił peta w zaspę. – Chyba że facet w końcu zdecyduje się na konfrontację.

Jeżeli weźmie się pod uwagę uposażenie, prestiż i intelektualne wyzwania, z jakimi zwykle wiąże się praca prawnika, wydaje się czymś niewiarygodnie smutnym, że Grigorij Korolew skończył w miejscu takim jak to: zapyziałym bloku w najbiedniejszej dzielnicy Kiercowa. Prowadziło do niego przypominające rupieciarnię podwórko, na którym każdy z mieszkańców najwyraźniej zostawiał coś od siebie, od zepsutego telewizora po zaszczytany tapczan. Żenia i Uzi weszli do klatki schodowej, minęli trzech obdartusów, którzy stali w kącie pomieszczenia, paląc papierosy i rozpracowując coś, co miało procenty, ale raczej nie było tradycyjnie rozumianym alkoholem, i wdrapali się na trzecie piętro. Znaleźli się na korytarzu prowadzącym do kilku mieszkań. Do Korolewa należało ostatnie.

– Kiedyś wyglądał tak. – Uzi podsunęła Żeni smartfon.

Zobaczył zdjęcie, na którym fotoreporter uwiecznił mniej więcej pięćdziesięcioletniego prokuratora podczas jakiejś konferencji prasowej. Starannie uczesane ciemne włosy, przystrzyżona broda, okulary, garnitur. Elegancki facet na eleganckim stanowisku.

– Coś mi mówi, że nie powinniśmy się przyzwyczajać do tego wyglądu – odparł Żenia.

Miał rację. Drzwi otworzył im ktoś, kto zachował rysy twarzy Korolewa, ale oprócz tego wyglądał zupełnie inaczej. Łysy, z długą szramą na głowie i żółtosiwą, niezbyt estetyczną brodą, ubrany w brudny sweter i dresowe spodnie. Ze wzrokiem wyraźnie sygnalizującym, że dawno nie zaznał trzeźwości.

– Jak mnie znaleźliście? – zapytał Korolew, gdy Żenia i Uzi wyjaśnili, że są dalekimi krewnymi Miszy Klimienki. – Mówiłem w prokuraturze, że mają nie zdradzać informacji na mój temat. Mam już dość pismaków.

– Nie jesteśmy z mediów i nie byliśmy w prokuraturze – odparła Uzi. – Dotarliśmy do jednego z pańskich znajomych, który trochę się o pana martwi.

Korolew pokręcił głową.

– Pierdolony Żyd.

Widocznie Korolew musi mieć niewielu znajomych, odnotowała Uzi.

Gospodarz wpuścił ich do dwupokojowego mieszkania, które na szczęście nie wyglądało tak upiornie, jak się spodziewali. Zupełnie zwyczajny pokój z okazałą biblioteczką, zupełnie zwyczajna sypialnia, zupełnie zwyczajna kuchnia. Nadzwyczajna była jedynie liczba opróżnionych butelek, które Korolew składował za drzwiami, jak gdyby chciał je ukryć przed własnym sumieniem.

– Napijcie się czegoś? – zapytał.

– Dziękujemy. – Żenia uznał, że może odpowiedzieć za nich oboje. – Piliśmy kawę po drodze.

– Nie pytam o kawę. – Korolew postawił na stole trzy literatki, a następnie wyjął z lodówki ledwo napoczętą butelkę wódki oraz słoik ogórków. Goście nie okazali przesadnego entuzjazmu, więc nalał tylko sobie. – Wiem, że nie macie nic wspólnego z Klimienką. Przez tyle lat nie spotkałem nikogo z jego rodziny. A skoro twierdzicie, że nie jesteście pismakami, to z kim mam przyjemność? – Posłał obojgu uważne spojrzenie. – FSB? Policja? Łowcy sensacji?

– Powiedzmy, że tworzymy niezależny zespół śledczy – odparł Żenia.

– Każdy jest od kogoś zależny. Wyglądacie na miastowych, więc zakładam, że przyjechaliście z Niestierowa albo Moskwy. A skoro przyzwolicie się wysławiacie i wiedzieliście, jak mnie znaleźć, obstawiam, że macie coś wspólnego z prawem. Trafiłem?

Uzi była pod wrażeniem bystrości Korolewa. Może i był zachłanym emerytem, któremu w życiu coś nie wyszło, ale nie pozwolił, by woda zrobiła z niego kompletnego degenerata. Przynajmniej na razie.

– Chcielibyśmy się dowiedzieć, co pan usłyszał od ojca na temat tragedii na Przełęczu Gonczara – oznajmił Żenia.

Korolew uśmiechnął się pod nosem.

– Każdy chciałby to wiedzieć. Wszystkim się wydaje, że znam prawdę. Ludzie przyłóżą do mnie od lat i ciągle zadają niewłaściwe pytania.

– Dlaczego niewłaściwe?

– Bo chcą, żebym im powiedział, co tam się stało. A ja nie mam bladego pojęcia. Mój ojciec też nie wiedział.

– A czego udało się panu dowiedzieć? – włączyła się Uzi.

– To nie działa w ten sposób – odparł Korolew, po czym napił się wódki. – Rozmawialiście z Lewartowem, więc powinniście rozumieć, że nie jestem papłą.

– A co pan powie na handel informacjami? – zaproponował Żenia. – My powiemy, co zdołaliśmy ustalić, a pan podzieli się z nami swoją wiedzą.

– Wątpię, żebyście mieli coś, co może mnie zainteresować.

Żenia wymienił z Uzi porozumiewawcze spojrzenia.

– Zaryzykujemy.

Uzi wyciągnęła z torebki notatnik, a następnie wspólnie z Żenią omówili swoje odkrycia. Opowiedzieli Korolewowi o sfałszowanych dziennikach, o nieścisłościach w datach, o podejrzeniach ojca Daniela Kutuzowej. Korolew początkowo udawał, że w ogóle go to nie interesuje, wlewał w siebie gorzałę i zagryzał ogórkami. Ale z biegiem czasu okazywał coraz większą dociekliwość, czym dał po sobie poznać, że każda z tych spraw jest dla niego

nowością. I że wciąż – mimo emeryckiego wieku i problemów osobistych – żywo interesuje się tajemnicą gonczarowców.

– Tak naprawdę jestem pewien tylko dwóch rzeczy – powiedział po dłuższym milczeniu.
– Ślady stóp.

– Co z nimi? – spytała Uzi.

– Nie zdziwiło was, że uchowały się po tylu dniach? Na przełęcz, przez którą przetaczały się zamiecie śnieżne, wichury i Bóg wie co jeszcze? – Korolew przyjrzał się gościom, po czym odmierzył sobie kolejną porcję wódki. – Ojciec twierdził, że kiedy dotarł w okolice namiotu, rzeczywiście było tam sporo śladów. Może nawet należały do dziewięciu osób. Ale z całą pewnością nie były to ślady pozostawione przez gonczarowców.

– Kiedy pański ojciec dotarł na miejsce? – zapytał Żenia.

– Nie wiem.

– Jak to?

– Zależało mu na tym, żebym wiedział o sprawie jak najmniej. Ale udało mi się ustalić, że poszukiwania turystów ruszyły znacznie wcześniej, niż to ogłosiła władza. Być może któryś z Wortów znalazł namiot albo nawet zwłoki, poinformował współplemieńców, a ci przekazali informację dalej. Po paru dniach wieść dotarła do prokuratora Lisina, który już w pierwszych dniach lutego rozpoczął śledztwo. Choć tak naprawdę ruszył dupę dopiero wtedy, kiedy spłynęły sygnały ze szkoły i od zaniepokojonych rodziców.

– Nie jest pan jego fanem.

– Ojciec nie był. Ja go nie poznałem.

– Powiedział pan, że jest pewien tylko dwóch rzeczy – przypomniała Uzi.

Korolew wychylił następną kolejkę, po czym obejrzał swoją literatkę.

– Z raportów wynika, że gonczarowcy nie spożywali alkoholu.

– To nieprawda?

– Być może mieli taki zamiar. Ale ojciec dokładnie pamiętał, że podczas przeszukania namiotu oprócz góry ciuchów, żarcia i sprzętu turystycznego znaleźli kilka butelek spirytusu.

– Może trzymali go do dezynfekcji ran – zasugerował Żenia.

– No to musieli się mocno odkażać, bo niektóre były puste.

– Dlaczego władza to zataiła?

– Jak by to wyglądało, gdyby się okazało, że kwiat młodzieży Związku Radzieckiego umarł z powodu głupoty? Że turyści pokłócili się po pijaku albo zatruli alkoholem? Jesteście już dużymi dziećmi. Zastanówcie się. Czy w tamtych czasach taki komunikat mógłby trafić do narodu?

– Wtedy nie, ale przecież minęło ponad sześćdziesiąt lat – zauważyła Uzi. – Od tego czasu ujawniono wiele szokujących informacji na temat przeszłości. Jedno główne odkrycie więcej niczego by nie zmieniło.

– Kto wie. Może wydarzyło się tam coś tak oburzającego, że do dzisiaj osoby wtajemniczone w sprawę nie chcą tego ujawnić.

Mieli do Korolewa jeszcze mnóstwo pytań. O przełęcz. O rodziny gonzarowców. O ludzi prowadzących śledztwo. O jego ojca. O niego. Ale były prokurator tak szybko wlewał w siebie gorzałę, że po parunastu minutach spotkania był już praktycznie nieprzytomny.

Recepcjonistka nie kryła rozbawienia, kiedy Żenia i Uzi poprosili o ten sam pokój co poprzednio, ponownie się zarzekając, że potrzebują go tylko na jedną noc. I ponownie wystawiając się na drwiny córki właścicielki hotelu. Zanim weszli na górę, Żenia chwycił Uzi za ramię. Przystanęli na półpiętrze.

– Istnieje ryzyko, że w pokoju jest podsłuch – powiedział szeptem. – Mógł go zamontować Janin, facet, który nas śledzi, albo ktoś, o kim jeszcze nie wiemy.

– To poprośmy o inny pokój – zasugerowała Uzi.

– Wtedy podsłuchujący się zorientuje, że coś podejrzewamy. Lepiej, żeby uważał nas za nieświadomych idiotów.

Uzi szybko przeanalizowała sytuację.

– I tak musimy pogadać o śledztwie, bo inaczej się domyśli, że coś jest nie tak. Proponuję odhaczyć najbardziej absurdalne hipotezy, do których jeszcze nie doszliśmy.

Żenia pokiwał głową.

– Połączymy pozytywne z bezpiecznym. Sprytnie. – Postukał się palcem w skroń. – Główka pracuje.

– Zawsze.

Przez kilka minut krzątali się po pomieszczeniu, wypakowując najpotrzebniejsze rzeczy i gładząc o pierdołach. Przy okazji Żenia przyjrzał się lampom, szafkom nocnym, łóżkom i kilku innym miejscom, w których dało się zamontować pluskwę, ale niczego nie znalazł. Ustalili, że najpierw się wykąpią, a potem porozmawiają o sprawie. Tak jak poprzednio Uzi zaproponowała, że umyje się pierwsza. Przygotowała ubrania oraz kosmetyki, a następnie zaniósła je do łazienki.

– Pójdę zająć – oznajmił Żenia, zerkając w kierunku Uzi, która zaczęła zmywać makijaż. Dostrzegł w lustrze jej rozbawione spojrzenie. – Co cię tak śmieszy?

– Nic. Po prostu inaczej wyobrażałam sobie ten wyjazd. Myślałam, że każdego wieczoru będziesz biegał.

– Taki był plan.

– Więc w czym problem?

– Musiałbym odczekać jeszcze z godzinę, zanim kolacja ułoży się w żołądku. Trening biegowy zająłby półtorej. A potem co najmniej pół godziny dochodziłbym do siebie po wysiłku. Kiedy wreszcie mógłbym się położyć, byłoby grubo po północy.

– Zawsze możesz wstać o godzinę wcześniej i zacząć dzień od joggingu.

– Rano nie sprawia mi to frajdy.

– Bo bieganie w ogóle jest mało przyjemne.

– Nie zawsze chodzi o przyjemność.

– A o co?

– O to, by w sposób kontrolowany spuszczać sobie wpierdol. – Żenia przeliczył papierosy w paczce. – Lepiej zająć się tym samemu, zanim zrobią to za Ciebie inni.

Uzi przez dłuższą chwilę doszukiwała się sensu w jego słowach. Bezskutecznie.

– Jeśli chcesz wyjść za godzinę, to się nie krępuj – powiedziała. – Poleżę i poczytam. Zabrałam dwa reportaże dotyczące przełęczy. Nie umrę z nudów.

– Następnym razem – odparł Żenia. A widząc wciąż rozbawione spojrzenie Uzi, dodał: – Moja była powtarza, że jestem niekonsekwentny. Może coś jest na rzeczy.

– Może? – Uzi odsunęła od twarzy płatek do demakijażu i uniosła brwi.

– Okej, jestem niekonsekwentny. Nic na to nie poradzę. – Żenia poderwał się z łóżka i pomachał jej paczką papierosów. – Dzisiaj jeden nałóg, jutro drugi. Nie wszystko naraz.

Uzi odczekała kilka sekund, wsłuchując się w stukot butów na schodach. Następnie wyszła z łazienki i wyjrzała przez okno. Zobaczyła na dole Żenię, który właśnie odpałał papierosa, i przypomniała sobie jego poprzednie wieczorne wyjście. Trwało jakieś dziesięć minut. Miała więc całkiem sporo czasu, aby spróbować się dowiedzieć, kim tak naprawdę jest Jewgienij Kowalczuk.

Otworzyła jego torbę. Znalazła w niej to, czego się spodziewała. Ciuchy na co dzień oraz do biegania, elektrolity, dwie pary butów, a także sporo sprzętu elektronicznego: sportową opaskę do monitorowania stanu zdrowia, słuchawki bezprzewodowe, ładowarki. Oprócz tego chudą kosmetyczkę, powieść Lee Childa i notatnik, do którego Żenia musiał rzadko zaglądać, ponieważ był prawie pusty.

Minęło pięć minut, więc podeszła do okna. Spojrzała w dół. Żenia właśnie wgniatał peta w popielnicę, przyciskając telefon do ucha. Chwilę później ponownie wyjął paczkę papierosów.

Wróciła do jego rzeczy. Popatrzyła na nie z góry, dochodząc do wniosku, że nie dowie się z nich niczego nowego na temat Żeni. Po kilku dniach wspólnej pracy wciąż niewiele o nim wiedziała. Weteran wojenny, były milicjant, detektyw; rozwodnik z dwójką dzieci; niezły śledczy, ale kiepski mąż i ojciec – to wszystko było jasne. Ale dlaczego Fiodorowowi zależało, aby to Żenia zajął się sprawą? Dlaczego powierzył tak ważne zadanie zblazowanemu pięćdziesięciolatkowi, który nieudolnie próbuje oszukać zegar biologiczny? Dlaczego

uczulił ją, aby wspierając Żenię i odwalając za niego brudną robotę, przez cały czas patrzyła mu na ręce?

No nic, pomyślała, teraz się tego nie dowiem.

Kiedy zaczęła z powrotem wkładać rzeczy do torby, jej wzrok przykuły buty biegowe. Uważnie przestudiowała te, które dostał od Antona. Szukała w nich skrytek, podczepionych wiadomości, szyfrów. Czegokolwiek podejrzanego. Były to jednak najzwyczajniejsze buty do biegania, które niewiele się różniły od tych Żeni. Postawiła obie pary obok siebie. I nagle ją olśniło.

Rozmiar się nie zgadzał. Żenia musiałby sobie amputować palce, aby wcisnąć się w buty, które pożyczył od kolegi.

– Kłamliwy skurwysyn – syknęła.

Wepchnęła wszystko do torby, wbiegła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Zdążyła odkręcić wodę na chwilę przed powrotem Żeni.

12.

11 STYCZNIA 2020

ŻENIA

Późnym wieczorem poprzedniego dnia uzgodnili, że pomimo zmęczenia wstaną o świcie i czym prędzej wyjadą do Wiermukowa. W połowie dwustupięćdziesięciokilometrowej drogi Żenia poczuł, że to nie był najlepszy pomysł. Kawa i dwa energetyki nie rozproszyły senności, za to nieustannie chciało mu się łać, co mocno komplikowało jego plan jak najszybszego dojazdu do osady, z której gonczarowcy wyruszyli w góry.

Co innego Uzi. Ona trzymała się świetnie, mimo że nawet nie dopiła kawy i ledwo ugryzła kanapkę ze stacji benzynowej. Była jak robot. Zawsze przygotowana, zawsze czujna, zawsze w trybie pracującym. Zaprogramowana na nieustanne zapieprzanie.

– Co sądzisz o blogerach kryminalnych? – spytała, nie odrywając wzroku od smartfona.

– Jakich? – zdziwił się Żenia.

– Takich, którzy rozgrzebują sprawy z przeszłości, wykonując podobną robotę jak my.

– A co mógłbym o nich sądzić?

– Że to zapaleńcy, którzy potrafią zadziwiająco głęboko wgryźć się w interesujący ich temat. Często głębiej od prawdziwych śledczych. Albo że to banda świrów, którą trzeba omijać szerokim łukiem. Sprawa gonczarowców zaowocowała wykwitaniem jednych i drugich.

– Jesteśmy w stanie ich odróżnić?

Uzi spojrzała na Żenię i szeroko się uśmiechnęła.

– No to posłuchaj.

Przez następne kilkanaście minut szczegółowo analizowała blogi poświęcone tragedii na Przełęczu Gonczara. Posiłkując się notatnikiem i danymi z internetu, opowiadała o treściach, jakie się w nich pojawiają, o rzetelności publikowanych materiałów, o twórcach poszczególnych stron. Wyszło na to, że z kilkunastu rosyjskich blogów, które w mniejszym lub większym stopniu zajmują się gonczarowcami, tylko cztery nie są wylęgarniami teorii spiskowych.

– Jeden z nich prowadzi facet, który mieszka w Wiermukowie. – Ponownie spojrzała na Żenię. – Możemy mu złożyć wizytę.

– Świetnie.

– Na stronie jest numer telefonu. Zadzwoń?

Żenia wychleptał z puszki resztki energetyka. Potrząsnął głową.

– Lepiej złożyć mu niezapowiedzianą wizytę. Wtedy jest większa szansa, że natkniemy się na coś ciekawego.

Zaczął się rozglądać za kolejnym miejscem na postój, kiedy telefon Uzi się rozdzwoił. Spojrzała na wyświetlacz.

– To doktor Kosariew – powiedziała. – Wrzucę go na głośnomówiący.

Jegor Kosariew, nieco zbzikowany i wyklęty przez swoje środowisko klimatolog, najwyraźniej bardzo się przejął tym, że ktoś poważnie potraktował jego teorię. Odkąd Żenia i Uzi złożyli mu wizytę, regularnie wysyłał linki do artykułów, które miały im rozjaśnić w głowie. Problem w tym, że były to najczęściej anglojęzyczne teksty z różnych serwisów naukowych. Nie do rozszyfrowania dla kogoś, kto nie zajmuje się tym zawodowo.

– Przeczytaliście już moją książkę? – zapytał.

– Mogę być z panem szczerzy, doktorze? – odezwał się Żenia. – Przeczytałem od deski do deski, ale niewiele z niej zrozumiałem.

– Tego się obawiałem. Kilka osób mi mówiło, że książka jest zbyt hermetyczna, ale nie chciałem ich słuchać. Pewnie dlatego tak słabo się sprzedała... W każdym razie kilka dni temu mnie olśniło. Postanowiłem spisać swoje przemyślenia w sposób, że tak powiem, bardziej mainstreamowy. Przed chwilą wysłałem państwu dokument, w którym w prosty sposób wyjaśniam, jak działają ścieżki wirowe von Kármána, o co chodzi z tymi infradźwiękami i jak to wszystko wpłynęło na losy tych młodych ludzi.

– Bardzo dziękujemy – odparła Uzi. – Teraz jesteśmy w drodze, ale jak tylko się zatrzymamy, zapoznamy się z pańskim tekstem.

– Wybieracie się na przełęcz?

– Nie do końca. – Żenia mocniej zacisnął uda. – Próbujemy odtworzyć drogę gонczarowców i sprawdzić różne tropy. Na samą przełęcz nie planujemy wchodzić.

– Dajcie znać, gdybyście zmienili zdanie. Za kilkanaście dni sam się tam wybieram. W końcu zbliża się luty.

– A to ciekawe. Nie tak dawno radził nam pan, żebyśmy trzymali się od tej sprawy z daleka.

Kosariew ciężko sapnął do słuchawki.

– Czasem łatwiej dać komuś dobrą radę, niż samemu ją zastosować. Poświęciłem gонczarowcom sporą część życia. Wiele mnie to kosztowało. I choć jestem absolutnie pewien, że moja teoria jest słuszna, to jednak muszę ją sprawdzić empirycznie.

– Chyba pana rozumiem. Jeżeli będziemy się wybierać na przełęcz, na pewno damy znać.

Po rozmowie z naukowcem Uzi otworzyła w telefonie dokument, który im wysłał.

– Dwanaście stron – powiedziała. – Doktor ma rozmach. Miło z jego strony, że tak się zaangażował.

– Facet po prostu lubi mieć rację.

– Co sądzisz o jego pomysle, żeby wejść na przełęcz?

Na samą myśl o takiej wyprawie Żeni zrobiło się zimno.

– Dałbym wiele, żeby nie trzeba było tego robić.

Zauważył skrawek pobocza. Nie zastanawiając się długo, wrzucił kierunkowskaz i zjechał z drogi.

– Sorry, ale muszę się wysikać.

– Znowu? – Uzi posłała mu drwiący uśmiech. – Prostata?

– Kawa i energetyki.

Żenia wyłączył silnik. Chwycił za klamkę i otworzył drzwi. Ale zanim wysiadł, na chwilę zamyslił się nad słowami Uzi.

W sumie nie robię się młodszy, więc cholera wie.

Czarno-białe fotografie sprzed kilkadziesiątu lat pokazywały nijakość, biedę i wyizolowanie Wiermukowa, ale zupełnie nie oddawały upiorności tego miejsca. Dawna osada robotnicza mocno utrwaliła swój siermiężny, wręcz obozowy charakter, a niemal wszystkie budynki pewnie pamiętały jeszcze czasy gonczarowców. I chyba tylko ze wstydu przed przyjezdnymi poukrywały się pod grubą warstwą śniegu, który obsiadł ich rachityczne dachy i poprzęsłaniał kanciaste fasady.

– Tak naprawdę miasteczko już dawno umarło – powiedziała z zadziwiającą beztrąską Galina Kuklina. – Rozkręciliśmy tu biznes wyłącznie dlatego, że nie mieliśmy żadnej konkurencji. Był za to dostęp do lasu, surowców i siły roboczej, więc jako tako można było działać.

Była wysoką, szczupłą, dobijającą do pięćdziesiątki bizneswoman, która najwyraźniej nie mogła pogodzić się ze swoim wiekiem, o czym świadczył zbyt ostry makijaż. Dorobiła się na produkcji mebli, handlu surowcami, hodowli świń i sprzedaży nieruchomości. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat razem z mężem zajmowała się praktycznie wszystkim, na czym dało się w Wiermukowie zarobić. Byli lokalnymi oligarchami. A po śmierci męża Galina została samodzielnym panem i władcą miasteczka. Czy raczej – panią i władczynią.

– Dopóki mąż żył, stale szukaliśmy okazji inwestycyjnych – kontynuowała. – Próbowaliśmy zbudować tu coś fajnego. Ożywić tę dziurę. Ale po jego śmierci wszystkiego mi się odechciało.

– Przykro mi – wtrącił Żenia.

– Zawał, choroba przedsiębiorców. – Galina wzruszyła ramionami. – Próbowałam namówić dzieci, żeby wróciły z Moskwy i pociągnęły ze mną ten wózek. Ale one nie chcą. Mają tam swoje rodziny, własne życie, problemy. Nie uśmiecha im się powrót do Wiermukowa. I wcale mnie to nie dziwi.

Żenia i Uzi mieli szczęście, ponieważ Galina była nie tylko nieformalną władczynią osady, ale też osobą głęboko wkręconą w historię Przełęczu Gonczara, chętnie zabierającą głos i podkreślającą zainteresowanie sprawą. Doceniającą jej potencjał komercyjny. I dlatego ochoczo podjęła gości w swoim biurze – spartańsko urządzonej salce na końcu hałaśliwego zakładu produkcyjnego, który nawet w sobotę pracował na pełnych obrotach.

– W jednym z wywiadów powiedziała pani, że gonczarowcy nie zginęli w sposób naturalny – oznajmiła Uzi.

– Tutaj większość osób tak myśli. – Galina zapaliła cienkiego papierosa. – Jedni oskarżają Wortów, drudzy służby specjalne i wojsko. A jeszcze inni, w tym ja, uważają, że między dziećmiakami doszło do jakiejś strasznej awantury, która skończyła się tragedią.

– Są też tacy, którzy sądzą, że tutejszy leśniczy, niejaki Daniel Rodin, mógł maczać w tym palce. – Uzi podniosła głowę znad notatek. – Kilka dni przed tragedią odradzał turystom wyjście w góry.

– Bzdura. Rodin był po prostu ekscentrykiem i nie lubił miastowych. Odradzał im z powodów ideologicznych. No i może jeszcze pogodowych. Nie miał nic wspólnego z ich śmiercią.

– Skąd ta pewność?

Galina uważnie przyjrzała się Uzi. Następnie wzięła kilka szybkich machów, zgasła peta w przepelnionej popielniczce, wyjęła coś z szuflady i poderwała się zza biurka.

– Chodźcie. Coś wam pokażę.

Przemaszerowali przez długą na kilkadziesiąt metrów halę, ściągając na siebie zainteresowanie kolejnych meblarzy, którzy odrywali się od roboty i kłaniali szefowej w pas. Kuklina przyodziła grube, nieco tandetne futro, po czym wyszli na zewnątrz. Trafili na śnieżną zadymkę, która mocno ograniczała widoczność. Jednak Galina dzielnie parła przed siebie, najwyraźniej przyzwyczajona do takich warunków. Po paru minutach dotarli do niewielkiej drewnianej chaty, prawdopodobnie ostatniego budynku we wsi. Dalej były już tylko lasy i góry.

– To tutaj – powiedziała, kiedy weszli do środka. – Dawna chata Daniela Rodina.

– Teraz pani jest właścicielką? – spytał Żenia.

– Jestem właścicielką różnych rzeczy w Wiermukowie, panie Kowalczuk. – Kuklina uśmiechnęła się zagadkowo. – Chciałam, żebyście coś zobaczyli.

Zaprowadziła ich do ostatniego pomieszczenia w dziwnie pachnącym budynku, który, sądząc po ilości kurzu co rusz wzbijającego się w powietrze, od dawna nie był zamieszkały.

Pod jedną ze ścian stało kilka identycznych drewnianych skrzyń. Galina otworzyła pierwszą z brzegu.

– Oto dorobek życia Daniela Rodina – oznajmiła.

W środku znajdowało się kilkadziesiąt bliźniaczo podobnych obrazów, przedstawiających bliżej nieokreślony górski krajobraz, oraz kilkaset, a może nawet ponad tysiąc drewnianych figurek. Żenia schylił się po jedną z nich. I choć obejrzał ją z każdej strony, dalej nie był pewien, co przedstawia.

– To wygląda na dzieło szaleńca – zauważyła Uzi.

– Ekscentryka – poprawiła ją Galina. – Może dziwaka i odludka. Może gościa, który odrobinę zbyt mocno wierzył w Boga i siły nadprzyrodzone. Ale na pewno nie szaleńca. Szaleńcem okazał się dopiero jego wnuk.

– Stary Rodin założył rodzinę? – zdziwił się Żenia.

– Kilka lat po tragedii przyjechał do wioski facet podający się za jego syna. Mieszkańcy Wiernukowa początkowo nie chcieli w to wierzyć, ale podobieństwo było uderzające. Te same rysy, sposób mówienia, gestykulacja. W końcu Wiaczesław Rodin przejął po ojcu robotę leśniczego. A także to dziwne hobby. – Wycelowała palcem w skrzynię. – Nie poznałam go dobrze, ale facet był raczej lubiany. Kiedy go pytano, dlaczego rzeźbi te figurki i maluje ciągle ten sam obraz, odpowiadał, że chce ustanowić rekord Guinnessa.

– Powiedziała pani, że to wnuk Rodina okazał się szalony – przypomniała Uzi.

– W biznesie mówi się, że pierwsze pokolenie buduje firmę, drugie ją rozwija, a trzecie niszczy. W tej rodzinie zadziałał podobny mechanizm. Stary Rodin był tylko nieszkodliwym dziwakiem, który znalazł się na przyrodzie. Wiaczesław przejął po nim pałeczkę, a przy okazji okazał się sympatyczniejszy od ojca. Za to jego syn Fiodor zniweczył wszystkie dobre skojarzenia związane z tą rodziną.

– W jaki sposób? – spytał Żenia.

– Fiodor Rodin wyrósł na pijaka i awanturnika. Już jako nastolatek sprawiał mnóstwo problemów, a potem było tylko gorzej. Po śmierci ojca miał go zastąpić w roli leśniczego. Ale zamiast tego postanowił się pozbyć całego dorobku przodków.

– Ma pani na myśli te figurki?

Galina potrząsnęła głową.

– Któregoś dnia jeden z sąsiadów spotkał Fiodora na stacji benzynowej. Kilka godzin później zobaczył, jak wychodzi z kanistrem na zewnątrz, oblewa budynek i go podpala. Kiedy przyjechali strażacy, cała chata stała w płomieniach. Na szczęście pogoda była taka jak teraz, więc udało im się ugasić pożar, zanim wszystko spłonęło. Potem sfinansowałam generalny remont budynku, dzięki czemu leśniczówka wygląda mniej więcej tak samo jak kilkadziesiąt lat temu.

– Co się stało z Fiodorem?

– Uciekł. Wsiadł do samochodu i odjechał. Jedni mówili, że przeniósł się do Niestierowa. Inni widzieli go w Kiercowie. Przez pewien czas huczało od plotek, ale pewnie żadna z nich nie była prawdziwa. Jak to na wsi.

– Kiedy to było?

– Dwa lata temu. W rocznicę śmierci gonczarowców. – Galina odebrała Żeni figurkę, odłożyła ją na miejsce i zamknęła skrzynię. – Wspominam wam o tym tylko dlatego, że młody Rodin miał fioła na punkcie tej sprawy. Gdybyście chcieli się o niej czegoś dowiedzieć, to najlepiej od niego. Ale jak mówiłam, nie wiadomo, co się z nim stało.

– Ma pani może jego fotografię? – spytała Uzi, wgapiając się w telefon. – Na Facebooku i VKontakte nie ma żadnego Fiodora Rodina, który mógłby być w jego wieku.

– Niedziwne. Facet jest przestępcą. Byłby kompletnym kretynem, gdyby świecił gębą w mediach społecznościowych. – Galina dała ręką znak, aby ruszyli za nią do wyjścia. – Nie mam jego zdjęcia. Ale mogę je dla was zdobyć.

– A jest coś, czego nie byłaby pani w stanie zorganizować? – spytał prowokacyjnie Żenia.

– Nie. – Zatrzymała się i posłała mu śmiertelnie poważne spojrzenie. – W Wiermukowie mogę załatwić wszystko.

Żenia i Uzi zostawili swoje rzeczy w domu gościnnym, który oczywiście należał do Galiny. Następnie zjedli wczesny obiad, chwilę odpoczęli i wyszli na spotkanie z jednym z ostatnich żywych świadków zeznających w sprawie gonczarowców.

Darius Soboczenko miał niespełna trzydzieści lat, kiedy doszło do tragedii. Po raz pierwszy zobaczył turystów w lokalnej kantynie. Kilkanaście dni później był jednym z kilkudziesięciu miejscowych zaangażowanych w poszukiwania. Podczas przesłuchań zeznał, że nie chce mu się wierzyć, aby do śmierci gonczarowców doprowadziły jakieś zjawiska pogodowe. Śledczy nie byli jednak wystarczająco dociekliwi, aby wypytać Soboczenkę, dlaczego tak uważa.

Żenia i Uzi nie przypuszczali, aby teoria dziewięćdziesięciolatka mogła rzucić nowe światło na sprawę, ale i tak byli ciekawi, co on ma do powiedzenia. Facet spędził całe życie w Wiermukowie. Był częścią ciężko pracującej lokalnej społeczności. I wszystko wskazywało na to, że miał tutaj umrzeć. Od kilku lat przebywał w miejscowym domu spokojnej starości. Trafiali do niego schorowani emeryci, których rodziny wyjechały z Wiermukowa. Ośrodek zbudowano – jakżeby inaczej – z inicjatywy i za pieniądze Galiny.

– Trochę mnie przeraża ta kobieta – oznajmiła Uzi. – Wszędzie jej pełno. Jakby była właścicielką wsi.

– W pewnym sensie jest – odparł Żenia.

– Nie martwi cię, że kontroluje każdy nasz krok?

– Martwią mnie tylko te rzeczy, na które mam wpływ. A w tym przypadku wiem, że gdybyśmy nie przyjęli jej dobroci, pewnie po chwili zjawiłby się policjant, który grzecznie, acz stanowczo kazałby nam stąd spierdalać.

Odczekali kilka minut w zimnym i nieprzyjaznym korytarzu, zanim pielęgniarka przyprowadziła Soboczenkę. Starzec całkiem sprawnie przemieszczał się z użyciem balkonika i obruszał na każdą próbę pomocy. Spod krzaczastych siwych brwi uważnie przyjrzał się gościom, których ktoś musiał mu wcześniej odpowiednio zaanonsować.

– Przejdźmy się – zaproponował charkliwym głosem. – Opowiem wam, co wiem.

Soboczenko stoczył kolejną słowną utarczkę z pielęgniarką, która pomagała mu włożyć kurtkę oraz szalik. Następnie wcisnął czapkę na głowę i wymrukując inwektywy pod adresem opiekunki, własnego zdrowia i całego świata, wyszedł z budynku. A Żenia i Uzi razem z nim.

– Ta kurwa was tu przysłała? – zapytał Soboczenko, wprawiając przybyszy w konsternację. – Zawsze tak robi. Gdy tylko ktoś zainteresuje się gonzarowcami, wyciąga mnie jak królika z kapelusza. Zrobiła ze starucha atrakcję turystyczną.

– Mówi pan o Galinie Kuklinie? – upewnił się Żenia.

– Babsko trzyma całą wieś za mordę.

– Wydaje się szczerze zainteresowana sprawą gonzarowców.

– Bo interesuje ją wszystko, na czym można zarobić. Myślicie, że ludzie przyjeżdżają tu z jakiegoś innego powodu? Gdyby nie ta historia, nikt by nie trafił do tej dziury.

– Nie jesteśmy turystami – zauważyła Uzi.

Soboczenko machnął ręką.

– Gównu mnie obchodzi, kim jesteście i czego chcecie. Przejdziemy się nad rzekę, popierdolimy trochę o przeszłości, a potem odstawicie mnie z powrotem. Ale najpierw dajcie mi zajarać.

Żenia poczęstował go papierosem, a następnie sam zapalił. Soboczenko może i był stetrycznym bucem, z którym każda sekunda smakowała jak sesja wrywania paznokci, ale wydawał się wciąż mieć ostry umysł. A właśnie kogoś takiego potrzebowali.

Zanim dotarli nad rzekę, Soboczenko w telegraficznym skrócie opowiedział im o swoim ciężkim rolniczym życiu, o Wiermukowie zamieszkanym wyłącznie przez cwaniaków, nieudaczników i dziwki, o górach. A także o grupie durnych dzieciaków, która kilkadziesiąt lat wcześniej dała się w nich wykończyć.

– Czyli według pana gonzarowców ktoś zamordował – podsumował jego wywód Żenia, kiedy dotarli na most. – Wojsko?

– Albo Wortowie, agenci KGB czy zbiegli więźniowie. Albo sami się wykończyli. Chuj wie.

– A jaki według pana scenariusz jest najbardziej prawdopodobny?

– Ja obstawiam Klimienkę.

Żenia spojrział na Uzi.

– Jednego z uczestników wyprawy?

Soboczenko zostawił balkonik i oparł się o drewnianą barierkę. Wydębił od Żeni kolejnego papierosa, po czym zapatrzył się w zamarznąta tafłę wody.

– Nikt nie wie, kim był ten człowiek – powiedział. – Nie zdziwiłbym się, gdyby wszystko, co o nim wiadomo, zostało zmyślane.

– Zdjęcia nie zostały sfabrykowane – wtrąciła Uzi. – Niektórzy uważają, że człowiek podający się za Klimienkę był tak naprawdę agentem KGB, którego władza przydzieliła gonczarowcom jako opiekuna.

– Możliwe. Tak czy inaczej, facet jako jedyny nie pasował do grupy.

– Próbował pan kiedyś rozwiązać tę zagadkę?

Starzec potrząsnął głową.

– Jestem prostym chłopem, który robił swoje. Ciężko pracowałem, opiekowałem się rodziną i nawet w czasach Chruszczowa głęboko wierzyłem w Boga. Żeby móc żyć normalnie, wolałem nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Ci, którzy tego nie rozumieli, mieli przez to problemy.

– Co pan ma na myśli? – spytał Żenia.

– Partia była wyrozumiała dla rodzin ofiar. Ale pozostałych ciekawskich albo powątpiewających w oficjalne wyjaśnienia traktowała jak wrogów ojczyzny. – Soboczenko wychylił się przez barierki i splunął do rzeki. – A wy po której jesteście stronie?

– Poszukujących prawdy – odparła Uzi.

– Z ramienia władzy czy na własną rękę?

– Powiedzmy, że jesteśmy pośrodku.

– Nie ma czegoś takiego jak środek. Świat jest dziecinnie prosty. Tylko ludzie tacy jak wy niepotrzebnie go komplikują. – Starzec odwrócił się i położył dłonie na balkoniku. – Coś wam powiem i dobrze to sobie zapamiętajcie. Jeżeli myślicie, że czasy się zmieniły, to jesteście w błędzie. Zmieniły się jedynie narzędzia. Dziś obywatele nie donoszą władzy na sąsiadów, tylko plotkują. Mielą ozorem, zamiast się zamknąć. Skutek jest jednak taki sam. Niewłaściwi ludzie dowiadują się o niewłaściwych rzeczach. – Zamilkł, jakby zabrakło mu tchu. – Ja już jestem stary i mnie nie zależy. Mogę mówić i robić, co mi się podoba. Ale gdybym był na waszym miejscu, bardziej szanowałbym życie.

– Problem w tym, że pewien wysoko postawiony człowiek poprosił nas o to, żebyśmy odkryli prawdę – powiedział Żenia. – Robimy dokładnie to, czego od nas oczekuje.

Soboczenko wzruszył ramionami.

– W takim razie powinniście się jeszcze raz zastanowić, czy aby na pewno właśnie to miał na myśli.

Odprowadzając Soboczenkę do ośrodka, zadali mu jeszcze kilka pytań, które pomogły im nieco uporządkować wiedzę o Wiermukowie, jego mieszkańcach i wizycie gonczarowców. Jednak starzec w pewnym momencie stracił zapal do rozmowy oraz siły, dlatego końcówkę drogi pokonali w ciszy i pożegnali się z nim bez zbędnych ceregieli.

Był środek dnia, śnieg sypał coraz mocniej, a zmęczenie spowodowane porannym zrywem i trwającą już trzeci dzień podróżą coraz bardziej dawało im się we znaki. Nawet Uzi przestała gadać. Żenia zaproponował, aby zrobili szybki spacer szlakiem grupy Gonczara, wrócili do zajazdu, zjedli coś, a potem odbębnili resztę obowiązków, jakie czekają ich w tym uroczym miejscu.

– Kantyna, stare kino, dom gościnny – wyliczała Uzi, patrząc z góry na Żenię, który nie zważając na warunki, usiadł na zamontowanej przed pocztą ławeczce. – Od czego chcesz zacząć?

– Znasz na pamięć całą marszrutę gonczarowców?

– Nie lubię tracić czasu. – Uzi rozejrzała się dookoła. – Zwłaszcza w miejscach, które mają niewiele do zaoferowania.

– Założę się, że byłaś szkolną prymuską.

– No to byś się zdziwił.

– To skąd ta sumienność?

– Jest taka teoria, że ludzie zmieniają się co siedem lat. Stare komórki obumierają, a w ich miejsce pojawiają się nowe. Kiedy dokona się pełna wymiana, mamy do czynienia z zupełnie inną istotą.

– Nie mam pojęcia, czy rzeczywiście tak jest, ale wiem jedno. – Żenia wyjął z kieszeni telefon, na który właśnie przyszła wiadomość. – Od zmian biologicznych znacznie istotniejsze są zmiany osobiste. Wydarzenia, które przeżywamy. Nasze dobre i złe doświadczenia. Mogę się założyć, że odgrywają znacznie większą rolę niż obumierające komórki.

Spojrzał na telefon. Wiadomość od Galiny Kukliny. Otworzył i przyjrzał się fotografii, którą wysłała. Potrzebował paru sekund, aby synapsy się połączyły.

– Co się stało? – zapytała Uzi, widząc jego rozdziawioną gębę.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż pod budynek poczty zajechały dwa bliźniaczo podobne czarne SUV-y, z których po chwili wyskoczyły dwie grupy uzbrojonych i zamaskowanych mężczyzn. Pierwsza ruszyła na Uzi, a druga na niego.

– Co jest, kurwa?! – Żenia próbował się wyrwać, ale mężczyźni mieli zdecydowaną przewagę: zaskoczyli go, było ich więcej, mieli broń i najwyraźniej działali według jasno

nakreślonego planu.

Po kilkusekundowej szarpaninie skuli mu dłonie, włożyli worek na głowę i wepchnęli do auta. Mógł się jedynie domyślać, że Uzi spotkał identyczny los.

Kiedy samochód ruszył, Żenia zrozumiał, że nie ma szans na ucieczkę. Przestał się szamotać. Przestał przeklinać. Przestał wrzeszczeć.

Zaczął myśleć.

Porywacze w ogóle ze sobą nie rozmawiali, co utwierdziło go w przekonaniu, że doskonale wiedzą, co robią. Z ich metodycznego sposobu działania, z opanowania i małomówności, z sylwetek, z broni, kominiarek czy kajdanek, którymi bardzo sprawnie go skuli, wywnioskował, że muszą być z policji. Prawdopodobnie z jakiejś grupy szturmowej, która specjalizuje się w łapaniu groźnych przestępców. Tylko skąd taka jednostka wzięła się w Wiermukowie? I dlaczego zapolowała akurat na nich?

Zatrzymali się po parunastu minutach jazdy. Samochód się kołysał, kiedy wysiadali z niego kolejni porywacze. W końcu został tylko jeden, siedzący na fotelu pasażera i nucący pod nosem jakąś melodię. Przez kilka wyjątkowo długich sekund prawdopodobnie przyglądał się Żeni, zanim zdecydował się ściągnąć mu worek z głowy.

– Jewgienij Kowalczuk. Weteran wojenny, eksmiliicjant, prywatny detektyw. – Każde słowo wypowiadał tak, jakby napawało go wstrętem. Miał krótkie czarne włosy, bystre spojrzenie i zadziorny uśmiezek, który pewnie nigdy nie schodził mu z twarzy. – Nazywam się Stiepan Rodek. I zdradzam to tylko dlatego, że nie znajdziesz na mój temat żadnych informacji.

– Nawet w policyjnej bazie danych? – spytał Żenia.

– Zwłaszcza tam. – Rodek zobaczył, że Żenia rozgląda się dookoła, próbując ustalić, gdzie wylądował. – Jesteśmy w lesie, kilka kilometrów od Wiermukowa. Twoja koleżanka znajduje się po drugiej stronie wioski. Nic jej nie grozi. Tobie zresztą też. Musisz tylko mieć świadomość, że sytuacja może się dynamicznie zmieniać. – Rodek wycelował palcem w kajdanki. – Wybacz, że rozegraliśmy to tak dramatycznie, ale musieliśmy działać szybko, aby nikt nas nie zobaczył.

– I dlatego zgarnęliście nas spod poczty?

– Człowiek z twoim doświadczeniem powinien rozumieć, że czasem pozornie najmniej racjonalne miejsca są najlepsze do przeprowadzania interwencji. Poza tym jest sobota.

– Czego chcesz?

– Potrzebuję jedynie kilku informacji. Jeśli ty i twoja koleżanka będziecie ze mną szczerzy, nigdy więcej się nie spotkamy. Jeżeli nie, to na waszym miejscu przez jakiś czas unikałbym placówek pocztowych. – Rodek, o ile rzeczywiście tak się nazywał, zdobył się na szeroki uśmiech. Żenia miał wrażenie, że ta sytuacja naprawdę sprawia mu przyjemność. – Dla kogo pracujecie?

- Nie zostaliśmy upoważnieni, aby z kimkolwiek o tym rozmawiać.
 - Rozumiem to i szanuję. Ale muszę wiedzieć, czy działacie dla rządu, czy dla sektora prywatnego.
 - To też nie jest takie proste. – Żenia główkował, co mógłby powiedzieć, aby nie zdradzić zbyt wiele. Jednocześnie zastanawiał się, ile informacji porywacze będą w stanie wyciągnąć od spanikowanej Uzi. – Nasz zleceniodawca jest człowiekiem silnie umocowanym w strukturach władzy, co daje mu pewne możliwości.
 - Znacze jego intencje?
 - Zakładam, że wykorzystuje swoją pozycję, aby zaspokoić ciekawość.
 - Nie bądź naiwny. Nigdy nie chodzi tylko o ciekawość.
 - Wiem. Ale do tej pory nie udało mi się odkryć jego prawdziwych intencji. Porywacz pokiwał głową, co mogło oznaczać, że kupił to tłumaczenie.
 - Jesteście obserwowani – kontynuował Rodek. – Czterech facetów w czarnym mercedesie. Niezbyt dyskretnych. Kim oni są?
 - To ludzie naszego mocodawcy. Mają nas pilnować.
 - Czyli ktoś was wynajął, aby nie ubrudzić sobie rąk.
 - Mając jego możliwości, postąpiłbym tak samo.
 - A jaką w tym wszystkim rolę odgrywa twoja koleżanka z prokuratury? Ona też ma ci patrzeć na ręce?
 - To moja współpracowniczka. Działamy razem.
 - Emerytowany trep i laska u progu kariery prawniczej. Nie pasujecie do siebie.
 - Nie ja wymyśliłem ten duet.
 - Ufasz jej?
 - Staram się nikomu nie ufać.
 - Czyli nie dzielisz się z nią wszystkimi informacjami?
 - Mówię jej tylko to, co ma związek ze sprawą.
 - A czego udało wam się dowiedzieć?
- Żenia posłał mu podejrzliwe spojrzenie.
- Nie bój się – uspokoił go Rodek. – Nic z tą wiedzą nie zrobię. Chcę tylko zaspokoić ciekawość.
- Ujrzawszy jego kolejny uśmiech, Żenia był już absolutnie pewien, że facet ma frajdę z tego spotkania.
- Wiemy, że śledztwo zostało poprowadzone w taki sposób, aby niczego nie wyjaśnić.
 - Czyli?

– Błędy w dokumentacji, nietrafione wnioski, pochopne decyzje. Ludzie pracujący nad tą sprawą wygenerowali gigantyczny bajzel, którego nikt przez kilkadziesiąt lat nie uporządkował. W dodatku jest całkiem prawdopodobne, że niektóre dowody zostały sfingowane. Nie wiem tylko, czy chodzi o ukrycie niewygodnych faktów, czy o wprowadzenie jeszcze większego chaosu.

– I takie informacje chcesz przynieść mocodawcy?

– Nie. Zamierzam mu wyjaśnić, co tu się stało.

– Coś ci powiem. – Rodek spojrział na zegarek. – Nie mam pojęcia, co się wydarzyło na tej górze. I nie sądzę, żeby ktokolwiek to wiedział. Jestem natomiast pewien, że władza celowo zrobiła ze śledztwa śmietnik, do którego można wrzucić absolutnie wszystko. Z jakiegoś powodu nie chciała, aby ta sprawa została jednoznacznie wyjaśniona. A to sugeruje, że ukrywa coś, co nawet dzisiaj mogłoby wywołać skandal. Jeśli jesteś facetem, za którego cię uważam, już dawno powinieneś dojść do tego wniosku. A jeżeli nie jesteś samobójcą, musisz mieć świadomość, że nadchodzi moment, w którym powinieneś się wycofać.

– Dlatego mnie porwałś? – zdziwił się Żenia. – Żeby mnie nastraszyć?

– Po pierwsze, wcale cię nie porwałem, tylko w niecodzienny sposób zorganizowałem nam spotkanie. A po drugie, próbuję cię ostrzec. Wiem, że człowiek mocno wkręcony w sprawę może nie zauważyć zagrożeń, jakie czają się dookoła.

Żenia przez dłuższą chwilę wpatrywał się w boczną szybę.

– Czy jesteśmy jedyną atrakcją na tym wypizdowie? – zapytał. – Odkąd się tutaj pojawiliśmy, wszyscy śledzą nasze ruchy.

– To wyłącznie wasza zasługa. Poinformowaliście cały region, że nadciągacie.

– Niby jak?

– Twoja współpracowniczka rozesłała maile chyba do wszystkich ludzi w okolicy, którzy interesują się sprawą gonzarowców. Oczywiście korzystała z kilku adresów pocztowych i za każdym razem podawała się za kogoś innego, ale nie potrzebowaliśmy Snowdena, aby to zebrać do kupy i ustalić, że za moment odwiedzi nas jakaś podejrzana parka. – Ujrzawszy zdziwienie na twarzy Żeni, Rodek nie mógł darować sobie drwiny. – Chyba będziecie musieli wyjaśnić sobie kilka spraw.

Żenia długo młócił w głowie informacje, starając się nie pokazać po sobie zdenerwowania.

– Co teraz? – zapytał.

– Nic. Jesteś wolny.

– Odstawisz mnie na miejsce?

– Odwróć się. – Żenia spełnił polecenie porywacza, a ten wychylił się do tyłu i rozpiął mu kajdanki. – Idąc wzdłuż lasu, dotrzesz do rzeki. Ona doprowadzi cię do wioski. Poradzisz

sobie. – Rodek otworzył drzwi. – A teraz stań pod drzewem i załóż worek na głowę. Zdejmiesz go dopiero, gdy odjedziemy.

Żenia wysiadł z samochodu. Spojrzał w ciemne wnętrze parcianego worka.

– Spotkamy się jeszcze? – spytał.

– Jeśli nie zrobisz nic głupiego, to nie.

Powrót do osady zajął około czterdziestu minut, w których trakcie Żenia brodził w świeżym śniegu i posuwał się wzdłuż oblodzonej rzeki. Kiedy dotarł pod dom gościnny, wszedł do samochodu i pojechał po Uzi. Przez jej łkanie i fatalny zasięg, który co chwila zrywał połączenie, nie był w stanie precyzyjnie określić miejsca jej pobytu. Ale w końcu ją znalazł. Stała na poboczu wyboistej drogi przecinającej las, obejmując się rękoma i szcękając zębami. Chyba bardziej ze strachu niż z zimna.

– Nic ci nie jest? – spytał Żenia, otwierając drzwi od strony pasażera.

Uzi bez słowa wgramoliła się do środka. Dopiero gdy ponowił pytanie, pokręciła głową.

– Kto to, kurwa, był?!

– Psy. Raczej nietutejsze, ale dobrze znające okolicę. Może z Igrimu, a może z Kiercowa. W każdym razie chcieli nas nastraszyć.

– No to im się udało.

Uzi była roztrzęsiona. Pewnie w najśmielszych snach nie przypuszczała, że kiedyś może ją spotkać coś takiego.

– O co cię pytali?

– O wszystko. – Przez kilka długich sekund Żeni wydawało się, że to jedyna odpowiedź, jaką od niej uzyska. – O śledztwo. O zleceniodawcę. O moje życie. O nas.

– Co im powiedziałaś?

– Wszystko.

– Wspomniałaś, że pracujemy dla Fiodorowa?

Pokiwała głową.

– A co miałam, kurwa, zrobić?

– Spokojnie. Nie mam pretensji. Po prostu muszę wiedzieć, na czym stoimy.

Tak naprawdę Żenia chciał wiedzieć znacznie więcej, ale od Uzi raczej nie uzyskałby satysfakcjonujących odpowiedzi. A najważniejsze pytanie dotyczyło tego, dlaczego wywieźli ich w dwa różne miejsca? Czyżby chcieli zweryfikować ich prawdomówność? Sprawdzić, czy grają w tej samej drużynie? Dowiedzieć się o nich czegoś, czego Żenia i Uzi nie wyznaliby w swoim towarzystwie?

– Przepraszam. – Uzi trochę się uspokoiła, gdy wrócili do Wiermukowa. – To moja wina. Powiedzieli, że namierzili nas przez wiadomości, które wysyłałam w drodze różnym

ludziom z Wiermukowa. Myślałam, że jeśli będę korzystać z rozmaitych adresów mailowych i podawać fikcyjne dane, to się w tym nie połapią.

– Kombinowałaś dobrze – odparł Żenia. – Szkoda tylko, że o tym nie powiedziałaś. W końcu siedziałem obok. – Żenia odwrócił się w stronę Uzi. Długo się jej przyglądał. – Są też dobre wieści. Ale najpierw wrócimy do zajazdu, zjemy coś, wykąpiemy się i dopiero wtedy pogadamy.

Uzi potrząsnęła głową.

– Jeżeli w ciągu ostatnich dwóch godzin wydarzyło się coś pozytywnego, to bardzo, ale to bardzo chciałabym usłyszeć to teraz.

Żenia zjechał na prowizoryczny parking niedaleko wejścia do domu gościnnego. Wyłączył silnik. Wyjął z kieszeni telefon.

– Galina wysłała mi zdjęcie Fiodora Rodina. Nie mam stuprocentowej pewności, ale wydaje mi się, że to on śledził nas w Kiercowie. Tamten koleś miał lekko azjatyckie rysy i ten też wygląda mało słowiańsko. – Pokazał Uzi fotografię. – Kuklina twierdzi, że nikt nie utrzymuje z nim kontaktu. Ale to tylko opinia kobiety, która jest święcie przekonana, że kontroluje w Wiermukowie absolutnie wszystko. Wygląda na to, że ktoś, do kogo pisałaś, powiedział o nas Rodinowi.

– Przepraszam – powtórzyła Uzi, patrząc na Żenię wzrokiem zbitego psa. – Nie wiedziałam, że to może mieć aż takie konsekwencje. Jest mi naprawdę przykro.

– Trudno. *Shit happens*.

Żenia wysiadł z samochodu i zapalił papierosa. Przez kilka sekund dreptał w miejscu, próbując stłumić buzujące w nim uczucia: stres, wstyd, gniew. Głównie gniew. Trudno było mu uwierzyć, że trzydziestojednoletnia prawniczka, której z całą pewnością nie brakowało bystrości, mogła okazać się tak naiwna i krótkowzroczna.

Odwrócił się w kierunku auta. Pochylił się, aby zerknąć na Uzi. Wciąż drżała, wciąż łkała, wciąż wyglądała jak ofiara przemocy domowej. Mimo to trzymała już w rękach telefon, w który stuknęła w tempie błyskawicy.

Mocnym szarpnięciem otworzył drzwi.

– Chodź do gospody – powiedział. – Nie ma co tu siedzieć i się umartwiać.

Okolo dwudziestej pierwszej Żenia był gotowy do wyjścia. Kiedy Uzi zmywała makijaż, przeprowadził prowizoryczną rozgrzewkę, a następnie wystroił się w getry biegowe, grube skarpety, polar z kominem, rękawiczki i czapkę. Uzbroidł się w elektroniczną opaskę i zegarek, które miały mu pomóc w zmierzeniu czasu i osiągów organizmu. Na koniec włożył buty i sprawdził czas. Od kolacji upłynęło półtorej godziny. Powinien zaczekać jeszcze trzydzieści minut, zanim pójdzie biegać. Ale nie mógł dłużej zwlekać. Zwłaszcza że w tym milutkim apartamencie, jaki zorganizowała im Galina Kuklina, czuł się niczym

w klatce. Zamknięty i unieruchomiony, otoczony stalowymi prętami, obserwowany z wszystkich stron.

– Podziwiam cię – powiedziała Uzi po wyjściu z łazienki. – Mnie by się nie chciało biegać w taką pogodę.

– Mnie też się nie chce – odparł Żenia. – Ale zasada jest taka, że im paskudniej za oknem, tym bardziej powinieneś się zmotywować, żeby wyjść i zrobić swoje. To kształtuje charakter.

– A przy okazji grozi zapaleniem płuc.

– Ostatni raz byłem u lekarza cztery lata temu.

– To tylko świadczy o twoim braku odpowiedzialności.

Zadzwonił telefon. Kiedy Uzi odebrała, Żenia zawiesił na niej wzrok. Znów stała się pedantyczną prymuską. Składającą bluzeczki w kant, zamieszczającą wyczelowane wpisy w zeszyku, odpisującą wieczorami na maile. Niewinną, sumienną, roztropną. A przy tym cholernie naiwną. Znów była dziewczyną, która swoim frajerskim zachowaniem doprowadziła do tego, że nie mieli żadnej swobody działania, a każdy ich ruch był śledzony – przez Janina, Galinę, Rodina, jakichś popieprzonych policjantów i cholera wie kogo jeszcze.

Żenia na różne sposoby próbował sobie wytłumaczyć zachowanie Uzi. Ale o jednym z tych wyjaśnień starał się na razie nie myśleć.

– To był Janin – oznajmiła Uzi, odkładając telefon na szafkę. – Mówi, że chyba widział faceta, który nas śledzi.

– Chyba?

– Samochód na kiercowskich blachach kręcił się w okolicy gospody, a potem podjechał pod dom opieki. Kierowca przez cały czas był w środku. Janin wysłał jednego z goryli, żeby dyskretnie mu się przyjrzał.

– Już sobie wyobrażam tę dyskrecję.

– Opis się zgadza. Ciemne włosy, azjatyckie rysy, kurtka narciarska.

– Gdzie on teraz jest?

– Stoi pod gospodą. Wygląda na to, że planuje nocleg w samochodzie. Janin mówi, że jego ludzie mogliby z nim...

– Nie – przerwał jej Żenia. – Zadzwoni do niego i powiedz, że mają nic nie robić. A najlepiej żeby w ogóle stąd odjechali, zanim chłopak się zorientuje, że ma ogon.

Uzi pokiwała głową i ponownie sięgnęła po telefon. Z kolei Żenia po raz ostatni się upewnił, że ma wszystko, czego potrzebuje do biegania, i ruszył do wyjścia.

Kilka dni temu zrozumiał, że nie zbuduje formy, która pozwoliłaby mu pobić wiosną zyciówkę w maratonie. Teraz był już na takim etapie, że powoli godził się z tą myślą i liczył

na to, że być może wydarzy się jakiś fizjologiczny cud, który sprawi, że nagle znacznie szybciej biegać. Ale po paru minutach ciężkiego truchtu zrozumiał, że na pewno nie stanie się to tego wieczoru. Postanowił więc, że zamiast walczyć o wynik, będzie jedynie chłonął uroki osady, która nocą nie wydawała się taka paskudna jak za dnia.

Przez kwadrans jakoś mu to wychodziło, a odgłos skrzypiącego pod butami śniegu koił nerwy. Ale potem wszystkie jego myśli odpłynęły w kierunku Uzi. Nie dawały mu spokoju, odkąd poprzedniego wieczoru wyszedł na papierosa i wybrał numer Antona.

– Robi się coraz ciekawiej. – Anton musiał być na ulicy, ponieważ jego głos mieszał się z symfonią klaksonów i powarkujących silników. – Być może twoja koleżanka wcale nie pracuje w prokuraturze.

– Jak to? Przecież sam mówiłeś, że cię ją kojarzy.

– Wyraziłem się trochę nieprecyzyjnie. Oczywiście formalnie jest tam zatrudniona i pobiera państwową kasę. Ale rozmawiałem z kilkoma osobami z prokuratury, które stwierdziły, że Gamowa zajmuje się jedynie jakimiś biurowymi pierdołami i pomaga bardziej doświadczonym kolegom. Raczej jak asystentka niż obiecująca prawniczka, której zastępca prokuratora generalnego gotów byłby powierzyć tak wymagające zadanie.

Żenia mocno zaciągnął się papierosem.

– Nawet gdyby go zauroczyła, wątpię, żeby pozwolił jej prowadzić śledztwo. Za bardzo mu na nim zależy.

– A jeżeli dodamy do tego, że koledzy Gamowej także nie słyszeli ani o jej mężu, ani o dziecku, zostaje nam opcja numer dwa. Twoja partnerka jest agentką.

Procesor Żeni wyjątkowo długo przetwarzał tę wiadomość.

– Skoro pracuje w FSB, to dlaczego Fiodorow wysłał jakiegoś ponurego typu, który śledzi każdy nasz krok? – zapytał.

– Może to zasłona dymna. A może sam nie do końca ufa Gamowej. Przezorny zawsze ubezpieczony.

Żenia nawet nie wiedział, kiedy wypalił szluga. Podszedł do popielnicy, żeby wyrzucić peta. Następnie wyjął z kieszeni paczkę papierosów i spojrzął w górę. W oknie pokoju, który dzielił z Uzi, poruszyła się zasłona.

– Co tak nagle zamilkłeś? – spytał Anton. – Te informacje chyba nie są dla ciebie sensacją.

– Nie. – Żenia ciężko sapnął. – Co nie zmienia faktu, że jest mi trochę przykro.

Rozmyślając o Uzi, Żenia przebiegł dziesięć kilometrów. Zajęło mu to ponad pięćdziesiąt dwie minuty. Fatalnie. Czując, że to zdecydowanie nie jest jego dzień, obrał kurs na gospodę.

Dotarł na ulicę, która prowadziła do zajazdu. Biegł środkiem jezdni, ponieważ osada wyglądała na wymarłą, jakby od dwudziestej drugiej obowiązywał zakaz przemieszczania się. Na drodze był tylko jeden samochód – zaparkowany przy chodniku ford na kiercowskich numerach.

Rodin.

Żenia poczuł skok adrenaliny. Mógł podbiec do auta od tyłu, gwałtownie otworzyć drzwi i skuć kołesowi mordę. Mógł wytrząsnąć z niego wszelkie informacje: na temat ojca i dziadka, na temat jego zainteresowania gonczarowcami, na temat tej dziwacznej chaty, pożaru i ucieczki. Mógł nawet oddać go w ręce Galiny i zaskarbić sobie jej dożywotnią sympatię. Bardzo go korciło, żeby w jakiś sposób utrzyć nosa temu cwanemu gnojkwowi.

Ale nic takiego nie zrobił.

Przebiegł obok forda, udając kompletną obojętność.

Jeszcze będzie na to czas, pomyślał, powstrzymując się, by nie zerknąć za siebie.

13.

12 STYCZNIA 2020

UZI

Długo nie mogła zasnąć, roztrząsając wydarzenia minionego dnia. A kiedy wreszcie jej się to udało, dopadł ją koszmar.

Znajdowała się w rodzinnym domu, który wydawał się znacznie mniejszy, niż go zapamiętała. Była już dorosła, ale jej młodsza o rok siostra Wiera wciąż wyglądała jak dziecko. Siedziały na podłodze we wspólnym pokoju i bawiły się kredkami. Kłóciły się o to, która z nich dostanie najfajniejsze fragmenty kolorowanki. I dlaczego znowu Anna. Były szczęśliwe. Jak zawsze. Mimo że ojciec – nawet w domu paradujący w mundurze, który zdawał się stanowić wierzchnią warstwę jego ciała – toczył właśnie ostry spór z matką.

W pewnym momencie kłótnia w korytarzu ucichła. Drzwi do pokoju same się zamknęły. Chwilę później zniknęła z nich klamka. Potem całe drzwi. Następnie z pokoju wyparowały wszystkie meble, a ze ścian spłynęły kolorowe fototapety, które rozpuściły się na płytkach, ponieważ dywanu też już nie było. Ostatnia zniknęła Wiera. Wtedy Uzi znów usłyszała ojca. Krzyczał, ale już nie na matkę. Właściwie wył. Z każdą sekundą coraz głośniejsze, coraz bardziej zwierzęce. Wreszcie, jakby w wyniku jego rozpaczki, śnieżnobiałe ściany pokoju zaczęły krwawić, jednocześnie niepokojąco zbliżając się do Uzi. Próbowwała wrzeszczeć, wezwać pomoc, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Była bezsilna. Bezradna. Bezwolna. Beznadziejnie samotna w obliczu nadciągającego finału.

Wtedy się obudziła.

Dziwne, pomyślała, kiedy dwie godziny później wciąż rozpamiętywała swój sen. Dawno nie miała koszmarów. A przynajmniej – tego kosmaru. Zdążyła przywyknąć do myśli, że ma go już za sobą. Że on nigdy nie wróci. Że może włożyć go do szuflady z rzeczami, o których szczęśliwie udało jej się zapomnieć.

– Spójrz. – Żenia wycelował palcem w plakat, na którym Superman, Spiderman i Batman siedzieli przy barze nad szklanką mleka i zaśmiewali się do rozpuku. – Ile lat ma twój syn? Jedenaście?

– Dwanaście. Właściwie prawie trzynaście. W marcu ma urodziny.

– No to idealnie. Pewnie uwielbia superbohaterów. Wyślij mu zdjęcie. Ucieszy się.

Uzi popatrzyła na Żenię. Wyczuła presję, jaka kryła się za jego sugestią. Po chwili wyjęła telefon i obfotografowała plakat, który z jakiegoś powodu zdobił jedną ze ścian w mieszkaniu trzydziestoczteroletniego mężczyzny.

Rawil Kasatonow miał przerzedzoną czuprynę, wystające zęby i zbyt obcisłą szarą koszulkę, spod której wybijał się okrągły brzuch. W gospodarze usłyszeli, że zajmuje się grafiką komputerową i programowaniem. Mówiono na niego Procesor. On sam upierał się, że to nie z powodu nerdowatych zainteresowań, tylko dlatego, że jest bystry. Najbystrzejszy w całej wsi. Ale najwyraźniej nie dość bystry, żeby omijać szerokim łukiem sprawę gonczarowców, o której namiętnie rozpisywał się na blogu.

– Uwielbiam komiksy z superbohaterami – powiedział, wróciwszy do pokoju z dwiema herbatami i paczką ciasteczek. – Kiedyś byłem psychofanem Marvela, ale potem zakochałem się w DC.

– Co na to pańska żona? – spytał Żenia.

– Nie mam żony.

Niemożliwe, pomyślała Uzi, choć bardzo starała się nie być złośliwa. Wyjęła notatnik i przeskanowała informacje, które spisała na temat Procesora.

– Przestudiowałam pańskie wpisy na blogu. Jeszcze kilka lat temu był pan zdecydowanym zwolennikiem teorii, że gonczarowcy zginęli w wyniku działań wojskowych. Ale potem zmienił pan front.

– Starzeję się. – Procesor uśmiechnął się do obojga z taką beztroską, jakby mówił o wyłączeniu glutenu z diety. – Wychowałem się w środowisku, w którym ceni się nowinki technologiczne. Także te militarne. Być może podświadomie chciałem, żeby śmierć turystów była rezultatem eksperymentów wojskowych: użycia broni psychotronicznej albo rakiet, wybuchu bomby barycznej albo przynajmniej zatrucia chemikaliami. W efekcie zamiast szukać najbardziej logicznego wyjaśnienia, starałem się znaleźć potwierdzenie dla z góry przyjętej tezy. A że trudno było wyjaśnić obrażenia, jakich doznali gonczarowcy, dopatrywałem się w tym spisku. Spokoju nie dawało mi zwłaszcza ostatnie zrobione przez Emila Konstantinowa zdjęcie, na którym widać dziwną jasną smugę. Nie mogłem uwierzyć, że to może być zbieg okoliczności. Byłem wręcz pewien, że Emil próbował uchwycić coś, co pośrednio lub bezpośrednio doprowadziło do tragedii.

– Dlaczego pan zmienił zdanie?

– Tak jak mówiłem, starzeję się. W życiu zawsze przychodzi taki moment, w którym mężczyzna zaczyna zdawać sobie sprawę, że coś, co wygląda jak gówno rozpaćkane na kliszy, nie jest żadną rakieta ani meteorytem, tylko... gównem rozpaćkanym na kliszy. – Procesor szybko pożarł ciastko, jak gdyby miało mu osłodzić gorzkie porażki. – Z każdym rokiem nabierałem coraz większego przekonania, że o śmierci gonczarowców musiał zadecydować czynnik ludzki oddziałujący na miejscu.

– Czyli? – dopytał Żenia.

– Wortowie. Zgraja dzikusów ukarała turystów za to, że wdarli się na ich święty teren.

– A obrażenia? – spytała Uzi. – Żaden z gonczarowców nie został zastrzelony, zadżgany ani pobity na śmierć.

– Myśli pani, że ponad sześćdziesiąt lat temu patologowie potrafili precyzyjnie określić, co się przytrafiło ludziom, których zamarznęte zwłoki znaleziono kilka tygodni po śmierci?

– Już w dziewiętnastym wieku medycyna sądowa była niezłe rozwinięta.

Procesor posłał Uzi drwiący uśmiech.

– Nawet jeśli raporty patologów są dokładne, bardzo łatwo można wyjaśnić, co tam się stało. – Nerd wepchnął do gęby kolejne ciastko. – Wortowie zaatakowali turystów, pobili ich, a następnie przepędzili z namiotu. Część grupy zdołała uciec. Dwóch gonczarowców próbowało rozpaść ogień, ale nic z tego nie wyszło. Zamarzli. Troje porzuciło pomysł walki o ogień i próbowało wrócić do namiotu. Ale że byli fatalnie ubrani, a pogoda pogarszała się z minuty na minutę, nie dali rady. Zamarzli. Pozostałą czwórkę Wortowie zapędzili nad urwisko i zepchnęli. Tamci doznali licznych obrażeń, a po jakimś czasie wykitowali. – Procesor wzruszył ramionami. – *Simple as that.*

– Jest tylko jeden problem. – Żenia również schylił się po ciastko, żeby nerd nie czuł się za bardzo wyalienowany. – Te dzikusy, jak ich pan nazywa, to przyjaźni i pokojowi ludzie.

– Gówno prawda – zachnął się Procesor. – To takie same bydlaki jak każde inne plemię, które można spotkać w tych górach. Podobno kilka lat wcześniej schwytali młodą geolożkę, zgwałcili ją, obcięli jej ręce i nogi, a potem utopili ciało w jeziorze. A jakiś czas temu inna kobieta zapałała się w okolicy wioski Wortów i już nigdy jej nie odnaleziono. To zwierzęta. Faszerują się naparami, po których odbija im palma. Naćpali się i zaatakowali bogu ducha winnych turystów.

– Mówił pan, że chodziło o święte miejsce.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Poza tym oni nawet przyznali się do tej zbrodni.

– Jak to?

– To było ze dwadzieścia lat temu. Kolejni studenci wyruszyli na Ural Północny. Przez przypadek natknęli się na osadę dzikusów. Skoro już tam dotarli, postanowili zaopatrzyć się w jakieś duperele na drogę. A wtedy któregoś z turystów zaczepił pijany Wort i wszystko mu wypaplał.

– Wszystko, czyli co?

– Że zna ludzi, którzy zabili tamtych turystów. Zresztą wszyscy Wortowie znali morderców. To mała społeczność. Ciekawe, jak im się żyje ze świadomością, że ich dziadkowie wymordowali niewinnych ludzi, przyczyniając się tym samym do powstania największej zagadki ubiegłego wieku.

Procesor wepchnął do ust ostatnie ciastko. Pogryzł je, nie przestając się uśmiechać. Był tak z siebie zadowolony, że nie zauważał porozumiewawczych spojrzeń, jakie od pewnego

czasu wymieniali jego goście.

– Wygląda na to, że usłyszeliśmy wszystko, co chcieliśmy. – Żenia wyciągnął do Procesora dłoń. – Dziękujemy za pański czas.

Skierowali się do wyjścia, zostawiając w pokoju nietkniętą herbatę i zdziwionego nerda, który najwyraźniej dopiero się rozkręcał. Z kilkusekundowym opóźnieniem Procesor poderwał się z miejsca.

– Wiem, co sobie myślicie. – Zatrzymał gości, nim wyszli z pokoju. – Że znalazł się szowinistyczny dupek, który nienawidzi jakiejś grupki dziwaków. Ale ja jestem człowiekiem nauki. Wierzę w fakty, w dane, w rachunek prawdopodobieństwa. A ten wskazuje, że to Wortowie są najbardziej prawdopodobnymi sprawcami tragedii.

Procesor uważnie im się przyglądał, jakby chciał się upewnić, że nie uważają go za kompletnego kretyna. Ale nie dali mu tej satysfakcji.

– Nie ma pan pojęcia – oznajmił Żenia.

– Słucham?

– Nie ma pan pojęcia, co sobie myślimy. Miłego dnia.

Ściany w kamienicy okazały się cieńsze, niż przypuszczali. Nawet będąc na schodach, słyszeli, jak Procesor wyzywa ich od skurwysynów.

Żenia i Uzi uznali, że dla bezpieczeństwa i wygody będą się przemieszczać po małym Wiermukowie wyłącznie samochodem. Zwłaszcza że przez noc temperatura spadła do piętnastu stopni poniżej zera. Zwłaszcza że w aucie czuli się swobodniej niż w miejscach publicznych. Zwłaszcza że Żenia wreszcie postanowił uprzątnąć śmietnik ze schowka w podłokietniku.

Kiedy po wizycie u Procesora zajechali pod sklep w centrum wsi, Żenia wyskoczył po jedzenie oraz napoje. Uzi wykorzystała ten moment, aby uważnie przeczytać pierwszy tekst, w którym Procesor otwarcie oskarżał Wortów. A potem szybko przejrzała poprzedzające go publikacje. Ta zdecydowana zmiana poglądów wydała jej się podejrzanie gwałtowna.

– Nie było pomidorowego, więc wziąłem ci pomarańczowy. – Po powrocie ze sklepu Żenia wepchnął zakupy do uniwersalnego schowka i popatrzył na Uzi. – Naprawdę przejrzałaś blog tego świra kilka lat wstecz?

– Publikuje od trzech do pięciu tekstów miesięcznie, więc nie było tak dużo scrollowania. Nie czułabym się komfortowo, idąc na spotkanie nieprzygotowana. – Spojrzawszy na Żenię, zrozumiała, że niechcący mu dogryzła. – Jedna rzecz jest szczególnie interesująca. – Pokazała mu telefon. – Zanim Procesor naskoczył na Wortów, opublikował artykuł, w którym opowiada o spotkaniu z człowiekiem z prokuratury w Kiercowie. Rozmawiali o jego militarnych koncepcjach w sprawie gonczarowców. Spójrz na daty.

– Patrzę i nie widzę.

– Data publikacji różni się od daty aktualizacji tekstu. Poza tym cały wpis jest mocno bezjajeczny, a przecież gość raczej się nie certoli. Wygląda to tak, jakby ktoś kazał mu naprostować to, co nabazgrał. Potem Procesor zrobił sobie kilkutygodniową przerwę i nic nie pisał. A gdy wrócił, zaczął oczerniać Wortów.

– Czyli ktoś pomógł mu zmienić nastawienie.

– Najwidoczniej.

– Brawo. Imponująca spostrzegawczość.

– To po matce.

Po tych słowach Uzi najpierw szeroko się uśmiechnęła, a zaraz potem spochmurniała. Żeby nie dać niczego po sobie poznać, sięgnęła po sok i przyssała się do napoju.

– Cholera – mruknął Żenia.

– Co?

– Chrystus się objawił.

Stali na wysokości kantyny, w której ponad sześćdziesiąt lat wcześniej stołowali się gonczarowcy. Przed nimi był zakręt prowadzący do głównej ulicy w Wiermukowie, a na rogu wznosiła się niewysoka kamienica. Chwilę wcześniej wyszedł z niej jakiś mężczyzna. Krótkie czarne włosy, skośne oczy, kurtka narciarska.

– To Rodin? – zdziwiła się Uzi. – Co on robi?

Mężczyzna przez kilka sekund patrzył w ich kierunku, po czym kiwnął głową i wrócił do budynku.

– Chce się spotkać – powiedział Żenia. – Chodź. Tylko nie zachowuj się tak, jakbyśmy robili coś nielegalnego.

– Czyli jak?

– Po prostu idź i się nie rozglądaj.

Żenia wysiadł, zapalił papierosa i podszedł do kosza na śmieci, aby wyrzucić pustą paczkę. Przy okazji dyskretnie zerknął za siebie. Ani śladu Janina, policjantów porywaczy czy kogokolwiek innego. Przeszedł więc na drugą stronę ulicy, a razem z nim Uzi.

Doszli do budynku. Nie wiedzieli, który numer na domofonie wybrać, więc załomotali w drewniane drzwi. Chwilę później ktoś przesunął rygiel. Weszli.

Pomogła im mniej więcej trzydziestoletnia kobieta w chuście na głowie. Miała regularne rysy, pełne usta i drobny nos. Była ładna. Nawet bardzo ładna. I właśnie dlatego jej smutek wydawał się tak przygnębiający.

– Jest na górze – powiedziała.

Zaprowadziła ich na pierwsze piętro. W kamienicy wszystko zdawało się trzeszczeć: schody, podłoga, drzwi, a nawet wystawione na klatkę schodową meble. Weszli do

niewielkiej jednopokojowej izby, w której powitał ich rozszczekany kundelek. Uzi chciała przykucnąć i go pogłaskać, ale pies zaczął na nią warczeć.

– Gdzie jest Rodin? – spytał Żenia.

– W pokoju. Na końcu korytarza.

Żenia ruszył wąskim przedpokojem. Ale kiedy Uzi próbowała zrobić to samo, kobieta zagroziła jej drogę.

– Tylko on – burknęła.

– Ale...

– Albo on, albo nikt.

Uzi spojrzała na Żenię, który w geście solidarności pozwolił, by to ona zadecydowała. Kiwnęła głową.

– W takim razie chętnie zobaczę twoją kuchnię – zwróciła się do nieznajomej.

Kobieta nie wyłapała dowcipu i zaprowadziła Uzi do miejsca, w którym na wolnym ogniu gotował się rosół. Zapuszczona, błagająca o remont kanciapa zapewne pamiętała czasy późnego komunizmu, a skromne umeblowanie sugerowało, że właścicielka kiepsko sobie radzi finansowo albo nieco opacznie pojmuje minimalizm.

– Jak się nazywasz? – spytała Uzi.

Kobieta podeszła do kuchenki i zamieszała w garnku. Nie odpowiedziała.

– To twój facet? – Uzi spróbowała ponownie, ale gospodyni nie była zbyt rozmowna. – Musisz być odważna, skoro wpuściłaś do domu przestępcę. Twój pitbull raczej cię przed nim nie obroni.

Kundelek chyba zrozumiał, że o nim mowa, ponieważ ponownie zawarczał.

– Cicho! – burknęła kobieta, posyłając psu gniewne spojrzenie. – On nie jest przestępcą.

– Ludzie mówią co innego.

– Nie ludzie, tylko ta suka. To ona go wrobiła.

– Galina?

– Skoro pytasz, to znaczy, że gównu wiesz o Wiermukowie.

Uzi musiała się mocno ugryźć w język.

– Przecież Rodin spalił leśniczówkę swojego dziadka.

– Fiodor tego nie zrobił. To on miał spłonąć w tej chacie.

– Jak to?

Kobieta nie zdążyła wyjaśnić, ponieważ drzwi pokoju się otworzyły i Żenia wszedł do kuchni.

– Już? – spytała gospodyni, a Żenia potwierdził. – Wyjdźcie na klatkę. Poczekać dwie minuty, aż Fiodor się ulotni. A potem już nigdy więcej tu nie przychodźcie.

Uzi i Żenia wyszli z mieszkania. Zatrzymali się na półpiętrze.

– Co ci powiedział? – zapytała Uzi.

– Niewiele. Ale dał mi to.

Żenia rozsunęła kurtkę, odsłaniając poślizkłą, przewiazaną taśmą teczkę.

– Co to?

– Kopia jego notatek. Rodin przez kilka lat dokumentował działania prokuratury i milicji w sprawie gonczarowców. Uważa, że wszystko, co na jej temat wiadomo, to ściema.

– Wszystko?

– Pamiętniki, zeznania świadków, raporty medyczne. W środku podobno są także informacje o osobach, które powinniśmy przycisnąć. Jedna z nich mieszka w Wiermukowie.

Uzi nie mogła oderwać wzroku od teczki, która sądząc po wyglądzie, mogła jeździć z Rodinem od kilku lat.

– Dlaczego chciał się spotkać tylko z tobą?

– Nie ufa ci.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie powiedział.

– A pytałeś?

Żenia ciężko sapnęła.

– Chyba już minęły dwie minuty. Spierdalajmy stąd.

Nawet w tak zabiedzonych i zapomnianych przez świat wioskach jak Wiermukowo trafiają się enklawy bogactwa, które zamieszkują lokalni oligarchowie. Efektowny piętrowy dom pod lasem należał do Nikołaja Proszkina, prawnika i biznesmena, który po trzydziestu latach spędzonych w Niestierowie, gdzie najpierw sprawował rozmaite funkcje w organach sądowniczych i w polityce, a potem spełniał się jako inwestor, wrócił na stare śmieci. Przejął dom po zmarłym ojcu, niegdyś prominentnym lokalnym działaczu, który trząśł osadą, zanim nastąpiła epoka Galiny Kukliny i jej męża. I jak sam twierdzi, wiódł życie zadowolonego z siebie aktywisty, filantropa, a przede wszystkim rentiera.

Uzi i Żenia spędzili około godziny na przeglądaniu papierów od Rodina, a potem drugie tyle, czekając przed wjazdem do posiadłości Proszkina – jednego z bohaterów notatek. Wynikało z nich, że prawnik przez lata zajmował się tuszowaniem tego, co naprawdę wydarzyło się na Przełęczu Gonczara. Pracował z prokuratorem Borysem Jakupowem, który najpierw niespodziewanie zakończył śledztwo kretyńską konkluzją, że przyczyną tragedii była jakaś niezidentyfikowana siła, a potem wyznał publicznie, że prawdziwe okoliczności śmierci turystów zostały utajone.

– Czyli Rodin twierdzi, że Proszkin był uczniem i przyjacielem Jakupowa – powiedziała Uzi. – Ale gdy ten wyskoczył ze swoją rewelacją, nagle stali się wrogami. Proszkin zdyskredytował mentora, a po jego śmierci błyskawicznie się wzbogacił na przekształceniach własnościowych. Rodin uważa, że takich jak on, skorumpowanych albo zastraszonych obrońców ustroju, jest znacznie więcej.

– Lepiej bym tego nie podsumował – odparł Żenia, który nadal wczytywał się w dokumenty.

– Problem w tym, że trudno zaufać koleśowi, którego policja ściga za spalenie domu.

– Nie musimy mu wierzyć. Musimy zweryfikować, czy jego wynurzenia mają sens.

– Ale ty mu wierzysz. Ucieszyłeś się, kiedy powiedziałam, że zdaniem tej kobiety Rodin został wrobiony w przestępstwo.

– Bo koleś nie wygląda na świra.

– Widziałeś się z nim przez minutę.

– Czasem tyle wystarczy.

Uzi ciężko westchnęła. Nie podobało jej się to, że Żenia tak mocno polega na instynkcie. Na intuicji śledczego. Na czymś nienamacalnym, niemierzalnym, nieracjonalnym. I że z czasem bardziej wierzy jakimś metafizycznym bzdetom niż zdrowemu rozsądkowi i dowodom.

Kilka minut później pod bramę podjechało czarne bmw. Samochód prowadziła ruda, atrakcyjna kobieta, która mogła być w wieku Uzi. Obok niej siedział siwy mężczyzna w okularach, tak zaabsorbowany przeglądaniem jakichś dokumentów, że nawet nie zauważył, iż dojechali na miejsce.

– Państwo do kogo? – spytała kobieta, opuściwszy szybę.

Uzi wyjaśniła, kim są i co ich sprowadza. Tym razem postawili na szczerłość.

– Mam nadzieję, że lubią państwo żeberka w miodzie. – Powiedział mężczyzna, który zainteresował się gośćmi dopiero, gdy usłyszał, że przyjechali w sprawie przełęcz. – Nikołaj Proszkin. Zapraszam.

Żenia i Uzi wjechali za nimi na teren posiadłości i zaparkowali na zwirowym podjeździe. Z bmw oprócz Proszkina i rudowłosej Pauli, która wyglądała bardziej na jego wnuczkę niż żonę, wysiadły dwie paroletnie dziewczynki. Bliźniaczki. Najwyraźniej nie przepadały za obcymi, bo na widok gości schowały się za matką.

– Jak mnie znaleźliście? – spytał Proszkin.

– Galina Kuklina o panu wspomniała – skłamał Żenia. – To pańska przyjaciółka?

Proszkin się roześmiał, ukazując rząd wybielonych zębów.

– Znacznie bliżej nam do wrogości niż przyjaźni.

– Poważnie?

– Galina ma mentalność królowej mrówek. Traktuje ludzi instrumentalnie, uwielbia hierarchię i nie znosi odstępstw od normy. Kiedy przejęła od mojego ojca faktyczną władzę w Wiermukowie, miała nadzieję, że będzie mogła dożywotnio robić, co jej się żywnie podoba. Ale potem zjawiałem się ja. Bogaty, krnąbrny i z jakiegoś powodu umiałem zjednywać sobie ludzi. Byłem jej odstępstwem od normy.

Weszli do domu, zdjęli kurtki i od razu poszli do jadalni. Tam już czekała na nich gosposia. Żenia i Uzi początkowo chcieli załatwić tę sprawę jak najszybciej, ale dobiegające z jadalni zapachy i przesłodzona uprzejmość gospodarzy sprawiły, że zgodzili się zostać na obiad i dali się zasypać sielankowymi opowieściami o życiu milionerów.

Po posiłku Paula zabrała dzieci na górę, a Nikołaj Proszkin poszedł z gośćmi do efektownego salonu. Rozsiedli się na kanapach, które oddzielała niska ława z laminowanego drewna. Gospodarz postawił na niej belugę i kieliszki. Żenia pomachał kluczykami od auta, ale Proszkin i tak polał mu wódki.

Uzi na wstępie wyjaśniła, że interesuje ich przede wszystkim Borys Jakupow, więc Proszkin przez kilkanaście minut opowiadał ze swadą o życiu dawnego kolegi: począwszy od jego udziału w śledztwie w sprawie gonczarowców, a skończywszy na zadziwiającym oświadczeniu, po którym popadł w niełaskę.

– Podobno w pewnym momencie przestaliście czuć do siebie miętę – powiedział Żenia.

– Dziwi się pan? – Proszkin poczęstował go figlarnym uśmiechem, którym miał w zwyczaju ozdabiać większość swoich wypowiedzi. – Borys zwariował. Zaczął we wszystkim widzieć spisek. Podważył cały swój dorobek. W dodatku próbował zniszczyć reputację ludzi, którzy mu ufali.

– Może przez te wszystkie lata gryzło go sumienie i w końcu pękł – odezwała się Uzi. – W artykule stwierdził, że oprócz niego tylko dwie osoby wiedziały, co się stało na przełęczu. Zdecydował się na to wyznanie, kiedy obie już nie żyły.

– Borys przeszacował swoją rolę. Te trzy osoby miały po prostu więcej danych na temat obrażeń turystów, ale ani one, ani nikt inny nie wie, co tam naprawdę się stało. I nikt się już nie dowie. Wyznanie Borysa było dowodem jego bezradności. I bylejakości ówczesnego systemu prawnego, który być może zbyt szybko zaakceptował to, że nie zdoła ustalić dokładnej przyczyny tragedii.

– A przy okazji postanowił zataić prawdę przed światem.

– To bez znaczenia. Oczywiście rozumiem wściekłość rodziców ofiar. Też byłbym wkurzony, gdyby ktoś ukrył przede mną szczegóły śmierci moich dzieci. Ale gdy patrzę na tę sprawę z boku, potrafię zrozumieć intencje rządzących. To była decyzja czysto PR-owa. Dzisiaj możemy oceniać ją jako fatalną, ale wpisuje się w standardy komunikacyjne ówczesnej władzy, która pod żadnym pozorem nie mogła przyznać, że popełniła błąd. – Proszkin pochylił się do przodu. – Jestem absolutnie pewien, że nie chodziło

o zatuszowanie jakiegoś skandalu, tylko o ukrycie działań niezbyt rozgarniętych śledczych. W tym Borysa.

– Niczego takiego nie sugerujemy.

– Czyżby? – Znów ten irytujący uśmieszek. – Skoro dotarliście aż tutaj i wypytujecie o mojego skompromitowanego eksprzyjaciela, obawiam się, że wam także udzieliły się nastroje spiskowe. Napijmy się.

Wychylili z Proszkinem dwa kieliszki, na jedną i drugą nogę. Chwilę później gospoia przyniosła talerz drobno pokrojonych śledzi, ogórków kiszonych, kielbas i serów. W sam raz do zero siódemki.

– Dlaczego tak pan broni władzy? – spytał Żenia. – Przecież od dobrych kilku lat nie jest pan związany z prokuraturą ani polityką.

– Rzeczywiście nie mam w tym żadnego interesu. I dlatego nie bronię władzy, tylko zdrowego rozsądku.

– Utrzymuje pan kontakt z ludźmi z dawnego życia? Z prawnikami, politykami albo przedsiębiorcami z Niestierowa?

Proszkin zerknął na ścianę, jakby mógł z niej wyczytać odpowiedź.

– Głównie telefoniczny i raczej okazjonalny. Kiedyś byliśmy ze sobą zżyci, ale czas nas rozdzielił. Zdarza mi się tęsknić za tamtym życiem. Wtedy sobie przypominam, że przenieśliśmy się tutaj właśnie po to, aby mieć ciszę i spokój. Oczywiście to nie do końca się udało, bo w Wiermukowie jest masa rzeczy do zrobienia, a ja nie potrafię usiedzieć na dupie.

Żenia posłał Uzi porozumiewawcze spojrzenie, a ta schyliła się do torebki. Wyjęła plik zdjęć, które naprędce przygotowali przed spotkaniem. Rozłożyła je na ławie, tak aby Proszkin mógł się im uważnie przyjrzeć.

– Kim są ci ludzie? – spytał Żenia.

Proszkin pochylił się nad fotografiami. Wziął jedną do rąk. Westchnął. Następnie lekceważąco odrzucił zdjęcie na ławę i rozlał wódkę do kieliszków.

– Skąd je macie? – wycedził przez zęby.

– Od kogoś, kto ma o panu bardzo niskie mniemanie – wyjaśnił Żenia. – Powie nam pan, kim oni są?

Nie siląc się na toast ani nie czekając, aż goście do niego dołączą, Proszkin opróżnił kieliszek. Przez dłuższą chwilę milczał. Myślał.

– Pomogę panu. – Żenia pochylił się nad ławą i zaczął przeglądać fotografie. – To prominentni mieszkańcy Niestierowa. Politycy, prokuratorzy, biznesmeni, a nawet szef wydziału kryminalnego. Każdy w mniejszym lub większym stopniu interesuje się sprawą Przełęczycy Gonczara. Każdy uważa, że zwalanie winy za śmierć turystów na ówczesną władzę jest bez sensu. Wszystkie zdjęcia zostały zrobione w Wiermukowie albo w okolicy.

Na przykład to – Żenia sięgnął po jedną z fotek – powstało w pobliskim lesie, kilkadziesiąt metrów od rzeki, którą widać za wami. Radny Dumy Niestierowa wygląda tak, jakby mu się tu podobało.

Proszkin zerknął na zegarek, po czym ponownie nalał sobie wódki. Opróżnił kolejny kieliszek.

– A więc sugerujecie, że jestem postkomunistycznym cwaniakiem, który dorobił się na interesach z państwem – powiedział. – Że zostałem przekupiony, aby wypowiadać się o sprawie przełęczu w sposób wygodny dla władzy.

– Niekoniecznie – odparła Uzi. – Mógł pan także zostać zastraszony. Albo spotkał pan kogoś bardziej przekonującego od dawnego przyjaciela, Borysa Jakupowa.

Proszkin zaśmiał się pod nosem.

– Nie wiem, co gorsze: być uważanym za głupka czy łajdaka. – Popatrzył gościom w oczy. – Czy wasz szef wie, co tu robicie?

– Wie, że szukamy prawdy – powiedziała Uzi.

– Już wam mówiłem, że ona jest nie do odkrycia. A skoro tak, wasze pytania są wyłącznie próbą skompromitowania człowieka, który ciężką pracą wyrobił sobie nieposzlakowaną opinię.

– Gdyby to były spotkania towarzyskie, nie wypierałby się pan kontaktów z tymi ludźmi. – Żenia postukał palcem w jedno ze zdjęć.

– Nie rozumiem was. Próbujecie zdyskredytować władzę, choć sami ją reprezentujecie. Zwłaszcza pani, Anno. – Proszkin spojrzął na Uzi, jakby zamierzał wyrzucić jej krzywdę. – Lew Fiodorow jest modelowym reprezentantem naszego ustroju. Nic by nie zrobił bez zgody prokuratora generalnego i swoich politycznych sprzymierzeńców.

– Nie wspominaliśmy panu o Fiodorowie – zauważyła Uzi.

– Znam strukturę Prokuratury Generalnej i wiem, kto tam pociąga za sznurki. Poza tym wieści szybko się rozchodzą.

– Plotki – odparł Żenia. – Plotki szybko się rozchodzą. Z prawdą bywa różnie.

Proszkin ponownie zerknął na zegarek.

– Za chwilę mam ważny telefon. Proszę wybaczyć, ale nie mogę przełożyć tej rozmowy.

Żenia głośno sapnął, po czym zgarnął z blatu zdjęcie.

– Nie musi pan przeproszać. W końcu to niezapowiedziana wizyta.

– Dziękujemy za obiad – dodała Uzi. – I za rozmowę.

Oboje poderwali się z kanapy. Zanim wyszli z salonu, Żenia zatrzymał się przed wysokim oknem. Spojrzął na oddalony o kilkaset metrów dom na wzgórzu. Był zdecydowanie większy i bardziej reprezentacyjny od willi Proszkina.

– Posiadłość Galiny Kukliny? – zapytał.

Wstając z kanapy, Proszkin lekko się zachwiał.

– To najlepsze tereny w Wiermukowie – wyjaśnił. – Kuklinowie wybudowali się tutaj kilka lat po śmierci mojego ojca. Jakby chcieli mi zrobić na złość.

– Przyjaciół trzymaj blisko, a wrogów jeszcze bliżej. – Żenia uśmiechnął się do Proszkina, a potem skinął brodą na butelkę wódki. – Proszę z nią uważać. Rozmówca może się zorientować, że nie jest pan w formie.

Kiedy wrócili do samochodu, Uzi ponownie sięgnęła po teczkę Rodina. Wyciągała kolejne starannie pogrupowane kartki, które de facto były minizyciorysami ludzi podobnych do Proszkina. Bogatych, wpływowych, ważnych. Takich, którzy mogli łamać kariery i kształtować rzeczywistość. A przy okazji w ten czy inny sposób opowiadali się w sprawie przełęczu po stronie „zdrowego rozsądku”. Jedni robili to z otwartą przyłbicą, a więc pojawiając się w mediach i wchodząc w interakcję ze zwolennikami teorii spiskowych, inni działali z cienia – oferując swoje kontakty i pieniądze tym, którzy byli na linii frontu.

– Ja pierdołę! – Uzi złapała się za głowę. – Jeżeli Rodin ma rację, grupa wpływowych skurwysynów lobbuje za utrzymaniem status quo w sprawie gonczarowców.

– Nie wiadomo tylko, co próbują ukryć – odparł Żenia. – Ale skoro po otwarciu archiwów wylała się na ten kraj wielka cysterna gówna, nie może chodzić po prostu o kolejny komunistyczny wybryk.

– Co masz na myśli?

– Nikogo by nie ruszyło, gdyby wyszło na jaw, że turyści zostali zastrzeleni przez pijanych żołnierzy albo zabici źle nakierowanym pociskiem. Przyjęliśmy prawdę o GUŁagu, więc i to byśmy strawili. Chyba że strzelającym albo wydającym polecenia artylerii był ojciec albo dziadek kogoś, kto mógłby sporo stracić, gdyby jego nazwisko zostało powiązane ze sprawą. – Zerknął na Uzi. – Ta historia musi mieć osobisty wymiar dla jakiejś szczy. Na przykład dla Fiodorowa.

Uzi potrząsnęła głową.

– Nie chcę go bronić, ale byłby kompletnym debilem, gdyby w takiej sytuacji kazał nam w tym grzebać. – Schowała wydruki do teczki i wbiła wzrok w boczną szybę. Patrzyła na ciągnącą się w nieskończoność tajgę, myśląc o tysiącach mniejszych i większych sekretów, które nieświadomie skrywała. – Ci ludzie chcieli zabić Rodina. Zamierzali go spalić w jego własnym domu, a potem upozorować wypadek.

– O ile to prawda – odparł Żenia. – Może Rodin miał jakiś powód, by podpalić dom, a ta wstrząsająca historyjka ma nas jedynie zachęcić do pochylenia się nad tą sprawą.

– Tyle że o zamachu na jego życie powiedziała mi najsmutniejsza dziewczyna na świecie, która nie wyglądała na osobę zdolną do wyrafinowanych gier. – Uzi odwróciła się do

Żeni. Uniosła teczkę. – Dlaczego nie ma tu nic o Galinie? Baba trzęsie całym miasteczkiem i mieszka obok Proszkina. Niemożliwe, żeby nie była w to jakoś zamieszana.

– Rodin ma na nią osobną teczkę.

– Co takiego?!

– Powiedział mi o tym, kiedy się z nim widziałem.

Uzi zaskakująco wysoko uniosła brwi.

– Zamierzałeś mi o tym wspomnieć?

– Nie chciałem zarzucić cię informacjami, żebyś nie ześwirowała.

– Żeby nie co, kurwa?!

Żenia długo szukał odpowiednich słów.

– Słabo znosisz złe informacje. Ja już tyle ich w życiu przerobiłem, że kolejne chujowe wieści nie robią na mnie większego wrażenia.

– Powiedział ten, który wyjechał w panice z Niestierowa, kiedy się okazało, że władze mogły sfalszować historię.

– To był przełom. Teraz tylko utwierdzamy się w przekonaniu, że to może być jeden wielki szwindel. – Żenia posłał Uzi przepraszające spojrzenie, które nie do końca korespondowało z jego słowami. – Czy w teczce jest jeszcze ktoś z Wiermukowa, z kim powinniśmy porozmawiać?

– Chyba nie.

– To dobrze.

Żenia skręcił w leśną dróżkę. Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów zatrzymał się. Zgasił światła. Wyłączył silnik.

– Co ty wyprawiasz? – zaprotestowała Uzi.

– Może to zabrzmieć dziwnie, ale musisz dać mi teczkę, wsiąść, włożyć słuchawki do uszu, włączyć muzykę i odejść na kilka metrów.

– Co?!

– Wiem, że to kiepski moment na taką prośbę, ale musisz mi zaufać. – Żenia popatrzył jej głęboko w oczy. – Schowam te dokumenty. Mam w samochodzie skrytkę służącą mi do przewożenia rzeczy, które nie powinny wpaść w niepowołane ręce. Będzie dla ciebie zdecydowanie bezpieczniej, jeżeli się nie dowiesz, gdzie ona jest.

Uzi gapiła się na niego, jakby zaczął mówić w obcym języku. Wreszcie pokręciła głową i schyliła się do torebki, żeby wyjąć słuchawki.

– Czy jaśnie pan życzy sobie, żebym włączyła jakiś konkretny utwór? – spytała modulowanym głosem.

Ku jej zaskoczeniu Żenia zaczął się zastanawiać nad odpowiedzią.

– *Du hast* – oznajmił. – *Du hast* Rammsteina byłby niezły.

Kiedy zajechali pod dom gościnny, było już ciemno. Czekala ich wielogodzinna droga do Niestierowa, więc najrozsądniej byłoby odłożyć powrót do rana, ale nie chcieli zostawać w Wiermukowie ani chwili dłużej. Zaparkowali przy samym wejściu, wdrapali się na górę, spakowali i zeszli do recepcji. Kiedy zbliżyli się do lady, aby poinformować, że zwalniają pokój wcześniej, niż planowali, Uzi poczuła znajomy zapach perfum. A chwilę później usłyszała znajomy głos, którego miała nadzieję już nigdy nie usłyszeć.

– Nie spodobało wam się w Wiermukowie? – spytała Galina Kuklina.

Przy odrobinie naiwności mogliby uznać spotkanie z właścicielką gospody za przypadek. Tyle że pojawiła się w towarzystwie dwóch karków.

– Skąd! – odezwał się Żenia. – Wiermukowo jest urocze. Ale odniosłem wrażenie, że nie jesteśmy tu mile widziani. Niektórzy ludzie byli wobec nas bardzo nieuprzejmi.

– To ciekawe, bo to samo słyszałam o was. – Galina skinęła głową na recepcjonistkę, a ta momentalnie usunęła się na zaplecze. – Podobno nękaliście szanowanych mieszkańców Wiermukowa, insynuując im jakieś nieprzyzwoite rzeczy.

– No tak. – Żenia wymownie westchnął. – Tutaj nic się nie dzieje bez wiedzy szefowej. Zakładam, że musiała pani słyszeć także o tym, że kilku zbirów w kominiarkach porwało nas spod poczty i wywiozło do lasu.

Galina teatralnym gestem przyłożyła dłoń do ust.

– To straszne. Ale o ile mi wiadomo, nic takiego nie zostało zgłoszone na policję.

– W tym miejscu pani jest policją.

Galina uśmiechnęła się, przez co jej nafaszerowana kwasem hialuronowym twarz wydała się jeszcze bardziej nienaturalna. Kobieta ewidentnie nie nawykła do uśmiechu.

– Jaki jest powód tej rozmowy? – spytała Uzi.

– Kilka osób się na was poskarżyło, więc chciałabym to wyjaśnić. I przy okazji zrozumieć, do czego zmierzacie, wypytyując mieszkańców o rzeczy, z którymi nie mają nic wspólnego. Sposób, w jaki to robicie, sugeruje, że weszliście w posiadanie błędnych informacji. Chciałabym je poznać. I dowiedzieć się, skąd je macie. Zwłaszcza że widziano was w towarzystwie Fiodora Rodina.

Żenia wyrzwał przez okno. Zobaczył dwóch ubranych na czarno facetów, którzy kręcili się przy jego samochodzie.

– To może być prawda – przyznał. – Widzieliśmy się z pewnym mężczyzną, który zachowywał się specyficznie i mówił nam różne rzeczy na temat ludzi z Wiermukowa. Ale nie przedstawił się, więc nie wiemy, czy to był Rodin.

– Dość tego pierdolenia – warknęła Galina. – Rodin coś wam dał. Jakies materiały, z którymi pobiegniecie do Proszkina. Co jeszcze macie?

Żenia zrobił krok w stronę drzwi, ale jeden z przydupasów Galiny natychmiast zablokował mu potencjalną drogę ucieczki. Wtedy zrozumiał, że są w czarnej dupie.

– Nie mamy żadnych materiałów – upierał się. – A nawet gdybyśmy mieli, to pani by ich nie dostała.

– Nie każ mi być nieuprzejmą, zresztą w razie czego sami je znajdziemy. Tyle że wtedy może was to zabołec.

Żenia bezradnie wzruszył ramionami.

– W takim razie zanosi się na to, że będziemy cierpieć.

Galina parsknęła, wbijając w niego wzrok.

– Jak sobie życzysz. – Zapukała w szybę i po chwili dołączyły do nich napakowane sępy, które krążyły wokół auta. – Skoro nie chcecie współpracować, przetrzepiemy wasze rzeczy i samochodzik.

– Do tej pory byłaś tylko niemiła. Teraz popełniasz przestępstwo.

– Przestań pieprzyć i daj kluczyki.

Jeden z goryli, z charakterystycznym kucykiem zwisającym z ogolonej niemal na zero głowy, stanął przed Żenią tak, jakby przed przeszukaniem auta zamierzał spuścić wpierdol jego właścicielowi. Drugi sięgnął po bagaże i zaczął wyciągać z nich rzeczy.

– Gdy skończysz, sprawdź jej torebkę – powiedziała Galina, posyłając Uzi zadziorne spojrzenie. – Nie zapomniałam o tobie, słoneczko.

Uzi była niemal bliska płaczu, kiedy oddawała torebkę facetowi, który nie wahając się ani chwili, wysypał jej zawartość na podłogę.

– Muszę do toalety – powiedziała łamiącym się głosem.

– Wytrzymasz parę minut – odparła Galina.

– Nie. Muszę teraz.

Kuklina wbiła w nią zimne spojrzenie.

– Masz minutę. – Skinęła na drzwi sąsiadujące z recepcją. – Potem jeden z moich kolegów pomoże ci wyjść.

Kiedy Uzi zniknęła w toalecie, Żenia odwrócił się do okna. Patrzył, jak dwóch osiłków przetrząsa jego samochód. Od ich gorączkowych poszukiwań auto trzęsło się tak, jakby ktoś się w nim pieprzył.

– Mogliśmy rozwiązać to inaczej – powiedział, nie odrywając wzroku od hyundaia. – Mogliśmy sobie wszystko wyjaśnić zaraz po naszym przyjeździe do Wiermukowa. – Zerknął na Galinę. – Przecież to, co robimy, nie ma z tobą bezpośredniego związku. Wystarczyłaby odrobina szczeroci.

– Nie bądź naiwny – odparła Galina. – Szczeroci to waluta, której należy używać bardzo ostrożnie, ponieważ można sobie szybko narobić długów. I w żadnym wypadku nie wolno

jej wyciągać, kiedy nie zna się człowieka, któremu się patrzy w oczy.

– Teraz już coś o sobie wiemy. Więc zamiast odstawić sceny, narażając na szwank twój wizerunek i naszą pracę, moglibyśmy raz na zawsze wyjaśnić wszelkie wątpliwości.

– Dobrze wiesz, że to tak nie działa. – Galina zerknęła na zegarek, a potem na jednego z giermków. – Minuta minęła. Idź po nią.

Goryl nie zdążył zainterweniować, ponieważ właśnie otworzyły się drzwi łazienki i wyszła z nich Uzi w stanie zupełnie innym od tego, w jakim była jeszcze kilkadziesiąt sekund wcześniej. Już nie bliska płaczu, lecz rozpromieniona. No i ścisnęła w rękę telefon.

– Masz zadziwiająco dobry internet w hotelu – oznajmiła. – Będąc w kiblu, wygenerowałam link z WeTransfera i wkleiłam go w treść maila skierowanego do kilku znajomych dziennikarzy z Moskwy i mojego przełożonego. Wystarczy, że nacisnę „Wyślij”, aby trafiła do nich rozmowa, którą przed chwilą nagrałam.

Goryl zrobił krok w jej stronę, ale Galina powstrzymała go zdecydowanym ruchem ręki. Chwilę później do budynku weszli dwaj faceci, którzy przetrząsali samochód.

– Nic tam nie ma – powiedział jeden z nich.

– Sprawdziliście dokładnie? – upewniła się Galina, nie spuszczać Uzi z oczu.

– Dokładniej już się nie da.

– Gdzie to schowaliście?

– Gdybyśmy ci powiedzieli, nie byłoby sensu tego chować, prawda? – Żenia podszedł do jednego z drabów. – Kluczyki. Poproszę.

Mężczyzna spojrział na Galinę, a ta na Uzi, która wyglądała jak zamachowiec trzymający w ręku detonator.

– Oddaj mu kluczyki i zejdź mi z oczu – powiedziała Galina.

– Ale...

– Spierdalaj! I to już.

Mężczyzna więcej nie protestował. Żenia odzyskał kluczyki, a następnie przykucnął i zaczął w pośpiechu wpychać rzeczy do toreb.

– Nie chcemy was zniszczyć. I nie zrobimy tego. – Podniósł wzrok na Galinę. – Ale jesteśmy najemnikami. Małymi żuczkami, które dostały zadanie do wykonania. I dopóki Lew Fiodorow nas nie odwoła, będziemy robić swoje. Najlepiej, jak potrafimy. – Wstał, oddał Uzi torebkę i podniósł ich bagaże. – Przy odrobinie szczęścia nigdy więcej się nie spotkamy.

– Wynoście się z mojego miasta – warknęła Galina.

Uzi miała ochotę zwrócić jej uwagę, że nazywanie Wiermukowa miastem jest grubą przesadą, ale wolała nie zaogniać sytuacji. Dlatego trzymając telefon w dłoni i pilnując, żeby się nie zablokował, ruszyła z Żenią do auta.

Dopiero gdy wyjechali z Wiermukowa i dostali się na drogę, którą poprzedniego dnia przybyli do osady, Uzi poczuła się bezpiecznie. Ale gdy spojrzała na swoje dłonie, wciąż tak rozedrgane, że pewnie nie byłaby w stanie zapisać czegokolwiek w notatniku, zrozumiała, że upłynie jeszcze wiele czasu, zanim ujdzie z niej napięcie.

– Porwanie, akcja z Rodinem, spotkanie z Galiną i jej zbirami – wyliczała, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Sporo jak na dwa dni na prowincji.

– A co gorsza, wszystkie zdarzenia są ze sobą powiązane – powiedział Żenia. – Ochroniarze Galiny to ci sami faceci, którzy wywieźli nas do lasu.

– Skąd wiesz?

– Te same ruchy, to samo wyszkolenie. Poza tym jeden z nich zapomniał zmienić spodnie po akcji. – Żenia zerknął na Uzi, która przyglądała mu się zdziwiona. – Galina od początku chciała nas stąd wykurzyć. Była przekonana, że akcja w mafijnym stylu załatwi sprawę.

– Nie doceniła naszej zawziętości.

– Albo głupoty.

Uzi zauważyła, że Żenia ma zadziwiającą łatwość mówienia o sprawach przygnębiających. W jego ustach nie brzmiały tak katastrofalnie. Dopiero poddane refleksji zamieniały się w koszmar.

– Naprawdę zauważyłeś, że gość nie zmienił spodni?

– W wojsku nauczyłem się zwracać uwagę na dziwne detale. Mogę ci wyrecytować, w co byli ubrani wszyscy ludzie, których wspólnie spotkaliśmy. Choć nie jest powiedziane, że będę potrafił nazwać każdy element garderoby. Moda to nie mój konik.

– Czyli też jesteś spostrzegawczy, ale inaczej niż ja.

– Chyba nieźle się uzupełniamy. – Uśmiechnął się do Uzi. Po raz pierwszy od kilkunastu godzin. – Zauważyłem też, że zanim weszłaś do toalety, ani razu nie sięgnęłaś po telefon. Na przykład po to, żeby włączyć dyktafon.

– Blefowałam. Mój smartfon nie ma nawet apki do nagrywania dźwięku. Poza tym w tak krótkim czasie nie dałabym rady przygotować maila do wysyłki. – Wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia, jak na to wpadłam. Po prostu poczułam, że muszę coś zrobić. Cokolwiek.

– Brawo za blef. Dzięki temu dowiedzieliśmy się, że Galinie bardzo zależy na wizerunku i świętym spokoju.

– Albo panicznie boi się Fiodorowa i jego moskiewskiej świty.

– Jedno z dwojga. A to już coś. Przed przyjazdem do Wiermukowa nie mieliśmy bladego pojęcia o istnieniu tych ludzi. Teraz wiemy, że od dawna mieszkają w sprawie gonczarowców.

– Szkoda tylko, że wsypaliśmy Rodina.

– Nie mieliśmy wyboru. W tym wypadku to Galina nas ograła.

– Jak to?

– Pokazała nam jego zdjęcie, bo chciała, żebyśmy go dla niej zlokalizowali. Wykorzystała nas.

Po kilkunastu minutach jazdy Uzi zauważyła, że Żenia zaczął nerwowo zerkać w lusterko wsteczne. W identyczny sposób, jak to robił, zanim wyjechali z Wiermukowa.

– Ktoś nas śledzi?

Żenia nie odpowiedział od razu. Za to wyraźnie przyspieszył, obserwując reakcję auta, które jechało za nimi.

– Być może – odparł. – Czy to możliwe, że Janin podmienił samochód, aby nas efektywniej śledzić?

– Nie sądzę, żeby na to wpadł.

– Ja też nie. A to oznacza, że tym sportowym nissanem najprawdopodobniej jadą ludzie Galiny.

– Przecież wiedzą, że możemy mieć nagranie.

– Może przejrze twoją sztuczkę. A może Galina przemyślała sprawę i uznała, że jednak ma to w dupie.

To, że wyrósł im ogon, jeszcze nie było problemem. Prawdziwy problem pojawił się wtedy, kiedy próbowali wyprzedzić jadący przed nimi samochód, ale jego kierowca brutalnie zajechał im drogę.

– Kurwa! – zaklął Żenia. – Wzięli nas w kleszcze.

Ledwo zdążył to powiedzieć, gdy nissan wjechał im w zderzak.

Ich samochód niebezpiecznie zakołysał się na oblodzonej drodze.

– Sprawdź GPS – powiedział Żenia, mocując się z kierownicą. – Mamy gdzie odbić?

Uzi rozdygotanymi palcami przejechała po ekranie.

– Nie. Żadnych dróg, stacji benzynowych, budynków. Nic, kurwa. Tylko las.

Kolejne uderzenie w zderzak. I kolejny poślizg.

– Co oni robią?! – wrzasnęła Uzi.

– Chcą nas wyjechać z drogi. – Żenia ponownie spróbował wyminąć jadący przed nimi samochód, ale przeciwnicy uprzedzali każdy jego ruch. Szukając ucieczki, zaczął zerkać na pobocze. – Zapięłaś się?

– Co?

Żenia sprawdził zapięcie pasa. Następnie spojrzał jej głęboko w oczy.

– Trzymaj się mocno.

Zanim do Uzi dotarło, co kombinuje, nieznacznie przyspieszył przed zakrętem.

A potem zapomniał skręcić.

Przelecieli nad niewielką rozpadliną i wylądowali na wąskiej leśnej drodze. Zatrzymali się dopiero po przejechaniu kilkunastu metrów, kiedy hyundai zakopał się w głębokiej zaspie.

– Nic ci nie jest? – zapytał Żenia.

Uzi z wahaniem otworzyła oczy.

– Co to, kurwa, było?!

– Kontrolowany wypadek. Chcieli nas zepchnąć z drogi, więc uprzedziliśmy ich ruch.

– My? My, kurwa?! – Wszystko się w niej gotowało. – Omal nas, kurwa, nie zabiłeś!

– Ale żyjemy. A tobie nawet paznokieć się nie złamał.

Miała ochotę go uderzyć. Nie, nie uderzyć. Skopać dupsko. Wpieprzyć tak, żeby nigdy więcej nie przyszedł mu do łba równie durny pomysł. Ale nie było na to czasu, bo na drzewach pojawił się rozmyty snop światła. Jakiś samochód zatrzymał się przy drodze.

– Wychodzimy – powiedział Żenia.

Niestety wbili się tak głęboko w śnieg, że nie byli w stanie wysiąść. Kiedy Żenia mocował się z drzwiami, Uzi obejrzała się i zobaczyła kilka zbliżających się ciemnych sylwetek.

Nie było już odwrotu. Kimkolwiek byli ci ludzie, dopadli ich.

– Co wyście, kurwa, zrobili?!

To był Igor Janin. Towarzyszące mu napakowane przydupasy pomogły Żeni i Uzi otworzyć drzwi.

Gdy już wysiadł z samochodu, Żenia poklepał Janina po ramieniu.

– Nigdy nie sądziłem, że kiedyś to powiem. Cieszę się, że cię widzę.

– Nie spoufalaj się. Nic wam się nie stało?

– Nie – odparła Uzi, celując palcem w Żenię. – Ale zabierzcie ode mnie tego czubka, zanim zrobię mu krzywdę.

Kiedy wyrzucała z siebie całą symfonię przekleństw, Żenia odwrócił się do niej plecami. Wyjął papierosa. Włożył jednego do ust i z największą przyjemnością zapalił.

14.

28 STYCZNIA 2020
ŻENIA

Pierwszego dnia po powrocie do Niestierowa Żenia spotkał się na kilka godzin z Saszą, poszedł do lekarza, ponieważ był trochę obolały po brawurowym skoku w zaspę, i oddał do naprawy samochód, który z pomocą Janina i jego kompanów udało się przetransportować do miasta. Potem musiał odespać trudy kilku emocjonujących dni. Trudy pełnego przygód nocnego powrotu. Trudy kłótni z Uzi, poważnie obrażonej za numer w stylu *Szybkich i wściekłych*.

Żenia czekał na wyrzuty sumienia. Ale skoro nie napłynęły, utwierdził się w przekonaniu, że podjął najlepszą decyzję z możliwych. I że gdyby ponownie znaleźli się w takiej sytuacji, zrobiłby to samo.

Następnego dnia wrócił do swoich rutynowych zajęć. Wyszedł nawet pobiegać, ale problemy szyjne i ból ramion okazały się bardziej uciążliwe, niż przypuszczał. Po paru kilometrach zrezygnował. I nie tylko ostatecznie pogodził się z tym, że wiosną nie pobije życiówki w maratonie, ale nawet zaczął poważnie rozważać rezygnację ze startu.

W efekcie stanęło na tym, że czy mu się to podobało, czy nie, musiał zająć się sprawą gonczarowców.

Po wyprawie na prowincję wciąż mnożyły się pytania, na które Żenia nie potrafił odpowiedzieć. Nie wiedział, dlaczego władze sfalszowały pamiętniki ani w którym miejscu oficjalny przebieg wyprawy rozjeżdża się z faktycznym. Nie miał bladego pojęcia, kim był Misza Klimienko. Nie potrafił w racjonalny sposób wyjaśnić, co dokładnie przytrafiło się turystom, ponieważ miał zbyt mało niepodważalnych danych. Nie rozumiał też, co takiego mogło się stać na przełęczy, że władzy nawet po tylu latach zależało, by ta tragedia pozostała zagadką.

Ale na szczęście pojawiło się też kilka odpowiedzi. Dowiedział się, że prokurator Borys Jakupow prawdopodobnie wcale nie zwariował, a ujawnione przez niego informacje – dotyczące obrażeń, jakich doznali gonczarowcy – mogą być prawdziwe. Dowiedział się, że istnieje grupa wpływowych osób, którym bardzo zależy na tym, aby utrzymać status quo. Dowiedział się też, że mieszkańcy tych poduralskich miasteczek wciąż żyją sprawą

przełęczą. A jeden z nich na tyle wnikliwie się jej przyglądał, że ktoś prawdopodobnie próbował go za to zabić.

Żenia spędził kilkanaście godzin na przeglądaniu dokumentów i roztrząsaniu sprawy turystów, ale nie doszedł do żadnej nowej konkluzji.

Trzeciego dnia po powrocie spotkał się z Uzi. Umówili się w kawiarni niedaleko jej speluniastego hotelu. Rozmowa się nie kleiła. Uzi była zimna, apatyczna, a przede wszystkim małowólna, przez co Żenia parokrotnie się upewniał, czy na pewno nic jej nie dolega. Kiedy za trzecim razem kazała mu się odpierdolić, zrozumiał, że problem leży gdzie indziej.

Po niespełna godzinnym spotkaniu Uzi wróciła pieszo do hotelu, a Żenia wsiadł do autobusu, który odstawił go pod dom. Nie popchnęli sprawy nawet o centymetr. Za to ich relacja cofnęła się o dobre kilka kilometrów.

Następne dni upłynęły im na pracy korespondencyjnej, okazjonalnych i niezbyt serdecznych rozmowach telefonicznych oraz bezowocnej dłubaniu w papierach. Od czasu do czasu musieli się tłumaczyć Janinowi, dlaczego nie robią postępów, ale nawet on przestał być upierdliwy. Krótko mówiąc, wszyscy zachowywali się tak, jakby się pogodzili z tym, że ze śledztwa nic nie będzie. Tyle że nikt nie miał odwagi otwarcie tego przyznać.

Szesnastego dnia po powrocie Żenia siedział w salonie, bardziej udając, że pracuje, niż rzeczywiście zgłębiając tajemnicę Przełęczą Gonczara. Skoro i tak nie mógł popchnąć roboty naprzód, zaczął się zastanawiać, czy nie zrobić sobie przerwy na rozciąganie albo jakieś podstawowe ćwiczenia, aby jego ciało nie odzwyczaiało się od wysiłku. I właśnie wtedy usłyszał pukanie do drzwi.

Tyle że nikogo nie zapraszał. I raczej nikt nie składał mu niezapowiedzianych wizyt.

Powoli podszedł do drzwi i wyjrzał przez wizjer. Na klatce nikogo nie było. Uznał, że się przesłyszał, i wrócił do salonu. Ale zanim ponownie przysiadł do papierów, na widok których chciało mu się rzygać, znów usłyszał ten dźwięk.

Pukanie.

Tym razem podszedł pod drzwi z pistoletem w dłoni. Ponownie wyjrzał przez wizjer. Przed wejściem wciąż nikogo nie było. Ale kilka metrów głębiej, w połowie schodów, stał jakiś mężczyzna. Spod mocno naciągniętej na uszy czapki, zza szalika i brody wylaniały się azjatyckie rysy, które Żenia momentalnie rozpoznał.

Fiodor Rodin.

Żenia nie miał pojęcia, czy to dobry pomysł, ale mimo wszystko otworzył drzwi.

– Dlaczego pukałeś na dwa razy? – zapytał.

– Chciałem się upewnić, czy jesteś sam – odparł Rodin, wchodząc do mieszkania.

– Przecież do drzwi zawsze podchodzi jedna osoba.

– Gdybyś był z kimś, powiedziałbyś tej osobie, że coś ci się zdawało. A ja mam dobry słuch.

Żenia przyjrzał się Rodinowi. Jeśli nie liczyć obszernej czapki i grubego szalika, które zapewne służyły za kamuflaż, ubrany był raczej zwyczajnie. Puchowa kurtka, dzinsy, solidnie znoszone buty i brudny plecak. Wyglądał jak typowy mieszkaniec jego bloku. Tyle że cuchnął niczym bezdomny.

– Moje mieszkanie jest pod obserwacją – powiedział Żenia, chowając broń do kabury.

– Wiem. – Rodin stał w przedpokoju, jakby nie chciał zrobić nic, na co nie dostał zgody od gospodarza. – Bandydzi Galiny czają się na parkingu. Nieco bliżej stoi samochód z dwoma napakowanymi facetami, do których dwa razy dziennie przychodzi jakiś gość w prochowcu. – Widząc uniesione brwi Żeni, wyjaśnił: – Obserwuję cię, odkąd wróciliście z Wiermukowa.

– W jaki sposób dostałeś się do klatki?

– Podpatrzyłem, jak twój sąsiad wpisuje kod na domofonie. Wszedłem, zanim zdążył wejść na górę i usłyszeć piknięcie.

– Sprytnie. Gdzie się tego nauczyłeś?

– Ukrywanie się weszło mi w nawyk. A kody do domofonów odczytuję, odkąd straciłem dach nad głową.

– Jesteś człowiekiem wielu talentów. – Żenia uśmiechnął się do Fiodora. – Nie powiem, żebyś czuł się jak u siebie, ale możesz się rozgościć. Napijesz się czegoś?

Rodin wydawał się zakłopotany jego gościnnością, ale w końcu pokiwał głową. Ściągnął plecak, kurtkę i buty. Następnie niepewnie zajrzał do kuchni. Dopiero gdy zobaczył, że wszystkie żaluzje są zasłonięte, odważył się przekroczyć próg.

– Mam propozycję. – Żenia wlał wodę do czajnika, nie spuszczając Rodina z oczu. – Najpierw się wykąpiesz i wrzucisz ciuchy do prania. Potem wypijesz herbatę i odsapniesz. A gdy już obaj dojdziemy do siebie i pogodzimy się z nową sytuacją, opowiesz, co cię sprowadza w moje skromne progi. – Wcisnął przełącznik w czajniku, po czym splótł ręce na piersi. – Przejrzałem dokumenty, które mi dałeś. Mam kilka pytań.

– Nie o tym chciałem rozmawiać – odparł Fiodor.

– A o czym?

– O mnie. – Rodin niepewnie uniósł wzrok. – Chciałbym ci opowiedzieć swoją historię.

Urok życia na wsi polega na tym, że wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Stąd też bierze się jego przekleństwo.

Właśnie dlatego Fiodor Rodin nie mógł mieć łatwego dzieciństwa. Wnuk dziwaka posądzanego o udział w tragedii na Przełęczu Gonczara. Syn człowieka, który pojawił się znikąd i z jakiegoś powodu postanowił kontynuować pracę ojca – zarówno jako leśniczy,

jak i autor niezrozumiałych figurek i obrazów. W dodatku narodzony z nieznannej matki. I to nie prawdziwej Rosjanki, tylko dziwki z któregoś z syberyjskich plemion, o czym jednoznacznie świadczyły jego azjatyckie rysy.

Wbrew temu, co mówiła o nim Galina, nie był pijakiem. Po prostu miał słabą głowę – zapewne po matce – i ognisty temperament, który z kolei zawdzięczał ojcu. Dlatego kiedy się upił, nabierał odwagi, aby przeciwstawić się wrogom. Tym, którzy wytykali go paluchami i wyzywali od wioskowego głupka, dzikusa albo wnuka mordercy.

Jego ojciec liczył na to, że Fiodor z wiekiem nauczy się z tym żyć. Przywyknie do wyzwisk. Nabierze dystansu do ludzkiej głupoty. Ale nic takiego się nie stało. Wręcz przeciwnie. Im Fiodor był starszy, tym ostrzej reagował na wyzwiska. Tym chętniej wdawał się w bójki. Tym częściej pił wyłącznie po to, żeby stawić czoło przeciwnikom.

To oni go zmotywowali do zainteresowania się sprawą gonczarowców. Fiodor chciał udowodnić, że jego dziadek nie miał nic wspólnego z tragedią. Że być może w ogóle by do niej nie doszło, gdyby durni turyści wzięli sobie do serca jego radę, zamiast pchać się zimą w góry bez odpowiedniego sprzętu i przygotowania.

Zaczął od przetrząśnięcia internetu i przejrzenia blogów poświęconych gonczarowcom. Przeczytał wszystkie raporty, jakie kiedykolwiek zostały upublicznione. Przystudiował kilkanaście książek na temat Przełęcz Gonczara. Zapoznał się z opiniami lekarzy, klimatologów, geologów, prokuratorów, milicjantów, wojskowych, dziennikarzy, a także autorów najbardziej dziwacznych teorii. Porozmawiał z wszystkimi ludźmi w Wiermukowie, Igrimie i Kiercowie, którzy mieli jakąkolwiek wiedzę na temat wydarzeń z tamtej zimy – i którzy mieli ochotę z nim rozmawiać. Zebrał łącznie kilkaset stron najróżniejszych notatek, zdjęć i teorii. Ale nie znalazł w nich odpowiedzi na pytanie, jak zginęli gonczarowcy.

Za to dowiedział się czegoś innego.

Że śledztwo zostało fatalnie poprowadzone, w pośpiechu i bez należytej staranności. Że oficjalne raporty były niekompletne, pełne błędów albo po prostu kłamliwe. I wreszcie – że ludzie, którzy od kilkudziesięciu lat zajmowali się tą sprawą, często niespodziewanie znikali z życia publicznego, jak gdyby ktoś knebłował im usta.

W końcu sam się przekonał, jak działa ten mechanizm. Choć nie przewidział, z której strony przyjdzie cios.

Galina Kuklina zawsze okazywała jego rodzinie nadspodziewane zainteresowanie. Długo myślał, że chodzi o te figurki i obrazy, które w połączeniu z zamiłowaniem do przyrody, typowym dla każdego pokolenia Rodinów, stały się czymś w rodzaju lokalnego wudu. O próby rozwiązania zagadki gonczarowców Galina pytała go jakby przy okazji. Ale w pewnym momencie Fiodor się zorientował, że jest śledzony. Zaskakująco często widywał rosnącego faceta, którego ani on, ani jego bliscy nie kojarzyli. Z czasem zrozumiał, że jedyną

osobą wystarczająco potężną i bezczelną, aby założyć ogon jednemu z mieszkańców Wiermukowa, jest właśnie Galina.

Wtedy zainteresował się tą kobietą i jej zawodowym otoczeniem. Nikołajem Proszkinem, który tylko udawał jej zażartego wroga. Szefami policji w Wiermukowie, Igrimie, Kiercowie i Niestierowie. Prawnikami, politykami oraz biznesmenami, z którymi Galina robiła interesy. Zauważył, że wielu z nich interesuje się przełęczą, choć pozornie nic ich nie łączy z tamtymi wydarzeniami. Wypowiadali się na temat tragedii w podobny sposób, odwołując się do zdrowego rozsądku i delikatnie krytykując władzę radziecką. A do tego sprawiali wrażenie gotowych bezwzględnie tępić wszystkich, którzy myślą inaczej niż oni.

Aby pozbyć się ogona, Fiodor oznajmił Galinie, że porzucił temat gonczarowców. Co poniekąd było prawdą. Bo zamiast zgłębiać historię, zaczął się babrać w terażniejszości. Zgromadził tonę materiałów na temat Galiny i otaczających ją ludzi. Zrobił im dziesiątki zdjęć, które dowodziły, że są ze sobą powiązani. Przygotował dwie obszerne teczki z notatkami – jedną w całości poświęconą Galinie, a drugą jej bliższym i dalszym współpracownikom.

Swoim odkryciem podzielił się z tylko jedną osobą – Jeleną Malewiczową. Kiedyś, zanim sprawa przełęczy pochłonęła go bez reszty, przez jakiś czas się spotykali. Fiodor myślał, że zawsze będą razem. Ale potem zafiksował się na punkcie gonczarowców. Zaczął żyć historią i teoriami spiskowymi. Stracił zainteresowanie Jeleną. A kiedy w końcu do niego dotarło, że to jedyna osoba, która może go zrozumieć, ona spotykała się już z innym. W dodatku była w ciąży.

Fiodor nie mógł dłużej samodzielnie dźwigać ciężaru swojej wiedzy, więc udał się do Rawila Kasatonowa, który prowadzi bloga na temat Przełęczy Gonczara. Znali się od sześciu lat. Rzadko się zgadzali, ale ich kłótnie zawsze były konstruktywne. Blogger, który parę miesięcy wcześniej z jakiegoś powodu uczepił się Wortów, choć przedtem optował za różnymi teoriami militarnymi, z zacięciem wysłuchał jego opowieści o Galinie. Fiodor pokazał mu zdjęcia i dowody. Namawiał go, aby opublikował tekst o grupie wpływowych osób, które żywo się interesują sprawą gonczarowców i przedstawiają zadziwiająco spójny punkt widzenia. Zbliżała się rocznica tragedii. Idealny moment, żeby rzucić bombę.

Ale wpis się nie pojawił. Zamiast tego niedługo później do chaty Fiodora zapukali dwaj mężczyźni. W jednym z nich rozpoznał faceta, który kilka miesięcy wcześniej go śledził. Drugiemu nie miał okazji dokładnie się przyjrzeć – za to dobrze poznał siłę jego ciosu. Pobili go, grożąc, że jeśli dalej zamierza robić Galinie koło pióra, kilka złamanych żeber będzie jego najmniejszym zmartwieniem.

Mimo to Rodin się nie poddał. Parę dni po pobiciu rozesłał wiadomości do kilkudziesięciu gazet i serwisów internetowych. Czekał na choćby jedną publikację. Na choćby jeden telefon w tej sprawie. Na jedną odpowiedź. Nic z tego. Doczekał się tylko

ponownych odwiedzin. Tym razem nie wpuścił oprawców do domu. Oni jednak poszli o krok dalej. Zaryglowali wejście do chaty, po czym oblali ją benzyną. Podpalili budynek i uciekli.

Fiodor wy dostał się z pułapki przez okno. Wsiadł do samochodu i w panice odjechał. Świadców zdarzenia widzieli, jak ucieka, zostawiając za sobą płonący dom, ale dziwnym trafem nikt nie odnotował wizyty dwóch mężczyzn, którzy próbowali spalić Fiodora żywcem.

Po kilku miesiącach tułania się po kraju osiadł w końcu w górach – pośród Wortów. Nie byli zachwyceni tym, że jakiś młody Rosjanin chce do nich dołączyć. Ale kiedy poznali jego historię, zlitowali się nad nim. Zwłaszcza że kilku Wortów pamiętało jego dziadka, który zawsze był wobec nich fair. Fiodor poznawał ich zwyczaje, uczył się gór, nasiąkał nową normalnością. Wiódł nieskomplikowane życie, które nawet mogłoby dać mu szczęście, gdyby nie musiał się ukrywać przed Galiną i jej ludźmi.

Wortowie starali się monitorować, co w Wiermukowie mówi się o przełęczy. Kiedy przyjeżdżali do wioski po zaopatrzenie, spotykali się z Jeleną, która miała dojścia do człowieka z kręgu Kukliny. W ten sposób dowiedziała się, że wkrótce do Wiermukowa przyjedzie młoda prawniczka ze stolicy z jakimś detektywem z Niestierowa, byłym milicjantem i weteranem wojennym. Przekazała tę wiadomość Wortom. Oni zaś poinformowali Rodina, któremu nietypowa para śledczych wydała się szczególnie interesująca.

Plan Galiny nie miał dziur. Prawdopodobnie każdy, kto miałby jej możliwości, postąpiłby podobnie. Kuklina nie przewidziała tylko jednego: że Fiodor Rodin może być na tyle zdeterminowany albo głupi, aby po tym wszystkim wrócić na stare śmieci.

Słuchając opowieści Rodina, Żenia wypalił cztery papierosy, opróżnił kolejny kubek kawy i poczuł, że jest mu niedobrze – chociaż nie potrafił stwierdzić, czy to przez zaserwowaną dietę, czy w wyniku ciężaru historii, jaką usłyszał. Wyłaniał się z niej obraz strauatyzowanego, poobijanego przez życie faceta, pod wieloma względami przypominającego zagubionego nastolatka, który brutalnie zderzył się z dorosłością.

– Mnóstwo ludzi interesuje się przełęczą – odezwał się Żenia, przerywając kilkuminutową ciszę. – Dlaczego otworzyłeś się akurat przede mną?

– Podobno Galina bardzo nerwowo zareagowała na wieść, że wasza dwójka będzie zgłębiać temat – odparł Rodin. – Nie sądzę, żeby twoja koleżanka z prokuratury zrobiła na niej takie wrażenie.

– Mylisz się. Szefem Uzi jest niezwykle wpływowy człowiek, zastępca prokuratora generalnego.

– Moim zdaniem bardziej zaniepokoił ją detektyw z militarną przeszłością, który ma opinię przeciwnika ustroju.

– Skąd...

– Jeśli nawet do mnie dotarły takie informacje, Galina musi wiedzieć o tobie znacznie więcej.

– Kiedy się o nas dowiedziałeś?

– Niedługo przed waszym przyjazdem. Spodziewałem się, że najpierw pojedziecie do Kiercowa, więc przez kilka dni jeździłem po różnych noclegowniach, szukając samochodu na niestierowskich blachach. Nawet nie wiesz, jak się ucieszyłem, gdy was znalazłem.

Żenia przeanalizował chronologię wydarzeń. Kiedy ich porwano, początkowo nie podejrzewał o to Galiny, bo przecież odeszła się do niej dopiero w dniu przyjazdu do Wiermukowa. Potem mimo pewnych wątpliwości uwierzył, że gangsterzy dostali cynk od jednej z osób, do których podczas podróży nieroztropnie pisała Uzi. Mieli kilka godzin zapasu, więc mogli przygotować akcję. Rodin pierwszy mu uzmysłowił, że Galina musiała wiedzieć o nich znacznie wcześniej. Może nawet zanim on usłyszał, że ma się zająć tą sprawą...

– W przeszłości różni ludzie przyjeżdżali, żeby rozwiązać tę zagadkę – kontynuował Fiodor. – Z Niestierowa, z Moskwy, związani z rządem, milicją albo jakąś gazetą. Wasze poszukiwania różnią się tym, że choć stoi za nimi polityk, mają mocno nieoficjalny charakter. A ty stanowisz w nich najmniej formalny element. Jesteś jak Dennis Rodman.

Żenia wysoko uniósł brwi.

– Koszykarz Byków?

– Ekscentryk, bez którego Jordan nie zdobyłby trzech pierścieni.

Żenia nie do końca rozumiał tę analogię, ale bardzo mu się spodobała. Dennis Rodman. Skaczący w trybuny, walczący z większymi od siebie, nieodpuszczający. Gość, który romansował z Madonną, ożenił się z Carmen Electrą i zagrał w filmie z Jeanem-Claude'em Van Damme'em.

– Poznałeś swoją matkę? – spytał, zmieniając temat.

Rodin potrząsnął głową.

– Zmarła przy porodzie.

– Była Wortyjką?

– Ojciec powiedział tylko, że pochodziła z Uralu. Ale musiała być jakoś spokrewniona z Wortami, bo inaczej nie zostałbym przez niech tak ciepło przyjęty. Nie narażaliby się dla pierwszego lepszego Ruska ze skośnymi oczami. No i przypuszczam, że właśnie dlatego ojciec ukrywał przede mną jej pochodzenie. Wielu ludzi w Wiermukowie uważa, że to Wortowie zabili turystów.

– A jesteś pewien, że to nie oni?

– Gdyby rzeczywiście to zrobili, władza nie dałaby im spokoju. Wojsko zrównałoby ich osady z ziemią. Mężczyźni skończyliby w obozach albo w glebie, a kobiety stałyby się

kurwami. Zresztą kilku Wortów i tak przeszło piekło sowieckich przesłuchań. Pewnie niewiele brakowało, aby się przyznali do czegoś, z czym nie mieli nic wspólnego.

– Śledztwo prawdopodobnie zostało wszczęte znacznie wcześniej, niż sugerują raporty. Wortowie mogli coś wiedzieć.

– Z pewnością widzieli. Trupy. Zwłoki młodych ludzi, których być może wcześniej spotkali na trasie. Zeszli z gór, poinformowali mojego dziadka, z którym zawsze dobrze się dogadywali, a on rozpuścił wici w Wiermukowie. Poszukiwania ruszyły, jeszcze zanim rodzice studentów zaczęli się niepokoić.

– Wiesz czy zgadujesz?

Rodin się zawahał.

– Domniemywam. W tej sprawie nic nie jest stuprocentowo pewne. – Skinął głową w stronę leżących na stole papierów, które kilka dni wcześniej potajemnie przekazał Żeni. – W moich zapiskach nie ma prostych odpowiedzi. Wykluczyłem kilkadziesiąt teorii przeczących logice albo niemających poparcia w dowodach, które można uznać za niepodważalne. Ale w dalszym ciągu nie wiem, co się stało gonczarowcom. I właśnie to jest moim przekleństwem.

Widząc, jak zapada się w sobie, Żenia przyznał mu w myślach rację. Notatki Fiodora rzeczywiście były sporządzone bardzo racjonalnie – zarówno te dotyczące przełęcz, jak i te, które poświęcił ludziom z otoczenia Galiny. Jego słowa także brzmiały logicznie, a nie jak brednie świra, który z nieznanego powodu podpalił swój dom. Żenia mu wierzył. Wierzył, że Rodin nadepnął na odcisk ludziom próbującym bronić historycznego chaosu. Wierzył, że ten trzydziestoparolatek nie wyzbył się dziecięcej naiwności, która omal nie doprowadziła go do śmierci. Wierzył w jego dobroć i naprawdę chciał mu pomóc, tylko w tym momencie jeszcze nie wiedział jak.

– W Kiercowie zostawiłeś dla mnie wiadomość, karteczkę w kiblu – przypomniał Żenia. – Napisałeś, że znajdziesz mnie w Wiermukowie. I że nie powinienem ufać Uzi.

– Ona może być z nimi.

– Z Galiną?

– Z władzą. Pracuje w moskiewskiej prokuraturze. Wszystko, co od niej usłyszałeś, mogło być kłamstwem.

– Nie mam wątpliwości, że Uzi uważnie mi się przygląda i darzy mnie raczej umiarkowanym zaufaniem. Wiem, że grzebała w moich rzeczach. Ale przypuszczam, że to tylko prewencja. Że podobnie jak ja nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, więc na wszelki wypadek woli nikomu nie wierzyć. – Wolno potrząsnął głową. – Ona nie gra w ich drużynie. Kiedy wracaliśmy z Wiermukowa, ludzie Kukliny próbowali nas zabić.

– Może tylko chcieli was nastraszyć?

– Tym zajęli się jeszcze w osadzie.

- No to może doszli do wniosku, że Uzi jednak nie jest tak istotna dla sprawy.
 - Albo Galina spanikowała. Przestraszyła się tego, co mogłeś nam dać na jej temat.
- Fiodor spojrział Żeni głęboko w oczy.

– Nie powiem ci, co mam na Galinę.

– Wcale nie chcę tego wiedzieć. To mnie nie przybliży do rozwiązania zagadki gonczarowców. Za to mogłoby mnie przybliżyć do grobu.

Żenia zapalił kolejnego papierosa, wstał i przemaszerował do pokoju. Podszedł do okna i nieznacznie rozchylił żaluzje. Wyrzwał na tonące w śnieżnej brei betonowe osiedle. Jakże inne od miejsc, w których przez ostatnie dwa lata ukrywał się Rodin.

– Gdybym miał wybrać jedną teorię, powiedziałbym, że gonczarowcy zginęli w sposób naturalny, a całe zamieszanie wzięło się z próby ukrycia rażącej nieudolności śledczych albo wadliwości radzieckiego systemu turystycznego. Dopuszczasz do siebie taką myśl? – Odwrócił się do Fiodora. – Że turystów zabił huragan, infradźwięki albo jakieś inne dziwne zjawisko pogodowe?

– Nie licząc tragicznej kłótni wewnątrz grupy, to według mnie najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie. Wiemy, jakich doznali obrażeń, a one nie sugerują wojskowej interwencji, wybuchu bomby ani ataku menka.

Żenia pokiwał głową.

– Tam na górze rzeczywiście jest tak ciężko?

– Nie mam pojęcia.

– Jak to?

– Nigdy nie odważyłem się wejść na przełęcz. To chyba jedyne miejsce w okolicy, którego nie znam. Latem pewnie jest pod obserwacją, a zimą bywa tam niebezpiecznie. Woląłem nie kusić losu.

Żenia zgasił papierosa, po czym posłał Fiodorowi nikły uśmiech.

– Może czas to zmienić?

Zamiast odpowiedzieć na proste pytanie, Jegor Kosariw zamilkł, a w słuchawce rozległo się wycie przejeżdżającej obok karetki.

– Przepraszam, wracam z centrum – wyjaśnił, kiedy rwetes ustał. – Może pan powtórzyć?

– Pytałem, czy w dalszym ciągu planuje pan wyjazd na Przełęcz Gonczara – powiedział Żenia.

– Czy planuję? – Kosariw zaśmiał się pod nosem. – Już nie. Teraz jestem w fazie realizacji. Mam przygotowany harmonogram podróży. Krok po kroku, godzina po godzinie. Jutro wyjeżdżam.

– Nie boi się pan jechać sam?

– Na pewno nie do tego stopnia, żeby zrezygnować z wyprawy. A co, chcieliby państwo jednak dotrzymać mi towarzystwa?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, na jak duże modyfikacje planu jest pan gotowy.

Kosariew ciężko sapnął do słuchawki.

– Nie widzę problemu, żeby pojechał pan ze mną. Pani Anna jest młoda i wygląda na wysportowaną, więc też powinna sobie poradzić.

– Miałem na myśli znacznie poważniejsze modyfikacje. Może zechciałby pan się spotkać i o tym pogadać?

Kosariew długo milczał. Zapewne szukał pretekstu, żeby odrzucić propozycję Żeni. Ale najwyraźniej żadnego nie znalazł.

– Zgoda. Zapraszam do siebie. Wie pan, gdzie mieszkam.

– Wolałbym, żebyśmy się umówili na neutralnym terenie. – Żenia zapalił papierosa i popatrzył na przysłuchującego się rozmowie Rodina. – Ma pan w zasięgu wzroku jakąś knajpę?

Uzi długo wzbraniała się przed spotkaniem. Zapewne obawiała się, że Żenia będzie usiłował ją przeprosić i przywrócić ich relację do poprzedniego stanu. I poniekąd taki miał plan. Tyle że jego agenda była znacznie bardziej rozbudowana.

Umówili się w popularnej kawiarni w centrum Niestierowa. Był ciepły zimowy wieczór, mnóstwo ludzi. Musieli poczekać kilka minut, żeby zwolnił się stół. Żenia zaproponował, aby napili się wódki, ale Uzi wolała zostać przy kawie. Chciała być całkowicie trzeźwa. Wtedy, wbrew pozorom, znacznie łatwiej przychodziło jej przekazywanie złych wiadomości.

– Wracam do Moskwy – oznajmiła, nerwowo poruszając się na krześle. – Będę z Fiodorowem szczerą. Powiem, że w sprawie samej przełęczą nie ustaliliśmy nic przełomowego, a w dodatku podpadliśmy lokalnym baronom. Trudno. Najwyżej wypierdoli mnie z roboty.

– Janin wie o twoich planach? – spytał Żenia, który w przeciwieństwie do Uzi wydawał się wyluzowany i... podekscytowany. Jakby ostatnie dni wcale nie były dla niego gehenną.

– Wie, że to rozważam. Od czasu feralnego powrotu z Wiermukowa, kiedy musiałam zabawić go rozmową przez kilka długich godzin, zaskakująco dobrze się dogadujemy. Janin jest wręcz podejrzanie empatyczny. Dzwoni do mnie kilka razy dziennie. Pyta, czy niczego nie potrzebuję i czy wszystko jest w porządku. Gdy powiedziałam mu o swoich wątpliwościach i o możliwym powrocie do Moskwy, okazał się zaskakująco wyrozumiały. Może też ma tego wszystkiego dość.

– To dobrze.

Uzi podejrzliwie popatrzyła na Żenię, który pociągnął kilka małych łyków gorącej kawy. Jeszcze nie widziała go w tak entuzjastycznym wydaniu. Jakby nałykał się psychotropów.

– Dlaczego dobrze?

– Bo dzięki temu będziesz mogła się go pozbyć. – Posłał jej zagadkowy uśmiech. – Zakładam, że Janin będzie chciał dopilnować twojego powrotu. Skoro stał się taki troskliwy, pewnie poleci razem z tobą. Może nawet wykupi sąsiednie miejsce. Musisz więc wybrać wieczorny lot, żeby nie przyszło mu do głowy, by zaraz po wylądowaniu zabrać cię do Fiodorowa.

– Hola, hola! – Uzi uniosła dłoń. – O czym ty mówisz?

– Pozwól mi dokończyć. – Żenia nagle spoważniał. Pochylił się w jej stronę. – Będzie już późno, gdy wylądujecie. Janin pewnie lubi mieć nad wszystkim kontrolę. Zamówi dla was taksówkę i proponuje, że nazajutrz po ciebie wpadnie i razem pojedziecie do prokuratury. Niechętnie się zgodzisz – na to i na każde inne jego dziwactwo. A przynajmniej prawie każde. Ale gdy tylko się rozstaniecie, wrócisz na lotnisko i wskoczysz do następnego samolotu. Jest jeden późnowieczorny lot do Niestierowa. Już to sprawdziłem. Powinnaś się wyrobić.

– Ale po co? – zdziwiła się Uzi.

– Wysłuchaj mnie, proszę, do końca. – Żenia zrobił przerwę, aby napić się kawy. – Wrócisz do Niestierowa już bez Janina. Dopiero rano zorientuje się, że coś jest nie tak, więc zyskamy nad nim kilka godzin przewagi. Będziemy mogli przemieścić się w dowolne miejsce i na dobre zniknąć z jego radaru.

– Nie wiem, co kombinujesz, ale pamiętaj, że Janin obserwuje również ciebie. Z całą pewnością ci nie ufa. Jego ludzie dalej będą cię śledzić.

– Poradzę sobie z nimi. Z przydupasami Galiny również. Wymyśliłem już, jak to zrobić.

Żenia, wyraźnie z siebie zadowolony, opadł na oparcie krzesła. Uzi wciąż nie miała pojęcia, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

– Powiedzmy, że rozumiem twoją chęć wystrychnięcia Janina na dudka. Nie dziwię się też, że zamierzasz pozbyć się ludzi, którzy chcieli nas skrzywdzić. Ale po co to wszystko? Przecież praktycznie porzuciliśmy pracę nad śledztwem.

– Nie porzuciliśmy, tylko zawiesiliśmy.

– Jeden pies. Utknęliśmy. Wylądowaliśmy w czarnej dupie i nie wiemy, jak się z niej wygrzebać. Prawdopodobnie przeszliśmy tę samą ścieżkę, którą wcześniej przerobiło kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset innych osób. Z tą różnicą, że jeszcze nadepnęliśmy na odcisk jakimś skurwysynom, którzy tylko utwierdzili nas w przekonaniu, że ta sprawa jest nierozwiązalna. A przynajmniej nie za cenę, jaką każdy zdrowy na umyśle człowiek

gotów byłby zapłacić. – Widząc, że Żenia się z niej śmieje, Uzi przerwała tyradę. – Czego rżysz?

– Zawsze mnie śmiesz, gdy się tak nakręcasz. Kto wymyślił twój pseudonim?

Przez moment się zastanawiała, czy nie oblać go kawą. I chyba tylko fakt, że jako przyszła bezrobotna powinna liczyć się z pieniędzmi, powstrzymał ją przed realizacją tego pomysłu.

– Na pewno nie twój mąż, co? – Żenia wziął kilka kolejnych mikrołyków. – Ani twój syn.

– Czego, kurwa, chcesz? – warknęła.

Żenia wyjął telefon. Położył go na stole i włączył nagrany z ukrycia filmik. Uzi zobaczyła na nim, jak Fiodor Rodin pałaszuje pizzę. W zwierzęcy, desperacki sposób. Typowy dla kogoś, kto od dawna nie miał nic w ustach.

– Znalazłem przewodnika – powiedział Żenia. – A nawet dwóch, bo Kosariew gotów jest do nas dołączyć. Gdy tylko pozbędziemy się balastu, możemy wyruszać.

– Dokąd?

– W góry. – Żenia po raz kolejny się uśmiechnął. – Najwyższa pora dotrzeć do źródła i poznać prawdę.

15.

28 STYCZNIA 1959

WIKTOR

Najpierw zobaczyli cienką smużkę dymu, który zdawał się wydobywać z leniwie dogasającego ogniska. A gdy wdrapali się nieco wyżej, usłyszeli głos. Męski. Szorstki. Zdeformowany. Odbijający się w przetrzebionym paśmie drzew, które oddzielało ich od nieznajomych.

Wiktor wysunął się na czoło grupy i skierował w stronę obozowiska. Po jakiejś minucie wyszedł na przestronną polanę. Zobaczył skromny, najwyżej trzyosobowy namiot, który ktoś niezbyt starannie rozbił na nartach. Wydawał się nowy: niepodziurawiony, niepozszywany, nieubłocony. Przed nim rzeczywiście dogasało ognisko, a obok suszyły się buty. Trzy pary. One także sprawiały wrażenie nowych.

Chropowaty męski głos dobiegał z wnętrza namiotu, ale turyści najpierw ujrzeni mężczyznę, który wyszedł z lasu. Szczupły, potargany, z twarzą obrośniętą niechlujnym zarostem, typowym dla kogoś, kto od dłuższego czasu przebywa w podróży. Gdy go zobaczyli, majstrował przy spodniach. Najpewniej właśnie się wysikał.

– Mamy gości! – zawołał.

Chwilę później szorstki głos umilkł, a z namiotu wyłonili się dwaj faceci. Wyglądali na swoje doskonałe przeciwieństwa. Jeden był wysoki, chudy i mógł nawet uchodzić za przystojnego. Zwłaszcza na tle kolegi – korpulentnego, z dziwnym uśmiechem. Kiedy kurdupel się odezwał, okazało się, że to jego nieprzyjemny głos słyszeli.

– Studenci? – spytał.

– Z Politechniki Niestierowskiej. Przynajmniej większość z nas. – Wiktor zerknął ukradkiem na Miszę, który był tak zaabsorbowany nieznajomymi, że w ogóle nie zwrócił uwagi na jego słowa. – Wyruszyliśmy z Wiermukowa. Niedawno weszliśmy na szlak.

– To dobrze. Jeszcze możecie zawrócić. – Najniższy z mężczyzn puścił do nich oko i podszedł do Wiktora. – Andriej – przedstawił się, po czym zerknął na kumpli. – Ten wyższy to Dmitrij, a ten głupszy to Stanisław.

Wiktor od razu zauważył, że nie jest to, delikatnie mówiąc, najprzyjemniejszy tercet. Mieli otepiałe spojrzenia i spuchnięte twarze. Śmierdzieli strawioną wódką, papierosami

i potem. A wokół ich rozpalonego na odpieprz się ogniska wałały się śmieci, butelki i brudne ciuchy. Nieznajomi nie wyglądali na turystów. Raczej na gości, którzy uciekli z kryminału. Tylko ten nowiusieńki sprzęt zupełnie do nich nie pasował...

– Sporo was – zauważył Andriej, omiatając wzrokiem grupę.

– Dziewięcioro. Był z nami jeszcze jeden kolega, ale musiał się wycofać.

– Dokąd zmierzacie?

– Na Szelichamat. Staramy się o trzeci stopień certyfikacji turystycznej. A wy?

Andriej obmacał kieszenie w spodniach. W końcu wyjął wymiętą paczkę papierosów.

– My robimy to, na co mamy ochotę. – Włożył szluga do ust. Zapalił. Ani na moment nie spuszczał Wiktora z oczu. – Nie przepadamy za planowaniem. Po prostu snujemy się po górach i szukamy przygód.

– Myślałem, że kluby sportowe i komisje turystyczne wydają pozwolenia tylko na konkretne trasy.

– Bo tak jest. Chyba że wiesz, jak to załatwić inaczej.

W koślawym uśmiechu Andrieja było coś, co Wiktorowi wyjątkowo się nie podobało. Jakaś niezbyt dobrze zakamuflowana złośliwość. Irytująca pewność siebie. Poczucie wyższości. Jakby Andriej czuł się od niego lepszy. Jakby on i jego koledzy znajdowali się w zupełnie innym miejscu łańcucha pokarmowego. Jakby zapomniał o fundamentach, na jakich zbudowano kraj, który wykarmił takich jak on.

Wiktor zastanawiał się, ile mogą mieć lat. Dwadzieścia pięć? Trzydzieści? Więcej? Wydawali się starsi od nich, ale też młodszy od Miszy. Choć przez napuchnięte gęby trudno to było jednoznacznie stwierdzić.

– Czym się zajmujecie na co dzień? – spytał Leon.

– Pracujemy – odparł Andriej, najwyraźniej nie zamierzając wdawać się w szczegóły.

– Jesteście z Niestierowa? – dopytywała się Klara.

– Tylko mieszczuch mógłby wpaść na pomysł, żeby przyjechać zimą w góry.

Klara nie mogła znieść świdrującego wzroku Andrieja, więc skupiła się na jego wysokim koledze. Dmitrij ledwo się trzymał w pionie. Nie wyglądał na faceta, który miałby zapamiętać szczegóły tego nieoczekiwanego spotkania.

Andriej wyrzucił peta do ogniska i zajął się namiotem. Po chwili wrócił z napoczętą butelką.

– Napijcie się? – zapytał.

– Nie pijemy. – Wiktor odsunął się, kiedy Andriej, nie czekając na odpowiedź, próbował wetknąć mu butelkę do ręki. – Takie mamy postanowienie.

– Postanowienie? Noworoczne?

– Nie. Po prostu chcemy się skupić na wyprawie.

– Słyszeliście? – Andriej odwrócił się do kompanów. – Trafiły nam się cnotliwe pizdy.

Dmitrij ledwo kontaktował, ale to akurat zrozumiał i nieprzyjemnie zarechotał.

– Mamy jeszcze kawałek do przejścia, więc będziemy się zbierać – powiedział Wiktor, spoglądając na mocno zmieszanych kolegów. – Musimy znaleźć miejsce na obóz, zanim nastanie mrok.

– Możecie się rozbić tutaj. Każę moim gamoniom przestawić namiot. – Andriej przeniósł wzrok z Wiktora na Klarę. – Razem będzie weselej.

– Komisja mogłaby nie zaliczyć nam wyprawy.

Wiktor spodziewał się złośliwego kontrargumentu ze strony Andrieja, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Nie namawiam. Wasza wycieczka, wasz cyrk. Tylko uważajcie na dzikusów. Wbrew temu, co się o nich mówi, nienawidzą białych.

Andriej wycofał się w stronę namiotu i zapalił kolejnego szluga. Odpuścił młodemu, ale jednocześnie nadal uważnie ich taksował, kiedy mozolnie posuwali się w górę. Jakby oceniał potencjał bitewny całej grupy.

– Ładny namiot – powiedział Misza, zatrzymując się obok kurdupla. – Jeszcze takiego nie widziałem.

– To prezent za dobre sprawowanie.

– Od partii?

– Od Dziadka Mroza. – Andriej ponownie wciągnął na gębę swój wnerwiający uśmiešek.
– Chcesz zajrzeć do środka?

– Może następnym razem.

Andriej uniósł butelkę na wysokość głowy.

– I za to się chętnie napiję. Twoje zdrowie.

Wiktor pierwszy wdrapał się na niewielkie wzgórze. Wbił kijki w śnieg i z odległości kilkunastu metrów obserwował, jak Misza z Andriejem ucinają sobie pogawędkę. Nie wiedział, czy chodzi o ich wygląd, gestykulację czy sposób bycia, ale z jakiegoś powodu wydali mu się podobni. Jak dwie osoby związane identycznymi doświadczeniami, traumami, systemami wartości. Jak bracia rozdzieleni zaraz po porodzie. Jak dwaj mężczyźni, którzy bardzo mocno pragnęli o czymś zapomnieć.

DINAR

Wiktor musiał być niezłe speszony spotkaniem z nieznanymi, ponieważ narzucił ostre tempo pod górę. Dopiero po czterdziestu pięciu minutach mozolnego przebijania się przez śnieg zarządził postój – w momencie, w którym cała ekipa miała już serdecznie dość

wędrówki. Wszyscy byli wyczerpani i przemoczeni do cna, robiło się ciemno, sypiący śnieg nie nastrajał optymizmem, a czekało ich jeszcze kilka godzin roboty przy rozbijaniu obozu.

Nawet Dinar był zrezygnowany, mimo że uchodził za najsilniejszego uczestnika wyprawy. Miało to swoje dobre i złe strony. Wiedział, że jego tężyzna fizyczna robi wrażenie. Był całkiem byстрыm i nieźle ustawionym chłopakiem z dobrego domu, ale to siła miała stanowić jego główną kartę przetargową w relacjach z dziesiątkami blondwłosych radzieckich piękności, które dopiero zamierzał poznać. Jednocześnie jako największy osilek w grupie zawsze taszczył najcięższe toboły i wykonywał najbardziej niewdzięczną pracę. A gdyby przyszło im się z kimś bić, to on musiałby stanąć w obronie pozostałych.

Rozstawienie wieloosobowego namiotu, który był pozszywany z kilku mniejszych, okazało się niemałym wyzwaniem. Trzeba było znaleźć fragment w miarę równego terenu, powbijać narty w przymarznątą ziemię i naciągnąć brezent. W środku należało zamontować żeliwny piecyk, który Wiktor skonstruował wspólnie z ojcem, wypakować plecaki i wyścielić nimi podłogę – nie mieli folii, która stanowiłaby idealną izolację, więc musieli sobie jakoś radzić. Potem pozostało jeszcze rozpalić ognisko, odgrzać kolację, wysuszyć ciuchy, uruchomić piecyk i przygotować miejsca noclegowe. Masa roboty, by pójść spać bez lęku, że obudzą się z odmrożonymi palcami.

Dlatego po wypakowaniu najcięższego plecaka, rozstawieniu piecyka i porąbaniu siekierką pierwszej porcji drewna na opał Dinar przysiadł na skraju polany, aby odsapnąć. Uważał, że ma do tego prawo. Ale szybko został wyprowadzony z błędu.

– Rusz dupę, bo zamarzniemy.

Wiktor przemknął obok. Zatrzymał się przed pniem, na którym Dinar łamał i rąbał gałęzie. Przykucnął i zaczął pakować drewno do porozciąganego swetra, który służył mu za worek. Pracował jak nakręcony.

– Mówiłem, żebyś...

– Słyszałem – warknął Dinar. – O co ci, kurwa, chodzi?

Wiktor wyprostował się i popatrzył na niego z góry.

– Jest cholernie późno, a my dopiero rozpalamy ognisko. Jeśli się nie pospieszymy, pójdziemy spać grubo po północy. Jutro będziemy zdechlakami.

Dinar potrząsnął głową.

– Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się, jakbyś był nieustannie na coś wkurwiony. Nie poznaję cię. – Spodziewał się jakiejś riposty, ale Wiktor go zignorował. Załadował do swojego prowizorycznego nosidła kilka następnych kawałków drewna i ruszył w stronę namiotu. – Poczekaj. – Dinar chwycił go za rękę. – To przez Klarę?

– Niby co?

– Wszyscy wiedzą, że się spotykacie, a zachowujecie się tak, jakbyście się ledwo znali.

– Nie jesteśmy razem.

– Jasne. A Aleksiej chodzi struty wyłącznie dlatego, że to nie on jest kierownikiem wyprawy. Daj spokój.

Wiktor westchnął ciężko. Nie odkładając drewna, usiadł obok Dinara.

– Postanowiliśmy, że nie będziemy się z tym teraz afiszować. Między innymi dlatego, że jest z nami Aleksiej.

– Ale to wygląda tak, jakbyście się pokłócili. Prawie z nią nie rozmawiasz. A na innych powarkujesz i każdego opierdalasz.

Wiktor posłał mu wrogie spojrzenie, ale nie zaprotestował. Najwyraźniej nie chciał podpaść facetowi, który mógłby go złamać wpół. Kolejny plus bycia silnym, pomyślał Dinar.

– Kiepsko odnajduję się w tej sytuacji – przyznał Wiktor. – Wołałbym się skupić na prowadzeniu ekspedycji, a nie na niańczeniu jej uczestników i pilnowaniu, żeby się wszyscy dogadywali.

– Ale od tego zależy, czy wyprawa będzie udana. W końcu robimy to dla przyjemności.

– Przyjemność pojawia się wtedy, kiedy udaje się osiągnąć cel. A żeby tego dokonać, trzeba być zdyscyplinowanym i skupionym. Nie mam czasu ani ochoty zajmować się jakimś emocjonalnym gównem.

– A Misza? Koleś wydaje się w porządku, ale ty za nim ewidentnie nie przepadasz.

– Po prostu go nie znam.

– Sam zaproponowałeś, żeby do nas dołączył.

– Myślałem, że się przyda. Ale on, zamiast wykorzystać swoje doświadczenie, ciągle coś głądzi o Uralu, Wortach i jakichś niestworzonych rzeczach, które rzekomo dzieją się w tych górach.

– A nie wkurza cię to, że już był w twoich butach? Że ma na koncie wiele wypraw w roli kierownika?

Wiktor potrząsnął głową.

– Ma w sobie coś, co sprawia, że nie potrafię mu zaufać. Ale nie wiem jeszcze, o co chodzi. – Wiktor zapatrzył się w jakiś punkt przed sobą. Po paru sekundach wstał. – Weź się za to drewno. Potrzebujemy dwa razy tyle. A jak skończysz, pomożesz mi przy ognisku.

Może i Dinar był duży i silny. Może na niektórych robiło to wrażenie i w pewnych sytuacjach mu pomagało. Ale nie miał cech przywódczych. Nie czuł się na siłach, aby poprowadzić grupę przez góry w środku zimy. Dlatego choć Wiktor irytował go swoją wyniosłością i pewnością siebie, to koniec końców Dinar musiał słuchać jego poleceń.

Poderwał się z miejsca i wrócił do rąbania drewna.

Zbliżała się północ, kiedy dziewczyny skończyły oporządzać namiot i zabrały się do przygotowywania kolacji. Skompletowanie wszystkich sprzętów niezbędnych do takiej wyprawy graniczyło z cudem, a od Wiktora i spółki wymagało sporego talentu dyplomatycznego, ale z jedzeniem nie było większych problemów. Taszczyli ze sobą grubo ponad sto kilogramów żarcia, którego powinno im starczyć, nawet jeśli będą musieli spędzić w górach kilka nadprogramowych dni. Kasze, makarony, krakersy, konserwy, kiełbasa. Kawa, herbata, kakao, mleko. Mieli nawet dodatkowy zapas chleba, który otrzymali od drwali. Do wyboru, do koloru.

Daniela nie miała żadnych oporów, aby przy kolacji wytoczyć najcięższe działa. Nawet jeśli Wiktor miałby ją za to ochrzanić, to co z tego? Gdyby inaczej rozplanował wędrowkę, nie musieliby spędzać pierwszego namiotowego noclegu styrani, źli i pełni wątpliwości, czy cała ta tułaczka ma sens. Nie chciała, żeby oprócz tego byli jeszcze głodni.

Temperatura dochodziła do minus dwudziestu stopni, więc Daniela usiadła tak blisko ogniska, jak tylko się dało. Niedługo później dołączyła do niej Klara. We dwie powinny w ciągu kilkunastu minut rozgrzać jedzenie i napoje do temperatury pokojowej. Nikt nie liczył na wykwintną kolację, więc zadanie wydawało się proste.

– Ty i Ilja... – zaczęła Klara, ale zaraz potem przerwała, jakby się zreflektowała, że to jednak kiepski sposób na zagajenie rozmowy.

– Co?

– Widziałam, jak się zegnaliście. Wydawało się to dość... intymne.

– Kumplujemy się. Ilja jest dla mnie jak brat. Nieznacznie starszy, ale nierozgarnięty, a przez to wymagający odpowiedniej troski.

Klara posłała jej ciepły uśmiech.

– Przykro mi, że musiał się wycofać. Z nim na pewno byłoby weselej.

– Mnie też. Choć może to i lepiej.

Bo twój nowy chłopak zachowuje się jak nazista, pomyślała Daniela. Musiała się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć tego na głos.

– Pamiętasz tę noc u drwali? – spytała Daniela, wpatrując się w płomienie.

– Bardziej, niżbym chciała. Chłopcy wydawali się zachwyceni, ale ja ciągle musiałam odganiać się od Małpy. – Klara zachichotała pod nosem, jakby nachalna adoracja wcale nie była dla niej problemem. – Dlaczego pytasz?

– Ciężko mi się wtedy spało. Ktoś ciągle łąził wte i wewte. I wydaje mi się, że to nie był nikt od nas. Martwię się, czy nic nam nie zginęło.

– Mówiłaś o tym Wiktorowi?

– Nie. I wołałabym o tym nie wspominać. Ostatnio jest dość nerwowo.

– Rzeczywiście. Nie zachowuje się jak Wiktor, którego znam. – Klara zapatrzyła się w żar. Myślała. – Tamtej nocy też nie mogłam zasnąć. Bałam się, że Małpa złoży mi

niezapowiedzianą wizytę. Poza tym byłam najtrzeźwiejszą osobą w naszym gronie, więc wolałam trzymać rękę na pulsie. Oprócz naszych chłopaków chyba nikt się nie kręcił po budynku. Ostatnim obcym, jakiego widziałam, był Małpa. Ale on zniknął zaraz po tym, jak pomógł ci dotrzeć do izby. – Szturchnęła Danielę w ramię, uśmiechnęła się. – Małpa raczej niczego by nam nie ukradł. Nie jestem jego fanką, ale wydawał się najbardziej cywilizowanym gościem z całej zgrai.

Przez kilka kolejnych minut Klara opowiadała o tym, jak przywódca drwali się do niej przystawiał. Uwielbiała być w centrum uwagi i podkreślać swoją popularność, ale raczej nie mówiła o tym dlatego, żeby się pochwalić. Po prostu uwielbiała głądzić. Obojętne z kim, obojętne o czym. Byleby trajkotać. Byleby raz po raz otwierać jadaczkę.

– Szkoda, że nie kręcisz z Ilją – powiedziała, nagle zmieniając temat. – Mielibyśmy kolejną parę na uczelni.

– Chyba nie jestem gotowa, żeby się z kimś związać na poważnie. Mam jeszcze przed sobą sporo nauki. Nie chcę się rozpraszać.

– To bez sensu.

– Co?

– Teraz nauka, a potem praca, partia i masa innych obowiązków. Zawsze będzie coś do zrobienia. Myśląc w ten sposób, nigdy nie znajdziesz czasu na miłość. Nigdy nie będziesz na nią gotowa. Kiedy nadjeżdża pociąg, musisz do niego wskoczyć, zamiast się zastanawiać, czy aby na pewno zmierza na twoją stację. Wystarczy, że jedzie w dobrą stronę.

– Łatwo powiedzieć komuś, kto zmienia facetów jak rękawiczki.

– Bez przesady...

– Najpierw Aleksiej, teraz Wiktor. Ciekawe, kto będzie następny. Emil? Misza? – Daniela zerknęła na Klarę. Zobaczyła, jak jej piwne oczy zachodzą gniewem. – Zanim się zorientujesz, będzieszgniła w domu i przewijała pieluchy. Obyś tylko wiedziała, kim jest ojciec.

Nie zważając na to, że jeszcze nie skończyły przygotowywać jedzenia, Klara poderwała się i ruszyła do namiotu.

– Chciałam ci pomóc – powiedziała. – Ale widzę, że nie jesteś tego warta.

Daniela odprowadziła ją wzrokiem. Kiedy została sama, dopadły ją wyrzuty sumienia. Nie powinna była się z nią kłócić. W końcu są jedynymi kobietami na wyprawie, a Klara prawdopodobnie nie miała złych intencji. Poza tym tak naprawdę to nie ona ją irytowała, tylko Wiktor. Daniela pragnęła go całą sobą. Chciała z nim być. Chciała być jego. A on nie dość, że ją ignorował, to jeszcze zachowywał się jak kutas.

W dodatku cały czas brzęczały jej w głowie słowa Ilji. „Jeśli z jakiegoś powodu zrobi się na górze niebezpiecznie, nie licz na jego pomoc. A jeżeli zacznie świrować, uciekaj”.

Ponownie pomyślała o tamtej feralnej nocy u drwali. I nagle w jej głowie rozpanoszyła się myśl, która zmroziła ją do szpiku kości.

MARAT

Po kolacji Klara przysiadła się do Leona, który jako jedyny próbował rozładować napięcie w grupie. Brzdąkał na mandolinie i wyśpiewywał sprośne piosenki, dopóki nie wycisnął uśmiechu z gęby każdego, kto pojawił się przy ognisku. Nawet posepny Wiktor poklepał go po plecach, wyczyścił swoją miskę i schował się do namiotu.

– Co go ugryzło? – zapytał Leon, nawet na sekundę nie przerywając gry.

Skierował to pytanie w eter, ale jego wzrok spoczął na Danieli, która uznała się za wywołaną do odpowiedzi.

– Może kiepsko się czuje – zasugerowała. – Niestrawność, migrena albo coś w tym stylu. – Zerknęła na Leona. – Nauczysz mnie?

– Grać? – zdziwił się. – Dziewczyno, to nie jest robota na pięć minut. I to jeszcze na jakimś uralskim zadupiu.

– Podobno dobry nauczyciel poradzi sobie w każdych warunkach.

– Nie powiedziałem, że nie dam rady. – Leon uśmiechnął się szeroko. – To będzie po prostu wyzwanie dla mojego nauczycielskiego geniuszu.

Nauka – czy raczej zabawa w brzdąkanie na mandolinie – nie trwała długo. Daniela szybko straciła zapał, a Leon cierpliwość. W dodatku oboje byli zmarznięci i zmęczeni, więc razem z większością ekipy schowali się do namiotu. Na zewnątrz zostali tylko Marat i Misza, którzy doglądali ogniska, dorzucając do niego ostatnie kawałki drewna.

– Zawsze byłeś taki małomówny? – spytał Misza.

Marat miał nadzieję, że nie będzie musiał z nim rozmawiać. Że zrobią swoje w ciszy, napawając się urokiem uralskiego wieczoru, i pójdą spać. Ale facetowi, który od początku wyprawy nie zamienił z nim ani jednego słowa, teraz najwidoczniej bardzo zależało na tym, żeby sobie pogadać.

– Nie lubię się odzywać, jeśli nie mam nic wartościowego do powiedzenia – odparł.

– To mądre i uczciwe wobec ludzi. Szkoda, że Leon na to nie wpadł.

Marat uśmiechnął się pod nosem. Misza niemal wyjął mu to z ust.

– W wojsku zakolegowałem się z facetem, który był podobny do ciebie. Cichy, nieśmiały, poważny. Niektórzy uważali, że coś jest z nim nie tak, skoro w ogóle się nie odzywa. A złośliwcy mówili, że to przygłup, który potrafi jedynie wykonywać proste polecenia dowódców. Ale ja wiedziałem, że to nieprawda. Wielokrotnie widziałem, jak czyta książki albo pisze listy do rodziny. Byłem pewny, że w chwili próby będę mógł na niego liczyć. I nie

pomyliłem się. – Misza urwał opowieść, by dorzucić drewna, a następnie zmienił wątek. – Jak dobrze znasz Wiktora?

Marat długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Byłem z nim na jednej wyprawie.

– Jak sobie radził?

– Dobrze. Jest silny, wytrzymały, ma niezłą orientację w terenie.

Misza uśmiechnął się pod nosem.

– Jesteś bystrym chłopakiem, więc wiesz, że nie o to pytam.

Marat wzruszył ramionami.

– To była prosta weekendowa wycieczka. Pojechaliliśmy we dwóch. Wiktor chciał sprawdzić, czy nadają się na poważniejsze trasy. Dogadywaliśmy się bez problemów.

Powiedziawszy to, Marat zrozumiał, że to nieprawda. Bo „dogadywaliśmy się” sugerowało interakcję. Dyskusje na temat trasy, Rosji albo życia. A to były dwa dni spędzone w niemal idealnej ciszy, co i jemu, i Wiktorowi w pełni odpowiadało.

– Nie chcę podkopywać jego autorytetu, ale to młody chłopak. Ambitny i niewątpliwie zdolny. Ale też nerwowy, krnąbrny i niepokojąco odporny na sugestie. – Misza odwrócił się do Marata. – Jeśli zajdzie taka konieczność, mogę przejąć od niego dowództwo. Przerabiałem podobne trasy dziesiątki razy. Wiem, co nas czeka, kiedy znajdziemy się ponad poziomem drzew. To nie będzie przyjemne. Tam nie możemy sobie pozwolić na złe decyzje.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – spytał Marat, wyczuwając ciężar tej wiedzy.

– Pamiętajcie, że na górze możecie na mnie liczyć. No i wiem, że się nie wygadasz przed Wiktorem.

Marat nigdy nie kwestionował przywództwa Wiktora, ponieważ sam nie nadawał się na lidera stada. Ale Misza to co innego. Wojak, który zjadł zęby na uralskich wędrownkach. Wysportowany, skupiony, bystry. Łatwo przelamujący lody i wzbudzający sympatię. Jedyne problem był taki, że nic o nim nie wiedzieli, a on sam podrzucał im jedynie strzępy swojej historii. Tak jakby nie był gotowy odkryć wszystkich kart.

– Kim byli ci trzej kolesie? – zapytał Marat. – Nie wyglądali zbyt przyjaźnie.

– Raczej nie.

– Czy to możliwe, że tak po prostu poszli sobie w góry? Bez planu? Bez zezwoleń?

– W naszym kraju wszystko jest możliwe. Ale najpierw muszą zostać spełnione odpowiednie warunki.

– To znaczy?

Odpowiedź Miszy uprzedził krzyk. Rozbrzmiał gdzieś w oddali, przeciskając się przez zaporę z drzew, wąwozów, śniegu i wiatru.

– Wygląda na to, że wywołałeś wilka z lasu – powiedział Misza, spoglądając w kierunku, z którego dobiegł dźwięk. – Nasi nowi koledzy postanowili jednak ruszyć w górę.

– W nocy?

– Można i tak. Oby udało im się rozbić namiot. W takich warunkach i po wódce nie będzie to proste. – Przeniósł wzrok na Marata. – Możliwe, że nigdy się nie dowiemy, co to za jedni. Ale przy odrobinie szczęścia więcej ich nie spotkamy.

Misza wrzucił ostatni kawałek drewna i udał się do namiotu. Marat został sam. Podniósł się i odszedł od ogniska. Wytężył słuch. Czekał na kolejny bezkształtny ryk.

– Hej! – zawołała Klara, wychylając się z namiotu. – Jest po północy. Chodź spać.

– Już idę – odpowiedział Marat.

Postał tak jeszcze przez chwilę, wysikał się i wrócił do grupy. Kiedy wszedł do namiotu i zajął swoje miejsce, był tym samym Maratem, jakiego znali: nieprzeniknionym, milczącym, niewzruszonym. Nikt nie widział strachu, jaki kilka minut wcześniej przeciął jego twarz. I nikt nie mógł się domyślić, co tak naprawdę go wywołało.

16.

29 STYCZNIA 1959

KLARA

– Czy mógłbyś, kurwa, przestać?

Na zaskakująco gniewne warknięcie Marata zareagowali cichym pomrukiem. Po jakichś dwóch godzinach wędrówki w kierunku następnej rzeki, która miała pomóc im dotrzeć na Szelichamat, zatrzymali się na postój. Część z nich otrzepywała się ze śniegu albo kontemplowała przyrodę. Część popijała wodę i posilała się czekoladą. Natomiast Emil, najbardziej zapalony fotograf w grupie, krążył niczym sęp wokół przeżuwającego kawałek chleba Marata, szukając idealnego kadru.

– Problem w tym, że nie mogę – odparł Emil, pochylając się nad Maratem, jakby chciał sfotografować zmarszczki na jego czole. – Zostałeś wytypowany na gwiazdę wyprawy. Jeśli wejdziemy na szczyt, twoje zdjęcia zawisną w całym Niestierowie. Dziewczyny będą sikać na twój widok. Faceci zlecą się, żeby uścisnąć ci dłoń. Ale najpierw musimy zadbać o to, żebyś wyglądał na zdjęciach jak bożyszcze, a nie jak wieśniak siłą odciągnięty od pługa.

– Paszo! – burknął Marat. – Nie jestem w nastroju.

– Gwiazda ma prawo do zmiennych humorów. Dlatego wczoraj nikt nie zwrócił ci uwagi, kiedy się mazgałeś, że nie będziesz spał przy piecu.

Marat gwałtownie się poderwał i spróbował kopnąć Emila. Ale kiedy uniósł nogę, poślizgnął się i wyrznął na śnieg, przyjmując cały impet na wypakowany po brzegi plecak. Sekundę później gromki śmiech rozlał się na cały Ural Północny.

Poranek zaczął się dla nich okropnie. Byli połamani po noclegu na ziemi. Czuli w mięśniach trudy poprzedniego dnia, zwieńczonego awanturą Marata i Leona o to, który z nich położy się najbliżej piecyka – buchał z niego tak potężny żar, że nie dało się wytrzymać. W efekcie podczas porannych obrządków dziewięcioro dorosłych zamieniło ze sobą łącznie może osiem zdań, bojąc się pogorszyć napiętą sytuację. Zwłaszcza że czekał ich kolejny długi dzień w terenie, coraz bardziej nieprzystępnym z każdym pokonywanym kilometrem.

Ale z czasem wyszło słońce, ustał wiatr i stało się to, czego niektórzy z nich już przedtem doświadczyli. Wysilek fizyczny i wymagająca wędrówka przez śnieżny krajobraz okazały się

oczyszczające. Góry zlitowały się nad nimi, pozwalając zapomnieć o troskach życia codziennego. O zwadach, o negatywnych emocjach, o chorobach. Okazały się skromnym eliksirem szczęścia. Naturalnym antybiotykiem na ból istnienia.

Marat był ostatnim członkiem ekipy, który opierał się magii gór. Ale gdy wylądował na śniegu, stwarzając Emilowi wprost wymarzone okoliczności do zrobienia zdjęcia – pierwszy się roześmiał.

Klara wykorzystała tę zaskakującą poprawę grupowej koniunktury, aby porozmawiać z Wiktorem. Mogła to zrobić w dowolnej chwili, ale wolała wtedy, gdy wszystkim udzieliła się głupawka. Bo choć ją pociągał, było w nim coś krępującego. Coś nieodgadnionego. Mrocznego.

Podeszła do Wiktora, kiedy oddalił się od grupy, żeby przestudiować mapę.

– Chyba trochę przesadziliśmy – powiedziała.

– Z czym? – Wiktor nawet nie podniósł na nią wzroku.

– Z nami. Wszyscy wiedzą, że... – zawahała się, szukając odpowiedniego określenia. – Że mamy się ku sobie. A my zachowujemy się tak, jakbyśmy się nie lubili.

Wiktor wreszcie na nią spojrział. Nie wyglądał na zachwyconego.

– Ustaliliśmy, że nie będziemy nikogo drażnić. Zwłaszcza...

– Aleksiej doskonale wie, co się dzieje. To dziecinada.

Wiktor się nadał. Nie znosił, kiedy zarzucano mu niedojrzałość. Uważał się za na wskroś dorosłego, poukładanego i twardo stąpającego po ziemi faceta, który doskonale wie, czego chce od życia.

– Co proponujesz? – wycodził przez zęby.

Klara zrobiła krok w jego stronę. Chwyciła go za dłonie.

– Zależy mi na tobie. Nie chciałabym, aby przez ten wyjazd coś się między nami zepsuło.

Wiktor parsknął pod nosem.

– Przecież jeszcze się nawet...

– No właśnie. Nie psujmy czegoś, co nawet się na dobre nie zaczęło. Męczy mnie ta sytuacja. I widzę, że ciebie też. Wszyscy to widzą. Każdy mógł się przekonać, że nie traktujesz mnie w sposób szczególny, więc najwyższa pora, żebyśmy przestali udawać.

Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Wiktor był zaskoczony. W pierwszym odruchu łypnął w bok, aby się upewnić, że nikt ich nie widzi. Dopiero wtedy odwzajemnił pocałunek.

Klara wiedziała, że rujnuje kolejny element planu Wiktora. Ale jeśli miało łączyć ich coś więcej niż przyjaźń, czasem musiała pójść pod prąd.

Kiedy poczuła jego dłoń na pośladkach i coś twardego na brzuchu, zrozumiała, że było warto.

– W tym roku okres godowy zaczął się wcześniej – rzucił Leon, który wyłonił się zza drzew. – Człowiek nie może się wysrać w spokoju.

Wiktor i Klara gwałtownie przerwali pocałunek. Oboje się zaśmiali.

– Tak będzie lepiej – powiedziała Klara. – I dla nas, i dla pozostałych.

Ale kiedy dołączyli do grupy, trzymając się za ręce, szybko stało się jasne, że to nieprawda.

MISZA

Zostały im jeszcze dwie godziny marszu, gdy Misza wysunął się na czoło grupy. Odwrócił się za siebie, aby ocenić, jak pozostali się trzymają. Nie chciał forsować tempa, żeby nie zepsuć pozytywnej atmosfery, jaką wreszcie udało się wytworzyć.

Przez większość dnia panowała nieznacznie dodatnia temperatura. Ostre słońce sprawiło, że śnieg zrobił się miękki i lepki, przez co nie mogli jechać na nartach. Musieli iść, brodząc w puchu po kolana. A torowanie drogi przypominało wyłabianie tunelu w wyjątkowo grubym cieście. Dziesięciominutowe zmiany na prowadzeniu każdemu dawały się we znaki, ale na Miszy nie robiły większego wrażenia. Mierzył się już z poważniejszymi wyzwaniem. I w górach, i w życiu. Zwłaszcza w życiu.

– O czym myślisz?

Pytanie padło zniemacka. Daniela, która je zadała, sama wyglądała na zaskoczoną.

– O różnych sprawach – odparł Misza. – Czasem o bardzo przyziemnych, a czasem o filozofii, życiu i śmierci. Góry pozwalają myślom dryfować w najróżniejszych kierunkach. Staram się im po prostu nie przeszkadzać.

– A teraz?

– Teraz akurat myślałem o tym, że warto byłoby znaleźć nocleg w mocniej zalesionym terenie. Jeśli się osłonimy przed wiatrem, nie będziemy musieli rozpałać piecyka. – Zerknął na Daniellę. – Skąd to nagle zainteresowanie moją osobą?

– Bo słabo cię znam. Najbardziej ze wszystkich.

– Nie ma w tym nic złego. Niektórzy nie są warci poznania. – Misza przystanął na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu. – Co chciałabyś wiedzieć?

– Wiele rzeczy. Na przykład dlaczego nie założyłeś rodziny.

– To żadna tajemnica. – Misza wytarł rękawem mokre czoło. – Rodzina to ogromna odpowiedzialność i pewnego rodzaju błogosławieństwo. Nie każdy na nie zasługuje. I nie każdy nadaje się na rodzica.

– Nie dowiesz się tego, dopóki nie spróbujesz.

– Nie miałem dobrych wzorców rodzicielskich. Nie spotkałem kobiety, z którą chciałbym się bawić w dom. I nie wydaje mi się, żebym mógł poświęcić swoją niezależność dla drugiej osoby. Poza tym nie przepadam za dziećmi. Mogę się z nimi pobawić, ale nie byłbym w stanie właściwie przygotować ich do życia.

– A co w tym trudnego? Wystarczy nauczyć je szacunku dla ludzi, pracowitości i miłości do ojczyzny.

– No właśnie.

– Nie kochasz Związku Radzieckiego?

– Kocham ludzi, przyrodę, tradycje. Ale nie przepadam za politykami. A to od nich w moim życiu najwięcej zależy.

Daniela zamilkła, jakby musiała przetrwać tę informację.

– Czy to ma związek z wojną? Z czymś, co cię spotkało na froncie?

– Wolałbym o tym nie rozmawiać.

– No to w jaki sposób mam cię poznać? Możesz się przede mną otworzyć. Nikomu o tym nie powiem.

– Sekrety są po to, żeby ich dochowywać. Ty na przykład nie chcesz powiedzieć, co takiego stało się tamtej nocy u drwali. – Zerknąwszy na zakłopotaną twarz Daniela, zrozumiał, że trafił. – Spokojnie. Nie będę cię dręczył. Jeżeli nie chcesz o tym mówić, musisz mieć istotny powód.

Misza nieoczekiwanie się zatrzymał. Podniósł rękę, aby zastopować resztę grupy. Daniela popatrzyła na niego, a potem w kierunku miejsca, które przykuło jego uwagę. Kilkanaście metrów dalej, pomiędzy ogołoconymi z liści drzewami, stał człowiek. Miał na sobie grube futro i czapkę. Był odwrócony plecami, więc niewiele dało się o nim powiedzieć. Poza tym, że wydawał się niski. Jak dziecko.

– Kto to? – spytała Daniela szeptem.

– Wort – odparł Misza.

– Co on robi?

– Nie wiem. Zaczekaj tutaj.

Powoli ruszył przed siebie. Kiedy zbliżył się do nieznajomego na odległość kilku metrów, ten usłyszał jego kroki i gwałtownie się odwrócił. Wymierzył do Miszy z karabinu. Ale widząc jego uniesione dłonie, opuścił broń. A zaraz potem pognął w głąb lasu.

Misza ciężko sapnął. Nie sądził, żeby Wort mógł wyrządzić mu krzywdę, mimo to poczuł ulgę. Odwrócił się i dał grupie sygnał, że niebezpieczeństwo minęło.

– Czego chciał ten ludojad? – zapytał Leon, kiedy grupa zebrała się wokół Miszy.

– Sam jesteś ludojad – burknęła Daniela. – To był jakiś dzieciak. Pewnie się wystraszył.

– To nie dziecko, tylko dorosły myśliwy. Wortowie nie bywają gigantami. – Misza przykucnął pod drzewem, przy którym stał nieznajomy. – Od kilku dni podążamy ich śladem, więc prędzej czy później musieliśmy się na nich natknąć.

– Co on robił? – zapytał Leon.

– Zostawił wiadomość dla współplemieńców – odparł Emil, po czym sfotografował kilka dziwnych symboli wyrytych na drzewie.

– Renifer – powiedział Wiktor. – Informacja dla innych myśliwych. I poniekąd dla nas.

– A ten drugi symbol? – spytała Daniela.

Uważnie przyjrzeni się znakom. Kreskom, kółkom, podkreśleniom i czemuś, co wyglądało jak litery jakiegoś nieznanego im alfabetu.

– To my. Biali ludzie. – Misza wstał z kucek. – Pewnie nas wyprzedził, idąc jakąś boczną ścieżką, a teraz zostawił wiadomość dla innych Wortów.

– Po co? – zdziwił się Leon. – Na nas też będą polować?

– Kto wie. – Misza zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. – Siedemdziesiąt kilogramów mięsa nie chodzi piechotą. A założę się, że ruszasz się wolniej niż renifer.

Grupa skwitowała jego słowa nieco nerwowym śmiechem. Turyści wiedzieli, że ze strony Wortów nic im nie grozi. Nie wierzyli w bajki, które opowiadali ludzie z miasta. A jednak wesołość, jaka towarzyszyła im od paru godzin, gdzieś się ulotniła, ustępując miejsca głębokiej zadumie.

LEON

Odnaleźli punkt biwakowy u zbiegu dwóch częściowo zamarzniętych strumyków, które spływały ze zboczy niewysokich okolicznych szczytów. Tym razem wszystko poszło sprawniej: rozbijanie namiotu, gromadzenie drewna, szykowanie miejsc noclegowych. Ustalony podział pracy zakładał częściowy płodozmian, mimo to każdy miał jakąś specjalizację. Faceci zwykle zajmowali się najmniej przyjemną robotą fizyczną, a dziewczyny brały na siebie przygotowanie wnętrza namiotu i odgrzanie jedzenia.

Leonowi nie do końca odpowiadało to, że Wiktor często przydzielał go do babskich robót, ale też szczególnie go nie irytowało. Zwłaszcza gdy widział, jak Dinar czy Marat zasuwały z drewnem, pocąc się i sapiąc, podczas gdy on sprawdzał, czy namiot nie przecieka, albo wystawiał nad ognisko mokre ciuchy. Cóż, nie on wymyślił taki podział. Za to bardzo go wpieniało, kiedy ktoś unikał pracy. Choćby najprostszej. Choćby typowo babskiej.

– Widziałyście Emila? – zapytał.

Klara i Daniela, które krzętały się w dwóch różnych częściach namiotu, jakby wzajemnie się unikając, równocześnie zaprzeczyły.

Leon wyszedł na zewnątrz. Rozejrzał się. Nie widział Emila ani przy ognisku, ani w lesie, gdzie chłopaki uwijały się z robotą. Zdołał poznać go na tyle, że potrafił nakreślić prawdopodobny scenariusz wydarzeń. Kiedy zakładanie obozu będzie dobiegało końca, Emil nagle się pojawi i rzuci do pracy. A kiedy go spytają, gdzie się podziewał, gdy inni zapieprzali, aby jego dupsko mogło się wygrzać w ciepelku, powie, że go przycisnęło i pognął w krzaki.

– Leniwy kutas – syknął Leon pod nosem.

Tym razem nie zamierzał mu odpuścić.

Zdążyło się już ściemnić, więc wyjął z plecaka kieszonkową latarkę i ruszył na poszukiwania. Emil był sprytny. Z pewnością nie symulowałby sraczki, czając się pośród koleśków zbierających drewno. Leon udał się więc w przeciwnym kierunku. Przez jakiś czas krążył po omacku, aż wreszcie odnalazł ślady. Emil niczym buldożer wyrył tor w gęstej i miękkiej śnieżnej papce, nie podejrzewając, że ktoś spróbuje go odnaleźć.

Leon wyłączył latarkę i powoli, starając się nie narobić rabanu, zaczął iść po jego śladach. Chciał przestraszyć Emila. Zaskoczyć w najmniej spodziewanym momencie.

Ale kiedy wreszcie go odnalazł, sam chyba był mocniej zdziwiony.

– Kurwa! – zaklął i odwrócił się gwałtownie. Była to zapewne najbardziej stosowna reakcja na widok kolegi walącego konia.

– Przepraszam. – Emil błyskawicznie podciągnął portki, a następnie, wciąż zziębnięty, wychylił się zza drzewa. – Głupio wyszło.

– Faktycznie głupio. Wszyscy zapierdalają, a ty wykradasz się z obozu, żeby zrobić sobie dobrze.

– Musiałem. Już nie dawałem rady. Jeżeli chcesz, jutro możemy się zamienić. – Dopiero po chwili Emil się zreflektował, jak dziwnie mogło to zabrzmieć. – To znaczy ja zajmę się robotą, a ty sobie odpoczniesz albo...

– O kim myślałeś?

– Co?

– Kogo sobie wyobraziłeś do trzepania. Klarę?

– A to ma jakieś znaczenie? Jestem tak wyposzczony, że nawet myśląc o Maracie, mógłbym sobie zwalić.

– Naprawdę, kurwa, nie masz się czym chwalić – fuknął Leon. – Pomijając fakt, że wymigujesz się od roboty, nie powinieneś oddalać się bez słowa. Nie jesteśmy tutaj sami. Wortowie kręcą się w okolicy, a każdy z nich ma broń. Jeszcze przez przypadek jakiś dzikus by cię odstrzelił.

– Bez przesady. Miałby mnie wziąć za renifera? – Emil machnął ręką. – Powinieneś sam spróbować. Nic tak nie rozładowuje napięcia na wyjazdach. No, chyba że masz jakieś plany wobec którejś z dziewczyn.

Leon parsknął pod nosem.

– Niby której?

– Klara jest z Gonczarem, więc u niej masz nikle szanse.

– Daniela? To nie mój typ.

– Kiedy nagromadzisz w jajach zbyt dużo spermy, typ przestaje mieć znaczenie. Moim zdaniem spokojnie mógłbyś wystartować do Daniela. Ona wprawdzie wydaje się bardziej zainteresowana Miszą i Gonczarem, ale żadnego z nich nie dostanie, więc drogę masz wolną.

Leon nie miał ochoty wdawać się w dyskusję z kolesiem, który chwilę wcześniej maltretował swojego wacka, ale siłą rzeczy musiał się nad tym zastanowić. Daniela. Nigdy nie myślał o niej w takich kategoriach, ponieważ z jakiegoś powodu wydawała mu się niedostępna. Zbyt zanurzona w swoim poukładanym, zaprojektowanym pod linijkę świecie. Zbyt zapatrzona w Gonczara, mimo że ten ją olewał. Ale przecież w niej też musiały się kłębić jakieś potrzeby. W końcu wyprawa trwała już prawie tydzień.

– Widzę, że dałem ci do myślenia – odezwał się Emil. – Jeśli chcesz, przygotuję ci grunt do ataku. Sam chętnie bym się nią zajął, ale wiem, że ona nie jest mną zainteresowana.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Ale będę dobrym kolegą i szepnę jej parę miłych słów o tobie. Nie jestem psem ogrodnika.

Leon był w kropce. Nie wiedział, czy powinien kazać Emilowi spieprzać, czy mu podziękować. Na wszelki wypadek zmienił temat. Choć zrobił to niezbyt fortunnie.

– Chcesz... dokończyć?

Emil się roześmiał.

– Wytrąciłeś mnie z nastroju. Poza tym to i tak była druga runda.

– Ciekawe, co inni powiedzą, kiedy im opowiem o twojej nowej rozrywce.

– Spróbuj, to wymyślę o tobie taką historię, że będziesz się wstydził pokazać na uczelni.

W czasie powrotu dopisywał im humor. Leon groził Emilowi, że ujawni jego mały sekret, kładąc nacisk na słowo „mały”, a ten ciągle próbował dotknąć go ręką, której używał w wiadomym celu. Znów byli dwójką wesołych kumpli, skutecznie odtrącających myśl, że mogłoby ich spotkać coś złego. Zbyt zajętych sobą, żeby dostrzec rozgrywającą się obok rzeczywistość.

Dlatego żaden z nich nie zwrócił uwagi na ślady, jakie pojawiły się w pobliżu obozowiska.

MISZA

– Opowiedz coś – zaproponował Leon, przerywając grę na mandolinie.

– Ale co? – spytał Misza.

– Cokolwiek. Znasz tysiące fajnych historii, które kisisz w sobie, zamiast je uwolnić. Zabaw nas.

Misza przebiegł wzrokiem po rozświetlonych twarzach turystów, którzy w komplecie zgromadzili się przy ognisku. Wszyscy byli skupieni na nim. Wszyscy oczekiwali tego samego: chleba i igrzysk. A że chleb już mieli...

– Skąd on ma tyle energii? – zapytał Misza, celując kciukiem w Leona.

– Nie potrafi jej porządnie rozładować – rzucił Emil, uśmiechając się pod nosem.

– Teraz nie mówimy o mnie, tylko o Miszy – uciął Leon. – To jak, opowiesz coś? Może najdziwniejszą historię, jaką kiedykolwiek przeżyłeś. Albo najgłupszą. Albo najśmieszniejszą.

Misza nie miał najmniejszej ochoty uzewnętrzniać się ani robić z siebie błazna. Wiedział, że sam jest sobie winny, bo właśnie humorem i wysnanymi z palca historyjkami kupił przychyłność ekipy. Ale z każdym dniem ekspedycji coraz trudniej było mu grać.

– Mogę wam opowiedzieć o najstraszniejszej przygodzie, jaka spotkała mnie w górach. Chcecie?

Odpowiadając w imieniu całej grupy, Leon wybrzdąkał na mandolinie kilka skocznych akordów.

– Dziesięć lat temu – zaczął swoją opowieść Misza – wybrałem się na wyprawę z dwoma znajomymi z dawnych lat. Przez niemal tydzień snuliśmy się po Sajanach. Od szczytu do szczytu, od przełęczy do przełęczy. Którejś nocy do naszego obozowiska zakradł się niedźwiedź.

– My też kiedyś spotkaliśmy niedźwiedzia na szlaku – odezwała się Daniela. – Aleksiej rzucił się na niego, krzycząc i hałasując. Przestraszył go.

– My nie byliśmy tacy sprytni albo trafiliśmy na mniej wyrozumiałego niedźwiedzia. Podszedł do naszego obozu w środku nocy. Kiedy się zorientowaliśmy, że coś jest nie tak, on już krążył wokół namiotu. Prawdopodobnie wyczuł żarcie. Uznaliśmy, że jedyne, co możemy zrobić w tej sytuacji, to podjąć walkę. Ale to nie był dobry pomysł. – Misza zawiesił głos. – Jeden z chłopaków wyszedł z namiotu i spróbował zastrzelić niedźwiedzia. Nie trafił. Chwilę później usłyszeliśmy krzyk. A potem zobaczyliśmy, jak zwierzę masakruje twarz naszego kolegi.

Nad ogniskiem zapadła niezręczna cisza.

– Co zrobiliście? – spytał niepewnie Leon.

– Uciekliśmy. Zostawiliśmy kumpla, obozowisko i pobiegliśmy do lasu. Tułaliśmy się po krzakach, spaliśmy wtuleni w siebie, przez dwa dni nic nie jedliśmy. W końcu dotarliśmy do jakiejś wioski, a stamtąd przewieziono nas do miasta.

– Co na to partia? – zapytał Gonczar.

– Nic. Szczegółowo wypowiedzieliśmy się z tego, co nas spotkało. Powiedzieliśmy, że jeden z członków naszej grupy został zabity, a potem najpewniej pożarty przez niedźwiedzia. Że straciliśmy sprzęt, który dostaliśmy od miejscowego klubu sportowego. Że przepadło wszystko, z czym wyszliśmy w góry. Myśleliśmy, że władze zorganizują jakąś wyprawę, aby chociaż odzyskać to, co zostało w obozie, ale nic takiego się nie wydarzyło. Po prostu wpisali wypadek do statystyk i umieścili nas na czarnej liście, wskutek czego przez kilka lat miałem zakaz uczestnictwa w wyprawach turystycznych. A potem wszystko rozeszło się po kościach.

– A co z waszym kolegą? – spytała Daniela.

– Jego rodzice już nie żyli, a on nie zdążył założyć rodziny. Nie było nikogo, kto by się nim interesował. Nie miał znajomości. Brat wyjechał do Moskwy i zerwał z nim kontakt. W konsekwencji nikt nawet nie pofatygował się na miejsce tragedii, aby spróbować odnaleźć ciało. Nasz kolega skończył jako numerek w raporcie dotyczącym wypadków na wyprawach turystycznych, a nam udało się uniknąć odpowiedzialności za to, że zwialiśmy, nie udzieliwszy mu pomocy.

– To nie wasza wina. – Klara musiała wspiąć się na wyżyny empatii, żeby usprawiedliwić Miszę. – Wpadliście w panikę. Na waszym miejscu większość ludzi zachowałaby się podobnie.

– Możliwe. W każdym razie liczę się z tym, że los prędzej czy później odpłaci mi za ten incydent. Kolega, który był wtedy ze mną, ma to już za sobą. Parę lat po tragedii popełnił drobne przestępstwo. Trafił do obozu. Próbował uciec, ale strażnicy go dorwali i zastrzelili.

– Misza westchnął ciężko. – A ja wciąż czekam na wyrok.

– To dlatego chodzisz zimą w góry? – zapytał Gonczar. – Kusić los?

Misza potrząsnął głową.

– Łażę po górach, bo to lubię. To jedna z niewielu przyjemności, jakie mi zostały. A że przy okazji jest to trochę niebezpieczne? – Wzruszył ramionami. – Swoje już przeżyłem. Nie będę płakał, jeżeli jutro zginę. Ale nie martwcie się. – Posłał dziewczynom zawadiacki uśmiech. – Zimą trudno spotkać tu niedźwiedzia.

Misza wstał od ogniska i skierował się do namiotu. Zaczął grzebać w plecaku, aby nie słyszeć, jak pozostali szepczą na jego temat. „Dziwak”, „przeraża mnie”, „w ogóle go nie znamy”, „może zabranie go na wyprawę było błędem”. Nie chciał straszyć dzieciaków, ale znudziła mu się rola wesołej niańki. Tego, który pogłaszcze po główce, poklepie po plecach, a przy okazji powie coś mądrego. Nie, to nie on. Nie ma w nim nawet ułamka człowieka, za jakiego go uważali.

Wolał, żeby mieli chociaż mgliste pojęcie, z kim naprawdę mają do czynienia.

17.

30 STYCZNIA 1959

WIKTOR

Noc zapowiadała się na tyle komfortowo, że turyści postanowili nie uruchamiać kłopotliwego piecyka. Jednak w ciągu paru godzin pogoda drastycznie się pogorszyła: temperatura zjechała grubo poniżej zera, pojawiły się obfite opady, a nad ranem dodatkowo zaczęło porywiście wiać. Kiedy Wiktor wychylił się z namiotu, momentalnie zrozumiał, że ten dzień będzie paskudny.

Urok gór, pomyślał. Nigdy nie wiesz, co cię czeka nazajutrz. I nigdy nie powinienesz zakładać, że będzie to coś dobrego.

Zwykle wstawał pierwszy, żeby narzucić odpowiednie tempo porannym obowiązkom i dać przykład reszcie grupy. Ale tym razem ktoś go uprzedził. Kiedy Wiktor wyszedł z namiotu, zobaczył Miszę, który wracał do obozu znad zamrzniętej rzeki.

– Nie słyszałem, jak wstawiałeś. – Słowa Wiktora zabrzmiały jak zarzut, choć nie takie były jego intencje.

– Chciałem się przewietrzyć. – Odpowiedź Miszy zabrzmiała jak usprawiedliwienie, choć nie takie były jego intencje. – Mam nadzieję, że nikogo nie obudziłem.

Misza wystroił się tak, jakby nie odnotował zmiany pogody. Koszula w kratę, sweter, kalesony. Brakowało kurtki, spodni narciarskich, czapki, szalika i rękawiczek. Wiktor uznał, że albo Misza jest lekkoduchem, albo lata włóczenia się po górach nieźle go zahartowały.

– Coś nowego nad rzeką? – spytał.

– Poszedłem zakurzyć. A przy okazji sprawdzić, z czym przyjdzie nam się dzisiaj mierzyć. Nie wygląda to dobrze. – Wyciągnął do Wiktora dłoń, w której trzymał pokruszone kawałki lodu. – Tafla jest w wielu miejscach zavalona śniegiem i gałęziami. Poza tym wydaje się zbyt niestabilna, żeby dało się po niej przejechać. Decyzja oczywiście należy do ciebie, ale ja bym nie ryzykował.

– Przez las ciężiej będzie iść. Śnieg sięga do pasa, a w ciągu dnia jeszcze go napada. – Wiktor z niepokojem spojrzał w górę.

– Tyle że między drzewami będziemy częściowo osłonięci przed wiatrem, który wieje nam prosto w twarz. – Misza otrzepał dłonie. – Ale oczywiście zrobimy tak, jak

zadecydujesz.

Wiktor szczerze wątpił w serwilizm Miszy. Protekcyjnalny ton sugerował, że Klimienko traktuje go jak nieogarniętego uczniaka, którego ciągle trzeba korygować. I któremu trzeba patrzeć na ręce, żeby przypadkiem czegoś nie spieprzył. Deklaracje Miszy, że jest tylko szeregowym uczestnikiem wyprawy, że nie chce podkopywać autorytetu lidera i że będzie pokornie wykonywał polecenia, nijak się miały do rzeczywistości.

Wiktor od dłuższego czasu czekał na okazję, żeby ukrócić jego zapędy. I wyjaśnić to, co już dawno powinno zostać wyjaśnione.

– Nie musiałeś opowiadać tej historii – powiedział. – Nawet jeśli nie grozi nam spotkanie z niedźwiedziem, ludzie będą się bali.

– Leon nalegał, żebym coś opowiedział, a to była jedyna historia, która przyszła mi do głowy. Zresztą uważam, że odrobina strachu przydaje się na wyprawach. Pomaga trzymać rękę na pulsie i ogranicza brawurę.

– Albo prowadzi do paniki.

– O co ci chodzi? – Misza lekko przekrzywił głowę, jakby chciał się przyjrzeć Wiktorowi z innej perspektywy. – Boisz się, że odbiorę ci kierownictwo wyprawy? Spokojnie. Powiedziałem, że tego nie zrobię, i zamierzam dotrzymać słowa.

– Problem w tym, że nie mam bladego pojęcia, czy można ci wierzyć. Nawet nie wiem, kim tak naprawdę jesteś. Przewodnikiem czy instruktorem w bazie turystycznej? Weteranem, który nie chce mówić o wojnie? Facetem bez przeszłości, rodziny, miejsca zamieszkania? – Wiktor potrząsnął głową. – Twoje opowieści nie trzymają się kupy. Tę historyjkę o niedźwiedziu pewnie też zmyśliłeś.

Misza sposepniał. Zrobił dwa kroki w stronę Wiktora.

– To, że mi nie ufasz, świadczy jedynie o braku pewności siebie. Może masz za małe jaja, żeby kierować ludźmi. A może powinieneś lepiej sprawdzić przed wyprawą, kogo na nią zabierasz.

Misza zbliżył się do ogniska. Zaczął zdejmować ubrania wiszące na powbijanych w śnieg nartach. Wiktor śledził jego ruchy z rosnącą irytacją. Najchętniej kazałby mu zgarnąć swoje manatki i spieprzać. Ale wiedział, że reszta ekipy – pomimo tej historii z niedźwiedziem – lubi Miszę. Nikt nie poparłby tej decyzji. Nie zrozumieliby, że pozbywa się szkodnika, który próbuje rozbić ich jedność. A w efekcie zniszczyłby wątłe morale grupy, które dopiero wczoraj udało się jako tako posklejać. Musiał więc zacisnąć zęby i pogodzić się z jego obecnością.

Ale obiecał sobie, że mu nie odpuści. Po powrocie dowie się, kim jest ten facet. A jeżeli się okaże, że Misza zrobił z niego idiotę, zadba o to, aby wyciągnięto wobec niego konsekwencje. Najsurowsze z możliwych.

– Niech ci będzie – powiedział Wiktor. – Pójdziemy przez las.

– W tej chwili mamy większy problem – odparł Misza, nie przerywając pracy. – Nad rzeką znalazłem ślady Wortów. Co najmniej dwóch.

– Może ten, którego widzieliśmy, sprowadził kogoś do pomocy przy polowaniu.

– Możliwe. Pytanie tylko, na kogo zamierzają polować. I dlaczego ślady prowadzą dookoła naszego obozowiska. – Misza podszedł do Wiktora i wepchnął mu w ręce jego ciuchy. – Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Wiktor dla zasady powinien zaoponować. Ale tym razem pokornie pokiwał głową.

DINAR

Tego dnia Dinarowi status osiłka szczególnie mocno dawał się we znaki. Kiedy brodzili w sięgającym do pasa śniegu, a on słuchał poleceń błędzącego Wiktora i na dodatek taszczył w plecaku cholerny piecyk – czuł się jak ostatni frajer.

Wyjazd miał być dla niego odskocznią od codzienności. Od inżynierskiej roboty w Niestierowskim Instytucie Technologii Chemicznej. Od hałaśliwych maszyn, smrodu chemikaliów i gburowatych laborantów. Od życia, do którego rodzice przygotowywali go w cieplarnianych warunkach, zapominając, że prędzej czy później będzie musiał radzić sobie sam. Od ludzi, którzy ślepo wierzyli, że jakoś się z tym wszystkim upora. Bo kto jak kto, ale bystry i wysportowany chłopak z dobrego domu musi sobie dać radę. Bystry i wysportowany chłopak z dobrego domu nie może być samotny. Bystry i wysportowany chłopak z dobrego domu nie może okazać się niezaradnym frajerem.

Gdyby tylko to było takie proste, pomyślał. Gdyby tylko miał u boku osobę, która pomagałaby mu rozwiewać te rozterki.

– Podziwiam cię.

Dinar uniósł głowę i omal nie wpadł w wyżłobioną w zaspie dziurę, kiedy zobaczył przed sobą Danielę. Dziewczyna szła jako przedostatnia i dzielił ją kilkumetrowy odstęp od grupy. Przystanąła na chwilę i odwróciła się do Dinara. Najwyraźniej chciała pogadać z nim na osobności.

– Mnie? Za co?

– Za dojrzałość. Robisz swoje, nie narzekasz, nic nie jest w stanie wytrącić cię z równowagi. Chłopcy powinni się od ciebie uczyć.

Dinar miał ochotę jej powiedzieć, że to oznaka słabości, że brakuje mu zdolności przywódczych, że zamiast milczeć, powinien uderzyć w stół i wstrząsnąć tą hałastrą, ale tylko się uśmiechnął.

– Po prostu staram się nie stwarzać problemów. One i tak pojawiają się same.

– A czasem ktoś je stwarza. – Daniela poczekała, aż Dinar ją dogoni, a następnie ruszyli przed siebie ramię w ramię. – Martwi mnie Wiktor. Nie wiem, co się z nim dzieje, ale chyba się pogubił. – Zerknęła na Dinara. – Znasz go lepiej ode mnie. To normalne?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze wydawał się spięty, ale przy tym skoncentrowany na celu. Czasem aż za bardzo. Myślałem, że już byłaś z nim na wyprawie.

– Raz. Ale wtedy zachowywał się inaczej.

– Mogę się założyć, że nie towarzyszył wam żaden trzydziestoparolatek, który oceniał każdy jego ruch.

– Myślisz, że to przez Miszę?

– Tylko takie wytłumaczenie przychodzi mi do głowy. No i może jeszcze to, że Wiktor chce się popisać przed Klarą. Pokazać, jaki jest twardy i niezależny.

– I jak bardzo różni się od Aleksieja.

Dinar kiwnął głową.

– Dlaczego akurat teraz zaczęłaś się tym martwić? Gonczar od początku zachowuje się, jakby miał kij w tyłku.

– Tuż przed powrotem Ilja powiedział, żebym na niego uważała. Wyglądał na nieźle przestraszonego. Wiesz, o co mogło mu chodzić?

Dinar nie był fanem Wiktora, ale w gruncie rzeczy uważał go za niezłego lidera. Twardego, pracowitego, asertywnego i odpornego na naciski. Wielu cech mu zazdrościł. Ale jedno było dla niego jasne: jeżeli kiedykolwiek znajdą się w zagrożeniu, nie powinien liczyć na Wiktora. On za bardzo cenił swoje życie, żeby narażać je dla innych.

– Ilja pewnie powiedział to z troski – skłamał. – Nie sądzę, żeby miał jakieś zastrzeżenia do Wiktora. Po prostu chciał cię uczulić, byś liczyła przede wszystkim na siebie.

Daniela nie wyglądała na przekonaną.

– Ale możesz też liczyć na mnie – dorzucił.

Nie był pewien, dlaczego to powiedział. Daniela ani go ziębiła, ani grzała. Było między nimi kilka lat różnicy, przez co nie mieli okazji zakolegować się na uczelni. To był ich pierwszy wspólny wyjazd. W dodatku od początku wyprawy zamienili ze sobą ze trzy zdania. Po jaką cholere nagle postanowił okazać jej wsparcie?

– Dziękuję. – Daniela zbliżyła się do niego. Wspięła się na palce i uwiesiła mu na szyi. I albo się Dinarowi zdawało, albo przytulała się do niego dłużej, niż pozwalały na to konwenanse. – Dobrze mieć kogoś, na kogo można liczyć. – Wyszeptawszy mu to do ucha, pocałowała go w policzek.

Dinar odwdzieczył się zakłopotanym uśmiechem.

– Ruszajmy, bo nas zostawia.

Daniela nie była w jego typie. Podobały mu się blondynki, ale nie takie chłopczyce jak ona. Lubił drobne, skromne, zgrabne i subtelne dziewczyny, przy których czuł się jeszcze potężniejszy. Tylko czy typ ma aż takie znaczenie, kiedy nie ma się śmiałości do kobiet? Czy nie lepiej zaufać temu, co podpowiadają lędźwie?

Z poczuciem, że los wreszcie się do niego uśmiechnął, Dinar ruszył pod górę.

DANIELA

– Jeżeli chcesz, możemy się zamienić miejscami w namiocie. Myślę, że każde z nas byłoby zadowolone, gdybyś wylądowała między mną a Dinarem.

Daniela przez dłuższą chwilę wpatrywała się w dwuznaczny uśmiech Leona, zastanawiając się, jak zareagować na jego słowa: oburzeniem, śmiechem czy agresją? W końcu wybrała wariant czwarty.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaki jesteś durny – wypaliła.

– Durny czy nie, widziałem, jak na nim wisiałaś. To nie wyglądało jak przyjacielski tulas. Zresztą wy przecież nie jesteście przyjaciółmi. Ledwo się znacie.

– To miłe, że troszczysz się o moje relacje, ale obawiam się, że nic o mnie nie wiesz.

– Wiem, że tak jak ja od tygodnia jesteś w podróży. Wystarczająco długo, aby powstały między nami różne napięcia.

Leon ma rację, skonstatowała Daniela. W końcu ludzie są zwierzętami stadnymi, lgną do siebie. A gdy nie mają komfortu wyboru, automatycznie wybierają najbliższe jednostki. Ona nie była wyjątkiem. W niej też pulsowały emocje i pragnienia, które chętnie by na kimś wylądowała. Tym bardziej że jeszcze z nikim tego nie robiła. I tym bardziej że ciążył jej incydent z osady drwali, którego wciąż nie potrafiła sklasyfikować. Chciała zetrzeć plamę. Zastąpić złe wspomnienie dobrym. Albo przynajmniej innym.

Ale to nie dlatego zbliżyła się do Dinara.

Zrobiła to wyłącznie ze strachu.

Bała się Wiktora. Jego egoizmu, zaciętrzewienia i porywczosci.

Bała się Aleksieja. Tego, że w którymś momencie jego żal do Wiktora i Klary przemieni się w coś okropnego. W coś, z czym żaden uczestnik wyprawy wolałby nie mieć do czynienia.

Bała się Miszy. Jego zagadkowości, kłamstw i półprawd, jakimi najpewniej ich częstował.

Bała się także Emila, o którym słyszała na uczelni dużo dziwnych historii, oraz milczącego, zanurzonego we własnym świecie Marata.

Bała się nawet Klary. Wiedziała, że w chwili zagrożenia ta zdradliwa suka bez wahania wbiłaby jej nóż w plecy.

Bała się, że coś nieodwracalnie się zepsuło, skoro w połowie wyprawy czuła się w miarę komfortowo jedynie w towarzystwie nieznanego faceta i głupkowatego chłopaka, który nie byłby w stanie jej obronić.

Postrzegła świat przez filtr dziwnego niepokoju. Nieoficjalnego, zakamuflowanego zwiastuna katastrofy. Coś, czego nie potrafiła zobaczyć ani nazwać, co zrodziło się z jej instynktu albo jakiejś wewnętrznej mądrości, wyraźnie podpowiadało, że powinna się przygotować na najgorsze.

ALEKSIEJ

Myślał, że już zawsze będzie tym drugim. Ciut słabszym w nauce. Ciut gorzej wysportowanym. Ciut mniej lubianym. Tym, który nigdy nie będzie podziwiany, ponieważ zawsze KTOŚ będzie od niego lepszy. Zdolniejszy i lepiej się zapowiadający. Bystrzejszy, bardziej kreatywny, a na dodatek mający wsparcie w równie uzdolnionym ojcu. Urodzony lider wypraw turystycznych, dla którego góry, szlaki i mapy nie mają tajemnic. Ulubieniec nauczycieli, chłopaków z sekcji sportowej, dziewczyn. Partyjny wzór. Zastrany samiec alfa.

Aleksiej nie spodziewał się, że kiedykolwiek będzie w stanie wyjść z cienia Wiktora.

Aż nastąpiła końcówka 1958 roku i karta wreszcie się odwróciła. To on spotykał się z piękną Klarą. To jego, a nie Wiktora, wybrano do zarządu sekcji turystycznej Politechniki Niesterskiej. To do niego w pierwszej kolejności zgłosił się Gonczar, kiedy kompletował drużynę na swoją uralską wyprawę.

Ale chwilę później wszystko dokumentnie się spieprzyło. Czy raczej to on, Aleksiej, wszystko dokumentnie spieprzył.

Widząc teraz Wiktora zmierzającego w jego stronę, miał nieodpartą pokusę, żeby wyrzucić mu krzywdę.

– Musimy pogadać. – Nie czekając na ripostę Aleksieja, Wiktor skierował się w stronę skarpy.

W dalszym ciągu poruszali się wzdłuż meandrującej rzeki, która opływała mniejsze i większe szczyty. Robiąc kolejny tego dnia postój, zatrzymali się przy tarasie widokowym. Rozciągała się z niego piękna panorama gór. Aleksiej nie poświęcił jej jednak nawet sekundy, ponieważ całą uwagę skupił na tym, aby pod wpływem negatywnego impulsu nie zepchnąć Wiktora w przepaść.

– Wortowie nas śledzą – oznajmił Gonczar.

– Skąd wiesz?

– Misza zauważył ich ślady wokół obozu.

Aleksiej był przekonany, że Wiktor chce pogadać prywatnie. O Klarze, o ich relacji, o napięciu, które obaj podskórnie wyczuwali. Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewał.

– To dlatego przez większość dnia szedłeś z tyłu? – zapytał.

Wiktor kiwnął głową.

– Próbowałem ich wypatrzeć, ale najwyraźniej dobrze się kamuflują albo utrzymują bezpieczny dystans. Zresztą świetnie znają te góry, a my poruszamy się jak wóz z węglem, więc tropienie nas to dla nich pestka. – Wiktor nasunął czapkę na uszy, bo poczuł lodowaty podmuch. Nie pierwszy tego dnia. I z pewnością nie ostatni. – Problem w tym, że my też idziemy po śladach jakiegoś wertyjskiego myśliwego. A to oznacza, że jesteśmy otoczeni przez dzikusów.

Aleksiej zrozumiał, że rzeczywiście mają problem.

– Musimy o tym powiedzieć pozostałym – stwierdził.

– Nie – zaprotestował Wiktor. – Wpadliby w panikę. A przecież nie wiemy, czy to w ogóle oznacza coś złego. Może to normalne, że Wortowie śledzą ludzi, którzy wtargnęli na ich ziemię.

– To dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo nie ufam Miszy. Nie chcę dzielić z nim sekretów. I muszę wiedzieć, czy staniesz po mojej stronie, jeżeli wydarzy się coś dziwnego.

– Coś dziwnego?

– Na przykład atak Wortów. Albo coś, co spowoduje, że grupa będzie musiała się opowiedzieć za mną albo za Klimienką. To co?

Aleksiej czuł ciężar ponaglącego spojrzenia Wiktora, który oczekiwał natychmiastowej jednoznacznej reakcji. Sam fakt, że musiał się do niego zgłosić z czymś na kształt prośby, stanowił dla niego dyskomfort. Z pewnością nie zdecydowałby się na to, gdyby nie miał poczucia, że znów ma nad Aleksiejem przewagę. Że znów jest tym pierwszym. Niekwestionowanym liderem. Szefem. Samcem alfa.

– Jasne – odparł Aleksiej. – Będę miał oczy szeroko otwarte i w razie kłopotów opowiem się po twojej stronie. Też nie jestem fanem tego faceta. Tyle że nie podoba mi się sposób, w jaki chcesz to rozegrać. Jesteśmy drużyną. Ludzie znają swoje role i mają doświadczenie w chodzeniu po górach. Moim zdaniem powinni o wszystkim wiedzieć.

Wiktor, który zdobywszy w Aleksieju sojusznika, na chwilę wypogodniał, teraz ponownie się nachmurzył.

– Na szczęście to nie ty podejmujesz decyzje.

Aleksiej zerknął w kierunku skarpy. Wiktora dzieliły najwyżej dwa metry od kilkudziesięciometrowego uskoku. Dwa metry albo jedno mocniejsze popchnięcie.

– Gdy wrócimy do grupy, spróbuj zachowywać się normalnie – powiedział Wiktor. – Nie gap się na Miszę i nie rozglądaj za Wortami. A jeśli ktoś cię zapyta, o czym rozmawialiśmy, powiedz, że o studiach.

Aleksiej kiwnął głową. Skapitulował.

– Nie skrzywdź jej – powiedział.

– O kim mówisz?

– O Klarze. To dobra i wrażliwa dziewczyna. A do tego dość naiwna. Może... – Aleksiej się zawahał – może błędnie interpretować niektóre zachowania.

Wiktor zrobił krok w jego stronę. Stanęli twarzą w twarz.

– To nie twoja sprawa. Już nie. I radzę ci, żebyś za bardzo się nią nie interesował.

Aleksiej miał okazję dobrze poznać Wiktora. Widywał go w szkole, na wycieczkach, podczas imprez i uroczystości studenckich, trzeźwego i pijanego, wesołego i przygnębionego. Ale kiedy Gonczar zaczął mu grozić, dostrzegł w jego oczach coś, czego do tej pory nie widział. Zazdrość? Wściekłość? Strach? Niepoczytalność? Nie, raczej coś niedookreślonego. Coś, z czym pod żadnym pozorem nie miał ochoty się mierzyć.

MISZA

Kiedy ślady wertyjskiego myśliwego nagle się urwały, Misza zaklął pod nosem. Nieco przesadził, opowiadając turystom o swoim niesamowitym górskim doświadczeniu, ale był przekonany, że podoła nawigacyjnym obowiązkom, które przejął od Wiktora, gdy ten wycofał się na tyły grupy. Jednak wobec pogarszającej się pogody – wiatr dał coraz silniej, śnieżycy utrudniała widoczność, a temperatura zjechała niemal do arktycznych wartości – był bezradny.

– Wszystko w porządku? – zapytał Wiktor, który musiał się zorientować, że coś jest nie tak, ponieważ dołączył do niego na czele grupy.

Misza przestał się wgapiać w śnieg.

– Przejmij prowadzenie i idź wzdłuż rzeki – odparł, patrząc rozmówcy w oczy. – Wkrótce zacznie się ściemniać, więc po półgodzinie marszu zacznij szukać miejsca na obóz.

Wiktor wyglądał na zmieszanego.

– A ty?

– Muszę coś sprawdzić.

– Co?

Zważywszy na to, że dołączyli do nich pozostali, milczenie było najbardziej stosowną odpowiedzią, jakiej Misza mógł udzielić. Wiktor dobrze ją zinterpretował i bez słowa wysunął się na czoło grupy.

– A ty dokąd? – spytał Leon, widząc, jak Misza oddala się w stronę zamarzniętej rzeki.

– Domyśl się.

Mimo zmęczenia Leon zdobył się na uśmiech.

– Tylko nie osraj sobie kurtki...

Misza puścił docinek mimo uszu, skupiając się na tym, aby możliwie najmniej inwazyjnie pokonać drogę dzielącą go od rzeki. Najmniej inwazyjnie, czyli starając się nie zostawiać śladów. On mógłby je przeoczyć, ale żaden z tutejszych górali raczej nie popełni takiego błędu.

Schował się za drzewami, kilkanaście metrów od szlaku, którym podążali. Czekał. Nasłuchiwał. Myślał. Wyszedł z założenia, że skoro w ciągu dnia ani razu nie zobaczyli Wortów, ci musieli zadbać o to, żeby nie znaleźć się w ich polu widzenia. Tym bardziej że Wiktor i Aleksiej, który najwyraźniej też został wtajemniczony, dość nachalnie gapili się za siebie. Misza miał więc nadzieję, że jeżeli sprytnie odseparuje się od grupy, Wortowie nie zdołają się o tym dowiedzieć.

Słyszał historie o plemionach atakujących turystów. O dzikusach faszcerujących się jakimiś naparami albo przesadzających z alkoholem, a potem robiących straszne rzeczy. O dziwnych rytuałach odprawianych przez nich na ziemiach, które uważali za święte. Dlatego choć sam nigdy nie doświadczył agresji ze strony Wortów, wolał wiedzieć, czy rzeczywiście mają z nimi do czynienia. A jeżeli tak, to ilu ich jest, jak wyglądają i w co są uzbrojeni.

Minęło dziesięć minut. Nikt się nie pojawił.

To mogło oznaczać, że Wortowie odpuścili szpiegowanie, uznawszy turystów za niegroźnych. Albo że wcale ich nie śledzili, a jedynie przypadkowo natknęli się na obozowisko, które ich zainteresowało. Albo że on nie był tak dyskretny, jak sądził.

Odczekał jeszcze chwilę, wysikał się i wrócił na szlak.

Wtedy ich zobaczył.

Dwóch Wortów. Niższego i wyższego. Stali na wysokości punktu, w którym Misza oddzielił się od grupy. Najpierw bezdźwięcznie tam dotarli, a teraz w milczeniu przyglądali się facetowi, który nie miał bladego pojęcia, jak się zachować. Powiedzieć coś? Pozdrowić ich? Uśmiechnąć się? Zacząć uciekać?

W końcu ostrożnie uniósł dłoń. Pomachał do nich. Wolno i niepewnie, żeby przypadkiem nie doszli do jakiejś dziwnej konkluzji. Ale Wortowie wciąż stali nieruchomo. Uparcie patrzyli w jego kierunku, nie zdradzając swoich zamiarów. W pewnym momencie Misza zaczął się zastanawiać, czy to rzeczywiście myśliwi. Czy w tej śnieżycy nie doświadczył mirażu, biorąc dwa człekopodobne pnie za ludzi, których jeszcze chwilę wcześniej tak bardzo pragnął zobaczyć. Wtedy jeden z Wortów się poruszył. W jego dłoni błysnęła myśliwska klinga. Szedł w stronę Miszy.

Klimienko zaczął gorączkowo szukać broni. Ale zanim wy dobył nóż, Wort się zatrzymał. Przyłożył ostrze do drzewa. Wykonał kilka wprawnych nacięć, oznaczając prostymi symbolami teren dla swoich pobratymców.

I albo się Miszy zdawało, albo Wort posłał mu uśmiech.

Chwilę później Misza jeszcze raz pomachał w stronę myśliwych i na miękkich nogach ruszył pod górę.

LEON I EMIL

– To którą?

Leon wyjął z ogniska długi badył, który służył mu jako pogrzebacz, i zerknął na Emila.

– Co którą?

– Którą byś wyruchał?

Z całą pewnością nie było to pytanie, jakie Leon chciałby usłyszeć. Ale Emil rzadko mu takie zadawał.

– Żadną – odparł.

– Nie ma takiej odpowiedzi. Do wyboru są trzy inne: Klarę, Daniellę albo wszystko mi jedno, bo jestem tak wyposzczony, że zerznąłbym nawet drzewo.

Śmiech Emila poniósł się po obozowisku. Skupił na sobie uwagę dziewczyn, Miszy, który od czasu nieplanowanego postoju na trasie pogrążył się w niezrozumiałym milczeniu, poganiającego wszystkich Wiktora, a także pozostałych chłopaków, w skupieniu wykonujących swoje zadania. Tylko Leon udawał niezainteresowanego.

– No to którą? – ponowił Emil.

Leon pokręcił głową. Lubił Emila. Uważał, że bez niego wyprawa byłaby znacznie nudniejsza. Ale czasem kolega niemiłosiernie go wkurwiał. Zachowywał się jak dzieciak, który nie rozumie, że w pewnym momencie trzeba zakończyć zabawę i przestać wiercić dziurę w brzuchu.

– O co ci chodzi? – spytał Leon. – Każdemu zadajesz to pytanie, a potem zliczasz odpowiedzi?

– Na razie tylko tobie.

– Po co ci ta wiedza?

Emil wzruszył ramionami.

– Uważam, że nie ma nic wstydliwego w rozmawianiu o sprawach damsko-męskich. Niczym się to nie różni od gadania o górach, polityce albo wódce. Gdybyś mnie zapytał, ile razy podczas wyjazdu waliłem konia, tobym ci powiedział bez oporów.

– Nie zapytałem i raczej...

– Dwanaście. – Emil klepnął go w ramię. – Nie bądź takim sztywniakiem. To nie klasztor. Którą?

Leon zerknął w stronę dopiero co postawionego namiotu, gdzie dziewczyny przygotowywały miejsca noclegowe.

– Danielę – odparł.

– Poważnie?

– Wiem, że Klara jest ładniejsza. Bardziej kobieca. Wręcz podręcznikowo piękna. Ale przez to jest zbyt... zwyczajna.

– A czego ty byś chciał? Żeby miała trzy ręce? Przecież może cię obsłużyć jedną.

– Po prostu mnie nie pociąga.

– A Daniela tak?

– Ma coś w sobie.

– Coś z chłopca?

– Coś ciekawego. I na swój sposób pociągającego.

Emil prychnął pod nosem.

– To zaślepiona ideałami komunistka. Musiałbyś być pierwszym sekretarzem komitetu obwodowego partii, żeby rozłożyła przed tobą nogi.

– Odpierdol się. Chciałeś, żebym wybrał, więc wybrałem. – Leon wiedział, że w tym miejscu powinien zakończyć temat, ale coś nie dawało mu spokoju. – Ty, jak rozumiem, wolałbyś Klarę.

Emil również spojrział w stronę namiotu.

– Ja mam na to dwie odpowiedzi. Pierwsza jest taka, że nie tknąłbym żadnej, i to nawet kijem przez ścierkę. Obie wydają się cnotkami, do których nie warto się dobrać. Chyba że nazywasz się Wiktor Gonczar.

– A druga odpowiedź?

– Wyruchałbym obie. Naraz albo jedną po drugiej. Szybko, ostro i tak, żeby to na długo zapamiętały.

Przez kilka następnych minut, w trakcie których ognisko stawało się coraz potężniejsze i nawet fatalna pogoda przestała im doskwierać, robili swoje w milczeniu. Leon nie mógł jednak oderwać myśli od Emila, który momentami go przerażał. Do czego byłby zdolny, gdyby nadarzyły się ku temu okoliczności i zabrakło kogoś, kto powściągnąłby jego fantazje? Podskórnie czuł, że Emil jest niewyżytym, mściwym i pełnym gniewu gnojkiem, który mógłby przekroczyć niejedną granicę, aby zaspokoić swoją nienasyconą chęć.

Emil z kolei myślał o Leonie. Był pewien, że ten grzeczny i wrażliwy chłopiec, który nieustannie dowcipkuje, pogrywa na mandolinie i z krępacją opowiada o swoich fantazjach, tak naprawdę jest kimś innym. Kimś takim jak on. Uważał, że są ulepieni z tej samej gliny. Jednakowo ciekawi świata. Tego, co ma im do zaoferowania. Oraz tego, co kryje się pod spódniczkami. Różnili się jedynie tym, że Leon wypierał się swoich pragnień.

Jakby żądza rzucenia się na kobietę i zdercia z niej kiecki była czymś wstydliwym. Jakby przerobił to tyle razy, że już w ogóle go to nie rajcowało. A przecież Leon tak samo jak on czuł się niespełniony. Spragniony. Gotowy wreszcie wskoczyć do tej rzeki. I zrobić to, co od dawna chodziło mu po głowie. Bez względu na konsekwencje.

WIKTOR

Dyscyplina.

W domu Wiktora Gonczara to słowo odmieniano przez wszystkie przypadki. Wypowiadano je częściej niż „komunizm”, „ojczyzna” czy „Stalin”. Częściej niż „szkoła”, „nauka”, „praca”. Dyscyplina wymieniana była wraz ze wszystkimi swoimi przyległościami: konsekwencją, pracowitością, regułami, obyczajami, porządkiem. Dyscyplina była wszystkim.

Wiktor uważał się za osobę perfekcyjnie zdyscyplinowaną. Pełnej subordynacji wymagał także od uczestników swojej wyprawy. Żadnej samowoli. Żadnego odpuszczania. Żadnych odstępstw od normy. I dlatego, choć wszyscy mieli tego dnia po dziurki w nosie i najchętniej wpełzliby do namiotu, Wiktor uparł się, aby zjeść kolację przy ognisku, tak jak to robili dotąd. Wiedział, że być może po raz ostatni mają ku temu okazję.

– Musimy przywyknąć do takich warunków – powiedział, spoglądając na Daniełę, która rozmasowywała zziębnięte ramiona. – Od tej pory będzie już tylko gorzej. Zimniej, bardziej wietrznie, samotniej. Czeka nas wyzwanie dla ducha i ciała.

W zasadzie nie musiał im tego mówić. Wszyscy mieli jakieś doświadczenie górskie, więc w mniejszym czy większym stopniu wiedzieli, czego się spodziewać. Ale Wiktor uważał, że ludzka psychika ma w zwyczaju gubić się w gąszczu myśli. Tracić z oczu cel. Mięknąć. Że trzeba ją nieustannie podierać palami, aby się nie wywróciła.

– Jutro rozbijemy szalas – oznajmił, przeżuwając ostatni kęs chleba. – Zostawimy w nim rzeczy, które nie będą nam potrzebne w następnych dniach, za to mogą okazać się przydatne podczas powrotu. Mamy już listę.

Zerknął na Leona, ponieważ jego ta sprawa najmocniej dotykała. Jeszcze przed wyjazdem, kiedy omawiali plan wyprawy, pokłócili się o mandolinę. Wiktor uważał, że instrument będzie zbędny, kiedy przyjdzie im się przemieszczać z przełęczy na przełęcz. Ale teraz nie był tego do końca pewien. W końcu mandolina umilała im każdy wieczór. Podnosiła ich na duchu. Rozładowywała napięcia. Gdyby nie radosne przygrywki Leona, być może już dawno skoczyliby sobie do gardeł.

– Jutro czeka nas ostatni tak przyjemny nocleg – kontynuował Wiktor. – Kilka kolejnych spędzimy na otwartej przestrzeni. Będziemy trawersować zbroczka, żeby w jak najkrótszym czasie dotrzeć na Szelichamat.

Spojrzał na Miszę, który kilka godzin wcześniej stwierdził, że to nie najlepszy pomysł. Jego zdaniem rozsądniej byłoby pójść określoną drogą, aby jak najdłużej utrzymać się w strefie drzew, a więc z dala od lodowatych podmuchów. Ale Wiktor nawet nie chciał o tym słyszeć. Po pierwsze, uważał, że są wystarczająco zaprawieni w boju, aby wytrzymać w takich warunkach. A po drugie, to był pomysł Miszy. Może gdyby wyszedł od kogoś innego, wzięłyby go pod rozwagę.

– Na odsłoniętym terenie będziemy mogli liczyć wyłącznie na siebie. W takich warunkach nikt nam nie przyjdzie na ratunek. Musimy perfekcyjnie współpracować, żeby...

– Zamknij się.

Wiktor nie był pewien, skąd padły te słowa. Ale słuch go nie mylił.

– Kto to powiedział?

– Nie musisz nam tego ciągle przypominać – odezwał się Aleksiej, który siedział po drugiej stronie ogniska. – Znamy plan wyprawy na pamięć.

– Wolę się upewnić, żeby potem...

– Wszyscy są zmęczeni i chcieliby odpocząć, a ty przymuszasz swoim głędzeniem. Odpuść. – Aleksiej spojrzał na Wiktora szeroko otwartymi oczami. Jakby sam był zdziwiony tym, co powiedział.

– O co ci chodzi?

– O to, że wygłaszasz jakieś mądrości z ambony, zamiast dać nam odpocząć.

– Z ambony? – Wiktor parsknął pod nosem.

– Tak, z ambony. Jakbyś czuł się jakimś kapłanem. Albo wszechwiedzącym bogiem.

Wiktor zgromił Aleksieja wzrokiem. Myślał, że dzieląc się z nim sekretem na temat Wortów, zyska jego przychyłność. Nie spodziewał się, że uzbroi go w irracjonalną pewność siebie. Że wręczy mu asa, którym Aleksiej będzie próbował zagrać przeciwko niemu. Na przykład wyjawiając uczestnikom wyprawy, że Wiktor zataił przed nimi informację na temat zagrożenia.

Tylko dlaczego miałby to robić? Przez Klarę? Z zazdrości? Z głupoty?

– Bóg nie istnieje, a ja nie jestem żadnym kapłanem. Ale obowiązkiem każdego lidera jest dbać o swoich ludzi. Niektóre rzeczy wypada powiedzieć więcej niż raz, żeby podkreślić ich wagę. A o innych lepiej w ogóle nie mówić. Wiedziałbyś o tym, gdybyś miał jakiegokolwiek pojęcie o przywództwie.

– Kiedyś już byłem liderem.

– Ktoś popełnił błąd, pozwalając ci na to.

– I pewnie zostanę nim ponownie. Może nawet w trakcie tej wyprawy.

Wiktor utkwiał w nim oczy. Miał ochotę go zabić. Za cwaniactwo. Za zdradę. Za brak DYSCYPLINY. Podważanie autorytetu lidera było jednym z największych błędów, jakie można popełnić na wyprawie. Nieusprawiedliwiałym. Niewybaczalnym.

W końcu Aleksiej odwrócił wzrok.

– Dokończcie kolację i posprzątajcie po sobie – powiedział Wiktor, wstając od ogniska. – Wyruszamy o świcie. Jak zawsze.

Posłał Aleksiejowi ostatnie nienawistne spojrzenie i wszedł do namiotu. Nie wiedział, co zamierza tam zrobić, ale nie chciał, aby ludzie widzieli go w takim stanie: wściekłego, rozedrganego, wyprowadzonego z równowagi. Musiał się uspokoić. Wziął kilka głębokich wdechów i przebiegł wzrokiem po namiocie. Ale gdy natknął się na posłanie Aleksieja, na jego wypakowany do połowy plecak, na porozrzucane, zniszczone, brudne ciuchy, ponownie wezbrał w nim gniew.

Chwilę później w namiocie pojawiła się Klara. Podeszła do Wiktora i ostrożnie położyła mu dłoń na ramieniu. Jakby się go bała.

– Co się tam wydarzyło? – zapytała niemal szeptem.

– To, co widziałaś – fuknął Wiktor. – Zaatakował mnie.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. To twój były. Znasz go lepiej ode mnie.

– Nie bądź świnią. Widziałam, jak rozmawialiście na szlaku, więc pretensje możesz mieć wyłącznie do siebie.

Wiktor potrząsnął głową.

– Zniszczę go. Zatłukę jak psa.

– Uspokój się. I przestań wygadywać takie bzdury.

Wiktor spojrział na nią spode łba. Nagle przypomniał sobie, co mu o niej mówili. O niej i o Aleksieju. O tym, co ze sobą robili. O tym, jak się ruchali. W pewnym momencie przeniósł na nią całą nienawiść, jaką pałał do Aleksieja.

Miał już powiedzieć coś, czego Klara prawdopodobnie nigdy by mu nie wybaczyła, kiedy rozległ się piskliwy krzyk.

Daniela.

Wyszli z namiotu i zobaczyli, jak dziewczyna ucieka na drugą stronę ogniska. Na miejsce, w którym siedziała, zwałił się jakiś mężczyzna.

– Spokojnie – odezwał się Misza. – Nic się nie stało.

Po kilkusekundowej konsternacji zbliżyli się do nieznanego.

– Jest ranny – zauważył Wiktor.

Kilku uczestników wyprawy podeszło do mężczyzny i odciągnęło go od ogniska. Zdjęli mu plecak, a następnie oparli bezwładne ciało o pień. Podwinęli nasuniętą na oczy

czapkę, spod której wyłoniła się podrapana, sponiewierana przez wódkę twarz.

Andriej. Najniższy i najbardziej wygadany z trójki pijaków, których dwa dni wcześniej spotkali na trasie.

– Nic mu nie jest – ocenił Misza, obmacując ciało Andrieja. Następnie przystawił ucho do jego twarzy. – Bełkocze. Nachlał się jak świnia.

– Skąd ta krew? – spytała Daniela, nadal solidnie przestraszona.

– Pewnie wywalił się po drodze. Raczej więcej niż raz. Ważniejsze pytanie brzmi: gdzie są jego kumple?

Próbowali się tego dowiedzieć, ale Andriej tylko mamrotał coś niezrozumiale. Był zbyt pijany, żeby dało się nawiązać z nim kontakt.

– Zanieśmy go do namiotu – powiedział Misza. – Gdy wytrzeźwieje, dowiemy się, co się stało.

– Przecież nie wiemy, kto to jest – zaproponował Leon.

– Nie zostawimy go tutaj – stwierdził stanowczo Wiktor.

– A co z jego kolegami? – spytała Klara.

– Jeżeli leżą gdzieś nieprzytomni, to teraz i tak nic nie wskóramy. Jest ciemno, pogoda się psuje, a my nie mamy pojęcia, gdzie ich szukać. Musimy mieć nadzieję, że nic im nie jest. – Wiktor zerknął na Miszę, a potem na Aleksieja. Znów poczuł, że wzbiera w nim gniew. – Ktoś ma lepszy pomysł?

Nikt nie miał. A przynajmniej nikt nie odważył się go przedstawić.

18.

31 STYCZNIA 1959

KLARA

Głowę miała wypchaną masą dziwnych informacji. Wiedziała na przykład, jak zrobić ciasto bez mąki, że ziewanie prawdopodobnie służy do schładzania mózgu albo ile wynosiła średnia długość życia starożytnych Rzymian. Gromadziła je podczas najróżniejszych okazji, a potem wyrzucała z siebie w trakcie takich wyjazdów jak ten, kiedy już byli ze sobą dość długo, aby wyczerpać wszelkie bieżące tematy.

Jedna z ciekawostek dotyczyła tego, jak odróżnić człowieka, któremu od czasu do czasu zdarza się przeholować z wódką, od pijaka, u którego chłanie jest na porządku dziennym. Ten pierwszy zwykle wyrzuca z siebie toksyny, które dokonały inwazji na jego przewód pokarmowy, żołądek, wątrobę czy trzustkę. Natomiast pijak, o ile ma zdrowe bebechy, nigdy tego nie robi. Jakby miał zakodowane w organizmie, że mu nie wolno. Że przecież nie po to wlewa w siebie gorzałę, aby potem ją marnotrawić.

Tej nocy Andriej nie uronił ani kropli.

Kiedy korzystając z nieco lepszej pogody, turyści wyszli na zewnątrz, aby ustalić, co zrobić z niespodziewanym gościem, Klara postanowiła się nim zaopiekować. Przyniosła mu wodę i resztki z kolacji – ciężkawkę jak na pierwszy posiłek po pijaństwie, ale pomyślała, że skoro przetrwał noc bez wymiotów, to jego organizm zniesie wszystko. Usiadła obok jego posłania i patrzyła, jak się przebudza. Jak niechętnie unosi sklezione powieki i pytającym wzrokiem omiata przestrzeń.

– Jesteś bezpieczny – powiedziała. – Spędziłeś noc w naszym namiocie. Kilka kilometrów od miejsca, w którym się widzieliśmy.

Nie była pewna, czy Andriej ją kojarzy, mimo że tamtego dnia nachalnie jej się przyglądał. Nie miała pojęcia, czy pamięta, co robił poprzedniego wieczoru. Nie miała też pojęcia, jakie są jego zamiary, dlaczego trafił do ich obozu ani kim tak naprawdę jest. Ale uznała, że nawet gdyby się okazał zwyrodniałym mordercą, to w takim stanie nie mógłby wyrządzić nikomu krzywdy.

– Chcesz coś zjeść?

Andriej spróbował pokręcić głową, ale poczuł tylko potworny ból.

– Wody – wychrypiał.

Klara pomogła mu usiąść, a następnie napoiła go z metalowego kubka. Pił szybko, zachłannie i nieudolnie, tyle samo wylewając na siebie, co wlewając do gardła. Kiedy skończył, podsunęła mu jedzenie pod nos. Przez kilka sekund patrzył na nie nieufnie, jakby nie był pewien, czy zdoła je przyswoić, ale potem brudnymi paluchami zaczął wybierać potrawkę z talerza. Jak zwierzę, od którego tak bardzo się nie różnił.

Poprzedniego wieczoru pobieżnie go zbadali. Był pijany i krańcowo zmęczony, ale żył. I chyba w gruncie rzeczy miał się nieźle. Kiedy w obawie, że zasmrodzi namiot, ściągnęli z niego cuchnące ciuchy, przekonali się, że nie ma żadnych złamań ani niepokojących stłuczeń. Krew na jego twarzy i ubraniu pochodziła z pokaleczonych policzków i rąk, była owocem pijackiej wędrówki przeplatanej potknięciami, upadkami i osunięciami. Oprócz tego nie dostrzegli większych ran. Być może doznał jakichś wewnętrznych obrażeń albo uszkodził głowę, ale tego mogli się dowiedzieć dopiero po rozmowie.

Do obrażeń mózgu najczęściej dochodzi pod wpływem alkoholu, pomyślała Klara. Kolejna bezwartościowa ciekawostka z jej świata.

– Pamiętasz, co się stało? – zapytała. – Jak się tutaj znalazłeś? Co przedtem robiłeś?

Andriej ze sporym opóźnieniem podniósł na nią zamglony wzrok. Ale zamiast odpowiedzieć, ponownie skupił się na żarciu.

Przetrzasnęli jego wypchany po brzegi plecak. Miał w nim sporo sprzętu turystycznego i ubrań, zapas konserw, kilka książek i parę butelek ze spirytusem – raczej niesłużącym do odkażania ran. A do tego nóż oraz pistolet. Na wszelki wypadek zarekwirowali jego broń. Spakowany był jak na długą wędrówkę – i to nie tylko po górach. Tym bardziej zaskakujące było to, że nie miał przy sobie żadnych dokumentów, zezwoleń ani nawet map. Niczego, co mogłoby rzucić jakiegokolwiek światło na jego historię.

– Gdzie są twoi kumple? – Klara dla własnego spokoju chciała wyciągnąć z Andrieja kilka informacji, zanim zajmie się nim reszta grupy. – Co się z nimi stało?

– Poszli do domu – odburknął z pełnymi ustami.

– Co?

– Do domu. – Spojrzał na Klarę, nieelegancko przeżuwając jedzenie. – Znudziła im się wycieczka, więc postanowili wrócić. Zostałem sam.

Nie brzmiało to zbyt wiarygodnie. Ale jeśli rzeczywiście podróżowali na czuja i bez planu, gotowa była mu uwierzyć. Tyle że to nie tłumaczyło braku dokumentów. Ani tego, jak do ich wyprawy w ogóle doszło.

– W jaki sposób nas znalazłeś? I co dalej zamierzasz?

Andriej zbywał milczeniem kolejne pytania. W końcu odstawił na bok wymięciony do czysta talerz i spróbował się podnieść.

– Pomożesz mi wstać? – zapytał. – Muszę się odlać. A może i wysrać...

Klara wolałaby go nie dotykać. Ale zaniepokoiła ją perspektywa tego, co mogłoby się stać, gdyby pozostał w namiocie.

Zwaliste ciało niełatwo było przywrócić do pionu, a potem wyprowadzić z namiotu. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, obkleiły ich spojrzenia pozostałych członków wyprawy, którzy podzielili się na dwie grupy. W pierwszej byli Wiktor, Misza i Aleksiej, a w drugiej reszta. Przywódcy i przydupasy. Jedni i drudzy wyglądali na jednakowo zaskoczonych widokiem Klary prowadzącej obcego faceta w krzaki.

– Jak masz na imię? – zapytał Andriej.

– Klara.

– Dzięki za pomoc, Klaro. – Ciężka głowa wolno przekreśliła się w jej stronę. Dziewczyna poczuła fetor strawionego alkoholu. – Wiesz, że jesteś piękną kobietą?

– Dziękuję.

Klara się zawstydzila. Nigdy nie wiedziała, jak reagować na komplementy. Tym bardziej gdy wypowiadał je facet, który zdawał się przeczyć teorii ewolucji.

– Czy mogę mieć do ciebie jeszcze jedną prośbę?

– Oczywiście.

– Potrzywasz mi?

W pierwszej chwili Klara nie zrozumiała, o co mu chodzi. Pojęła to dopiero wtedy, gdy zobaczyła, jak się uśmiecha. Puściła go, a Andriej, który jeszcze nie odzyskał pełnej kontroli nad nogami, momentalnie się przewrócił. Jego bezwładne cielsko zanurkowało w półmetrową zaspę.

Facet zaczął pochrząkiwać jak świnia.

Chwilę później przekreślił się na bok. Sięgnął ręką do paska, po czym nieznacznie zsunął spodnie. W kilka sekund wyprodukował cuchnącą kałużę moczu.

WIKTOR

– Musisz nam dokładnie opowiedzieć, co się stało. Krok po kroku.

Andriej posłał Wiktorowi lekko rozbawione spojrzenie, jak gdyby ten poprosił go o coś absurdalnego. Potem omiół wzrokiem twarze pozostałych turystów, którzy otoczyli go niczym więźnia. Wzdychając, usiadł przy dogaszonym ognisku. Z leżącego obok plecaka wyjął paczkę papierosów, wymiętą tak, jakby razem z nim przeszła gehennę. Zapalił. Leniwie wypuścił dym.

– Nie ma o czym opowiadać. – Podrapał się po strupie na policzku. – Historia jest bardzo prosta. Wczoraj moi koledzy uznali, że nie mają ochoty na dalszą podróż.

– Dlaczego? – dopytywał się Wiktor.

– Bo im się znudziły góry? Bo byli zmęczeni? Bo sobie przypomnieli, że zostawili zupę na ogniu? Nie wiem. Nie pytałem.

– Twoi koledzy uznali, że się wycofują, a ty nawet nie zapytałeś dlaczego?

– Taki mieliśmy układ. Każdy robił swoje, nikomu się z niczego nie tłumacząc. Na tym polega prawdziwa wolność. – Andriej mrugnął do Klary, a ta momentalnie uciekła wzrokiem. – Wiem, że to może się nie mieścić w waszych inżynierskich głowach, ale my naprawdę lubimy poruszać się bez kagańca. Tylko wtedy można czerpać z tego frajdę.

– Długo byliście w podróży?

– Dwa tygodnie. Wystartowaliśmy w Niestierowie, a potem przemieszczaliśmy się na północ.

– Dokąd?

– A to trzeba dokądś? – Andriej znów się uśmiechnął. – Po prostu byliśmy w podróży. Nie trzeba jeździć z punktu A do punktu B, żeby to miało sens. Wystarczy opuścić punkt A.

– Jak się przemieszczaliście?

– Pociągami, autobusami, autostopem. Różnie.

– Ludzie nie bali się wziąć do samochodu trzech facetów?

– Zatrzymywali się tylko ci kierowcy, którzy niczego się nie boją. Poza tym dbaliśmy o to, żeby zawsze mieć przy sobie spirytus. To waluta, która bardzo przyspiesza podróż.

– Czyli wczoraj, po dwóch tygodniach snucia się po kraju, twoi znajomi postanowili się odłączyć, a ty ruszyłeś w kierunku szczytu. – Podsumował Misza, który z coraz większym powątpiewaniem wysłuchiwał tłumaczeń Andrieja. – Tak po prostu?

– Dokładnie tak.

– O której się odłączyli?

– Zjedliśmy śniadanie, pogadaliśmy, wypiliśmy po rozchodniaku i ruszyłem.

– Kiedy tu dotarłeś, wyglądałeś, jakbyś wlał w siebie cysterne.

– Bo to była baśniowa podróż. – Andriej wrzucił niedopałek do ogniska i natychmiast wyciągnął następnego papierosa.

– Gdzie masz namiot? – spytał Wiktor.

– Nie mam. Chłopcy go zabrali. Dlatego musiałem was odnaleźć.

Więc po co schlałeś się jak świnia? – zapytał Wiktor w myślach. Nie potrafił zrozumieć postępowania Andrieja. Nawet jeżeli facet miał poważny problem z alkoholem, to zachował się zupełnie irracjonalnie. Wbrew logice. Jakby celowo kusił los.

– Nie podróżujemy tak jak ty – powiedział. – My mamy jasno określony cel.

– Idziecie na Szelichamat. Pamiętam. Pamiętam też, że macie jedno miejsce wolne. – Andriej spojrzął w stronę namiotu. – Zresztą minionej nocy jakoś się pomieściliśmy.

– Chcesz do nas dołączyć? – Daniela znała odpowiedź, ale musiała o to zapytać.

– Tylko wtedy, jeżeli nie macie nic przeciwko.

Wszyscy popatrzyli na Wiktora, który pół godziny wcześniej dyskutował na ten temat z Miszą i Aleksiejem. Doszli do wniosku, że nie powinni, ot tak, przyjąć Andrieja do grupy. Ale skoro facet nie miał namiotu, nie mogli go zostawić na pewną śmierć.

– Nie zabierzemy ze sobą kogoś, o kim nic nie wiemy – stwierdził Wiktor, przerywając przeciągającą się ciszę.

– Wiecie, że mam na imię Andriej. Andriej Szawarow.

– Sprawdziliśmy twoje rzeczy. Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów.

– No i?

– Nie wiemy, czy mówisz prawdę. Poza tym to dziwne, że podróżujesz w ten sposób. Bez papierów, pozwoleń, map.

– Wolność ma swoją cenę. Czasem trzeba zaryzykować.

– Dwa dni temu nie chciałeś nam powiedzieć, gdzie pracujesz.

– W instytucji państwowej.

– To nic nie znaczy. Musimy znać konkrety.

– To oczywiste. W końcu jesteście inżynierami. – Andriej uśmiechnął się złośliwie. – *Homo unius libri timeo*.

– Co to znaczy?

– Strzeż się człowieka jednej książki – odezwał się Aleksiej. – Święty Tomasz z Akwinu. To motto Uniwersytetu Niestierowskiego.

Andriej bezdźwięcznie zaklaskał.

– W pewnym sensie jesteśmy jednocześnie sprzymierzeńcami i wrogami. Ludźmi nauki, którzy wybrali dwie skrajnie odmienne ścieżki dążenia do prawdy. Wy potrzebujecie namacalnych dowodów. Mnie interesuje zrozumienie motywów.

– Jesteś nauczycielem? – spytał Wiktor.

– Nauczycielem nauczycieli. Tworzę programy, które wykorzystują w swojej pracy. Wy konstruujecie nowy świat, ale to dzięki mnie rosną kolejne pokolenia filozofów, pisarzy i polityków.

Wiktor popatrzył na kolegów. Nie wyglądali na przekonanych tymi wyjaśnieniami. Ale przynajmniej byli mniej przerażeni.

– Masz rodzinę? – zapytał.

Andriej długo zwlekał z odpowiedzią. W końcu ponownie sięgnął do plecaka. Długo w nim gmerał, zanim wyciągnął jedną z książek. Spomiędzy sklejonych kartek wydobył zdjęcie i puścił je w obieg.

– To Oleg – powiedział. – Ma siedem lat. Jest uparty, złośliwy i piekielnie bystry.

Przekazywali sobie fotografię z rąk do rąk. Wiktor jedynie łypnął na nią okiem, a następnie posłał Danieli karcące spojrzenie. To ona sprawdzała rzeczy Andrieja. Ciekawe, co jeszcze przeoczyła.

– Rozumiem, że jest z twoją żoną, kiedy ty włączysz się po górach – odezwał się Misza.

– Tamara zmarła przy porodzie. Olegiem opiekuje się babcia.

Andriej odebrał zdjęcie od Wiktora. Na dłuższą chwilę zawiesił wzrok na synu, jakby musiał utrwalić sobie jego wygląd, po czym włożył fotografię z powrotem do książki.

– Jeżeli masz z nami zostać, musisz przestrzegać naszych reguł. – Wiktor splótł ręce na klatce piersiowej. – Przede wszystkim nie tolerujemy pijaństwa. Postanowiliśmy, że nie będziemy chlać na wyprawie, i zamierzamy się tego trzymać.

Andriej wzruszył ramionami.

– Jak mus to mus.

– To samo tyczy się papierosów. Jeżeli będziesz chciał zapalić, odsuń się od grupy. – Usłyszawszy to, Andriej teatralnie upuścił peta pod nogi. – A jeżeli sprowokujesz jakiś konflikt albo wyrządzisz komuś krzywdę, to się rozstaniemy. Bez względu na to, gdzie akurat będziemy przebywać. Chcemy zdobyć Szelichamat i odpowiednio udokumentować naszą wyprawę. Nie zakładaliśmy, że ktokolwiek się do nas przyłączy, więc twoja obecność nie zostanie w żaden oficjalny sposób odnotowana. Nie będzie cię na zdjęciach, nie wspomnimy o tobie w dzienniku wyprawy. Nie chcemy komplikować sytuacji. Czy to jasne?

– Jak słońce. – Mówiąc to, Andriej patrzył na Klarę.

– I jeszcze jedno. – Wiktor głośno wypuścił powietrze. – Musisz się umyć. Miniona noc nie była dla nikogo z nas przyjemna.

Andriej się roześmiał. A jego śmiech, jakże inny od tego sprzed kilkunastu minut, okazał się tak zaraźliwy, że po chwili kilka osób mu zawtórowało.

– Stawiasz twarde warunki – powiedział Andriej, drapiąc się po twarzy. – Ale to dobrze. Jeśli już ktoś wyznacza sobie reguły, powinien się ich stanowczo trzymać.

– Też tak uważam. W takim razie witamy na pokładzie. – Wiktor wyciągnął do niego dłoń. Andriej uścisnął ją, nie spuszczając z chłopaka wzroku. – A teraz do roboty. Pakujemy się, ogarniamy i wyruszamy. Straciliśmy wystarczająco dużo czasu.

ALEKSIEJ

Po pierwsze: dotrzeć na zbocze góry Alatanaj, skąd mieli rozpocząć triumfalny marsz w kierunku Szelichamatu. Po drugie: znaleźć miejsce na szałas, zbudować go i schować w nim wszystkie rzeczy, które na tym etapie wędrówki nie są im potrzebne. A po trzecie:

w miarę możliwości podążać śladami Wortów. W końcu to oni wiedzą najlepiej, jak się w tej okolicy poruszać.

Po kilku godzinach mozolnej wędrówki dla Aleksieja stało się jasne, że tego dnia trudno będzie im osiągnąć choćby jeden z postawionych celów. Przewodzący grupie Wiktor ciągle gubił drogę i nawet wsparcie doświadczonego Miszy niewiele w tej kwestii zmieniło. Przedzieranie się przez potężne zasy było wyjątkowo męczące, zwłaszcza dla osób torujących drogę pozostałym. W dodatku po obiecującej porannej pogodzie nie było już śladu. Najpierw zerwał się złowieszczy wiatr, który miotał zalegającym na drzewach białym puchem, znacząco pogarszając widoczność, a potem ze stalowoszarego nieba wyłoniła się regularna śnieżycą.

Czuli się jak dzieci we mgle. Oślepieni. Zdezorientowani. Bezradni.

Aleksiej nie miał jednak wątpliwości, że dla każdego z nich największym problemem nie są warunki atmosferyczne, tylko obecność Andrieja. Wiedzieli, że przygarniając go do grupy, postąpili w jedyny słuszny sposób. Mimo to każdy podskórnie czuł, że coś z tym facetem jest nie tak.

Andriej przez większość dnia snuł się w ogonie pochodu – zresztą po takim pijaństwie, jakie sobie zafundował, nikt nie oczekiwał, że będzie nadawał tempo wycieczce. Po jednej ze swoich zmian Aleksiej wycofał się na tył, odpoczął i postanowił do niego dołączyć. Przez kilka minut podążał tuż za nim, uważnie obserwując jego ruchy. Jakby ze sposobu, w jaki Andriej się porusza, mógł wyczytać jego zamiary.

– Chyba coś cię dręczy, młody człowieku – odezwał się Andriej, jak gdyby poczuł na poślaskach jego wzrok. – Śmiało, pytaj. Nie gryzę.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Aleksieja. Następnie zwolnił, celowo zwiększając dystans dzielący ich od pozostałych.

– Od dawna pracujesz na uniwersytecie? – zapytał Aleksiej.

Andriej wyglądał na rozbawionego.

– Pół dnia się czaileś, żeby o to zapytać?

– Zaciekawilo mnie to, co powiedziales o swojej pracy. Uznalem, ze skoro tworzysz programy nauczania i masz odwage, aby tak swobodnie lazic po gorach, musisz byc kimś waznym.

– Gdyby tak było, moje działania nie miałyby nic wspólnego z męstwem. Wykorzystywanie pozycji zawodowej nie jest oznaką odwagi, tylko tchórzostwa i arogancji. Ale masz rację. Od ponad dziesięciu lat babrzę w umysłach najważniejszych humanistów w tym kraju.

– Zajmujesz się literaturą?

– Ludźmi. Tymi, którzy pisząc powieści, opowiadania czy satyry, próbują przekazać nam jakąś prawdę o świecie. Zwykle inną od tej, jaką można wyczytać na pierwszy rzut oka.

– Czyli jesteś cenzorem.

– Raczej recenzentem i antropologiem. Analizuję życiorysy pisarzy i filozofów, a następnie nakładam je na ich twórczość. Tylko w ten sposób można zrozumieć, co Gorki czy Szołochow tak naprawdę myślą o naszej ojczyźnie i dlaczego ich poglądy aż tak bardzo nie różnią się od zdradzieckich ideologii Pasternaka czy Nabokowa. – Kiedy odstęp dzielący ich od grupy sięgnął kilkudziesięciu metrów, Andriej przystanął i wyciągnął papierosa. Minęło kilka długich sekund, zanim udało mu się zapalić. – W końcu żadnemu z nich nie można odmówić talentu, wiedzy czy inteligencji. A mimo to jedni uwili sobie milutkie gniazdko w naszym cudnym kraju, a drudzy kategorycznie odrzucili system, czym może i zyskali trochę rozgłosu, ale przede wszystkim napytali sobie biedy. Jedni są niezbyt urodziwymi, ale piekielnie przebiegłymi kameleonami, a drudzy pięknymi, choć kompletnie nieprzystosowanymi do życia padalcami. Szkoda. – Ponownie przyjrzał się Aleksiejowi. – Wyglądasz, jakby cię prąd kopnął.

Aleksiej bił się z myślami. Było w Andrieju coś, co nie dawało mu spokoju. Jakaś niejasność. Sprzeczność.

– Nie spodziewałem się, że...

– Że człowiek pracujący na uniwersytecie może mieć tak wywrotowe poglądy? I słusznie. Nie jestem antypaństwowcem. Ale też musiałbym nie mieć za grosz oleju w głowie, aby powiedzieć, że Pasternak to śmieć. – Andriej wypluł drobinę tytoniu, które osiadły mu na języku. – Po prostu urodził się w niewłaściwej czasoprzestrzeni.

Zrobiło się stromiej, więc przez jakiś czas szli w milczeniu, ciężko dysząc. Przodował w tym Andriej, któremu wspinaczkę utrudniały procenty parujące przez skórę. Jego ciało wysyłało wyraźne sygnały, że nie zgadza się na tak kategoryczną detoksykację.

– Zdradzisz w końcu, o czym chciałeś pogadać? – Kiedy teren się wypląszczył, Andriej odzyskał dech. – Domyślam się, że nie o literaturze. Inżynierów rzadko rajcuje takie rzeczy.

– W zasadzie o niczym konkretnym – odparł Aleksiej. – Chciałem się tylko czegoś o tobie dowiedzieć.

– Twoi koledzy też są ciekawi, a mimo to boją się rozmawiać. Traktują mnie jak piątę koło u wozu.

– Dziwisz się?

– Kształcę socjologów i myślicieli, więc ludzie rzadko mnie zaskakują. Strach potrafi hamować ciekawość. Ale, przyznaję, nie sądziłem, że akurat ty postanowisz mnie lepiej poznać.

– Dlaczego?

– Liczyłem na zainteresowanie ze strony Wiktora. Albo Miszy, w końcu jesteśmy w podobnym wieku i być może mamy ze sobą coś wspólnego. Ewentualnie waszych dziewczyn, choć to było raczej myślenie życzeniowe. Nie spodziewałem się, że zainteresuje

się mną chłopak z cienia. – Andriej zerknął na niego przez ramię. – Jedyna osoba, która zupełnie nie pasuje do grupy.

– Dlaczego tak uważasz?

– Mam dobre oko do ludzi. Poza tym niektóre sprawy są aż nadto oczywiste.

Aleksiej nie miał pojęcia, jakim sposobem Andriej doszedł do takich wniosków. Ale facet rzeczywiście musiał być niezłym obserwatorem.

– To fakt, nie jestem taki jak pozostali – powiedział. – Ja nie uwierzyłem w twoją historię.

Andriej znacząco zwinął. Chwilę później się zatrzymał.

– Człowiek to nie maszyna. Nawet dwa identyczne zestawy organów mogą dać dwie zupełnie do siebie niepodobne istoty.

– Co to znaczy?

– Że postąpiłeś słusznie. Tylko kretyń mógłby bezgranicznie uwierzyć pijakowi, który opowiedział ławą historyjkę dokładnie w tym momencie, w którym jej potrzebował. Natomiast tylko złodziej mógłby przywłaszczyć sobie czyjąś rzecz i udawać, że tego nie zrobił.

– O czym ty mówisz?

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Zabraliście mój mały amulet. Coś, z czym się nie rozstaję, ponieważ w przeciwieństwie do was darzę znacznie mniejszym zaufaniem ludzi, których spotykam na drodze.

Aleksiej wiedział, że chodzi o pistolet, który znaleźli w rzeczach Andrieja. Dla własnego spokoju postanowili go ukryć. Była to jedna z niewielu decyzji, co do których wszyscy byli zgodni.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Przejrzeliśmy twoje rzeczy w poszukiwaniu dokumentów. Chcieliśmy się czegoś o tobie dowiedzieć. Ale niczego nie zabraliśmy.

Andriej przez dłuższą chwilę przeszywał go wzrokiem. Jakby miał w nim wykrywacz kłamstw.

– Możliwe, że nigdy się nie dowiecie, czy historia, którą opowiedziałem, jest prawdziwa – oznajmił. – Ciekawe, czy będziecie w stanie z tym żyć.

Chwilę później nieoczekiwanie wyrwał do przodu, zostawiając skonsternowanego Aleksieja daleko w tyle.

DANIELA

Po południu turyści otrzymali przedsmak piekła, o jakim marzyli. Oddalili się od rzeki i przekroczyli granicę lasu, po raz pierwszy lądując na całkowicie otwartym terenie. Bez osłony w postaci drzew, bez choćby jednego miejsca, w którym dałoby się schować.

W dodatku przemieszczali się z pełnym obciążeniem, ponieważ wciąż nie zbudowali szałas.

Wiktor podjął jedyną słuszną decyzję: zarządził odwrót. Wycofali się w okolice rzeki, znaleźli skrawek w miarę równego terenu i zabrali się do przygotowywania obozowiska. Mimo zmęczenia nieźle się uwijali, marząc o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w namiocie, w którym tym razem zamierzali uruchomić piecyk, nawet jeżeli jakimś pechowcowi przyjdzie spać obok niego.

Daniela jak zwykle miała do wykonania prace związane z oporządzaniem namiotu. Przerwała je na chwilę i zaczęła szukać Wiktora, który razem z paroma facetami znosił drewno do obozu.

– Pospieszcie się – powiedział, kiedy ją zobaczył. – Trzeba rozpałcić ognisko, zamontować piecyk i zbudować szałas. Masa roboty przed nami.

– Zaczekaj. – Daniela chwyciła go za ramię. – Musimy pogadać.

Po chwili wahania – i zapewne pod wpływem lęku, jaki zobaczył w oczach dziewczyny – Wiktor poszedł za nią, oddalając się od obozowiska.

Daniela długo zwlekała z tą rozmową. Początkowo chciała pogadać z Dinarem. Ale po całym dniu mizdrzenia się do niego zrozumiała, że choć może liczyć na jego wsparcie, to nie jest on osobą, z którą powinna rozmawiać o rzeczach naprawdę istotnych. Do tego nadawał się wyłącznie Wiktor. Nawet jeśli do końca mu nie ufała. Nawet jeśli czasami budził w niej lęk.

– Streszczaj się – burknął Wiktor, zerkając w ciemniejące niebo.

– Odpuść – odparła. – Ludzie są wykończeni. Nikomu nie uśmiecha się budowanie po nocach jakichś skrytek.

– Plan był taki, żeby jeszcze dzisiaj postawić szałas. Musimy się trzymać...

– Twój plan nie zakładał, że do ekipy dołączy jakiś świr. – Daniela niezamierzenie podniosła głos. – Nie każdy plan da się zrealizować. Czasem niezbędną jest improwizacja. Właśnie o tym chciałam pogadać. – Do pewnego stopnia było jej żal Wiktora. Wiedziała, że od kilku dni jego perfekcyjny świat wali się na oczach wszystkich. A ona właśnie zamierzała zadać mu kolejny cios. – Wiem, że dałam ciała, przeocząc zdjęcie tego dziecka. Ale zwróciłam uwagę na coś innego. Już rano chciałam ci o tym powiedzieć, ale wtedy...

– Na co? – przerwał jej obcesowo Wiktor.

– Na pistolet. Przyjrzałeś mu się?

– Broń jak broń.

– To makarow. Kaliber dziewięć milimetrów, mechanizm spustowy z zewnętrznym kurkiem, bezpiecznik ze skrzydełkiem po lewej stronie. Łatwy w obsłudze, wytrzymały, niezawodny. Jego konstruktor wzorował się na niemieckim waltherze.

Wiktor uniósł wysoko brwi.

– Od kiedy znasz się na broni?

– Odkąd pewien myśliwy przypadkowo postrzelił mnie w Sajinach.

Wiktorowi zrobiło się głupio. Wielokrotnie słyszał tę historię. Nawet był pod wrażeniem tego, że Daniela mimo postrzału ukończyła wyprawę. Ale zupełnie nie skojarzył faktów.

– Co z tym pistoletem? – zapytał.

– Wykorzystuje się go w naszej armii. Służy także jako milicyjna broń służbowa.

Wiktor przez kilka sekund trawił te informacje.

– Sugerujesz, że Andriej jest z KGB?

– Nie wierzę, że pracuje na uniwersytecie. Może i jest wyszczekany, ale nie wygląda na faceta, który miałby tworzyć programy nauczania.

– To by tłumaczyło brak dokumentów i zezwoleń. A także jego irytującą pewnością siebie i te wszystkie brednie, które wypowiada na temat władzy. Od początku czułem, że próbuje nas sprowokować. – Wiktor ciężko westchnął. Zasepił się. – Spotkaliśmy go przez przypadek. Nie mógł wiedzieć, że będziemy podążać wzdłuż rzeki. Aż tak szczegółowo nikomu nie objaśniałem naszej trasy. Może to agent na urlopie, na którego niechcący się natknęliśmy.

– Może. Ale to nie wszystko. – Daniela spojrzała Wiktorowi głęboko w oczy. – W makarowie jest ośmionabojowy magazynek. Sprawdziłam go.

– I co?

– Zostały tylko cztery pociski. Być może Andriej nie powiedział nam prawdy na temat swoich kolegów.

Wiktor momentalnie pobladł. Podrapał się po czole, jakby chciał wywiercić w nim dziurę.

– Andriej to dziwak i gbur, który ma problem z alkoholem. Ale nie wiemy, czy jest mordercą. Może komuś ukradł ten pistolet. Może zwędził go dla niego kumpel z wojska albo milicji. Może wystrzelił kilka naboju dla szpanu lub próbując coś upolować. Nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków.

– Co nie zmienia faktu, że musimy na niego uważać.

Wiktor pokiwał głową.

– Tylko nie mów o tym nikomu. Nie potrzebujemy tu paniki.

MARAT

– Przepraszam. Zachowałem się jak bydlę. Jak wstrętne, nachlane bydlę.

Przeprosiny Andrieja dość niespodziewanie wypełniły namiot, do którego turyści schowali się po skończeniu większości prac, zostawiając skonstruowanie szałasów na

następny dzień. Tym razem Wiktor zgodził się, żeby zjedli kolację w środku. Tak miało być przyjemniej niż przy ognisku. Ale w połowie posiłku Andriej postanowił zepsuć wszystkim smak.

– Powiedziałem waszej koleżance, żeby mi pottrzymała. Sami wiecie co. – Andriej popatrzył na wyraźnie zakłopotaną Klarę, a potem odwrócił się do grupy. – Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem. Nie jestem mężczyzną, który zwraca się w ten sposób do kobiet. Nie mam w zwyczaju obrażać ludzi niosących mi pomoc. I nie zamieniam we wrogów wszystkich nowo poznanych osób. A jednak to powiedziałem.

Znów skupił się na Klarze, której twarz w trakcie jego monologu zdążyła dwukrotnie zmienić kolor: najpierw z bladoróżowego na czerwony, a potem na purpurowy.

– Najważniejsze to umieć się przyznać do błędu i wyciągnąć wnioski. – Misza wznosił toast herbatą.

Andriej powinien być mu wdzięczny za przerwanie kłopotliwej ciszy i udzielenie wsparcia, ale zamiast tego zawiesił na nim ciężki, przytłaczający wzrok. Jak gdyby Misza zepsuł mu intymny moment.

– Mówię o tym na forum, ponieważ wszyscy widzieliście, w jakim stanie byłem rano – kontynuował Andriej. – I z pewnością zauważyliście, że Klarę mocno zniesmaczyło moje zachowanie.

– Było, minęło. – Misza zerknął na Klarę, która uciekała wzrokiem w każde wolne miejsce w namiocie. – Najważniejsze, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. W końcu jeśli mamy ze sobą wytrzymać jakiś czas, dobrze by było, żebyśmy się choć trochę polubili.

– Ja od razu was polubiłem. – Andriej uśmiechnął się, ukazując rząd drobnych żółtych zębów. – Może dlatego, że zadziałał kontrast. Ostatnie dwa tygodnie spędziłem z tłumokami, dla których jedynymi atrakcjami są karty, wódka i rozmowy o... – zawahał się. – Podejrzewam, że to przez nich tak zbydlęciałem.

– Znasz jakieś piosenki? – zapytał Leon, który jeszcze nie zdążył dobrze przeżuć jedzenia, a już chwycił za mandolinę. Jakby chciał się nabrzdąkać na zapas.

– Tylko takie, przy których dzieciom i kobietom należy zatykać uszy.

– Tym lepiej. Zanuć, a ja znajdę odpowiedni rytm.

Kiedy po chwili Andriej zaczął zawodzić przepitym głosem, namiot wypełniła dziwna, podszyta niepewnością wesołość.

Marat poczuł, że robi mu się niedobrze. Może to dlatego, że siedział najbliżej piecyka, który zalewał go swoim ciepłem. Może trochę zbyt szybko i zbyt zachłannie wciągnął kolację. A może chciało mu się rzygać przez to wszystko, co widział.

A widział Wiktora. Milczącego, stłamszonego, zdruzgotanego tym, jak fatalnie ułożył im się dzień. I jak fatalnie spisuje się w roli lidera ekspedycji, która coraz mniej przypomina wyprawę, o jakiej marzył.

Widział wciśniętą w kąt namiotu Danielę, która nie potrafiła ukryć, że najchętniej znalazłaby się w zupełnie innym miejscu.

Widział Miszę. Jeszcze chwilę temu gotów byłby uznać go za autorytet, ale teraz dostrzegał w nim jedynie koncyliacyjnego klakiera, robiącego dobrą minę do złej gry, żeby nie zaognić atmosfery.

Ale przede wszystkim widział drżącego, spoconego, próbującego przypodobać się grupie alkoholika. Człowieka, który próbował zamydlić im wszystkim oczy.

Miał dość.

– Gdzie idziesz? – spytał Emil, widząc, że Marat podrywa się z miejsca.

– Wysikać się. – Marat naciągnął czapkę na głowę i spojrzał na niego z góry. – Chcesz mi potrzymać?

Powiedział to głośniej, niż zamierzał. Na tyle głośno, że mimo brzdąkania Leona każdy w namiocie zdołał go usłyszeć.

Wyszedł na zewnątrz i skierował się nad rzekę. Szedł wzdłuż strumienia, aż muzyka zamieniła się w dobiegający z oddali szmer. Zatrzymał się przy zejściu do zamarznętej wody. Przykucnął, a potem spojrzał w górę. Śnieżyca ustała, dzięki czemu bardzo wyraźnie widział gwiazdy wylaniające się ponad rachitycznymi świerkami. Wyraźniej niż w Niestierowie. Wyraźniej niż gdziekolwiek indziej. Dopiero tutaj, w górach, w samotności, setki kilometrów od cywilizacji i kilkadziesiąt metrów od rozwydrzonych kolegów, czuł, że jest tam, gdzie być powinien. Tam, gdzie mógłby spędzić większość życia. Nie w mieście. Nie w fabryce ani laboratorium. Pośród natury i jej subtelnych szeptów, skrzypnięć, trzasków. Tylko tutaj czuł, że żyje w taki sposób, w jaki było mu pisane.

I tylko tutaj czuł, ile traci, kiedy to wszystko nagle znika.

– My się już widzieliśmy.

Marat wzdrygnął się na dźwięk głosu, który dobiegł zza jego pleców. Odwrócił się. Zobaczył zmierzającego w jego kierunku mężczyznę. Kiedy przypalał papierosa, zapalka rozświetliła napuchniętą twarz Andrieja.

– Nie przypominam sobie – odparł Marat.

Andriej zbliżył się do niego na wyciągnięcie ręki. Poczęstował chłopaka papierosem, ale ten po chwili niepewności odmówił.

– Przypominasz, przypominasz. A wiesz, skąd to wiem? – Andriej zrobił jeszcze pół kroku w jego stronę i zadarł głowę. – Bo potrafię czytać w ludziach. Jak z zeszytów, w których dzieci za pomocą szlaczków podkreślają ważne informacje. Ty jesteś jak ten szlaczek. Tak oczywisty, że nie da się go przeoczyć. Pewnie dlatego nie potrafisz kłamać. – Opuścił głowę i krótko zarechotał. – W gruncie rzeczy dobrze to o tobie świadczy. Tyle że ja bardzo, ale to bardzo nie lubię, kiedy ktoś próbuje robić mnie w chuja.

– Nie robię...

Marat chciał coś dodać, ale zamilkł, gdy Andriej przytrzymał papierosa wargami i wyjął nóż. Obejrzał go, jakby miał z nim do czynienia po raz pierwszy, a następnie zaczął wodzić palcem po ostrzu. Marat sądził, że zarekwirowali mu wszystkie przedmioty, którymi w taki czy inny sposób mógłby wyrządzić im krzywdę. Ale ten albo przeoczyli, albo Andriej zdołał go jakoś odzyskać.

– Czy powiedziałaś komuś o naszym spotkaniu? – Andriej skierował ostrze w stronę Marata, jakby chciał przyspieszyć jego odpowiedź.

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– To dobrze. Wolałbym, żeby to zostało między nami. Nie wszystkie historie nadają się do opowiadania w grupie.

Marat nieznacznie odsunął się od Andrieja. Był od niego wyraźnie wyższy, zapewne także szybszy i silniejszy. Mimo to w tym dziwnym człowieku było coś, co sprawiało, że to on wydawał się mieć przewagę. I nie chodziło o nóż.

– Polubiłem was. Naprawdę. Jesteście sympatyczną zgrają jajogłowych. Tak niewiele wiecie o prawdziwym życiu, że samo to jest zabawne. Ale macie jeden paskudny zwyczaj. – Andriej ponownie skrócił dystans. – Lubicie przywłaszczać sobie nie swoje rzeczy. Wiesz, o czym mówię?

– Nie mam pojęcia.

Andriej przyglądał mu się przez chwilę, po czym mocno zaciągnął się papierosem. Wydmuchnął przed siebie dym.

– Wierzę ci. Dobry z ciebie chłopak. Naiwny, ale dobry. Tacy z reguły żyją krócej, ale za to z większą przyjemnością. Bo podobno szczęśliwy jest ten, kto umie wykorzystać sytuację. Wiesz, czyje to słowa? – Marat potrząsnął głową. – Goethego. To prekursor romantyzmu. Najbardziej naiwny z wielkich niemieckich pisarzy. – Andriej ściągnął ostatniego macha i wyrzucił peta do rzeki. – A wiesz, co Goethe powiedział przed śmiercią? „Więcej światła”. – Zerknął na rozgwieżdżone niebo, które ozdobiło ich sufit. – Nie snuj się za długo, bo się przeziębisz.

Andriej schował nóż i ruszył w stronę obozu.

Marat nie patrzył w jego kierunku. Ale przez to, że muzyka ucichła, dokładnie słyszał każdy krok. I dopiero gdy skrzypnięcia na śniegu ustały, odważył się złapać oddech.

Był przerażony.

Całą tą sytuacją. Całym tym wyjazdem. Całą wiedzą, jaką posiadał.

Był przerażony skalą ich bezradności.

Część III

19.

30 STYCZNIA 2020

Po nieprzespanej nocy czworo obcych sobie ludzi wyjeżdżało z Niestierowa, zanurzając się w głąb nieprzyjaznych, szarych, mglistych, śnieżnych ziem ich nieszczęśliwie wesołego kraju.

Ktoś, kto przyglądałby się Żeni Kowalczukowi odrobinę zbyt długo, mógłby dojść do wniosku, że facet postradał zmysły. Kąciki jego ust co jakiś czas bez widocznego powodu wędrowały w górę. Palce lewej dłoni rytmicznie stukały w kierownicę, choć rzadko udawało im się wstrzelić w rytm wypluwanych przez radio rockowych hitów, a głowa poruszała się w przód i w tył – chyba że akurat spoglądał w bok albo w lusterko wsteczne, aby sprawdzić, co porabiają Jegor Kosariew i Uzi. Ale najdziwniejsze były okrzyki, które wydawał równo co piętnaście minut, za każdym razem otrzymując od Fiodora Rodina odpowiedź w postaci trzech stuknięć w klapę bagażnika.

Choć Żenia siedział w samochodzie z ludźmi, o których właściwie nic nie wiedział, towarzyszyło mu idiotyczne przeświadczenie, że rodzinka wreszcie zebrała się w komplecie. Że wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Że jest dobrze, choć jeszcze parę dni temu w ogóle się na to nie zanosilo.

Operacja ucieczki z Niestierowa przebiegła perfekcyjnie. Dzięki niezastąpionemu Antonowi, który ściągnął na siebie uwagę ludzi Igora Janina i Galiny Kukliny, Żenia i Rodin wymknęli się z mieszkania. Zgarnęli pożyczony samochód, a następnie udali się w miejsce, w którym umówili się z Kosariewem. Niedługo potem pojechali na lotnisko, żeby odebrać Uzi. Po zrobieniu zapasów na drogę i zatankowaniu ruszyli na północ.

Jedynym minusem tego planu było to, że Rodina czekała kilkusetkilometrowa podróż w bagażniku. Ale ani on, ani Żenia nie wykombinowali, jak można by tego uniknąć. Zgodnie uznali, że dopiero w górach Rodin będzie mógł się poczuć bezpiecznie. Relatywnie bezpiecznie.

Pewne niedogodności towarzyszyły także Uzi i Kosariewowi, nieoczekiwanie wplątany w całą intrygę. Ci dwoje zupełnie nie dzielali euforycznego nastroju Żeni.

– Wygląda pan na zestresowanego. – Żenia spojrzał na Kosariewa, który od początku podróży kurczowo ścisnął aktówkę, choć równie dobrze mógłby ją zostawić w swoim gigantycznym plecaku.

– Inaczej wyobrażałem sobie wyjazd w miejsce, które dręczy mnie od tylu lat – odparł naukowiec. – Myślałem, że będzie bardziej... cywilizowanie. Spokojniej.

– Żyjemy w niespokojnym kraju, panie doktorze.

– A ja uważam, że z tak wielkiego państwa każdy może urwać sobie dokładnie taki kawałek, jaki mu się podoba. Przez wiele lat żyłem, jakbym był na froncie. Walczyłem z każdym, kto odważył się ze mną nie zgodzić. Dopiero niedawno zaznałem spokoju. Miałem nadzieję, że zostanie ze mną na dłużej.

– Być może *slow life* nie jest panu pisane – odezwała się Uzi, otoczona plecakami, które z wiadomych przyczyn nie zmieściły się w bagażniku. – Po kilkudziesięciu latach walki już nie jest pan w stanie sobie odpuścić. To mentalnie niewykonalne.

Kosariew odwrócił się do Uzi. Wpatrywał się w nią przez jakiś czas, jakby sam widok jej twarzy sprawiał mu przyjemność.

– Na szczęście są też pozytywy – stwierdził w końcu. – Cieszę się, że jest z nami panna Gamowa.

– Pani – poprawiła go. – Pani Gamowa. Ale wszyscy mówią na mnie Uzi.

– Za pozwoleniem, wolałbym zwracać się do pani po imieniu.

– Żaden problem.

Kosariew chciał dodać coś złośliwego na temat warunków podróży, ale ostatecznie się powstrzymał. W końcu jeśli ktoś miał narzekać na komfort jazdy, to z pewnością nie on.

– Co pan wie o Lwie Fiodorowie? – zapytał Żenia.

– Prokuratorze Fiodorowie? – Kosariew poprawił okulary na nosie. – Niewiele. Dlaczego pan pyta?

– Z ciekawości. – Żenia zerknął w lusterku na Uzi. – Niewiele osób o tym wie, ale prokurator Fiodorow również interesuje się sprawą Przełęczycy Gonczara. Bardziej, niż wymagałaby tego jego pozycja zawodowa. Zastanawiam się, czy wasze drogi kiedyś się przecięły.

– Nie sędzę. Zapamiętałbym taką personę. – Kosariew ponownie sięgnął palcem do okularów, choć te nie zsunęły się nawet o milimetr. – Czy jego zainteresowania mają jakiś związek z tą wyprawą?

– Bezpośredni nie – skłamała Uzi. – Ale musi pan wiedzieć, że Lew Fiodorow jest moim przełożonym. To on zasugerował, żebym spróbowała się dowiedzieć, co się stało na przełęczycy.

– Zasugerował? – Kosariew odwrócił się do niej. – Sugestie nie kojarzą się ze stylem pracy prokuratora generalnego.

– Jednak coś pan o nim wie – zauważył Żenia.

– Tylko tyle, ile można się dowiedzieć z mediów. Nigdy szczegółowo nie zgłębiałem jego życiorysu. – Kosariew zapatrzył się przed siebie. Zmarkotniał, choć wydawało się, że bardziej już się nie da. – Kiedyś sporządziłem ranking stu najbardziej wpływowych ludzi w Rosji. Polityków, oligarchów, celebrytów, społeczników. Ludzi w taki czy inny sposób decydujących o naszym kraju. Wymyśliłem kilka kryteriów, według których można ocenić coś tak nieuchwytnego jak wpływ, a potem, dla zabawy, przeanalizowałem kilkaset znanych osobistości.

– I co panu wyszło?

– Czołówkę można sobie wyobrazić. Ale końcówka wyglądała całkiem ciekawie. Jeżeli mnie pamięć nie myli, Fiodorow zajął osiemdziesiąte ósme miejsce.

– Opublikował pan to gdzieś?

– Tylko na chwilę. Prowadziłem kiedyś stronę, na której dzieliłem się różnymi przemyśleniami. Oczywiście pod pseudonimem, choć ludzie z mojego środowiska szybko się o tym dowiedzieli. Ta publikacja zbiegła się w czasie z mocną krytyką mojej teorii na temat przełęczu, więc żeby dodatkowo nie utrudniać sobie życia, usunąłem wpis.

– Rzeczywiście w sieci nie ma po nim śladu – przyznała Uzi, przewijając kolejne strony w telefonie. – Skąd to się wzięło?

– Przez jakiś czas interesowałem się polityką. Tłumaczyłem to sobie tym, że warto trzymać rękę na pulsie.

– Polityką lokalną też?

– Lokalną, krajową, międzynarodową... Na każdym szczeblu. Ale w pewnym momencie uznałem, że babranie się w błocie fajne jest tylko do czasu. Gdy już cały się unurzasz, przestaje sprawiać frajdę.

Uzi odepchnęła plecak, który przytulał się do niej niczym przysypiający kompan, i otworzyła torebkę. Wyjęła spięty zszywaczem plik kartek. Podążyła do przodu.

– Czy może pan to przekartkować?

– Po co? – spytał Kosariew. Odstawił aktówkę pod nogi i odebrał wydruki.

– Są tu profile osób, które w różny sposób wiążą się ze sprawą gonczarowców. Będzie jeszcze okazja o nich opowiedzieć, ale na razie jestem ciekawa, czy w ogóle kojarzy pan tych ludzi.

Żenia rzucił okiem na folder, który otwierała archiwalna fotografia Galiny Kukliny.

– Proszę to zrobić z czystej ciekawości – powiedział. – A nuż skłoni to pana do aktualizacji rankingu.

„Dzisiaj zamierzamy postawić szałas”.

Klara odczytała ostatnie zdanie z notatnika i rozejrzała się po namiocie. Dzisiaj. Zamierzamy. Postawić. Szałas. Dobrze sobie, pomyślała. Kolejne założenia sypały się jak domek z kart, a przy pogarszającej się pogodzie nie zanosilo się na to, aby zaplanowanie czegokolwiek miało być prostsze. Mimo to wszystkie jej zapiski wyglądały tak, jakby nie wydarzyło się nic nieprzewidzianego. Jakby krok po kroku realizowali to, co parę tygodni temu wymyślił Wiktor. Jakby byli produktami niezawodnej fabryki, która masowo produkuje czołgi, ciężarówki i dwutygodniowe wypadki w góry.

Jakby to ktoś inny napisał.

Uświadomiła sobie, jak mało jest JEJ w tych zapiskach. I jak niewiele wspomnień zostawi Klarze, która kiedyś sięgnie po ten notatnik. Nie, tak nie może być. Musi ożywić tę wyprawę na kartkach. Uczłowieczyć ją. Zindywidualizować. Sprawić, żeby choć trochę przypominała to, co od kilku dni przeżywają. Nawet jeśli nie jest to przyjemne. Nawet jeśli boli.

Sięgnęła po ołówek.

„Tyle się ostatnio dzieje, że nie wiem, od czego zacząć. Spróbuję od dobrych rzeczy.

Znów dogaduję się z Wiktorem. Lepiej niż na początku wyprawy. Może jeszcze nie idealnie, ale przestaliśmy udawać, że jesteśmy tylko kolegami. Lepiej się z tym poczułam, bo prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić. Wiktor bywa nieprzystępny. Na razie nie potrafię wyczuć, kiedy coś go dręczy, a kiedy po prostu jest sobą. Chyba mam pecha – albo szczęście – do chłopaków, nad którymi trzeba sporo pracować.

Aleksiej kiepsko to zniósł. Przy ognisku pokłócił się z Wiktorem. Trochę mnie to dziwi, ponieważ już przed wyjazdem wiedział, że jesteśmy razem. Musiał wiedzieć. Wszyscy wiedzieli. A mimo to zachowuje się tak, jakbym go zdradziła. Chyba naprawdę nienawidzi Wiktora. Wiem, że od dawna ze sobą rywalizują, ale żeby być aż takim gówniarzem? A może nie chodzi tylko o mnie? Może pozarli się o coś jeszcze?

Dość nieoczekiwanie dołączył do nas Andriej, którego spotkaliśmy wcześniej na szlaku. Dziwny facet. Dotarł tu ledwo żywy, nachlany jak świnia. Na początku był chamowaty i obleśny. Uważałam, że przygarnięcie go do grupy było fatalnym pomysłem. Ale potem, wieczorem, zachowywał się już w porządku. Przeprószył za swoje zachowanie. Był miły. Chociaż jest jeszcze za wcześnie, żeby go oceniać. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Na razie i tak mamy się czym martwić. Pogoda jest znacznie gorsza niż na początku wyprawy, a my za moment wejdziemy w wyższą partię gór. Będzie zimno, wietrznie i nieprzyjemnie.

Dzisiaj już na pewno zbudujemy...”

– O czym piszesz?

To był Emil. Klara nie wiedziała, od jak dawna jej się przygląda, ale wydawał się rozbudzony. Leżał na boku, przykryty po samą szyję, i delikatnie się do niej uśmiechał.

– O niczym szczególnym – odparła. – O nas. Naszym wyjeździe.

– Przecież o tym piszemy w dzienniku grupowym. We własnym notatniku możesz wyrzucić z siebie wszystkie emocje, jakie w tobie siedzą. Te dobre i te zupełnie paskudne.

– Wiem. – Klara ponownie zlustrowała namiot. Kilka osób zaczęło się przebudzać. Wiktor wygrzebał się spod koca, usiadł i przetarł oczy. – Piszę o tym, na co mam ochotę.

– Czyli konfabulujesz.

– Co to znaczy?

– Przeplatasz prawdę fikcją. Mieszasz fakty ze wspomnieniami, które mogą nie być stuprocentowo prawdziwe.

– Po co miałabym ściemniać we własnym dzienniku?

– Nie robisz tego świadomie. Ale pisząc, zawsze w jakiś sposób filtrujesz informacje. Nie jesteś w stanie dokładnie przekazać, co ci siedzi w sercu. Bez względu na to, jak bardzo byś tego pragnęła. A jeśli masz bujną wyobraźnię, możesz niechcący opowiedzieć zupełnie inną historię. – Emil oparł się na łokciu. – Dlatego ja wolę zdjęcia. One nie manipulują.

– Pozowane fotografie też nie mówią całej prawdy.

– Ale nawet z takich zdjęć możesz wyczytać prawdziwe emocje. Musisz się tylko uważnie przyrzeć.

Przerwali rozmowę, kiedy Wiktor wstał i skierował się do wyjścia. Przemknął obok nich bez słowa. Nawet nie spojrzął na Klarę, choć wiedział, że już nie śpi. Z legowisk podnieśli się też pozostali. Ostatni zebrał się Andriej, który wyglądał tak, jakby nie zmrużył oka. Pierwsza noc bez alkoholu musiała być dla niego koszmarem.

Klara poczekała, aż ludzie się rozpierzchną i zajmą własnymi sprawami. Kiedy została sama w namiocie, ponownie otworzyła dziennik. Przeleciała wzrokiem ostatnią notatkę. Coś w niej nie pasowało. Coś zgrzytało. Nie to chciałyby przekazać Klarze, która będzie czytać te zapiski wiele lat później. Rozejrzała się po namiocie, po czym wyrwała ostatnią stronę. Schowała ją do kieszeni i zaczęła się szykować do wymarszu.

30 STYCZNIA 2020

Uzi długo wczytywała się w dziennik Klary Babikowej, porównując jego treść z wiedzą, jaką miała na temat wyprawy gonczarowców. Szukała sprzeczności, odstępstw od normy, niekonsekwencji. Ale dziennik wydawał się napisany przez kogoś na wskroś stabilnego jak na swój wiek. Na chłodno. W sposób świadczący o tym, że Klara była wyważoną osobą, która nawet w prywatnych zapiskach powściągała wodze fantazji. Albo że ktoś, kto

sfabrykował jej notatki, wykonał robotę mistrzowską pod względem technicznym, ale zapomniał oddać charakter dziewczyny.

– Nad czym się zastanawiasz? – Żenia zerknął w lusterku na Uzi.

Gwałtownie opuściła notatki, jakby robiła coś nielegalnego.

– W dziennikach gonczarowców jest bardzo mało Klimienki – powiedziała.

– Przecież wiesz, że zostały sfabrykowane.

– Ale skoro komuś zależało, żeby padł na niego cień podejrzenia, to dlaczego nie wykorzystano do tego notatników?

Żenia wzruszył ramionami. Nie znał odpowiedzi.

– Przez gapiostwo? – zasugerował.

– Można było sfabrykować dziennik Marata Gołubiewa, który rzekomo prowadził go bardzo starannie. Dlaczego więc wypuszczono w świat informację, że jego notatnik zaginął?

Na to pytanie Żenia także nie znał odpowiedzi.

– Pamiętaj, że nie mówimy o geniuszach zbrodni, tylko o aparatczykach.

– Którzy okazali się na tyle sprytni, że przez ponad sześćdziesiąt lat nikt nie wyjaśnił tej zagadki. – Uzi była poirytowana. W równym stopniu niewiedzą, jak i lenistwem umysłowym Żeni. – Testy DNA nie dały odpowiedzi na pytanie, czy to Klimienko został pochowany w tamtym grobie. A jeśli to ktoś inny? Może w akcji brały udział osoby trzecie. Na miejscu zdarzenia znaleziono futerał po nożu nienależący do żadnego z turystów.

– Jeśli to nie Klimienko, skłaniałbym się ku teorii, że pochowano tam człowieka, który zadawał za dużo pytań albo zbyt wiele wiedział. Może jakiegoś przesłuchiwanego podczas śledztwa. Albo kogoś, kto znalazł zwłoki.

– Nie wierzę, że ktoś mógł ich napaść na takim wygwizdowie, ale dzienniki nie sugerują niczego dramatycznego. Cokolwiek ich spotkało, było dla nich wielką niespodzianką.

– Nie zapominaj, że dzienniki zostały sfabrykowane. Wracamy więc do punktu wyjścia.

Jegor Kosariew przysłuchiwał się ich rozmowie w milczeniu. Kiedy przerwali, odwrócił się do Uzi.

– Myślałem, że jedziemy potwierdzić moją teorię – powiedział.

– Teoretycznie tak – odparła Uzi.

– A praktycznie?

– Proszę się nie gniewać, ale dopuszczamy do siebie myśl, że może się pan mylić.

– Choć bardzo byśmy chcieli, żeby tak nie było – dodał Żenia.

Po kolejnej godzinie jazdy Żenia zaczął rozpoznawać okolice Wiermukowa. Wkrótce dotarli do trasy, z której kilkanaście dni wcześniej próbowali ich zepchnąć ludzie Galiny. W pewnym momencie Żenia bez żadnej zapowiedzi skręcił w niewielką leśną dróżkę.

– Co robisz? – spytała Uzi.

– Nie możemy wjechać z Rodinem do Wiermukowa – wyjaśnił Żenia. – Nawet trzymając go w bagażniku.

Kiedy zagłębili się w las wystarczająco, by ich samochodu nie było widać z głównej drogi, Żenia się zatrzymał. Wsiadł, zapalił papierosa i wyjął jeden z plecaków, które zgniatały Uzi. Podeszedł do bagażnika. Otworzył klapę. A potem gwałtownie się odsunął.

Spodziewał się ujrzeć zboląłego, skrzywionego faceta, który podaruje mu wdzięczny uśmiech za uwolnienie od udręki. Ujrzał zboląłego, skrzywionego faceta, który gdy tylko podniosła się klapa, zamachnął się na niego nożem.

– Sorry – wypalił Rodin, wpatrując się w czubek swojej broni. – Pamiątka po dziadku – wyjaśnił, czując, że musi się usprawiedliwić. – Podobno zawsze nosił ten nóż przy sobie.

– Często tak ochoczo chwalisz się pamiątkami? – spytał Żenia.

– Przysnąłem. Zaskoczyłeś mnie. Myślałem... właściwie nie wiem, co myślałem.

Rodin schował nóż, a następnie wygramolił się na zewnątrz. Rozprostował nogi i zaczął poruszać głową na boki. Żenia przeczekał całą sekwencję czynności rozciągających i upewniwszy się, że jest bezpieczny, przekazał mu plecak.

– Poradzisz sobie? – zapytał na wszelki wypadek.

– Nie zliczę dni, które spędziłem, ukrywając się w górach. Także zimą. – Rodin zarzucił plecak na grzbiet. – Pytanie, czy wy sobie poradzicie.

– Jeżeli podałeś nam właściwy adres, to tak.

– Będziesz wiedział, jak wrócić? W okolicy jest mnóstwo takich zjazdów.

– Zaznaczę go sobie w GPS-ie.

– Nie. – Rodin zawiesił na nim surowe spojrzenie. – Lepiej, żebyś nie miał przy sobie niczego, co mogłoby tej suce pomóc mnie odnaleźć.

Żenia pokiwał głową. Rodin niewątpliwie był paranoikiem, ukształtowanym latami życia w ukryciu, z dala od cywilizacji i na nieustannej czujce. Ale w tym wypadku miał rację.

– Nie wypytujcie jej o mnie – dorzucił z nietypową dla siebie delikatnością w głosie. – I tak wam nic nie powie. Tylko byście ją zestresowali.

– Okej.

– Okej, nie zrobimy tego, czy okej, zrobimy po swojemu?

– Masz moje słowo. – Żenia wyrzucił kiepa, po czym wyciągnął przed siebie rękę. – Widzimy się za kilka godzin.

– Oby.

Żenia pożegnał się z Rodinem i wrócił do samochodu. Uzi i Kosariew nie odezwali się słowem, choć ich ponaglące spojrzenia sugerowały, że oczekują wyjaśnień. Żenia po raz ostatni zerknął na znikającego w lesie Rodina, a następnie sprawdził mapę w telefonie. Byli

dwadzieścia kilometrów od Wiermukowa. Zostało im pół godziny jazdy. Mnóstwo czasu, by wyjaśnić, że dopiero teraz zaczną się schody.

1 LUTEGO 1959
LEON I DANIELA

Kilka nieco topornie ociosanych kawałków drewna, trochę gałęzi świerkowych, zapasowa para nart, zużyte getry i trzy godziny wyteżonej pracy grupy młodych ludzi. Szalas nie był architektonicznym arcydziełem ani inżynieryjnym ósmym cudem świata, ale powinien spełnić swoje zadanie, czyli przechować kilkadziesiąt kilogramów nadprogramowego bagażu. Postawili tego drewnianego potworka jakieś sto metrów od brzegu rzeki, na przecięciu dwóch szlaków: tego, którym zamierzali dostać się na Szelichamat, oraz tego, który miał im umożliwić szczęśliwy powrót.

Leon długo przyglądał się mandolinie. Przypomniawszy sobie kłótnie z Wiktorem, które znacznie ewoluowały, odkąd po raz pierwszy, jeszcze przed wyjazdem, usłyszał, że w pewnym momencie będzie musiał się rozstać z instrumentem. Przeszli skomplikowaną drogę: od „wsadź sobie w dupę to brzękadło” do „żałuję, ale naprawdę będzie lepiej, jeśli rozstanieś się z nią na kilka dni”. Wiktor z czasem docenił rolę mandoliny i Leona. Zrozumiał, że gdyby nie jego gra, jego humor, jego błazeńskie zapędy, aby umilić wszystkim czas, atmosfera podczas wyjazdu byłaby katastrofalna.

– Tylko jej nie całuj na pożegnanie – rzuciła Daniela, która nie tylko uczestniczyła w konstruowaniu szałasów, ale też odpowiadała za jego zaopatrzenie. Za to, żeby ponad pięćdziesiąt kilogramów jedzenia, zapasowe buty czy awaryjna para nart były w nim właściwie ułożone. Pedantycznie. W jej stylu.

– Będę musiał zająć czymś palce. – Leon oddał Danieli instrument. – Muszą coś pieścić. Potrzebują substytutu strun, żeby nie wyjść z wprawy. Wiesz, o czym pomyślałem?

– Że postawisz na samowystarczalność?

– Że będę rysował w naszym periodyku. – Leon wyjął z plecaka wyjazdową gazetkę, którą wymyślili poprzedniego wieczoru. Zatytułowali ją „Prawda Szelichamatu” i przez dobre dwie godziny wpisywali do niej największe głupoty, jakie przyszły im do głowy. – Uznałem, że już czas na pierwszy rysunek satyryczny. Nazwałem go *Hrabia Monte Pizdo*.

Leon zaprezentował swoje dzieło. Rysunek przedstawiał mężczyznę z potężnym wzrodem i dziewczynę, która najwyraźniej była zachwycona jego widokiem. Pod postaciami widniały dwie litery „D”. Dinar i Daniela.

– Powinieneś się leczyć – syknęła, uderzając Leona w ramię.

I od razu oboje się roześmiali. Na moment zapomnieli o tym, że muszą się streszczać, ponieważ czeka ich ciężki dzień, pierwszy spędzony na całkowicie otwartej przestrzeni.

Jednak szybko spowaźnieli, gdy tylko zauważyli, że Andriej przygląda się ich wygłupom.

– Możesz tu coś zostawić, jeśli chcesz – powiedziała Daniela. – Na przykład spirytus.

Andriej posłał im ciężkie, ołowiane spojrzenie. Wyglądał dziwnie. Jakby był zamroczony alkoholem albo pod wpływem silnych leków. Jak ktoś, kto nie do końca ma świadomość, gdzie się znajduje.

– Wszystko w porządku? – spytał Leon.

Andriej wyjął papierosa. Zapalił.

– Gdybym coś zostawił, musiałbym z wami wrócić – powiedział. – A ja nawet nie jestem pewien, czy jutro dalej będziemy wspólnie podróżować.

Leon chciał już powiedzieć, że nie ma najmniejszych szans, aby w ciągu doby dostali się na Szelichamat, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Domyślił się, co by usłyszał. Że prawdziwie wolni ludzie nie działają według z góry ustalonych planów. Że harmonogramy zabijają kreatywność. Że gdyby wiedział, co się wydarzy jutro, życie nie miałoby sensu. Bla, bla, bla. Wolnościowa gadka szybko stała się znakiem rozpoznawczym Andrieja.

– W takim razie możesz wspomóc chłopaków, którzy zwijają namiot i zbierają drewno na drogę – zasugerowała Daniela.

Andriej zagadkowo się uśmiechnął. Wciąż wydawał się nieobecny.

– Zabraliście tyle żarcia, jakbyście szli na wojnę – powiedział.

– Przewornie zawsze ubezpieczeni – odparła Daniela. – Pomożesz chłopakom?

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Nie mam siekiery.

– Ktoś ci pożyczy – odparł Leon.

– Najpierw musiałbym przekonać waszego przywódcę, że można mi zaufać.

– To już lekka przesada. Przecież nie porąbiesz całej naszej dziewiątki.

Andriej mocno się zaciągnął, po czym wycelował palcem w szafas.

– Na waszym miejscu wyrzuciłbym połowę żarcia, a resztę rzeczy zabrał ze sobą.

– Dlaczego? – zdziwiła się Daniela.

– Założenie, że tu wrócicie, jest bardzo odważne. Wręcz brawurowe.

– Co w nim takiego brawurowego?

Andriej spojrział w górę, a następnie wystawił przed siebie dłoń. Chwilę później spadły na nią pierwsze płatki śniegu.

– Co w nim brawurowego? – Leon podbił pytanie Daniela.

Andriej jednak ponownie je zlekceważył. Odwrócił się na pięcie i w milczeniu skierował w stronę obozu.

- Trochę go lubię, a trochę mnie przeraża – oznajmił Leon.
- To prawie tak jak mnie – odparła Daniela. – Tyle że ja go nie lubię.
- Widziałaś jego wzrok? Wyglądał jak oszołom.
- To przez odstawienie alkoholu.
- Na co on się tak gapił?

Daniela spuściła głowę i rozejrzała się dookoła. Nie zauważyła nic ciekawego. Z wyjątkiem czterech plecaków, z których chwilę wcześniej wypakowali nadmiarową żywność. W jednym z nich ukryła coś, co jeszcze do niedawna należało do Andrieja.

– Nie wiem, ale powinniśmy się pospieszyć. – Unikając pytającego spojrzenia Leona, zabrała się do porządkowania rzeczy w skrytce.

30 STYCZNIA 2020

– Co to za miejsce? – spytała Uzi.

– Nie mam pojęcia – odparł Żenia. – Wiem tylko, że to jakiś stary budynek, który kilka lat temu ucierpiał w pożarze. Stoi na tyle daleko od miejsc odwiedzanych przez turystów, że Galina nigdy nie czuła potrzeby, aby go zburzyć.

Pół godziny wcześniej wjechali do Wiermukowa, odkrywając, że osada ma zadziwiająco zdolność tracenia uroku z każdą kolejną wizytą. Przekonawszy doktora Kosariewa, że ktoś musi popilnować auta, zaparkowali niedaleko stacji benzynowej, a potem szybkim krokiem oddalili się jedyną drogą prowadzącą na południe. Gdy zaczęli mijać odstręczające parterowe domy, zdewastowane w równym stopniu przez chuligańskie wybryki, syberyjski klimat i czas, zrozumieli, że zbliżają się do celu.

– I to jedyny powód, dla którego Rodin go wybrał? – dopytywała się Uzi, ledwo nadążając za wykonującym siedmiomilowe susy Żenią.

– Nie wiem. Fiodor nie jest przesadnie wylewnym facetem. Gdyby całą drogę zamiast w bagażniku spędził obok ciebie, pewnie nie powiedziałby wiele więcej.

– Tu nie chodzi o niego, tylko o twoją ciekawość. A w zasadzie o jej brak. Co z ciebie za detektyw?

– Staram się być empatyczny. Skoro nie chciał o tym mówić, to znaczy, że ma ku temu jakiś powód. Może to miejsce, w którym kiedyś mieszkał? A może chodził tam na schadzki z Jeleną? Nie mam pojęcia. To naprawdę dla ciebie takie istotne?

Spojrzał na Uzi, której zaczerwieniona od wysiłku i mrozu twarz ledwo wystawała spod szalika i głęboko naciągniętej czapki. Jego partnerka wyglądała na zirytowaną sposobem, w jaki to rozgrywał. A zarazem na pogodzoną z tym, że inaczej się nie da. Że dyskomfort wpisany jest w DNA ich relacji.

– Pamiętasz zdjęcie, na którym widać Władimira Czistowa, dawnego kumpla Fiodorowa?
– spytała nieoczekiwanie Uzi.

– Pamiętam.

– W końcu udało mi się odkryć tożsamość tych dwóch kolesiów. Studiowali razem z Fiodorowem i Czistowem.

– Czyli fotografem prawdopodobnie był twój szef.

Uzi kiwnęła głową.

– Podobno tworzyli zgraną paczkę. Nawet wiele lat po studiach jeździli razem w góry. A to oznacza, że być może Fiodorow znalazł się tam przez przypadek.

– Być może. – Żenia nie wyglądał na przekonanego.

Nawigacja potwierdziła, że dotarli na miejsce. Spalony dom stał na skraju lasu, kilkadziesiąt metrów od drogi, którą przyszli. Zanim ruszyli w jego kierunku, Żenia się rozejrzał. Nigdzie nie było żywej duszy. Zupełnie jakby obowiązywał niepisany zakaz wstępu do tej części Wiermukowa. Ktoś go jednak najwyraźniej złamał, ponieważ ścieżkę do domu wyznaczały pozostawione w głębokim śniegu ślady butów.

– Idź za mną – powiedział Żenia.

Po dwuminutowym marszu przez zaspy dotarli do budynku. Z nieufnością przyjrzeni się jego rachitycznym stropom, które niepokojąco trzeszczały na wietrze. Mimo to odważyli się wejść.

Przy oknie z powybijanymi szybami, wychodzącym na bezkresny las, stała Jelena Malewiczowa. Kiedy się odwróciła, okazało się, że nie jest sama. Na rękach trzymała dziecko. Kilku- albo kilkunastomiesięczną dziewczynkę. Kruczoczarne włosy, wyraźnie zarysowane usta, skośne oczy. Była podobna do matki, która wydawała się jeszcze piękniejsza niż poprzednio. I jeszcze smutniejsza.

Żenia niefrasobliwie wskazał palcem dziecko.

– Czy to...

– Nie – przerwała mu Jelena, nie pozwalając dokończyć pytania. – Co z Fiodorem?

– Jakoś się trzyma, choć ma za sobą niezbyt wygodną podróż.

– Jest w Wiermukowie?

– Wolał się tutaj nie pojawiać. Nie chciał nikogo narazić swoją obecnością.

– Ktoś was śledził?

– Gdyby tak było, tobyśmy się nie spotkali. – Żenia skinął brodą na dziewczynkę. – Jak ma na imię ta piękność?

Próbował rozluźnić Jelenę, która wydawała się jednocześnie spięta, przestraszona i wściekła, ale ona najwyraźniej nie miała ochoty się odprężyć. Albo nie była w stanie.

– Fiodor zrezygnował z normalnego życia dla tej sprawy. Dał się pozreć jakiejś kretyńskiej idei. – Zaczęła kołysać córkę, która przebudziła się z niemrawym protestem. – Wy wszyscy jesteście tacy sami. Nie potraficie odpuszczać. Nie możecie po prostu przełknąć dumy. Pozwalacie się prowadzić pierwotnym instynktom. Jak zwierzęta.

– My? – spytał Żenia.

Jelena kompletnie go zignorowała.

– Godność. Honor. Męskość. Żonglujecie tymi słowami, jakby ktoś wam je wyrył w mózgu. Życie w tym kraju od dawna, a żaden z was jeszcze się nie połapał, że trzeba po prostu zamknąć mordę i zaakceptować swój los.

Żenia zerknął na Uzi. Wyglądała na równie zakłopotaną jak on.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Niczego się, kurwa, nie nauczyliście. I dlatego wszyscy zginiecie.

Dziewczynka zawyla, jakby przestraszyła się słów matki. Jelena próbowała ją uciszyć, nucąc pod nosem kołysankę, ale mała nie była skora do współpracy. Z każdą sekundą była coraz głośniej. A w pustym budynku jej rozpacz wybrzmiewała ze zdwojoną mocą.

– Nigdy się nie dowiecie, co tam się stało. – Mimo płaczu dziecka Jelena kontynuowała tyradę. – Oni wam na to nie pozwolą. Musicie to w końcu zrozumieć.

– Jacy oni? – zapytała Uzi.

Jelena włożyła rękę do nosidelka i po chwili coś wyjęła z za pleców córeczki.

– Dajcie to Fiodorowi. – Przekazała Żeni wypchaną kopertę, a następnie chwyciła go za rękę. Rozchyliła usta. Chciała coś dodać, ale w końcu zrezygnowała i gwałtownie się odsunęła. – Muszę już wracać. Oczekajcie kilka minut i wynoście się stąd.

Ze zdumieniem patrzyli, jak Jelena, dźwigając histeryzującą córeczkę, z łatwością przedziera się przez zaspy i wraca na drogę.

Żenia posłał Uzi pytające spojrzenie.

– Co? – spytała.

– Mogłaś wspomnieć, że to wariatka.

– Rozmawiałam z nią tylko chwilę. Czasem możesz z kimś spędzić całe życie i się nie zorientować.

– Dziwna baba. Pomaga Rodinowi, choć jest przekonana, że facet walnie prosto w ścianę z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

– A my razem z nim. – Uzi wskazała brodą kopertę. – Co to jest?

Żenia wyjął zawartość.

– Plik zdjęć wykonanych przez niezbyt zdolnego fotografa. Na każdym z nich widać Jelenę lub jej córkę. Jest także list. – Żenia rozłożył kartkę. Zmrużył oczy. – Napisany w jakimś dziwnym języku.

– Pokaż. – Uzi zerknęła na papier. – To po wertyjsku.

– Skąd wiesz?

– Bo wygląda jak węgierski zapisany cyrylicą. – Uzi wzięła od Żeni list i przeskanowała go wzrokiem. – To dość niezwykle, skoro od lat wypierany jest przez rosyjski. Szacuje się, że już tylko około dwóch tysięcy ludzi potrafi się posługiwać wertyjskim. To jeden z wielu języków skazanych na wymarcie.

Żenia podniósł na nią wzrok.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać.

– Czasem samą siebie zaskakuję. – Uzi uśmiechnęła się cierpko. – Ale na tym moja wiedza się kończy. Nie wiem, czego ten list dotyczy. Niech zgadnę: Rodin nic nie mówił, a ty nie wpadłeś na to, żeby go zapytać?

– Powiedział tylko, że jeśli ma z nami pojechać na przełęcz, to musimy się spotkać z Jeleną.

Żenia schował przesyłkę dla Rodina do kurtki i zapalił papierosa. Zerknął na telefon. Minęło pięć minut od rozstania z Jeleną, więc mogli już iść. Ale on zwlekał z innego, bardziej kłopotliwego powodu.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – odezwał się wreszcie. – Nie spodoba ci się.

– Nic nowego. Większość twoich pomysłów mi się nie podoba.

– Ten może ci się wydać najgorszy ze wszystkich.

– Spróbuj.

Żenia ściągnął kilka szybkich machów, jakby miały dodać mu energii. A potem zaczął mówić.

20.

1 LUTEGO 1959

MISZA

– Jak chcesz to rozegrać?

Wiktor uważnie obwąchał i obejrzał z każdej strony pytanie, które Misza wypuścił w eter. Poczul ulgę, kiedy doszedł do wniosku, że nie ma w nim żadnej uszczypliwości, a jedynie ciekawość. I być może odrobina lęku.

– Najpierw musimy się wspiąć, a kiedy znajdziemy się kilkaset metrów od szczytu, przebijemy się na północ – wyjaśnił, zerkając w kierunku trasy, którą za moment mieli obrać. – Potem zejdziemy do doliny Mierioży, która wypływa z jeziora leżącego na zboczu Szelichamatu. Gdy dojdziemy nad rzekę, zrobimy postój.

– Jak wysoko chcesz wejść?

– Aż dotrzemy do szreni. Mam już dość babrania się w zaspach. Poza tym one nas spowalniają.

– Bardzo... – Misza długo szukał odpowiedniego określenia – ambitnie. Jesteś pewien, że damy radę? Jest już grubo po południu.

– Spokojnie – odparł Wiktor, choć widząc wzbierające chmury i czując zrywający się wiatr, wcale spokojny nie był. – Będziemy szli tak długo, aż opadniemy z sił. Jeżeli uda nam się zejść ze zbocza i schować w lesie, to dobrze. Jeśli nie, znajdziemy kawałek w miarę płaskiego terenu i rozbijemy namiot. – Zerknął na Miszę. – Coraz mocniej wieje i temperatura spada, ale jesteśmy na to przygotowani. W końcu nikt nie będzie narzekał, że piec grzeje zbyt mocno.

– Jeżeli w ogóle uda nam się znaleźć miejsce na obóz.

– Liczę na to, że nam w tym pomożesz. Albo przynajmniej nie będziesz przeszkadzał.

Misza miał ochotę potrząsnąć tym irytująco pewnym siebie gnojkiem. Uderzyć go w twarz. Raz, drugi, trzeci. Do skutku. Aż oprzytomnieje. Aż zrozumie, że tu nie chodzi o jego ego i cel, który sobie wyznaczył, siedząc w ciepłych bamboszach w akademiku, tylko o bezpieczeństwo grupy.

– To nie czas i miejsce na kłótnie. Ani na bycie fiutem. – Misza rozejrzał się dookoła, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy. Na szczęście reszta ekipy była zajęta swoimi sprawami:

smarowaniem nart, zabezpieczaniem butów przed wilgocią, porządkowaniem rzeczy w plecakach. – Właśnie wchodzimy na najbardziej niebezpieczny teren. W takich okolicznościach zawsze warto się posiłkować drugą opinią. To nie są, kurwa, żarty. Dlatego jeżeli masz jakiegokolwiek wątpliwości, po prostu pytaj.

Wiktor zaśmiał się nerwowo.

– Może wydaje ci się coś innego, ale ja naprawdę nie jestem palcem robiony. Znam się na turystyce sportowej. I znam się na ludziach. – Spojrzał Miszy głęboko w oczy. – Wiesz, dlaczego mnie słuchają? – Wycelował kciukiem za siebie. – Bo mają do mnie zaufanie. Doradzałem im, pomagałem, wspierałem na wyprawach. Wiedzą, że mogą na mnie liczyć. A ty nie dajesz im żadnej gwarancji. Nikt nie wie, kim tak naprawdę jesteś. Ale ja się tego dowiem. Odkryję twoją tajemnicę.

Misza potrząsnął głową.

– Mylisz się. Nie ma żadnej tajemnicy.

– W takim razie nie masz się czego obawiać. – Wiktor z zaczepnym uśmiechem ponownie zerknął w kierunku trasy. – Za chwilę wyruszamy. Z tobą lub bez ciebie.

Misza zacisnął pięści. I być może zrobiłby z nich użytek, gdyby Wiktor nie zszedł mu wtedy z oczu.

Według Miszy powinni przeciąć zbocze w taki sposób, aby w razie jakichkolwiek trudności mogli się szybko wycofać i ukryć za linią drzew. Tyle że Wiktor nie chciał nadkładać drogi. Nie chciał brodzić w głębokim śniegu. Nie chciał tracić więcej czasu. Wolał wdrapać się na twarde, zlodowaciały grzbiet Alatanaju, po którym – jeżeli starczy im sił – faktycznie będą się poruszać szybciej. Rzecz jasna, takie rozwiązanie także miało sens. Ale tylko przy założeniu, że wszystko pójdzie po ich myśli. Że nie nastąpi załamanie pogody, które uniemożliwi im ucieczkę.

Wiktor mimo młodego wieku miał spore doświadczenie turystyczne, więc musiał o tym wiedzieć. A jednak zupełnie się pogubił. Przestał panować nad emocjami i stracił kontrolę nad grupą. Zaczął panikować i podejmować bezmyślne decyzje. Miejsce zrównoważonego bystrzaka z politechniki zajął nadęty smarkacz, któremu palił się grunt pod nogami.

Obyśmy wyszli z tego cało, pomyślał Misza, po czym dołączył do grupy.

30 STYCZNIA 2020

Odkąd razem z Uzi ruszyli w kierunku miejsca, w którym zostawili Rodina, Żenia nie mógł znieść ciszy panującej w samochodzie. Co jakiś czas zerkał na partnerkę, ale ta uparcie wpatrywała się w boczną szybę. Unikała jego spojrzenia. Unikała kontaktu. Nawet siedziała bardziej z prawej strony fotela, jak gdyby nie chciała się zarazić jakimś świństwem.

Ojciec Żeni był prostolinijnym facetem, dla którego najważniejsze było to, aby wódka zawsze była zimna. Ale kiedyś powiedział coś, co jego synowi mocno zapadło w pamięć: „Każdy powinien robić to, w czym jest najlepszy. Bez względu na to, czy jest to strzelanie do Arabów, kapowanie do KGB czy dawanie dupy”. Żenia z jakiegoś powodu uznał tę niewyszukaną maksymę za uniwersalną mądrość i mocno wziął ją sobie do serca. Starał się do niej stosować zwłaszcza w sytuacjach podbramkowych. Czyli takich jak ta.

Oczywiście rozumiał złość Uzi. Dla niej to była zdrada. Skurwysyństwo. Zepchnięcie na boczny tor. Ale Żenia był absolutnie pewien, że w tej sytuacji to jedyne słuszne rozwiązanie.

Zerknął na telefon podłączony do ładowania. Dzwonił doktor Kosariew. Żenia odebrał i włączył tryb głośnomówiący. Nie chciał jeszcze bardziej wyalienować Uzi.

– Wszystko jest załatwione, ustalone i opłacone – oznajmił Kosariew, lekko zdyszany. – Facet ma spory samochód z napędem na cztery koła. Umówiłem się z nim, że podrzuci skutery w miejsce, o którym rozmawialiśmy.

– Świetnie – ucieszył się Żenia. Z trasą, której pokonanie zabrało gonczarowcom wiele dni, dzięki skuterom mogliby się uporać w kilkadziesiąt godzin. Może nawet szybciej, gdyby dopisała pogoda. – Kiedy mógłby to zrobić?

– Kiedy chcemy. Mówi, że jest panem swojego losu. Ale jak na mój gust jesteście jego pierwszymi klientami od dłuższego czasu.

– A mógłby pana tam zabrać?

– Zakładam, że tak. To gaduła, więc miałby do kogo otworzyć gębę.

– To umówmy się tam za dwie godziny, okej?

– Okej. Jest tylko jeden...

Kosariew nie dokończył, ponieważ Żenia przerwał połączenie. Ponownie zerknął w stronę Uzi, która wydawała się zupełnie niezainteresowana tym, co miało się wydarzyć. Jakby całe śledztwo nagle zaczęło się toczyć poza jej rzeczywistością.

– Chcesz o tym pogadać? – Żenia nieznacznie opuścił szybę. Zapalił papierosa. – Rozumiem twoją złość. Pewnie uważasz, że wymyśliłem na poczekaniu jakiś bezsensowny plan. Ale ja naprawdę długo o tym myślałem, jeszcze zanim Rodin i Kosariew pojawili się na horyzoncie. Dzięki nim tylko wszystko stało się prostsze. – Jeszcze raz spojrział na Uzi. – Nic nie powiesz? Serio? Nie uwierzę, że Anna Gamowa nie ma nic do powiedzenia.

Uzi wreszcie odwróciła się w kierunku jazdy.

– Zwolnij – burknęła. – Zaraz będziemy.

Minęli charakterystyczną zniszczoną wiatę autobusową, za którą skręcili w leśną dróżkę. Po przejechaniu kilkadziesiątu metrów zatrzymali się w miejscu, gdzie parę godzin wcześniej rozstali się z Rodinem. Nie musieli na niego długo czekać. Po kilkunastu sekundach Rodin wparował do samochodu, jakby przed kimś uciekał.

– Widzieliście się z nią? – zapytał, nie zdjąwszy nawet plecaka.

– Tak. Zostawiła coś dla ciebie. – Żenia wręczył Fiodorowi kopertę. – Kosariew umówił się z gościem od skuterów. Koleś podrzuci na miejsce sprzęt i doktorka.

Żenia liczył na to, że Rodin jakoś ustosunkuje się do jego słów, ale ten jak wygłodniały rzucił się na zawartość koperty. Błyskawicznie przeskanował wzrokiem list, a potem utkwiał oczy w pierwszym ze zdjęć. Jego dłonie zaczęły drżeć.

– W porządku? – spytał Żenia.

Rodin z wolna uniósł głowę i posłał Żeni nieprzytomne spojrzenie. Przytaknął, choć najpewniej nie miał bladego pojęcia, do czego się odnosi.

– Może chcesz...

– Nie. Jedźmy już. Szybko.

Fiodor wysiadł z auta i zapakował się do bagażnika. Kiedy Żenia podszedł na tył samochodu, aby zatrzasać klapę, zobaczył, jak Rodin oświetla latarką jedną z fotografii, wpatrując się w nią jak zahipnotyzowany.

A więc Jelena kłamała w sprawie dziecka, pomyślał Żenia.

Po chwili wrócił na miejsce kierowcy i włożył kluczyki do stacyjki. Zanim uruchomił silnik, usłyszał wytłumiony dźwięk dobiegający z bagażnika. Szloch dorosłego mężczyzny.

1 LUTEGO 1959

EMIL

Wspinaczka w otwartej przestrzeni okazała się cięższa, niż przypuszczali. Nasilający się wiatr nacierał z różnych kierunków, zachowując się jak bokser nieustannie szukający dziury w gardzie rywala. Śnieżycą mocno ograniczała widoczność; każdy z turystów dostrzegał jedynie kontury osoby idącej przed nim, ten zaś, który szedł z przodu, wbijał się w niezidentyfikowaną mleczną nicość. To, że opuścili strefę ciężkiego, przylepiającego się do nart śniegu, na niewiele się zdało, teraz zaczęła im ciążyć grawitacja.

No i było cholernie zimno. Coraz zimniej.

– Wszystko gra?

Usłyszawszy te zniekształcone słowa, Emil zatrzymał się i spojrzał w bok. Po ubraniu rozpoznał opatulonego szczelnie Wiktora.

– W porządku – odparł. – Choć miałem nadzieję, że będzie łatwiej.

– Musimy się częściej zmieniać na prowadzeniu. Ten, który idzie z przodu, ma najgorzej.

– Wiktor popatrzył za siebie. Turyści wspinali się gęsiego, z trudem wbijając kijki narciarskie w zamrzniętą pokrywę zbocza. Narty minimalnie posuwały się do przodu. – Zrób nam zdjęcie.

– Co?

– Zrób nam zdjęcie – powtórzył Wiktor, tym razem wolniej i wyraźniej. – Chcę, żebyśmy mieli dowód na to, w jakich warunkach musieliśmy się wspinać.

Emil myślał, że to żart. Nie wiedział nawet, gdzie schował aparat. Nie przypuszczał, że podczas wspinaczki w takich warunkach będzie mu do czegokolwiek potrzebny.

– Może powinniśmy się wycofać do lasu? – zaproponował, zmieniając temat. – Pogoda jest chujowa. Nic nie widać. Nie wiemy nawet, czy dobrze idziemy.

Emil nie widział oczu Wiktora, ale dałby się pokroić za to, że ten właśnie zmroził go wzrokiem.

– Wiemy – warknął Wiktor. – Wszystko wiemy. A zejście do lasu nie wchodzi w grę, już się za bardzo oddaliliśmy. Szkoda naszego wysiłku. Musimy przejść na drugą stronę zbocza. Wtedy góra osłoni nas przed wiatrem i będziemy mogli rozbić namiot. – Jeszcze raz spojrzął za siebie. – Zmienię cię na prowadzeniu, a ty wreszcie zrób to zdjęcie. Nie mamy czasu.

Rzeczywiście nie mamy, pomyślał Emil, grzebiąc w plecaku. Przez trzy godziny marszu pokonali może ze dwa, trzy kilometry, a więc znacznie mniej, niż zakładali. Zdążyli się styrać, a pogoda całkowicie się zepsuła. W dodatku zaczynało się ściemniać. Przebiecie się na drugą stronę góry może i było jakimś rozwiązaniem, ale z pewnością nikogo nie satysfakcjonowało. I z pewnością nikt nie miał na nie ochoty. Z wyjątkiem Gonczara, któremu akurat w tej chwili najbardziej zależało na jakimś pieprzonym zdjęciu.

Kto w podobnym momencie mógłby w ogóle myśleć o takich rzeczach?

Ktoś, kto pod żadnym pozorem nie mógł się przyznać do porażki.

– Na co, kurwa, czekasz?!

– Nie mogę znaleźć aparatu. – Ledwo Emil to powiedział, wyczuł pod palcami obiektyw. – Mam!

Wyjął aparat i odsunął się od ścieżki. Zrobił grupie dwa zdjęcia: od przodu i od tyłu. Choć i tak nie miało to większego znaczenia, ponieważ wszyscy wyglądali identycznie. Pozasłaniani. Pochowani. Pozbawieni tożsamości. Nikt nie był na tyle głupi, żeby mierzyć się z górą z otwartą przyłbicą.

Choć czy sam fakt, że wleźli tam w takich warunkach, prowadzeni przez narwanego dwudziestoparolatka, właśnie nie świadczył o ich głupocie?

30 STYCZNIA 2020

Zapędzanie się na Ural Północny przy nie najlepszej pogodzie i zapadającym zmroku przypomina wkraczanie w pustkę. Po drodze nie widuje się osad, ludzi ani zwierząt. Samochód coraz głośniejsze daje do zrozumienia, że wolałby sunąć po gładkim asfalcie niż po

przemarzniętych i pofałdowanych bezdrożach. A surowszy z każdym kilometrem krajobraz niemal wrzeszczy, że można by w tym czasie robić milion bardziej roztropnych rzeczy.

Żenia i spółka jakoś się dotelepali do miejsca zaznaczonego na mapie, mimo że w którymś momencie GPS w telefonie zaczął wariować, sugerując, że znajdują się na nieistniejącej drodze. Zaparkowali kilkanaście metrów przed zrujnowanymi zabudowaniami, obok starej terenówki z potężną stalową przyczepą, na której zmieściły się trzy skutery. W aucie czekali na nich Jegor Kosariew oraz mężczyzna, który go tam przywiózł.

Wszyscy czworo wysiedli z samochodów. Właściciel skuterów – wysoki brodac z czapce z nausznikami i kurtce moro – przedstawił się samym nazwiskiem. Jakow, po prostu, bez imienia. Żenia i Uzi podali mu zmyślone personalia, którymi posługiwali się już parokrotnie wcześniej.

– Trafiliście bez problemu? – spytał Jakow, szczerząc się do nich jak do nieporadnych mieszczuchów. – Nigdy tego nie sprawdzałem, ale podobno nawigacja nie radzi sobie w tym miejscu. Masa turystów błądzi po okolicy, choć wcale nie ma tu wielu dróg do wyboru.

– Może to przez pogodę – zasugerował Żenia.

– Albo magię tego miejsca. – Jakow wskazał ręką ruiny. – To dawne stanowisko geologiczne. Ale raczej nie zaglądamy tu miłośnicy kamieni, tylko fani teorii spiskowych i łowcy sensacji. Tacy jak wy. – Zapalił papierosa i odszedł od grupy. Zaczął okrążyć samochód Żeni. – To jaka jest wasza teoria? Yeti? Rakietka? KGB?

– Ścieżki wirowe von Kármána – oznajmił Kosariew.

Jakow przystanął na wysokości przednich drzwi hyundaia. Pochylił się i zajrzał do środka.

– Co takiego? – zapytał.

– To rzadko spotykane zjawisko atmosferyczne, które... – Kosariew przerwał, gdy Żenia dyskretnie ścisnął go za ramię.

– ...które powstaje wtedy, gdy masy powietrza natrafiają na jakąś znaczną przeszkodę i zaczynają wokół niej cyrkulować. Jeżeli robią to z odpowiednio dużą prędkością, może wytworzyć się tornado. Ono zaś potrafi wywołać infradźwięki, które często powodują problemy ze snem, ataki lęku, a nawet szaleństwo – zakończył Żenia.

Jakow się wyprostował. Pokiwał głową, udając, że coś z tego zrozumiał.

– Czyli uważacie, że turyści sami się zatłukli?

– Nie określiłbym tego tak dosadnie. Naszym zdaniem zginęli wskutek tymczasowego szaleństwa.

– A jak chcecie się o tym przekonać?

– Liczymy, że na górze spotka nas to samo. Z tą różnicą, że mamy nadzieję na inny finał.

Jakow postukał w szybę.

– Przytargaliście cztery wielkie plecaki. Ktoś ma do was dołączyć?

– Jeden plecak zostanie w samochodzie – odparł Żenia. – Zabraliśmy go z naszej poprzedniej ekspedycji. Nie zdążyliśmy się przepakować.

– A gdzie byliście?

– Słyszał pan o podmoskiewskim Protwinie? – Jakow potrząsnął głową. – To siedziba Instytutu Fizyki Jądrowej, ze słynnym i tajemniczym akceleratorem cząstek elementarnych. Kilka lat temu doszło tam do potężnej eksplozji. Niektórzy mówili nawet o nowym Czarnobylu. Naszym zdaniem to mocna przesada, ale wybuch z pewnością nie został należycie wyjaśniony. Zupełnie jak sprawa Przełęczycy Gonczara.

– Czyli jeździcie po kraju, próbując rozwikłać najbardziej popierdolone historie?

– Tylko te, które mają podłoże naukowe. – Żenia wzruszył ramionami. – Ktoś musi, skoro ludzie rządzący tym krajem nie mają na to ochoty.

Jakow wyglądał na faceta, który miałby ochotę zadać im jeszcze kilka pytań. Na przykład o to, po jaką cholere trzymają plecaki na tylnym siedzeniu zamiast w bagażniku. Ale nie chciało mu się przeciągać tego spotkania, ponieważ nikt mu nie płacił za gadanie z klientami. Ściągnął więc ostatniego macha, wyrzucił peta w śnieg i podszedł do trójki nieznanomych.

– W tych górach bywa paskudnie. Zwłaszcza zimą. Na pewno wiecie, na co się porywacie?

– Nie mamy bladego pojęcia – odparł Żenia. – Ale możemy się o tym przekonać wyłącznie na własnej skórze.

Kiedy Jakow podszedł do terenówki, Kosariew pochylił się w stronę Żeni.

– Całkiem zgrabnie panu wyszło udawanie naukowca – wyszeptał. – Tylko po cholere to było?

Patrząc, jak Jakow zdejmuje zabezpieczenia ze stojących na przyczepie skuterów, Żenia wyjął paczkę papierosów. Zapalił. Przypuszczał, że Jakow, tak jak każdy mieszkaniec Wiermukowa, zna Galinę Kuklinę. A skoro wynajmuje skutery turystom podróżującym na przełęcz, ona także go zna. Być może Jakow musi jej raportować, komu pożycza sprzęt. Gdyby się dowiedziała, że po skutery zgłosił się jakiś mądrała z podejrzaną parką, natychmiast połączyłaby kropki. I najpewniej spuściła na nich psy gończe.

– Tak jest zabawniej. – Żenia wolał oszczędzić Kosariewowi prawdy.

Wystawienie sprzętu, wyjaśnienie, jak się nim kieruje, i ostrzeżenie przed potencjalnymi zagrożeniami zajęło Jakowowi około dwudziestu minut. Kiedy odjechał, Żenia wypuścił Rodina z bagażnika. Chwilę później ten pół-Rosjanin, pół-Wort poprosił Uzi na bok i odbył z nią poufną rozmowę, w trakcie której przekazał jej jakieś dokumenty. Widząc to,

zdezorientowany Kosariew podszedł do Żeni wpatrującego się w resztki budynków, które do tej pory widział jedynie na zdjęciach.

– Który z nas przygarnie panią Annę na skuter? – zapytał naukowiec.

– Żaden.

– Jak to?

Tym razem Żenia nie mógł spuścić Kosariewa na drzewo.

– Wierzymy w pańską teorię. Według nas to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie tego, co zaszło na przełęczy. Ale nie możemy postawić wszystkiego na jedną kartę. Jest jeszcze kilka tropów, które chcielibyśmy sprawdzić. Dlatego uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeżeli Anna z nami nie pojedzie.

Kosariew wydawał się jeszcze bardziej zdezorientowany. Ale w żaden sposób nie skomentował tego pomysłu.

1 LUTEGO 1959

WIKTOR

Nie mieli najmniejszych szans na ukrycie się w dolinie. Nie było sensu zawracać ani schodzić w stronę lasu, ponieważ straciliby cały wspinaczkowy utarg dnia. A z powodu niemal zerowej widoczności nie wchodziło też w grę szukanie jaskiń, wąwozów ani kamiennych zwałowisk, które mogłyby ich osłonić przed wiatrem.

Krótko mówiąc: nie dało się w żaden sposób obronić decyzji, aby w takich warunkach brnąć po nieznanym zboczu.

Kurwa, zaklął Wiktor w myślach.

Będąc na czele pochodu, wreszcie się zatrzymał. Kiedy się odwrócił, zobaczył tylko dwie osoby mozolnie posuwające się po jego śladach. Maruderzy mieli coraz większe problemy z utrzymaniem tempa. Stok nie był stromy, ale przy takiej pogodzie wdrapywanie się po zboczu przypominało wspinaczkę po pionowej ścianie. W dodatku po każdym postoju poruszali się wolniej, jakby na nowo musieli uruchamiać ciężką, rozleniwioną maszynę. Potężna zamieć przepoczwarzyła ich miłą górską przechadzkę w wycieńczającą podróż w głąb lodowego piekła.

Wiktor spojrzał w górę, mając nadzieję, że ujrzy szczyt. Ale nawet jeśli był tylko dwieście czy trzysta metrów wyżej, w tych warunkach nie miał prawa go zobaczyć. Zresztą jego widok i tak nic by mu nie dał, bo przecież nie mieli wchodzić na Alatanaj, tylko go okrążyć. A do tego brakowało im jakichś stu metrów. Albo dwustu. Albo trochę więcej. Tak naprawdę Wiktor nie miał bladego pojęcia, gdzie są. Stracił orientację w terenie. Po raz pierwszy w trakcie swojej kariery turystycznej czuł się całkowicie bezradny.

Kurwa!

Poczuł dłoń na ramieniu. Odwrócił się. To był Misza. Podniósł czapkę i przesunął szal, aby Wiktor mógł mu się przyjrzeć. Aby mógł zobaczyć jego przerażenie.

– To koniec! – wrzasnął Misza. – Nie pokonamy zbrocza. Ludzie opadli z sił, a pogoda jest coraz gorsza. Albo rozbijamy obóz, albo złazimy.

Wiktor strącił jego dłoń. Odwrócił się. Odszedł na kilka kroków. Miał ochotę wrzasnąć. Przebić się przez tę cholerną, obezwładniającą ciszę, która go wypełniała za każdym razem, kiedy wiatr zamierał. Nie słyszał wtedy żadnych rozmów. Żadnych umęczonych stęknień, narzekań, chrzęstu trących o siebie nart. Nic. Pustka. Jakby góra na moment wsysała wszelkie dźwięki.

Taka cisza mogła doprowadzić do szaleństwa. Przed taką ciszą Misza ostrzegał ich na początku wyprawy.

Kurwa mać!

Wiktor wrócił do Miszy, który próbował ponownie obwiązać twarz szalem.

– Zostajemy – powiedział.

– Tutaj? – zdziwił się Misza.

– A masz lepsze miejsce?

Misza rozejrzał się na boki.

– Jest w miarę płasko. Powinniśmy dać radę rozbić namiot.

– Przekaż reszcie, że biwakujemy na przełęczy.

Kiedy wiadomość o planowanym noclegu dotarła do pozostałych, wstąpiła w nich nowa nadzieja. A wraz z nią nowe siły. Wszyscy, z Andriejem włącznie, zabrali się do roboty. Chcieli czym prędzej rozbić namiot, rozgrzać felerny piecyk, zjeść kolację. Ale przede wszystkim marzyli o ukryciu się przed nawałnicą i odpoczynku. W końcu mieli przed sobą jeszcze wiele dni przedzierania się przez uralską tajgę, pomiędzy niedostępnymi wierzchołkami i poukrywanymi w śniegu szczelinami, we mgle i w lodowatych zawiejach, z przemoczonymi butami i stopami walczącymi z odmrożeniem. Czasem niesieni czystą ekstazą, a czasem tłamszeni depresyjną trwogą. Ale najpierw musieli przetrwać noc na przełęczy. Zawieszeni kilkaset metrów pod szczytem, na który nawet nie zamierzali się wspiąć. Zdezorientowani. Wycieńczeni. Wściekli.

21.

30 STYCZNIA 2020
ŻENIA

– ...bez względu na to, czy jest to strzelanie do Arabów, kapowanie do KGB czy dawanie dupy.

Uzi uniosła brwi.

– Kto to powiedział? – spytała z drwiną. – Bruce Willis rozwalający terrorystów? Jakiś tani coach z internetu?

– Mój ojciec.

– Mówiłeś, że był moczymordą i darmozjadem.

– Bo był. Ale od czasu do czasu zdarzało mu się powiedzieć coś, co miało sens i zapadało w pamięć. Zresztą to bez znaczenia. Zapomnij o moim ojcu. – Żenia mocno zaciągnął się papierosem. – Pomyśl o tym na chłodno. Czy musimy oboje wleźć na górę, żeby zweryfikować pogodowe rewelacje Kosariewa? Nie. Czy jesteś mistrzynią świata w rozgryzaniu ludzi i potrafiłabyś po paru dniach spędzonych z Rodinem stwierdzić, kim tak naprawdę jest i co kombinuje? Też nie. Za to znacznie lepiej ode mnie znasz historię gonczarowców i ich rodzin. Jesteś bystra, ambitna i zawzięta. A do tego potrafisz grzebać w papierkach i archiwach. Dlatego znacznie bardziej przydasz się w mieście.

– A co niby miałabym tam robić?

– Rodin obiecał, że przed wyprawą na przełęcz zostawi ci wszystkie dokumenty, które zgromadził w sprawie Galiny. I nie tylko. Ma jeszcze coś na gonczarowców.

– Co?

– Nie wiem. Ale twierdzi, że to prawdziwa bomba, którą trzeba umiejętnie rozbroić. On nie był w stanie tego zrobić, bo jest poszukiwany. Ale ty możesz. Doceń to, że ci zaufał, i zrób z tego pożytek.

Uzi przygryzała wargi. Na moment udało jej się stłumić gniew.

– Skoro Rodin wierzy, że da się tę sprawę wyjaśnić inaczej, to po jaką cholere pcha się na górę?

– Bo jest jeszcze jeden wariant, który uważa za równie prawdopodobny. – Żenia wyrzucił peta pod nogi i przydeptał go buciorem. – Magiczny.

– Co?! – Uzi się skrzywiła.

– Pomimo paranoi Rodin wydaje się facetem twardo stąpającym po ziemi. Ale przez dziwactwa swojego dziadka i brak racjonalnego wyjaśnienia sprawy gonczarowców dopuszcza do siebie myśl, że mogło się tam zdarzyć coś, czego nie da się objąć umysłem. Coś... nieludzkiego. Jakies uralskie wariactwo. Czary.

Uzi parsknęła śmiechem.

– Nie wiedziałam, że umysłową spierdolinę można odziedziczyć także w trzecim pokoleniu.

– Rodin chyba też nie do końca wierzy w tę teorię, ale musi ją wyeliminować samodzielnie. W górach. Dopiero wtedy będzie gotowy zaakceptować inne wyjaśnienie. – Żenia wzruszył ramionami. – I ja też chciałbym ją wykluczyć.

– A nie przyszło ci do głowy, że to może być oszust? Że koleś od początku robi nas w chuja?

– Nie.

– Dlaczego? – Uzi ponownie nasiąkała złością. – Zakochałeś się w nim? Czy w jego dupie? Może też chciałbyś jej machnąć bachora?

– Znam się, kurwa, na ludziach. – Żenia mimowolnie podniósł głos. Ciężko wypuścił powietrze, próbując się uspokoić. – Wiem na przykład, że ściemniałaś na temat swojej rodziny. Nie masz syna. Nie masz żadnego męża dyplomaty. Sprawdziłem to. Opowiedziałaś tę historię, żeby zdobyć moje zaufanie. Może sama na to wpadłaś, a może Fiodorow ci kazał. W każdym razie wiem, że nie byłaś ze mną szczerą. To drugi z powodów, dla których wolałbym, żebyś nie szła ze mną w góry.

Uzi długo mu się przyglądała. Wreszcie potrząsnęła głową. Jakby nie mogła uwierzyć, że Żenia doszedł do tych ustaleń. Albo że jej o tym powiedział. Albo że czuła palącą potrzebę wytłumaczenia się przed facetem, który nawet po kilku tygodniach wspólnej harówki nie był w stanie jej zaufać.

– Każdemu opowiadam tę historię – odezwała się niemal szeptem. – Nie chcę, żeby ludzie się zastanawiali, dlaczego wciąż jestem sama. Żeby snuli domysły i rozpuszczali plotki. Nikt nie kazał mi zmyślać, a Fiodorow nie ma bladego pojęcia o naszych działaniach. Ostatni raz rozmawiałam z nim prawie miesiąc temu.

Żenia wzruszył ramionami.

– Przykro mi.

– Gdybyś widział coś więcej niż czubek własnego nosa, tobyś zauważył, z kim masz do czynienia. – Uzi była bliska płaczu. Jej gniew w ekspresowym tempie wymieszał się z żalem. – Wcale nie jesteś taki dobry w rozgryzaniu ludzi, jak ci się wydaje.

– Co nie zmienia faktu, że...

– Pierdol się!

W zdewastowanym, zimnym, wypatroszonym z mebli budynku, w którym spotkali się z Jeleną Malewiczową, Uzi i Żenia odbyli swoją ostatnią rozmowę. Oczywiście potem spędzili ze sobą jeszcze wiele godzin, ale praktycznie nie zamienili nawet słowa. Kiedy odebrali skutery, Uzi natychmiast wsiadła do auta i pognała w kierunku cywilizacji, a faceci ruszyli w stronę przełęczy.

Żenia wspominał tę rozmowę, siedząc w ciepłym namiocie rozgrzewanym od wewnątrz jakąś nowoczesną farelką, jedząc chleb z konserwą i popijając herbatę. Dzięki skuterom i dobrej pogodzie przebyli w kilka godzin odcinek, którego pokonanie zajęło turystom dwa dni. Poruszali się po zamrożonej rzece, ufając Rodinowi, który stwierdził, że ani razu nie słyszał o tym, aby w środku uralskiej zimy załamała się pod kimś tafla. Przed północą postanowili zrobić postój. Zagłębili się w las, zaparkowali skutery i przykryli je plandeką, a potem wyjęli namiot. Połączenie świetnego przygotowania sprzętowego Kosariewa i doświadczenia Rodina sprawiło, że po zaledwie godzinie obóz był gotowy.

– Pański kolega jest wyjątkowo milczącym kompanem – oznajmił Kosariew. – Choć trzeba przyznać, że zna się na rzeczy.

Żenia nieznacznie uchylił brezent. Pomiędzy drzewami ujrzał światło latarki. Rodin najwyraźniej znów przeglądał zdjęcia. Wolał to robić na osobności i Żenia w pełni go rozumiał. Nikt nie lubi rozklejać się przy innych.

– Odwykł od towarzystwa – odparł. – Podobno zawsze był samotnikiem, a w ostatnich latach mógł jeszcze zdziwaczeć. Często wpada w kontemplacyjny nastrój. Poza tym ma z tymi górami rachunek do wyrównania.

– To znaczy?

Żenia się zawahał. Nie był pewien, jak wiele może zdradzić Kosariewowi.

– Próbując wyjaśnić, co się przytrafiło turystom, Fiodor stracił wszystko.

– To tak jak ja.

Żenia potrząsnął głową.

– Pan co najwyżej stracił dobre imię. No i może kilka lat życia. On naprawdę stracił wszystko. Dom, kobietę, bezpieczeństwo. A nawet dziecko, które wychowuje jakiś obcy facet. A to wszystko przez obsesję na punkcie prawdy. – Żenia pociągnął łyk herbaty, która całkowicie wystygła, chociaż minęło dopiero parę minut. – Powinien go pan rozumieć.

Naukowiec sięgnął do plecaka. Wyjął termos, a następnie wlał odrobinę jego zawartości do herbaty. Zamieszał widelcem, którym wcześniej wyzerał mięso z puszki. Następnie przekazał termos Żeni, który, aby rozszyfrować zawartość, nie musiał przystawiać go do nosa.

– Wcale tak bardzo pan się od nas nie różni. Ani pańska koleżanka – powiedział Kosariew, patrząc, jak Żenia wlewa wódkę do kubka. – Wy też za wszelką cenę próbujecie

dojść do prawdy. Nawet jeżeli kryją się za tym pobudki materialne albo zawodowe. W przeciwnym razie nie siedzielibyśmy w namiocie, gdy temperatura na zewnątrz sięga minus dwudziestu stopni. – Uśmiechnął się cierpko. – Jaki jest prawdziwy powód nieobecności pani Anny?

Żenia ponownie się zawahał. Nie zamierzał zdradzać Kosariewowi szczegółów. Ale też nie chciał wyjść na buca. W końcu naukowiec musiał mu najdokładniej jak to możliwe wytłumaczyć wszystkie dziwactwa pogodowe, których mieli nadzieję doświadczyć.

– Pokłóciliśmy się – oznajmił. – Wspólnie uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli zostanie. Nie chcieliśmy testować naszych zdolności łagodzenia waśni w górskich warunkach.

– Czuje pan coś do niej?

– Wyłącznie sympatię.

– Proszę sobie nie robić jaj. – Kosariew znów się uśmiechnął, tym razem bardzo szeroko.

– Widziałem, jak pan na nią patrzy. Widziałem, że pan jej pragnie. To naturalne. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Pani Anna jest bardzo atrakcyjną kobietą.

– O dwadzieścia lat młodszą ode mnie.

– To żaden problem. Ja też mam młodszą żonę. I muszę panu powiedzieć, że ponowny ożenek mnie odmienił. Dodał mi wigoru. Sprawił, że poczułem się niezwyciężony. No i nieprawdopodobnie zyskałem w oczach ludzi, którzy przez lata ze mnie drwili. Powinien pan spróbować.

Żenia nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wspominał Kosariewowi o rozwodzie. Najwyraźniej wszystkie grzeszki musiał mieć wymalowane na gębie.

– Mimo wszystko nie sądzę, żeby to była dla mnie dobra ścieżka – odparł. – A już na pewno nie dla Uzi.

Kiedy Rodin wrócił do namiotu, zamilkli. Bez konsultacji uznali, że rozmowa o miłosnych podbojach w towarzystwie faceta, który stracił tak wiele, byłaby wysoce nietaktowna. Wymienili się jedynie paroma spostrzeżeniami na temat pogody, po czym poszli spać, wieńcząc dzień, którego wszyscy mieli serdecznie dość.

1 LUTEGO 1959

DANIELA

– To jest ta twoja cisza? – Leon spojrzał na Miszę. – Rzeczywiście. Cicho w chuj.

Jego słowa były ledwo słyszalne, ponieważ wiatr nacierał z mocą, z jaką jeszcze się nie spotkali podczas wyprawy. Przeróżliwy świst mieszał się z przeciągłymi hukami, które przypominały odgłos startującego samolotu. Chybotliwym namiotem – postawionym w pośpiechu i niechlujnie, desperacko, dłońmi zamarzającymi nawet w rękawiczkach – telepało tak, jakby za moment miał się rozlecieć.

– Cisza czasem nie jest tym, co słyszysz albo czego nie słyszysz – odparł Misza, który opróżniał plecaki, aby zrobić z nich wyściółkę. – Nie zawsze można ją traktować w kategorii dźwięku.

– A jak inaczej?

Misza przerwał na moment pracę. Postukał się w skroń.

– Musisz ją sobie wyobrazić. Jeżeli robisz to świadomie, w porządku. Gorzej, gdy cisza bezwiednie wypełnia twój umysł. Niczym duch, który przenika przez ściany, żeby straszyć mieszkańców domu.

Leon skwitował jego słowa parsknięciem. Następnie wrócił do cerowania dziur w brezencie.

– Czasem pieprzy jak jakiś uralski kaznodzieja. – Pochylił się w stronę Daniela, której przypadło w udziale to samo zajęcie. – Zaraz nam powie, że na Szelichamacie po raz pierwszy walił konia. Albo że...

– Zamknij się.

Daniela nie była w nastroju do żartów. Chciała czym prędzej zaszyć to cholerstwo, zjeść kolację, odpocząć. Przespać się we względnie ciepłym. Wyruszyć o świcie w dalszą wędrowną przełęcz albo zejść do lasu, jeśli pogoda nadal nie będzie im sprzyjać.

– A coś ty taka poważna? – spytał Leon z pretensją w głosie.

– Przepraszam, nie chciałam na ciebie warknąć. – Daniela wiedziała, że to nie jego wina. Że zawiadająca natura nie pozwala Leonowi zachowywać się inaczej. Bez względu na okoliczności. – Po prostu jestem zmęczona. Chciałabym zrobić swoje, zjeść kilka sucharów i pójść spać.

– Jak my wszyscy.

Leon najwyraźniej się obraził, ponieważ przeniósł się na drugą stronę namiotu, która również wymagała naprawy. Daniela odprowadziła go wzrokiem, po czym zerknęła na Miszę. Powtórzyła w myślach jego ostatnie słowa. Zgadzała się z Leonem – to były brednie. Cisza to tylko zjawisko akustyczne. Nie może przestraszyć ani wyrządzić krzywdy. Nie ma materialnej ani duchowej postaci. Jest po prostu brakiem dźwięku. Czymś całkowicie naturalnym, co nawet na takim wietrznym wygwizdowie może się przytrafić. Wiedziała to po sobie. Ona też czasem odczuwała to... coś.

A może to wcale nie była cisza? Może raczej... przecucie?

Daniela porzuciła te rozważania, kiedy zobaczyła, że Misza sięga po jej plecak.

– Poczekaj! – zawołała.

Misza pochylał się nad bagażem, kiedy Daniela bezceremonialnie mu go wyrwała.

– To już ostatni – powiedział.

– Sama się nim zajmę.

Posłał jej pytające spojrzenie.

– Jak sobie życzysz. Pamiętaj tylko, żeby na plecak położyć szturmówkę i fufajkę, a dopiero potem kołdrę.

– Już to robiłam. Wielokrotnie.

Daniela zgarnęła bagaż i odsunęła się na bok. Otworzyła plecak i włożyła rękę do środka. Wyglądało to na przypadkowy ruch, ale ona doskonale wiedziała, czego szuka i gdzie to znajdzie. Wystarczyło tylko odpowiednio głęboko zanurkować i...

Żołądek podszedł jej do gardła.

Nie znalazła GO.

Nie było GO.

Ktoś GO zabrał.

Kiedy ponownie zerwał się wiatr, brezent niepokojąco wygiął się do wewnątrz, jakby do środka próbowała się wedrzeć jakaś ogromna kulista istota. Nieustraszona, nienasycona, wściekła. Gotowa rozpruć wszystkich, którzy są w środku.

31 STYCZNIA 2020

UZI

Miała za sobą krótką i ciężką noc.

Po rozstaniu z Żenią, Kosariem i Rodinem Uzi musiała sobie przypomnieć, jak się prowadzi samochód. Ekspresowy kurs był tym trudniejszy, że zaliczała go samotnie, w stresie, jeżdżąc nocą po zasypanych uralskich drogach, z emocjonalnym rollercoasterem szalejącym w głowie. Kiedy po kilku godzinach spędzonych za kółkiem dotelepała się do Kiercowa, było już grubo po północy. Nie miała siły szukać noclegu, więc pojechała prosto do hostelu, który kilka tygodni wcześniej wynajmowała z Żenią. Wiedziała, że będą w nim wolne miejsca. Zaspana córka właścicielki przydzieliła jej to samo lokum co wtedy. Uzi wdrapała się na górę, rozebrała, zmyła makijaż, podłączyła telefon do ładowania i po trzeciej w nocy poszła spać.

Dopiero nazajutrz, między pierwszą a drugą kawą, zajrzała do dokumentów od Rodina.

I momentalnie zapomniała o zmęczeniu.

Rodin zebrał mnóstwo informacji, które w mniej lub bardziej oczywisty sposób świadczyły o korupcji Galiny Kukliny i jej niezdrowym zainteresowaniu sprawą sprzed kilkadziesiąt lat. Ale to stanowiło tylko połowę jego zapisków. Druga część dotyczyła bezpośrednio przełęcz. I była znacznie ciekawsza od wynurzeń na temat skorumpowanej bizneswoman, które pewnie i tak były zbyt mgliste, aby dało się zrobić z nich użytek.

„Jedź do Kiercowa. Tam znajdziesz odpowiedź” – powiedział Rodin, kiedy niechętnie przekazywał Uzi papiery.

Na początku nie miała pojęcia, jakiej odpowiedzi ma szukać. Ale potem zrozumiała, o co mu chodziło. Pojęła, do czego sprowadzają się te wszystkie fakty i daty, które Rodin gromadził i porządkował z archiwistyczną precyzją. Te wszystkie nazwiska i fotografie. Wszystkie powiązania rodzinne, wzmianki w sieci, cytaty. Zrozumiała także, co takiego Rodin robił w Kiercowie, zanim się z nim spotkali.

On nie przyjechał tam dla nas, pomyślała, przyglądając się zdjęciu ciemnowłosej kobiety. Przyjechał dla niej.

Zwarta, zdeterminowana i naładowana kofeiną Uzi ruszyła w miasto.

Odszukała w internecie adres firmy Performance Partners, zajmującej się marketingiem internetowym, mediami społecznościowymi, SEO, SEM i paroma innymi akronimami, które niewiele jej mówiły. W ciągu pięciu minut dojechała pod piętrową willę i zatrzymała się na nieodśnieżonym parkingu. Wysiadła z auta i weszła do budynku.

Nowocześnie urządzone korytarz prowadził do kilku pokoi, łazienki oraz wąskich schodów wiodących na piętro, a funkcję recepcji pełniło zwykłe biurko ustawione niedaleko wejścia. Uzi przedstawiła się blondynce w okularach i wyjaśniła cel swojej wizyty. Recepcjonistka wyglądała na zaskoczoną, może nawet nieco przestraszoną, ale przytomnie zaprosiła ją do salki konferencyjnej, zaproponowała coś do picia i poszła na górę po szefową.

Uzi rozsiadła się przy podłużnym, niezbyt urodziwym stole. Po jakiejś minucie dobiegł do niej zza cienkiej ściany stukot obcasów. Szybki, energiczny, krótki krok. Podniesiony głos, który wydawał zdecydowane polecenia. Jakaś nerwowość – przesiąkająca powietrze, toksyczna, niepokojąca.

W końcu do pokoju weszła ciemnowłosa kobieta przed czterdziestką w wysokich szpilkach – ale nawet w nich nadal miała niewiele ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Była wystrojona w jednolity czarny kombinezon, który wyszczuplał jej krępa sylwetkę. W ręku trzymała iPhone'a, jakby choć na chwilę bała się z nim rozstać. Uśmiechała się w nienaturalny sposób. Zamknęła za sobą drzwi i wyciągnęła do Uzi upierścionkowaną dłoń.

– Swietłana Dugina. – Popatrzyła na gościa nieufnie, szybko pozbywając się dziwnego uśmiechu. – W czym mogę pomóc?

Uzi wyjaśniła, kim jest i co ją sprowadza. Najogólniej, jak to możliwe.

– A jaki to ma związek ze mną i moją agencją? – spytała Dugina.

– Z pani firmą pewnie żaden. Ale z panią już tak. – Uzi położyła dłonie na stole. – Przez wiele lat interesowała się pani sprawą gonczarowców. Zakładała specjalne kanały

w portalach społecznościowych, zamieszczała filmiki na Facebooku czy Instagramie, udzielała się w mediach. Zdołała pani zbudować w sieci sporą społeczność.

– Kilka tysięcy followersów to jeszcze nic. Takiego zasięgu nie da się skomercjalizować. A przynajmniej nie w taki sposób, żeby z tego żyć. – Dugina ciężko westchnęła. – Nie zostałam zawodową influencerką, ale przynajmniej zdobyłam merytoryczne podstawy, aby uruchomić własną firmę. Musiałam tylko znaleźć współnika, który ogarnia rzeczy związane z pozycjonowaniem, adwordsami czy linkowaniem.

– Z wpisów na prywatnym profilu wynika, że wciąż zajmują panią gonczarowcy.

– Ale nie tak jak dawniej. W końcu trzeba było wydorosnąć.

Dugina uciekła wzrokiem. Odblokowała telefon i ponownie go zablokowała. Potem zrobiła to jeszcze raz. Jakby musiała zająć czymś palce.

– Sporo nas łączy – oznajmiła Uzi. – Mnie też w całej tej historii najbardziej interesuje Misza Klimienko.

– Nic dziwnego. To najbardziej zagadkowa postać spośród wszystkich turystów.

Którą przez lata odsądzałaś go od czci i wiary, pomyślała Uzi. Którą wielokrotnie mieszałaś z błotem i którą wciąż nazywasz mordercą.

– Mam parę informacji na temat Klimienki, które do tej pory nigdzie nie zostały opublikowane – powiedziała. – Chciałabym o tym porozmawiać. A nuż pomoże mi pani wypełnić kilka ostatnich dziur w tej historii.

Dugina odłożyła telefon na stół. Myślała.

– Jadła już pani śniadanie?

– Jeśli kawę z mlekiem można uznać za śniadanie, to tak.

– Niedaleko jest lokal, w którym serwują dobrą jajecznicę. Zapraszam.

Dugina, nie czekając na reakcję rozmówczyni, ruszyła w kierunku drzwi.

– Nie możemy porozmawiać tutaj? – spytała Uzi.

– Wolę nie mieszać spraw prywatnych z zawodowymi. Poza tym ściany mają uszy.

1 LUTEGO 1959

DANIELA I WIKTOR

– Pistolet zniknął.

Daniela powiedziała to tak cicho, jakby się bała brzmienia własnych słów. Ale w rzeczywistości bała się Wiktora. Jego reakcji na wieść, że sknociła najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek jej powierzył.

Wiktor stał przed namiotem; w rozpiętej kurtce, z niedbale zarzuconym szalikiem, bez czapki i rękawiczek. Spoglądał w górę. W dobrych warunkach światło księżycy zapewne

pozwoliłoby mu zobaczyć majaczący kilkaset metrów wyżej szczyt. Ale tego wieczoru, przy nasilającej się zamieci, nawet nie był w stanie otworzyć oczu na dłużej niż kilka sekund. Mimo to sterczał tam tak, jakby sprawiało mu to przyjemność.

– Nie wiem, jak to się stało – kontynuowała Daniela. – Przez cały czas miałam plecak przy sobie. Nie spuszczałam go z oczu. Pilnowałam, żeby nikt w nim nie grzebał. Wszystko inne jest na swoim miejscu: ubrania, jedzenie, pieniądze. Brakuje tylko pistoletu.

Wiktor nadal ją ignorował. Podobnie jak wszystko, co się wokół niego działo. Dźwięki, porywiste podmuchy wiatru, śnieg wlatujący za kołnierz i oblepiający twarz. Wydawał się nieobecny. Niczym katatonik, który zapomniał leków.

– Andriej musiał go zabrać. Rozumiesz, co to oznacza? – Daniela mówiła coraz głośniej, z coraz mniejszym lękiem i coraz większą irytacją. – Ten świr znów ma broń.

Wiktor dalej milczał.

– Czy ty mnie, kurwa, słuchasz?! – krzyknęła.

Wreszcie zwrócił na nią uwagę. Przestraszyło ją to, co zobaczyła w jego oczach. A właściwie to, czego tam zabrakło. Nie było w nich radości ani gniewu. Ani determinacji. Ani rozpacz. Była jedynie rezygnacja. Jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

– To bez znaczenia – mruknął.

– Jak to bez znaczenia?

– Widziałaś kiedyś czarną dupę od środka?

– Co?!

– Źle nas poprowadziłem. Kiedy odbiliśmy od rzeki, powinniśmy pójść w prawo. Wówczas weszlibyśmy na stok w innym miejscu. Straciliśmy kilka godzin. Gdyby nie to, już byśmy byli po drugiej stronie góry. Pomyliłem się.

– Trudno, bywa. Teraz i tak nic z tym nie zrobimy. – Wiedząc, jak bardzo Wiktorowi zależy na sensownym poprowadzeniu wyprawy, Daniela nie chciała bagatelizować jego słów, ale nie miała ochoty słuchać mędzenia. Nie teraz. Nie w momencie, gdy w namiocie siedzi obcy facet z bronią. – W tej chwili mamy większy problem.

– Pomyliłem się – powtórzył Wiktor. – Wyszedłem na idiotę. Wiktor Gonczar zrobił z siebie błazna.

– To naprawdę nie jest teraz istotne. – Daniela mówiła powoli, wyraźnie i głośno. Jak do dziecka, które niedawno nauczyło się języka. – Musimy coś zrobić z Andriejem. Ten facet jest niebezpieczny.

Wiktor pokręcił głową.

– Kierownik wyprawy, który nie potrafi nawigować w prostym terenie.

– Wiktor! – Szarpnęła go za ramię, ale on nawet na to nie zareagował. Jedynie zakołysał się jak kukielka. – Co się z tobą dzieje?!

Nie odpowiedział.

W końcu Daniela się poddała. Puściła go. Musiała zaczekać, aż Wiktor doprowadzi się do ładu, albo spróbować samodzielnie rozwiązać problem Andrieja. Tylko jak, do ciężkiej cholery?

Ilja miał rację, pomyślała. W chwili próby Wiktor pękł. Wprawdzie nie musiała przed nim uciekać, ale za nic w świecie nie mogła powierzyć mu swojego życia.

– Ja wracam – powiedziała. – A ty rób, co chcesz.

Odczekała jeszcze parę sekund, licząc, że w końcu za nią pójdzie, ale potem machnęła na niego ręką i weszła do namiotu.

Dla Wiktora było to jednak bez znaczenia. W tamtej chwili liczyło się tylko to, że się wygłupił. Skompromitował. Dał dupy. On, Wiktor Gonczar. Uczelniany geniusz. Wybitny sportowiec. Nadzieja narodu radzieckiego, od kilku minut topornie stercząca przed namiotem. Rozchełstana, zziębnięta, rachityczna, słaba. Nieudolna i żalosna.

Rzygać mu się chciało, gdy o sobie myślał.

Po paru minutach odrętwienia wreszcie coś poczuł. Złość. Zbierającą w trzewiach żółć.

31 STYCZNIA 2020

UZI

Może to przez karakanowaty wygląd. Może przez fakt, że nie została gwiazdą internetu. A może przez coś, o czym Uzi nie miała bladego pojęcia. W każdym razie Swietłana Dugina czuła ogromną potrzebę pokazania, że mimo przeciwności losu osiągnęła sukces. I że jest lepsza od zestresowanej kelnerki, która w pośpiechu zrealizowała jej zamówienie na sojową latte i ciastko bezglutenowe.

– Misza Klimienko to morderca – rzuciła Dugina bez ostrzeżenia, sprawiając, że Uzi niemal zakrztusiła się sokiem. – Zimnokrwisty, wyrachowany psychopata. Cwaniak i mitoman, który wielokrotnie gubił się w swoich opowieściach. Raz mówił, że jest przewodnikiem, a innym razem że pracuje jako instruktor w bazie turystycznej. Twierdził, że nie zna dobrze Uralu, a potem chwalił się doświadczeniem górskim. Nie wiadomo, kiedy się urodził ani jak dokładnie przebiegała jego służba w czasie wojny. Po powrocie z frontu tak często zmieniał pracę i miejsce zamieszkania, że żadnemu historykowi nie udało się precyzyjnie odtworzyć jego losów. Pech chciał, że był całkiem przystojny, przez co mógł bezkarnie płodzić dzieci i porzucać kolejne rodziny. Wszędzie, gdzie się pojawiał, wzniewał pożogę. I tak samo było z jego znajomością z gonczarowcami.

– Przez tę mglistą przeszłość wielu badaczy uważa, że Klimienko mógł być tajnym współpracownikiem KGB. I że to dlatego przez większość życia zachowywał się tak, jakby wszystko było mu wolno. – Uzi posłała kelnerce przepaszający uśmiech, kiedy ta postawiła

przed nią talerz parującej jajecznicy. – Pewien generał, który przez lata pracował w bezpieczeństwie, prześledził jego przeprowadzki. Zauważył, że Klimienko zawsze przemieszczał się w miejsca, które z różnych powodów można było uznać za strategiczne dla kraju. Najczęściej miało to związek z energetyką jądrową.

– Bzdura. To dorabianie ideologii. Klimienko po prostu pojawiał się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. A jeżeli już szukamy teorii spiskowych, prędkiej uwierzyłabym historykom, którzy twierdzą, że w czasie wojny Klimienko przyłączył się do niemieckich oddziałów, za co skazano go na dziesięć lat łagru. Dlatego niechętnie opowiadał o tym, co działo się na froncie. I dlatego przez całe powojenne życie przed czymś uciekał.

– A jak wyjaśnić ślady promieniowania na ciuchach niektórych ofiar?

– Błąd pomiarowy. A nawet jeśli nie, to trzeba pamiętać, że kilku turystów regularnie bywało w laboratoriach. Mogli coś stamtąd wynieść. Ale akurat to nie ma żadnego związku z Klimienką ani zabójstwem. – Dugina wycelowała w talerz palcem wskazującym, ozdobionym dwoma dużymi, połączanymi, rzucającymi się w oczy pierścionkami. – Proszę jeść, bo pani wystygnie. Zimna nie będzie już taka smaczna.

Uzi przeskanowała wzrokiem górną część jej krępej sylwetki, po czym zanurzyła widelec w jajecznicy. Dugina miała rację – jajka z boczkiem smakowały wybornie. Zwłaszcza komuś, kto od dwudziestu godzin karmił się wyłącznie kawą, energetykami i emocjami. Mimo to Uzi nie była w stanie jeść. Jakby ktoś założył jej blokadę na żołądek.

– Wygląda pani na absolutnie pewną winy Klimienki. Ale skąd ta...

– Agresja? – Dugina wyjęła jej to z ust. – Nienawidzę oszustów. Może dlatego, że spotkałam w życiu paru zakłamanych gnojników. A może to kwestia wartości, jakie wyniosłam z domu.

Uzi wyciągnęła telefon. Zerknęła na zrzut ekranu, który zrobiła kilkadziesiąt minut wcześniej.

– Zna pani Łarisę Samsonową?

– Oczywiście. To troll. Albo trollica.

– Czyli?

– Ktoś, kto pod fikcyjnym nazwiskiem robi szambo przy moich postach.

– Po co?

– Nie wiem. Pewnie dla pieniędzy. Albo z nudów.

– Od lat toczy z nią pani spory w sieci. Samsonowa kwestionuje praktycznie każdy wpis czy filmik na temat Klimienki. A pani za każdym razem jej odpowiada.

– Nie należy karmić trolli, ale czasem trudno jest się powstrzymać przed wejściem w polemikę. Próbowalam ją ignorować. Ale wtedy ataki jeszcze się nasiliły, więc znów zaczęłam ją gasić.

– Mam wrażenie, że Samsonowa ma większy problem z panią niż z tymi publikacjami.

– Normalka. Trolle atakują ludzi, a nie kontent. Im w ogóle nie chodzi o merytoryczną dyskusję, tylko o wywoływanie skrajnych emocji. Im bardziej podkurwią atakowaną osobę i jej znajomych, tym lepiej. Mechanizm stary jak świat. Tyle że jakiś czas temu przeniósł się do sieci.

Uzi ponownie zanurzyła widelec w jajecznicę. Choć ssało ją w żołądku, z każdą minutą spotkania z Duginą miała coraz mniejszy apetyt.

– A dlaczego pani w ogóle zainteresowała się tą sprawą? – zapytała z pełnymi ustami.

– Ciekawość. Pomysł na siebie. Naiwna wiara w to, że można coś zmienić. – Dugina intonowała odpowiedzi w taki sposób, jakby Uzi ze zbioru sugestii miała wybrać tę odpowiednią. – Byłam upartą dziewczyną, która długo dojrzewała. Ale w końcu doszłam do tego, że są w życiu istotniejsze rzeczy niż jakaś zagadka sprzed lat.

– Najwyraźniej ja jeszcze do tego nie dorosłam. – Uzi się uśmiechnęła, a następnie z trudem przełknęła to, co miała w ustach. – Rozmawiałam z wieloma osobami, które interesują się Przełęczą Gonczara. Zwykle dlatego, że są z tą sprawą w jakiś sposób związane. Na przykład przez przodków. Jak to się zaczęło u pani?

Dugina długo merdała w kawie łyżeczką. W końcu przestała i z brzękiem odłożyła ją na podstawkę.

– Wiele lat temu moja matka zajmowała się tym tematem. To prawniczka. Najlepsza adwokatka w Kiercowie, a może i w całym obwodzie. Dobrze знаła tę historię i nie potrafiła się pogodzić z niewiedzą. Zwłaszcza z tym, że wobec winnych tragedii nie zostały wyciągnięte żadne konsekwencje.

– To nie do końca prawda. Ludzie, którzy wydali zezwolenie na wyprawę, zostali zdegradowani albo zwolnieni z pracy.

Dugina parsknęła pod nosem.

– To jedna wielka farsa. Niektórzy zostali zdegradowani tylko po to, żeby po paru miesiącach ponownie awansować. Nie wyciągnięto żadnych konsekwencji wobec śledczych ani ludzi, którzy monitorowali losy Klimienki. Według mnie każdy, kto jakoś przyczynił się do tego, że ten psychol dostał się na wyprawę, powinien zostać wsadzony do łagru albo rozstrzelany. – Wzruszyła ramionami. – No co, taki mieliśmy klimat. Nie widzę powodu, żeby kogokolwiek traktować ulgowo. – Jej suchy ton sprawił, że Uzi poczuła ciarki na plecach. – Powiedziała pani, że ma jakieś informacje na temat gonczarowców – zmieniła wątek Dugina. – Coś, co rzuci nowe światło na sprawę.

Uzi pokiwała głową. Schyliła się do torby. Wyjęła książkę Jegora Kosariewa i wręczyła ją Duginie, po czym wyjaśniła pokrótce, o co chodzi w hipotezie z wirami von Kármána.

– Słyszałam o tym. – Dugina bez emocji przekartkowała książkę, zamknęła ją i odłożyła na stolik. – Teoretycznie jest to możliwe. Ale praktycznie bardzo mało prawdopodobne.

– Poznałam doktora Kosariewa. Trudno odmówić mu wiedzy czy zdrowego rozsądku.

– A jednak z jakiegoś powodu towarzystwo naukowe wyśmiało jego odkrycie i uznało go za oszołoma. Z której strony by na to nie patrzeć, teoria o kolektywnym szaleństwie brzmi bardzo naciąganie.

– Nie mniej niż założenie, że grupę sprawnych, silnych fizycznie turystów wykończył były wojak. Zwłaszcza że znalezione ciała w żaden sposób na to nie wskazują.

Dugina ciężko westchnęła. Wyglądała na poirytowaną.

– Nie powinna się pani przywiązywać do ustaleń rzekomych speców od medycyny sądowej.

– Dlaczego?

– Bo w tej historii nie chodzi o to, aby ją wyjaśnić. Gdyby tak było, już dawno byśmy się dowiedzieli, co kryje archiwum FSB, Prokuratura Generalna dysponowałaby kompletem materiałów dotyczących sprawy, a rodziny ofiar otrzymałyby wszystkie odpowiedzi. Ta historia ma żyć własnym życiem. Skąpana w półprawdach, kłamstwach i domysłach. Zagmatwana i niebezpieczna. Niemożliwa do wyjaśnienia.

– Mimo to upiera się pani przy tym, że to Klimienko załatwił turystów.

– Łatwiej uwierzyć w niepoczytalność jednej osoby niż w wywołane jakimś dziwnym zjawiskiem grupowe szaleństwo. Poza tym w takich sprawach zawsze chodzi o człowieka. Zawsze.

Uzi zastanawiała się, jakie sprawy Dugina ma na myśli. Miała ją o to zapytać, kiedy ta wezwała kelnerkę i powiedziała, że ureguluje rachunek przy okazji kolejnej wizyty.

– Muszę wracać do pracy, ale pani niech zostanie i zje do końca. – Sięgnęła po kawę. Napila się, zakolysała filiżanką, a następnie pociągnęła kolejny łyk. Kawa momentalnie zniknęła. Chwilę później to samo stało się z ciastkiem. – Zostawię pani namiary na siebie. – Otrzeпаła dłonie nad stolikiem. – Gdyby chciała się pani czegoś dowiedzieć o przełęcz, a w szczególności o Klimience, proszę dzwonić.

Położyła wizytówkę na blacie, a następnie pożegnała się mocnym uściskiem dłoni.

Dopiero gdy wyszła, Uzi poczuła, że blokada żołądka puściła. Wreszcie mogła coś zjeść. Dlatego w pośpiechu i niezbyt elegancko spałaszowała jajecznicę.

Kiedy kelnerka przysłała po talerz, Uzi zamówiła jeszcze kawę, już trzecią tego dnia, a następnie zapatrzyła się w okno, za którym dozorca pocił się i sapał, mozolnie odśnieżając chodnik. Wyjęła telefon. Odszukała fanpage Duginy. Przyjrzała się jednemu z ostatnich postów. A potem zerknęła na profil internetowego trolla, który prześladował Duginę. Łarisa Samsonowa. Próbowiła znaleźć jakieś informacje na temat użytkownika tego konta, ale większość treści wyglądała na fejk. Brak informacji na temat wykształcenia czy pracy. Brak fotografii. Brak prawdziwych znajomych. Oklepany aforyzm zamiast zdjęcia profilowego: „Druzgocąca prawda ginie, gdy zostanie rozpoznana” – Albert Camus.

Uzi wpadła jednak na pewien pomysł. Wybrała numer faceta, który kiedyś się do niej przystawiał. Dała mu kosza tak subtelnie, że gość nie tylko się nie pogniewał, ale nawet został jej dobrym znajomym. Bardzo pomocnym, kiedy musiała zweryfikować coś w sposób, który mógłby się nie spodobać jej przełożonym. Miał na imię Enwer, ale wszyscy mówili na niego Kasparow. Nie grał w szachy; gdyby jednak przyznawano tytuły arcymistrzów hakowania, to mógłby się załapać.

– Chciałabym, żebyś coś dla mnie sprawdził – powiedziała, po czym ponownie wczytała się w maksymę Camusa.

„Druzgocąca prawda ginie, gdy zostanie rozpoznana”.

31 STYCZNIA 2020 ŻENIA

Do Przełęczy Gonczara zostało im około dwóch kilometrów. Pogoda była znakomita: bezchmurne niebo, lekki wiatr, sucho, mroźno. Zdaniem Kosariewa, który natrętnie sprawdzał dane meteorologiczne i czerpał ze swojego kilkudziesięcioletniego doświadczenia, aura powinna im sprzyjać co najmniej przez dwa dni. Jedynym problemem było to, że z idealnych warunków żaden z nich nie byłby do końca zadowolony. Oczywiście chcieli wrócić bezpiecznie z gór, ale jednocześnie mieli nadzieję, że przynajmniej raz, choćby przez kilka godzin, doświadczą warunków, z jakimi ponad sześćdziesiąt lat temu musieli się mierzyć gonczarowcy.

Rodin, który przewodził ich wycieczce, w pewnym momencie zatrzymał skuter. Wyłączył silnik i dał kompanom znać, aby zrobili to samo.

– Dalej nie pojedziemy – oznajmił. – Zasy są zbyt głębokie, a pod nimi mogą się kryć kamienie. Skutery się nie przebijają.

– A człowiek? – spytał Kosariew.

– Jeżeli będzie torował sobie drogę, to tak.

Rozejrzeli się dookoła. Dotarli do miejsca, w którym las zaczynał się przerzedzać, by niedługo później zupełnie zniknąć. Według Rodina gdzieś w tej okolicy turyści założyli ostatni obóz, zanim ruszyli w kierunku przełęczy.

– Co robimy? – spytał Żenia.

Kosariew spojrzał na zegarek.

– Jest dopiero po dwunastej. Głupio byłoby rozbić teraz obóz. A dojście na przełęcz trochę zajmie.

– Idziemy – orzekł kategorycznie Rodin, który zdążył zsiąść ze skutera i zarzucić plecak na grzbiet. – Musimy wykorzystać dobre warunki. Jeśli się sprężymy, dzisiaj dotrzemy do celu.

Żenia i Kosariew popatrzyli po sobie.

– Jesteś pewien? – Żenia także zsiadł ze skutera i podszedł do Rodina. – Może będzie lepiej, jeżeli dojdziemy na skraj lasu, rozbijemy obóz i nazajutrz ruszymy w stronę przełęczy.

– Nie mamy czasu. Poza tym jutro może nie być tak ładnie.

– Minus piętnaście, lekki północno-zachodni wiatr, brak opadów. – Kosariew tyle razy sprawdzał prognozę, że mógł ją recytować z pamięci. Z warunkami biotermicznymi i biometeorologicznymi włącznie. – Nie mylmy szybkiego tempa z nieuzasadnionym pośpiechem.

– Idziemy – powtórzył Rodin, spychając skuter pod drzewo. Wyjął z bagażnika płachtę, którą zamierzał przykryć pojazd, i popatrzył na Żenię. – Im szybciej wyruszymy, tym lepiej.

Co do zasady Żenia zgadzał się z Rodinem: mieli niewiele czasu. Zwłaszcza że polowała na nich Galina. Zwłaszcza że Janin musiał być głęboko zraniony tym, jak go potraktowali. Zwłaszcza że zostawili Uzi. Jedyne, z czym miał problem, to fakt, że wiele lat temu ktoś mógł pomyśleć podobnie. I już nigdy z tej góry nie zszedł.

Żenia wyjął telefon. Zaklął. Jedna kreska. Spodziewał się problemów z zasięgiem, ale mimo wszystko miał nadzieję, że będzie w stanie względnie normalnie kontaktować się z Uzi. O ile ona zechce z nim rozmawiać.

Teraz już miał pewność, że to równanie z dwiema niewiadomymi.

Wybrał jej numer.

Nie widział dokumentów, które otrzymała, ani nie znał żadnych szczegółów. Rodin jedynie enigmatycznie wyjaśnił, że chodzi o pewną rodzinę z Kiercowa, która od lat interesuje się sprawą przełęczy. Że być może jej historia skrywa odpowiedź na pytanie, co dokładnie zaszło w tych górach. Fiodor nie mógł zgłębić tematu, ponieważ jako uciekinier miał związane ręce. Co innego Uzi. Bystra prokurator z Moskwy. Uparta baba z niewyparzoną gębą.

Nieoczekiwanie pojawił się sygnał, ale Uzi odrzuciła połączenie. Chwilę później wysłała wiadomość.

„Pracuję. Odezwę się”.

Ten lapidarny komunikat sugerował, że wciąż jest zła. Ale sam fakt, że odpisała, wlał w serce Żeni nadzieję. A nawet wycisnął nieznaczny uśmiech na jego zmarszczonej twarzy.

Parę minut później Żenia i Kosariew byli gotowi do drogi. Rodin brnął w grubym puchu kilkanaście metrów z przodu.

– Piękne są te góry – rzucił Kosariew, przecierając okulary, którymi zastąpił gogle. – Szkoda, że przyjechaliśmy tutaj służbowo.

– Biednemu zawsze wiatr w oczy – odparł Żenia. – Tylko jedna rzecz mnie martwi. Skoro jest tu tak ładnie, dlaczego nie spotkaliśmy nikogo po drodze?

– Ma pan na myśli Wortów?

– Wortów albo turystów. W końcu to miejsce stało się kultowe.

– Większość wypadów na przełęcz organizowana jest latem. Wtedy największym zmartwieniem jest to, jak w wypakowanym po brzegi plecaku upchnąć sześciopak piwa. Kiedy powiedziałem paru kolegom, że przyjadę tu zimą, popukali się w czoło.

– Mimo wszystko nie sądziłem, że będziemy zupełnie sami. – Żenia popatrzył na Kosariewa. – Świruję?

Naukowiec się uśmiechnął.

– Może odrobinę. Ale to nie szkodzi. – Założył okulary i parokrotnie zamrugał, jakby musiał się do nich przyzwyczaić. – Wszyscy jesteście świrami, panie Kowalczyk. Nikt o zdrowych zmysłach nie robiłby czegoś takiego.

Ruszyli za Rodinem. Po paru minutach brodzenia w sięgających do pasa zaspach znaleźli się tuż za jego plecami. Żenia obserwował uważnie Fiodora od początku wyprawy. A właściwie jeszcze wcześniej. Odkąd Rodin – brudny, cuchnący i wymizerowany – pojawił się w jego mieszkaniu. Miał w sobie szczerłość i determinację, które Żenia łatwo rozpoznawał i bardzo cenił. Ale było w nim także coś, czego nie potrafił zidentyfikować. Gniew? Żądza zemsty? Naiwność? Szaleństwo?

A może to Fiodor był jedynym normalnym z ich trójki? W końcu tylko on miał racjonalny powód, aby próbować wyjaśnić tę zagadkę. Oni byli tylko dwoma mieszcuchami, którzy uznając cały ten uralski mistycyzm za jedno wielkie pieprzenie, postanowili władować się naturze do ogródka. Jeżeli duch góry istniał i miał kogoś za to ukarać, to właśnie ich.

1 LUTEGO 1959

MISZA

Ostatni do namiotu wszedł Wiktor. Zziębnięty, zmęczony, złamany. Stłamszony aurą, przebiegiem wyprawy, błędami, jakie popełnił. Misza wcale nie uważał się za wirtuoza nawigacji, ale już na początku wędrówki po ogołoconym z roślinności zboczu miał wrażenie, że próbują pokonać je od niewłaściwej strony, jakby na siłę chcieli utrudnić sobie życie. Myślał, że Wiktor właśnie tak to wykombinował, żeby pokazać, jak wielkie ma jaja, ale po jakimś czasie stało się jasne, że się pomylił. Dał ciała. Wszyscy się o tym dowiedzieli. A Wiktor na samym końcu.

– Nie pamiętam, kiedy tak bardzo smakowały mi suchary i zimny boczek – powiedział Misza, aby przerwać krępującą ciszę i podnieść ludzi na duchu. Udało się tylko to pierwsze. – Może i dostaliśmy po dupie, ale przecież jesteśmy w górach. A w górach zawsze dostaje się po dupie. Przynajmniej nikt nie będzie narzekał, że leży zbyt blisko pieca.

Misza niezamierzenie wywołał przestrasz w grupie. Bo choć mocowali się z piecykiem przez kilka godzin, ostatecznie nie zdołali go uruchomić. Był to nie tylko kolejny cios dla Wiktora, konstruktora urządzenia, ale także realny problem dla turystów. Bo jeśli wierzyć przeraźliwym jękom wiatru, na zewnątrz robiło się coraz mniej przyjemnie i czekała ich najzimniejsza noc podczas wyprawy.

– Skoro piec nie działa, to może zrobimy z niego kibel – zaproponował Leon. I przez ułamek sekundy wydawało się, że to poważna propozycja. – Nie uśmiecha mi się wystawianie fujary na zewnątrz. Normalnie ledwo mogę ją utrzymać, a co dopiero przy takiej wichurze.

Kilka osób się zaśmiało, mimo że od początku wyjazdu Leon fundował im identyczne dowcipy. Misza również się uśmiechnął, a potem przejechał wzrokiem po twarzach kolegów. Dziewczyny były wycieńczone i zmartwione, zapewne nic nie mogłoby ich rozśmieszyć. Wiktor wydawał się nieobecny. Z kolei Andriej zagadkowo się uśmiechał. Ale raczej nie z powodu żartu Leona.

– Wolałbym posiedzieć przy ognisku – powiedział Aleksiej, siorbiąc zimną, gorzką i niesmaczną herbatę. – Zjeść coś ciepłego. Pogadać. Pośpiewać. Spędzić miło wieczór, zamiast się zastanawiać, jak długo przyjdzie nam tutaj gnić.

Nie ujął tego wprost, ale nikt nie wątpił, że była to uszczypliwość wymierzona w Wiktora.

– Niedogodności nie mogą złamać duszy. Mogą jedynie przywrócić do pionu jej niepokornego nosiciela – odezwał się nieoczekiwanie Andriej.

– Czyje to słowa? – zapytał Misza.

– Moje.

– Jesteś też pisarzem?

– Myślicielem, który od czasu do czasu spisuje swoje rozterki.

– Wydałeś je gdzieś?

Andriej wolno pokręcił głową.

– Najpierw muszę odpowiednio wiele przeżyć. Nasiąknąć ludzkimi historiami, radościami i tragediami.

– Skoro to mają być twoje przemyślenia, to po co ci anegdoty o ludziach?

– Mądrość często bierze się z sytuacji ekstremalnych. To one ujawniają ogólne prawa rządzące ludzką naturą. Akcentują zachowania, sądy i instynkty, które mogłyby pozostać uśpione przez całe życie, gdyby nie otrzymały odpowiedniego impulsu.

Misza uważał się za prostolinijnego faceta, któremu sporo brakuje, aby wygłaszać uniwersalne prawdy o życiu. Jeżeli już, dzielił się tym, co usłyszał. Zwykle – dla lepszego efektu – nie wspominając, że to nie jego słowa. Pod tym względem był przeciwieństwem mędrkującego Andrieja. Jednak po raz pierwszy podczas tej wyprawy poczuł, że znalazł się naprzeciwko człowieka, którego rozumie. I który być może dźwiga na swoich barkach

podobny bagaż doświadczeń. Tyle że wcale nie napełniło go to optymizmem. Wręcz przeciwnie.

– Masz jeszcze jakieś złote myśli? – zainteresował się Emil.

– Całe mnóstwo. Ale nie jestem małą w cyrku. – Andriej przyciągnął do siebie plecak. – Poza tym wbrew temu, co może się wam wydawać, nieśmiały ze mnie gość. Nie lubię publicznych wystąpień. A dzielenie się głęboko skrywanymi przemyśleniami, czyli de facto odsłanianie swojego mózgu, uważam za wyjątkowo intymną czynność. Bardziej intymną niż ściągnięcie majtek. Na szczęście znam pewien sposób na nieśmiałość. – Zanurkował do plecaka. – Nazywam go eliksirem prawdy.

– Wódka? – spytał Leon na widok dwóch litrowych butelek.

– Gorzała jest dla mięczaków. To wielokrotnie przedestylowany i przefiltrowany spirytus. Nieskazitelnie czysty budulec radzieckich dusz. I zarazem największy wróg naszej ojczyzny. – Andriej popatrzył na butelki. – Ktoś chce się przyłączyć?

Niektórzy wysoko unieśli brwi, inni zerkali na Wiktora – w końcu to on ustalał reguły gry na wyjeździe. Ale Gonczar albo nie był ani trochę zainteresowany tym, co dzieje się w namiocie, albo miał już w dupie wszelkie zasady, jakie ustalił przed podróżą. Albo po prostu uznał, że po ostatniej kompromitacji stracił prawo do decydowania o czymkolwiek. Zapomniał tylko ogłosić konkurs na nowego lidera.

Ten jednak wyłonił się sam.

– Wygląda na to, że trochę tu zabawimy – oznajmił Misza, przysuwając się do Andrieja. – Poza tym suchary smakują lepiej, kiedy czymś się je rozmiękczy.

Andriej kiwnął głową.

– A zwierzę nie cierpi tak bardzo, kiedy wie, że zostanie zjedzone przez człowieka o czystym sercu i ognistym oddechu.

– To też się znajdzie w twojej książce?

– W jakiejś na pewno. Ktoś jeszcze?

Oferta Andrieja przeleciała przez namiot niczym rozżarzony kamień, którego wszyscy boją się dotknąć.

Bardzo dobrze, pomyślał Misza. Jemu także nie uśmiechało się pijaństwo w takich okolicznościach. Ale koniecznie chciał poznać tego zagadkowego człowieka. A eliksir prawdy, jak to określił Andriej, najlepiej działa wtedy, kiedy spożywa się go we dwóch. Gdy pijący ma u boku kompana, asystenta i osobistego sekretarza w jednym, który wymyśla toasty, motywuje, narzuca tempo, ponagla. I który dla dobra sprawy gotów jest zabetonować się razem z nim.

31 STYCZANIA 2020

UZI

O Swietłanie Duginie można było powiedzieć jedno: miała niewyparzoną gębę. Bez względu na to, czy chodziło o gonczarowców, czy o jakieś lokalne sprawy, zawsze wypowiadała się ostro. Zupełnie jak populistyczny polityk. Ale w przeciwieństwie do populistów była bystra. Znacznie bystrzejsza, niż sugerowały jej przerwane studia dziennikarskie na Uniwersytecie Niestierowskim. Uzi domyślała się, że Dugina pewnie nie miała na nie czasu. Pochłaniali ją gonczarowcy, własna agencja i współpraca PR-owa z różnymi firmami.

Jedną z nich była kancelaria jej matki, Antoniny. Swietłana nie kłamała, twierdząc, że to znakomita prawniczka. Antonina Bure wypłynęła na głośnej aferze gospodarczej z początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy nie tylko wybroniła mały rodzinny biznes przed zapędami jednego z lokalnych baronów, ale też pomogła wsadzić oligarchę do pierdła. Od tego czasu regularnie pojawiała się w mediach. Wypowiadała się na temat swoich spraw, komentowała zmiany legislacyjne, wydarzenia polityczne, a nawet – jeśli ktoś zapytał – działania lokalnego wydziału kryminalnego, któremu szefował jej mąż. Co ciekawe, Uzi nie znalazła w sieci ani jednego artykułu, w którym ktoś próbowałby zarzucić prawnicze kumoterstwo. Widocznie w Kiercowie obowiązywała inna etyka.

Pod pewnymi względami Antonina Bure przypominała swojego brata, nieżyjącego już Siemiona. Był dziennikarzem, wieloletnim redaktorem naczelnym jednej z lokalnych gazet, autorem kilku książek. Nie miał takiego parcia na szkło jak jego siostra, ale parę lat temu dał się razem z nią sfotografować w jakiejś willi na przedmieściach Kiercowa, a zdjęcie zostało zamieszczone w magazynie lifestyle'owym, który uznał rodzeństwo za celebrytów. Siemion zmarł na raka zaledwie rok po przejściu na emeryturę.

Uzi od kilku godzin siedziała w jednej z kiercowskich knajp, do której klienci wpadali zwykle na wczesnopopołudniowe piwo, i szukała informacji na temat rodziny Bure. Rodin swoimi dokumentami narzucił jej pewien kierunek myślenia, ale ona starała się dojść do własnych wniosków. Jednak niezależnie od tego, z której strony próbowała ugryźć temat, za każdym razem uzyskiwała tę samą konkluzję. I zawieszala się na tym samym pytaniu.

Skoro Swietłana zainteresowanie gonczarowcami przejęła od matki, to kto zaraził nim Antoninę? Ojciec? Uzi nie znalazła na jego temat żadnych informacji. Żadnych wzmianek. Ani pół słowa w dziesiątkach wywiadów, tekstów czy postów, jakie wyszły spod palców lub z ust członków jego rodziny. Zupełnie jakby nie istniał. Jakby został wyczyszczony z kart historii.

Zdaniem Rodina ktoś sprawił, że ojciec Antoniny i Siemiona w którymś momencie przestał istnieć. A milczenie jego potomków sugerowało, że wiedzą, dlaczego tak się stało.

Uzi odsunęła filiżankę z herbatą na skraj stołu. Odłożyła telefon, przetarła kłykciami zmęczone oczy i otworzyła teczkę, którą otrzymała od Rodina. Dopiero teraz, wiedząc znacznie więcej o odkryciach tego specyficznego człowieka, postanowiła przyjrzeć się rysunkowi włożonemu do koszulki i starannie przypiętemu na końcu sterty kartek. Była to prymitywna praca, sporządzona jakby dziecięcą ręką na solidnie podniszczonym kawałku papieru. Rysunek przedstawiał mężczyznę w średnim wieku, z lekkim zarostem, wylupiastymi oczami i ciemną czupryną. Raczej niezbyt przystojnego, choć to akurat mogło być zasługą umiarkowanego talentu artysty. Uzi przyglądała się podobiźnie, próbując rozszyfrować, kogo może przedstawiać, ale niczego nie była w stanie wywnioskować. To mógł być każdy. A przynajmniej każdy mężczyzna w średnim wieku i o ciemnych włosach. Niestety Rodin nie opatrzył pracy żadnym komentarzem.

Ale dwie rzeczy nie dawały jej spokoju. Po pierwsze: rysunek musiał powstać wiele lat temu. Kartka była wymięta, postrzępiona i pożółkła, a podobizna wyblakła i rozmazana, jak gdyby ktoś często wodził po niej palcami. A po drugie: pod rysunkiem znajdował się jakiś niezrozumiały symbol. Wcześniej tylko raz spotkała się z czymś takim – na fotografiach gonczarowców, które przedstawiały znaki pozostawiane na drzewach przez Wortów.

Czy to może być dziadek Swietłany Duginy? – zastanawiała się Uzi. Czy ten człowiek stanowi klucz do rozwiązania zagadki?

Jej rozważania przerwał telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Odebrała po drugim sygnale.

– I co? – spytała.

– A co ma być? – odpowiedział pytaniem Kasparow.

– Wiesz, kto to jest?

– To nie takie proste. Wiem, że na pewno nie nazywa się Łarisa Samsonowa.

– A jak?

– Powiedziałem, że to nie takie proste. Osoba, której szukasz, nie chciała, żeby byłe chłystek z komputerem i dostępem do netu mógł poznać jej prawdziwą tożsamość.

– Dlatego zgłosiłam się do ciebie. – Uzi wiedziała, że nic tak nie działa na informatyków jak pochlebstwa. Zwłaszcza pod adresem ich intelektu. – Mam jednak mało czasu, więc daruj sobie to nerdowskie pierdu-pierdu i powiedz mi, kogo powinnam szukać.

– Nie mam pojęcia.

– Jak to?

– Twoja Łarisa zostawiała ślady cyfrowe na najróżniejszych stronach. Znalazłem takie ze słabymi zabezpieczeniami, dzięki czemu mogłem wyciągnąć jej dane bez konieczności kontaktowania się z administratorem serwisu. Myślałem, że wystarczy zdobyć adres mailowy, ale Łarisa okazała się dość przebiegła. Korzystała z różnych kont, które w żaden sposób nie mogły mnie naprowadzić na jej personalia. Musiałem więc zdobyć adres IP. No i zdobyłem.

– I?

– Mandarynka.

– Co?

– Mandarynka. Tak się nazywa prywatny dom spokojnej starości, z którego nadaje Łarisa Samsonowa.

– Jaja sobie robisz? – Uzi nieświadomie podniosła głos. – Chcesz mi powiedzieć, że internetowym trollem jest ktoś po osiemdziesiątce?

– Tego nie wiem. To może być zarówno pensjonariusz, jak i znudzony pracownik, który zamiast podcierać dupy starcom, wypuszcza smrody ze służbowego komputera. To już będziesz musiała sprawdzić sama. Ale i tak powinnaś się ucieszyć.

– Bo?

– Wspominałaś, że dzwonisz z Kiercowa. To dziura, więc bez względu na to, gdzie teraz jesteś, dojazd do Mandarynki powinien zająć ci nie więcej niż kwadrans. Może zdążysz w tym czasie wymyślić, jak mi się odwdzięczysz.

22.

1 LUTEGO 1959

MARAT

– Bóg ustanowił dla każdego wieku właściwe powinności i podzielił nasze życie na odpowiednie okresy. Młodemu przystoi radość, starcowi zasępione czoło.

– To też znajdzie się w twojej książce? – spytał Misza.

Andriej pociągnął z butelki, a następnie przekazał ją kompanowi. Wraz z pogardliwym spojrzeniem.

– To Seneka Młodszy – wyjaśnił. – Starożytny filozof. Wychowawca i doradca Nerona. Kreował się na wielkiego lekarza duszy i terapeutę, choć zapewne był tylko cwaniakiem i lubił się grzać w blasku władzy. Skończył marnie. Krnąbrny wychowanek, którego przez wiele lat namawiał do walki z gniewem, niedługo po spaleniu Rzymu zmusił go do samobójstwa.

– Wiem, do czego pijesz. – Misza wziął możliwie najmniejszy łyk, a i tak miał wrażenie, że coś zapłonęło w jego gardle. – Sugerujesz, że jestem za stary, żeby tutaj być.

– Niczego nie sugeruję.

– Ale dziwi cię, co robię w tym gronie. – Misza wskazał ręką turystów, którzy biernie przysłuchiwali się ich rozmowie – Uważasz, że tu nie pasuję.

– A pasujesz?

– Jesteśmy grupą ludzi, których kręci turystyka. Miłośnikami szwendania się po górach, przebywania z dala od miasta, biwakowania w dziwnych warunkach. Nie sądzę, żeby wiek mógł być przeszkodą. Zresztą ty też podnosisz średnią. Ile właściwie masz lat?

Andriej wyjął papierosy i poczęstował Miszę. Zapalili. Gryzący dym błyskawicznie wypełnił namiot, który poruszał się niczym zbyt luźno naciągnięta plandeka na pędzącej po bezdrożach ciężarówce.

– To nieistotne – odparł Andriej. – Ważne, że też jestem inny. I dlatego powinienesz być mi wdzięczny.

– Z powodu?

– Dzięki mnie nie jesteś już traktowany jak intruz. Dzieciaki przerzuciły na mnie brak zaufania, z jakim od początku wyprawy traktowały faceta, który nie raczył im nic

powiedzieć o swojej przeszłości.

Misza prychnął pod nosem. Nie podobał mu się ani ton, ani sposób rozumowania Andrieja. A tym bardziej kierunek, w jakim zmierzała ich rozmowa.

– Przecież nie masz pojęcia, jak do tej pory przebiegała nasza wyprawa.

– Ale wiem, że mam rację.

Andriej mówił tak, jakby siedzieli w namiocie sami. Jakby młodzi nie mieli prawa rozumieć, o czym rozmawiają. Jakby byli jedynie nic nieznaczącym tłem.

Ale młodzi doskonale orientowali się w sytuacji.

Marat był wycieńczony wędrówką i wyjątkowo uciążliwą pracą przy organizowaniu noclegu, przez co jeszcze mniej niż zazwyczaj miał ochotę wdawać się w interakcje. Ale tajemnica, którą w sobie nosił, nie dawała mu spokoju. Nieustannie kąsała jego sumienie. Była jak łatwo rozprzestrzeniający się wirus, którego próbował ujarzmić wbrew jego naturze. I wbrew własnemu rozsądkowi.

W końcu mu uległ.

Przysunął się do Wiktora, który siedział w kącie namiotu; spięty, nieobecny, pochłonięty wsłuchiowaniem się w dobiegające z zewnątrz odgłosy.

– Widziałem go już wcześniej – szepnął Marat.

– Kogo? – spytał Wiktor, choć nie wydawał się zainteresowany odpowiedzią.

– Andrieja. Byliśmy w połowie drogi do Wiermukowa. Poszedłem na chwilę do lasu, przez co prawie spóźniłem się na autobus.

– Pamiętam. Co z tego, że go widziałeś?

– Andriej i jego koledzy... – Marat się zawahał. – Oni zaatakowali jakąś kobietę.

Wiktor się ożywił, jakby ktoś podetknął mu amoniak pod nos. Spojrzał na Marata. Na moment stał się takim Wiktorem, jakiego znali: skoncentrowanym, czujnym, racjonalnym.

– Zaatakowali?

– Wyglądało to jak gwałt. Ona... Nie mam pojęcia, kto to był, ale nie wyglądała na zadowoloną. Andriej i jego kumple stali pomiędzy drzewami. Pili. Jeden ją... jeden ją ruchał, drugi walił konia, a Andriej wszystkiemu się przyglądał. W pewnym momencie mnie zauważył. Speszyłem się i uciekłem.

– Myślisz, że cię rozpoznał?

Marat pokiwał głową.

– Ostrzegaj, żebym nikomu o tym nie mówił. Groził mi.

– Jak to?

Marat już nie odpowiedział, ponieważ Andriej, nie przerywając rozmowy z Miszą, posłał mu karcące spojrzenie, a następnie przyłożył palec do ust. Niczym nauczyciel, który

przyłapał uczniów na pogaduchach. Inni mogli uznać ten gest za zwykłą pijacką nietaktowność, ale Marat doskonale wiedział, co on oznacza.

– Zadziwiasz mnie, naprawdę mnie zadziwiasz – powiedział Misza, wolno kręcąc głową.
– Musiałeś przeczytać mnóstwo książek. Sypiesz cytatami jak z rękawa. Kim ty właściwie jesteś?

Andriej parokrotnie poruszył butelkę, jak gdyby ważył ją w dłoni. Następnie pociągnął spory łyk. Skrzywił się i przegryzł boczekiem. W trakcie całego bachicznego rytuału nawet na sekundę nie oderwał wzroku od Miszy.

– A kim chciałbyś, żebym był?

– Nie rozumiem.

– Ciągłe mówię o sobie, a ty się ciągle dziwisz. Nie wierzysz mi. Uważasz, że cię oszukuję. Mimo to postanowiłeś się ze mną napić. Mam nadzieję, że robisz to dla przyjemności i zabicia czasu, a nie żeby rozplątać mi język. – Andriej lekko przekrzywił głowę. – Pamiętaj, że to działa w dwie strony. Jeżeli się zagalopujesz, ludzie mogą się dowiedzieć o tobie czegoś, co wolałbyś zachować dla siebie.

Misza wyrwał mu butelkę z rąk. Napił się, jakby był krańcowo spragniony. Jak alkoholik po przymusowym detoksie. Chciał za wszelką cenę udowodnić, że nie ma nic do ukrycia. Że jego intencje są czyste. Że niczego ani nikogo się nie boi. Nawet jeśli było dokładnie odwrotnie.

31 STYCZNIA 2020

UZI

Dom spokojnej starości Mandarynka wyglądał z grubsza tak, jak Uzi go sobie wyobrażała. Stał na skraju lasu i żeby do niego dotrzeć, należało wykonać slalom po brukowanych alejkach płaczących się między drzewami. We wnętrzu parterowego, zajmującego sporą powierzchnię budynku dominowały pastelowe kolory i wymuszone uśmiechy, pod którymi pielęgniarki próbowały ukryć rzeczywisty stosunek do pracy polegającej na dozowaniu leków i podcieraniu dupy schorowanym ramolom.

Czekając na dyrektorkę, Uzi przypomniała sobie reportaż o jednym z podmoskiewskich domów starców. Pacjenci byli w nim bici, głodzeni, poniżani i faszzerowani psychotropami, żeby niczego nie pamiętali i nie mogli się podzielić prawdą z bliskimi. Ich koszmar zakończył się dopiero po wizycie policji, którą wezwała jedna z pensjonariuszek. Jednak w Mandarynce z pewnością do niczego takiego nie dochodziło. To miejsce wyglądało na całkiem cywilizowane. A kiedy pojawiła się dyrektorka – dobijająca do sześćdziesiątki blondynka, zadbana i elegancka, wystrojona w szpilki oraz niebieski kombinezon

z kopertowym dekoltem – Uzi zrozumiała, że brak pieniędzy raczej nie jest problemem tego miejsca.

Dyrektorka przedstawiła się jako doktor Lidia Abramowa. Zanim Uzi zdążyła wyjaśnić, po co przyjechała, lekarka oprowadziła ją po włościach. Budynek tworzyło kilkanaście pomieszczeń, podobno zaprojektowanych przez specjalistę od ergonomii, aby personel mógł się sprawnie przemieszczać po placówce i efektywnie nieść pomoc lokatorom Mandarynki. Ci zaś większość czasu spędzali w potężnej przestrzeni wspólnej, grając w karty, oglądając telewizję albo tocząc niekończące się dyskusje przy herbacie. Obok drzwi do przestronnych pokoi pensjonariuszy stały wózki inwalidzkie albo nosze, korytarze były oporęczowane, łazienki schludne, a zespół pielęgniarek i lekarzy wydawał się zdyscyplinowany i skupiony na pracy.

Lidia Abramowa tak się zaangażowała w sprzedaż usług swojego ośrodka, że Uzi poczuła wyrzuty sumienia, kiedy wreszcie wyjaśniła jej właściwy powód swojej wizyty. Dyrektorka przyjęła tę informację z godnością, ale i wyraźnym zawodem.

– Pracownicy mają dostęp do komputerów, ale informatycy ustawili blokadę na media społecznościowe. Moi ludzie zajmują się pensjonariuszami, a nie załatwianiem prywatnych spraw. – Nawet znając intencje Uzi, Abramowa nie wychodziła z roli sprzedawcy. – Jest pani pewna, że chodzi o kogoś stąd?

Uzi nie mogła jej zdradzić, w jaki sposób odkryła, że ktoś podający się za Łarisę Samsonową wysyłał wiadomości z ośrodka. Musiała to sprytnie rozegrać.

– Zakładam, że tylko jeden dom starców w Kiercowie nazywa się Mandarynka – powiedziała.

– Dom spokojnej starości – poprawiła ją dyrektorka. – Tak, starannie wybrałam nazwę, po konsultacji z ekspertem od namingu. Tyle że tutaj nie pracuje żadna Łarisa Samsonowa.

– W internecie ludzie rzadko używają prawdziwych nazwisk. Zwłaszcza gdy wypowiadają się na kontrowersyjne tematy.

– Czyli?

– Czy któraś z pani pracownic interesuje się Przełęczą Gonczara?

Abramowa uniosła wymodelowane brwi.

– Nie mam pojęcia.

– Nie słyszała pani żadnych rozmów, żadnych plotek na ten temat?

– Na pewno nie w tym budynku.

– Może któryś z pensjonariuszy coś mówił? Pewnie są tutaj ludzie, którzy urodzili się mniej więcej w tym samym czasie co tamci turyści.

– Pani Anno... – Ton Abramowej stał się nagle irytująco protekcjonalny. – Gdybym wiedziała, o czym rozmawiają pacjenci, oznaczałoby to, że źle wykonuję swoją pracę. Ja jestem od zarządzania tym miejscem. Mam doglądać pracowników, budżetu, rozwijać

biznes i pozyskiwać klientów. Oczywiście mogę popytać, a nuż ktoś będzie chciał z panią o tym pomówić. Ale wolałabym, żeby to odbyło się po pracy.

– Będę wdzięczna za każdą pomoc.

Abramowa wyjęła dzwoniący telefon.

– Przepraszam. Klientka przyjechała, muszę odebrać. – Ponownie przybrała superuprzejmy ton i po krótkiej wymianie zdań ruszyła w stronę wejścia do budynku.

Uzi podążała pół kroku za nią.

– Na końcu korytarza jest salka z komputerami. – Dyrektorka wycelowała palcem przed siebie. – Przez większość czasu są nieużywane. Ale jeśli ktoś z Mandarynki miałby wypisywać jakieś bzdury w internecie, to zapewne robiłby to stamtąd. – Zwolniła, jakby nagle coś sobie przypomniała. – A nie przyszło pani do głowy, że ta osoba mogła korzystać z telefonu? Biorąc pod uwagę nasze zabezpieczenia, tak byłoby prościej.

Uzi pokręciła głową.

– Wpisy są zbyt staranne, żeby mogły zostać wysłane z telefonu.

To akurat była prawda. Łarisa Samsonowa dbała o interpunkcję i wielkość liter, a jej wypowiedzi z reguły były długie. Nie wyglądały jak gryzmoły naprędce sklecone na smartfonie.

– Sama chętnie się dowiem, czy ktoś zajmuje się jakimiś pierdołami, zamiast wykonywać swoją pracę. Proszę się rozgościć. Dołączę do pani za jakąś godzinę.

Abramowa okazała jej zadziwiająco duże zaufanie – zapewne licząc na to, że prędzej czy później Anna Gamowa będzie musiała coś zrobić ze swoją matką albo babką, a wtedy przypomni sobie o ośrodku. Uzi podziękowała, a następnie ruszyła wzdłuż korytarza. W niewielkiej salce zmieściły się raptem trzy stanowiska z komputerami stacjonarnymi. Na jednym z monitorów wisiała kartka z napisem: „Nie działa, czekamy na serwis”, odstrasżająca emerytów wielkimi czerwonymi literami. Przy oknie siedziała filigranowa starowinka – siwa, niepokojąco chuda, niemal przezroczysta, obabuchana kilkoma warstwami ubrań, jakby sąsiadujący z jej krzesłem kaloryfer był rozkręconym na maksa klimatyzatorem. Środkowe stanowisko było wolne i właśnie tam usiadła Uzi.

– Gram z prawnuczką – powiedziała kobieta, wskazując trzęsącą się dłonią ekran, na którym toczyła się internetowa partyjka warcabów. – Lenka. Ma jedenaście lat. Mieszka w Niestierowie. Rzadko mnie odwiedza, ale przynajmniej tak utrzymujemy kontakt.

Uzi nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, więc po prostu posłała jej najserdeczniejszy ze swoich uśmiechów. A potem zajęła się swoimi sprawami.

Szukała podejrzanych plików na dysku, sprawdziła historię przeglądarki, licząc na to, że Łarisa Samsonowa zapomniła się wylogować. Nic z tego. Po paru minutach stało się jasne, że jedyne, co może zrobić, to zebrać jak najwięcej danych na temat sieci, dzięki czemu

Kasparow być może będzie w stanie się do niej włamać i porządnie przetrząsnąć jej bebechy.

Opadła na oparcie krzesła. Myślała. Błądziła wzrokiem po pomieszczeniu, jakby w tej bladożółtej salce przypominającej oszczędnie urządzoną świetlicę miała się kryć jakaś podpowieź. Jakiś punkt zaczepienia. W końcu jej wzrok skupił się na sąsiadce, która jak na osobę z zaawansowanym parkinsonem całkiem sprawnie poruszała myszką.

– Chce pani spróbować? – zapytała staruszka tuż po przegranej partii. – Może pani będzie stanowiła większe wyzwanie dla Lenki. To niesamowicie bystra dziewczynka.

– Nie chcę pani zabierać czasu z prawnuczką.

– Niczego pani nie zabiera. A Lenka się ucieszy, że gra z kimś innym niż niedołączna babka.

Kobieta odsunęła się od biurka, robiąc miejsce przed monitorem. Uzi ciężko westchnęła. Przyszła do domu starców po odpowiedź na konkretne pytanie, a nie na partyjkę warcabów z dzieckiem.

– Nie grałam w to ze dwadzieścia lat – powiedziała.

Staruszka dobrotliwie się uśmiechnęła.

– Warcaby są jak jazda na rowerze. Na pewno sobie pani poradzi.

Wylewająca się ze starowinki uprzejmość nie pozwoliła Uzi na odmowę. Przesunęła więc monitor w swoją stronę. Na ekranie wyświetliło się zaproszenie do gry od jedenastoletniej Lenki. Na jego widok Uzi szeroko rozdziawiła usta.

31 STYCZNIA 2020

ŻENIA

– To tutaj!

Żenia od kilku minut szedł mocno pochylony, chowając się przed coraz agresywniej zacinającym wiatrem. Dopiero kiedy usłyszał głos Rodina, uniósł głowę.

– Co? – zapytał.

– Przełącz Gonczara. – Rodin przystanął kilka metrów przed nim. Rozglądał się dookoła. – W tym miejscu stał ich namiot.

– Skąd wiesz? Przecież nigdy tu nie byłeś.

– Po prostu wiem. Czuję energię tego miejsca. Złą energię. To tutaj.

Żenia przez dłuższą chwilę przyglądał się Rodinowi, jak gdyby miał do czynienia z wariatem, po czym sam się rozejrzył. Znajdowali się na środku białej pustyni. Żadnych pamiątek po odwiedzających przełęcz turystach czy łowcach sensacji. Żadnych oznaczeń.

Żadnych punktów charakterystycznych. Niczego, co pozwoliłoby ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że dotarli na miejsce.

– Co się stało? – zapytał Kosariew. Ciężko dyszał i wyglądał na wyczerpanego, ale i tak zadziwiająco dobrze radził sobie w górach. – Dlaczego się zatrzymaliśmy?

– Fiodor twierdzi, że jesteśmy na miejscu.

Kosariew zachował się identycznie jak Żenia parędziesiąt sekund wcześniej: rozejrzał się, szukając punktu odniesienia.

– Na jakiej podstawie?

– Złej energii.

Naukowiec wyglądał na zmieszanego, ale był zbyt zmęczony, żeby drażnić temat. Czym prędzej ściągnął rękawiczki, zrzucił ciężki plecak, przykucnął i wyjął niewielkie elektroniczne urządzenie, które łączyło w sobie funkcje kompasu, wysokościomierza, barometru, termometru, poziomicy i cholera wie czego jeszcze. Potem, aby porównać wyniki, wydobył telefon nafaszerowany masą meteorologicznych aplikacji.

– Współrzędne geograficzne się zgadzają, wysokość i nachylenie stoku również – orzekł, zerkając na Żenię. – To tutaj. Pan Rodin ma rację.

Popatrzyli z Żenią na Rodina, który nie czekając na werdykt, zaczął kopać w śniegu. Chwilę później obaj do niego dołączyli.

Mieli sporo do zrobienia. Trzeba było odsłonić pokryty śniegiem grunt, połączyć za pomocą linek rogi namiotu z nartami, a następnie wbić je w ziemię najgłębiej, jak to możliwe, i maksymalnie naprężyć nylonowy materiał. Później należało przygotować legowisko: karimaty, śpiwory i puchówki. Wszelkie zbędne przedmioty, takie jak plecaki, sprzęt wspinaczkowy czy ubrania, musieli ułożyć jak najbliżej ścianek namiotu, aby zapewnić dodatkową izolację.

Kiedy to wszystko zrobili, było już ciemno, a temperatura spadła o kilka kolejnych stopni – do minus dwudziestu pięciu. Kosariew, ciężko oddychając, zziębnięty i wyraźnie u kresu wytrzymałości, poszedł odsapnąć do namiotu. Z kolei Żenia i Rodin zajęli się budową otaczającego biwak murku, który miał częściowo ochronić ich przed wiatrem. Nie było żadnego dowodu na to, że gonczarowcy skonstruowali coś podobnego, ale w końcu chodziło o to, by stworzyć symulację warunków, w jakich turystom przyszło spędzić noc, a nie o to, by podzielić ich los.

– Co to znaczy, że poczułeś złą energię? – zapytał Żenia, spychając dłońmi śnieg na zaimprovizowaną fortyfikację.

– Mam pewnego rodzaju dar – odparł Rodin. – Wielu moich przodków miało jakieś nietypowe zdolności. Prababka potrafiła przewidzieć płeć nienarodzonego dziecka, jak tylko ujrzała przyszłą matkę. Z kolei dziadek wyczuwał, co się wydarzy następnego dnia, zwłaszcza jeśli miało się stać coś złego.

- Pajęczy zmysł.
 - Co?
 - Spiderman wyczuwał niebezpieczeństwo tuż przed pojawieniem się zagrożenia.
 - Coś w tym stylu.
 - A w twoim wypadku jak to działa?
 - Odwrotnie niż u Spidermana. Gdy pojawia się w miejscu, w którym stało się coś złego, po prostu o tym wiem.
 - Jakie to uczucie?
- Rodin przerwał na moment pracę. Zapatrzył się w śnieg.
- Jakby coś nagle podrażniało twoje zakończenia nerwowe. Ledwo odczuwalnie, ale zarazem w taki sposób, że nie możesz tego przeoczyć. Czujesz w ustach metalowy posmak wydobywający się wprost z żołądka. Przez kilka długich sekund masz wrażenie, że stałeś się nieuleczalnie chory. – Wstrząsnął nim dreszcz. – Okropieństwo w najczystszej postaci.
 - Wyobrażam sobie.
 - Nie. – Rodin spojrzał Żeni prosto w oczy. – Tego nie można sobie wyobrazić.

1 LUTEGO 1959

MISZA

Choć Misza Klimienko przeżył wojnę, zjeździł wzdłuż i wszerz ogromny kraj i sporo w ciągu ostatnich kilkunastu lat zobaczył, tak naprawdę nigdy nie czuł, żeby jego życie było zagrożone. Owszem, nie raz, nie dwa miał w rękach broń, a nawet zdarzyło mu się jej użyć. Owszem, widział konających obok ludzi. Owszem, doświadczał takich skoków adrenaliny, że osoby o słabszych nerwach mogłyby zejść na zawał. No i zrobił w życiu tyle głupstw, że chyba tylko szczęściu i łaskawości losu zawdzięczał to, że dożył niemal czterdziestki.

Ale dopiero teraz, stojąc kilka metrów od namiotu i próbując nie naszczać sobie na buty, czuł, że mógłby zginąć. Zamarznąć na kamień. Utknąć na zawsze pod tą cholerną górą. Zamknięty w białej trumnie, zakopany, zapomniany. Podejrzewał, że wystarczy kilka minut w bezruchu, aby raz na zawsze dać się pochłonąć rozwścieczonej zimowej tajdze, która tej nocy pokazywała im swoje najbardziej przerażające oblicze.

Kiedy skończył sikać, wbił się w ścianę wiatru, ten bowiem wcale nie zamilkł, tylko wrzeszczał na cały głos, jak gdyby nienawidził tego świata. Z najwyższym trudem Misza doczłapał do namiotu.

- Co za piekło – westchnął, wytrzepując śnieg z każdej wnęki, jaką miał w kurtce.
- Teraz moja kolej – powiedział Andriej.
- Powodzenia.

Andriej, który wystroił się tak, jakby wychodził na cały dzień, a nie na chwilę, z rozbawieniem prześwidrował Miszę wzrokiem.

– Chciałbym ci odpowiedzieć jakąś mądrą maksymą, ale nie znam żadnej o sikaniu.

Roześmiali się. Jak dobrzy znajomi, którzy spotkali się po latach. Jak koledzy od kielicha. Jak goście, którzy lubią spędzać ze sobą czas, spotykając się w dziwnych miejscach i w jeszcze dziwniejszych okolicznościach.

Kiedy Andriej wyszedł na zewnątrz, w namiocie zaległa cisza.

– Wybaczcie, jeśli poczujecie smród moczu – odezwał się Misza. – Nie chciałem odchodzić za daleko, bo mógłbym już nie wrócić.

– Nie w tym rzecz – odezwał się Wiktor, po czym zwrócił się do Klary. – Nie rycz. To nic nie da.

Misza ze zdziwieniem spojrział na rozpaczającą dziewczynę, a potem popatrzył na resztę. Wyglądało na to, że Klara w ten emocjonalny sposób oddała nastrój, jaki udzielił się także pozostałym: niepewności, smutku, strachu.

– Co się stało? – spytał Misza.

– On ma broń – wyjaśnił Wiktor.

Po rozpracowaniu z Andriejem ponad połowy litrowej butelki spirytusu Misza był już nieźle dziabnięty, przez co te słowa dotarły do niego z lekkim opóźnieniem.

– Niemożliwe – stwierdził. – Przecież go przeszukaliśmy.

– Prawdopodobnie wyjął pistolet z plecaka Danieli. Poza tym wygląda na to, że już go używał. W magazynku brakuje kilku naboji. Podejrzewamy, że zabił swoich kolegów.

Dla Klary i paru innych osób ostatnia wiadomość musiała być nowością, ponieważ po namiocie poniósł się jęk przerażenia.

– I co my teraz, kurwa, zrobimy? – spytał Leon, z którego ulotniła się cała wesołość.

– Przede wszystkim nie panikujmy – odparł Misza. – Być może rzucamy bezpodstawne oskarżenia.

– To nie wszystko. – Wiktor ponownie skupił na sobie uwagę grupy. – Kilka dni temu Marat widział, jak Andriej i jego koledzy gwałcili kobietę.

– O czym ty mówisz?

– To się stało jeszcze przed Wiermukowem. Być może facet śledzi nas od tamtego momentu.

– To świr – rzucił piskliwym głosem Leon, popadając w rozpacz. – On nas wszystkich ukatrupi!

Misza wyczuł, że grupa jest tylko o włos od masowej hysterii. A panika w takiej sytuacji byłaby czymś najgorszym. Musiał jakoś temu zapobiec. Tylko jak?

– Dajcie mi go rozpracować – powiedział. – Potrafię docierać do ludzi. Dowiem się, o co temu facetowi chodzi.

– To, że się z nim nachlałeś, jeszcze nie znaczy, że to twój przyjaciel – burknął Aleksiej. – Musimy coś zrobić, do kurwy nędzy!

Rzadko się zdarzało, żeby Aleksiej tworzył wspólny front z Wiktorem, ale tym razem grali do jednej bramki. Pozostali turyści albo kiwali głowami, albo milcząco się z nimi zgadzali. Misza odniósł wrażenie, że wszyscy są przeciwko niemu. A jednocześnie wszyscy, z Wiktorem włącznie, oczekiwali od niego jakiejś reakcji.

Nie zdążył nic zaproponować, ponieważ Andriej wrócił do namiotu. Wyglądał na zadowolonego z siebie – w końcu opróżnił pęcherz i dotarł w jednym kawałku. Ale kiedy zobaczył skierowane na siebie zaleźnione spojrzenia, momentalnie spochmurniał. Jego szkliste oczy wypełnił mrok.

31 STYCZNIA 2020

UZI

Parkinson, demencja, nadciśnienie, cukrzyca. Lista problemów Walentyny Morozowej była tak długa, że już sam fakt, iż dożyła osiemdziesiątki, należało uznać za sukces. Natomiast to, że wciąż się normalnie komunikowała, kojarzyła fakty, obsługiwała komputer, rozumiała, czym jest internet, a do tego miała w sobie dość optymizmu, aby z uśmiechem na ustach rozmawiać z nieznaną, wypadało traktować w kategoriach cudu.

Osobliwość Walentyny Morozowej przestała działać, kiedy Uzi zaczęła wypytywać ją o zdarzenia z przeszłości. Staruszka nie potrafiła opowiedzieć ze szczegółami o swoim życiu. Przypominała sobie jedynie pojedyncze zdarzenia z młodości spędzonej w Niesterowie. Życiowa chronologia zupełnie jej się rozsypała. A na wspomnienie Przełęczycy Gonczara jedynie smętnie pokiwała głową i parokrotnie bardzo poważnie stwierdziła, że była to straszna tragedia.

Na szczęście trudy życia nie odebrały Morozowej wiedzy na temat jej najbliższych. Staruszka doskonale się orientowała, kto ile ma lat, kto się czym zajmuje, kto ma fioła na tym czy innym punkcie. A także kto bardzo żałował, że nie dostał na imię Łarisa.

– Zawsze lubiła gry komputerowe – powiedziała Morozowa. – Jedna tak ją wciągnęła, że kazała się zwracać do siebie imieniem jakiejś postaci. Było to trochę dziwne, bo miała już wtedy szesnaście czy siedemnaście lat. Zamiast uganiać się za chłopakami, ciągle siedziała przy komputerze.

– Postać w grze miała na imię Łarisa? – zdziwiła się Uzi.

– Ale po angielsku. To była amerykańska gra.

Uzi myślała o tym przez chwilę, zanim jej synapsy się połączyły. Łarisa. Lara. Lara Croft. *Tomb Raider*. No tak, pomyślała. Też była jej fanką, tyle że w wydaniu Angeliny Jolie.

– Martyna to pani prawnuczka? – spytała.

– Wnuczka.

– Ile ona ma teraz lat?

– W kwietniu skończy czterdzieści. A pamiętam, jak była taka malutka. – Walentyna uniosła rozedrganą dłoń na wysokość biurka. – Nie mam pojęcia, kiedy ten czas zleciał.

Uzi pokiwała głową, szybko grupując informacje. Grając ze staruszką w warcaby, prawnuczka Morozowej korzystała z konta swojej matki, Martynty. Prawie czterdziestoletniej kobiety, która nie godzi się na niesprawiedliwość historyczną. Która od lat uczestniczy w zażartych internetowych kłótniach w sprawie Przełęczu Gonczara. I która z jakiegoś powodu robi to pod pseudonimem. Wszystko nabierało coraz większego sensu.

– Czy Martyna interesuje się Przełęczą Gonczara?

– Oj tak. Najbardziej z całej rodziny. Mówiłam jej, żeby dała sobie spokój, ale ona jest bardzo uparta. Zresztą... – Staruszka zamilkła, jakby nagle o czymś sobie przypomniała. – Nie powinnam z panią o tym rozmawiać.

– Dlaczego? Co się stało?

Morozowa wolno pokręciła głową.

– Martyna byłaby zła.

Uzi próbowała wyciągnąć ze staruszki coś jeszcze, ale gdy Walentyna zrozumiała, czego ta sympatyczna młoda kobieta od niej oczekuje, zmieniła nastawienie o sto osiemdziesiąt stopni. Nie była dobrą aktorką. Jej skruszone, niemal cierpiętnicze spojrzenie wyraźnie mówiło, że skrywa sekret, którym chciałaby się podzielić, ale z jakiegoś powodu nie może.

W końcu wybiła godzina kolacji i podawania leków, kończąc tym samym porę odwiedzin. Uzi, podając się za dawną sąsiadkę poczciwej staruszki, posadziła ją na wózku i odwiozła do pokoju. Opłaciło się, ponieważ w szafce przy łóżku znalazła kartkę z numerami telefonów najbliższych Walentyny Morozowej – w tym wnuczki, Martynty. Pospiesznie spisała kontakty, podziękowała kobiecie, obiecując, że jeszcze ją odwiedzi, i skierowała się do wyjścia.

Do pełni szczęścia brakowało Uzi jednego – adresu Martynty Morozowej. Zamierzała zapytać o niego Lidię Abramową. Dyrektorka z pewnością nie będzie chciała się nim podzielić, ale Uzi miała nadzieję, że zdoła go wyciągnąć swoim prokuratorskim autorytetem. Albo sprytem. Albo groźbą. Albo jakkolwiek inaczej. Była bardzo zdeterminowana, żeby to załatwić. Poczula krew i nie zamierzała odpuścić.

W połowie drogi do biura dyrektorki, do którego prowadził długi, wąski i kompletnie bezosobowy korytarz, zerknęła przez okno. Zakłęła. Wystrojona w efektowny płaszcz Abramowa szybkim krokiem zmierzała w stronę parkingu. No tak, przecież niektórzy mają

jakieś życie osobiste, pomyślała Uzi. Kończą pracę, pakują się do SUV-a i wracają do domu. Do przytulnej willi na przedmieściach, do obiadu ugotowanego przez gospozię, do ślęczenia przed kominkiem i sączenia wina z mężem. Do tych wszystkich przyjemności, których Uzi nawet nie próbowała sobie wizualizować, żeby nie wpaść w dołek.

Kiedy się zastanawiała, czy byłoby wielkim faux pas otworzyć okno i zawołać dyrektorkę, ta ją zaskoczyła. Nie podeszła do efektownego SUV-a, tylko do mniej więcej dwudziestoletniej srebrnej toyoty corolli, która właśnie zajęła na parking. Abramowa pochyliła się, przez opuszczoną szybę powiedziała coś kierowcy, a następnie wskazała palcem ośrodek. Sekundę później z toyoty wysiadło dwóch wysokich facetów w czarnych kurtkach.

Uzi poczuła ukłucie niepokoju. Coś jej nie pasowało w zachowaniu mężczyzn oraz dyrektorki. Towarzyszyła im wyczuwalna nawet z tak dużej odległości nerwowość. Jakieś niezdrowe podekscytowanie. Sprzeczność. A kiedy cała trójka zbliżyła się do samochodu, który jeszcze kilkadziesiąt godzin wcześniej prowadził Żenia Kowalczyk, Uzi zrozumiała, w czym rzecz. I momentalnie pobrała ze strachu.

Znała tych facetów. A oni doskonale znali ją.

31 STYCZNIA 2020

ŻENIA

– Jest pan przesądny, panie Kowalczyk?

Żenia miał wrażenie, że kiedy Kosariew zadał to pytanie, wiatr jakby się nasilił.

– Przesądny?

– Czy wierzy pan w zjawiska nadprzyrodzone, zbiegi okoliczności, numerologię, gwiazdy?

– Wierzę, że jesteśmy kowalami własnego losu.

Kosariew uśmiechnął się pod nosem. Wytarł chusteczką nóż, którym chwilę wcześniej równiuteńko pokroił kielbasę, i schował go do foliówki. Żeby ułatwić Żeni dostęp do jedzenia, przesunął talerz na środek namiotu, a następnie rozlał wódkę do plastikowych kubków.

– W tym kraju takie podejście to rzadkość – stwierdził. – Na świecie mówi się, że Rosja to kraj absurdów. Stan umysłu. Ale tak naprawdę to kraina czarów i dziwactw, które sami na siebie notorycznie sprowadzamy. Wie pan, że prawie połowa Rosjan wierzy w cuda? I że niemal milion naszych rodaków legalnie para się magią, uzdrowieniami czy wróżbiarstwem? Podobno wydajemy ponad trzydzieści miliardów dolarów rocznie na różnej maści hochsztaplerów i szamanów. Zamiast leczyć mózg u psychologów i psychiatrów, robimy to za pomocą zaklęć.

Żenia nie był tym zaskoczony. Nie znał wprawdzie statystyk, ale miał wielu znajomych, którzy uważali, że przed podjęciem ważnej życiowej decyzji warto się udać do wróżki. Słyszał, że podobnie postępują także niektórzy biznesmeni czy politycy. Również ci z krajowego topu.

– Dlaczego pan mi o tym mówi? – zapytał.

– Wie pan, jaki jutro mamy dzień?

Żenia wzruszył ramionami.

– Trzydziesty pierwszy stycznia?

– Pierwszy lutego, panie Kowalczuk. Pierwszy lutego – powtórzył Kosariew, jakby chciał to sobie utrwalić. – Równo sześćdziesiąt jeden lat temu grupa młodych ludzi zginęła na tym zboczu. Kilkaset metrów od miejsca, w którym sobie wygodnie siedzimy, pijemy wódkę i gadamy o pierdołach.

Wiatr świsnął jeszcze mocniej, jeszcze głośniej. Żenia zaczął się martwić o Rodina, który parę minut wcześniej wyszedł się załatwić.

– Wypijmy za nich – zaproponował, podnosząc kieliszek. – Za gonczarowców.

– Za ich dusze – odparł Kosariew. – Gdziekolwiek są i cokolwiek robią.

1 LUTEGO 1959

MISZA

– Za wasze dusze.

Andriej pociągnął z gwinta, przepalił smak spirytusu papierosem i wydmuchnął dym w stronę turystów, którzy z każdą minutą tego dziwnego wieczoru coraz bardziej nasiąkali trwogą. I coraz mocniej kulili się w głębi namiotu, starając się trzymać jak najdalej od dwóch pijanych mężczyzn.

– Za nasze dusze – odparł Misza, przechwytyjąc butelkę.

– Nasze dusze – powtórzył Andriej, uśmiechając się pod nosem. – Co dobrego mogłoby nas spotkać po tym, co zrobiliśmy?

Misza tępo wpatrywał się w Andrieja, który zachowywał się tak, jakby wyparł z głowy trudy dnia i wspomnienie swojej gorszej formy. Przepelniała go pijacka wesołość. Pijacka pewność siebie. Pijacki humor, który potrafi być nie do zniesienia dla trzeźwych. A czasem także dla kompanów od kielicha.

– Nie rozumiem – stwierdził Misza.

– Doskonale rozumiesz. Po prostu oszukujesz siebie, żeby móc oszukać innych. Ale na dłuższą metę tak się nie da. Prędzej czy później prawda musi wyjść na jaw. I to nie jakaś tam prawda, tylko najprawdziwsza z prawd. Bo przecież, jak mawiał towarzysz Lenin,

abstrakcyjnej prawdy nie ma; prawda jest zawsze konkretna. – Andriej zgasił peta w śnieżnej brei, której nawiało pod namiot. – Wyjaśnisz wreszcie młodzieży, co tutaj robisz? I kim tak naprawdę jesteś?

Misza zerknął w stronę grupy. Uchwycił zapłakane spojrzenie Klary, przepelniony paniką uśmiech Leona, wściekłość na twarzy Wiktora. Widział, jak każde z nich rozpada się na kawałki. Jak ich rachityczny świat, zbudowany z fałszywych wyobrażeń na temat dorosłości i z obietnic bez pokrycia, w mgnieniu oka przestaje istnieć.

– Nie ma o czym gadać. – Machnął ręką. – Każdy popełnia w życiu błędy. A im człowiek starszy, tym lista przewinień dłuższa. Z matematyką nie wygrasz.

Andriej popatrzył na kolejny małeńki łyk, który spłynął do gardła Miszy. Potrząsnął głową.

– Albo będziesz pił normalnie, albo spierdalaj na drugą stronę namiotu. – Wariacka wesołość nagle ulotniła się z twarzy Andrieja. Zastąpił ją wariacki gniew. – Bardzo nie lubię, kiedy ktoś próbuje robić mnie w chuja.

– Wcale nie ro...

– I bardzo nie lubię dojrzałych facetów, którzy nie potrafią określić swojej życiowej drogi. Nie mogę pojąć, dlaczego ktoś w pełni władz umysłowych pozwala na to, aby o jego losie decydował przypadek albo obcy człowiek. To jak czekanie z opuszczonymi portkami na nadejście wrogiej armii. – Andriej na moment odzyskał humor, ale jedynie po to, żeby zaśmiać się z własnego dowcipu. Zaraz potem spowaźniał i popatrzył na Miszę. Samym spojrzeniem wymusił na nim przełknięcie kolejnej porcji alkoholu. – Jeszcze nie zdecydowałeś, w której chcesz grać drużynie. Ale to tymczasowe. Kiedy dojdzie co do czego, wybierzesz właściwie. Postawisz na zespół, który da ci większe szanse przetrwania. Instynkt samozachowawczy jest nieporównywalnie silniejszy od moralności.

Nieznacznie przesunął się w stronę turystów, którzy nawet nie próbowali ukryć, że chcą się od niego odizolować. Że marzą o tym, aby być gdzie indziej. Gdziekolwiek. Byleby nie z nim.

Misza marzył o tym samym. Chciał się stamtąd wynieść. Zapomnieć o tym dniu. O zmęczeniu. O żołądku, który rozboleł go ze strachu, z wyczerpania albo z nadmiaru spirytusu, niczym kwas wżerającego się w jego trzewia. Marzył o bardzo wielu rzeczach, które mogłyby się wydarzyć, gdyby nie siedział w tym jebanym namiocie. Ale najpierw musiał jakoś powstrzymać tego nachlanego świra. Tylko jak? Jak, do cholery?!

Kiedy się nad tym zastanawiał, sytuacja nagle zrobiła się nieporównywalnie gorsza.

– A teraz przypomnij sobie swój toast – odezwał się Andriej, zwracając się do Miszy – i zastanów się, czy coś dobrego mogłoby nas spotkać po tym, co dopiero zrobimy.

Niefrasobliwie podwinął sweter i włożył rękę w spodnie. Turyści żałośnie jęknęli, gdy w jego dłoni zobaczyli pistolet.

23.

1 LUTEGO 2020
ŻENIA

Żenia zapalił papierosa. Udało mu się to zrobić bez większych problemów. Bez osłaniania się przed wiatrem, bez kombinowania, jak zmusić zawilgoconą zapalniczkę do pracy. Bez zastanawiania się, czy aby na pewno kopcenie szlugów na odsłoniętym stoku, w miejscu, które kilkadziesiąt lat wcześniej pozbawiło życia grupę młodych ludzi, jest dobrym pomysłem.

Było zimno, nawet bardzo zimno, a nad szczytem wisiały gęste, złowróźbne chmury. Mimo to Żenia, stojąc obok namiotu i paląc papierosa, czuł się co najwyżej jak na nieco upiornych feriach zimowych. Spodziewał się armagedonu. Starcia z potęgą natury, która nawet jeśli nie potwierdzi teorii Kosariewa, to przynajmniej uwiarygodni opinię, że turyści zginęli z przyczyn naturalnych. Ale w takich warunkach trudno było dopuścić do siebie podobną myśl.

– Spokojnie – powiedział Kosariew, dołączając do Żeni, i wyciągnął przed siebie palec. – Nad nizinami zawisły cirrusy, po których można się spodziewać zmiany pogody i porywistych wiatrów. Nasza sielanka wkrótce się skończy.

– Oby – westchnął Żenia. – Choć inaczej to sobie wyobrażałem.

– Co konkretnie?

– To. – Żenia zatoczył ręką okrąg. – Przełęcz. Góry. Zimę. Naszą wyprawę. – Zerknął na Kosariewa, który od rana serwował sobie drinki w dziwacznym, przypominającym kolorową zabawkę termosiku. I to takie, od których Żeni przewalało się w bebechach: wódka plus cola plus mleko. – Pana też inaczej sobie wyobrażałem.

– Jako abstynenta?

– Może nie aż tak. Ale sądziłem, że jest pan nudziarzem, który z trudem wlezie na przełęcz, a potem przez półtora dnia będzie dogorywał i narzekał na warunki.

– Czyli pozytywnie pana zaskoczyłem.

– Problem w tym, że nie lubię żadnych zaskoczeń. Nawet miłych. – Żenia kiwnął brodą w stronę spacerującego kilkadziesiąt metrów dalej Rodina. – Tylko on zachowuje się tak, jak się spodziewałem.

– Niczym uciekinier, który nie zdołał do końca zerwać łańcucha.

– Coś w tym stylu.

– Kto właściwie was ściga?

Żenia odwrócił się do Kosariewa.

– A skąd taki wniosek?

– Prosta dedukcja. Pan bardziej niż ja boi się tego, że moja teoria może być błędna. Pański kolega zachowuje się jak były więzień. Z kolei pani Anna była jednocześnie wściekła i przerażona, kiedy się okazało, że z nami nie jedzie, choć wcale nie wygląda na fanek górskich wędrówek. – Kosariew pociągnął z termosu. Skrzywił się tak, jakby wreszcie do niego dotarło, czym się truje. – Proszę nie traktować mnie jak kretyna. Jeżeli w każdej chwili mogą dopaść nas żołnierze, agenci wywiadu albo cholera wie kto jeszcze, wolę o tym wiedzieć.

Żenia wyrzucił peta pod nogi i spojrzał w szczerze, lekko szkliste oczy Kosariewa – nie wyglądał na faceta, który mógłby mu jakkolwiek zagrozić. Co mi szkodzi, pomyślał. Chwilę później wyjął kolejnego papierosa i zaczął opowiadać: o Fiodorowie i Janinie, o poszukiwaniach, o wizycie w Wiermukowie, o Galinie, o spotkaniu z Rodinem, o zbirach, którzy próbowali wyrzucić im krzywdę. Przedstawił Kosariewowi ich historię w formie bryka – bez wdawania się w szczegóły, bez emocji, bez straszenia. Mimo to kiedy skończył i spojrzał na przestraszone oblicze naukowca, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że popełnił fatalny błąd.

– Czyli miałem rację – skwitował Kosariew. – Ni stąd, ni zowąd może się tu pojawić ktoś, kto nas sprzątnie.

– I tak, i nie – odparł Żenia. – Wszystko zależy od tego, czego uda się dowiedzieć Uzi.

– Albo nam.

– Jeżeli pańska teoria jest trafna, grożą nam wiry, infradźwięki i tymczasowe szaleństwo, a nie agenci i żołnierze.

Doktor zakołysał swoim dziwacznym termosikiem, łudząc się, że znajdzie na dnie jeszcze trochę święstwa. Nic z tego.

– Zadzwoń do żony, zanim drinki zaczną działać – powiedział. – Ta kobieta zawsze potrafi wyczuć, że piłem. Nawet jeśli jeszcze nie jestem na bombie.

– Dobrze by było, gdyby tak pozostało. – Żenia zerknął w górę. – Mam nadzieję, że będziemy dzisiaj potrzebować pańskiej wiedzy.

Kiedy Kosariew wrócił do namiotu, Żenia pomyślał, że on też powinien zadzwonić. Miał nadzieję, że Uzi sama da znać, jeśli czegoś się dowie, ale ona uparcie milczała. Nie chciał i nie mógł dłużej czekać na jej ruch. Za bardzo go to wszystko gryzło i przerażało. Z każdą upływającą godziną coraz bardziej.

Wyjął telefon. Jedna kreska zasięgu nie była niczym zaskakującym. Co innego kilka esemesów informujących, że ktoś bezskutecznie próbował się z nim skontaktować.

Zaklął.

Natychmiast wybrał numer Uzi. Po kilku sygnałach wreszcie usłyszał głos, za którym nieoczekiwanie zdążył się stęsknić.

Usłyszał także coś, co zupełnie wytrąciło go z równowagi.

1 LUTEGO 2020

UZI

Uzi postanowiła zaryzykować i skorzystać z wyjścia przeciwpożarowego. O mało nie krzyknęła z radości, kiedy się okazało, że nie prowadzi ono na parking, czego się obawiała, tylko na tyły domu spokojnej starości Mandarynka. Tym sposobem uniknęła spotkania z Lidią Abramową, która wróciła do ośrodka w towarzystwie dwóch osiłków.

Wprawdzie Uzi była teraz bez samochodu, bez ciuchów i bez większości notatek na temat gonczarowców, ale na szczęście zachowała najistotniejsze dokumenty, które zawsze nosiła w torebce, oraz wolę przetrwania. To dzięki niej zdołała się przedrzeć skrajem lasu do Kiercowa, odnaleźć dworzec kolejowy i pierwszym pociągiem wrócić do Niestierowa. Wciśnięta w kąć przedziału, umęczona, brudna, zła. A przede wszystkim przerażona.

W trakcie podróży wielokrotnie się zastanawiała, co powinna zrobić. Poważnie rozważała rezygnację z całej akcji. Chciała zadzwonić do Fiodorowa i powiedzieć, że się wygłupiła. Zadzwonić do Janina i przeprosić za to, że wystrychnęła go na dudka. Wreszcie zadzwonić do Żeni i oznajmić, że się wycofuje, a jeśli zależy mu na dojściu do prawdy, musi to zrobić sam. Droga wolna. Ona jednak bardzo lubi żyć, a wydarzenia ostatnich godzin dobitnie jej to uświadomiły.

W drodze do Niestierowa udało jej się zasnąć. Raptem kilka godzin w niezbyt wygodnej półleżącej pozycji, z falą koszmarów przepływającą przez głowę i pulsującym pod skórą niepokojem. Tyle jednak wystarczyło, żeby wejść w trudy kolejnego dnia z niezbędną energią. A przede wszystkim – z odpowiednim nastawieniem i odwagą.

Uzi dotarła do pierwszego lepszego hotelu w Niestierowie. Zapłaciła za pokój, zadzwoniła do Kasparowa i wzięła prysznic. Podczas kolejnej rozmowy z informatykiem zapisała coś na kartce. Uporządkowawszy myśli, opuściła hotel, wstukała adres w nawigacji, a następnie zaczęła podążać za wskazówkami smartfona. Po półgodzinnym marszu dotarła do celu. Zatrzymała się przed dziesięciopiętrowym blokiem z dużej płyty, poźółkłym i odpychającym jak większość wieżowców w Niestierowie. Popatrzyła na telefon. Westchnęła. Żenia, do którego kilka godzin wcześniej próbowała się dodzwonić, tym razem sam się do niej dobijał. Odebrała. I opowiedziała mu o tym, co ją spotkało.

– Jezu – westchnął Żenia, kiedy skończyła. – Jesteś pewna, że to był facet od Galiny?

– Ten sam, który przetrzepał twój samochód – odparła. – Wielkolud z kucykiem. A razem z nim był gość, którego kilka godzin wcześniej widziałam w agencji Swietłany Duginy. Sprawdziłam go. To jej mąż. Były żołnierz, a obecnie mniejszościowy udziałowiec agencji.

– Skoro Galina i ta kobieta się znają, to znaczy, że...

– Rodin może mieć rację – weszła mu w słowo Uzi. – Rodzina Swietłany od lat wykazuje niezdrowe zainteresowanie przełączką. A skoro nie widać żadnego wyraźnego początku tej obsesji, trzeba go poszukać tam, gdzie wzrok nie sięga. Tam, gdzie historia została wygumkowana. Musimy ustalić, kim był dziadek Swietłany Duginy.

Przeciągające się milczenie Żeni zapewne oznaczało, że się zgadza.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał w końcu.

– To, co należy.

Uzi złapała wzrokiem biegaczkę, która zatrzymała się kilka metrów przed klatką, wyłączyła stoper i zgięła w pół, jakby zamierzała zwymiotować. Anna widziała jej twarz tylko przez ułamek sekundy, ale tyle w zupełności wystarczyło.

– Mogę cię o coś zapytać? – zwróciła się do Żeni.

– Pewnie – odparł.

– Dlaczego startujesz w maratonach?

– Masz na myśli udział w zawodach czy samo bieganie?

– Po prostu jestem ciekawa, dlaczego tak się forsujesz. Przecież to nie może być przyjemne. A gdyby rzeczywiście zależało ci na zdrowiu, tobyś po prostu zmienił dietę i rzucił palenie.

Żenia się roześmiała.

– To akurat dziecinnie proste. Biegam, aby pokazać, że mogę dłużej niż inni. W końcu o to chodzi każdemu facetowi. Dlaczego pytasz?

– Później ci to wyjaśnię. Muszę kończyć.

Uzi się rozłączyła. Schowała telefon do torebki i ruszyła w stronę dyszącej kobiety.

– Podobno mężczyźni biegają, aby udowodnić, że mogą dłużej niż inni – zagaiła. – A kobiety?

Biegaczka uniosła głowę, a chwilę później się wyprostowała. Zsunęła okulary przeciwsłoneczne i ściągnęła czapkę, spod której wystrzeliła burza rudych włosów. Uzi ujrzała w pełnej krasie twarz kobiety, która do tej pory była dla niej wyłącznie internetowym pseudonimem.

1 LUTEGO 1959

MISZA

– Powiesz wreszcie swoim nowym znajomym, kim tak naprawdę jesteś?

Zadając to pytanie, Andriej – może celowo, a może nie – przelożył broń do prawej ręki. Musiałby ją tylko minimalnie unieść, aby skierować lufę prosto w Miszę.

– Nie ma o czym gadać. – Misza, coraz bardziej zamroczony alkoholem i coraz bardziej umęczony niekończącą się niepewnością, mimo wszystko starał się zachować trzeźwość umysłu. – Nieważne, jak zaczynasz, ważne, jak kończysz. Nawet jeśli nasza znajomość zaczęła się nietypowo, liczy się to, żebym pozostawił po sobie dobre wrażenie.

– A mnie się wydaje, że najważniejszy w życiu każdego człowieka jest cel. Cel pracy. Cel nauki. Cel wyboru takiej, a nie innej ścieżki życiowej. A także cel dołączenia do grupy dzieciaków kogoś, komu władze naszego rajskiego imperium wybaczyły zadziwiająco wiele grzeszków. A jak wiadomo, władze naszego rajskiego imperium nie wybaczą. Nikomu i niczego. Chyba że mogą coś na tym zyskać. – Andriej przywołał na twarz dobrze znany irytujący uśmiezek. – Może się nie znam, w końcu jestem tylko nieco przewrażliwionym humanistą, ale wydaje mi się, że powinni wiedzieć, jak na nich trafiłeś. I że to nie był przypadek.

– O czym on mówi? – Daniela jako jedyna miała odwagę się odezwać. Jako jedyna nie popadła w odrętwienie na widok pistoletu. – Czego nam nie powiedziałaś?

Misza potrząsnął głową, jednocześnie posyłając dziewczynie przepaszające spojrzenie. Symbioza prawdy i kłamstwa.

– On bredzi – odparł. – Powiedziałem wam wszystko, co powinniście wiedzieć.

Andriej zarechotał. Następnie rozejrzał się po wnętrzu namiotu.

– Nie sądziłem, że kiedyś to powiem, ale tu jest strasznie duszno. Nie macie takiego wrażenia? – Przebiegł wzrokiem po twarzach turystów, a potem zatrzymał się na Miszy, jedynym ubranym podobnie jak on. Czyli tak, jakby wybierał się na biegun. – Pójdziemy się przewietrzyć.

Zwlekł z barłogu swoje pokraczne cielsko i skierował się w stronę wyjścia.

Misza nie odrywał od niego oczu.

– Co robisz? – zapytał.

– Przewietrzmy się. Przyda nam się trochę świeżości. Wstawaj.

W głosie Andrieja pobrzmiwało szaleństwo. Ale jeszcze większym szaleństwem byłoby odmówić wariatowi, który ściska w dłoni broń. Misza niechętnie się podniósł. Zerknął jeszcze w stronę turystów, zostawiając im mgliste wspomnienie spojrzenia, w którym tkwiło coś ostatecznego, i wyszedł na zewnątrz.

Momentalnie uderzyła w nich potęga natury. Kąsający mróz wyciskał łzy z oczu i wywoływał dreszcze, a szalejąca zamieć przerażała i dramatycznie ograniczała widoczność. Andriej, schodząc ze zbocza, oświetlał sobie drogę latarką i Misza widział jedynie jej rozmazany blask. Zaklął w myślach. Do tej pory zakładał, że Andriej chce z nim konspiracyjnie porozmawiać. Wyjaśnić, o co mu chodzi. Ale żeby to zrobić, wystarczyło stanąć tuż obok namiotu, może nawet wykorzystując go jako osłonę przed wiatrem. Skoro oddalili się o kilkanaście metrów, musiało chodzić o coś innego. Na przykład o to, żeby nikt nie usłyszał wystrzału.

– Dalej nie idę! – wrzasnął Misza. Ku jego zdumieniu Andriej zatrzymał się kilka metrów niżej i wycelował w niego snop światła. – Dlaczego mnie dekonspirujesz? I skąd tyle o mnie wiesz?

– Różne rzeczy wiem. A o tobie nawet więcej, niżbym sobie życzył. Wiem na przykład o twoich miłosnych podbojach. O dzieciach, którymi nie raczyłeś się zaopiekować. O twoim wojennym tchórzostwie. O przestępstwach, jakie popełniłeś. I o tym, co zobowiązałeś się zrobić, żeby nie zostać za to ukaranym.

– Pracujesz dla KGB?

– Nie. To ty pracujesz dla KGB. Ja pracuję dla Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Dla imperium. Mojej, twojej i ich ojczyzny. – Andriej skinął głową w stronę namiotu. – Ale przede wszystkim pracuję dla siebie. Dla zaspokojenia narcystycznej potrzeby godnego życia.

Kiedy wiatr jeszcze się wzmógł, Misza niemal stracił równowagę, a Andriej osunął się o jakieś pół metra. Obaj byli już niezłe nawaleni. Andriej miał mocniejszą głowę, dzięki czemu nadal potrafił bez zająknięcia wygłaszać swoje mądrości. Ale fizycznie lepiej trzymał się Misza, który nie wlewał w siebie spirytusu przez ostatnie dwa tygodnie. Poza tym był wyższy, cięższy i zapewne silniejszy. Gdyby zaczęli się bić, to Misza, który był bardziej pijany, powinien sobie poradzić z Andriejem.

Był tylko jeden problem. Andriej miał broń.

– Czasem ktoś hamuje moje zapędy albo po prostu zaczyna mnie potwornie nudzić. A wtedy muszę się go pozbyć. – Andriej starł śnieg z twarzy. – W mieście wystarczy wyjść z pokoju albo knajpy, nie trzeba od razu robić zadymy. W górach jest to bardziej skomplikowane. Ale wykonalne.

Misza już go nie słuchał, ponieważ koncentrował się tylko na jednym. W normalnych warunkach uniesienie broni i pociągnięcie za spust zajęłoby Andriejowi ułamek sekundy. Ale teraz – w zamieci, nocą, po opróżnieniu butelki spirytusu – jego reakcja mogłaby być nawet kilkukrotnie wolniejsza.

To moja szansa, pomyślał Misza. Moja jedyna szansa.

– Zawsze dążę do tego, żeby się czuć komfortowo – kontynuował Andriej. – Teraz już wiem, że w twoim towarzystwie nie będzie to możliwe.

Nie zdążył jeszcze wysłać do mózgu odpowiedniego komunikatu, gdy czarna sylwetka przecięła strumień światła i runęła w dół.

1 LUTEGO 2020

UZI

– Za godzinę z hakiem muszę wyjechać po córkę. – Martyna Krasotkina wlała wodę do szklanek, po czym jedną z nich przesunęła w kierunku Uzi. – Wcześniej chciałam się jeszcze wykapać. Dlatego proponuję darować sobie wymianę uprzejmości i przejść do rzeczy.

Uzi pokiwała głową. Wolałaby nie oddawać inicjatywy, ale najwyraźniej tylko w ten sposób można było porozmawiać z Krasotkiną. Kobieta, która w sieci występowała pod pseudonimem, lubiła grać w ofensywie. Zdradzała to swoimi słowami, wysportowaną sylwetką, ostrymi rysami, ognistą fryzurą, a przede wszystkim mową ciała.

– Dotarłam do pani, szukając Łarisy Samsonowej – powiedziała Uzi.

Krasotkina zerknęła na zegarek, który chwilę wcześniej mierzył czas jej biegu, a teraz odliczał minuty do zakończenia spotkania.

– Nie będę się dopytywać, jak mnie pani namierzyła – powiedziała – bo zakładam, że nie odbyło się to zgodnie z prawem. Zresztą wcale mnie to nie obchodzi. Muszę natomiast wiedzieć, czy jeszcze ktoś oprócz pani o tym wie.

– Kiedy odwiedzałam pani babcię, zauważyłam, że jestem śledzona. Jedną z osób, które za mną podążały, był mąż Swietłany Duginy.

Krasotkina chwyciła szklanekę i podeszła do okna. Wyjrzała z ósmego piętra na betonowe podwórko, które łączyło dwa równie odpychające bliźniacze bloki, a następnie wychyliła wodę duszkiem.

– Co pani wie o Duginie? – zapytała, energicznie wstawiając szklanekę do zlewu.

– Niewiele.

– W takim razie odpowiedź nie zajmie pani dużo czasu.

Uzi teatralnie westchnęła, ale po chwili pokornie wyrecytowała wszystkie informacje, jakie udało jej się zgromadzić na temat Swietłany Duginy. Szybko podsumowała jej aktywności zawodowe, a potem skupiła się na powinowactwach.

– Zastanawiam się, jak to możliwe, że w internecie nie ma ani jednej wzmianki o jej dziadku. Wątek tego człowieka nie wypłynął w żadnym z wywiadów udzielanych przez jego wyjątkowo rozgadane i medialne dzieci. Nie wiadomo, kim był, czym się zajmował ani jak się nazywał. Jakby ktoś wymazał go z kart historii.

– A jaki to ma związek ze mną? – spytała Krasotkina.

– Jako Łarisa Samsonowa wielokrotnie atakowała pani w internecie wnuczkę tego człowieka.

– Nie samą Duginę, tylko jej teorię na temat Miszy Klimienki.

– To prawda. Ale skoro tak zaciekle pani broni Klimienki, to znaczy, że albo jest z nim jakoś spokrewniona, albo musi wiedzieć na temat tamtych wydarzeń coś, co nie pojawiło się w żadnym oficjalnym źródle. Coś, co najpewniej dotyczy dziadka Swietłany Duginy.

Uzi zagrała va banque. Nie miała pojęcia, dlaczego Krasotkina tak bardzo zaangażowała się w sprawę gonczarówców. Swoje podejrzenia opierała wyłącznie na sugestiach Rodina, który do tej pory wykazywał się zadziwiająco dobrą intuicją.

– Stalin bezceremonialnie pozbywał się ludzi, którzy z różnych powodów byli dla niego niewygodni – stwierdziła Krasotkina. – Wrogów, potencjalnych rywali politycznych, właściwie każdego, kto odbierał mu spokój. Jego następcy byli już bardziej subtelni. Znacznie ostrożniej zabawiali się historią. Pozbywali się przeciwników za pomocą nieprawdziwych oskarżeń, swobodnie wydawanych wyroków śmierci oraz łagrów. Fałszowaniem historii zajmowali się w ostateczności. A jednak dziadek Duginy zrobił coś, czym zmusił możnych ówczesnego świata do sięgnięcia po ostateczne rozwiązanie.

– Skąd pani to wie?

– Bo kiedy inni próbowali ułożyć sobie życie w nowej demokratycznej rzeczywistości, ja grzebałam w historii. W efekcie ciągle byłam spóźniona. Zawsze o krok za wszystkimi. A żyjemy w kraju, w którym albo kroczysz na froncie pochodu, albo giniesz zdeptany w tłumie.

– Czego się pani o nim dowiedziała?

Krasotkina zamilkła, jakby próbowała uniknąć odpowiedzi na to pytanie.

– Oni pani nie pozwolą tego ujawnić – powiedziała.

– Kim są „oni”?

– To ludzie, którzy wiedzą, co się stało na przełęczu.

– Pracuję dla bardzo wpływowego człowieka. On także chciałby posiadać tę wiedzę.

– Musi pani bardzo ufać swojemu zleceniodawcy.

– Lubię myśleć, że jest gwarantem mojego bezpieczeństwa.

Krasotkina ponownie wyjrzała przez okno, a potem skupiła się na Uzi.

– Coś pani pokażę. Ale najpierw proszę wyjąć wszystkie urządzenia elektroniczne i się rozebrać.

– Rozebrać?

– Do majtek.

Uzi zdążyła przywyknąć, że ludzie interesujący się przełęczą są paranoikami, ale urojenia Krasotkiny osiągnęły znacznie wyższy poziom. Mimo to nie zaprotestowała. Zdjęła ciuchy,

a Krasotkina, niezbyt dyskretnie zlustrowawszy jej ciało, znalazła dla niej szlafrok. Potem wyszły z mieszkania i skierowały się na górę.

Piętro wyżej mieszkał zniedołężniały staruszek, który nawet się nie zorientował, że pojawiły się u niego dwie osoby, w tym jedna zupełnie mu obca i dość oryginalnie odziana. Krasotkina zaprowadziła Uzi do ukrytego w głębi korytarza pokoju, który cuchnął tak, jakby ktoś niedawno tam umarł. Zamknęła za nimi drzwi. Z wypełnionej starymi ubraniami szafy wyciągnęła drewniany kufer, a potem – kiedy Uzi myślała, że nie da się już być bardziej paranoicznym – wydobyla z buta niewielki srebrny klucz, którym otworzyła skrytkę.

– Rozumiem, że właściciel lokalu nie ma o tym pojęcia – odezwała się Uzi szeptem, choć ten był zbyteczny, bo w całym domu dudnił rozkręcony na pełny regulator telewizor.

– Właściciel lokalu nie wie o wielu rzeczach. – Krasotkina włożyła rękę do kufra. Na dnie leżał wypchany po brzegi segregator. – Nie może pani nikomu powiedzieć, jak się o tym dowiedziała. A najlepiej, gdyby całą tę wiedzę zachowała pani dla siebie, choć rozumiem, że to nie wchodzi w grę.

– Jeszcze nie wiem, co miałabym przemilczeć.

Krasotkina podała jej segregator.

– Proszę obejrzeć materiały z trzech ostatnich koszulek.

Uzi położyła skoroszyt na podłodze i zaczęła go przeglądać. W trzeciej od końca koszulce znajdowało się kilka zadrukowanych od góry do dołu kartek. Były to zaszyfrowane notatki Krasotkiny, zapewne dotyczące czegoś z odległej przeszłości. Pozbawione nazwisk, pełne nieopisanych zdjęć marnej jakości. Niektóre informacje były sformułowane tak bełkotliwie, że tylko autorka mogła je odczytać. Ale w tym gąszczu kartek jedna szczególnie zainteresowała Uzi. Nie było na niej żadnych tajemniczych zapisków, jedynie kopia starego zdjęcia mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziała.

– Kto to? – Uzi podniosła wydruk na wysokość twarzy.

– Człowiek, który doprowadził do tragedii.

Uzi przez dłuższą chwilę przyglądała się Krasotkinie, spodziewając się, że ta za chwilę odkręci swój żart. Ale nic takiego się nie stało.

– Skąd pani to wie? – spytała. – I jak pani to zdobyła?

Krasotkina się uśmiechnęła.

– Najpewniej Dugina nie zaufała pani na tyle, aby opowiedzieć o specyficznym wtargnięciu do jej mieszkania. Włamywacze nie ukradli sprzętu ani pieniędzy, tylko opróżnili sejf z dokumentów. – Była wyraźnie z siebie zadowolona. – Rodziny się nie wybiera, ale trzeba o nią dbać. Nawet wtedy, gdy niebezpieczni ludzie szargają dobre imię tych, którzy już nie żyją.

– Klimienki? – zdziwiła się Uzi. – To pani krewny?

– Proszę sprawdzić resztę. – Krasotkina skinęła brodą na papiery. – Podejrzewam, że to dla pani nie koniec niespodzianek.

Uzi przejrzała resztę dokumentów. A kiedy już to zrobiła, poczuła palącą potrzebę, by zadzwonić do Żeni.

1 LUTEGO 2020 ŻENIA

To była prawdopodobnie najdziwniejsza rozmowa, jaką Żenia kiedykolwiek przeprowadził z Uzi. Przez gówniany zasięg słyszał tylko co drugie jej słowo, zupełnie jakby grali w głuchy telefon, ale wyczuł, że jest jednocześnie podekscytowana i przerażona. Jak ktoś, kto po latach błędzenia po omacku wreszcie odkrył sekret, który tak bardzo chciał poznać. Tyle że to odkrycie ani trochę mu się nie podobało.

Żenia również nie był zachwycony tym, co usłyszał.

Kiedy wrócił do namiotu, Kosariew i Rodin oczekiwali wyjaśnień, ale on nie miał ochoty z nimi rozmawiać. A przynajmniej nie od razu. Musiał się upewnić, że dobrze zrozumiał Uzi. Przemyśleć to, co usłyszał. Ustrukturyzować wiedzę. A dopiero potem wyciągnąć wnioski.

– Czy słyszeliście kiedyś o Andrieju Szawarowie? – zapytał po upływie kilku wyjątkowo długich i wyjątkowo cichych minut.

Mężczyźni, jakby wyrwani z letargu, synchronicznie pokręcili głowami.

– A powinniśmy? – dopytywał się Kosariew.

– To zależy. Ale jeżeli dobrze zrozumiałem Uzi, w latach pięćdziesiątych Szawarow był jednym z pracowników Uniwersytetu Niestierowskiego. A przy okazji agentem bezpieczeństwa. Wsławił się kilkoma dziwnymi akcjami, po których omal nie wylądował w łagrze.

– Co go uratowało?

– Nie wiadomo. Nie miał znajomości we władzach, a przynajmniej nikt o takowych nie wiedział. Nie był też szczególnie lubianym człowiekiem. Nadużywał alkoholu i miał skłonność do agresji. Jedna z pracownic uniwersytetu oskarżyła go o próbę gwałtu. A jednak najprawdopodobniej do końca swoich dni pracował na uczelni i zajmował się zadaniami, jakie powierzyli mu przełożeni.

– Czyli?

– Inwigilowaniem innych agentów. – Żenia przyglądał się Kosariewowi, analizując jego reakcję. – Ślad po Szawarowie urywa się na Uralu Północnym, po którym podróżował z dwoma kolegami. Stało się to mniej więcej wtedy, gdy grupa turystów pod przewodnictwem Wiktora Gonczara próbowała zdobyć Szelichamat. Potem służby zatroszczyły się o to, aby zniszczyć każdy dowód świadczący o tym, że istniał ktoś taki jak

Andriej Szawarow. – Żenia dał im parę sekund na przetrwanie tej wiadomości. I na złapanie oddechu, zanim zrzuci bombę. – Uzi dotarła do osoby, która jest święcie przekonana, że Szawarow miał dzieci. Chłopca i dziewczynkę. Od momentu jego zniknięcia oboje zaczęli żyć pod zmienionymi nazwiskami. I doskonale sobie radzili. Osiągnęli sukces, zarobili duże pieniądze, zostali lokalnymi celebrytami. Ale ich potomkom już nie poszło tak dobrze. Jedna z wnuczek Szawarowa gotowa była zrobić naprawdę dużo, aby zostać kimś znanym, a być może upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Wymyśliła, że sławę przyniosą jej gonczarowcy. A konkretnie publiczne atakowanie Miszy Klimienki, którego obwinia o śmierć turystów.

– Swietłana Dugina – odezwał się Rodin, od dłuższego czasu zapatrzony w narożnik namiotu.

– Zgadza się – potwierdził Żenia.

– Ta kretynka atakuje Klimienkę, aby ukryć prawdę o swoim dziadku.

– Tak przynajmniej uważa osoba, do której dotarła Uzi.

– Miałem rację. To on jest kluczem do zagadki. – Rodin wydawał się coraz bardziej pochłonięty własnymi myślami. Coraz bardziej nieobecny. – Szawarow musiał być z turystami na przełęczu. Zamordował ich, a potem uciekł. Władza nie mogła pozwolić, aby ta informacja gdziekolwiek wypłynęła, więc zatuszowała fakt, że ktoś taki w ogóle istniał.

Żenia pokiwał głową. Próbował znaleźć dziurę w rozumowaniu Rodina. W końcu każda teoria, z którą mierzyli się do tej pory, miała jakieś mankamenty. Ale w tej jeszcze ich nie dostrzegł.

– Panowie, moment. – Kosariew, wyraźnie zamroczony alkoholem, uniósł rękę, jakby zgłaszał się do odpowiedzi. – Mówicie, że jakiś szalenciec napadł na turystów, wymordował ich, a władza zamiotła to pod dywan?

– Dopóki nie znajdziemy lepszego rozwiązania, musi nam to wystarczyć – odparł Żenia.

– A potem wnuczka tego człowieka próbowała zrzucić winę na Klimienkę, aby oddalić podejrzenia od wymazanego z kart historii dziadka? – Doktor zaśmiał się nerwowo. – Kim właściwie jest ta Dugina?

– Zabawne, że pan o to pyta, ponieważ Uzi znalazła waszą wspólną fotografię.

Kosariew wyglądał na szczerze zaskoczonego.

– Słucham? – zapytał.

– Widziała zdjęcie, do którego pozował pan ze Swietłaną Duginą.

Kosariew zerknął na Rodina, jakby szukał u niego wsparcia. Ten jednak wyglądał jak ktoś, kto prędzej wydlubałby mu oczy.

– Przykro mi, ale zupełnie nie kojarzę tej kobiety. Naprawdę.

– Nigdzie nam się nie spieszy. – Żenia jakby się uśmiechnął. – Może coś się panu przypomni.

1 LUTEGO 1959
MARAT

– Gdzie jest Misza?

Pytanie Daniela nieprzyjemnie zatrzeszczało na czubku języka, następnie przykleiło się do rozedrganych ścian namiotu, a dopiero potem trafiło do Andrieja, który po powrocie do ich rachitycznej kryjówki wyglądał i zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Był wyluzowany, uśmiechnięty, beztroski. Tylko jego zakrwawiona twarz zdradzała, że na zewnątrz wydarzyło się coś strasznego.

– Misza, Misza, Misza. – Andriej wolno pokręcił głową. – Powiem wam, gdzie jest, jeżeli mnie przekonacie, że naprawdę go potrzebujecie. Kto chce spróbować?

Chętnych nie było. Wszyscy słyszeli huk wystrzału, który rozległ się parę minut wcześniej.

Kiedy Andriej wodził wzrokiem po umartwionych obliczach turystów, Marat zapatrzył się w Klarę. Jej zazwyczaj piękna twarz tym razem była zapłakana i cierpiąca. Dziewczyna wyglądała na bezradną i pokonaną. Ale jej prawa dłoń, ledwo wystająca z rękawa kurtki, zdawała się temu przeczyć. Za pomocą małego nożyka Klara systematycznie rozrywała brezent. Dziurka po dziurce, kawałek po kawałeczku. Tak dyskretnie, że nawalony Andriej nie mógł tego zobaczyć.

– Mówię poważnie. – Zrobił chwiejny krok w kierunku stłoczonej w głębi namiotu grupy. – Wyjaśnijcie, co dobrego mogłoby dla was wyniknąć z obecności tego konfidenta. Tego tchórza ze słabą głową. Tego sprzedawczyka. No co? Co, kurwa?! – Wreszcie usiadł, rozłożył szeroko nogi i wytarł rękawem zakrwawione policzki. Następnie wyjął zza paska pistolet i położył go obok. Napił się z niedawno napoczętej butelki i zapalił papierosa. – Nie pytam dlatego, że jestem złośliwy. Po prostu zżera mnie ciekawość.

Marat zauważył, że Klara nie działa w pojedynkę. Jej dłubaninie przyglądali się Wiktor, Aleksiej, Leon i Dinar. Spoglądali na jej subtelne ruchy, jakby od tego zależało ich życie. Jakby ta dłubanina w materiale miała czemuś służyć.

W końcu Marat załapał, o co chodzi.

– Wiem, że wyliczenie atutów Miszy nie jest proste, ale przecież jesteście inżynierami. Myślicie kategoriami zalet i wad, plusów i minusów, dobra i zła. Nie wymagam, żebyście przedstawili jego rys psychologiczny, ale chyba możecie powiedzieć, dlaczego zaufaliście jakiemuś zakłamanemu gamoniowi. – Andriej oparł się na łokciach i wydmuchnął nad głowę dym. – Ktoś? Coś? Nikt? Naprawdę, kurwa, nikt? – Spojrzał w kierunku grupy. – A ty co o tym sądzisz, ślicznotko?

Klara spanikowała. Chowając nóż, nerwowo cofnęła rękę, czym niepotrzebnie spowodowała poruszenie wśród kolegów.

– Co wy tam, kurwa, kombinujecie? – Andriej odstawił butelkę i wyrzucił peta. Podparł się dłońmi, przyciągnął do siebie nogi i zaczął się podnosić. – Nie podoba mi się to. Nie tak się umawialiśmy.

Pokraczne cielsko Andrieja, wbrew radom układu nerwowego, zaczęło wracać do pionu.

Śledząc uważnie jego zmagania z równowagą, Marat po chwili wahania wystąpił naprzód. Jego kalkulacja była prosta. Uznał, że pijak stanowi łatwy cel. Wystarczy go powalić i odciąć mu dostęp do broni. Potem pozostali ruszą z pomocą i wspólnie obezwładnią napastnika.

Plan był dobry. Ale nie uwzględniał tego, że jeżeli Andriej wyczuje zagrożenie, może w ułamku sekundy wytrzeźwieć.

Kiedy Marat do niego dopadł, rozległ się trzask łamanych kości. Chwilę później obaj runęli na ziemię.

Marat nie pamiętał kotłowaniny. Równie dobrze mogła trwać minutę, jak i piętnaście sekund. To zresztą bez znaczenia. Liczyło się tylko to, że gdy odzyskał świadomość, leżał na ziemi, przełykając spływającą do gardła krew, i patrzył z bliska na wycelowaną w siebie lufę pistoletu.

– Co to, kurwa, miało być?! – warknął Andriej, który stał nad nim okrakiem. – Chciałeś wyrządzić mi krzywdę? Posrało cię?! Co ja ci zrobiłem, człowieku?

Przez dłuższą chwilę gapił się na powalonego chłopaka, dysząc jak po wymagającej wspinaczce. Potem obaj odwrócili głowy w stronę turystów. Marat myślał, że ma przywidzenia, ponieważ zamiast całej grupy zobaczył jedynie Danielę i Emila. Reszta ekipy zniknęła.

Dopiero po paru sekundach dostrzegł dziurę w namiocie i poczuł mroźny podmuch na rozgrzanej do czerwoności twarzy.

Uciekli, pomyślał. Kilkoro z nich uciekło. Prosto w lodową pustkę.

– Jebał ich pies – wysapał Andriej, zerkając to na Marata, to na pozostałą dwójkę. – Oni nie są nam do niczego potrzebni.

24.

1 LUTEGO 2020

UZI

Uzi długo dochodziła do siebie po spotkaniu z Martyną Krasotkiną. Siedząc w taksówce, zupełnie nie zwracała uwagi na kierowcę, drogę ani miasto, które nawet po godzinach szczytu było głośnie, tłoczne i nieprzyjemne, tylko próbowała ułożyć wszystkie nowe informacje w logiczny ciąg.

Krasotkina zebrała wystarczająco dużo zeznań od ludzi, którzy nie mieli żadnego powodu kłamać na temat Andrieja Szawarowa. Wszelkie dotyczące go informacje rzeczywiście urywają się w tym czasie, w którym turyści dotarli na przełęcz. Po raz ostatni Szawarow był widziany pod koniec stycznia 1959 roku, kiedy wyznał pracownicy dworca w Wiermukowie, że razem z dwoma kolegami wybiera się w góry. Niedługo później on i jego kompani zaginęli bez śladu. A gdy sprawa gonczarowców wyszła na jaw, bezpieka zatroszczyła się o to, żeby świat już nigdy więcej nie usłyszał o Szawarowie.

Choć, jak widać, nieskutecznie.

Według Krasotkiny najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że Szawarow z jakiegoś powodu wypiął się na swoich kolegów i w ostatnich dniach stycznia dołączył do grupy Goncзара. Być może nie miał wobec turystów wrogich zamiarów, ale coś poszło nie tak i zaatakował ich w nocy z pierwszego na drugi lutego. Część gonczarowców zginęła od ran, jakie im zadał, a część w następstwie hipotermii po nieudanej próbie ucieczki ze szponów szaleńca.

Kiedy prokuratura, KGB i lokalna wierchuszka zdały sobie sprawę z tego, co zaszło, zapadła decyzja, aby wszystko zatuszować. Wykasować pamięć o Szawarowie i jego koleżkach. Zmodyfikować opowieść o uczestnikach wyprawy. Zamydlić oczy opinii publicznej. Zniszczyć albo sfabrykować dowody. Maksymalnie skomplikować drogę, jaką należy pokonać, by poznać prawdę.

Nikomemu się wówczas nie śniło, że kilkadziesiąt lat później ktoś zdoła przebyć ją w całości.

Uzi wysiadła z taksówki w miejscu, które już kiedyś widziała, i weszła do budynku, w którym już niegdyś była. Dostała się do windy, która także wyglądała znajomo, i wybrała na panelu numer pięć. Terkocząc, sapiąc i pojękując niczym umierający pacjent, dźwig poderwał ją do góry.

Dziewięć ciał, pomyślała Uzi. Ciekawe, co się stało z dziesiątym – Andrieja Szawarowa. Może w ogóle go nie było? Może zdołał uciec, a potem zaszył się na resztę życia w jakiejś kryjówce? W tak gigantycznym kraju jak Rosja z pewnością da się znaleźć głuszę, do której nikt nie dotrze. A może próbował się wytłumaczyć agentom? Zanim go zabili, sprzedał im jakieś niestworzone historie, rozdmuchane później do rozmiaru teorii spiskowych, którymi świat karmił się przez kolejne kilkadziesiąt lat. A może zginął razem z gonczarowcami? Zobaczył, do czego doprowadził, i strzelił sobie w łeb, agentura zaś zmusiła śledczych do zatajenia tego faktu i zlikwidowania zwłok.

Było multum możliwości.

Uzi podeszła do znajomo wyglądających drzwi. Zapukała. Po jakichś trzydziestu sekundach pojawiła się w progu kobieta, której przestraszony głos rozległ się wcześniej w domofonie. Ją też Uzi już kiedyś widziała.

– Coś mu się stało? – zapytała Paula, młoda żona Jegora Kosariewa.

– Nie. – Uzi zmusiła się do uśmiechu. – O ile mi wiadomo, wciąż siedzą w namiocie. I jakkolwiek dziwnie to zabrzmie, czekają na gorszą pogodę.

– A pani nie miała być razem z nimi?

– W ostatniej chwili uznali, że lepiej będzie, jeśli zostanę.

– Dlaczego?

Uzi ciężko westchnęła.

– Mogę wejść?

Młoda żona klimatologa zdecydowanie nie była zachwycona wyprawą na przełęcz, a całą nieufność wobec tego planu przetransferowała na Uzi. Mimo to wpuściła ją do mieszkania, a nawet zaproponowała herbatę. Uzi jednak stanowczo odmówiła.

– Nie zabawię długo – odparła, siadając na jednym z dwóch krzeseł przy kuchennym stole. Drugie zajęła Paula. – Nie poszłam z nimi w góry, ponieważ pojawiły się w sprawie nowe informacje, które musiałam zweryfikować.

– Jakie informacje?

– Sugerujące, że pogodowa teoria... że teoria pani męża może być błędna.

– Jak to?

– Muszę przejrzeć jego zapiski.

Uzi wołała nie wdawać się w szczegóły, a całą narrację utrzymać w duchu niedopowiedzeń i tajemnic. Tym bardziej że wymyślony naprędce plan najpewniej roił się od dziur.

– Powinnam zadzwonić do Jegora – odparła Paula. – Zapytać, czy się zgadza.

– Lepiej, żeby o tym nie wiedział. Ale jeżeli znajdę to, czego szukam, będę pierwszą osobą, która go o tym poinformuje. Możemy się tak umówić?

Uzi czuła, że jej głos nie brzmi zbyt przekonująco, a mgliste wytłumaczenie może nie wystarczyć. Ale była wystarczająco przestraszona, żeby Paula potraktowała jej prośbę poważnie.

– Jegor większość zapisków trzyma w komputerze, a ja, niestety, nie znam hasła. Ale ma też sporo starych dokumentów, chyba jeszcze z lat dziewięćdziesiątych, które składa się w pracowni. Już dawno kazałam mu je wynieść do piwnicy, ale nic z tym nie zrobił. – Paula poderwała się na równe nogi. – Mam znaleźć coś konkretnego?

– Prawdę mówiąc, wołałabym sama przejrzeć materiały. Oczywiście jeśli to nie problem.

Paula wzruszyła ramionami.

– Pudła są starannie opisane, więc powinna pani sobie poradzić. Jegor jest bardzo pedantyczny w sprawach zawodowych. Zwłaszcza jeśli chodzi o przełącz.

1 LUTEGO 1959

WIKTOR

Nie czuł zimna, bólu ani piekących mięśni. Nie czuł wiatru, który miotał nim we wszystkie strony. Nie czuł też wilgoci, jaką przesiąkły jego ubrania.

Czuł jedynie przemożny strach. Przed tym, co mógłby zobaczyć, gdyby odwrócił się za siebie.

Razem z czwórką kolegów desperacko zbiegał z przełęczą. Pędzili po omacku w dół niezbyt stromego stoku. Nie mieli pojęcia, w jakim kierunku biegają ani jak długo zamierzają to zrobić. Nie ustalili żadnego planu. Nie mieli na to czasu. Wiedzieli jedynie, że muszą się oddalić wystarczająco daleko, aby ten świr ich nie dopadł.

Po kilkunastu minutach wyniszczającego biegu, przeplatanego upadkami, pełzaniem i marszem w śnieżnej brei, dotarli na skraj lasu. Wiktor, który wyrwał się z marazmu i ponownie wszedł w buty lidera, zarządził postój. Ale kiedy zaczęła z niego schodzić adrenalina, poczuł przeraźliwe zimno. Przy każdym wdechu miał wrażenie, że ktoś nacina jego płuca żyłkami. Za każdym razem coraz głębiej. Coraz mocniej. Coraz brutalniej.

– Nie ma sensu dalej biec – oznajmił.

Jego kompani – Klara, Aleksiej, Leon i Dinar – byli zbyt wyczerpani, żeby mu odpowiedzieć. Opierali się dłońmi o kolana, soplowali nagromadzoną w gardle flegmą, kasłali, dyszeli. Ale prawdopodobnie wszyscy byli tego samego zdania.

– Co teraz? – wysapał wreszcie Leon.

– Musimy rozpaść ognisko – odezwał się Aleksiej.

– Tutaj?! Niby jak?

Aleksiej się wyprostował. Spojrzał w górę.

– To cedr – zauważył. – Nazrywamy gałęzi, wykopimy niewielką dziurę i rozpalimy w niej ogień.

– A gdzie znajdziesz suchy chrust? – spytała Klara.

– Gdzieś znajdę. Albo go wyczaruję. – Aleksiej posłał jej surowe spojrzenie. – Nie mamy innej opcji.

– Co z resztą?

– A co ma być?

– Musimy im jakoś pomóc.

Aleksiej zaśmiał się desperacko.

– Pomóc, kurwa?! Jak chcesz pomóc ludziom, których jakiś świr trzyma na muszce? Jedyne, co możemy zrobić, to spróbować tu nie zdechnąć. – Spojrzał na Wiktora. – Powiedz jej. Powiedz, że musimy się ratować.

Wiktor zmierzył go wzrokiem: koszula w kratę, podarte kalesony, przemoczone skarpetki. Zachciało mu się płakać. Nie z powodu Aleksieja, ale przez to, że wszyscy wyglądali podobnie. Ciepłe ubrania i buty zostawili w namiocie. Byli tak zdesperowani, by się stamtąd wydostać, że nie myśleli o niczym innym.

A teraz zamarzali. Kilkaset metrów od namiotu, w którym karty rozdawał szaleniec. Dziesiątki kilometrów od jakiegokolwiek schronienia. W sercu przeraźliwie zimnej tajgi.

– Musimy wrócić na górę – stwierdził Wiktor.

– Zupełnie ci odwaliło? – Aleksiej przestał panować nad nerwami. – Wrócisz tam i co? Powiesz temu bydlakowi, żeby cię wpuścił, przeprosił i poczęstował herbatką?

– Ognisko nam nie pomoże. Nawet jeśli zdołamy je rozpaścić, nie wytrzymamy przy nim całej nocy. Zamarzniemy. Spójrz na nas.

Aleksiej spojrzał. A parę sekund później potrząsnął głową.

– No i chuj. Wolę zaryzykować, niż wrócić na górę.

– Ja tam nie wracam – oznajmił Dinar, szczękając zębami.

– A reszta?

Leon stanął po stronie Wiktora, zapominając, że kilka godzin wcześniej stracił wiarę w jego zdolności przywódcze. Klara długo się wahała, zerkając to na Wiktora, to na Aleksieja. W końcu wybrała pierwszego z nich.

– Jeżeli tam pójdziesz, zginiesz – powiedział Aleksiej.

– Nie wiadomo – odparła Klara. – Za to jeśli tu zostanę, zginę na pewno. Podobnie jak ci, których zostawiliśmy. – Przeniosła wzrok na Dinara. – Nie wrócisz po Daniełę?

– Ona już nie ma szans – odparł Dinar.

– Co z ciebie, kurwa, za facet?

– Taki, który chce żyć. Reszta mnie gównem obchodzi.

Klara omal nie rzuciła się na niego z pięściami, ale Wiktor ją powstrzymał.

– Nie mamy czasu – powiedział. – Musimy już iść.

Kiedy zdeterminowany Wiktor, wściekła Klara i zrozpaczony Leon ruszyli w górę, Aleksiej i Dinar bez słowa wzięli się do zrywania gałęzi.

1 LUTEGO 2020

ŻENIA

– Żyjąc pośród Wortów, poznałem pewnego człowieka. – Fiodor Rodin zaczął swoją opowieść w najmniej spodziewanym momencie. Choć w wypadku faceta, który praktycznie się nie odzywał, każdy moment na takie wynurzenie mógł uchodzić za dziwny. – Miał na imię Rusłan i jak większość Wortów zajmował się polowaniem. A jeżeli chciał się rozerwać, to szedł w góry, żeby... zapolować. Krótko mówiąc, cały świat Rusłana kręcił się wokół łażenia ze strzelbą po górach. Zaczął jako nastolatek. A w wieku dwudziestu paru lat był najlepszym myśliwym w wiosce.

Żenia nie miał pojęcia, w jakim kierunku zmierza ta opowieść, ale Rodin odzywał się tak rzadko, że lepiej było mu nie przerywać.

– Rusłan długo traktował mnie nieufnie. On po prostu nie lubił obcych. Przeczył wszystkim teoriom, jakie słyszałem na temat przyjacielskich i otwartych Wortów, którzy podobno nawet największego wroga gotowi są przyjąć z otwartymi ramionami. Dopiero gdy oznajmiłem, że opuszczam ich szeregi, ponieważ muszę rozpracować tajemnicę gonczarowców, Rusłan zechciał ze mną porozmawiać. Zaprosił mnie do swojego domu, poczęstował wódką i opowiedział o tym, co się stało na przełęczy.

– To ile ten człowiek ma lat? – zdziwił się Żenia.

– Nie wiem, czy jeszcze żyje. Kiedy rozmawialiśmy, był już schorowanym starcem. Ale w chwili tragedii dobijał do trzydziestki. Powiedział, że śledził przebieg wyprawy, odkąd turyści pojawili się w górach. I nie spuszczał też z oka trzech innych mężczyzn, którzy w ważnych dla Wortów miejscach zachowywali się jak ostatnie świnię.

– Szawarowa i jego kolegów.

Rodin pokiwał głową.

– Według niego Szawarow któregoś wieczoru porzucił swoich towarzyszy, a następnie kompletnie pijany dołączył do ekipy Gonczara. Opowiedział dzieciakom jakąś historyjkę, po której postanowili przyjąć go do grupy. Niedługo później wyruszył z nimi w dalszą podróż, która zakończyła się kilkaset metrów od szczytu Alatanaju.

– Ten twój Wort widział, co tam się stało?

– Nie był w stanie, ponieważ tego wieczoru pogoda była fatalna. Rozbił obozowisko na skraju lasu i położył się spać. Dopiero nazajutrz ruszył tropem turystów. Zdziwił się, że

namiot stoi tam, gdzie rozbili go poprzedniego wieczoru. Podeszedł bliżej i przekonał się, że w środku nikogo nie ma. Zmartwiony zaczął krążyć po okolicy. To on pierwszy znalazł ciała.

– I nikogo nie poinformował?

– Poinformował. Znał jednego Rosjanina, który trzymał się blisko Wortów. Niedługo później wieść dotarła do lokalnych władz i prokuratora Piotra Lisina, który próbował wy badać temat na długo przed formalnym rozpoczęciem śledztwa.

– Twój dziadek również się upierał, że poszukiwania wystartowały wcześniej, niż to wynika z dokumentów.

– A kto twoim zdaniem był łącznikiem pomiędzy Wortami a Rosjanami? Kogo przez lata piętnowano za zadawanie się z dzikusami? Kto uczynił z własnej traumy rodzinny spadek?

– Rozumiem. – Żenia przerwał tyradę Rodina, który jeżył się na każde wspomnienie swoich bliskich. – To by też tłumaczyło, dlaczego władze tak się uparły, aby zrzucić winę na Wortów.

– Ale nie wyjaśnia wszystkiego. – Rodin zapatrzył się pod nogi. – Od innego Worty usłyszałem, że jednej z osób udało się przeżyć tragedię. Kiedy Ruslan zszedł z gór, aby poinformować Rosjan o swoim odkryciu, myśliwi z sąsiedniej wioski znaleźli niedaleko przełęczy półżywego faceta. Zgarnęli go do siebie i wyleczyli. Nie chcieli nawet słyszeć o tym, że ten człowiek może być niebezpieczny. Po jakimś czasie ocalały postanowił opuścić szeregi Wortów i słuch po nim zaginął.

– Czyli Szawarow uszedł z życiem i uniknął odpowiedzialności za swoje czyny. A może nawet żył długo i szczęśliwie.

– Na to wygląda.

– Cudownie – westchnął milczący od dłuższego czasu Kosariew. – Czyli jeśli ten stary Wort nie kłamał, moja teoria jest do dupy.

– Wortowie to ludzie honoru – stwierdził Rodin. – Nie opowiedzieliby obcemu takich bzdur.

– Pańska teoria jest do dupy, a cała ta wyprawa nie ma sensu. Kurwa mać! – Żenia uderzył pięścią w plecak. Zapatrzył się w ziemię. Po paru sekundach podniósł wzrok na Rodina. – Skoro o tym wiedziałeś, to po jaką cholere chciałeś tu przyjechać?

– Nie wiedziałem – odparł Rodin. – To znaczy nie miałem pewności. Myślałem... – zawahał się. – Myślałem, że na przełęczy wydarzy się coś, co pozwoli mi zrozumieć tę historię. Bardzo chciałem, żeby tak się stało. Niestety myliłem się.

– Nie. – Żenia pokręcił głową. – Miałeś rację. W końcu zrozumieliśmy, o co w tym wszystkim chodzi.

W namiocie zapadła niezręczna cisza. Trzej mężczyźni nie mieli ani ochoty, ani odwagi jej przerywać. Nie było też żadnego powodu, by otworzyć gębę.

W końcu odezwał się Rodin.

– Muszę się napić – powiedział.

Żenia najpierw spojrzał na niego, a potem zdziwiony uniósł brwi.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– Jak inaczej uczcić rozwikłanie zagadki, która zrujnowała mi życie?

Dobre pytanie, pomyślał Żenia. Żadne inne rozwiązanie nie przychodziło mu do głowy.

– W takim razie nie powinieneś świętować sam. – Przysunął się do Rodina. – Doktor na pewno chętnie uraczy nas którymś ze swoich trunków. A sam jeszcze raz dobrze się zastanowi, skąd zna Swietłanę Duginę. – Żenia zawiesił na Kosariewie ciężkie spojrzenie. – Jeszcze nie wszystkie zagadki zostały rozwiązane.

1 LUTEGO 2020

UZI

Martyna Krasotkina nie potrafiła wyjaśnić, co się kryje za wspólnym zdjęciem Jegora Kosariewa i Swietłany Duginy. Teoretycznie powinni stać po dwóch stronach barykady; on był twardo stąpającym po ziemi naukowcem, ufającym dowodom i unikającym spekulacji, a ona zwolenniczką teorii spiskowych i sekutnicą, która próbowała przerobić tragedię sprzed kilkudziesięciu lat w internetowy cyrk. Ale na fotografii wyglądali tak, jakby grali w jednej drużynie.

A może Uzi tylko się wydawało? Może sama produkowała teorie spiskowe? Może w wirze ostatnich wydarzeń straciła zdolność logicznego myślenia?

Tak czy inaczej, należało to sprawdzić.

Pracownia Jegora Kosariewa wyglądała tak, jak ją zapamiętała. Trzy monitory, okruchy na klawiaturze, lampa w kształcie globusa, książki w pudłach. No i mapy. Dużo map. Absurdalnie dużo map. Paula wskazała Uzi szafkę, w której jej mąż trzymał pudła z dokumentami dotyczącymi wypadku, a następnie zostawiła ją samą w pokoju.

Anna przez kilkanaście minut przekopywała się przez wykresy pogodowe, analizy klimatyczne i naukowe czary-mary, z których niewiele rozumiała. Odnalazła korespondencję Kosariewa z kolegami po fachu, którzy z grubsza zgadzali się z tym, że wystąpienie wirów i infradźwięków na przełęczy było możliwe, ale jego prawdopodobieństwo oceniali jako minimalne. Natknęła się też na kilkadziesiąt pokreślonych stron, rysunków i zapisków, na których naukowiec oparł swoją książkę. Nigdzie nie było ani wzmianki o Duginie, ani choćby ledwo zauważalnego tropu, że Kosariew rozważał inne od naukowego wyjaśnienie przyczyn tragedii.

Uzi odłożyła wszystkie papiery na podłogę. Zamknęła oczy. Martyna Krasotkina zatroszczyła się o to, żeby nie mogła cyfrowo utrwalić jej odkryć, ale od czego ma się umysł? Uzi próbowała sobie przypomnieć, co jeszcze widziała na zdjęciu. Zapamiętała, że musiało

powstać niedawno, najwyżej przed kilkoma laty. Że Kosariew i Dugina wydawali się na nim rozweseleni, dowcipkujący, zakolegowani. Kojarzyła, że zostali sfotografowani na tle beżowej ściany, jakiegoś mebla i czegoś jeszcze. Czegoś dziwnego i zwyczajnego jednocześnie. Czegoś, co można znaleźć w każdym domu. Czegoś przyjaznego. Czegoś...

Wreszcie pojęła, co to było.

Okap. Kawałek czarnego, nowoczesnego okapu. Identycznego jak ten, który chwilę wcześniej widziała w kuchni Kosariewa.

Skoro wpuścił ją do domu, pomyślała, niemożliwe, żeby doszło do tego przez przypadek ani żeby nie pamiętał o tym spotkaniu. A skoro Dugina trzymała zdjęcie w sejfie, musiało jej bardzo zależeć, aby nikt go nie zobaczył.

Uzi podniosła się z dywanu. Ruszyła do wyjścia. Pociągnęła za klamkę, popchnęła drzwi i zamarła. Pokój był zamknięty. Kiedy ona hałasowała, wyciągając z szafy kolejne pudła, Paula musiała zaryglować drzwi.

Niechący czy celowo?

– Pani Paulo?! – zawołała. – Chyba mnie pani przypadkowo zamknęła. Albo drzwi się zatrzasnęły. Pani Paulo?!

Żadnej odpowiedzi.

Przez dłuższą chwilę Uzi wydzieriała się, łomotała w drzwi i szarpała za klamkę, licząc na to, że jakoś uda jej się wydostać. Bez skutku. Drzwi trzymały się niewzruszenie, a zza nich dobiegała cisza. Jakby nikogo nie było w mieszkaniu.

Jednak po chwili usłyszała, że ktoś przekręca zamek w drzwiach wejściowych. Potem rozległy się kroki. Ciężkie kroki. Męskie.

Serce podskoczyło jej do gardła.

W panice zaczęła się rozglądać po pokoju, szukając czegoś, czym mogłaby się obronić. Otaczały ją jednak wyłącznie globusy, mapy i jakieś geograficzne duperele. Nic nie nadawało się na broń. Podeszła więc do okna i spojrzała w dół. Drugie piętro. Wysoko, pomyślała. Ale nie dość wysoko, żeby zginąć.

Najprawdopodobniej.

Otworzyła w pośpiechu okno i wdrapała się na parapet.

1 LUTEGO 1959

DANIELA

– Podejź tu. – Andriej powiedział to cicho, niemal szeptem. Jakby był skrajnie wyczerpany. Albo jakby spirytus był o krok od zadania mu nokautującego ciosu. Mimo to Daniela nie potrafiła się do niego zbliżyć ot tak. Nie po tym, co widziała. – Chodź tu, do kurwy nędzy!

Posłuchała. Przeniosła się na drugą stronę ich rachitycznego schronienia, zostawiając Emila samego przy wyciętej w brezencie dziurze, przez którą do środka wdzierało się całe zimowe zło zewnętrznego świata. Popatrzyła na Marata, który siedział z nogami podciągniętymi pod brodę i dochodził do siebie. Wreszcie odważyła się spojrzeć w oczy Andrieja.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Dwadzieścia – wymamrotała.

– Dwadzieścia – powtórzył, drapiąc się po zakrwawionej twarzy. – To powinnaś już wiedzieć, jak smakuje kutas.

W pierwszej chwili Daniela nie zrozumiała jego słów. Zaraz potem uświadomiła sobie, że tylko nie chciała ich zrozumieć. Jakiś mechanizm umysłowy celowo zniekształcił przekaz, aby oszczędzić jej paniki.

– Pomogę mu – powiedziała, wskazując ręką Marata i jednocześnie próbując zmienić temat.

– Nie. – Andriej uniósł pistolet. Przypomniawszy, że to on ma władzę. – Chłopak sobie poradzi. Ma tylko złamany nos. No i może wstrząśnienie mózgu. Nic takiego. Nauczy się nie startować z łapami do innych, jeżeli nie ma pewności, że da im radę. – Zacharczał i splunął na ziemię. Następnie przeniósł umęczony wzrok na Daniellę. – Miałś kiedyś chuja w dupie?

Umysł dziewczyny ponownie próbował wykonać swoją sztuczkę. Ale tym razem się nie udało.

– Nie...

– Głośniej!

– Nie!

– A chciałabyś się dowiedzieć, jakie to uczucie?

Potrząsnęła głową.

– Nie słyszałem odpowiedzi.

– Nie!

Andriej skakał wzrokiem po sylwetce Daniela. Oceniał ją. Niczym towar, z którym może zrobić, co mu się żywnie podoba.

– Dotknij się – powiedział.

– Co?!

– Dotknij, kurwa, swoich cycków.

Choć wydawało się to niemożliwe, Daniela zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Spojrzała na Emila, który wciąż stał nieruchomo po drugiej stronie namiotu. Wyglądał jak

skamielina. Jak posąg. Jak pozbawiony elementarnej odwagi człowieczek. Nie mogła na niego liczyć. Ani na Marata. Ani na żadną z osób, z którymi podróżowała przez ostatnie dni.

Zrobiła to, co jej kazał.

Dotykając swojego ciała, czuła, jak wsiąkają w nią wstyd, strach i rozpacz. Niczym gigantyczna, skumulowana w jednej połączonej emocji siła, której nic nie może zatrzymać.

– Wystarczy – powiedział Andriej. – Teraz włóż rękę w spodnie. Złap się za cipę. – Nie doczekawszy się reakcji dziewczyny, wycelował w nią pistolet. – Włóż. Palce. W cipę.

Z każdym jego wolno i wyraźnie wypowiedanym słowem Daniela spadała coraz głębiej w przepaść.

– Weszłaś? – zapytał. – Nie słyszę...

– Weszłam – odparła, coraz głośniejsz łkając.

– Dobrze. Zaczynaj się zabawiać. I patrz na mnie. Masz się przez cały czas na mnie gapić, rozumiesz?

Pokiwała głową, po czym spełniła jego rozkaz. Nie przypuszczała, że utrzymanie kontaktu wzrokowego będzie tak trudne.

W pewnym momencie Andriej stracił zainteresowanie. Napił się spirytusu, sięgnął po papierosa, zapalił. Zakołysał się na ugiętych nogach, po czym przykucnął obok Marata.

– Dziewica – powiedział, wskazując na Daniellę zakrwawionym palcem. – Zabraliście ze sobą dziewicę, która nawet nie potrafi sobie zrobić dobrze, i nie umieliście z tego skorzystać. Ale z was pizdy. – Spojrzał na dziewczynę, która ze strachu nadal trzymała rękę w spodniach. – Daruj sobie. Nie masz pojęcia, o co w tym chodzi. Ktoś powinien cię nauczyć. – Zaśmiał się chrapliwie. – Ale to nie będę ja. Nie wiem, co musiałoby się stać, żebym chciał cię wydupczyć w takim miejscu. – Podniósł ciężką głowę i rozejrzał się po namiocie. Jego wzrok zatrzymał się na wyciętej w brezencie dziurze, która przywodziła na myśl wejście do piekła. – Inaczej się zabawimy.

1 LUTEGO 2020

ŻENIA

Usta Jegora Kosariewa falowały, jakby były z gumy. Harmonijnie, leniwie, w dziwnie skonfigurowanym *slow motion*. A przez to jego słowa docierały do Żeni z pewnym opóźnieniem. Niczym echo czegoś, co od dawna wisiało w powietrzu, ale on z jakiegoś powodu tego nie zauważał.

– Twój kolega już nie wróci.

Żenia uniósł głowę, która zaczęła samowolnie opadać, i ponownie skupił się na ustach Kosariewa. Nie zdziwiła go esencja jego słów, tylko zmiana formy: z grzecznościowej na

nieoficjalną.

– Miał się wysikać, więc raczej nie odszedł za daleko. Pewnie leży kilka metrów od namiotu. Jeśli miałbyś ochotę coś jeszcze mu powiedzieć...

– O czym pan mówi? – przerwał mu Żenia.

– Nie o czym, tylko o kim. O Rodinie. Nie masz pojęcia, jak bardzo się ucieszyłem, kiedy się okazało, że jedzie z nami. Dzięki temu mogłem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. – Kosariew się uśmiechnął. – Wiesz, że lekarze i alkoholicy mają takie samo powiedzenie? Jedni i drudzy mawiają, że truciznę od lekarstwa dzieli jedynie dawka.

Wreszcie do Żeni dotarło, co się dzieje. Przypomniał sobie kilkadziesiąt ostatnich minut, które on i Rodin spędzili na układaniu w logiczny ciąg wydarzeń związanych z przełęczą, popijając przy tym wódkę od Kosariewa. Naukowiec w tym czasie leżał na swoim legowisku i sprawiał wrażenie śmiertelnie przejętego oskarżeniami, jakie padły pod jego adresem. Nie pił. Mimo że przez cały dzień wlewał w siebie naftę i wydawał się mieć niezłe w czubie, nawet nie przyszło mu do głowy, aby się do nich przyłączyć.

– Coś ty mi podał? – spytał Żenia.

Kosariew schylił się do plecaka. Z jednej z wewnętrznych kieszeni wyjął niewielką pustą fiolkę. Rzucił ją Żeni na kolana. Ten z pewnym wysiłkiem złapał ją w palce i spróbował przeczytać napis na etykiecie, ale jego wzrok nie nadążał za rozdygotanymi literami.

– To autorska mieszanka – wyjaśnił Kosariew. – Połączyłem właściwości GHB i jednej z uralskich roślin, która działa podobnie do blekotu. Atakuje układ oddechowy i aparat mowy, wskutek czego tuż przed śmiercią ludzie często bełkoczą. Gdybyście tylko zamoczyli usta w wódce, zafundowałbym wam miłą narkotyczną jazdę, jak po MDMA albo silnych antydepresantach. Ale okazaliście się bardzo zachłanni.

– Coś ty zrobił? – wymamrotał Żenia.

Odchylił się na bok i wepchnął palce do gardła, żeby się zmusić do wymiotów. Udało się. Kilkomina przerywanymi seriami pozbył się nieprzetrawionej kolacji. Nie miał jednak pojęcia, czy to wystarczy. Czy zdążył, nim trucizna rozpanoszyła się w jego krwiobiegu.

– Gratuluję trzeźwości umysłu – powiedział Kosariew. – Widać, że lata spędzone w wojsku i milicji nie poszły na marne. Potrafisz reagować w kryzysowych sytuacjach. Podobnie jak Swietłana Dugina. – Te słowa przykuły uwagę Żeni. – Jej matka już wiele lat temu zrozumiała, że moje zainteresowanie Przełęczą Gonczara nie jest niecodziennym hobby, tylko zwyczajną pracą, za którą zresztą dostaję całkiem przyzwoite wynagrodzenie. Do dziś nie mam pojęcia, jak to odkryła. W końcu moi mocodawcy nie mają z nią nic wspólnego.

– Pracujesz dla rządu? – spytał Żenia.

Kosariew skwitował jego słowa kolejnym uśmiechem.

– Powiedzmy, że dla ludzi, których cele w pewnym momencie pokryły się z celami rodziny Duginów. Zresztą to Swietłana podzuciła pomysł, żebym zorganizował tę wyprawę. Ułożyła cały plan. Zapewniła mi odpowiednie finansowanie i zaplecze logistyczne. A co najciekawsze, przygotowała to wszystko na kilka dni przed tym, jak odkryliście jej udział w sprawie. Zakładam, że to zasługa wieloletniej znajomości matki Swietłany z Galiną Kukliną. Mówi się, że kobiety fatalnie ze sobą współpracują, ale być może na pewnym poziomie zamożności, wtajemniczenia i władzy ta reguła przestaje obowiązywać. – Kosariew przyjrzał się Żeni, podobnie jak on lekko przekrzywiając głowę. – Pewnie masz jeszcze sporo pytań, ale nie chcę przeciągać w nieskończoność pobytu na tym zadupiu.

Żenia patrzył, jak Kosariew ponownie zanurza rękę w plecaku. Jednocześnie czuł, że sam powoli zaczyna odpływać. Miał ściśnięte gardło, przez co każdy oddech wymagał od niego sporego wysiłku. Jego wzrok nie nadążał za obrazem. Ręce drętwiały, a on miał coraz mniejszą kontrolę nad ciałem. A przy tym był zadziwiająco spokojny. Wręcz wyluzowany. Gotowy uśmiechnąć się do swojego prześladowcy, gdyby ten opowiedział mu dowcip.

– Jesteś sprytny i zapobiegawczy. – Kosariew wydobyl z plecaka pistolet. – Zostawiłeś broń, wiedząc, że mogę zauważyć jej nieobecność, ale wyjąłeś magazynek. Pamiętałeś też o naboju w komorze. Brawo. – Delikatnie klasnął w dłoń. – Ale to niczego nie zmienia. Moi koledzy już wiedzą, gdzie nas szukać. Niedługo tu będą. Mógłbym więc po prostu na nich poczekać, patrząc, jak powoli uchodzi z ciebie życie. Ale skoro poprosili, żebym się tobą zajął, zamierzam wywiązać się ze swojego zadania w stu procentach.

Odłożył pistolet na bok. Wstał. Strzelił palcami, trochę poruszał głową na boki. Następnie zdjął okulary i schował je do etui. Już nie wyglądał jak naukowiec. Raczej jak emerytowany bokser, który sposobi się do walki.

25.

1 LUTEGO 2020

UZI

Raz czy drugi zdarzyło jej się skrócić kostkę. Kilka razy poobijała się podczas gry w siatkę na wuefie. Miewała pozdzierane kolana, połamane paznokcie, siniaki czy pęcherze na stopach. Ale tak naprawdę nigdy nie przytrafiła jej się żadna poważna kontuzja. I właśnie dlatego bólu, jaki odczuła po skoku z drugiego piętra, Uzi nie potrafiła z niczym porównać.

Upadła, przetaczając się do przodu, i machinalnie chwyciła za kolana. Prawe bolało, ale wydawało się nienaruszone. Co innego lewe. Kiedy nim poruszyła, zachrzęściło i zatrzeszczało, jakby potrząsała woreczkiem pełnym pokruszonych kamyczków.

Zawyła z bólu.

Przez moment myślała, że straci przytomność. Jednak chwilę później zdała sobie sprawę z grozy sytuacji. Spojrzała w górę. Załzawionym, nieostrym wzrokiem zlokalizowała okno, z którego zeskoczyła. Zastanawiała się, ile ktoś, kto zaraz się w nim pojawi, potrzebuje czasu, aby zbiec z drugiego piętra i ją dopaść. Minutę? Czterdzieści sekund? Trzydzieści? Z całą pewnością niewiele. A gdy już ten ktoś ją znajdzie, ona będzie bez szans.

– Nic pani nie jest?

Zamulony chłopak w bluzie z kapturem, na oko szesnastoletni, interesujący się rapem, tanim winem i paleniem jointów, poderwał się z ławki. Widok kobiety wyskakującej z okna musiał go nieźle zdziwić.

– Pomóż mi wstać – powiedziała Uzi. – Szybko!

Dzieciak wyjął ręce z kieszeni i ruszył w jej stronę. Chwycił ją pod ramię, pomógł się podnieść. A potem wzdrygnął się ze strachu, kiedy wrzasnęła, próbując oprzeć ciężar ciała na lewej nodze.

Po raz kolejny miała wrażenie, że straci przytomność. Ale pod żadnym pozorem nie mogła na to pozwolić. Nie teraz. Nie w tym życiu.

– Gdzie jest postój taksówek? – spytała przez zaciśnięte zęby.

– Nie wiem. Nie jeżdżę...

– Zastanów się. Tylko szybko.

Chłopak raczej nie należał do najbystrzejszych umysłów w okolicy, ale po paru sekundach jego procesor wypluł jakiś pomysł.

- Wydaje mi się, że niedaleko zajezdni autobusowej.
- Gdzie to jest?
- Kilka podwórek stąd. – Nastolatek wskazał palcem drogę biegnącą między blokami.
- Zaprowadź mnie tam.
- Nie mogę.
- Musisz. Zapłacę ci, ile będziesz chciał. Tylko zrób to, kurwa, szybko.
- Ale ja naprawdę nie mogę...

Uzi zaklęła. Nie miała czasu na dyskusje. Musiała działać. Uciekać. Zniknąć.

Puściła chłopaka i zaczęła kuśtykać w kierunku, który wskazał.

Cholernie ją bolało. Po każdym kroku składała sobie cichą obietnicę, że to już ostatni. Ale potem stawiała kolejny. I następny. I jeszcze jeden. Zbolała, zrozpaczona i rozwrzeszczana posuwała się przed siebie, próbując nie myśleć o tym, co dzieje się za jej plecami.

Ale to nie mogło wiecznie trwać. Kiedy znalazła się na następnym podwórku, upadła. I choć coś wewnątrz niej krzychało, że musi się podnieść, doczłapać albo doczołgać do postoju, wsiąść do pierwszej lepszej taryfy i odjechać jak najdalej stąd, nie była w stanie się poruszać.

Mogła jedynie wyć.

Zamknęła oczy. A gdy ponownie je otworzyła, zobaczyła zawieszoną na tle granatowego nieba twarz.

I zupełnie nieoczekiwanie poczuła ulgę.

1 LUTEGO 1959

ALEKSIEJ

Często sobie wyrzucał, że traktuje Dinara z nadmiernym respektem. Jakby jego tężyzna fizyczna czy wyczyny turystyczne robiły na nim szczególnie duże wrażenie. Jakby był stłamszony charakterystycznym dla Dinara niewymuszonym luzem. Albo jakby zazdrościł mu inteligenckiego pochodzenia, pieniędzy oraz tego, że potrafi się z tym nie afiszować.

Ale teraz Aleksiej niczego Dinarowi nie zazdrościł. Właściwie było mu go żal, kiedy patrzył na jego drżące ciało, skulone niczym embrion obok leniwie tłące się ogniska.

– Podnieś się! – Aleksiej, który dorzucał mokre gałęzie do ognia i dmuchaniem próbował rozniecić żar, przerwał na moment pracę i szturchnął Dinara. – Musisz być cały czas w ruchu. W przeciwnym razie zamarznieiesz.

– Nie mam siły – wymamrotał Dinar.

– Nieważne. Musisz i już.

Aleksiej wrócił do swojego zajęcia. Jednak po chwili ponownie je przerwał, ponieważ mroźne powietrze zaczęło silnie podrażniać jego płuca.

– Zamieńmy się. – Podniósł się z kucek. – Zacznij dmuchać, a ja nazrywam więcej gałęzi.

Dinar, który od paru minut tkwił w niezmienionej pozycji, wolno pokręcił głową.

– Wszystko wokół jest mokre. To na nic.

– Wstań, kurwa, i weź się do roboty – zirytował się Aleksiej. – A ja wejdę na ten pierdolony cedr i nazrywam tyle suchych gałęzi, że się zesrasz z wrażenia.

Nie czekając na reakcję Dinara, zaczął się wdrapywać na drzewo. Nie było to łatwe. Zdrętwiałe palce ślizgały się po wilgotnej korze. Kikuty gałęzi trzeszczały pod ciężarem jego ciała. Nieustannie padający śnieg sprawiał, że ciężko było mu się rozeznąć w sytuacji. Ale po kilkudziesięciu sekundach zdołał się wspiąć na wysokość pierwszego piętra, gdzie znalazł gałęzie suchsze od tych, które przeleżały wiele godzin na ziemi.

Łamanie grubych cedrowych badyli pozbawionymi czucia dłońmi przychodziło mu z trudem, więc szybko zmienił taktykę – zaczął napierać na nie ciałem. Za każdym razem ranił sobie brzuch i ramiona, nabawiając się kolejnych otarć, ale gałęzie pokornie ustępowały i spadały na ziemię. Nie były idealnie suche, ale powinny wystarczyć, aby podtrzymać żar. Oczywiście jeżeli on i Dinar będą przy nim solidarnie pracować.

– Damy radę! – zawołał. – Rozpalimy to kurewstwo, usiądziemy blisko żaru i dotrwamy do rana. Potem zejdziemy do jakiejś wioski. Damy radę – powtórzył. – Słyszysz mnie? – Nie doczekał się odpowiedzi, więc spojrzał w dół. Dinar nadal siedział w pozycji embrionalnej. Od dłuższego czasu się nie poruszał. – Kurwa!

Aleksiej rozejrzał się dookoła. Zlokalizował przed sobą jeszcze jedną sporą gałąź. Obmacał. Jego zziębnięta dłoń oceniła, że jest sucha. Może nawet suchsza niż większość konarów, które do tej pory zerwał. Tak sucha, jakby lada moment, przy mocniejszym porywie wiatru, sama miała odpaść od drzewa. Postanowił ją zerwać, a potem wrócić na dół. Wiedział, że w pojedynkę nie przeżyje tej nocy. Potrzebował Dinara, żeby utrzymać ogień. A Dinar potrzebował jego, żeby utrzymać się przy życiu.

Naparł całym sobą na gałąź, która okazała się znacznie mizerniejsza, niż przypuszczał – praktycznie nie stawiała żadnego oporu. I dlatego zamiast zejść z drzewa, Aleksiej zleciał na ziemię razem z badyłem.

Na kilka sekund jego światło zgasło.

Kiedy jasność wróciła, otworzył oczy. Zgarnął z twarzy śnieg i wymacał językiem zęby. Były całe, choć w ustach czuł metaliczny posmak krwi. Ból z nadgarstków, którymi asekurował się przy upadku, szybko rozlał się na resztę ciała, choć Aleksiej odczuwał go tak, jakby doświadczał tego wszystkiego na lekkim znieczuleniu.

Wsparł się na łokciach i spojrział w kierunku Dinara. Miał nadzieję, że za chwilę usłyszy jego rechot. Że odnajdzie w głosie kolegi ten nienachalny luz. Że z ich beznadziejnej sytuacji wyłoni się coś pozytywnego, coś trywialnego, coś gówniarskiego. Coś, co pozwoli im uwierzyć, że wyjdą z niej cało.

Dinar jednak dalej milczał, uwięziony w swojej embrionalnej pozycji. Tyle że już nie siedział, tylko leżał, z jedną nogą umiejscowioną zdecydowanie zbyt blisko ogniska. Tak blisko, że przemoczona do cna skarpetka zaczęła się przypalać. Choć Dinarowi było to już zupełnie obojętne.

Aleksiej poczuł ucisk w żołądku.

Doczołgał się do Dinara, potrząsnął nim. Wiedział, że to nic nie da, ale i tak musiał to zrobić. Żeby mieć pewność. Alibi. Moralne usprawiedliwienie. Wciąż miał nadzieję, że kiedyś będzie musiał komuś o tym opowiedzieć. Na przykład komisji odpowiedzialnej za organizację wypraw turystycznych. Albo szefostwu klubu sportowego. Albo kolegom, którzy przeżyją. Komuś, kto będzie chciał go wysłuchać. Komukolwiek.

Wstał. Pozbierał gałęzie, z których kilka minut wcześniej ogołocił cedr, i wrzucił je do ogniska. Usiadł najbliżej żaru jak to możliwe i zaczął dmuchać. Nabierał lodowatego, podrażniającego płuca powietrza i dał z całych sił. Prosto w źródło ciepła. W punkt, z którego ogień powinien rozprzestrzenić się na pozostałe gałęzie.

Ale nic takiego się nie stało.

W końcu odpuścił. Opadł z sił. Położył się na ziemi, żeby chwilę odpocząć. Poczuł przyjemne ciepło na skierowanym w stronę ognia policzku. Skojarzyło mu się to z pewnym wakacyjnym dniem z dzieciństwa, kiedy razem z rodzicami siedział przy ognisku. Z dniem, w którym nie musiał się niczym martwić i niczego wstydzić. Z dniem jednoznacznie zwiastującym, że przyszłość będzie lepsza niż przeszłość, choć przeszłość przecież wcale nie była taka zła.

Chwilę później ciepło rozlało się na resztę ciała. Zasnął.

1 LUTEGO 2020

ŻENIA

Czuł się jak we śnie. Jednym z tych, w których grywa w hokeja ze zgrają facetów marzących o tym samym co on – żeby przejąć krążek, wycelować, uderzyć, wygrać. Zwykle nie jest w tych rojeniach sobą. Nogi mu się płaczą, mózg podrzuca absurdalne pomysły, a kij wydaje się ołowiany. Zwykle w tych snach przegrywał.

I teraz też się na to zanosilo, kiedy Żenia wyciągnął przed siebie ręce, aby odeprzeć atak Jegora Kosariewa.

Ramiona miał jednak wiotkie i gnuśne. Jakby ktoś odłączył je od prądu.

– To bez sensu – powiedział Kosariew, przedzierając się przez grad niemrawych plaśnień i kopnięć Żeni. – Stawiając opór, tylko wydłużasz swoje męczarnie. Nie zmienisz finału. Tak czy inaczej, umrzesz. Umrzesz wskutek zatrucia albo przy moim nieznacznym wsparciu. Wiem, że dałem ci mało czasu na zapoznanie się z nową rzeczywistością, ale dla nas obu byłoby lepiej, gdybyś po prostu pozwolił mi się udusić.

Żenia nadludzkim wysiłkiem podciągnął kolana i wyrzucił nogi w powietrze. Trafił Kosariewa w klatkę piersiową. Odepchnął go, a sam wylądował po drugiej stronie namiotu, na legowisku Rodina. Nic więcej nie mógł zrobić, bo miał ciało jak z waty.

Kosariew najwyraźniej się zirytował, bo przestał się z nim cackać. Zaczął być metodyczny. Znów zbliżył się do Żeni, ale tym razem zrobił to na tyle sprytnie, że nie dał mu szansy się obronić. Sprawnie ominął przeszkodę z jego nóg, a chwilę później wykonał pełen dosiad. Żenia desperacko wymachiwał rękoma, ale z tej pozycji nie był w stanie wyrzucić Kosarielowi krzywdy.

– Trudno, będzie po mojemu. – Doktor przesunął kawałek brezentu, który przypadkowo opadł Żeni na twarz. – Szczerze żałuję, że tak to się kończy. Choć dla ciebie to raczej marne pocieszenie.

Żenia poczuł, jak palce Kosariewa zaciskają się na jego szyi.

Przez połowę życia uczono go zachowania w sytuacjach ostatecznych – kiedy wybucha strzelanina w sercu rozpalonego do czerwoności miasta, kiedy celuje do niego terrorysta, partyzant, żołnierz albo zwykły bandzior, kiedy tylko sekundy dzielą go od śmierci. Dlatego gdy Kosariew zaczął go dusić – nie wpadł w panikę. Zepchnął na boczny tor ból oraz świadomość, że pewnie i tak umrze, i zaczął szukać rozwiązania. Gorączkowo myślał, czy jest choćby cień szansy, aby nie dać się zabić. Czy w ciągu paru chwil facet w jego położeniu – pozbawiony broni, zatruty i duszony przez przeciwnika – może zrobić coś, co wyciągnie go z opresji. Tyle że miał coraz mniej tlenu. Tak niewiele tlenu. Tak...

Jego dłonie bezwładnie opadły na ziemię. Zaczął odpływać.

I kiedy sądził, że to koniec, że już nic więcej go nie czeka, że zaliczył ostateczną życiową porażkę, wymacał pod palcami coś twardego, zimnego i płaskiego. Coś, co zmobilizowało go do ostatniego wysiłku.

1 LUTEGO 1959

KLARA

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że słyszy wyłącznie siebie. Swoje rozpaczliwe sapanie, ziejące strachem, smutkiem i beznadzieją. Pełne uczuć, które przez większość życia były jej obce.

Zatrzymała się. Uspokoila na chwilę oddech i szcękające zęby. Odwróciła się. Nasłuchiwała. Ale nie słyszała niczego. Żadnych odgłosów skrzypiącego pod stopami śniegu, żadnego desperackiego łapania tlenu. A przecież powinny ścigać ją dwa nierówne męskie oddechy. Równie żalosne i beznadziejne jak jej.

I choć wydawało się to najgłupszym pomysłem na świecie, zaczęła schodzić ze zbocza.

Najpierw znalazła Leona. Nie wyglądał dobrze. Nie żartował, jak to miał w zwyczaju. W ogóle nic nie mówił i nie reagował na jej słowa. Nie raczył nawet otworzyć oczu, kiedy potrząsnęła jego nieruchomym ciałem.

Potem, jakieś sto pięćdziesiąt metrów niżej, trafiła na Wiktora. Nie zastanawiała się, dlaczego lider wyprawy nie jest w stanie wrócić do namiotu. Nie interesowało jej, jak to możliwe, że ona, najdrobniejsza z całej grupy, zdołała się wspiąć wyżej od niego. Głowę Klary Babikowej zaprzętało wyłącznie jedno pytanie: czy to wszystko dzieje się naprawdę?

– Wstawaj! – powiedziała znacznie ciszej, niż to sobie wyobrażała. – Wstawaj! – powtórzyła, szarpiąc ciałem Wiktora.

Spojrzał na nią spod obrośniętych szronem powiek. Niemrawo. Niewyraźnie. Martwo.

Kiedy zrozumiała, że on także nie żyje, bezdźwięcznie się rozryczała.

Tkwiła przy zwłokach ukochanego jedynie przez kilkadziesiąt sekund. Jej rozpacz błyskawicznie zamieniła się w złość. A ta wlała w wyziębione ciało odrobinę ciepła. I szczyptę motywacji, aby Klara mogła udowodnić temu kurewskiemu światu, że nie da mu się pożyć. A przynajmniej nie bez walki.

Choć nie czuła stóp, płuca rwały ją przy każdym, nawet najdelikatniejszym oddechu, a z poranionej po licznych upadkach twarzy ciekła krew – ruszyła pod górę.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów odniosła wrażenie, że widzi w tej mroźnej zawiei coś jasnego. Jakby światło. Zatrzymała się i uspokoiła oddech, a wtedy usłyszała czyjś głos. Nie potrafiła go rozpoznać, ale nie brzmiał przyjaźnie. A to mogło oznaczać tylko jedno.

W sercu dziewczyny zaiskrzyła prawdziwa nadzieja.

Jeżeli głos rzeczywiście należał do Andrieja, mogła bezpiecznie wrócić do namiotu. Musiała go tylko odnaleźć. Pokonać te kilkaset metrów, jakie zapewne dzieliło ją od schronienia, a potem zakryć czymś dziurę, którą sama wycięła. Zakopać się pod kocami, kołdrami i wszystkim, co znajdzie pod ręką, i spróbować przetrwać noc. A kiedy trochę odpocznie, prześpi się i rozgrzeje – ruszyć po pomoc.

Napędzana złością i wiarą, że dożyje jutra, ponownie wyrwała pod górę.

Tyle że wściekłość i chęć to trochę za mało, aby w takim odzieniu przetrwać noc w górach.

Po kilku minutach mozolnej wspinaczki Klara musiała się zatrzymać. Nie miała już czym oddychać. Nie miała sił, żeby osłaniać się przed wiatrem. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani

jak długo musiałyby się jeszcze wspinać. Wiedziała jedynie, że zrobiła wszystko co w jej mocy, aby dotrzeć do celu.

I właśnie dlatego nie miała do siebie żalu, kiedy jej bezwładne, pozbawione czucia ciało osunęło się w śnieg.

1 LUTEGO 2020

UZI

Odkąd Uzi zobaczyła stojącego nad nią Igora Janina, wszystko zaczęło dziać się inaczej, niż się tego spodziewała.

Mężczyzna, którego uważała za swojego prześladowcę, nieoczekiwanie zaoferował jej pomoc. Pomógł usiąść na ławce, żeby nie leżała na zimnym chodniku, wezwał pogotowie, a następnie kazał swoim goryłom przepędzić wścibskich gapiów. Okazało się, że Janin pracował niegdyś jako fizjoterapeuta, dzięki czemu potrafił z grubsza ocenić stan kolana Uzi. Wyjaśnienia zachował dla siebie, ale jego nerwowa reakcja jasno mówiła, że nie jest dobrze.

Karetka przyjechała zaskakująco szybko. Dwaj młodzi ratownicy przeprowadzili standardowy wywiad, podali Uzi jakieś leki przeciwbólowe, a następnie zapakowali ją na nosze i wnieśli do ambulansu. Nie pytali, dlaczego skoczyła z okna. Nie interesowali się tym, co moskiewska prawniczka robi w ich uroczym mieście. Nie oceniali. Po prostu robili swoje.

Mieli już odjeżdżać, kiedy coś ich zatrzymało. Uzi usłyszała agresywną wymianę zdań. Dwa podenerwowane głosy. Nieprzyjemne, warkliwe, groźne. A kiedy umilkły, ujrzała kolejną znajomą twarz.

I z tych wszystkich dziwactw, z którymi stykała się przez ostatnie tygodnie, właśnie to wydało się jej najbardziej osobliwe.

– Zostawi nas pan na chwilę? – Prokurator Lew Fiodorow, wystrojony w elegancki czarny płaszcz, skierował to pytanie do ratownika, który siedział z Uzi w karetce. – Pański kolega poszedł zapalić, więc zakładam, że życiu pacjentki nic nie zagraża. – Spojrzał na Uzi. – I nie stanie się nic strasznego, jeżeli trafi do szpitala pięć minut później.

Ratownik się zawahał. Ale po chwili zauważył stojącego przed autem kolegę. Widząc, że ten przywołuje go zdecydowanym gestem ręki, chrząknął, popatrzył na pacjentkę i wysiadł z karetki.

Uzi sądziła, że ma urojenia. Że zastrzyk, który dostała, wywołał jakiś niespodziewany skutek. Tylko w ten sposób potrafiła wytłumaczyć obecność swojego zwierzchnika w Niestierowie. I to w miejscu, w którym chwilę wcześniej ktoś próbował ją... No właśnie. Co właściwie wydarzyło się w tym mieszkaniu?

– Zatrzymaliśmy ją – oznajmił Fiodorow.

– Żonę Kosariewa? – spytała Uzi.

Prokurator kiwnął głową.

– Zamknęła cię w pokoju, a potem poszła po broń. Wparowaliśmy do mieszkania w ostatniej chwili. – Westchnął ciężko. – Nie zdążyliśmy cię poinformować, że sytuacja jest pod kontrolą.

Pod kontrolą? – zdziwiła się w myślach Uzi. Jaka, kurwa, kontrolą?

– Żenia jest na przełęczu z Kosariewem – powiedziała. – Trzeba się z nim skontaktować. Natychmiast.

Fiodorow uniósł rękę w uspokajającym geście.

– Igor już to zrobił. Wszystkim się zajęliśmy. Bez obaw. – Fiodorow rozejrzał się po ambulansie, jak gdyby szukał w nim czegoś, co niegdyś zostawił. Potem ponownie skupił się na Uzi. – Od dawna podejrzewaliśmy, że Kosariew sprzedaje te pogodowe brednie, aby ukryć prawdę na temat przełęczu. Dzięki tobie... dzięki wam wreszcie mamy na to dowód.

– Musicie zatrzymać Swietlanę Duginę – wychrypiała Uzi. Wprawdzie nabrała już pewności, że rozmowa z Fiodorowem nie jest wytworem jej wyobraźni, ale jednocześnie czuła się coraz słabsza. Coraz lżejsza. Coraz spokojniejsza. – Siedzi w tym razem z Kosariewem. Dziadek Duginy wymordował tych turystów, a jej rodzina przez lata próbowa...

– Nic nie mów – powstrzymał ją Fiodorow. – Wszystko już wiem.

– Ale...

– Igor mi powiedział.

– A skąd on to wie?

Fiodorow uśmiechnął się pod nosem. Jego mina sugerowała, że w normalnych okolicznościach zbesztalby Uzi za naiwność. Ale okoliczności były dalekie od normalnych.

– Obserwowaliśmy was od samego początku – odparł. – Odkąd wpadliśmy na pomysł, aby ponownie przyrzeć się sprawie. O Igorze wiedziałas, bo musiaś wiedzieć. Nie uwierzyłybyś, że puściliśmy cię samopas. Ale nie miałaś pojęcia o innych, którzy przez cały czas podążali waszym tropem. Bez względu na to, gdzie akurat byliście.

Słowa Fiodorowa podlatywały do Uzi powoli i niegroźnie, jak nieskoordynowane, rozproszone luźne myśli. Ale kiedy lądowały, robiły to z przytupem, w samym sercu jej układu nerwowego.

– Wiedziałeś o Galinie Kuklinie? – spytała półszepem. – O tym, że próbowała nas zabić?

– Czy wiedziałem? – Fiodorow parsknął. – Całkiem dobrze znam Galinę. Wiem, na co ją stać. Nie byłem ani trochę zdziwiony jej postępowaniem.

– Co to znaczy, że ją znasz?

Fiodorow uciekł wzrokiem w bok, odpływając myślami do jakichś odległych wspomnień.

– Obawiam się, że to długa i złożona historia. A tobie nie zostało już wiele czasu.

Z każdą sekundą Uzi coraz mniej rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi.

– Dlaczego tu jesteś? – spytała.

– Czasem kiedy bardzo mocno się na czymś skupiasz, tracisz z oczu większy obraz. A wtedy prawda może cię uderzyć w zupełnie nieoczekiwany sposób. W dodatku ze zdwojoną mocą.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Bo najwyraźniej jeszcze nie jesteś gotowa na prawdę. I raczej już nie będziesz. – Fiodorow zerknął na zegarek. Chwilę później strzepnął z płaszcza jakieś niewidzialne okruchy i położył dłoń na ramieniu Uzi. – Jeżeli nadarzy się ku temu okazja, pozdrowię od ciebie twojego kolegę. Ale na to też bym nie liczył.

Fiodorow skierował się do wyjścia.

Uzi podążyła za nim wzrokiem i zauważyła, że zatrzymał się przed samochodem. Zamienił słowo z Janinem. Zaraz potem zniknął. Natomiast Janin przekazał wolę swojego szefa ratownikom, którzy nie wyglądali na zachwyconych, ale też nie protestowali. Zapewne zrozumieli, że trafili na ludzi, z którymi nie należy dyskutować.

Chwilę później ratownicy usiedli z przodu ambulansu, Janin zaś i jeden z jego goryli dołączyli do Uzi. Zamknęli za sobą drzwi, a następnie zaczęli wciskać dłonie w lateksowe rękawiczki. Widząc, co robią, Uzi wreszcie zrozumiała, o co w tym chodzi. Wreszcie wszystko stało się jasne. Puzzle wskoczyły na swoje miejsca. Poczowała coś na kształt ulgi.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, była ponura twarz Igora Janina, który napelniał czymś strzykawkę.

1 LUTEGO 1959

EMIL

Kazał im iść. Po prostu iść. Przed siebie, w dół stoku, nie za szybko. A oni – zdjęci strachem, odczłowieczeni, pozbawieni właściwości – pomimo potwornego zimna robili to, czego chciał. Szli. Schodzili. Oddalali się od namiotu. A tym samym od nadziei, że wyjdą z tego cało.

– Wkrótce dołączymy do waszych przyjaciół – powiedział Andriej, który zamykał pochód, oświetlając wyboistą drogę latarką. – Mam przeczucie, że są niedaleko. Pewnie zesli do lasu i próbują rozpalić ogień. Albo znaleźli jamę, w której zamierzają spędzić noc. Albo już nie żyją. – Zamilkł, jakby kontemplował własne słowa. – Tak czy inaczej, jakoś się z nimi spotkamy.

Daniela dziarsko szła na czele czteroosobowego pochodu, jakby za wszelką cenę chciała się trzymać jak najdalej od Andrieja. Marat – poturbowany i wyraźnie przybity – kroczył tuż za nią, próbując dotrzymać jej kroku. Potem, niemal na równi z Andriejem, szedł Emil, który uważał, że zajął najbezpieczniejszą pozycję – najbliżej przywódcy stada. Niczym pupil, który zawsze siada w pierwszej ławce, aby się podlizać nauczycielowi. Była to idiotyczna myśl, jednak przyłgnęła do Emila na tyle mocno, że nie potrafił jej się pozbyć. Z każdą sekundą coraz bardziej mu ciążyła. I coraz bardziej napawała obrzydzeniem do samego siebie.

Aż nagle wszystko się zmieniło.

W pewnym momencie Daniela, która ochoczo przecierała szlak, zaczęła uciekać – a kulejący i zbołały Marat razem z nią. Zrobili to tak nieoczekiwanie, że z łatwością oderwali się od pozostałej dwójki, a ich sylwetki natychmiast zniknęły w zamieci.

– Za nimi! – wrzasnął Andriej.

Patrząc w lufę pistoletu, Emil zrozumiał, że ma wybór: albo pobiegnie za kolegami, albo dostanie kulę w łeb. Nie zastanawiał się długo.

Sekundę później Emil i Andriej pędzili w poprzek stoku.

Dzięki latarce mieli zdecydowaną przewagę nad uciekinierami, którzy dodatkowo musieli przecierać szlak. Już po parunastu sekundach można było dostrzec sylwetkę kuśtykającego Marata. Daniela, która nigdy nie imponowała końską wydolnością, musiała być kilka metrów przed nim. Emil był pewien, że dopadnięcie ich jest wyłącznie kwestią czasu. Że prędzej czy później razem z tym świrem dogoni swoich kolegów, niwecząc ich ostatnią szansę na ratunek.

Ale kiedy o tym myślał, powietrze przeszył przeraźliwy krzyk. Chwilę później Marat zniknął. Zupełnie jakby rozpląnął się w powietrzu.

Emil i Andriej zwolnili. A gdy dotarli do miejsca, w którym po raz ostatni widzieli uciekinierów, natychmiast pojęli, co się stało.

Daniela i Marat nie zauważyli wyrastającej przed nimi rozpadliny. Nie mogli jej widzieć. Nie w takich warunkach, w dodatku desperacko pędząc przed siebie i nie kalkulując. Zwalili się do kilkumetrowego jaru. A człowiek, przed którym uciekali, stał przy krawędzi wąwozu, celował w nich latarką i zaśmiewał się do rozpuku.

– Ułatwili nam robotę – stwierdził Andriej, kiedy wreszcie opanował śmiech. – W dodatku zaoszczędzili dwa naboje. Jak przystało na roztropnych komunistów.

Potem oświetlił twarz Emila. Chłopak nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, co go bardziej przeraża: śmierć kolegów, przesywający mróz czy fakt, że został sam na sam z szaleńcem.

– Nie musisz tego robić – powiedział.

– Muszę. Tutaj kończy się nasza przygoda. – Andriej uniósł broń. – Stań nad krawędzią. Twarzą do dziury.

Emil nie zareagował na jego słowa. Jakby ich nie zrozumiał. Jakby zaszyta w nich wiadomość, że zaraz umrze, nie przebiła się do jego otumanionej świadomości.

– Szybciej, kurwa!

Dopiero krzyk wyrwał Emila z odrętwienia. Chłopak podreptał w stronę rozpadliny. Zatrzymał się. Przy pohukującym wietrze niewiele mógł usłyszeć, ale snop latarki pozwolił mu wywnioskować, że Andriej stanął tuż za nim. Jak podczas egzekucji.

– Wcale tego nie planowałem! – wydarł się Andriej, przekrzykując wiatr. – Niczego nie planowałem. Po prostu chciałem do was dołączyć, no i może trochę nastraszyć Klimienkę. Ale to chyba nie był najlepszy pomysł... – Zamyślił się. Zasepił. – Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiem, jak się z tego wytłumaczyć. Ani czy w ogóle będę chciał to zrobić.

Emil ledwo go słyszał, ledwo widział i ledwo czuł. Mróz i strach zacisnęły się na jego szyi, odbierając mu dopływ tlenu, zdolność mowy i szansę na pełne zrozumienie, co się dzieje. Wiedział tylko jedno: że za chwilę dostanie kulkę w łeb i będzie po wszystkim.

Kiedy o tym pomyślał, poczuł, że spada.

Nastała nicość.

Choć zupełnie inaczej ją sobie wyobrażał.

Leżał na dnie wąwozu. Obolały, unieruchomiony, mokry, skrajnie wychłodzony. Po upadku stracił na chwilę przytomność. Ale gdy ją odzyskał, poczuł dla Andrieja irracjonalną wdzięczność. Za to, że go nie zastrzelił, pozwalając skonać mu w taki sam sposób, w jaki skonali Daniela i Marat – na twardym, zmarzniętym dnie jakiegoś jebanego dołu.

Z największym wysiłkiem przekreślił się na plecy. Spojrzał w górę. Nie widział Andrieja, który świecił latarką prosto w jego twarz. Facet wykrzykiwał coś o oszczędzaniu, dobroci i komunizmie. Wydawał się pijacko wesoły. Jakby nie rozumiał, co robił. Albo jakby jego poplątana psychika nie pozwalała mu przyjąć tego czynu do wiadomości.

Emil odepchnął od siebie tę wariacką myśl i ponownie zatracił się w beznadziei. Czuł, że to meta. Że dalej nie ma już nic. Że próba walki jest nie tylko zbyteczna, ale wręcz kretyńsko głupia. Że stawiając opór przeznaczeniu, mógłby co najwyżej wydłużyć swoją agonię.

I kiedy miał po raz ostatni zamknąć oczy, wydarzyło się coś niespodziewanego.

Światło latarki gwałtownie skręciło w bok. Chwilę później coś z impetem wpadło do jaru.

Uczucia duszenia nie da się pomylić z żadnym innym. Człowiek wtedy zapomina, że istnieje jakikolwiek świat, jakiegokolwiek życie, jakakolwiek przyszłość, i koncentruje się wyłącznie na tym, że nie może zaczerpnąć tchu. Choć tak bardzo, tak desperacko tego pragnie. Jak niczego innego przedtem. I zazwyczaj niczego innego potem.

Żenia wykonał ostatni ruch, a potem się poddał. A nawet nie tyle poddał, ile po prostu został pozbawiony możliwości reagowania. Stracił czucie w członkach, a za chwilę miał także stracić świadomość. Wylączyć się. Przestać istnieć.

Ale nagle ucisk zelżał. Dłonie Jegora Kosariewa spłynęły z jego szyi i napastnik przygniótł go swoim bezwładnym ciałem.

Po kilkunastu sekundach Żenia doszedł do siebie. Łapczywie zaczerpnął tchu. Rozkasłał się. Splunął, obryzgując sobie twarz. Nadludzkim wysiłkiem wydostał się spod zwłok Kosariewa i uniósł na łokciach. Popatrzył na swoje usmarowane ciemnoczerwoną krwią ubranie.

Kiedy Kosariew zaczął go dusić, Żenia wymacał pod palcami nóż należący do Rodina. Pamiętkę po jego dziadku. Po zwariowanym koleśiu, który najprawdopodobniej wiedział o sprawie gonczarowców więcej, niż ktokolwiek przypuszczał. Żenia zadał Kosariewowi tylko jeden cios. Ugodził go w nogę, a potem z całej siły pociągnął ostrze w swoją stronę. Przeciwnik zawył z bólu, ale nawet na chwilę nie złuzował uścisku. Żenia miał wrażenie, że minęły całe wieki, zanim do Kosariewa dotarło, co się stało. Zanim zrozumiał, że ma przeciętą tętnicę udową. Zanim dopadła go nieuchronność losu.

Żenia poczuł ulgę. Choć doskonale wiedział, że nawet nie jest w połowie drogi do ocalenia.

Doktorek miał rację, pomyślał. Tak czy inaczej, umrę. Skoro nie dałem się zabić temu kłamliwemu skurwysynowi, zrobią to ludzie, którzy z nim współpracują. O ile zdążą, zanim wykończy mnie trucizna.

Żenia nie mógł zostać w namiocie. Nie mógł czekać na śmierć. Musiał działać. I to natychmiast.

Tylko jak, do cholery, kiedy ledwo można się poruszać, a oddech sprawia ból?

Z każdą sekundą trucizna coraz bardziej panoszyła się w jego żyłach. Był skrajnie zmęczony, obolały i ledwo kontaktował, ale zdołał namierzyć wyjście z namiotu. Zaczął się czołgać w jego stronę. Powoli, centymetr po centymetrze, sapnięcie po sapnięciu. Wreszcie mu się udało. Chwycił za suwak i pociągnął go do góry. Wychylił się na zewnątrz.

I nagle zaczął się dusić. Ale tym razem ze śmiechu.

Przyjechał na przełęcz z cichą nadzieją, że w którymś momencie pogoda się zepsuje. Że chociaż przez chwilę poczują się jak gonczarowcy. Ale aura była dla nich zadziwiająco łaskawa. Jakby kpiała z ich planu.

Aż do teraz.

Wychyliwszy się z namiotu, Żenia momentalnie poczuł świszczący i porywisty wiatr, który miotał śniegiem we wszystkie strony. Poczul zatrważający mróz, który po zaledwie kilku sekundach całkowicie schłodził jego rozpaloną twarz. Poczul zimową potęgę gór, które zawsze grają tak, jak im się podoba, a nie jak ktoś tego oczekuje.

Co za kurewski chichot losu! – pomyślał.

Chwilę później wytarł zapluta twarz, wsunął kaptur na głowę i wyczołgał się na zewnątrz.

26.

16 MAJA 1959

Borys Jakupow nigdy nie marzył o tym, żeby zostać prokuratorem. Nawet nie marzyło mu się bycie prawnikiem czy urzędnikiem państwowym. Stało się tak głównie przez rodziców, mocno naciskających, aby wykorzystał talent, który nachalnie mu wmawiali. Aby nie bał się mierzyć wysoko. Aby wybił się z tłumu, wspomagając rozwój ich cudownej ojczyzny.

Kiedy Borys miał kilkanaście lat, nie bardzo rozumiał, co mają na myśli. Gdy zaś dorósł, skończył studia, dostał pracę w prokuraturze, a po parunastu latach harówki stał się jednym z najważniejszych prawników w Niestierowie – doszedł do wniosku, że doskonale ich rozumie. Był im wdzięczny, że tak uparcie wtlaczali mu do łba przekonanie o jego wyjątkowości. To dzięki temu facet, który wymigiwał się od wojska, który sfalszował swoją dokumentację medyczną, by nie trafić na front, i który później cudownie ozdrowiał, żeby wesprzeć tworzenie bloku wschodniego, jak mało kto skorzystał na chruszczowowskiej odwilży, obejmując ciepłą posadkę w lokalnej prokuraturze. Krętymi i nieoczywistymi ścieżkami dotarł do miejsca, które najwyraźniej było mu pisane.

Ale teraz Borys Jakupow ponownie stracił wiarę w swój talent. Stojąc w poczekalni prosektorium w Niestierowie, niemal trzy miesiące od rozpoczęcia dochodzenia w sprawie gonczarowców i równo tydzień po znalezieniu ostatnich zwłok, palił czwartego papierosa w ciągu godziny. Czuł, że robi mu się niedobrze. I to nie od nadmiaru nikotyny, tylko przez to, co za chwilę spodziewał się usłyszeć.

Kiedy miał sięgnąć po kolejnego papierosa, uchyliły się ciężkie metalowe drzwi. Z kostnicy wyszli dwaj mężczyźni. Jeden – ubrany w wyblakły kitel lekarz medycyny sądowej – ruszył wzdłuż korytarza, na którego końcu mieściła się kiepsko zaopatrzona kafeteria. Drugi – pięćdziesięciolatek w sztruksowym garniturze i z zakolami sięgającymi połowy czaszki, śmiertelnie poważny i śmiertelnie smutny – skierował się w stronę Borysa.

– I co? – spytał Jakupow.

Mężczyzna nawet na niego nie spojrzał. Włożył papierosa do ust i wycelował palcem w drzwi prowadzące do wyjścia z budynku. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, przycupnął na niewielkim betonowym cokole i poluzował krawat. Zapalił. Dopiero po kilku machach spojrzał spode łba na skonsternowanego Jakupowa.

– To nie on – orzekł.

– Słucham? – zdziwił się Borys, mimo że właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– To nie Klimienko.

– Jest pan pewien?

Mężczyzna wolno pokiwał głową, wydmuchując przed siebie dym.

– Osobiście go rekrutowałem. Widziałem go zarówno ubranego, jak i bez majtek. A teraz zobaczyłem nagiego trupa, który nie jest ani nigdy nie był Michailem Klimienką.

Borys ciężko westchnął. Od początku nie podobały mu się te zwłoki. Wielokrotnie oglądał zdjęcia Klimienki z wyprawy. Widział je, gdy zasypiał, gdy się budził, gdy rozmawiał z żoną. Rzygał nimi. I dlatego wiedział, że to mocno poturbowane ciało, które razem z trzema innymi znaleźli w wąwozie – wyniszczone tygodniami spędzonymi pod śniegiem i destrukcyjnym działaniem wody – nie mogło należeć do Klimienki.

Tylko dlaczego ofiara była w jego ubraniach? W jaki sposób znalazła się obok innych gonczarowców? I gdzie, do cholery, były zwłoki Klimienki?

– Jeżeli to nie on, to kto? – spytał Jakupow.

– Problem, który trzeba rozwiązać. – Mężczyzna zapatrzył się w beton pod swoimi stopami. Następnie upuścił peta i przydepnął go czubkiem buta. Zerknął na Borysa. – Problem, który pan musi rozwiązać.

2 CZERWCA 1960

– Dlaczego chcesz zostać prawnikiem?

Młody człowiek, którego imienia Borys Jakupow nie zdołał zapamiętać, uśmiechnął się z zakłopotaniem, jakby właśnie usłyszał najtrudniejsze pytanie na świecie. Niewykluczone, że tak właśnie było, pomyślał prokurator. Być może ten młody człowiek nie wiedział, dlaczego robi to, co robi, ani po jaką cholere, wyzebrawszy wcześniej audiencję, przyląkł do domu jednego z najważniejszych funkcjonariuszy publicznych w mieście. Na co właściwie liczył? Że spije z jego ust jakieś uniwersalne mądrości? Że dowie się czegoś, dzięki czemu przeskoczy pozostałych studentów prawa na Uniwersytecie Niestierowskim? A może że zbuduje dzięki temu znajomości, które za kilka lat pozwolą mu zrobić wielką prokuratorowską karierę?

Problem w tym, że Jakupow sam się często zastanawiał, dlaczego obrał taką ścieżkę. A od ubiegłego roku głównie tego żałował. Właściwie każdego dnia – a może i w każdej godzinie – przeklinał moment, w którym postanowił wdepnąć w prawnicze bagno.

– Nie chcę zostać prawnikiem – odparł młodzieniec po długim namyśle.

– Nie? – Borys, zapalając papierosa, posłał dzieciakowi zdziwione spojrzenie. – Jeśli już teraz nie jesteś tego pewien, to nie najlepiej wróży twojej karierze. Z wiekiem ludzie często

zniechęcają się do zajęć, którym poświęcili życie.

– Nie powiedziałem, że nie jestem pewien. Powiedziałem, że nie chcę.

Pyskaty gnojek, pomyślał Jakupow. I dobrze. Tacy – o ile potrafią się w porę ugryźć w język – zwykle mają w życiu lepiej. Wbrew temu, co uważa klasa robotnicza, służalczość i pokora nie stanowią przepustki do kariery. A przynajmniej nie do każdej. Pracownicy fabryk rzeczywiście muszą słuchać szefów czy partyjnych oficjeli. Ale prawnicy muszą być słuchani. Nawet gdy mają do czynienia z ludźmi stanowiącymi najsilniejsze ogniwa łańcucha pokarmowego.

– Myślałem, że to dlatego tu jesteś. – Borys wskazał palcem butelkę stojącą pomiędzy talerzami z wędliną, sałatką z pomidorów i kiszonymi ogórkami, sugerując młodemu, aby połał wódkę. – Że będziesz chciał, abym ci pomógł w studiach. Choćby dobrym słowem. Ale jeśli nie, to co...

– Chciałem porozmawiać o Przełęczy Gonczara – przerwał mu młody. – Niedawno minął rok od zamknięcia sprawy, prawda?

Borys zwrócił uwagę, że chłopak wypełnia kieliszki po ostatni milimetr, nie roniąc ani kropli. Świadczyło to o jego pewności siebie. A to jedna z najważniejszych cech w zawodzie, do którego się przyuczał. Kto wie, pomyślał Jakupow, może mam do czynienia z przyszłym prokuratorem. O ile dzieciak dosztukuje do swojego charakteru umiejętności i wiedzę.

– Na którym jesteś roku? – zapytał Borys.

– Na trzecim.

– To już dawno powinieneś wiedzieć, że jako prokurator nie mogę rozmawiać o sprawie. Zresztą w ogóle nie powinieneś się nią interesować.

– Nie chcę słuchać o śledztwie.

– Nie?

– Myślę, że to ja mógłbym panu zdradzić kilka smaczków.

Jakupow się roześmiał.

– Doprawdy?

– Ale najpierw się napijmy.

Młody uniósł kieliszek. Borys wahał się dłuższą chwilę, mierząc wzorkiem impertynenckiego gnojka, po czym zgasił peta w popielniczce i sięgnął po szkło. Stuknęli się kieliszkami, a potem szybkim ruchem je wychylili.

– W takim razie zamieniam się w słuch.

Dzieciak przegryzł wódkę, przeżuując szynkę z nieelegancko otwartymi ustami.

– Wiem, kogo tam pochowaliście – oznajmił.

Jakupow nastroszył brwi.

– Przecież to żadna tajemnica. Ośmioro studentów lub absolwentów Uniwersytetu Niestierowskiego oraz przewodnika, który dołączył do nich niedługo przed wyprawą.

– Chodzi mi o to, że wiem, kogo naprawdę pochowaliście.

Dzieciak przygotował drugą kolejkę. Przesunął kieliszek w stronę Jakupowa.

– Co to znaczy? – spytał Borys.

– Powiedzmy, że znam kogoś, kto zna kogoś. I ten ktoś wie, że w czasie gdy gonczarowcy snuli się po górach, byli tam także inni ludzie. Trzej mężczyźni, którzy mocno rzucali się w oczy we wszystkich miejscach, które odwiedzali. Zostawili po sobie wystarczająco dużo śladów, aby dało się bez cienia wątpliwości stwierdzić, że odkąd dotarli w góry, jakby rozplynęli się w powietrzu. Dwaj z nich to zwyczajni bumelanci, za którymi nikt specjalnie nie tęskni. Ale jeden z tych facetów był całkiem popularny w pewnych kręgach. A dziś wmawia się ludziom, że ktoś taki nigdy nie istniał. – Młody uśmiechnął się do Jakupowa. – Jestem ciekaw, czy to pańska sprawka, czy pana przełożonych.

Nie czekając na dzieciaka, Jakupow opróżnił kieliszek. Pochylił się do przodu.

– Posłuchaj, młody człowieku. Nie wiem, kto ci naopowiadał tych bzdur, ale nie powinienes ich rozpowszechniać. Dla własnego dobra. – Wyprostował się i zapalił kolejnego papierosa. – Przekonałem się na własnej skórze, że dorabianie teorii do tego, co tam zaszło, nie prowadzi do niczego dobrego. Można popaść w pewnego rodzaju manię, której trudno się pozbyć. Wyjaśnienie tej zagadki może i jest niesatysfakcjonujące, ale też na swój sposób proste. Czy komuś się to podoba, czy nie, tych turystów zabiła...

– ...potężna siła – dokończył za Jakupowa młody. – Jak pan się z tym czuje?

– Nie rozumiem.

– Od roku wszędzie opowiada pan tę bajeczkę. Zastanawiam się, jak to jest wiedzieć, co tam zaszło, ale nie móc się tym z nikim podzielić. Pewnie nawet z żoną.

– Uważaj na słowa.

– Musi pan być strasznie samotny. – Młody sięgnął po kieliszek. Wychylił go wprawnym ruchem, po czym wbił wzrok w Borysa. – Obawiam się, że w taki czy inny sposób ta historia będzie się ciągnąć za panem do końca życia. I pewnie niejednokrotnie zmusi do robienia rzeczy, na które nie będzie pan miał najmniejszej ochoty.

Jakupow chciał zedrzyć z gęby małowata ten wnerwiający uśmieszek. Ale jeszcze bardziej pragnął, aby gnojek się mylił. Na to jednak nie miał wpływu i nawet zadenuncjowanie chłopaka pod zmyślonym pretekstem nic by w tej kwestii nie zmieniło. Minał rok od zamknięcia śledztwa, a Borysowi jeszcze ani razu nie przyszła do głowy myśl, że to zamknięty rozdział. I nie było w nim choćby krzty wiary, że kiedyś to się zmieni.

Wiedział, że dopóki będzie strażnikiem tej tajemnicy, dopóty będzie cierpiał.

– Przypomnisz mi, jak masz na imię? – Borys zgasił peta, wbijając go nerwowo w osmolone dno popielniczki.

– Taras. – Młody pochylił się nad stołem i sięgnął po flaszkę. – Taras Fiodorow.

12 LISTOPADA 1990

O niewielu mężczyznach mógł powiedzieć, że wzbudzają jego szacunek, ale Witalij Radułow bez wątpienia się do nich zaliczał. Między innymi dlatego, że cała wiedza na temat tego faceta zbudowana była z pogłosek i anegdot, w które trudno uwierzyć. Jak choćby w tę, że Radułow od trzydziestu lat decyduje o radzieckiej polityce, choć formalnie nie sprawuje żadnej poważnej funkcji w administracji publicznej. Albo że jest doskonale obojętny światopoglądowo, przez co kolejne ekipy na Kremlu zabiegają o to, żeby mieć go przy sobie. Albo że żaden polityk nie ma wystarczająco dużych jaj, by strącić go z piedestału.

Pod wieloma względami ten wysuszony i blady siedemdziesięcioletek, sprawiający wrażenie niedożywionego, schorowanego albo krańcowo przemęczonego, był dokładnie takim człowiekiem, jakim Taras Fiodorow sam chciałby być. I być może dlatego tak bardzo się stresował, kiedy po raz pierwszy odwiedzał jego moskiewski gabinet.

– Czy ktoś może mi to wytłumaczyć? – Witalij Radułow uniósł gazetę, zerkając na twarze dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy pocili się po drugiej stronie niewielkiego biurka.

– Jakupow zwariował. – Nikita Paszkin wypowiedział te słowa w swoim stylu: zbyt głośno i zbyt szybko. – Facet przez trzydzieści lat utrzymywał, że za śmierć dzieciaków odpowiada jakaś tajemnicza siła. Dlaczego więc miałby nagle wyznać, że wszystkich okłamał? Że to nie żadna siła, tylko UFO? Koleś ześwirował na starość. To jedyne wytłumaczenie.

Parę lat wcześniej Nikita Paszkin został pierwszym sekretarzem Niestierowskiego Komitetu Partii. Formalnie pełnił funkcję bezpośredniego przełożonego Tarasa Fiodorowa. Ale nieformalnie był pozbawionym znaczenia durniem. Błaznem, którego od czasu do czasu trzeba było postawić przed kamerą. Otrzymał tę posadę, ponieważ Fiodorow pod żadnym pozorem nie chciał stać na froncie. Wołał działać z cienia. Pociągać za sznurki tak, aby nikt tego nie widział. Jeżeli Radułow rzeczywiście był człowiekiem, za jakiego Fiodorow go uważał, powinien to dostrzec i docenić.

– Czy w ciągu tych trzydziestu lat Jakupow zrobił coś, co mogłoby sugerować, że jest niespełna rozumu? – zapytał spokojnie Radułow.

– A skąd! – Paszkin spojrzał na stojącą na biurku popielniczkę, do której trudno byłoby wetknąć choćby wykałaczkę, i wyjął z kieszeni papierosa. – Robił swoje i nikomu nie bruździł. Dało się wyczuć, że sprawa turystów leży mu na wątrobie, ale czegoś takiego nikt się nie spodziewał.

Radułow ponownie pochylił się nad gazetą. Jeszcze raz przeczytał początek artykułu, w którym prokurator Borys Jakupow wyznał, że przez trzydzieści lat ukrywał prawdę na temat Przełęczycy Gonczara. Przepraszał rodziców ofiar i dzielił się informacjami do tej pory nieznanymi opinii publicznej, dotyczącymi między innymi makabrycznego stanu niektórych zwłok, radioaktywnych substancji znalezionych na ubraniach dwóch ofiar czy nacisków lokalnych władz, które zmusiły go do jak najszybszego zamknięcia śledztwa. W pewnym momencie Radułow uniósł głowę i popatrzył na Paszkin, który zapaliwszy papierosa, wypuszczał nad głowę kolejne kółka dymu.

– Wyjdź – powiedział. – Zaczekaj na korytarzu.

Paszkin, jakby nie był pewien, czy te słowa były skierowane do niego, zerknął na Fiodorowa, a potem ponownie na Radułowa. Stanowcza mina starca nie pozostawiała złudzeń. Paszkin wcisnął do popielniczki ledwo napoczętego papierosa, niefrasobliwie wysypując kilka petów na blat, po czym uklonił się i wyszedł.

Gdy tylko znalazł się za drzwiami, Radułow sam zapalił.

– Czy on się orientuje, co tak naprawdę zaszło w górach? – zapytał, wskazując brodą drzwi.

Fiodorow nie potrafił ocenić, jak dużo Radułow wie na temat przełęczycy. Ale zakładał, że wie co najmniej tyle co on. Czyli wszystko.

– Kilka razy wspominał, że stoi za tym KGB – odparł. – Ale zdaje się, że tylko przedstawiał swoją teorię. Wątpię, żeby znał jakiegokolwiek szczegóły.

– To dobrze. Idioci nie powinni mieć takiej wiedzy. Mogliby sobie zrobić krzywdę. – Radułow mocno się zaciągnął i długo trzymał dym w płucach. – Zabawne. Jeszcze tydzień temu nie miałem pojęcia, że istnieje ktoś taki jak ty. Dzisiaj nie tylko wiem, że postawiłeś nad sobą idiotę, ale także kim był twój wujek.

Było dokładnie tak, jak Fiodorow przypuszczał: Radułow wiedział wszystko. Nawet to, co oprócz niego mogło wiedzieć najwyżej kilkanaście osób na świecie.

– Nazywałem go wujkiem, ale to był po prostu daleki krewny – odrzekł Taras.

Radułow ciężko westchnął.

– Każdy, kto by się o tym dowiedział, stwierdziłby, że Andriej Szawarow był twoim wujkiem. A to oznacza, że Andriej Szawarow był twoim wujkiem.

Fiodorow skinął głową. Nie było sensu sprzeczać się z Radułowem.

– Jakupow o nim wiedział?

– Wątpię. Znam go prawie trzydzieści lat i ani razu nie zrobił nic, co by o tym świadczyło.

– Masz na myśli to, że nie próbował wykorzystać tej wiedzy przeciwko tobie?

– Wiem o Jakupowie coś, co daje mi nad nim przewagę – odparł Fiodorow. – Gdyby znał prawdę o mojej rodzinie, mógłby mnie w łatwy sposób skontrolować.

Radułow wolno pokiwał głową, po czym postukał palcem w gazetę.

– Dlaczego to zrobił?

– Ze słabości. Przez te wszystkie lata Jakupowa gryzło sumienie. Męczyła go świadomość, że zataił prawdę na temat przełęczu. To jego nieco ekstrawertyczny sposób na rozprawienie się z własnymi demonami. Tym bardziej że wreszcie nadarzyła się ku temu okazja. Jego żona od kilku lat nie żyje, syn zginął w wypadku samochodowym, a córka i wnuki mieszkają za granicą. W dodatku Gorbaczow liberalizuje kraj w taki sposób, że ludziom różne pomysły przychodzą do głowy. – Fiodorow nie był pewien, jakie są relacje Radułowa z obecnym sekretarzem generalnym, ale sporo słyszał o jego dobrej znajomości z Chruszczowem i rzekomej przyjaźni z Breżniewem. Wyszedł z założenia, że Radułow musi być zwolennikiem starego układu. – Jakupow nie mógł napisać wprost, co się stało na przełęczu, ponieważ wydałby na siebie wyrok. Dlatego postanowił zrobić jak największy szum wokół sprawy. Zaczął tekst od dyrdymałów o latających spodkach, żeby przykuć uwagę jak największej liczby czytelników. Wiedział, że oprócz żądnych sensacji wariatów znajdują się także poważni reporterzy, którzy nigdy o tej historii nie słyszeli. Paru z nich pewnie już się rzuciło do grzebania w aktach. – Wycelował palcem w gazetę. – Jakupow popełnił w życiu wiele błędów, ale akurat tego nie mógł rozegrać lepiej.

Radułow wysłuchał go uważnie. Następnie wsypał zawartość popielniczki do stojącego pod biurkiem kosza i zgasił peta. Przejechał dłonią po twarzy, po czym skrzyżował ręce na piersi. Myślał. I przez cały czas lustrował Fiodorowa ciężkim badawczym spojrzeniem.

– Twój syn ma dwadzieścia lat, prawda?

Fiodorow kiwnął głową.

– Studiuje?

– Na razie służy w wojsku. Ale potem wybiera się na prawo.

– No tak. – Radułow uśmiechnął się półgębkiem. Inaczej chyba nie potrafił. – Dobry wybór. Prawnicy zawsze są potrzebni. Zwłaszcza w czasach przemian. Tworząc nowy legislacyjny ład, mają niepowtarzalną okazję ustanawiać prawo w taki sposób, aby służyło ich interesom. Jeżeli są dobrymi strategami, mogą się ustawić na resztę życia. – Wyjął z paczki kolejnego papierosa. – Bystry ten twój chłopak?

– Bystrzejszy ode mnie.

– Z takim kapitałem intelektualnym i nazwiskiem pewnie czekałaby go w Niestierowie świetlana przyszłość. Ale chyba nie będzie miał nic przeciwko Uniwersytetowi Moskiewskiemu.

Fiodorow potrzebował paru sekund, żeby zrozumieć aluzję. Radułow chciał go mieć przy sobie. A razem z nim wszystko, na czym może mu zależeć. Na wszelki wypadek.

– Zakładam, że nie – odparł, udając niewzruszonego. – Młodzi ludzie lepiej znoszą zmiany. Nie wiem tylko, czy ktoś taki jak ja odnajdzie się w nowej rzeczywistości. Całe

życie spędziłem w Niestierowie.

– Człowiek to kameleon, potrafi się błyskawicznie dostosować do nowej sytuacji. A kiedy nie da mu się wyboru, jest to wręcz dziecinnie proste. Taka już nasza natura. – Radułow wzruszył ramionami. – Dla twojej byłej żony też znajdzie się jakieś zajęcie. A jeżeli nic jej się nie spodoba, zadbamy o to, żeby nie musiała pracować.

Fiodorow uklonił się z wdzięcznością. Choć szczerze wątpił, czy ma za co być wdzięczny.

– Czy mam się zająć tą publikacją? – zapytał.

– Mleko już się rozlało. Wszyscy wiedzą, że wydarzyło się tam coś innego, niż twierdziliśmy przez trzydzieści lat. Teraz musimy tylko maksymalnie utrudnić ciekawskim poszukiwanie prawdy. A w tym obaj jesteśmy niezli. Lata praktyki robią swoje. – Nie odrywając wzroku od Fiodorowa, Radułow wypuścił dym przez nos. – Widzę, że masz wątpliwości. Pytaj. Nie wiem, kiedy nadarzy się następna okazja.

– Zastanawiam się, czy przenosiny do Moskwy w takim momencie są dobrym pomysłem. Moi znajomi raczej się wynoszą ze stolicy. Mówią, że nad miastem wisi cuchnący balon, który w każdej chwili może pęknąć. A wtedy Moskwa utonie w gównie.

Radułow ściągnął trzy szybkie machy i zgasił szluga. Chwilę później zgarnął gazetę, zwinął ją w rulon i włożył do kosza. Potem przejechał dłonią po blacie, czyszcząc go z rozrzuconych przez Paszkina niedopałków i resztek popiołu. Kiedy stół był już wysprzątnany, pochylił się do przodu i oparł na nim rękę.

– Boisz się kolejnej rewolucji? Że przyjdzie nowe, które zmiecie takich jak my? Niepotrzebnie. Nawet jeśli komunizm upadnie, nikt nie jest na tyle nieroztropny, aby wyrzucić ostatnie kilkadziesiąt lat do śmietnika. Żaden polityk nie odważy się wymazać naszej historii albo zmienić obyczajów. Jesteśmy zbyt skomplikowanym organizmem, żeby powycinać z niego wszystkie organy, a potem, jakby nigdy nic, wstawić nowe. Poza tym ludziom podoba się nie pierestrojka, tylko idea demokracji, której tak naprawdę nie rozumieją. I którą prędzej czy później dobrowolnie odrzucają. W sytuacjach przełomowych po prostu trzeba umieć się ustawić. W najgorszym położeniu są ci, którzy pchają się przed szereg. Tak zwane twarze rewolucji. Oni już zawsze będą się kojarzyć ze zmianami. A ludzie nie lubią zmian. Dlatego należy trzymać się blisko czołówki, ale pod żadnym pozorem nie wysuwać na szpicę peletonu. Ale tobie chyba nie muszę tego tłumaczyć.

Rzeczywiście nie musiał. Fiodorow doskonale znał reguły tej gry. Teraz musiał się jedynie przenieść z przydomowego boiska na arenę dla dużych chłopców. I choć odczuwał lekki stres, już nie mógł się doczekać.

Lew Fiodorow odruchowo odsunął głowę, kiedy poczuł na uchu jej delikatny język i ostre jak żyletka zęby. Spojrzał na nią, jak gdyby zrobiła coś niezwykle głupiego, choć już wielokrotnie wcześniej go podgryzała czy podszczypywała, a on nie miał nic przeciwko temu. Więcej – lubił to. Momentami uwielbiał. Ale teraz wydało mu się to kretyńskie i niedojrzałe. Choć doskonale wiedział, że to nie jej wina.

– Widzę, że się ze mną męczysz – powiedziała, odsuwając się na swoją stronę sofy. – Ludzie różnie przeżywają żalobę. Być może ten sposób na ciebie nie działa.

– Nie o to chodzi – odparł Fiodorow. – Może po prostu upłynęło za mało czasu. A może... – zawahał się. – Może inaczej to wszystko sobie wyobrażałem. Nie sądziłem, że będę na niego wściekły.

Sięgnął po szklanekę whisky. Pociągnął niewielki łyk. Potem kolejny. I jeszcze jeden. Pijąc, wpatrywał się w rozpalony kominek, który dawał przyjemny półmrok i ogrzewał podmoskiewską dachę, do niedawna należąca do jego ojca. Jeszcze parę dni temu Fiodorow myślał, że będzie im tutaj miło. Zarówno jemu – zdolnemu prokuratorowi, wydeptującemu sobie drogę na prawniczy szczyt, jak i jej – niespełnionej żonie prowincjonalnego biznesmena. Myślał, że oderwą się od codzienności. On – od upierdliwej żony i traumy po śmierci ojca, ona – od kwaśnej atmosfery w domu. Ale teraz miał poważne wątpliwości. Może nie powinni tu przyjeżdżać. A może w ogóle nie powinni się już spotykać.

– Mam wrażenie, że dopiero tutaj zacząłeś cierpieć – oznajmiła, podciągając kolana pod brodę. – Za co masz żal do ojca?

Lista była równie długa jak lista rzeczy, za które Lew Fiodorow podziwiał ojca. Miał do niego żal za jego autorytaryzm. Za to, że był tak wymagający. Za to, że wybrał za niego ścieżkę kariery, a potem kategorycznie egzekwował realizację celów, które sam mu wyznaczył. Przez jakiś czas Lew nienawidził ojca za to, że kazał mu pójść do wojska, a potem zburzył jego marzenia o własnej kancelarii. Ale jednocześnie za to samo był mu wdzięczny. To dzięki ojcowskiej determinacji znalazł się w miejscu, o którym sam nigdy nie odważyłby się nawet pomyśleć. Gdyby nie ojciec, nie wylądowałby w Moskwie i nie poznałby wielkiego świata. Bez nazwiska, które otwierało tak wiele drzwi, zapewne nigdy nie trafiłby do kierownictwa Prokuratury Generalnej.

Tak naprawdę nie mógł mu wybaczyć tylko jednego. Tego, czego dowiedział się już po jego śmierci. Z dokumentów, które ojciec zostawił dla niego właśnie tutaj, w tym pieprzonym dziewiętnastowiecznym dworku.

– Za to, że mnie oszukał – odparł Fiodorow.

– W jakiej sprawie? – spytała kobieta.

– W sprawie historii. Swojej, mojej, naszej rodziny. Dowiedziałem się, że wszystko, w co wierzyłem, zostało zbudowane na kłamstwie.

– Aż tak? Może chciał cię chronić?

Fiodorow pokiwał głową i spojrzał w oczy kochanki. Nie wiedziała, o czym mówi, ale możliwe, że miała rację. W końcu przez kilkadziesiąt lat żył w błogiej nieświadomości. Nie mając bladego pojęcia, że jego daleki krewny spowodował tragedię, która stała się jedną z największych zagadek w historii kraju. Ojciec trzymał go z dala od niewiarygodnie ciężkiego brzemienia, które musiałby dźwigać przez całe dorosłe życie.

Tylko dlaczego na łożu śmierci kazał mu przyjechać na daczę i odszukać te papiery? Po jaką cholereę zadał mu ten cios? Co chciał osiągnąć? Ukarać go? Jeżeli tak, to za co? I dlaczego wspomniał, że o tej tajemnicy wie jeszcze kilkanaście osób? Żeby go nastraszyć? Zmusić do zagłębienia się w rodzinny sekret? I kto w ogóle jeszcze o tym wiedział? Czy Lew powinien traktować tych ludzi jak wrogów, czy sprzymierzeńców?

Pytań było mnóstwo. A on na razie na żadne z nich nie potrafił odpowiedzieć.

– Chyba powinnam się cieszyć, że myślisz o ojcu, a nie o żonie. – Kobieta pochyliła się w kierunku stołu i sięgnęła po kieliszek z czerwonym winem. – Ale mimo wszystko trochę mnie martwi, że tak się tym przejąłeś.

– Gdybyś weszła w moje buty, tobyś się nie dziwiła – odparł Fiodorow.

– Nie muszę. Wiem, co znalazłeś w papierach.

Lew zastygł z whisky w ustach. Kiedy ją przełknął, miał wrażenie, że wpuścił do przelęku lawę.

– O czym ty mówisz?

Podciągnęła stopy pod pośladki i odwróciła się w jego stronę.

– Jak wiesz, nie mogę angażować się w sprawy firmowe w takim stopniu, w jakim bym chciała. To ma jednak także swoje dobre strony. Dzięki temu mam mnóstwo czasu na realizowanie swoich pasji. Jedną z nich jest historia. Kilka lat temu zaczęłam tworzyć drzewo genealogiczne swojej rodziny. Całkiem niezłe mi poszło, dobrnęłam do połowy dziewiętnastego wieku. Miałam jedynie problem z pewnym dalekim krewnym, o którym mało było wiadomo. Podejrzenie mało. Dlatego wgrzyłam się w temat i po jakimś czasie odkryłam jego sekret. A nawet zaprzyjaźniłam się z częścią rodziny, której do tej pory nie znałam. – Napila się wina, jakby chciała sobie dodać animuszu, i posłała Fiodorowowi zadziorne spojrzenie. – Tak się składa, że ten człowiek jest także twoim krewnym. A to oznacza, że jesteśmy nie tylko dwojgiem ludzi, którzy się od czasu do czasu pierdola, ale także bardzo dalekim kuzynostwem.

Fiodorow potrzebował kilku sekund, aby zrozumieć, że właśnie otrzymał kolejny cios. Zadany, jeszcze zanim zdążył się otrząsnąć po poprzednim. Jeszcze potężniejszy. W dodatku wyprowadzony przez osobę, której nie podejrzewał o nokautujące uderzenie.

Przez cholerną Galinę Kuklinę.

– Ukartowałaś to – powiedział, wolno kręcąc głową. – Odnalazłaś mnie i uwiodłaś. Wpieprzyłaś się z buciorami w moje życie.

– Tak naprawdę chciałam dotrzeć do twojego ojca. Ale kiedy usłyszałam, że choruje, musiałam zmienić plan. Na szczęście zdążyłam go poinformować, że o wszystkim wiem, a on w trosce o twoje dobro postanowił ujawnić ci prawdę. – Wzruszyła ramionami. – Życie jest zbyt krótkie, żeby nie wykorzystywać nadarzających się okazji.

Fiodorow był kompletnie zdezorientowany. Pięć minut temu myślał, że do końca życia będzie musiał strzec wstydlivej tajemnicy swojej rodziny. Teraz już wiedział, że przyjdzie mu to robić ze zdolną do wszystkiego wariatką.

– Czyli już nie jesteśmy kochankami – zauważył.

– Jesteśmy więcej niż kochankami. – Galina odstawiła kieliszek na stół. – Jesteśmy partnerami.

Czy to się Fiodorowowi podobało, czy nie, miała rację. Kobieta, którą ledwo znał, stała się jego partnerką na całe życie. W biedzie i w bogactwie. Na dobre i na złe. W szczęściu i nieszczęściu. I musiał się z tym jak najszybciej pogodzić.

– Co teraz? – zapytał.

– Trzeba ustalić, kto jeszcze o tym wie – odparła. – A potem dopilnować, aby to grono już nigdy się nie powiększyło.

2 MARCA 2019

Wytrzepawszy śnieg zza kołnierza płaszcza, Igor Janin rozejrzał się po lokalu. Szukał eleganckiego faceta, który zdecydowanie nie pasował do tego miejsca – niewyróżniającej się niczym szczególnym moskiewskiej pijalni, odwiedzanej raczej przez lokalnych robotników niż wymęczone korporacyjnym życiem białe kołnierzyki. A już na pewno nie przez szanowanych urzędników państwowych, którzy mogliby wiele stracić, gdyby ktoś ich tutaj zobaczył.

– Na górze – powiedział długowłosej barman w czarnej koszulce z nadrukowaną nazwą jakiejś metalowej kapeli. – Czeka na ciebie.

Janin uniósł głowę. Przy jedynym zajęтым stoliku na piętrze siedział jakiś mężczyzna. Ich spojrzenia się spotkały, po czym Janin ruszył w stronę metalowych schodów.

Miał wrażenie, że całkiem nieźle poznał się na biurokratach, w końcu pracował z nimi praktycznie całe życie. Ten musiał się zaliczać do urzędników nowej generacji. Szykowny, wysportowany, zadbany, przystojny. Na swój sposób uroczy. Zapewne był wyszczekany i pewny siebie. Błyskawicznie skracał dystans, nieźle sobie radził z mediami, podejmował decyzje szybko i bez większego zastanowienia, ponieważ wiecznie się gdzieś spieszył. Lubił wybiegać do przodu. Czasem o kilka godzin, czasem o kilka miesięcy albo lat. Nie dopuszczał do siebie myśli, że coś może pójść nie tak. Dlatego nigdy nie budował planu awaryjnego. A przez brak alternatywy żył jak nieuleczalnie chory optymista.

Kilka miesięcy później Igor Janin przekonał się, że miał rację: bezbłędnie scharakteryzował Lwa Fiodorowa, jeszcze zanim zdążył go poznać.

– Długo cię szukałem – powiedział Fiodorow, wskazując dłonią miejsce po drugiej stronie obskurnego kwadratowego stolika. – Słyszałem, że nie pijesz, więc wziąłem ci piwo bezalkoholowe.

Janin zdjął czapkę, odsłaniając potężne zakola i gęste, zrosnięte brwi. Usiadł i uprzejmie kiwnął głową.

– Dobrze słyszałeś. Zaliczam się do tych, którzy chcą, ale nie mogą. A przynajmniej nie powinni. – Janin popatrzył nieufnie na kufel, jak gdyby wywoływał w nim mroczne wspomnienia, i pociągnął maleńki łyk. – Co to znaczy, że długo mnie szukałeś?

– Dziesięć lat. Tyle czasu upłynęło, odkąd poznałem sekret swojego ojca. Przez ten czas gromadziłem informacje na temat ludzi, którzy także mogą o nim wiedzieć. Jesteś ostatnią osobą na mojej liście. I zarazem najciekawszą.

– Poważnie? – Janin uśmiechnął się pod nosem. – Słyszałem o sobie różne rzeczy, ale nie to, że jestem ciekawym człowiekiem.

– W takim razie potraktuj to jako komplement. – Fiodorow napił się wody. Korciło go, żeby zamówić coś mocniejszego, whisky, wódkę albo koniak, ale ostatecznie uznał, że musi zachować idealną trzeźwość umysłu. W końcu spodziewał się, że będzie to jedna z najważniejszych rozmów w jego życiu. – Pracowałeś z Witalijem Radułowem, więc umiesz obchodzić się z tematem, który mnie interesuje. Ale najpierw musisz mi powiedzieć, co dokładnie wiesz.

Janin przez dłuższą chwilę ścisnął w ręku czapkę, zanim położył ją na stole. Tuż obok wstrętnego bezalkoholowego piwa, którego nie zamierzał więcej tknąć.

– Andriej Szawarow był dalekim krewnym twojego ojca – powiedział. – Pracował dla KGB. Zajmował się tym, czym zajmuje się większość pracowników bezpieczeństwa, czyli obserwowaniem innych agentów. Takich jak Misza Klimienko. Szawarow miał mu się przyglądać między innymi podczas wyprawy studentów Politechniki Niestierowskiej na Ural, do której Klimienko niespodziewanie dołączył. Dla niepoznaki Szawarow wyruszył w góry parę dni wcześniej z dwoma kumplami z dzieciństwa, którzy podobnie jak on zbyt często zaglądali do kielicha, ale nie byli tak bystrzy jak on. Delikatnie mówiąc. W pewnym momencie Szawarow zostawił swoich kompanów i dołączył do ekipy Gonczara, aby z bliska obserwować poczynania Klimienki.

– *Long story short* – rzucił Fiodorow. – Nie mam całego dnia.

– Nie wszystko poszło zgodnie z planem. Na przełęczu pod górą Alatanaj prawdopodobnie doszło do kłótni między uczestnikami wyprawy. Turyści poczuli się zagrożeni. Rozpruli namiot od środka i pięcioro z nich uciekło. Pogoda była fatalna, więc gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, ubrani jedynie w to, w czym mieli spać, ich szanse na przeżycie spadły do zera. Po paru godzinach wszyscy zginęli. Reszta została z Szawarowem.

Po jakimś czasie oni także opuścili namiot i podzielili los kolegów. Cztery osoby, w tym Szawarow, wpadły do głębokiego na kilka metrów jaru, doznały dotkliwych obrażeń i umarły. Piąty z tej grupy, Klimienko, zniknął. Być może to on sprokurował awanturę, przegonił turystów i Szawarowa po zboczu, wepchnął ich do dołu i zwiął. Tyle że trudno znaleźć powód, dla którego miałby to zrobić po wielu dniach wspólnej wędrówki. Bardziej prawdopodobny jest scenariusz, w którym to twój niezrównoważony, lubieżny wujek wywołał zamieszanie, przepędził turystów z namiotu, a na koniec z niewielką pomocą Klimienki wpadł do jaru.

– To nie był mój wujek.

– Ale każdy, kto by się o nim dowiedział, za takiego by go uważał.

Fiodorow pokiwał głową. Trudno było się z tym nie zgodzić.

– Co się stało z Klimienką?

– Nie wiadomo. Kiedy się okazało, że to nie jego zwłoki znaleziono w wąwozie, śledztwo zostało natychmiast zamknięte, a agenci po cichu wyruszyli w góry. Po kilku miesiącach poszukiwań wrócili z niczym. Ludzie, którzy znali temat, przyjęli, że Klimienko zginął poza strefą poszukiwań. Ale fakt, że do tej pory nie znaleziono jego zwłok, raczej sugeruje, że jakimś sposobem zdołał uciec, a potem zapadł się pod ziemię. Wziąwszy pod uwagę to, że dzisiaj dobijałby do setki, najpewniej zabrał swoją tajemnicę do grobu.

Fiodorow wysłuchał Janina uważnie, po czym łąpczywie napił się wody. Praktycznie się nie odzywał, mimo to zaschło mu w gardle jak po maratonie na pustyni. Działo się tak za każdym razem, kiedy słyszał tę historię.

– Chciałbym, żebyś dla mnie pracował – oznajmił.

Janin uniósł swoje dziwaczne brwi.

– To była rozmowa rekrutacyjna? – Rozejrzał się na boki. – Trochę ich w życiu miałem, ale jeszcze nigdy w takim miejscu.

– Twoja robota byłaby w gruncie rzeczy prosta. – Fiodorow nie przejął się jego komentarzem. – Chciałbym, aby wiedza, którą masz, nie stała się powszechnie dostępna.

– Nie tylko tobie na tym zależy.

– Ale mnie szczególnie. Z powodów, które doskonale rozumiesz. Bo zapewne masz świadomość, że najpóźniej za dwa lata zostanę prokuratorem generalnym.

– Słyszałem co nieco.

– I zapewne wiesz, że coraz więcej osób interesuje się przełęczą. Piszą książki, kręcą filmy, zakładają blogi. A nawet, kurwa, tworzą gry komputerowe na jej temat.

– Ludzie mają różne zainteresowania.

– Muszę sprawdzić, czy ktoś wyjątkowo dociekliwy jest w stanie dowiedzieć się o moim... o moim wujku.

– W jaki sposób chcesz to zrobić?

– Nakazę rozgryźć tajemnicę przełęcz.

Janin głęboko westchnął. W pierwszej chwili uznał pomysł Fiodorowa za irracjonalny, ale po kilkunastu sekundach zrozumiał jego ideę. I nawet mu się spodobała.

– Jak mam ci w tym pomóc? – zapytał.

Fiodorow szeroko się uśmiechnął. Galina i Swietłana nie były fankami tego pomysłu. Uważały, że Janin go nie kupi. I że Lew nie znajdzie osoby, która podejmie się tego zadania. W obu wypadkach się myliły.

– Znam pewną kobietę, która mogłaby się tym zająć.

Schylił się do stojącej pod stołem aktówki i wyjął z niej czarną teczkę. Przekazał ją Janinowi. Igor otworzył folder i przeskanował wzrokiem zdjęcie pięknej młodej kobiety, przyłapanej przez fotografa na eksplozji niczym nieskrępowanej radości. Pod nim znajdowało się kilka kartek zadrukowanych od góry do dołu informacjami na jej temat.

– Jesteś jej pewien? – spytał Janin.

Fiodorow pokiwał głową.

– Absolutnie. Zaopiekowałem się nią po tym, jak jej matka i siostra zginęły w wypadku samochodowym, a ojciec zaczął chlać. Pomogłem dziewczynie stanąć na nogi, a potem dostać się do prokuratury. Właściwie zawdzięcza mi wszystko. – Fiodorow na chwilę się zamyślił. Zastanawiał się, czy powinien wdrożyć Janina w szczegóły relacji z Uzi. W końcu uznał, że nawet średnio inteligentny człowiek powinien się domyślić, że łączyło ich coś więcej niż słodkopierdząca opowieść o dobrym samarytaninie i straumatyzowanej księżniczce. A jeżeli Janin był tym, za kogo go uważał, raczej nie potrzebował dodatkowych wyjaśnień. – Dziewczyna jest bystra, piekielnie ambitna i pracowita, ale brakuje jej doświadczenia. Dlatego musisz znaleźć dla niej partnera.

Janin spojrział na dolne stoliki, w większości zajęte przez smętnych facetów ślęczących nad rozcieńczonym piwem. Podrapał się po łysinie. Chrząknął.

– To musi być ktoś, kto nienawidzi Rosji – powiedział.

– Dlaczego?

– Bo tylko wtedy będzie miał odpowiednią motywację, aby się tego podjąć.

– Może i tak. Wybór pozostawiam tobie. Bo rozumiem, że jesteś racjonalnym facetem i mi nie odmówisz. – Prokurator podwinął rękaw koszuli i spojrział na zegarek. – Pewnie masz sporo pytań, ale teraz nie odpowiem ci na wszystkie. Wybierz trzy. Wyobraź sobie, że jestem złotą rybką.

Janin dość długo wpatrywał się w uśmiechniętą gębę Fiodorowa.

– W tej chwili mam tylko dwa pytania.

– Śmiało.

- Czy jest coś, przez co mógłbyś zostać powiązany ze sprawą przełęczą?
- Nic poważnego. Same drobnostki.
- Na przykład?
- To szczegóły, które są praktycznie nie do wychwycenia.
- Na przykład?

Fiodorow ciężko sapnął. Nie lubił, gdy ktoś mu się przeciwstawiał. Ale jednocześnie cieszył się, że Janin nie jest koleśkiem, który będzie bezrefleksyjnie realizował jego polecenia. Nie potrzebował kolejnego zahukanego przydupasa.

– Dziesięć lat temu pojechałem na przełęcz. Nie mogłem się powstrzymać. – Wzruszył ramionami. – Byłem tam razem z kilkoma kolegami ze studiów, z którymi przez lata jeździłem w góry. Zrobiliśmy trochę zdjęć. Kilka z nich trafiło do sieci. Choć zadbałem o to, żeby nie było mnie na żadnym z nich, ktoś wyjątkowo dociekliwy mógłby się domyślić, że mogłem stać za aparatem. Jeśliby to połączył z faktem, że mój ojciec także bywał na Uralu Północnym, być może zapaliłaby mu się lampka ostrzegawcza. Ale podkreślam: musiałyby się trafić ktoś cholernie dociekliwy, kto miałby wyjątkowo dużo szczęścia. Tak więc statystyka jest po naszej stronie. – Popatrzył na Janina, który szybko przeanalizował jego wywód i kiwnięciem głowy przyznał mu rację. – Jakie masz drugie pytanie?

Janin wyjął telefon, żeby coś zanotować.

– Kiedy zaczynamy? – spytał.

Na twarz Fiodorowa momentalnie wrócił uśmiech.

– Teraz.

EPILOG

Jedno nie ulegało wątpliwości.

Umierał.

W sposób, jakiego nawet w najczarniejszych snach się nie spodziewał. W przeogromnym bólu, którego nigdy przedtem nie doświadczył. A na dodatek w chwili, gdy pozwolił naiwnemu umysłowi uwierzyć, że jakoś z tego wyjdzie.

Resztkami sił obrócił się na plecy. Położył dłonie na klatce piersiowej, jak gdyby chciał otulić nimi płuca – zmęczone, chore, niedające zaczerpnąć tchu. Poruszał głową, próbując strząsnąć z policzków lepki śnieg. Ale gdy tylko to zrobił, do twarzy przywarła mu nowa warstwa białego puchu. Jeszcze zimniejszego. Jeszcze łapczywiej wgrzającego się w tkanki, nerwy i mięśnie. Jeszcze bardziej morderczego.

Bolały go głowa, gardło i szyja. Chciało mu się rzygać. Chciało mu się płakać. Wszystko powyżej jego ramion – centralny układ sterowania i magazyn resztek człowieczeństwa – wydawało się zepsute. Zgniłe. Spróchniałe. Bezużyteczne.

Z coraz większym trudem powstrzymywał opadające powieki. Ostatkiem świadomości powtarzał sobie, że pod żadnym pozorem nie może zasnąć. Ale jego wola słabła. Umysł był zadżumiony i ogłupiały. Wyobrażenia zaskakująco łatwo przeskakiwała ze stanu beznadziei w stan spokoju. Wywoływała porażająco racjonalną rzeczywistość, która mu wmawiała, że taki finał był nieunikniony. Że nic lepszego nie mogło go spotkać. Nie po takim życiu. Nie z tak zbrukanym sumieniem.

A skoro nie dało się tego uniknąć, powinien się z tym pogodzić.

Wreszcie zamknął oczy. Zadowolony, że to koniec. Że nie musi dłużej walczyć. Uśmiechnął się. Wprawdzie jego spierzchnięte, obmarzające usta nawet nie drgnęły, ale dusza konwulsyjnie zadrzała, kiedy pod powiekami rozpoczął się nieskoordynowany taniec cieni.

Nagle zrobiło się ciepło, a po chwili gorąco i lekko, niczym w parną sierpniową noc. Zapadła cudowna cisza.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło ani gdzie się znajduje. Jak przez mgłę rejestrował, że odwiedzali go różni ludzie, najczęściej młoda kobieta i starzec pomrukujący coś pod nosem, ale nikt z nim nie rozmawiał. Może nie interesowało ich to, jak się czuje. Może nie

byli ciekawi jego historii. A może było wręcz odwrotnie: doskonale wiedzieli, kim jest, co się stało i jaki los go czeka.

Któregoś poranka poczuł się na tyle dobrze, że spróbował wstać. O własnych siłach wyszedł z wyłożonej reniferowymi skórami jurty. Zorientował się, że jest w niedużej górskiej wiosce. Pojawiające się zaś gdzieniegdzie roztopy, charakterystyczne dla przedwiośnia, sugerowały, że od incydentu na przełęczy musiało upłynąć kilka tygodni.

Wystarczająco dużo, aby Żenię Kowalczuka uznano za zaginionego albo martwego.

Kilka dni później poznał dwóch myśliwych, którym zawdzięczał życie. Znaleźli go kilkadziesiąt metrów od namiotu. Był ledwo żywy. Majaczył. Przetransportowali go do najbliższej wertyjskiej wioski, gdzie przekonali miejscową starszyznę, że warto mu pomóc. Lokalni znachorzy odtruli go, amputowali koniuszki czterech odmrożonych palców, pozszywali rany, jakich się nabawił podczas desperackiej człapaniny w śniegu. Przez parę dni gorączkował i wydawało się, że może z tego nie wyjść, ale potem wydobrał. A gdy jedno niebezpieczeństwo minęło, myśliwi pozbyli się kolejnego, wywożąc go do wioski oddalonej od przełęczy o kilkadziesiąt kilometrów. Wiedzieli, że ludzie, którzy próbowali Żenię wykończyć, będą go szukać. Że w pierwszej kolejności skierują podejrzenia na miejscową ludność. I że rosyjski wywiad potrafi wyciągnąć informacje z każdego.

Myśliwi oraz ich żony, dwaj znachorzy i sędziwy przywódca wioski – tylko siedmioro Wortów znało prawdę o Żeni. Kiedy dochodził do siebie, w najdrobniejszych szczegółach opracowali bajeczkę o rannym facecie, który pewnej zimowej nocy sterroryzował ich za pomocą broni, zabrał jedzenie, pieniądze i ubrania, a następnie uciekł w kierunku nizin. Gdy wreszcie smutni panowie podający się za śledczych z Niestierowa złożyli Wortom wizytę, ci bez zająknięcia sprzedali im tę historię. I zrobili to na tyle wiarygodnie, że żadnemu z agentów nie przyszło do głowy, aby wydobyć z nich prawdę bardziej radykalnymi metodami.

Nikt nie musiał Żeni tłumaczyć, że życie, które znał, definitywnie się skończyło. Mimo to potrzebował trochę czasu, aby pogodzić się z tym, że nigdy więcej nie zobaczy dzieci. Że nie użyje swojego imienia i nazwiska. Że każda próba nawiązania kontaktu z ludźmi z przeszłości może skończyć się tragicznie. Nie tylko dla niego.

Przy pomocy jednego z myśliwych, regularnie schodzącego do Wiermukowa, a potem objeżdżającego wertyjskie wioski z towarem i najświeższymi plotkami, Żenia próbował poznać odpowiedzi na pytania, które nie dawały mu spokoju. Przed wszystkim chciał ustalić, co się stało z Uzi. Problem w tym, że ślad po niej zagał. Zupełnie jakby rozplynęła się w powietrzu. On przynajmniej miał rodzinę, która zgłosiła jego zniknięcie, przez co oficjalnie został uznany za zaginionego. Ona była zupełnie sama. Nikt się nią nie interesował. Nikt nie naciskał na władze. Nikt nie zadawał niewygodnych pytań.

Dopiero teraz Żenia zrozumiał, że samotność była jednym z powodów, dla których Uzi stanowiła idealną kandydatkę do tego zadania. Ale dlaczego Fiodorow i Janin wybrali akurat

jego? Krnąbrnego ekswojaka i byłego milicjanta. Gościa, który kwestionował polityczny porządek. Upartego, nieprzejednanego, trudnego do prowadzenia i nadzoru. Może właśnie potrzebowali kogoś, kto uzna swoich mocodawców za wrogów. Kto potraktuje ich zadanie jako grę, w której trzeba nie tylko wygrać, ale też wykiwać gości rozdających karty. Z całą pewnością byli tak pewni swojej decyzji i zabezpieczenia w postaci Kosariewa, że nie dopuszczali do siebie myśli, że coś może pójść nie tak.

Żenia długo się zastanawiał nad intencjami Fiodorowa. Czy było to jego prywatne przedsięwzięcie, które jako jeden z najpotężniejszych ludzi w kraju mógł swobodnie zrealizować, czy ogólnopaństwowa misja? Czy rzeczywiście chciał, aby dobrnęli tak daleko, czy jednak coś wymknęło się spod kontroli? Ostatecznie doszedł do wniosku, że Fiodorow działał na własną rękę, a cała sprawa musi mieć związek z jego ojcem. Taras Fiodorow sporą część życia spędził w Niestierowie. Bywał w miejscach ważnych dla sprawy. Regularnie łąził po Uralu. Zapewne był zbyt młody, żeby mieć bezpośredni związek ze śmiercią turystów, ale mógł wiedzieć o tej tragedii coś, co wspomogło jego błyskotliwą karierę polityczną.

Cokolwiek to było, miało pozostać tajemnicą. Kilka tygodni po incydencie na przełęczy Lew Fiodorow został prokuratorem generalnym, dopełniając tym samym misję, jaką przed laty powierzył mu ojciec.

Żenia szybko się uczył prostego wertyjskiego życia, którego rytmika i tempo całkiem dobrze pasowały do jego spokojnej, w gruncie rzeczy niemieszkańskiej natury. Wojskowe doświadczenia okazały się przydatne podczas polowania na renifery, które szybko stało się jego głównym zajęciem. Organizm doszedł do siebie i Żenia zaczął pracować nad formą, biegając po dzikich uralskich pagórkach z dala od szlaków turystycznych. Gorzej było z nauką języka. Rozumiał podstawowe wertyjskie zwroty, ale z ludźmi komunikował się wyłącznie po rosyjsku, co nie wszystkim odpowiadało. Przestał się temu dziwić, kiedy któregoś wieczoru pewien stary Wort zaprosił go do swojej jurty. Opowiadał mu przeróżne lokalne historie tak długo, aż obu zmorzyła wódka.

Dwa miesiące po incydencie Żenia zniknął na kilka dni w górach. Wrócił, targając ze sobą kilkadziesiąt kilogramów mięsa z renifera, które wymienił na odzież i podstawowy ekwipunek turystyczny: niewielki namiot, zestaw noży, lekarstwa. Podziękował Wortom za przyjaźń, opiekę, odwagę i zaufanie, po czym opuścił ich wioskę. I już nigdy do niej nie wrócił.

Przez wiele dni snuł się po syberyjskich bezdrożach, ryzykując życie za każdym razem, kiedy łąpał stopa. W końcu dotarł do wioski za kołem podbiegunowym, o której podczas pijackiego wieczoru opowiedział mu stary Wort. Mimo zrozumiałej nieufności miejscowe plemię pozwoliło mu się spotkać z człowiekiem, o którego wypytywał. Był to niemal stuletni Rosjanin. Pomarszczony, wysuszony, bezzębny, pobliźniony i wytatuowany, pozbawiony większości palców. Dogorywał. Nie mówił i nie było jasne, czy w ogóle kontaktuje. Ale kiedy Żenia pochylił się nad umierającym i wejrzał w jego zielone oczy, odniósł wrażenie, że

starzec nie tylko go widzi, ale także doskonale rozumie. Że jest w pełni świadomy tego, że przeszli identyczną drogę. Że łączy ich coś znacznie potężniejszego niż kolor skóry, pochodzenie czy więzy krwi. Że są ulepionymi z tej samej gliny istotami, które historia wepchnęła do dwóch różnych, a jednak bliźniaczo podobnych epok, tak samo naznaczonych cierpieniem, fałszem i traumą.

Niedługo po tym spotkaniu mężczyzna umarł. Żenia zaś stanął przed pytaniem, którego wcześniej nie miał odwagi sobie zadać: co dalej? Jak żyć, kiedy nie można być sobą? Kiedy nie chce się być sobą. Kiedy w ogóle nie chce się być, czuć ani doświadczać. Najłatwiej byłoby po prostu umrzeć. Ale w jego życiu nic nie wydawało się proste, więc i śmierć nie mogła przyjść łatwo.

Gdy miejscowi wynieśli ciało starca, Żenia rozgościł się w jego izbie. Z pewną obawą przycupnął na łóżku. Sprężyny wcale nie były takie twarde, jak się spodziewał, a do wsiąkniętego w ściany smrodu starego człowieka szło się przyzwyczaić. Właściwie jak na tak spartańskie warunki było tam całkiem przytulnie. W głowie Żeni zaświtała myśl, której w pierwszej chwili się przestraszył. Ale z czasem zaczął się do niej przyzwyczajać. A nawet z lekka ją polubił.

Od autora

Zawsze się wzdygałem, słysząc, że życie pisze najlepsze scenariusze. Uważałem te słowa za przesadzone, niesprawiedliwe i krzywdzące. Szczególnie dla ludzi, którzy parają się beletrystyką. Dla zawodowych zmyślaczy pracujących wyobraźnią na chleb. Takich jak ja. Aż pewnego dnia natknąłem się na artykuł o tragedii na Przełęczy Diatłowa.

Dowiedziałem się o dziewięciorgu młodych turystach, którzy w lodowatą noc z 1 na 2 lutego 1959 roku rozcięli namiot od środka i zaczęli zbiegać – w większości bez butów i ciepłej odzieży – po zboczu góry Chołatczachl na Uralu Północnym. Przeczytałem o upiornych obrażeniach, jakich doznali: złamaniach żeber, urazach głowy, krwotokach wewnętrznych, utracie języka i gałek ocznych. O dziwnym postępowaniu sowieckich władz, które kazały w pośpiechu zamknąć śledztwo i na kilkadziesiąt lat zataiły jego szczegóły. O uralskim mistycyzmie, tajemniczym plemieniu zamieszkującym tę część gór, dziesiątkach wątpliwości, które dotyczyły jednego z uczestników wyprawy. O kilkudziesięciu teoriach wyjaśniających przebieg wypadków na przełęczy. I wreszcie o żenującej konkluzji śledczych, którzy uznali, że za śmierć turystów odpowiada „potężna siła”.

Nie potrafiłem przejść obok tej historii obojętnie.

Jako zawodowy zmyślacz (prawdę rezerwuję dla swojego drugiego życia – dziennikarskiego) nie zamierzałem tworzyć kolejnej faktograficznej publikacji o Przełęczy Diatłowa. Chciałem sfabularyzować tę historię. Uspółcześić ją. Uczynić bardziej uniwersalną i przystępną. Dlatego w tej książce nie ma Igora Diatłowa i jego kolegów. Są fikcyjni bohaterowie, fikcyjne sceny, fikcyjne miejsca. Fakty mieszają się z literacką blagą.

Ale oczywiście wiele podobieństw do rzeczywistości jest nieprzypadkowych, a niektóre wątki w najdrobniejszych szczegółach pokrywają się z wiedzą, jaką mamy na temat wydarzeń z 1959 roku.

Nigdy nie byłem w Rosji, więc kraj, który opisuję w tej powieści – z jego obywatelami, miasteczkami, zwyczajami, dziwactwami – jest wyłącznie Rosją z moich wyobrażeń. A także z licznych książek, filmów czy artykułów, które pochłonałem w ramach przygotowań.

Moimi duchowymi i intelektualnymi przewodnikami po Rosji byli Swiatłana Aleksijewicz, Wiktor Suworow, Ryszard Kapuściński, Zachar Prilepin, Aleksandra Marinina, Jacek Hugo-Bader, Aleksiej Bałabanow, Andriej Zwiagincew, Nikita Michałkow i wielu, wielu innych. A także, rzecz jasna, autorzy rozmaitych utworów literackich na temat tragedii, między innymi Svetlana Oss, Donnie Eichar, Keith McCloskey czy Alice Lugen.

Ta książka nie jest w żadnej mierze reportażem. To powieść, w dodatku rozrywkowa. Nie usiłuję przekonać Was, drodzy Czytelnicy, że wiem, co się stało na przełęczu. Nie mam bladego pojęcia – podobnie jak zdecydowana większość ludzi od lat zajmujących się tą zagadką (choć nie wszyscy z nich gotowi są to przyznać). Nie chcę nikogo mamić. Po prostu robię to, na czym znam się najlepiej – opowiadam zmyśloną historię. Tyle że obudowaną faktami, spostrzeżeniami i detalami, które niedwuznacznie przywodzą na myśl jedną z największych zagadek XX wieku.

Dlaczego się na to zdecydowałem? Ponieważ mimo wszystko uważam, że nawet najlepszym scenariuszom pisany przez życie warto czasem pomóc.